



PAWEŁ JASIEENICA



POLSKA JAGIELLONÓW

PAWEŁ
JASIEENICA
POLSKA
JAGIELLONÓW



Prószyński i S-ka



Księgozbiór DiGG



2010



Rozdroże

„ - Za czasów króla Ludwika nie było żadnej stałości w królestwie polskim. ”

Janko z Czarnkowa

Siódmego listopada 1370 roku, w godzinach popołudniowych, cechy krakowskie z rozwiniętymi sztandarami wyszły za miasto, na drogę wiodącą z Sącza, powitać nowego monarchę. Ludwik Węgierski nadciągnął uroczyście w otoczeniu „panów i starszyny królestwa polskiego”, którzy pośpieszyli spotkać go we wspomnianym mieście. Poprzedzony procesją całego duchowieństwa stolicy wkroczył na Wawel.

Zaskoczyła go tam nieoczekiwana wiadomość. Było już po pogrzebie Kazimierza Wielkiego. „Wierni” pochowali go tego samego dnia, przed południem.

Dziwny pośpiech... Poprzedni pogrzeb monarszy miał przebieg zupełnie inny, zgodny z ówczesnymi zwyczajami. Władysław Łokietek zmarł 2 marca 1333 roku, a pochówek nastąpił dopiero po koronacji Kazimierza, która odbyła się 25 kwietnia. Kronikarze nie omieszkali zapisać, że w tym przerażająco długim czasie twarz nieboszczyka nie uległa zmianie.

Wtedy osiem tygodni, teraz dwie doby. Na samym wstępie spotkała Ludwika wyraźna demonstracja polityczna. Zaraz przyszła i druga. Arcybiskup Jarosław Bogoria ze Skotnik, jedyny już w Polsce mąż stanu pamiętający Łokietka, zażądał, by nowy król koronował się nie w Krakowie, lecz w Gnieźnie. Celu nie osiągnął, ale podkreślił swe stanowisko.

Przewodził grupie, którą historycy nazywali „legitymistyczną”. Hasłem jej było: wykonać układy zawarte przez zgasłego króla, lecz ani jednego ustępstwa więcej na rzecz nowej i obcej dynastii. Oprócz Jarosława należał do stronnictwa jego siostrzeniec, Janusz Suchywilk, późniejszy arcybiskup, prawnik o wysokim wykształceniu i rozległej wiedzy, z pochodzenia Małopolanin, oraz Florian Mokrski, biskup krakowski, który odegrał jedną z głównych ról przy zakładaniu uniwersytetu. Nie było jakich ludzi liczyło stronnictwo „legitymistów”. Akurat oni stanowili poprzednio grono głównych doradców Kazimierza Wielkiego. Ich postawa - w czasie krótkiego bezkrólewia i całych zresztą rządów Ludwika - to zdecydowana chęć zachowania odrębności państwa, dotychczas najzupełniej samodzielnego, a teraz włączonego w system o wiele szerszy - w okolicznościach wcale nie najlepszych.

W listopadzie 1370 roku zaczęło się dwunastolecie, w przeciągu którego Polska nie miała i nie uprawiała żadnej swojej polityki ani w dziedzinie stosunków wewnętrznych, ani międzynarodowych. Wszystko stało pod znakiem przetargów i kombinacji dotyczących następstwa po Ludwiku.

Przywileje dla miast, zwrot majątków odjętych pewnym ziemianom przez Kazimierza, system podatkowy - oto cena kupna zgody stanów polskich na monarsze projekty rodzinne.

Kim był Ludwik Węgierski? Po mieczu Francuzem, po kądzieli Polakiem. Krwi madziarskiej płynęło w nim niewiele. Dziedziczył ją po wygasłych Arpadach. Jego ród wywodził się od brata Ludwika Świętego, króla Francji, i nosił nazwisko Anjou, co u nas zostało spolszczone na Andegawenów. Jednakże pochodzenie nie grało decydującej roli. Ten potomek francuskiej krwi królewskiej reprezentował porządek polityczny najzupełniej odmienny od kwitnącego we Francji, no i w Polsce za dni Piastów. Wraz z nim przyszedł do nas system dynastyczny, wielu innym krajom Europy znany od dawna, wcale nie zawsze z korzyścią dla nich. Węgierska linia Andegawenów politykowała na tej samej zasadzie, jaka przyświecała Habsburgom, Luksemburgom, Wittelsbachom. Jedynym zwornikiem budowli państwowej jest rodzina panująca. Stały system postępowania to przetarg, nie liczący się z dobrem zainteresowanej krainy. Względy narodowe nie grają roli. W monarchii czysto dynastycznej bezużyteczne byłyby argumenty, których używali świadkowie w procesie króla polskiego przeciwko Krzyżakom. Mówili oni, jak pamiętamy: Pomorze powinno należeć do Polski, ponieważ ludzie tamtejsi używają tej mowy.

Łokietek i Kazimierz Wielki uczynili przyjaźń z Węgrami kamieniem węgielnym swej polityki. Przyzwyczajeni do późniejszych pojęć, skłonni bywamy widzieć ten sojusz w skali nieprawdziwej, zmniejszonej. W chwili objęcia władzy Ludwik nosił tytuł króla Węgier, Polski, Dalmacji, Kroacji, Ramy, Serbii, Galicji, Lodomerii, Komarii i Bułgarii. Karol Szajnocha twierdził: *„liczył on w swej intytulacji królewskiej sam jeden tyle poddanych sobie królestw, ile wszyscy królowie europejscy pospołu”*.

Monarchia węgierska Andegawenów zaliczała się do najpierwszych potęg na kontynencie. Pokonała, upokorzyła i zmusiła do wielkich ustępstw Wenecję „władnącą morzami”. Odebrała jej wybrzeże dalmatyńskie od zatoki Quarnero aż po Durazzo. Podbiła Serbię, podporządkowała sobie Bośnię, Mołdawię, Wołoszczyznę, Chorwację, część Bułgarii.

To wszystko było już w rękach Ludwika, kiedy na wieść o nagłym pogorszeniu zdrowia Kazimierza Wielkiego słał do Krakowa posłów w osobach Władysława Opolczyka i bana sławońskiego Piotra Czudara. Pozornie mieli oni tylko wywiedzieć się o zdrowie Ludwikowego wuja, w rzeczywistości - na wypadek zgonu Piasta - przejąć królestwo. Ludwik osobą własną ruszył w kierunku granic Polski jeszcze za życia Kazimierza. Pośpiech zupełnie zrozumiały - od kilku miesięcy sprawy węgierskiej sukcesji u nas zaczęły nagle wyglądać zupełnie inaczej, niż to było w przeciągu poprzednich lat kilkunastu.

Z punktu widzenia Kazimierza Wielkiego umowy spadkowe były przede wszystkim pewną formą sojuszu z Węgrami. Nikt nie mógł zaręczyć, czy los się nareszcie nie uśmiechnie do monarchy i nie da mu legalnego syna. A jeśli nawet nie, to i tak rządy andegaweńskie w Polsce zdawały się zapowiadać jako krótki epizod. Jak wiemy, przezorny Kazimierz upatrzył sobie Kaźka słupeckiego na przyszłego, niejako zapasowego następcę.

Ludwik był na Węgrzech sam jak palec. Jego dynastyczną potęgę oczekiwał los okrutny, lecz w tym ustroju nieunikniony. Brakowało spadkobiercy. Państwo pozbawione innych spójni oprócz dynastii musiało się rozkleić.

A nie wiodło się tej dynastii w sposób zasługujący na uwagę. Jej założyciel Karol Robert, towarzysz Łokietka, z pierwszej żony miał dwie córki, które dożyły normalnego wieku. Niemal sześćdziesiątki doczekał syn z nieprawego łoża, Koloman, biskup Győr. Przyszedł na świat w roku 1317. Zaraz potem zaczęły się nieszczęścia. Dziecko z drugiego królewskiego stadła przeżyło najwyżej kilka miesięcy 1319 roku. W lipcu 1320 roku Karol Robert pojął córkę Łokietka, Elżbietę. W następnym narodził się im i zmarł syn, Karol. Drugi, Władysław, przeżył pięć wiosen; Ludwik, urodzony 5 marca 1326 roku, był trzecim dzieckiem i on jeden jedyny z całego rodzeństwa miał pójść w ślady ojca, to znaczy przekroczyć pięćdziesiątkę.

Dwaj młodsi bracia Ludwika długo nie pociągnęli. Z Andrzejem może by i była pociecha dla dynastycznych planów, gdyby go w siedemnastym roku życia nie uduszono w Neapolu, działając z poduszczenia jego żony, młodziutkiej Joanny. Ostatni, Stefan, osiągnął rzadki w tej rodzinie wiek dwudziestu dwóch lat. Umarł w Zagrzebiu z błahej przyczyny. Spadł z konia a organizm nie wytrzymał wstrząsu.

W 1355 roku, umawiając się z Kazimierzem Wielkim co do polskiego dziedzictwa, upatrywał Ludwik swego następcę w czteroletnim synku Stefana, Janie. Chłopak nie dożył Nowego Roku.

Sam Ludwik miał za żonę Elżbietę, córkę bana Bośni Stefana Kotromanicza, którego charakter współcześni określali potomkiem: Piastun Szatana. Sławna z urody królowa była pół-Polką. Jej matka, księżniczka gniewkowska Elżbieta, to rodzona siostra znanego nam już Władysława Białego, błędnego rycerza, mnicha, niefortunnego kandydata do korony polskiej.

W 1370 roku, prawdopodobnie w lipcu, po siedemnastu latach bezdzietnego pożycia doczekała się monarsza para córki, Katarzyny. To od razu w zupełnie nowy sposób ustawiło sprawę spadku po Ludwiku, lecz i pogmatwało ją znacznie. Prawo polskie nie przewidywało możliwości dziedziczenia przez kobiety, które mogły najwyżej pośredniczyć, przenosząc spuściznę na mężów.

Kazimierz Wielki nie miał już czasu niczego postanowić w sytuacji zmienionej, urzeczywistniającej dawne umowy w sposób rokujący przyszłe powikłania. Śmierć zaskoczyła go w cztery miesiące po narodzinach królewny-wnuczki.

Ludwik nie popasał długo w Polsce. W ogóle odwiedzał nasz kraj rzadko, niechętnie, a języka nie nauczył się nigdy. Pod tym względem całkiem inaczej było na Węgrzech, gdzie Andegawenowie popierali obyczaj miejscowy, madziarski.

Koronacja odbyła się na Wawelu 17 listopada. W dwa dni potem odprawiono egzekwie po Kazimierzu, których przepych miał widać zatrzeć przykre wspomnienie o pospiesznym pogrzebie. Niech o tym zaświadczy tylko jeden szczegół, zanotowany przez uczestnika uroczystości: we

wszystkich kościołach krakowskich i przy wszystkich ołtarzach taki sam dar - tyle monet, ile garść objęła. Opisywanie innych szcudrośliwości zajęłoby zbyt wiele miejsca.

Król złamał przyrzeczenie dane Wielkopolanom. Nie pokazał się w gnieźnieńskiej katedrze w stroju koronacyjnym. Tłumaczył, że dwukrotne przybieranie insygniów byłoby czynnością śmieszną. Drobnym incydentem nie był jednak pozbawiony znaczenia politycznego. Zapowiadał, którą z dzielnic kraju nowy monarcha zamierza wysuwać na czoło.

W grudniu 1370 roku Ludwik powrócił na Węgry. Przedtem jednak załatwił w Polsce kilka spraw.

Bogaty zapis Kazimierza dla Kазьka słupskiego został unieważniony. Książę otrzymał jednak w lenno niektóre ziemie, mianowicie dobrzyńską, Bydgoszcz, Wielatów i Wałcz. Rzecz niezbyt ważna, bo niedoszły następca tronu potulnie pogodził się z losem. Zupełnie inny charakter nosiła dotacja dla Władysława Opolczyka.

Drobne ksiądzatko śląskie, spokrewnione z polską dynastią, jeszcze za życia Kazimierza Wielkiego zaczęło robić karierę przy Andegawenach, popierając ich kombinacje. Władysław osiągnął wysoka godność palatyna. Teraz Ludwik wykroił dlań w Polsce obszerne lenno. Dał mu Wieluń, Bolesławiec, Brzeźnicę, Krzepice, Olsztyn i Bobolice wraz z powiatami. Wspomniane miejscowości były dobrze ufortyfikowane przez Kazimierza, a wzięte wszystkie razem stanowiły zwarty kompleks terytorialny położony na wprost Opola - dziedzictwa Władysława.

Ten postępek Ludwika był istnym zaprzeczeniem polityki święcie przestrzeganej przez zmarłego przez zmarłego króla. Kazimierz krokiem posuwał granicę Polski na zachód, wpierał się na Śląsk i Pomorze, nie gardząc najlichszym skrawkiem kraju. Andegaweńczyk wyciął z Polski znaczny obszar i dał go w zarząd dziedzicowi Opola, człowiekowi obojętnemu na los królestwa, a później nawet zdecydowanie mu wrogiemu. Chodziło oczywiście o wzmocnienie pozycji działacza, który był filarem nowych porządków.

Jeśli patrzeć od strony obowiązujących umów, kilkumiesięczna królowna Katarzyna nie miała żadnych widoków na tron polski. Układ z 1355 roku wyraźnie stanowił, że tylko mężczyźni potomkowie Ludwika oraz jego synowca, Jana, będą mogli dziedziczyć, a w razie ich braku „wszelkie pakta, umowy, rozrządzenia, ordynacje tudzież przysięgi wierności i hołdu, wreszcie wszelkie zobowiązania się mają być tym samym zniweczone, unieważnione i bezskuteczne”.

Każdy pergamin można jednak zastąpić innym, zawarłszy w tym celu nowy układ. Trzeba na to czasu i wszechstronnej zapobiegliwości.

Żyły w Krakowie dwie małe córki Kazimierza Wielkiego, Anna i Jadwiga, zrodzone z Jadwigi zagańskiej. Najpierw potraktowano je wspaniałomyślnie, zmieniając testament na ich korzyść, a krzywdę matki. Było bowiem do przewidzenia, że wdowa ponownie wyjdzie za mąż i zabierze swą majątność. Jakoż w piętnaście miesięcy później Jadwiga poślubiła księcia legnickiego Ruprechta.

Wyjeżdżając na Węgry Ludwik wywiózł obie polskie królowny nad Dunaj. Wychowywały się na dworze Elżbiety Bośniaczki i przyszło im

zapłacić za zbyt bujny, z niczym się nie liczący ojcowski temperament. Uznano je wprawdzie za legalne potomstwo rodziców, ale wyzuto ze wszystkich uprawnień monarszych. Małżeństwo Kazimierza z Jadwigą żagańską zostało wszak zawarte jeszcze za życia jego poprzedniej ślubnej żony, Adelajdy, a córki przyszły na świat, zanim papież zatwierdził nowy związek.

Annę wyswatano później za grafa cillejskiego, Wilhelma. „*W jego rodzie - pisze historyk - zdała się Ludwikowi krew Kazimierza Wielkiego na wieki osławioną i zapomnianą.*” Hrabiowie Cilly słynęli w Europie z niebywałych zbrodni.

Wraz z królowkami w taborze Ludwika pojechały również na Węgry polskie insygnia koronacyjne. W ten sposób „Szczerbiec” rozpoczął cykl zdumiewających wędrówek, które za naszych czasów miały go zaprowadzić aż do Kanady i z powrotem.

W Krakowie została - jako regentka królewska matka, mocno już według ówczesnych pojęć niemłoda Elżbieta Łokietkówna. Pisząc o niej trudno powstrzymać się od spostrzeżenia, że była co najmniej o pięć lat starsza od Kazimierza Wielkiego, a przeżyła go o dziesięć.

W przeciągu półwiecza, które minęło od chwili wydania jej na Węgry, wypłynęła ta rdzenna Polka na bardzo szerokie wody. Ojczyzna przygotowała ją do tego, dając jej jeszcze jako pannie wcale znaczne wykształcenie, między innymi znajomość łaciny. Dość długo przebywała w Neapolu, popierając sprawę koronacji syna, Andrzeja, odwiedziła Rzym, nader uroczyście witana przez kardynałów, arystokrację i szlachtę, zarządzała Dalmacją, a nawet samymi Węgrami, bezpośrednio wpływała na politykę ogromnej monarchii. Każdy z kolejnych papieży zabiegał o jej przychylność. Nie zaimponowała jednak Polakom ani nie pozyskała ich sympatii. Akta urzędowe zwały ją „starszą królową polską”, szlachta zaś „królową Kikutą”, czyniąc przytyk do dłoni, okaleczonej ongi mieczem Felicjana Zacha. Jeśli pamiętać o dworskości ówczesnego prawa małopolskiego, które obrazę niewiasty kazało odszczekiwać spod ławy, niegrzeczny przydomek przyjdzie uznać za nie pozbawiony wymowy politycznej.

Gdyby nawet Elżbieta nie wtrącała się do spraw państwa, samo jej istnienie zaważyłoby na historii. Wobec braku męskich legalnie zrodzonych potomków Kazimierza dziedziczne prawo do tronu przenosiło się na jej syna, Ludwika. Umawiając się z nim ostatni Piast zawczasu regulował rzecz, która i tak musiałaby nastąpić, zapobiegał wstrząsom bezkrólewia i zyskiwał ponadto sojusz wielkiej potęgi.

Zapewnić Katarzynie koronę polską! - oto jedyny cel rządów Elżbiety u nas. Pertraktacje o prawa królowny otwierały, rzecz jasna, widoki jeszcze dalsze. Przyszła monarchini nie mogła pozostać w stanie panińskim. Pozyskiwani dla panów dworu magnaci musieli przewidywać, że dzisiejsza zgoda jutro da im możliwość wpływania na wybór małżonka. Pojawiły się w Polsce zupełnie dotychczas nieznanne motywy rozumowania politycznego.

Zamiary dynastii znalazły zwolenników przede wszystkim w Małopolsce. Przyjęto się nawet określenie „stronnictwa małopolskiego”, niezbyt słuszne, bo należeli do niego również pewni możnowładcy z

innych dzielnic. Na plan pierwszy wybiły się rody Toporczyków, Leliwitów, a zwłaszcza dziedziców Kurozwek, pieczętujących się herbem Poraj. Z tej rodziny pochodził biskup krakowski Zawisza, człowiek zdolny, lecz pozbawiony skrupułów, główny filar rządów andegaweńskich w Polsce.

Jedna z ówczesnych karier zasługuje na specjalną wzmiankę. Stała się ona udziałem Wielkopolanina, Jana herbu Korab, zwanego Radlica. Zaczęło się... od studiów medycznych w Montpellier. Kiedy zapadający na zdrowiu Ludwik posłał nad Sekwanę po biegłego lekarza, król Francji polecił kuzynowi Radlicę, jako świetnego fachowca i diagnostę, na pierwszy rzut oka umiającego rozpoznać, czy pacjent wyżyje. W dwa lata został Radlica archidiakonem, kanclerzem i - po śmierci Zawiszy - biskupem krakowskim.

Normalnie jednak awanse były nagrodami za usługi natury czysto politycznej. Dynastia pragnąca zmienić na swą korzyść odwieczne prawa kraju musiała za to płacić. Czyniła to w sposób naówczas normalny: „*W wieku jawnego w Niemczech sprzedawania szlachectwa, w całej Europie odpustów i zbawienia wszystko w Europie było sprzedajne.*” Sypały się dostojęstwa, nadania, darowizny. Szlachcie przybywało jeszcze jedno dotychczas nie znane doświadczenie: król cudzoziemiec łatwiej czynił ustępstwa natury materialnej.

W 1374 roku nastąpił generalny układ, ujęty na piśmie i zatwierdzony. Stało się to w Koszycach, dnia 17 września. Król zobowiązał się obniżyć szlachcie podatki do dwóch groszy rocznie z łanu kmiecego. Było to ustępstwo olbrzymie, bo Kazimierz brał groszy dwanaście, tym większe, że na wszelkie podniesienie podatków trzeba było odtąd zgody całej szlachty. Inne postanowienia paktu koszyckiego głosiły, że prawo do piastowania urzędów ziemskich przysługuje wyłącznie szlachcicom danej dzielnicy, starostami zaś mogą zostawać tylko Polacy. Nie wolno było monarsze tworzyć w państwie lenn książęcych ani powierzać cudzoziemcom ważniejszych twierdz.

To wszystko stało się na żądanie samej szlachty. Akt koszycki jest niezbitym dowodem jej dbałości o własne przywileje, lecz świadczy jednocześnie, że troska o interesy państwa wcale nie była rycerstwu obca. Treść układu z siłą podkreślała jedność królestwa i jego narodowy charakter. W średniowieczu, kiedy tyle znaczyły odrębności dzielnicowe, był to przejaw bardzo ważny i dodatni.

Przywilej koszycki nadany został całej szlachcie polskiej, już zupełnie wyodrębnionej w osobny stan. Duchowieństwo trwało na razie w opozycji i dopiero w kilka lat później, dzięki pilnym zabiegom i zdolnościom dyplomatycznym biskupa Zawiszy z Kurozwek, przyjęto postanowienie koszyckie.

Dynastia osiągnęła cel swych dążeń. Polacy zgodzili się przekreślić umowę z 1355 roku i uznać dziedziczne prawa córek Ludwika, mianowicie tej, która on sam, jego matka lub żona wyznacza.

W Koszycach trzeba już było mówić w liczbie mnogiej - o córkach - brać pod uwagę kombinacje o wiele szersze niż poprzednio. W 1371 roku przysłała na świat królewna Maria, w końcu roku 1373, a najpewniej w

styczniu następnego - J a d w i g a .

Dla Polski przewidziana jednak była pierworodna. W dniu wydania aktu koszyckiego szlachta złożyła jej hołd jako przyszłej pani.

Od niejakiego czasu trwały pertraktacje co do jej zamążpójścia. Wybrańcem rodziców czteroletniej królowy został Ludwik Orleański, młodszy syn Karola V, króla Francji. Zapowiadało się, że to on zasiądzie na Wawelu.

Załatwienie sprawy najbardziej interesujące dwór wcale nie poprawiło stanu rzeczy w Polsce. Polityka zagraniczna szła torem wyraźnie określonym od początku. W praktyce oznaczało to, że kraj płacił za rozmaite korzyści dla dynastii.

23 maja 1372 roku Ludwik, w imieniu własnym, żony i dzieci, potwierdził zrzeczenie się Śląska. Miało to ułatwić układ o przyszłe małżeństwo Marii, liczącej sobie rok jeden, z Zygmuntem Luksemburczykiem, młodszym synem cesarza Karola IV. W tym samym roku został rozluźniony związek Rusi Czerwonej z Polską. Ludwik mianował jej zarządcą Władysława Opolczyka.

Zaczynała się na Rusi doba polityki zupełnie różnej od tego, co czynił w tym kraju Kazimierz Wielki. Ludwik nie uznawał zasad tolerancji. Dało się to wcześniej poznać: w 1360 roku wygnano z Węgier wszystkich Żydów, pozwalając im jednak zabrać ruchomości (sprawiedliwość każe przyznać, że w Neapolu Andegawenowie poczynali sobie jeszcze gorzej: przymusowo nawracali Izraelitów na katolicyzm, funkcje misjonarskie powierzając wojsku). Uchodźcy ruszyli do Austrii, Czech i do nas. Po pięciu latach zaczęli powracać na Węgry, ale nie wszyscy. Ci, którzy znaleźli przytułek w Polsce, już w niej pozostali.

Rządy Ludwika na Rusi Czerwonej to okres zdecydowanego zwalczania prawosławia, którego król nie uważał za wyznanie chrześcijańskie. Zachowały się wiadomości o masowych „nawróceniach” schizmatyków i „pogan”. Z Awinionu szły głośnie zachęty papieskie.

Polityka sojuszu z Litwą, mimo wszystko tak wyraźna za dwóch ostatnich Piastów, poszła w zapomnienie. Stosunek króla do Zakonu był przyjazny.

Po śmierci Kazimierza Wielkiego Mazowsze zjednoczyło się i jakby wyodrębniło całkowicie. Zgodnie z zawartymi wcześniej umowami Ziemowit III objął we władanie Płock, Płońsk i Wyszogród, przestał też składać hołd Polsce. Wbrew pozorom nie ma powodu do biadań nad tym wszystkim. Niezwykle przezorna i mądra polityka Kazimierza przynosiła owoce, trwała po jego śmierci. Mazowsze było krajem bezsprzecznie polskim - jeśli chodzi o miasta, to znacznie bardziej polskim od Małopolski - lecz posiadało wykształconą indywidualność oraz własną, rodzimą dynastię, a graniczyło z Krzyżakami. Brak umiaru ze strony Krakowa, nacisk, czy brutalne metody pchały je prosto w ramiona Zakonu. Stanowczo lepiej było czekać i postępować oględnie. Pomimo odrębności Mazowsze uczestniczyło w życiu królestwa, związki rzeczowe wcale nie uległy zerwaniu. Wręcz przeciwnie - upływ czasu tylko je wzmacniał.

Mierzenie średniowiecznych partykularyzmów dzisiejszą miarą to błąd

uniemożliwiający rozumienie historii. W tych odległych czasach więzi lokalne - plemienne, szczepowe, a nawet zgoła powiatowe - grały rolę doniosłą i dodatnią. Droga do ojczyzny prowadziła przez ojcowiznę. Państwa dzisiaj zupełnie jednolite pod względem narodowym wtedy były istną mozaiką, pracowicie przez wieki składaną z drobnych fragmentów, z których każdy zazdrośnie strzegł swej indywidualności. Wspomnijmy, że jeszcze w XVIII wieku dla mieszkańca południowej Francji monarcha z Paryża był tylko hrabią Prowansji, a nie królem. Gwałcenie tych regionalizmów wcale nie przyspieszało zrastania się narodowych całości. Powodując zaognienia, niszczyło tworzącą się tkanę.

Dowodzą tego zjawiska zachodzące w Wielkopolsce. Za dwu ostatnich Piastów separatyzm gniazdowej dzielniczności państwa słabł. Nieopatrzne postępowanie Ludwika i Elżbiety podsycało go na nowo. Mianowanie starostą wielkopolskim Małopolanina, Ottona z Pilczy, doprowadziło do rezultatu bardzo znamienego. Po roku Otton musiał ustąpić, gdyż szlachta sabotowała jego zarządzenia. Odmawiała mu po prostu współpracy w wykonywaniu wyroków, które wtedy egzekwowało się wspólnie. Dwór zdecydował się na ustępstwa. Starostą został Sędziwój z Szubina herbu Pałuka, Wielkopolek, zwolennik Andegawenów. W 1377 roku awansowano go jednak na starostwo krakowskie, a Wielkopolskę objął Domarat z Pierzchna herbu Grzymała, krajan wprawdzie, ale zaprzyjaźniony stronnik dworu. Był to krok wstępny, przygotowawczy, do wybuchu wojny domowej - zwanej wojną Grzymalitów z Nałęczami - która miała się rozpaść wkrótce po zgonie Ludwika i potężnie zniszczyć kraj.

Opozycji wielkopolskiej nie można uważać za przejaw anarchii ani za czystą negację, pozbawioną myśli przewodniej. Jak dowodzi treść paktu koszyckiego, tamtejszej szlachcie nie chodziło o naruszenie jedności państwowej. W gruncie rzeczy chciała ona tylko zerwać związek z Węgrami i powrócić do dawnego systemu. W epoce dziedzicznych monarchii zamiar taki stanowczo wymagał spełnienia jednego warunku: trzeba było mieć kandydata na tron. Pod tym względem szczęście nie dopisywało Wielkopolsce. Każko słupski wyrzekł się wszelkich ambicji i wkrótce zszedł ze świata. Władysław Biały, sprawca jego zgonu, nie nadawał się do polityki.

Ogólne tło tych czasów zwięźle przedstawił Janko z Czarnkowa, głosząc, iż za rządów Elżbiety Łokietkówny „*działy się w królestwie polskim wielkie kradzieże, łupiestwa i rozboje*”.

W sierpniu 1375 roku „starsza królowa” postanowiła opuścić kraj. Najbardziej obchodząca ją sprawa - sukcesja wnuczki - była załatwiona, na Węgrzech chory syn wymagał opieki. Zresztą Elżbieta była już stara i mocno chyba zmęczona mozolnymi zabiegami o pozyskanie szlachty. W październiku 1376 roku wróciła, trafiając na całą serię nieszczęść, które musiały jej do reszty obrzydzić strony rodzinne.

Tejże jesieni uderzył na Małopolskę Kiejstut. Idący prawym brzegiem Wisły Litwini dotarli aż do Tarnowa, wszędzie pałac, grabiąc, biorąc łup i jeńców. Posuwali się szybko. Kroniki opowiadają o dziedzicu Baranowa, Grzymalicie Januszu Cztanie, który, trzymając na lęku siodła żonę i nie

ochrzczonego jeszcze noworodka, uratował się wpław przez zalewy wiślane i samą rzekę. Ale ci, co go chcieli naśladować już poginęli w wodzie od strzał.

Elżbietę oskarżano o zlekceważenie ostrzeżeń, z którymi Sandomierzanie powitali ją w Bochni.

Królowa miała podobno powiedzieć: „*Długa a potężna u syna mego ręka.*”

Zła krew wyładowała się w Krakowie, 7 grudnia. Polacy i węgiercy pachołkowie pokłócili się przy bramie miejskiej o wóz siana. Wynikła bójka. Nie wiadomo przez kogo wypuszczona strzała przeszła szyję starosty, Jaśka Kmity, który nadjechał konno uspokajając rozruch. Jego śmierć dała sygnał do rzezi Węgrów. Zginęło ich co najmniej osiemdziesięciu, chociaż kronikarze wymieniali podwójną ilość. Bramy Wawelu przyszło zamknąć, aby rozszalały tłum nie wdarł się i tam. Z bawiących w mieście Madziarów uratowali się tylko ci, których damy dworskie zdołały wciągnąć przez okna zamkowe.

W miesiąc później Elżbieta wyjechała na Węgry.

Latem 1377 roku poszła na Litwinów odwetowa wyprawa polsko-węgierska, która zdobyła Chełm i Bełz. Wracając z niej uczynił Ludwik swym zastępcą u nas Władysława Opolczyka, a wkrótce potem przejął wszelkie związki Rusi Czerwonej z Polską, mianując ich zarządcami zwykłych starostów węgierskich.

Tymczasem Wielkopolska dojrzewała do wybuchu. Każko słuński już nie żył, Władysław Biały poniósł klęskę i wyjechał z kraju, ale powołanie na starostę Domarata z Pierzchna bardzo - jak już wiemy - zaogniło stosunki.

Ze śmierci Każka na razie skorzystał Opolczyk, Ludwik odda mu w lenno ziemię dobrzyńską, dzierżoną poprzednio przez zmarłego. Osadził więc Władysława na pograniczu Mazowsza i państwa krzyżackiego.

Prześladujący dynastię los raptownie zniweczył rezultaty układów, które żywo obchodziły całą niemal Europę - od Polski aż po Francję. W 1378 roku zmarła na Węgrzech królowna Katarzyna. Zabiegi polityczne należało na nowo zaczynać. Jesienią powróciła do Krakowa, już po raz ostatni, sędziwa Elżbieta.

W sierpniu 1379 roku odbył się w Koszycach kolejny zjazd. Ludwik pragnął za wszelką cenę skłonić Polaków do uznania za dziedziczkę Marii, zaręczonej z Zygmuntem Luksemburczykiem. Jednakże arcybiskup i Wielkopolanie stanęli okoniem. Opór ich złamano w sposób często praktykowany w sposób często praktykowany w średniowieczu. Król kazał zamknąć bramy miasta i nie wypuszczać oponentów, dopóki nie podpiszą umowy. Osiągnął swój cel, Maria została następczynią tronu, ale też od tej pory opozycja wielkopolska ruszyła na dobre.

Znalazł się nareszcie człowiek, którego dotychczas brakowało - kandydat. Był nim rodowity Piast, syn Ziemowita III mazowieckiego, zwanego Starszym, również Ziemowit.

Oswald Balzer w swej pomnikowej *Genealogii Piastów* wysunął domysł, że to kronika Wincentego Kadłubka wprowadziła w polskim

rodzie panującym modę na starodawne imiona Leszków i Ziemowitów. Ciekawy dowód wpływów literatury pięknej na obyczaje, przejmowanie się lekturą, a może i zamiłowaniem do niej. Dynastia też na pewno dbała o ciągłość tradycji, a kronika podsuwała sposoby.

W chwili, o której mowa, Ziemowit młodszy miał około dwudziestu kilku lat, mógł więc nie tylko służyć za sztandar dla stronnictwa, ale był całkowicie zdolny do samodzielnego działania. Oddanie Opolczykowi ziemi dobrzyńskiej w lenno wolno uważać za akt ostrożności ze strony Ludwika, który pragnął mieć na pograniczu Mazowsza kogoś oddanego sobie, niejako odgrodzić je od Wielkopolski. Domysł tym bardziej prawdopodobny, że mniej więcej w tym samym czasie starostwo kujawskie odjęto człowiekowi niebezpiecznemu dla dworu i jakby na wszelki wypadek przeniesiono go z rubieży wielkopolskiej na śląską.

Mowa o Bartoszu z rodu Borków, zwanym też Bartoszem z Wiszemburga lub z Odolanowa. Był to potomek w linii prostej owego Ślązaka Peregryna, który sto kilkadziesiąt lat wcześniej własnym ciałem zasłonił w Gąsawie Henryka Brodatego i zasłynął jako wzór rycerskiej wierności.

Kto narzeka na rzekomą szarzyznę naszych dziejów, tego postać starosty powinna zachwycić. Słyszając, że spora gromada rycerzy francuskich jedzie do Krzyżaków, Bartosz zasadził się na nich, wziął wszystkich do niewoli i nie prędzej wypuścił, aż mu przysłano bajeczny okup. Król Ludwik zwrócił tę sumę kuzynowi z Francji i nakazał generalną wyprawę polskich starostów na Bartosza, która po kilku dniach zakończyła się ugodą.

Opolczyk zdołał zjednać dla dworu Ziemowita III i jego pierworodnego, Janusza. Sam ożenił się z księżniczką mazowiecką, Ofką. Ziemowit młodszy trwał nieugięty, postępując zresztą w sposób charakterystyczny. Chętnie pożyczał od biskupa Zawiszy sumy, z którymi się tamten nastęrczał, ale polityki nie zmieniał.

11 listopada wyjechała z Polski, tym razem już na zawsze, stara królowa. Na Węgrzech wraz z synem i wszystkimi stanami - miast nie wyłączając - uroczyście zaprzysięgła, że ślub najmłodszej wnuczki, Jadwigi, z Wilhelmem austriackim zostanie dopełniony po dojściu królowej do „lat sprawnych”. Elżbieta zmarła 29 grudnia 1380 roku.

Należało wyznaczyć kogoś do zarządzania Polską. Król Ludwik słabł coraz bardziej, klimat naszego kraju stał się dlań zupełnie nieznośny.

W marcu 1380 roku wezwał Ludwik na Węgry polskich magnatów i powziął wiążące decyzje. Wielkorządcami królestwa mianował Dobiesława z Kurozwęk, Sędziwoja z Szubina, Jana Radlicę i Domarata z Pierchna. Nad nimi wszystkimi, jako ich przełożonego, coś w rodzaju wicekróla, postawił biskupa krakowskiego Zawiszę z Kurozwęk.

Kolegium to niczego właściwie w kraju nie załatwiło, rozpałiło tylko do białości opozycję wielkopolską. Bartosz z Odolanowa od tej pory rozhułał się bez skrępowań.

Zresztą wicekról nie miał już przed sobą czasu na owocną działalność. Latem 1381 roku spotkała go śmiertelna przygoda. Wiemy o niej dzięki staraniom pisarskim księdza Jana z Czarnkowa, który nienawidził biskupa z całej duszy.

Między Staszowem a Wiślicą leży urocza wieś Dobrawoda, do dziś ozdobiona pięknym średniowiecznym kościołkiem. Za czasów Zawiszy żyła w niej słynna z urody młynarzówna. Pewnej ciepłej nocy eksceleńcja przystawił drabinę do stogu, na którym dziewoja spała, i polazł w górę. Nie wiedział, że nocuje tam również młynarz ojciec. Drabina wraz z biskupem znalazła się na ziemi. Zawisza chorował przez kilka miesięcy i w styczniu 1382 roku zmarł.

Rok ów od samego początku miał dziwne szczęście do zgonów osób wybitnych. W marcu opuścił ten padół inny filar polityki andegaweńskiej, biskup poznański Mikołaj z Kórnika. O ile Zawisza był nicponiem wcale nie pozbawionym wdzięku, poniekąd nawet sympatycznym, to o Mikołaju niczego podobnego powiedzieć się nie da. Janko z Czarnkowa zapisał o nim rzeczy budzące gruntowny wstręt.

5 kwietnia umarł człowiek zupełnie innego pokroju niż obaj poprzedni - arcybiskup gnieźnieński Janusz Suchywilk. Sprawa następstwa po nim posiadała ogromne znaczenie, gdyż tylko arcybiskup miał prawo koronować króla.

Nie minęły nawet dwa tygodnie, a kapituła obrała na metropolitę Dobrogosta z Nowego Dworu (pod Warszawą) herbu Nałęcz, który prawdopodobnie piastował poprzednio na Mazowszu godność kanclerza. Ludwik nie przyjął posłów kapituły, przybyłych z oficjalnym doniesieniem o wyborze, i stanowczo zapowiedział, że nie uzna elekta. Wyzyskał też wszystkie po temu możliwości. Dobrogost musiał udać się do papieża po potwierdzenie godności. W Treviso, mieście niedawno odjętym Wenecji i należącym do Leopolda Habsburga, został zatrzymany i uwięziony. Ludwik zwrócił się bowiem do monarchów europejskich z prośbą o schwytanie go, gdyby się gdzie pojawił. Dobrogostowi udało się po pewnym czasie uciec i powrócić do kraju, jednakże na prośbę króla papież mianował arcybiskupem Bodzantę herbu Szeliga.

W Poznaniu poprzednia tradycja poniekąd się utrzymała. Tamejsze biskupstwo otrzymał bratanek Opolczyka, Jan z przydomkiem Kropidło, dobrze znany ogółowi z pierwszych rozdziałów *Krzyżaków* Sienkiewicza.

Zdecydowanie i zaciętość Ludwika wyjaśnia nam kronika Janka z Czarnkowa. Według niego Dobrogost przyrzekł - skoro tylko tron się opróżni - ukoronować Ziemowita młodszego, który po zgonie ojca był już wtedy Ziemowitem IV, księciem plockim, sochaczewskim, rawskim, wiskim itd. Jego starszy brat, Janusz I, oprócz innych grodów odziedziczył Ciechanów, Wyszogród, Zakroczym i Warszawę.

Zaraz po śmierci arcybiskupa Suchywilka Ziemowit IV próbował nawet pochwycić Łowicz. Bartosz z Odolanowa był nie tyle głową, co prawym ramieniem stronnictwa. Wszystko zdaje się bowiem wskazywać, że kierownictwo polityczne należało do samego księcia, któremu nie brakło potrzebnych zdolności.

Tymczasem wezwani przez Ludwika starostowie polscy stanęli w Zwolinie na Węgrzech. 25 lipca - na rozkaz monarchy - złożyli hołd Zygmuntowi Luksemburczykowi, narzeczonemu królowny Marii. Ludwik spieszył się bardzo. Niezwłocznie wyprawił Zygmunta do Polski, nakazując mu rozpoczęcie otwartej wojny z Bartoszem, a przede wszystkim

zdobyć samego Odolanowa. Pragnął jeszcze za własnego życia wprowadzić przyszłego zięcia w rzeczywiste władanie państwem polskim.

Plan podziału spadku po Ludwiku był już wtedy ostatecznie ustalony. Węgry oraz całe południe monarchii przypaść miały Jadwidze oraz Wilhelmowi Habsburgowi. Ta para dzieci wzięła już nawet ślub kościelny w Haimburgu. Jego moc prawna zależała jednak od fizycznego dopełnienia małżeństwa, co ze względu na wiek oblubienicy mogło nastąpić nie wcześniej niż w końcu roku 1385 lub na początku roku następnego. Obyczaj o mocy prawa wymagał bowiem ukończonych lat dwunastu.

Polskę przeznaczył Ludwik Marii i Zygmuntovi, który był margrabią brandenburskim, synem cesarza (a przez matkę, Elżbietę pomorską, prawnukiem Kazimierza Wielkiego).

Taki plan podziału wyglądał bardzo logicznie: Węgry i Austria to jeden zwarty blok krajów, Polska i Brandenburgia - drugi. Teoretyczne uroki podobnego rozwiązania sprawy urzekły nawet niektórych naszych historyków. Ich zdaniem, połączona z Brandenburgią Polska musiałaby się zorientować w kierunku północno-zachodnim, ku morzu, Kołobrzegowi i Szczecinowi. Byłby to zatem faktyczny powrót na drogę wytyczoną przez Kazimierza Wielkiego, który zdecydowanie parł w tamtą stronę.

Jednakże logika formalna nie rządzi historią i dlatego raczej mają chyba ci dziejopisarze, którzy utrzymują, że z chwilą wejścia Zygmunta na Wawel na oścież otwarłyby się w Polsce wrota dla Niemczyzny. Niebezpieczeństwo podboju wewnętrznego, z tak niesłychanym trudem zażegnane przez Łokietka, zmartwychwstałoby zaraz.

Nie bierzmy pod uwagę tego, że Zygmunt - osobistość zresztą odrażająca - w przyszłości został cesarzem i uprawiał politykę Polsce jak najbardziej wrogą. Może byłoby inaczej, gdyby nie utracił widoków na naszą koronę. Nie zastanawiajmy się nad kwestią poczucia narodowego Luksemburgów, których samo nazwisko świadczy, skąd pochodzili. Pozostawmy przy stwierdzonych faktach.

Pierwszy dokument książęcy napisany po niemiecku otrzymał Wrocław w roku 1327. Wtedy też wykluczono język polski z rozpraw sądowych o długi. W tymże samym roku ostatni Piast wrocławski, Henryk VI, złożył hołd Janowi z Luksemburga jako królowi Czech. Czy wolno wszystko to uważać za przypadkową zbieżność? Za czasów syna i następcy Jana, cesarza Karola IV, który sam czuł po czesku, Niemczyzna dalej wypierała łacinę z dokumentów monarszych dla Wrocławia. Germanizacja szła w trop za władzą Luksemburgów.

Bardzo wątpliwe, czy związek z Brandenburgią i panowanie Zygmunta ułatwiłoby polszczyźnie drogę powrotu na północny zachód. To raczej żywioł niemiecki znowu zobaczyłby na wschodzie niczym nie osłonięte zielone światło.

Wkroczywszy do Polski, popierany przez andegaweńskich stronników, zdobył Zygmunt na Bartoszu kilka grodów i obległ Odolanów. Tutaj doszła go wieść o zgonie króla Ludwika, który zmarł w nocy z 10 na 11 września 1382 roku. Luksemburczyk spiesznie zaniechał oblężenia i ułożył się z Bartoszem co do wykupna grodu za pieniądze. Nie chciał stać przykuty do jednego miejsca, kiedy należało obejmować władzę nad królestwem.

Współczesny kronikarz zapisał : „*po długiej chorobie na leprę umarł król Węgier, Ludwik*”.

W pierwszym znaczeniu termin „lepra” odnosił się do trądu. W średniowieczu jednak nazywano tak również syfilis, a zwłaszcza jego następstwa. Powikłania, jakie powoduje ta choroba, przenosząca się również na potomstwo, są wszystkim znane. Jeśli zatem wiadomość podana przez kronikarza jest prawdziwa, a nie ma powodów do wątplenia o tym, tajemnicę nieszczęść trapiących ród Andegawenów węgierskich trzeba uznać za wyjaśnioną.

Wolno domyślać się, że Ludwik był dziedzicznie obciążony. Od roku 1332 powtarzają się wzmianki o przewlekłej, chronicznej chorobie jego ojca, Karola Roberta, który przez kilka ostatnich lat życia nie opuszczał komnat zamkowych. Tablica genealogiczna zdaje się wyraźnie wskazywać, od kiedy wczesne zgony i słabowitość zaczęły prześladować potomstwo Karola Roberta. Po roku 1317 jakby klątwa spadła na ród...

Królowna Jadwiga była obecna przy śmierci rodzica. Ludwik raz jeszcze potwierdził swą wolę oddając jej Węgry, Marii zaś Polskę.

Ponieważ Odolanowa Zygmunt Luksemburczyk ruszył w objazd po Wielkopolsce. Trzykrotnie - w Poznaniu, Gnieźnie i Brześciu Kujawskim - odrzucił prośby szlachty o usunięcie znieawidzonego starosty, Domarata z Pierzchna, Grzymality. Za trzecim razem zagroził nawet karą przywódcom opozycji, po czym wybrał się na zjazd z wielkim mistrzem Krzyżaków, który świeżo objął rządy. Seria zgonów nie ominęła bowiem i państwa zakonnego. W 1382 roku umarł sławny Winrych von Kniprode. Następcą jego został Konrad Zoellner von Rottenstein.

Krzyżacy otrzymali wtedy jednocześnie aż dwie propozycje rozmów. O jednej już wspomniano. Druga przysłał wielki książę Litwy Jagiełło. Mistrz postanowił pojechać na spotkanie z Zygmuntem, a do Litwinów wysłał wielkiego marszałka, który się zwał Konrad Wallenrod.

Bartosz z Odolanowa też nie próżnował. Zaraz po zakończeniu działań wojennych wybrał się na Mazowsze, złożył hołd Ziemowitowi IV jako monarsze i wezwał go do zajęcia tronu polskiego.

Obfity w wydarzenia rok 1382 dobiegał końca, lecz dopiero sam jego schyłek miał przynieść decyzje o znaczeniu wręcz ogromnym. 25 listopada rycerstwo wielkopolskie tłumnie ściągnęło na zjazd do Radomska. po dwudniowych obradach spisano postanowienia na pergaminie, przy którym zawisło dwadzieścia dziewięć barwnych pieczęci woskowych. Staroświeckie, bo przed stuleciem przeszło dokonane, tłumaczenie Karola Szajnochy dobrze trafia w ton łacińskich wywodów dokumentu:

Zgadza się to z rozumem i kanonami świętymi, aby cokolwiek ku pożytkowi państwa dokonane i wyrzeczone zostanie, pisemnym także stwierdzono świadectwem: przeto my [następują imiona dostojników] jako też wszelka reszta szlachty, rycerstwa i cała społeczność Wielkopolski przyrzekamy [...] bronnym i szlachetnym mężom a panom i całej społeczności ziemi krakowskiej, sędomierskiej, sieradzkiej, łeczyckiej pod przysięgą, jawno i szczerze, jako chcemy dotrzymać wierności i posłuszeństwa córce śp. króla Ludwika, tej mianowicie, która nań jako

prawa dziedziczka daną będzie do zamieszkania w królestwie, według dawniejszych układów i postanowień. Od których to praw i ustaw nigdy nie odstąpimy. A gdyby kto śmiał powstać przeciwko takowym, natenczas my wszyscy jednomyślnie i zgodnie przeciwko niemuż powstać obiecujemy i onego jako wiarołomcę i gwałciciela praw naszych chcemy wszystkimi gnębić siłami. A gdyby który z panów lub szlachty jako gorliwy miłośnik i obrońca naszych przywilejów i praw musiał toczyć wojnę z wiarołomcą takowym, wtedy my wszyscy przyrzekamy wzajemnie bronić i wspierać tegoż obrońcę naszych swobód. Wreszcie gdyby ktokolwiek z zagranicy powążył się w czasie bezkrólewia najeżdżać dobra kościelne lub pograniczne ziemie państwa naszego, obowiązujemy się wszyscy według naszych dostatków bronić ziem najechanych.

Znaczenie powziętych w Radomsku postanowień zasługuje na najpilniejszą uwagę, ale przedtem nieco wiadomości o ich doraźnych skutkach politycznych.

Wysłannicy Wielkopolski śpiesznie ruszyli do Wiślicy, gdzie 6 grudnia rozpoczął obrady walny zjazd Małopolan. Ciekawe, że zdążyli tam również przybyć dwaj biskupi węgierscy, delegaci królowej-wdowy Elżbiety Bośniaczki, wcześniej widać uwiadomionej o tym, co zaszło w Radomsku. W razie potrzeby ludzie średniowiecza radzili sobie z przestrzenią i czasem sprawniej, niż zazwyczaj myślimy.

Stanął również w Wiślicy Zygmunt Luksemburczyk, którego kariera w Polsce, nagle rozpoczęta, jeszcze szybciej dobiegła kresu. Małopolanie zgodzili się bowiem z propozycjami Wielkopolan, uznając je za obowiązujące i dla siebie. Uczynili to tym chętniej, że posłowie Elżbiety Bośniaczki wcale nie przeszkadzali. Królowa dziękowała Polakom za wierność wobec jej córek i wzywała ich, by nikomu więcej nie składali żadnych przyrzeczeń. Mierzyło to wyraźnie w Zygmunta, który zaraz po zjeździe wiślickim opuścił Polskę.

W odróżnieniu od Polaków Węgrzy bezceremonialnie obeszlą się z testamentem Ludwika. Natychmiast po jego zgonie, obalając wszelkie dawniejsze postanowienia, uznali za swą władczynię starszą z królewien, Marię, narzeczoną Luksemburczyka (a ta ich zgodna na Niemca miała bardzo poważnie oddziaływać na losy państwa). Radomszczańskie i wiślickie uchwały, zapadłe już po tym fakcie, stwarzały więc zupełnie nową sytuację polityczną. Otwierały drogę do Polski przed młodszą z królewien, Jadwigą, gdyż tylko ona mogła na stałe u nas zamieszkać. A po drugie - zrywały związek Polski z Węgrami, uniemożliwiały bowiem utrzymanie obu koron przez Marię.

Ówczesna szlachta polska dowiodła nie lada mistrzostwa w trudnej sztuce zręcznego interpretowania umów. W Koszycach, jak pamiętamy, Polacy przyrzekli uznać posłusznie za panią tę z królewien, którą Ludwik, jego matka lub żona wyznaczą. Przyrzeczenia, a ściślej - jego litery, święcie dotrzymano, ograniczając się jedynie do uzupełniającego wniosku, którego logice trudno było coś zarzucić. Uznano po prostu, że wyznaczyć na królową Polski równa się wysłać na stałe do Krakowa.

Po dwunastu latach zależności od obcej dynastii, nie depreczając prawa, w

niczym nie naruszając traktatów, Polska odzyskiwała rzeczywistą samodzielność.

Rok 1382, któremu tyle miejsca poświęcają te wywody, był niezwykle ważny nie tylko ze względu na obfitość wydarzeń. Zanim upłynął, dokonało się potwierdzone faktami podsumowanie historycznego dorobku doby piastowskiej. Podsumowanie tym bardziej pełne wymowy, że zaszło po upływie dwunastu lat, w czasie których nie stało się u nas zupełnie nic, co mogłoby wzmocnić więź państwową, podnieść na wyższy poziom obyczaje zarówno prywatne, jak i publiczne. Rządy andegaweńskie w Polsce to brak pewności, ciągle przetargi, zawiści i spory, korupcja, zastój w dziedzinie polityki wewnętrznej i międzynarodowej. Jeśli w Radomsku i Wiślicy wykazano troskę o państwo i umiejętność zabierania się do rzeczy, powinniśmy w tym widzieć spadek po czasach piastowskich, bo Ludwikowe niczego dobrego nie mogły Polaków nauczyć.

Upłynęło zaledwie sześćdziesiąt kilka lat od chwili zjednoczenia królestwa przez Władysława Łokietka. W 1382 roku nie było już dynastii, która do tej jedności dążyła, wcale nie stroniąc od stosowania przemocy. Nie istniał już również system osobistych rządów monarszych w Polsce. Ta metoda - jak słusznie zauważył jeden z historyków niemieckich - bezpowrotnie załamała się za dni Ludwika Węgierskiego. I oto puszczona samopas, pod wielu względami skłócona szlachta szybko i zgodnie uchwala postanowienia, z których jasno wynika jej zdecydowana wola utrzymania jedności królestwa. Wielkopolanie obradują na własną rękę, ślą posłów do pozostałych panów braci, starannie i z osobna wymieniają Krakowian, Sandomierzan, Sieradzan, Łęczycan... Wbrew pozorom właśnie to dowodzi dużej trzeźwości i poczucia realizmu. Bo niechby kto spróbował wtedy zlekceważyć partykularyzmy dzielnicowe! Trwało średniowiecze, ojcowizna nadal znaczyła bardzo wiele. Niwelowanie odrębności, znoszenie święcie w całej Europie strzeżonych swobód terytorialnych wydawało się ludziom ówczesnym najokrutniejsza z tyranii. W roku 1382 szlachta całego kraju opowiedziała się za królestwem zjednoczonym, lecz wcale nie centralistycznym, za państwem bogato wewnątrznie zróżnicowanym, uznającym i autonomię, i samorząd, szanującym przyrodzone właściwości regionów. Bez szerokich rozważań dodajmy krótko, że te same zasady stanowiły europejską normę, przyczyniły się do wykształcenia świetnej kultury naszego kontynentu.

Ludzie, którzy potrafili tak się zachowywać w chwili trudnej, nie dziedziczyli tradycji niewoli. Piastowska szkoła polityczna musiała szanować wolność, skoro nauczyła z niej korzystać.

Nie było więc chyba przesady w twierdzeniu, ogłoszonym w poprzednim tomie dziejów Polski, że w czynach władców z naszej pierwszej dynastii odbijał się ówczesny charakter narodu. Przedstawianie i rozważanie owych czynów jest więc środkiem wiodącym do poznania prawdy o historii.

Epoka piastowska trwała około pięciuset lat, licząc okrągło. Jak się już również wspominało, najistotniejsza treść tych długich dziejów polegała na powolnym tworzeniu państwa i narodu polskiego. Początkowo Gniezno kształciło dla plemion lechickich nowe formy współżycia, rozszerzało się

po kraju, niekiedy nawet narzucało. U schyłku XIV wieku okazało się czarno na białym, że owe wartości - kiedyś przyjmowane wcale nie bez oporu - żyły już w sercach i umysłach ludzkich, a więc stały się niezniszczalne. Taki był najgłębszy sens postanowień spisanych w Radomsku na pergaminie i zatwierdzonych w Wiślicy. Naród polski pragnący mieć własne państwo istniał już jako okrzepły, zupełnie rzeczywisty czynnik historyczny.

Powszechna zgoda na wnioski gwarantujące samodzielność państwową wcale nie oznaczała jednomyślności w innych sprawach. Schyłek roku 1382 zapowiadać mógł w Polsce wiele rzeczy, z wyjątkiem sielanki. W Wielkopolsce zaczynała się wojna domowa Grzymalitów z Nałęczami. Starosta Domarat z Pierzchna, będący przywódcą pierwszych, trwał w wierności dla Zygmunta Luksemburczyka i sięgał po brandenburską pomoc.

Otwarcie przed Jadwigą drogi do tronu polskiego z jednej strony przerywało dynastyczny związek kraju z Węgrami, z drugiej zaś stawiało na porządku dziennym kwestię nadzwyczajnie ważną. Królowa była kilkuletnim dzieckiem i - biorąc rzecz formalnie - meżatką. Polacy mieli zatem przed sobą wyjątkowa wręcz obfitość dróg do wyboru. Mogli zgodzić się na Wilhelma z Habsburga i wpuścić go na Wawel wraz z Jadwigą. Lecz mogli również postarać się o unicestwienie tego teoretycznego dotychczas stadła i poszukać innego kandydata na... księcia-małżonka lub rzeczywistego monarchę.

19 grudnia 1382 roku Bartosz z Odolanowa, wsparty posiłkami Ziemowita IV, wkroczył z Mazowsza do Wielkopolski i o mały włos nie zajął Kalisza. Twierdza padłaby zaskoczona, gdyby nie piekarz zamkowy, który idąc przed świtem do pracy zauważył, że ktoś od zewnątrz cichaczem wypiłowuje dziurę w bramie. Podkraść się więc, palnął siekierą, zagiął ostrze i narobił alarmu.

Rozczarowanie, które spotkało zamachowców, nie miało znaczenia. Faktem o wielkiej wadze było czynne wystąpienie stronników Ziemowita. Zgłaszał się pierwszy męski kandydat na opróżniony tron. Jako rodowity Piast, przedstawiciel odwiecznych tradycji i samej ciągłości dziejów, miał licznych, nawet bardzo licznych zwolenników w Wielkopolsce, gnieździe naszej państwowości. Jego adherenci szli ramię w ramię z Nałęczami przeciwko Grzymalitom. Za to Małopolska zapatrywała się na Ziemowita koso, jeśli nie wrogo.

Nie ma zgody między historykami co do pewnego wydarzenia, które przytrafiło się jesienią 1382 roku. Ziemowit IV zatrzymał wtedy na swoim terytorium i nie puścił dalej kupców litewskich, zdążających do Polski. Nie jest pewne, czy rzeczywiście byli to tylko kupcy. A może pod pozorem podróży handlowej chcieli spełnić misję polityczną?

Tego nie wiemy. Pewne za to, że w listopadzie lub w początkach grudnia tegoż 1382 roku dziedziny mazowieckie bezpiecznie przebył książę litewski Witold, który w niewieścim przebraniu uciekł z więzienia w Krewie i zmierzał do Krzyżaków szukać u nich poparcia przeciwko stryjecznemu bratu. A może miała rację profesor Ewa Maleczyńska, kiedy twierdziła, że Ziemowit IV już wtedy orientował się, kto jest jego głównym

współzawodnikiem do ręki Jadwigi oraz korony polskiej, i pomagając
Witoldowi świadomie szkodził Jagielle?





Wschód

Pierwszy tom tej książki wspominał o Litwie dorywczo, od wypadku do wypadku, ilekroć jej dzieje zetknęły się lub przecięły z losami Polski. Obecnie przyszedł czas na bardziej systematyczne, aczkolwiek mocno skrótowe, zajęcie się Wielkim Księstwem. Opowiadanie dobiegło już bowiem przedednia unii. Zawarli ją dwaj partnerzy państwowi i niepodobna zrozumieć sensu wydarzeń, jeśli się nie uwzględni charakterystyki o b u stron.

Kroniki po raz pierwszy wspomniały o Litwie niemal w pół wieku później niż o Polsce, mianowicie w roku 1009. Germański *Rocznik Kwedlinburski*, który to uczynił, z niewiadomych powodów podał nazw kraju w brzmieniu nie litewskim, łacińskim lub niemieckim, lecz w polskim. Napisał, że św. Bruno z Kwerfurtu zginął „*in confinio Rusciae et Lituae*” - na pograniczu Rusi i Litwy.

Uderzające, niekiedy bardzo oryginalne cechy dziejów Litwy znajdują wyjaśnienie w samej naturze tego kraju. Plemiona bałtyckie mieszkały na ziemi ubogiej, która wcale nie zawsze mogła je wyżywić. Z tej przyczyny wcześniej rozwinęła się tam skłonność do łupieżczej ekspansji, będącej właściwie czymś w rodzaju działalności gospodarczej, a nie politycznej. Chodziło o środki do życia. Skoro brakło ich często w samym kraju, należało je albo zdobyć, albo zakupić za granicą. Mamy też konkretne wiadomości, że Jadźwingowie nabywali zboże we Włodzimierzu Wołyńskim, skąd można je było spławić Bugiem do Narwi, narażając się po drodze na normalne w owych czasach niebezpieczeństwa. Tak na przykład w roku 1279 na nocujących obok Pułtuska przewoźników transportu ziarna napadli jacyś zbóje i zrabowali wszystko, uśmierciwszy ludzi.

Łupieżcze napady Litwinów nękały bezpośrednich sąsiadów, a także i kraje położone dalej. Zagadkowo z pozoru wyglądają uderzenia na te dzielnice Polski, które nie graniczyły z Litwą, odgródzone od niej przez terytoria ruskie. Idące na wyprawę drużyny kunigasów, czyli książąt litewskich, bez trudu przenikały przez owe ziemie, a to na mocy układów z ich władcami, którzy woleli, oczywiście, kupić sobie bezpieczeństwo przypuszczając napastników w dalsze strony.

Polska wcześniej i dotkliwie zapoznała się z litewskimi napadami, które nie omijały osiedli położonych na zachód od Wisły. Twierdza na błoniach pod Łęczycą przetrwała długie stulecia i szczątki jej są dzisiaj dla archeologów prawdziwą kopalnią wiadomości o rozwoju rodzimej sztuki fortyfikacyjnej. Kres przyszedł na nią dopiero w roku 1293 - z ręki Litwinów (a w parę dni, może nazajutrz, po ich najściu spaść musiał ulewny deszcz, który zgasił i rozmył pogorzeliśko, o czym świadczą smugi czarnych zacieków widoczne w archeologicznych wykopach).

Różne łupy można było zdobyć w ówczesnej Polsce, ale Litwini porywali od nas przede wszystkim ludzi. Brani do niewoli całymi rodzinami i osiedlani później na roli nad Niemnem, Wilią czy Niewiażą mogli oni przyczynić się do względnego podniesienia dobrobytu kraju, a raczej do zmniejszenia ustawicznego niedostatku. Kronikarze wymieniali tak wielkie liczby brańców, że nie sposób ufać ich relacjom. W każdym razie księżniczka Aldona, wydana za Kazimierza Wielkiego, otrzymała jako wiano dwadzieścia cztery tysiące uwolnionych jeńców. W przededniu unii mogło stale przebywać w tym państwie ze trzydzieści do czterdziestu tysięcy Polaków, a więc procent bardzo znaczny, jeśli się zważy, że Litwa rdzenna liczyła ogółem jakieś dwieście tysięcy ludzi. Pozostałe osiemset tysięcy poddanych Wilna w wieku XIV to byli Rusini.

Księstwa ruskie od dawna przyciągały Litwinów nagromadzonym przez kupców bogactwem. Toteż już w drugiej połowie XII stulecia Wielki Nowogród ubezpieczał się strategicznie, osadzając w Wielkich Łukach specjalnego księcia, jako „*ot Litwy opleczje*”. W następnym stuleciu Psków zrobił rzecz jeszcze bardziej znamiennej - dał pomoc niemieckim Kawalerom Mieczowym, którzy w roku 1236 stoczyli i przegrali z Litwinami bitwę pod Szawłami.

Wcześniej zacząwszy niepokoić strony tak odległe, jak Wielki Nowogród, Psków i Smoleńsk, położoną tuż blisko swych granic Ruś Czerwoną - Grodno i Nowogródek - zdobyła Litwa znacznie później, bo dopiero około roku 1240. Okoliczność charakterystyczna, bo niezbitnie świadcząca, że początkową ekspansją litewską na Ruś nie kierowała żadna myśl polityczna.

Podboje na Rusi wywarły decydujący wpływ na bieg spraw w Litwie właściwej. Zdobywcy przyjmowali bezsprzecznie przeważającą kulturę krain, którymi zawładnęli, zapoznawali się też z istniejącymi tam od dawna urządzeniami politycznymi. Poszczególne grody ruskie same wzywały rozmaitych kunigasów na książąt (trzeba w tym miejscu przypomnieć - za profesorem Feliksem Konecznym - że w niektórych przynajmniej miastach ruskich, będących właściwie republikami kupieckimi, książę spełniał rolę czegoś pośredniego pomiędzy komendantem policji a dowódcą załogi; grodzianie zawierali z nim kontrakt na warunkach ściśle określonych. Pod tym względem najbardziej typowy był Wielki Nowogród, który wynajmował sobie książąt i dokładnie oznaczał, gdzie wolno im polować, paść konie i łowić ryby).

Organizację polityczną nadali Litwie wodzowie drużyn zaprawieni w wyprawach na Ruś. Jednym z nich był Mendog (Mindaugas), z którym historia po raz pierwszy zapoznała się w roku 1219, kiedy wspólnie z dziewiętnastu kunigasami zawierał układ z Rusią Halicką. Władze opanował on po roku 1230 i właściwie dopiero od jego czasów można mówić o państwie litewskim. W pierwszym tomie była już mowa o Mendogu, teraz wystarczy więc wymienić główne daty i fakty jego panowania. Przyłączył Ruś Czarną, w roku 1251 przyjął chrzest za pośrednictwem Krzyżaków, w dwa lata później otrzymał od papieża Innocentego IV koronę królewską, w roku 1261 zerwał z katolicyzmem, zginął zamordowany w roku 1263.

Dopóki był chrześcijaninem, miał Mendog spokój od strony Krzyżaków, którym czynił ustępstwa tym cenniejsze, że dotyczące Żmudzi. Zakon, jak wiemy, zmierzał przede wszystkim do zdobycia ziem bezpośrednio przylegających do Bałtyku. Ciekawe i bardzo pouczające są obliczenia historyka, który ustalił, że z czterdziestu dwóch wypraw wojennych, jakie Litwini przedsięwzięli od roku 1200 do 1236, dwadzieścia trzy poszły przeciwko ziemiom zakonu niemieckiego, piętnaście na Ruś i cztery na Polskę. W następnym okresie podział celów uderzeń uległ zmianie radykalnej. Od roku 1237 do 1263 Litwini trzydzieści trzy razy wyprawiali się za granicę. Sama liczba wypadów świadczy o nasileniu ekspansji, ale nie to jest najważniejsze. We wspomnianym czasie zakon niemiecki otrzymał pięć uderzeń, Ruś równo dwadzieścia, a Polska osiem. Przytoczywszy te dane uczoney pisze, iż „*Mendog zwłaszcza w pierwszych latach po przyjęciu chrztu stosunkowo słabą inicjatywę zwracał na północ i północo-wschód, budując swą potęgę wielkksiążęcą głównie na zdobyczach terytorialnych ruskich i łupach z Polski*”.

Wzmianka o północy i północo-wschodzie stanowczo wymaga wyjaśnienia - Prusy leżą jednak na zachód od Litwy. Nieporozumienie, a raczej zdziwienie wynika z tego, że my - Polacy - przywykliśmy pamiętać tylko o właściwych Krzyżakach, widzieć w nich - najzupełniej niesłusznie! - pierwszych pionierów niemieczyny nad wschodnim Bałtykiem i doprawdy przesadnie złożyć pamięci Konrada Mazowieckiego. Tymczasem germański zakon Kawalerów Mieczowych powstał w Inflantach, czyli w dzisiejszej Łotwie i Estonii, na ćwierć wieku **przed** pojawieniem się „naszych” Krzyżaków. Biskup ryski Albert założył go w roku 1202. Obie organizacje połączyły się w roku 1237, lecz Kawalerowie zachowali w Inflantach swoją własną strukturę i z nimi to walczyli Litwini, wyprawiając się na północ i na północo-wschód. Wojny z „panami pruskimi” zaczęły się dla Litwy dopiero w roku 1283. Zwrot Mendoga w kierunku Rusi z punktu widzenia Krzyżaków był zjawiskiem pożytecznym, ułatwiał okrzepnięcie ich państwa na zachód od Niemna.

Mendog zaczął używać tytułu „króla Litwinów i wielkiej części Rusinów”, jemu też przypadło zbierać najwcześniejsze owoce najazdu Tatarów, który katastrofalnie osłabił Ruś. Legat papieski G. Pian del Carpine, który razem z Benedyktem Polakiem jechał do chana, znajdował się w osobistym niebezpieczeństwie, wędrując bowiem z Polski na Kijów musiał przemierzać kraje już wtedy zbrojnie nawiedzane przez Litwinów.

Ulegamy niekiedy pokusie lekceważenia jednorazowych wydarzeń historycznych, skłonni bywamy cenić tylko długotrwałe procesy. Dlatego dość trudno nam ocenić, jak wielkiej wagi faktem był najazd tatarski, który w przeciągu kilku lat zburzył cały skomplikowany i bogato rozwinięty system staroruski. Na wschód od Polski i Litwy wytworzyła się istna mgławica, z której z biegiem długiego czasu, w miarę stopniowego słabnięcia przewagi tatarskiej, miał się narodzić całkiem nowy, odmienny od dawnego porządek.

Tym, kto doraźnie skorzystał, była Litwa.

Mendog zginął zamordowany w roku 1263. Spiskowcy wyzyskali sposobność - drużyny władcy przebywały wtedy daleko, na zwycięskiej

wyprawie aż za Dnieprem.

Po zgładzeniu zabójców Mendoga sytuację na Litwie opanował jego syn, Wojsiełk, dawniej władający Nowogródkiem, a w danej chwili przebywający w prawosławnym klasztorze nad Niemnem jako zakonnik. Panujące na Rusi chrześcijaństwo znajdowało coraz liczniejszych zwolenników wśród litewskich zdobywców, zwłaszcza wśród książąt.

Wojsiełk rządził na Litwie niezwykle srogo, lecz krótko. Zrzucając habit złożył bowiem ślub, że czyni to tylko na trzy lata. Władzę przekazał rodowitemu Rusinowi z Halicza imieniem Szwarno. Był to syn wspomnianego w pierwszym tomie Daniela Romanowicza.

Jeszcze przed kilkunastu laty Mendog próbował opierać się na Krzyżakach, myślał nawet podobno o przyłączeniu swego państwa do ziem Zakonu. Teraz syn jego oddaje tron prawosławnemu Rusinowi. Przeskoki doprawdy niezwykle.

Wspomniane fakty ilustrują oraz popierają twierdzenie, że Polska i Litwa - państwa mające połączyć swój byt historyczny - dopóki żyły odrębnie, stosowały metody wręcz przeciwstawne. W samej najistotniejszej treści ich dziejów widnieją jaskrawe różnice. Pięćset lat Polski piastowskiej poszło na mozolne jednoczenie plemion lechickich. Żadnej sielanki nie było, Krzywousty walczył o Pomorze Zachodnie w sposób niezwykle srogi - ale na próby ekspansji zewnętrznej zużyto stosunkowo mało czasu i sił. W rezultacie państwo miało z sąsiadami ciężkie warunki do wyrównania, lecz za to posiadało podstawę do działania - jak na średniowiecze bardzo dobrze zwartą. Odskokcznia sięgająca od Karpat po Wałcz to wcale nie było mało. Na Litwie olbrzymiemu, rzadko w historii spotykanemu rozmachowi zdobywczemu towarzyszył niemal zupełny brak stabilizacji stosunków wewnętrznych. Nic właściwie nie było załatwione w sensie zabezpieczenia państwa od wstrząsów. Kapitalna w każdym ustroju politycznym, a zwłaszcza już w monarchii, kwestia przekazywania władzy zdana była w gruncie rzeczy na łaskę losu.

Mendog, jak się już wspomniało, porzucił chrześcijaństwo. Nie utwierdziły nowej wiary rządy Wojsiełka ani Szwarna. Katolicyzm obrzydzały Litwinom zakony niemieckie, prawosławie było wiara zdobywanej Rusi. Rządy Trojdena (1270-1282) oznaczały zupełny triumf pogaństwa. Za to imię tego władcy przeniosło się na chrześcijańskie Mazowsze. W 1279 roku Bolesław II z Płocka polubił córkę Litwina Gaudemundę - ochrzczona jako Zofia - i nazwał drugiego z synów Trojdenem. Szczegół wart wzmianki, gdyż w świetle późniejszych wypadków wygląda on jakby na precedens. Spowinowacenie się Bolesława II z dokuczliwym sąsiadem było przejawem polityki zabezpieczenia Mazowsza od wschodu. Dynastyczne małżeństwo stanowiło środek wiodący do tego celu.

Trojden wojował nieustannie. Za jego czasów wyprawy litewskie sięgały pod Łęczycę i aż w Kaliskie. Wtedy też na dobre rozwinął się system zasiedlania Litwy brańcami z Rusi i Polski. W 1282 roku Leszek Czarny odniósł poważne zwycięstwo na wschodzie i na pewien czas zabezpieczył kraj.

Sam schyłek XIII wieku widział na Litwie świt nowej dynastii.

Założycielem jej był Pukuwer, zwany te niekiedy Lutuwerem. Synowie jego - Witenes, a zwłaszcza Giedymin - wprowadzili państwo na szlak wielkiej, oszałamiającej ekspansji. Niektórzy historycy utożsamiają Pukuwera z jakimś Butigirdem - Butegejde. W ruskich i krzyżackich kronikach utrzymała się tradycja głosząca, że ów Butegejde był na dworze Trojdena „majordomem”, a więc wychowawcą „piastunem” synów książęcych, i w sposobnej chwili zagarnął władzę dla siebie. Droga awansu dziwnie podobna do tej, którą na pewno przebyli frankońscy Karolingowie, a przypuszczalnie i nasi Piastowie. Taki wychowawca we wczesnym średniowieczu grał rolę polityczną.

Założyciel Wilna i twórca potęgi litewskiej, wielki książę Giedymin (rządził od roku 1316 do 1341), umierając podzielił państwo pomiędzy synów, których miał siedmiu. Może to przypominać testament Krzywoustego, ale tylko z pozoru. Różnica główna i niezaprzeczalna polega na tym, że Krzywousty żył dwieście lat wcześniej. A poza tym: polski książę usiłował zabezpieczyć testament autorytetem samego papieża, rozporządzał ziemiami wyłącznie polskimi i katolickimi, to znaczy mającymi silny zwornik w postaci jednego dla wszystkich arcybiskupstwa. Na Litwie - w dwa wieki później - Giedyminowicze przeznaczeni do ról głównych, Jawnuta, Olgierd i Kiejstut, pozostali przy pogaństwie, reszta przyjęła prawosławie. Tylko Jawnuta władał ziemiami czysto litewskimi, Olgierd i Kiejstut litewskimi oraz ruskimi, inni panowali nad szczerą Rusią.

Jeszcze jedna charakterystyczna i niezmiernie ważna cecha Giedyminowego podziału: każdy ze spadkobierców miał innego wroga zewnętrznego. Dla Jawnuty byli to Kawalerowie Mieczowi, dla Kiejstuta Krzyżacy i Mazowszanie. Olgierd patrzył na Ruś północną i wschodnią, Koriat na południowo-wschodnią, Narymunt na Tatarów i Lubart na Polskę (pierworodnego Moniwida, który zmarł podobno w rok po ojcu, można pominąć). Taki stan rzeczy oznaczał niepokój na wszystkich frontach, jakie tylko mogły istnieć, okrążenie przez wieniec wrogów.

Zwierzchnikiem całego państwa wyznaczył Giedymin nie najstarszego, lecz najmłodszego ze swych synów, Jawnutę, któremu przekazał samo Wilno. W 1344 roku, zimą, Kiejstut zaskoczył go w nocy, pochwycił i osadził w więzieniu. Po kilku miesiącach Jawnuta uciekł z zamknięcia i przez Smoleńsk pospieszył do Moskwy, gdzie przyjął chrzest prawosławny oraz imię Iwana.

Raczej wątpliwe, czy współcześni zwrócili pilniejszą uwagę na ten wypadek. Dla nas, którzy patrzymy z perspektywy sześciuset lat, urasta on do miary prawie symbolu, a już co najmniej doniosłej zapowiedzi. Zwłaszcza jeśli cofniemy nieco tok opowiadania i wspomnimy o tym, co się wydarzyło trochę wcześniej, jeszcze za życia Giedymina.

W 1335 roku wojska wielkiego księcia Moskwy, Iwana z przydomkiem Kalita, uderzyły na pograniczne gródki litewskie Osieczeń i Riasnę, zdobyły je i spaliły. Wspomniane fortalicje znajdowały się nad g ó r n ą W o ł g ą w okolicach dzisiejszego Rżewa. Aż tak daleko sięgało bowiem władztwo Giedymina, „króla Litwinów i wielkiej części Rusinów”.

Tytuł ten miał znaczenie pod względem politycznym mocno śliskie. Stwierdzał oczywiście szerokość litewskich zamysłów, ale też zupełnie

wyraźnie przyznawał, że inna część Rusinów władzy Wilna nie podlega. A więc przyszłość stała pod wielkim znakiem zapytania, gdyż owa „zewnątrzna” Ruś mogła wystąpić do konkurencyjnej rozgrywki, dążąc do usunięcia litewskiej przewagi z ziem zamieszkałych przez ludy pokrewne mową i wiarą prawosławną. Rok 1335 - uderzenie Iwana Kality na Osieczę i Riasnę - to nic innego, jak tylko początek tej rozgrywki, czyli proces „zbierania ziemi ruskiej” przez Moskwę. W dziesięć lat później Jawnuta uszedł z Wilna na Kreml. W niedalekiej przyszłości miał znaleźć dość licznych naśladowców, również pochodzących z rodu Giedymina.

Wspomniany już w poprzednim tomie Iwan Kalita był właściwym twórcą samych podstaw potęgi Moskwy, dla której zrobił bardzo wiele, ale nie uzyskał suwerenności państwowej. Było to w tym czasie - i jeszcze przez półtora wieku - zupełnie niemożliwe. Hegemonia Tatarów trwała nadal.

Kalita działał w warunkach okropnych, takich, o których historia Polski czy innych krajów na Zachodzie w ogóle nie daje pojęcia. Nigdy nie był pewien bezpieczeństwa własnej głowy, musiał znosić upokorzenia, lawirować, prowadzić grę ostrożną i zarazem niemiłosierną. Zdołał jednak osłabić bezpośredni wpływ chana na swe państwo. Osiągnął, że tradycyjny tytuł wielkiego księcia włodzimierskiego, którego przyznanie zależało od Tatarów, stał się faktycznie dziedziczny w rodzie władców Moskwy. Dążył do skupienia jak największej ilości ziem, bogactw oraz władzy i cel swój urzeczywistnił. Dla późniejszej polityki moskiewskiej stworzył rzecz najważniejszą - silny punkt oparcia, odskocznię o możliwie ustabilizowanych stosunkach wewnętrznych.

Po obaleniu Jawnuty główną rolę na Litwie zaczął grać największy w jej dziejach talent polityczny i najwybitniejsza indywidualność - Olgierd. Jego bracia zachowali swe dziedziny, Kiejstut dominował w zachodniej połaci państwa. Znaczenie tych obu ludzi było tak przeważające, że Ludwik Kolankowski określił ich czasy jako „diarchie” - rządy dwóch osób.

Olgierd zostawił po sobie pewne sformułowania programowe, pozwalające zorientować się w mnogości wypadków. Tak więc orzekł, iż „cała Ruś winna po prostu do Litwinów należeć”. Plan taki zmierzał zapewne do usunięcia nielogiczności zawartej w pochodzącym od Mendoga tytule „króla Litwinów i wielkiej części Rusinów”. Kto go chciał jednak zrealizować, ten musiał śmiertelnie zmierzyć się z Moskwą, pokonać ją i nie pobić, lecz podbić. Między Kremlem a Wilnem zawiązała się więc walka o rzeczy ostateczne, o „być albo nie być”. Droga do wycofania się nie istniała. Imperium litewskie mogło w całości przetrwać lub w całości runąć. Fakty dokonane przez rozmach zdobywcy odrobić się już nie dawały.

Drugie ze sformułowań Olgierda, w sposób zupełnie logiczny wiążące się z poprzednim, trzeba doskonale zapamiętać, a to ze względu na późniejszą historię. „Litwa - pisał Olgierd do patriarchy carogrodzkiego - ma dwóch głównych wrogów, zakon krzyżacki i Moskwę.” To twierdzenie, wygłoszone przez idealnie poinformowanego człowieka, dowodzi okoliczności szczególnie

groźnej. Wiadomo z historii starszej, nowszej i najnowszej, co w polityce i wojnie znaczą dwa fronty. A skoro są to fronty główne, to oczywiście należy liczyć się ponadto z podrzędnymi.

Przytoczoną opinię sformułował Olgierd zaledwie na kilkanaście lat przed unią, niechcący malując najważniejszy z ciężarów, który Polska wzięła na barki, wiążąc się z Litwą.

Za Olgierda w skład Wielkiego Księstwa Litewskiego ostatecznie wszedł Kijów, przyłączony w roku 1361, w rok później Tatarzy ponieśli ciężką klęskę nad Sinymi Wodami (przed Mendogiem Litwa liczyła około sześćdziesięciu tysięcy kilometrów kwadratowych - w przeciągu stu kilkudziesięciu lat obszar jej urósł więcej niż dziesięć razy).

Jak już wiemy, Olgierd dwukrotnie stał pod samą Moskwą, której jednak nie zdobył. Zwraca uwagę, że obie wyprawy odbyły się w bardzo późnej porze roku - w listopadzie i w grudniu. W ten sposób odbijało się na polityce litewskiej istnienie innych frontów. Raz Krzyżacy uniemożliwiali skupienie sił, uderzając od północy i zachodu, to znów Litwini szli na Mazowsze albo jeszcze dalej. Pamiętamy, że zaraz po śmierci Kazimierza Wielkiego, czyli w listopadzie 1370 roku, Kiejstut zaatakował Włodzimierz Wołyński i zdobył go. Iść na Moskwę można więc było nie wcześniej niż w grudniu, i tak się właśnie stało. Nie istniały i w ogóle zbyt rzadko były jakiegokolwiek porozumienia między Moskwą, Polską a Krzyżakami. Decydowało istnienie wielu frontów, które siłą faktu działały solidarnie. Dodajmy jednak, że tylko front niemiecki powstał wbrew woli Litwinów, pozostałe stworzyli oni sami.

Wobec chwilowego spokoju od strony Zakonu, w czerwcu 1372 roku Olgierd wyruszył na Kreml po raz trzeci. Teraz jednak Dymitr moskiewski wyszedł mu naprzeciw, zastąpił drogę pod Lubuckiem i rozproszył nawet pułk straży przedniej. Do generalnego spotkania nie doszło, po zawarciu rozejmu obie armie zawróciły. Pomimo że widownia wydarzeń były ziemie położone w pobliżu Moskwy, chwila ta oznacza osiągnięcie stanu chwiejnej równowagi. Czas miał pokazać, na czyją stronę szala się przechyli.

Olgierd więcej już na Moskwę nie chodził, ponieważ wszystkie następne lata aż do jego śmierci (w maju 1377 roku) upływały na zacieklej walkach z Zakonem, wdzierającym się w ziemie litewskie głębiej niż kiedykolwiek przedtem. Chwila zgonu wielkiego księcia była wyjątkowo mroczna, bo Krzyżacy dotarli wtedy do samego Wilna, które częściowo spalili.

U schyłku życia odniósł jednak Olgierd znaczny sukces w polityce wschodniej. W grudniu 1375 roku za zgodą patriarchy carogrodzkiego została odnowiona metropolia prawosławna w Kijowie. Mieszkający w państwie litewskim wyznawcy Cerkwi zyskiwali w osobie metropolity Kipriana własnego zwierzchnika, niezależnego od Moskwy, a nawet konkurencyjnego w stosunku do niej. Sukces ten obiecywał wiele na przyszłość, mógł się przyczynić do wewnętrznego wzmocnienia Wielkiego Księstwa.

Metropolita Kiprian był Bułgarem z miasta Tyrnowa, gdzie się wtedy mieściła nie tylko stolica carstwa, lecz również poważny ośrodek kulturalny. Na godność cerkiewną w Kijowie nie mógł patriarcha

wyznaczyć, a Olgierd przyjąć, byle kogo. Awans Kipriana to dobitny dowód, jaką rolę odgrywała Bułgaria w świecie ówczesnym - niemal w przededniu najazdu tureckiego i utraty niepodległości na lat pięćset.

Metropolia kijowska była niewątpliwie sukcesem, wróżyła stabilizację. Wręcz przeciwnie rzecz się miała ze sprawami dynastycznymi.

Olgierd zostawił dwunastu synów. Trzeba ich tu wymienić, pomijając za to dziewięć córek, o których będzie mowa dorywczo, o ile odegrały rolę w dziejach (o jednej z nich, Kennie-Joannie, już się zresztą wspomniało w poprzednim tomie jako o żonie Każka słupskiego). Z pierwszej żony, księżniczki witebskiej Marii, miał Olgierd Andrzeja Garbatego, Dymitra, Konstantego, Włodzimierza i Teodora. Ci wszyscy byli prawosławni i władali ziemiami ruskimi. Druga żona, Julianna twerska, wydała na świat trwających w pogaństwie: Jagiełłę, Skirgiełłę, Korybuta, Lingwena, Korygiełłę, Wigunta i Świdrygiełłę.

Kiejstut, który przeżył brata, też nie mógł się uzalać na brak potomstwa, zwłaszcza męskiego. Przemilczymy jego cztery córki, a z siedmiu synów nazwiemy tylko Witolda oraz Zygmunta. Matką ich była sławna Biruta, podobno kapłanka pogańska.

Dziedzicem Olgierda został nie pierworodny Andrzej, lecz Jagiełło, którego - według kronikarskiego świadectwa - ojciec najbardziej kochał. Panujący na Litwie już od lat kilkudziesięciu system „diarchii” został utrzymany. Na razie Kiejstut był nadal drugą osobą, w przyszłości miał go zastąpić Witold.

Załatwienie sprawy następstwa po Olgierdzie nie wynikało więc z żadnej zasady prawnej, nosiło charakter czysto doraźny. Porządek w państwie miał się opierać na dobrych stosunkach osobistych dwóch lub trzech ludzi. Takie podstawy z reguły bywają kruche. Jest samo przez się zrozumiałe, że Krzyżacy pragnęli uczynić wszystko, co tylko leżało w ich mocy, by rozbić system współrządów, poróżnić Jagiełłę z Kiejstutem i Witoldem. Z drugiej zaś strony - prawosławni, zruszczeni, niechętni przyrodniemu bratu, a starsi wiekiem Olgierdowicze władali całą wschodnią połacią Wielkiego Księstwa.

Wkrótce po śmierci ojca Andrzej Garbaty opuścił Połock, udał się do Pskowa, a potem do Moskwy, której władca przyjął go dobrze. W zimie 1379-1380 roku Moskwa wystąpiła zaczepnie, zmieniając na swa korzyść stan chwiejnej równowagi, trwający od czasu nie rozstrzygniętego spotkania pod Lubuckiem. Wojska jej, którym towarzyszył Andrzej Garbaty, uderzyły na należącą do Litwy Siewierszczyznę i zajęły grody Trubczesk i Starodub. Rządzący tam drugi Olgierdowicz, Dymitr, nie stawia oporu. Powitał wkraczające drużyny, po czym pojechał wraz z rodziną do Moskwy i został przez nią mianowany rządcą Perejasławia. Włodzimierz Olgierdowicz, do którego należał Kijów, pochwalał postępowanie starszych braci i solidaryzował się z nimi.

Tak więc zaledwie w dwa lata po śmierci Olgierda wschodnia połać państwa litewskiego zaczęła się po prostu rozpadać. Dymitr moskiewski szedł od sukcesu do sukcesu. Przeciwdziałać można było tylko pod jednym warunkiem - należało porozumieć się z Krzyżakami i kupić sobie od nich chwilowy spokój.

W maju 1380 roku, pod pozorem wspólnych łowów, Jagiełło spotkał się w Dawidyszkach z przedstawicielami Zakonu, wielkim szpitalnikiem oraz wójtem z Tczewa. Maskując układy przed obecnym również Witoldem, zawarto traktat o „wieczystej przyjaźni”, odnoszący się tylko do ziem samego Jagiełły. Znaczyło to, że Zakon ma wolną rękę w stosunku do Kiejstuta, może go swobodnie atakować. Zastrzeżono, że Jagielle wolno pozorować pomoc dla stryja, a Malbork nie poczyta mu tego za złe.

W ten sposób Krzyżacy wbili klin w litewski system współrzędów. Jagiełło za straszliwą cenę kupił od nich spokój i mógł się zwrócić na wschód, przeciwko Moskwie. Zgodnie z inną umową miał się stawić, naturalnie na czele wojska, w dniu 1 września nad rzeką Oką.

Jego wschodnim kontrahentem i sojusznikiem był Tatar, niejaki Mamaj, który skupił większość sił ordy i zamierzył generalną rozprawę z Dymitrem moskiewskim. Kronika ruska z charakterystyczną dobitnością pisze o tym: „*I uczyni siebie staryj złodziej Mamaj sowiet nieczestiwij z poganoju Litwoju i z duszegubnym Olegom.*” Ów Oleg był to ruski książę Riazania, który pod przymusem szedł z Tatarami, bo ziemie jego graniczyły z ordą bezpośrednio, ale nie zaniedbał wysłać na Kreml wiadomości o zamiarach i ruchach jego przeciwnika. Dymitra moskiewskiego wspomagali za to pewni Litwini, a mianowicie znani nam już najstarsi Olgierdowicze, Andrzej Garbaty i Dymitr. Przybył również trzeci Dymitr, Koriatowicz, wnuk Giedymina, a więc też Litwin. I on właśnie rozstrzygnął o zwycięstwie, stał się właściwym wodzem, pogromcą Tatarów.

Kronikarze wymieniali zawrotne ilości wojska po obu stronach. Bez wątpienia zebrały one wszystkie siły, lecz na pewno Mamaj nie miał siedmuset tysięcy ani Moskwa dwustu. Do spotkania doszło 8 września 1380 roku na Kulikowym Polu nad Donem. Przyniosło one Moskwie olbrzymi triumf, a władcy jej, wielkiemu księciu Dymitrowi, przydomek Dońskiego, pod którym przeszedł do historii.

Jagiełło nie wsparł sprzymierzeńca, a udział jego mógłby wiele zaważyć, bo dopiero końcowa faza starcia, uderzenie ukrytych rezerw moskiewskich przyniosła rozstrzygnięcie. Stał z armia w niewielkiej odległości, po bitwie zaatakował nawet podobno jakieś oddziały Dońskiego, rozproszył je, pozbawił łupów, po czym zawrócił na zachód. Taki sposób postępowania zastanawia.

Należy chyba odrzucić podejrzenia o przypadkowe spóźnienie. Zbyt wielką cenę zapłacił Jagiełło Krzyżakom, by nie liczyć się z każdym krokiem. O wiele podobniejsze do prawdy, że rozmyślnie czeka, aż się obie strony wykrwawią, co uczyni go panem położenia. Do takich zamysłów mogła go też skłaniać okoliczność, na którą kilkadziesiąt lat temu zwrócił uwagę Stanisław Smolka: ruskie pułki Jagiełły niezbyt zapewne pragnęły walczyć przeciwko Moskwie po stronie Tatarów. Uderzenie na opuszczające plac boju oddziały Dońskiego mogło być próbą jego sił, a raczej stopnia ich wyczerpania. Widocznie próba nie wypadła pomyślnie, skoro Jagiełło odszedł w swoje strony. Pościgu za nim nie było.

Poczynione Krzyżakom ustępstwa okazały się daremne. Nie udało się do spółki z Tatarami pokonać Moskwy, której autorytet wzrósł teraz ogromnie. Jej zwycięstwo na Kulikowym Polu - pisał Ludwik

było nie tylko poważnym naruszeniem wewnętrznej pozycji Jagiełłowej, lecz mogło także stać się wprost katastrofą dla powagi państwa litewskiego na Rusi. Wszakżeż to ruski, prawosławny książę złamał, rozgromiając za jednym zamachem wszystkie ordy, potęgę dotychczasowego politycznego zwierzchnika całej Rusi, usuwając w cień wszystkie na tym polu wysiłki władców litewskich.

Metropolita Kiprian, który po tylu zabiegach Olgierda zasiadł nareszcie w Kijowie, przeniósł się do Moskwy, dokąd przybył dnia 3 maja 1381 roku, witany przez Dońskiego z otwartymi ramionami, przy biciu we wszystkie dzwony. Zdaniem Stanisława Smolki - Kiprian „*opuszczył okręt tonący, jakim było państwo litewskie po bitwie na Kulikowskich Polach*”.

Niemilej przygody doznał wkrótce potem archimandryta perejaślawski Pimen, członek poselstwa wysłanego dwa dni wcześniej do Konstantynopola w nadzwyczajnie ważnej misji. Po wielu trudach i przygodach, obficie sypiąc złotem, a raczej weksłami zawczasu in blanco podpisanymi przez władcę Moskwy, legacja osiągnęła cel. Pimen wracał, wioząc akt nominacji na metropolitę Kijowa i całej Rusi. W Kołomnie spotkał go „prystaw” specjalnie delegowany przez Dońskiego. Zdarł Pimenowi z głowy białą mitrę, oznakę godności, i natychmiast go uwięził. Dobrowolne przybycie Kipriana na Kreml było sukcesem tak wielkim, iż Doński bez ceremonii niweczył rezultaty własnych, bardzo mozolnych i kosztownych zabiegów. Skreślał z rejestru to, co jeszcze rok wcześniej uważałby za szczęście.

Krzyżacy ani myśleli współczuć Jagielle i wyrzekać się korzyści, do których zmierzali zawierając z nim pakt w Dawidyszkach. Latem 1381 roku komtur Ostródy, Kuno von Liebenstein, na pewno z rozkazu wielkiego mistrza i kapituły, zdradził Kiejstutowi treść tajnych umów. Litewski system „diarchii” miał już odtąd przed sobą krótki żywot.

Jesienią Kiejstut powiódł wojsko na zachód. Przebył Niemen, otarł się o granicę pruską, po czym raptownie zawrócił, przekroczył rzekę w odwrotnym kierunku i ruszył prosto na Wilno, które zajął około 1 listopada. Dostał w swe ręce Jagiełłę wraz z jego matką i braćmi oraz pergaminy układów z Krzyżakami. Na wieść o udanym zamachu Witold przygalał z Grodna w przeciągu jednego dnia. Pędził rozstawnymi końmi, którym - dla chyżości - smarowano pęciny szpikiem z nóg jelenich.

Stary, aż do zgonu rycerski Kiejstut okazał wspaniałomyślność bratankowi, za którym gorąco ujmował się Witold. Pozbawił go władzy wielkoksiążęcej, lecz nadał mu Witebsk i Krewo. Jagiełło miał się tam znajdować niejako pod strażą Połocka, dokąd powrócił Andrzej Garbaty.

Kiejstut od razu wdrożył politykę odwrotną od Jagiełłowej - porozumiał się, w sensie pokojowym, z Moskwą, wytyczył granice. Chciał mieć wolne ręce na zachodzie.

Rok 1382, który tyle znaczył w dziejach Polski, był i dla Litwy przełomowy. Kiejstut rozpoczął go szczęśliwie, z powodzeniem uderzając

na Krzyżaków. Odparł ich odwetową wyprawę i ze zdumiewającą u tak wiekowego człowieka energią znowu poszedł zbrojnie na Prusy. Wkrótce jednak musiał zwrócić się na wschód przeciwko bratu Jagiełły Korybutowi, który rządził Nowogrodem Siewierskim i zbuntował się.

Tymczasem Jagiełło zyskał pożytecznych sprzymierzeńców w niemieckich mieszczanach Wilna, którym przywoził kupiec z Rygi Hanul. Zamachu stanu dokonano w sposób odwiecznie znany i wielokroć później powtarzany w rozmaitych epokach i krajach. Gromada mieszczan zaczęła się dobijać do wrót zamku wileńskiego oznajmiając, że ściga zbiegłego zbrodniarza, który ukrył się w twierdzy. Straż otworzyła furte, po czym spiskowi bez trudu rozprawili się z nieliczną i zaskoczoną załogą.

Witolda Jagiełło pobił i wyparł na Podlasie, a drugą stolicę Litwy, Troki, opanował przy pomocy Krzyżaków. Ostateczne rozstrzygnięcie zapadło w sierpniu, kiedy pod Trokami nieliczne drużyny Kiejstuta stanęły naprzeciw połączonej armii Jagiełły i Zakonu. Do walki nie doszło. Kiejstut poddał się bratankowi, został okuty w kajdany i pod strażą Skirgiełły odesłany do Krewa, gdzie po pięciu dniach zakończył życie, podobno uduszony.

Najnowsze badania przeprowadzone przez profesora Stefana M. Kuczyńskiego przekonywują, że nie należy obarczać Jagiełły odpowiedzialnością za tę zbrodnię. Śmierci starca pragnęły rozmaite sfery i czynniki - Krzyżacy, którzy w oficjalnych pismach zwali Kiejstuta „wściekłym psem”, niemieccy mieszcianie Wilna, bojarzy, rodzeństwo Jagiełły, a zwłaszcza okrutny Skirgiełło.

Władza zwierzchnia nad Litwą znalazła się w ręku jednego człowieka, którego pozycja była na razie mocno niepewna. Krzyżacy, dotychczas występujący jako zewnętrzni nieprzyjaciele lub kontrahenci, w 1382 roku bezpośrednio wpłynęli na obalenie jednego księcia, a wyniesienie drugiego. Wśród bojarstwa litewskiego wielu było takich, co nade wszystko pragnęli spokoju ze strony Zakonu, gdyż to jedno mogło umożliwić utrzymanie zdobyczy wschodnich.

Jeśli wierzyć kronice Długosza, w tym czasie powstał na Litwie pomysł porzucenia ziem rodzinnych tak silnie zagrożonych przez Niemców, i przeniesienia się wraz z ruchomym dobytkiem na Ruś.

W październiku Jagiełło w towarzystwie matki oraz wszystkich rodzonych braci wyruszył na spotkanie z wielkim marszałkiem Konradem Wallenrodem i mistrzem inflanckim Vriemersheimem. Był to ten sam wspomniany w poprzednim rozdziale zjazd, na który wielki mistrz osobiście nie przybył, wybierając rozmowę z Zygmuntem Luksemburczykiem. Pertraktacje Litwy z Krzyżakami odbywały się na wyspie rzeki Dubissy - przy jej ujściu do Niemna - i trwały sześć dni. Postanowienia mówią same za siebie: Litwa przyrzekała oddać Zakonowi całą północną, czyli przymorską część Żmudzi aż po Dubisę, co decydowało o lądowym połączeniu posiadłości krzyżackich w Prusach z inflanckimi Kawalerów Mieczowych. Obie strony poręczały sobie pokój na lat cztery, obiecywały wzajemną pomoc, a Litwa zobowiązywała się ponadto nie prowadzić z nikim wojny „*bez rady, wiedzy i zezwolenia Zakonu*”. W przeciągu wspomnianych czterech lat Jagiełło miał wraz z całym swym krajem przyjąć katolicyzm.

„Trybem wszystkich upadających państw wstąpiła Litwa w przymusową spółkę wojny i pokoju z wrogiem śmiertelnym” - napisał o tym Karol Szajnocha i chyba niewiele przesadził.

Korzyści Zakonu, same przez się już olbrzymie, wrychle zostały jeszcze powiększone o dodatkowe gwarancje. Po śmierci Kiejstuta w więzieniu krewskim nadal siedział jego syn, Witold. Postępowano z nim dość liberalnie. Żona księcia mogła go odwiedzać, a nawet zostawać z nim na noc. Witold był małego wzrostu, szczupły i nie nosił zarostu. Wyzyskał te okoliczności, przebrał się w suknie dwórki żony, uszedł z więzienia i bezpiecznie przepuszczony przez dziedziny mazowieckie schronił się u Krzyżaków, którym przyrzekł jeszcze większe ustępstwa, jeśli przestaną popierać Jagiełłę.

Ponury i złośliwy Konrad Wallenrod nie odmówił sobie przyjemności: „Czemu nie przybyłeś wcześniej, kiedyś posiadał zamek wileński i inne?” - zapytał Witolda. Gościny mu oczywiście nie odmówił i z zupełnie zrozumiałych względów zaraz zawiadomił Jagiełłę, gdzie bawi jego stryjeczny brat. Zakon miał teraz w ręku nie tylko pergaminy, spisane na wyspie Dubissy, lecz i dodatkowe możliwości wymuszania uległości przez szantaż.

Czarny dla Litwy rok 1382 nieoczekiwanie obdarzył ją jednak ulgą na wschodnim froncie. W sierpniu wódz tatarski Tochtamysz, który pokona poprzednio Mamaja i objął po nim spadek polityczny, zdobył i okrutnie zniszczył Moskwę. Dymitra Dońskiego nie było w stolicy podczas jej oblężenia, dzielną obroną kierował Litwin, wnuk Olgierda Ościk. Dymitr nie mógł dać odsieczy, ponieważ nie udało się mu pozyskać współpracy innych książąt Rusi północnej. Niektórzy z nich poszli nawet razem z Tatarami.

Byłoby przesadą utrzymywać, że owoce zwycięstwa na Kulikowym Polu zostały utracone. Jednakże Moskwa otrzymała cios bardzo silny, osłabła wydatnie. Przewaga tatarska powróciła w całej pełni. Tochtamysz nie dał się ułagodzić oznaką uległości, darami, które mu Dymitr Doński posłał jeszcze przed wyprawą i oblężeniem. Wolał zabezpieczyć swe władztwo klęską najgroźniejszego przeciwnika.

Zakończenie poprzedniego rozdziału mówiło o faktach, które zdają się wskazywać, że już u schyłku 1382 roku wiązały się jakieś nici porozumień pomiędzy Litwą a Polską. Zdecydowana większość historyków odrzuciła jednak ten pogląd. Nie wdając się w kwestię bliżej, wolno przyjąć za pewnik, że rok 1382 był ostatnim w dziejach Polski i Litwy, w którym oba kraje szły jeszcze całkiem osobno. Porównanie panującego w nich podówczas stanu rzeczy jest konieczne. Każda ze stron wносиła wszak do przyszłej spółki własny udział w postaci osiągniętego dorobku.

Polska stała na rozdrożu. Od mających zapasć decyzji zależało, czy pozostanie tworem politycznym całkowicie odrębnym, jak było dawniej, za Piastów (i jak nadal się działo w wielu krajach europejskich, chociażby we Francji), czy też zawrze nowy związek państwowy, połączy swe losy z innym krajem. Dwanaście lat rządów andegaweńskich musiało poniekąd przyzwyczaić szlachtę, zwłaszcza panów małopolskich, do myśli o tej drugiej koncepcji.

Użyte w przenośni słowo „rozdroże” wymaga pewnych wyjaśnień. To przecież nie tak było, że Polska wraz z ręką Jadwigi ofiarowywała i siebie. Tylko z przyzwyczajenia, dla wygody i przez wrodzony respekt wobec prawideł gramatyki zowiemy Jadwigę „królową”. W rzeczywistości miała ona zostać i naprawdę została k r ó l e m Polski, monarchą o pełni praw. Jej męski potomek byłby zwyczajnym dziedzicem korony. Pozycja Polski w przededniu układów o małżeństwo była więc mocna, a same układy - będące koniecznością ze względu na płeć nowego władcy - wcale nie miały nosić charakteru szukania deski ratunku. Pomimo strat poniesionych dawniej na Śląsku i na Pomorzu królestwo polskie dobrze stało na własnych nogach. Zamęt czasów andegaweńskich przetrwało, a miało wszak jeszcze w zupełnie świeżej pamięci epokę Kazimierza Wielkiego.

Giedymin objął na Litwie rządy mniej więcej w tym samym czasie, kiedy u nas koronował się Łokietek - cztery lata różnicy niewiele znaczą. Po roku 1320 w Polsce na wszystkich polach i we wszystkich dziedzinach dokonała się olbrzymia zmiana na lepsze, która - pomimo wygaśnięcia dynastii - okazała się trwała. Na Litwie po roku 1316 przychodzi niebywały skok zdobywczy, nagle zakończony zakwestionowaniem niemal wszystkiego.

U schyłku 1370 roku umiera Kazimierz Wielki, Polska traci dynastię, a terytorialnie Santok i Włodzimierz Wołyński. Litwin Olgierd staje wtedy pod sama Moskwą. W dwanaście lat później w północno-zachodniej Polsce zapowiada się lokalna wojna domowa, ale szlachta całego kraju potwierdza jedność państwa, wyprasza Zygmunta Luksemburczyka, zaprasza natomiast do Krakowa własnego króla-niewiastę. Dokładnie w tym samym czasie Litwa zawiera z Krzyżakami układ stawiający jej suwerenność pod znakiem zapytania, oddaje północną część Żmudzi, Kiejstutowicz Witold przebywa w Malborku, a starsi Olgierdowicze już od lat są stronnikami Moskwy. Właściwie ani jeden skrawek olbrzymiego obszaru państwa nie jest zabezpieczony.

Polska stała na rozdrożu. Litwa, jeśli nie na skraju przepaści, to na pewno w samym środku kryzysu państwowego.





Lata decyzji

Rozstrzygnąć, kto pierwszy wpadł na pomysł unii Polski z Litwą, to zupełne niepodobieństwo. Nie można wskazać nie tylko osoby, lecz nawet państwa. Historycy każdej z zainteresowanych stron z całkiem zrozumiałych względów mają skłonność do przypisywania inicjatywy drugiemu z partnerów, ale i ta reguła zna wyjątki. Badacze litewscy, rosyjscy i radzieccy zgodnie głoszą, że to Polska wystąpiła z propozycją. Zdania naszych dziejopisarzy są podzielone. Dla przykładu wspomnieć należy opinie dwóch uczonych starszego pokolenia: Oskar Halecki uznaje za inicjatora Polskę, Ludwik Kolankowski - Litwę. Nie ma powodów do narzekania na sarmacki indywidualizm - głośno wypowiediane różnice poglądów znakomicie podkreślają prawo uczonego do swobody sądu.

Istnieje jednak w Polsce i trzecia teoria. Zwolennicy jej powiadają, iż pomysł unii mógł się mniej więcej jednocześnie narodzić po obu stronach granicy, w obydwu stolicach. Fakty historyczne, zwłaszcza fakty tak wielkiej miary, rzadko biorą początek z jakiejś jednej przyczyny, rodzą się raczej z ogólnego układu bardzo wielu okoliczności. Jeśli o tym pamiętać, wspomniana przed chwilą trzecia teoria nabiera cech dużego prawdopodobieństwa. Jak pamiętamy z pierwszego tomu, już od czasów Łokietka i Giedymina zanosilo się na sojusz obu krajów. Warunki, które przyszły później, pomysły tego sojuszu nie tylko odnowiły, lecz dały również możliwość przetworzenia go w związek o charakterze trwałym.

Nie sposób też wskazać daty narodzin planu unii czy chociażby jego zapowiedzi. Zainteresowanie wśród historyków budzi zagadkowa podróż brata Jagiełłowego, Skirgiełły, odbyta jeszcze w roku 1379. Dopóki Litwin, podążający na wesele księżniczki mazowieckiej (wdowy po Każku słupskim), jechał przez ziemie Zakonu, patrzyło na niego czujne oko krzyżackie. Wiemy więc, że już w Toruniu przebrał się w szaty godowe i tak przystrojony przekroczył granicę. Nie wiemy natomiast, co uczynił potem, czy rzeczywiście pojechał aż do papieża i cesarza. Jest tylko bardzo prawdopodobne, że przebył Karpaty i widział się z Ludwikiem Węgierskim. Daleką wędrówkę Skirgiełły niektórzy uważają za dowód badania przez Litwę gruntu na Zachodzie lub nawet wczesnych zabiegów Jagiełły o rękę jednej z córek Ludwika.

A po polskiej stronie? Mocno zastanawia uczonych pewien rozdział kroniki Janka z Czarnkowa, który zatarg Jagiełły z Kiejstutem przedstawił w sposób niesprawiedliwy, krzywdzący stryja na korzyść bratanka. Nie posądzając nawet dziejopisarza o rozmyślne uprawianie propagandy, wolno przypuszczać, że umieścił w książce obiegowe w Polsce opinie. Były więc one jeszcze przed unią przychylnie dla Jagiełły. Dlaczego?

Z lekka poruszone przed chwilą kwestie dają pojęcie, ile kapitalnych zagadnień wciąż czeka na wyjaśnienie. Nie wdając się w nie bliżej (i

powstrzymując się od wypowiedzania opinii, czy to wyjaśnienie kiedykolwiek w ogóle nastąpi), trzeba przejść do zwięzłego przedstawienia główniejszych z mnóstwa faktów, jakie zaszły w latach przełomu. Przyczyni się to do naszkicowania owego decydującego ogólnego układu okoliczności, z którego wynikła unia.

W styczniu 1383 roku wojna Grzymalitów z Nałęczami rozpoczęła się w Wielkopolsce na dobre. Nałęcz, z którymi połączyli się stronnicy Ziemowita IV mazowieckiego, zmierzali do opanowania siedmiu grodów starościńskich, mianowicie Gniezna, Poznania, Kalisza, Pyzdr, Konina, Kościana i Kcyni. Pyzdry zdobyto orężnie, miasta - ale nie zamki - Poznań i Kalisz poddały się dobrowolnie. Szlachta zawarła wtedy układ pisemny, zobowiązując się wobec

panów rajców i wszystkiej społeczności miasta Poznania stać przy nich ciałem, mieniem i dostatkami, pracując nad utrzymaniem ich praw jakoby swoich własnych i nie opuszczając ich w żadnym terminie niebezpiecznym, tak iż ani ziemianie bez przyzwolenia mieszczan, ani mieszczanie nie będą poczynać niczego bez zgody szlachty.

Rycerstwo i mieszczanie postanowili trwać w wierności dla jednej z córek zmarłego króla, która winna stale zamieszkać w Polsce - „*by korona polska i korona węgierska nie należały odtąd do siebie*”.

Nałęcz, którym przywodził wojewoda poznański Wincenty z Kępy oraz Bartosz z Odolanowa, zwani byli partią ziemiańską. Jej układy z mieszczanami zasługują na uwagę, a jeszcze bardziej zastanawia, że przeciwko Grzymalitom, korzystającym z pomocy brandenburskiej, czynnie i dobrowolnie występowali chłopi. W pewnym starciu w okolicach Zbąszynia poległo stu kilkudziesięciu wieśniaków, którzy, upojeni własnym poprzednim triumfem, nieostrożnie puścili się w pogoń za konnym rycerstwem. Jak widzimy, w Polsce XIV wieku nie tylko szlachta interesowała się sprawami publicznymi i pragnęła wywierać na nie wpływ.

Pod koniec lutego 1383 roku magnaci polscy zjechali do Sieradza, dokąd przybyło też poselstwo węgierskie. Podczas obrad po raz pierwszy wymieniono imię królowej Jadwigi jako przeznaczonej na tron krakowski. Zesłoroczne postanowienia z Radomska i Wiślicy odnosiły się wprawdzie do niej siłą faktu, lecz brzmiały bezosobowo. Teraz Elżbieta Bośniaczka na mocy paktów koszyckich zwalniała Polaków od przysięg wierności dla Marii, przyrzekała w niedługim czasie wyprawić do nas młodszą córkę pod warunkiem, że po koronacji powróci ona jeszcze na Węgry na trzy lata, a to celem dalszego wychowania pod okiem matki. Zupełnie zrozumiałe zastrzeżenie Jadwiga ukończyła niedawno dziewiąty rok życia. Panowie polscy zgodzili się zarówno na propozycję, jak i na warunek.

28 marca nastąpił drugi zjazd w Sieradzu, tym razem tłumny, do pewnego stopnia noszący charakter elekcji. Przybył niepopularny Władysław Opolczyk, zwany Ruskim lub Naderspanem. Nie zabrakło arcybiskupa Bodzanty, który - otrzymawszy w roku poprzednim tę godność jako zwolennik Ludwika - zmienił tymczasem front i przerzucił się na

stronę Ziemowita IV. Duchowieństwo sprzyjało na ogół kandydaturze Mazowszanina, członka dynastii, która wprowadziła do nas chrześcijaństwo, była hojna i dobroczynna dla Kościoła.

Obrady odbywały się w świątyni. Pod względem liczby przeważała szlachta wielkopolska.

Nie było sporu co do samej królowej, od razu za to wypłynęła sprawa jej przyszłego męża, a większość obecnych zdecydowanie opowiadała się za Ziemowitem. W pewnej chwili arcybiskup Bodzanta podniósł się i zapytał „donośnym głosem”, czy zgromadzeni chcą uznać księcia mazowieckiego za swego monarchę. Tłum rycerstwa odpowiedział okrzykiem: „*Chcemy i żądamy, aby przez was, księżo arcybiskupie, koronowany był królem polskim!*”

Do ostatecznej decyzji nie dopuścił Małopolanin, kasztelan wojnicki, Jaśko z Tęczyna herbu Topór. Zagrał w sposób szczególny powołał się na dawne układy, mające moc prawa.

Jesteśmy - mówił - obowiązani zachować przyrzeczenie wierności uczynione Jadwidze, córce króla Ludwika. Dlatego jeśli przybędzie do nas (...) i zechce bawić w Polsce ze swoim mężem i rządzić państwem, czekajmy jej przyjazdu. A dopiero gdyby nie przyjechała, wybierzem sobie króla, jak to ułożone jest pomiędzy nami a nieboszczykiem królem Ludwikiem mocą uroczystych paktów i dokumentów.

Opowiadanie kronikarza nie powinno budzić wątpliwości. Zachowanie się szlachty w roku poprzednim, w Radomsku i Wiślicy, dowodzi jej zdecydowanej niechęci do gwałcenia „uroczystych paktów”, które stanowiły jednak jedną z więzi spajających królestwo w całość. Argumentacja kasztelana i zachowanie się uczestników zjazdu dobrze pasują do wiadomości, jakie posiadamy o ówczesnym poziomie myślenia politycznego w Polsce, a to tym bardziej że postanowienie o wyczekiwaniu na Jadwigę wcale nie było jedynym powziętym w Sieradzu. Wysunięto warunki, które Elżbieta Bośniaczka winna przyjąć, jeśli pragnie zapewnić córce tron. Odnosi się wprost wrażenie, iż szlachta wyzyskała niedoszlą elekcję Ziemowita jako rodzaj presji.

Przed wszystkim więc żądano, aby Jadwiga przybyła do Polski na Zielone Świąta, które przypadały 10 maja, i już na zawsze w niej pozostała wraz ze swym przyszłym mężem. A po drugie - Ruś Czerwona i wszystkie ziemie oraz grody oddane w lenno Władysławowi Opolczykowi miały powrócić do Polski. Warunki te są bardzo wymowne. Szlachcie chodziło o odzyskanie strat i o jedność państwa. Zbyt pochopny wybór Ziemowita mógł utrudnić osiągnięcie tych celów.

Postanowienie o czekaniu na Jadwigę wcale jeszcze nie przekreślało jego nadziei na koronę. Mógł ją uzyskać, zaślubiając sprowadzoną do kraju królową. W średniowieczu drogę do ołtarza otwierano sobie nieraz środkami gwałtownymi.

Jadwigę należało powitać na granicy królestwa, w Sączu. Ciągnęły w tamtą stronę liczne orszaki magnackie. Jechał także arcybiskup Bodzanta, któremu towarzyszył Bartosz z Odolanowa na czele pięciuset kopijników

mazowieckich. Ziemowit IV ukrywał się wśród nich, grając rolę zwykłego wojownika. Tajemnica, o której wie cały pułk kawalerii, nie da się utrzymać. Mieszczanie krakowscy zamknęli bramy przed arcybiskupem i jego aż nazbyt potężnym poczem, zagrozili nawet zbrojnie Mazowszanom, roztasowanym koło kościoła Św. Floriana. Bodzanta wraz z księciem musieli wycofać się w dół Wisły, do Nowego Korczyna.

Plan porwania Jadwigi nie udał się. Nie mógłby się zresztą w żaden sposób powieść, gdyż królowa nie przybyła. Matka jej zawiadomiła Polaków, że uniemożliwiają to wiosenne powodzie, i zapraszała ich na obrady do Koszyc. Wyruszył tam spory zastęp magnatów z obu głównych dzielnic państwa. Zapadła decyzja o odroczeniu przyjazdu Jadwigi aż do listopada.

Ziemowitowi IV nie pozostawało nic innego, jak zabiegać o wzmocnienie własnej pozycji. Dokonał tego siłą, zajmując całe Kujawy (i ogłaszając się ich księciem) oraz Łęczycę. 15 sierpnia zwołał nowy zjazd do Sieradza, gdzie szlachta wielkopolska obwołała go królem, podniosła na ramionach w górę i uroczyście posadziła na symbolizującym tron krześle. Arcybiskup cofnął się jednak przed dopełnieniem koronacji. Zaraz potem Ziemowit obległ Kalisz, dokąd przyszedł mu z pomocą książę śląski Konrad z Oleśnicy. Mieszczanie bronili się zażarcie, nie poddając się nawet po utracie jednej z wież.

Zatarg rozstrzygnięto w sposób, którego nie powstydziliby się żadne z miast italskich ani nawet sami Krzyżacy. Małopolanie zaprosili Bodzantę i Ziemowita na obrady i zawarli z księciem pakt o zaprzestaniu wszelkich działań na dwa miesiące. Mazowszanin dotrzymał przyrzeczenia i odstąpił spod Kalisza. Tymczasem od przełęczy karpackich waliła już pomoc węgierska, którą Małopolanie zawezwali jeszcze przed rozpoczęciem układów. Uderzenie drużyn węgierskich, krakowskich i sandomierskich złamało pozycję Ziemowita i załatwiło się z nim jako z pretendentem do korony.

Przywódcy małopolscy twardo postanowili sprowadzić młodziutką królownę na Wawel i rozporządzić jej ręką. Zmierzali do celu nie przebierając w środkach. Trudno wyobrazić sobie polityków, którzy by się zgodzili zmarnować taką okazję wzmocnienia własnej roli, a oprócz tego ci ludzie dążyli do osiągnięcia korzyści na arenie międzynarodowej.

Należało jeszcze przezwyciężyć bierny opór Elżbiety Bośniaczki, snującej własne plany i ciągle odkładającej datę wysłania córki. W końcu nawet Małopolska zaczęła się chwiać w wierności dla Andegawenki. Jeden tylko ród Leliwitów nie zmieniał zapatrywań.

W tym czasie pobity został światowy chyba rekord szybkości. Elżbieta uwięziła u siebie starostę krakowskiego, Sędziwoja z Szubina herbu Topór, oraz zakładników polskich. Sędziwój zdołał się wymknąć i rozstawnymi końmi w dwadzieścia cztery godziny dotarł znad Adriatyku do Krakowa.

Bezkrólowie trwało już drugi rok. Jeśli doliczyć poprzedni okres niepewności, związany z wygaśnięciem jednej dynastii i targami o prawa spadkowe drugiej, wypadnie lat czternaście. Kryzys polityczny ciągnął się przerażająco długo i łatwo sobie wyobrazić skutki tego. Kronikarz współczesny napisał, że:

Magnaci i szlachta gnębią się wzajemnie grabieżą i pożogą i jest nawet takich niemało w królestwie polskim, którzy do tego dążą, aby nie mieć żadnego króla, lecz sobie samym przywłaszczają dobra koronne i obrócić wszystkie według upodobania na swój własny pożytek. Stąd uciemiężenie ubogich, upadek sprawiedliwości, dowolne powodowanie się nie tak słusnością i rozumem, jak raczej popędami chwilowego zachcenia.

Te uwagi nie mogły się odnosić do ogółu - państwo trwało wszak w jedności, manifestowało wolę jej utrzymania, wypadków zdrady nie było. Należy to przypisać wartości szkoły, z której naród wyszedł. Jednakże przeżycia z doby kryzysu też stanowiły polityczny dorobek... wcale nie najlepszej jakości, ale nie dający się już wymazać czy usunąć.

Zastanawiając się nad przyczynami rozmaitych zjawisk historycznych, często bywamy skłonni lekceważyć dwa czynniki o wielkim znaczeniu, mianowicie przemijanie czasu oraz skutki zbiorowych przeżyć. Granice i ustrój, materialne warunki bytu mogą trwać niezmiennie, a społeczeństwo przeobrazić się gruntownie dzięki razem przeżytym nowym doświadczeniom. Natura człowieka jest ogromnie plastyczna, warunki zewnętrzne żłobią w niej trwałe ślady w postaci nawyków, czułości na jedne podniety, odporności wobec innych. Jeśli w przyrodzie nic nie ginie, to tym bardziej w stosunkach międzyludzkich.

Spółeczeństwo, które w roku 1384 nareszcie wyszło z kryzysu, dobrze pamiętało Kazimierza Wielkiego, było już jednak odmienne od istniejącego w dniu jego zgonu.

Nie da się dokładnie oznaczyć daty przybycia Jadwigi do Polski. Stało się to pomiędzy 25 maja a 11 października 1384 roku.

Zamieszkała na Wawelu dziewczyna niespełna jedenastoletnia. Dorosła i rozwinęła się już u nas, jednakże i w chwili przyjazdu musiały istnieć przynajmniej zapowiedzi tej niezwykłej urody, którą rozślawiali później posłowie krzyżacy. W lipcu 1949 roku w katedrze wawelskiej otworzono grób i trumnę Jadwigi, dokładnie zbadano dobrze zachowane szczątki (piszący te słowa patrzył na to własnymi oczyma). Okazało się, że była wysoka, doskonale zbudowana. Po takiej niewieście współcześni mogli się spodziewać utwierdzenia dynastii...

Jadwiga wstąpiła na tron 15 października 1384 roku.

Gdy to wszystko działo się w Polsce, na Litwie Jagiełło zachowywał się w sposób pozornie niepojęty. Fatalne układy na wyspie Dubissy oraz pobyt Witolda u Krzyżaków osłabiły jego pozycję, tymczasem książę postępował tak, jakby uległa ona wzmocnieniu. Nie wyjaśnia tego sam tylko fakt objęcia przezeń Trok i całej spuścizny po Kiejstucie. Bardzo pomyślnym dla Litwy wydarzeniem był zgon Ludwika Węgierskiego, który prowadził politykę przyjaźni z Zakonem. Dopóki żył, Polska nie liczyła się jako kandydat na sprzymierzeńca Wilna. Jego śmierć sama przez się wznowiła widoki sojuszu. Wielkimi krokami szło ku nowym jego formom.

15 kwietnia 1383 roku Jagiełło i Skirgiełło nadali „*kochanym naszym mieszkańom lubelskim*” przywilej na korzystny handel z Litwą. Trzeba w tym widzieć ważny politycznie gest pod adresem Polski. Sam dokument

pisał pewnie ów Hanul, który zdobył dla Jagiełły zamek w Wilnie i został sekretarzem wielkiego księcia oraz namiestnikiem wileńskim. Reprezentował on interesy mieszczaństwa, żadnego zbliżenia z Polską, bo Zakon blokował drogi handlowe wiodące na północ i na zachód.

Dużą aktywność polityczną zaczęli wtedy przejawiać w Wilnie Koriatowicze, książęta litewscy władający Podolem i zaprzyjaźnieni z polską. Podburzali oni Jagiełłę przeciwko Krzyżakom, z którymi sami nie mieli wszak bezpośrednich zatargów. Był to więc przejaw polityki o szerokich horyzontach.

Jagiełło nie wykonał postanowień dubiskich i 30 lipca 1383 roku wielki mistrz uroczyście wypowiedział mu wojnę. Od przebiegu operacji ważniejsze jest, że Krzyżacy postanowili wyzyskać Witolda. Został on katolikiem (po raz pierwszy) i otrzymał imię Wiganda, bo takie właśnie nosił jego chrzestny ojciec, komtur Ragnety, von Baldersheim.

30 stycznia 1384 roku podpisano w Królewcu akt, którego mocą Witold oddawał Zakonowi Żmudź aż po Niewiażę oraz całą Kowieńszczyznę. W czerwcu, kiedy niebywale silna wyprawa krzyżacka zdobyła Kowno, Witold uznał się oficjalnie za lennika Zakonu, co... wcale nie zahamowało tajnych pertraktacji, które już od wiosny prowadził z Jagiełłą. W lipcu przyjął propozycje brata, wkrótce stanął w jego obozie i zaczął pomagać w skutecznym zdobywaniu Neu-Marienwerder, najsilniejszej twierdzy krzyżackiej na Litwie.

Nagły zwrot Witolda niezbiecie dowodzi, jak bardzo wzrosła powaga Jagiełły od czasu rozgrywki z Kiejstutem. W 1384 roku układy o rękę Jadwigi i koronę polską musiały się już toczyć na wielkich obrotach. Takich spraw nie załatwia się za pośrednictwem jednego poselstwa ani szybko.

Konieczność trzeba wspomnieć o innych jeszcze układach. Jagiełło był prawdziwym politykiem, to znaczy człowiekiem, który dla każdej kwestii chce mieć co najmniej dwa przynoszące pożytek rozwiązania. Wysłał więc swaty do Moskwy, gdzie zabiegał o małżeństwo z córką swego śmiertelnego wroga (i rówieśnika), Dymitra Dońskiego. Wstępny warunek Kremla był wyrazisty: „*A jemu Wielikomu Kniaziu Jagailu (...)] krietstitsja w prawosławnu wieru i krietstjanstwo swoje objawiti wo wsie ludi.*”

Moskiewsko-litewskie małżeństwa nie były niczym nowym. Syn Iwana Kality, Symeon Dumny, miał za żonę Litwinkę, Anastazję. O motywach, które skłoniły Jagiełłę do wybrania rozwiązania polskiego, przyjdzie wkrótce pomówić szerzej. Na razie poprzestańmy na stwierdzeniu, że Kreml miał do zaoferowania rękę księżniczki, lecz nie koronę.

W październiku bawiło w Wilnie tajne poselstwo polskie. W tym samym miesiącu, na trzy dni przed koronacją Jadwigi, w Krakowie ułaskawiono jakiegoś skazańca, co stało się za wstawiennictwem „wielkiego księcia”. A więc jakiś przedstawiciel Jagiełły musiał w tym czasie przebywać na Wawelu.

W grudniu zdarzyła się historia niebywała i najdobitniej świadcząca, czym już wtedy stał się dla współczesnych Jagiełło. Osobiście zjawił się w Wilnie Ziemowit IV, złożył Litwinowi hołd, otrzymując odeń w lenno bliżej nie określone „ziemie ruskie”, zapewne te, co dotychczas stanowiły

przedmiot sporu pomiędzy Polską a Wielkim Księstwem.

Nadzwyczajnie ciekawa zagadka - kim właściwie był Ziemowit IV, człowiek, który o mały włos ponownie nie wprowadził dynastii piastowskiej na tron polski? Wiadomości, jakie o nim posiadamy, zdają się mówić, że politykiem z bardzo prawdziwego zdarzenia. W 1383 roku stanął główną zawadę na drodze Jagiełły. W niedługi czas po przegranej całkowicie zmienił front, nie zawahał się przed złożeniem hołdu poganinowi i wskutek tego nie tylko zabezpieczył swe księstwo, lecz pierwszy zebrał korzyści (zbyt wielu „ziem ruskich”, ze względu na późniejszy protest Jadwigi, nie otrzymał, dostał jednak Bełz, Lubaczów, Busk, Horodło, no i rodzoną siostrę Jagiełły, Aleksandrę, za żonę). Aż do zgonu Ziemowit wykazywał tę samą giętkość, przezorność oraz brak skrupułów, który może niemile razić, zwłaszcza ludzi przyzwyczajonych do sentymentalnego traktowania polityki. Od próby porwania Jadwigi i zakusów na tron polski do hołdu w Wilnie droga karkołomna. Przemierzyć ją zdrowo, a nawet z pewnym pożytkiem, mógł tylko taki człowiek, który wiedział, że polityka jest sztuką osiągnięcia rzeczy do osiągnięcia możliwych. Ziemowit IV był nieodrodnym Piastem. Dziedziczył zarówno talent, jak metody.

18 stycznia 1385 roku zjechało do Krakowa oficjalne poselstwo litewskie z prośbą o rękę Jadwigi. Warunki, które ofiarowywało i których żądało, były oczywiście przedtem omówione we wszystkich szczegółach, a rozmowy z Jadwigą stanowiły formalność. Dla zawarcia rzeczywistego układu o małżeństwo trzeba było jechać na Węgry, do Elżbiety Bośniaczki. Legacji litewskiej przywodził Skirgiełło.

Po powrocie z Węgier towarzyszyły jej na Litwę poselstwa polskie oraz madziarskie. W Krewie rozpoczęły się obrady, mające podsumować wszystkie poprzednie postanowienia w jednym dokumencie, który Jagiełło wystawił 14 sierpnia. Dokładnie w tym samym czasie w Krakowie rozpoczął się kryzys, krótki wprawdzie, ale mogący wszystko pogmatwać. Wilhelm Habsburg, teoretyczny dotychczas mąż Jadwigi, zjawił się najpierw pod miastem, potem wszedł w jego mury, na Wawel, a może i do łoża królowej.

W lipcu Habsburgowie przycisnęli Elżbietę Bośniaczkę, mającą mnóstwo kłopotów politycznych, i wymogli na niej przyrzeczenie dopełnienia małżeństwa córki. Wilhelm w towarzystwie Władysława Opolczyka wyjechał do Polski i około 15 sierpnia znalazł się pod Krakowem. Spotkania młodych odbywały się w klasztorze franciszkanów, sprzyjających Habsburgom.

Początkowo Jadwiga zachowywała się potulnie i kiedy w styczniu przyjechał Skirgiełło z poselstwem, nic nie było słyhać o jej oporze. Prawdopodobnie później oddziaływały na nią pewne osoby z otoczenia, zwłaszcza spowiednicy. Pogłoski o wstąpieniu do Jagiełły to pewnie kronikarska przesada, aczkolwiek powody do niechęci lub obaw miała. Litwin był od niej trzykrotnie starszy.

Nie wiadomo, jak Wilhelm dostał się na Wawel - uroczyście czy po kryjomu. W krakowskich aktach sądowych pozostał za to zapis, który trzeba przytoczyć za Stanisławem Smolką:

W wilię św. Bartłomieja, po dopełnieniu małżeńskich ślubów Królowej Pani, na zlecenie i prośbę tejże Królowej wypuszczeni zostali wszyscy skazańcy, którzy podówczas zamknięci byli w miejskich więzieniach.

Komesowie małopolscy, którzy trochę zaspali sprawę, zareagowali teraz bardzo energicznie. Przywodził im Dobiesław z Kurozwęk, kasztelan krakowski, a więc pierwszy świecki dostojnik koronny. Wilhelm uszedł z Wawelu podobno nocą, przez okno, po linie. Ukrywał się jeszcze przez czas pewien w samym mieście, w Czarnej Wsi i w Łobzowie. Jadwiga usiłowała wydostać się z zamku, raz nawet zaczęła rąbać toporem furte. Powstrzymał ją podskarbi koronny, Dymitr z Goraja herbu Korczak, magnat ruskiego pochodzenia, rzecznik ścisłego związku Polski z Rusią Czerwoną.

Komesowie mieli słuszość, co muszą im przyznać nawet przeciwnicy unii. Habsburskie małżeństwo nie rokowało żadnych zysków, przyniosłoby natomiast same szkody, chociażby w postaci nagłego zerwania z Litwą. Poprzednie zwycięstwo nad Ziemowitem IV okazałoby się co najmniej niepotrzebne. Dobrze świadczy o ówczesnej Polsce, że nie pozwolono, by rozstrzygnęły anonimowe wpływy oraz Opolczyk, który działał zdecydowanie na niekorzyść kraju.

Jak się już wspomniało, 14 sierpnia 1385 roku spisano w Krewie dokument zawierający zobowiązania litewskie. Niezbyt słusznie uważa się go za właściwy akt unii. W rzeczywistości było to postanowienie decydujące wprawdzie, lecz dopiero wstępne. 11 stycznia 1386 roku posłowie polscy podpisali w Wołkowysku pergamin, będący stwierdzeniem ze strony Korony, że Jagiełło obrany został „królem i panem” i że dostanie Jadwigę za żonę.

Dopiero 2 lutego 1386 roku zjazd obu stron w Lublinie dokonał pierwszej rzeczywistej unii Polski z Litwą. Tradycja zarezerwowała jednak nazwę „unii lubelskiej” dla układu końcowego i ostatecznego, zawartego w bez mała dwieście lat później w tym samym mieście.

Po zjeździe lubelskim wypadki potoczyły się już szybko.

Jagiełło nader uroczyście, w licznym orszaku, ciągnął ku stolicy. Po drodze przedstawił mu się rycerz Zawisza z Oleśnicy, wysłany przez Jadwigę w misji dość osobistej. Miał rozkaz przyjrzeć się, pod żadnym pozorem nie przyjmować podarków i wracać jak najszybciej. Jagiełło przyjął Zawiszę w sposób życzliwy, rozmawiał z nim, a nawet zabrał go ze sobą do łaźni.

12 lutego Jagiełło triumfalnie wjechał do Krakowa, 15 lutego przyjął katolicyzm. Na ojca chrzestnego proszony był... wielki mistrz Krzyżaków, co trzeba uznać za pomysł pod względem politycznym wręcz znakomity. Wysłany do Malborka Dymitr z Goraja przywiózł jednak odmowę von Rottensteina, który powoływał się na nawał pracy i odległość. Wielki mistrz po prostu nie chciał zostać głównym świadkiem i czynnym uczestnikiem aktu pozbawiającego Zakon ideologicznej racji bytu. Na ojca chrzestnego wezwano więc Opolczyka, osobistość Krzyżakom przychylną, co też miało znaczenie. Jagiełło wziął po nim imię Władysława.

Ochrzcili się również bracia wybrańca losu, wśród nich Witold... już po raz trzeci (po chrzcie krzyżackim przyjął jeszcze prawosławny). Tym razem dano mu imię Aleksandra, które dziejopisarstwo rzadko uwzględnia, pozostawiając go przy pogańskim, tradycyjnym i wsławionym.

18 lutego odbył się ślub, a 4 marca koronacja Władysława II.

W ten sposób wykonano wszystkie przyrzeczenia strony polskiej, złożone poprzednio Litwie. Początkowy związek dwóch państw stawał się faktem, lecz w przeciągu najbliższych dwu stuleci oczekiwały go jeszcze najrozmaitsze próby i odmiany losu.





Unia

Trzeba najpierw przypomnieć rzecz oczywistą, lecz dziwnie rzadko braną pod uwagę. Układy w Krewie, Wołkowysku i Lublinie zawierali zwykli ludzie, a nie Przenajświętsza Trójca, dla której przyszłość nie ma tajemnic. Z ich punktu widzenia unia była paktem politycznym, opartym na podstawowej, od tysiącleci znanej zasadzie *do ut des* - daję, abys dał. Miała załatwić lub ułatwić sprawy konkretne, ważne dla nich i zrozumiałe im, osobom w roku 1386 pełnoletnim.

Tak zwaną „ideę jagiellońską”, skutki przeniknięcia kultury polskiej daleko na wschód, spolszczenie się części ludności Wielkiego Księstwa, a także sukcesy Niemców korzystających z przykucia Polski do spraw naddnieprzańskich - to wszystko widzimy my, którzy patrzymy z perspektywy lat bez mała sześciuset. Jagiełło, Dobiesław z Kurozwęk czy Dymitr z Goraja nawet śnić na ten temat by nie potrafili.

W jaki sposób można było odgadnąć przyszłe spotężnienie Prus i zabór przez nie Śląska w roku 1742, skoro unia stworzyła warunki umożliwiające całkowite zwycięstwo nad Krzyżakami już za życia Jagiełły?

W oczach ludzi ówczesnych unia była na pewno sprawą bardzo ważną. Nie leżała w ich możliwości ocena... jak ogromną. Bo też dopiero z biegiem czasu, w miarę rozwoju wypadków, stworzona przez nią problematyka rozrosła się do niezwyklej skali.

Początkowo każda ze stron zachowywała się powściągliwie i pilnowała własnych interesów, a obie traktowały się nawzajem z wyraźną nieufnością.

Pragnąc rozwiązać sprawy zupełnie konkretne stworzono całkowicie nowy układ okoliczności w środkowej i wschodniej Europie. Stworzono go nieświadomie, bo zagrała taka ilość czynników, iż żaden umysł ludzki nie był w stanie ogarnąć ich wszystkich. Z czasem dały o sobie znać nie tylko skutki, lecz i skutki skutków oraz następstwa następstw. Na ogół rzadko zastanawiamy się nad tym, że niemal każdy czyn człowieka miewa lub może mieć wszechstronne konsekwencje.

W 1386 roku uruchomiono mechanizm, który dopiero później, siłą samych faktów, dotknął wszystkich dziedzin życia na olbrzymiej przestrzeni połączanego państwa, sięgającego miliona kilometrów kwadratowych. Nawet sfery decydujące, magnackie, wcale nie od razu mogły się zorientować, jakie widoki otwiera przed nimi unia. W chwili jej układania cały majątek ziemski Radziwiłłów składał się podobno z dwudziestu osadzonych na roli chłopów. Polskie przywileje, żywcem przeszczepione na grunt litewski, dały tej rodzinie oraz wielu innym - sposobność całkiem chyba nieoczekiwaną. Polscy komesowie, popierający unię i przenoszenie naszych urzędów do Wielkiego Księstwa, ani się spodziewali, że czynność ta dopomoże litewskiej magnaterii, czyli sile,

która w sposób najbardziej konsekwentny będzie w przyszłości unię zwalczać.

Rodziły się sprawy więcej niż zawile i upraszczanie jest czynnością mało pożądaną.

Sama unia została zawarta wśród okoliczności od woli ludzkiej całkowicie niezależnych, a nawet jak najbardziej z nią sprzecznych. Drogę do unii otwały dwa fenomeny - wygaśnięcie królewskiej linii Piastów i wkrótce potem Andegawenów węgierskich. O ile drugie z tych wydarzeń może być zapewne wytłumaczone przez prawidłowość przyrodniczą, czyli następstwa nieuleczalnej choroby, o tyle pierwsze było dziełem przypadku w czystej postaci. Kazimierz Wielki nie miał legalnych synów. Naturalni żyli, używali podobno herbu o nazwie Mieszaniec, który na pionowo podzielonej tarczy przedstawiał po jednej stronie połowę orła polskiego, po drugiej dwie białe róże. Wiadomość o tym herbie jest półlegendarna. Za to z wszelką pewnością wiemy, że jeden z tych synów - Pełka - zawiesił raz u dokumentu pieczęć z wizerunkiem brodatego mężczyzny w kapturze, czyli... portret ojca. Tak samo wyglądał herb ziemi dobrzyńskiej, najwyższego sądu „prawa niemieckiego” na Wawelu oraz miasta Kazimierza.

Sojusz Polski i Litwy zapowiadał się od czasów Łokietka, był konieczny, zbawienny. Na to, by mógł przybrać postać unii dwóch monarchii, trzeba było kobiety na tronie krakowskim, czyli zgoła dwóch dynastii. Małżeństw między mężczyznami nie bywa.

Znamy zobowiązania strony polskiej: korona i Jadwiga dla Jagiełły. Pora powiedzieć o litewskich, spisanych w Krewie na uroczystym pergaminie. A więc przede wszystkim Litwini mieli przyjąć katolicyzm, bez spełnienia tego warunku cały układ byłby niemożliwy. Jagiełło przyrzekał ponadto zwrócić Polsce brańców, pochwytych w czasie dawniejszych napadów na nasz kraj, odzyskać wszystkie terytoria stracone poprzednio przez królestwo, zapłacić Habsburgom zawczasu przewidzianą karę za zerwanie umów o małżeństwie Jadwigi z Wilhelmem - dwieście tysięcy florenów. Wielkie Księstwo Litewskie miało być do Polski „przyłączone”.

W łacińskim oryginale dokumentu użyto słowa „*applicare*” i spór o jego znaczenie nie przestaje pasjonować najteższych historyków. Słuszny wydaje się jednak domysł Henryka Paszkiewicza, że Jagiełło rozmyślnie wyraził się ogólnikowo, by móc później interpretować własne zobowiązanie, jak będzie wygodniej. Teza uczonego jest zgodna z niezmienną zasadą polityki, nakazującą stosować postępowanie do okoliczności.

Przyjęło się zwracać pilną uwagę na zobowiązania litewskie, a polskie zbywać ogólnikami. Taka metoda doprowadziła niektórych do pomawiania Jagiełły o zdradę interesów własnej ojczyzny. Ożenił się dobrze i został ukoronowany - to miało być wszystko. Istotnie niewiele, lecz tylko w oczach ludzi przyzwyczajonych do monarchii konstytucyjnych, których władcy są jedynie symbolami, „panują, ale nie rządzą”. W XIV wieku uprawnienia króla w Polsce były bardzo poważne, że unikniemy przesadnych określeń. On był właścicielem dóbr koronnych, szafarzem dostojństw, najwyższym sędzią, a przede wszystkim niezaprzeczalnym

kierownikiem polityki wewnętrznej i zagranicznej, nie tylko przełożonym, ale i rzeczywistym dowódcą całej armii. (Powie ktoś: magnaci ograniczali jego władzę. - Przez rozdawnictwo dóbr oraz urzędów, a także przez opieranie się na warstwach niższych można było wpływać na możnowładztwo i trzymać je w szachu.)

Tak kluczowe stanowisko Polacy oddali we władanie Litwinowi, mężowi liczącemu około trzydziestu pięciu lat życia, a więc w pełni dojrzałemu, mającemu własne koncepcje oraz przekazane przez przodków tradycje postępowania. Monarcha połączanego państwa mógł używać jego sił i środków dla osiągnięcia tych samych celów politycznych, do jakich zmierzał jeszcze przed unią. Wkrótce zobaczymy, że tak właśnie czynił.

Korona polska dla Jagiełły to była wartość i cena wręcz ogromna. Wielkie Księstwo Litewskie zostało pod względem terytorialnym bardziej czy mniej teoretycznie „przyłączone” do Polski, natomiast ta ostatnia w sposób jak najbardziej rzeczywisty włączyła się do dotychczasowej polityki litewskiej.

Akt krewski zobowiązywał Jagiełłę do odzyskania terytorialnych strat Korony. Odebrać Pomorze, Śląsk, Ruś Czerwoną czy lenna Opolczyka można było siłami polskimi, nigdy bez nich. A więc w gruncie rzeczy Jagiełło obiecał, że objąwszy kierownictwo polityczne państwa najważniejszych dla Korony spraw nie zaniedba, doprowadzi je do pomyślnego końca.

Unię uważa się czasem za przejaw zaborczych dążeń polskich, a zwłaszcza już małopolskich wielmożów, którym raptem zamajaczyły rozległe dobra na wschodzie. Nie historycy, lecz publicyści posuwają się aż do twierdzeń, że w krótkim czasie Polacy przywłaszczyli sobie w Wielkim Księstwie wszystko, co przedstawiało jakąkolwiek wartość. Miał to być zatem podbój, osłonięty różnymi pięknymi deklaracjami.

Przykładów polityki zaborczej znamy wiele. Moglibyśmy mówić o mocarstwach, które pod koniec XVIII wieku podzieliły Polskę, ale to by wymagało wybiegania w przód. Poprzestańmy więc na Brandenburgii i Niemczech zagarniających ziemie zachodniosłowiańskie i polskie. Uczynić to tym łatwiej, że zarówno w XII, jak i w XVIII stuleciu zasada okazywała się ta sama: siłą lub matactwami zostaje zajęty pewien obszar kraju i bez względu na to, jakie prawa utraci albo otrzyma podbita ludność, przestają istnieć jego dotychczasowe dążenia polityczne. Nie liczą się, są przekreślone. Zdobywca może je niekiedy wyzyskiwać jako pretekst do dalszych podbojów, lecz naprawdę zmierza wyłącznie do swych własnych celów. Kraj traci indywidualność polityczną, przestaje być sobą. Według tej reguły postępowali w Prusach Krzyżacy.

Unia polsko-litewska nie przekreśliła żadnego z problemów wewnętrznej i zagranicznej polityki Wielkiego Księstwa. Ani jednego! One wszystkie nadal trwały, a ci, którzy po roku 1386 dążyli do ich załatwienia, posługiwali się środkami już nie tylko miejscowymi, litewskimi, lecz i polskimi.

Między unią a zaborem jest dokładnie taka sama różnica jak między białym a czarnym.

Aż do czasów unii Polska była normalnym, przeciętnym krajem europej-

skim. Zadania, jakie przed nią stały, rozwiązywała wcale nie najgorzej, a zważywszy ciężkie okoliczności, można powiedzieć, że nawet dobrze. Miała widoki na dalszy rozwój i ograniczone sukcesy, polegające na odzyskaniu tego, co jej zabrano. Mogła zostać zwykłym państwem jednego narodu, jakich sporo na kontynencie. Zawarłszy unię, do spółki z Litwinami oraz licznymi Rusinami stworzyła problematykę, której w ogóle nigdy i nigdzie przedtem nie było. (Wewnątrz wspólnego państwa przebiegały granice wiar i kultur.) Nie istniały żadne precedensy, nikt nie umiał, ba! - nie próbował rozwiązywać zagadnień tak rozległych i zawiłych, nie miał po temu okazji. A wszystko to stało przed ówczesnymi politykami nagle, bez wstępów, przygotowań i stopniowego wdrażania się w robotę.

Wydaje się, że mnogość i rozmiary zadań do rozwikłania, a także nagłość dokonanej przemiany są głównymi cechami stworzonego przez unię układu stosunków. One też tłumaczą przyszlą klęskę wspólnego dzieła, które okazało się nie na miarę sił ludzkich.

Godne pilnej uwagi, czy i o ile współcześni rozumieli, jakie znaczenie ma ślub Polski i Litwy, czyli - w prozie politycznej - połączenie plusów i minusów obu państw. Pouczająca jest pod tym względem kronika Długosza, człowieka stojącego na wysokim poziomie umysłowym. Pomimo wszystko, nawet pomimo jego niezwyklej przenikliwości, o której będzie mowa w rozdziale o Kazimierzu Jagiellończyku - odnosi się wrażenie, że nie w pełni pojmował on, jak bardzo skomplikowane było położenie Litwy na wschodzie. Bez porównania lepiej znał sprawy krzyżackie, śląskie i w ogóle zachodnie. Jeśli piszący w XV wieku uczony kanonik nie rozumiał, co zapowiada wspólna litewsko-polska wyprawa na Moskwę w roku 1408, to cóż mówić o pokoleniu jego dziadów? A ono właśnie zawierało unię. Wolno żywić przekonanie, że spomiędzy dwóch podpisujących ją stron Litwini byli znacznie lepiej poinformowani o sytuacji ogólnej. Orientowali się zarówno w problemach krzyżackich, jak i moskiewskich. Już dawno temu zauważono, że z punktu widzenia Jagiełły „przyłączenie” Litwy do Polski oznaczało wciągnięcie tej ostatniej do walki ze wszystkimi wrogami Wielkiego Księstwa. Z Krakowa do niektórych stolic owych dotychczas cudzych wrogów było bardzo daleko, a stąd i znajomość rzeczy musiała być odpowiednio mniejsza.

Spisane akta zawierały tylko uzgodnione warunki, wiadomości o motywach własnych decyzji każdy taił dla siebie, a jeśli nawet umieszczał je w dokumentach, to nie wszystkie. Nie było żadnego rzucania się sobie w objęcia, skoro Jagiełło musiał dawać własnych braci na zakładników szczerości swych poczynań.

O powodach, którymi kierowali się Polacy, wiemy z owych umów oraz z dzieła Długosza. Były to: chęć rozszerzenia chrześcijaństwa, nabycia krajów obcych, odzyskania strat, zabezpieczenia wschodniej granicy oraz... posiadanie na tronie króla obcokrajowca.

Ten ostatni motyw, jako pozornie najdziwniejszy, trzeba rozpatryć najpierw. Ukształtował się on pod wpływem przeżyć z czasów andegaweńskich, o których już była mowa. Monarcha cudzoziemiec czuł się mniej pewnie, musiał wdawać się w targi ze szlachtą i zdobywać sobie

jej przychylność. Za Ludwika Węgierskiego Małopolska doświadczyła tego w całej pełni i właśnie ona energicznie zwalczała kandydaturę rodzimą - Ziemowita IV - popierała zaś obcą. Zjawisko zupełnie zrozumiałe i znajdujące takie czy inne odpowiedniki w dziejach całej Europy. Dążenie do zysków oraz przywilejów i niechęć do ponoszenia ofiar są w historii zjawiskami stałymi.

Co do rozszerzenia katolicyzmu - wysuwano tę kwestię na plan pierwszy, akt unii oddano na przechowanie do archiwum kapituły krakowskiej, ale w gruncie rzeczy traktowano z polityczną oględnością, a już na pewno bez fanatyzmu. Jagiełło ochrzcił Litwę po koronacji, a nie przed nią, jak obiecał. Główną rolę w Wielkim Księstwie powierzył Skirgielle, który na parę lat przed unią przyjął prawosławie oraz imię Iwana.

Chęć nabycia krajów obcych odnosiła się oczywiście do Rusi, lecz należy wystrzegać się przesady i sugestii czasów o wiele późniejszych. Zainteresowania panów polskich sięgały najwyżej Podola i nic nie wskazuje, że chodziło im o Smoleńsk czy Kijów (nie mówiąc już o Kałudze, leżącej wówczas na samej granicy Litwy i Moskwy). W darowiznach Jagiełły dla naszych wielmożów widzieć trzeba przejaw jego szerszej myśli politycznej, zmierzającej do wciągnięcia sił polskich w sprawy wschodnie. Jak celnie zauważył Paszkiewicz, Jagiełło pragnął zaszczepić Polakom przekonanie, że walcząc gdzieś daleko na wschodzie - bronią Wisły.

Temat zmusza powołać na świadka postać już tu kilkakrotnie wspomnianą - Dymitra z Goraja. Zajmował on jedno z naczelnych stanowisk w grupie panów małopolskich, aczkolwiek z pochodzenia nie był wcale Polakiem, lecz Rusinem. Już Kazimierz Wielki uczynił go podskarbinem, który to urząd pod względem znaczenia szedł zaraz po kanclerskim. Dymitr odznaczał się nadzwyczajną wiernością dla dynastii piastowskiej, a potem dla Jadwigi, która uchodziła w Polsce za dziedziczkę nie ojca, Ludwika, lecz Kazimierza. Należał do zdecydowanych zwolenników unii, widział w niej korzyść dla swej rodzinnej Rusi Czerwonej. Podjął się przecież misji tak trudnej i ważnej jak poselstwo do Malborka z zaprosinami wielkiego mistrza w kumy. Jak widzimy, samo pojęcie „panowie małopolscy” jest mętne i od ścisłości dalekie. Uważanie tej grupy za przedstawicielkę nacjonalizmu polskiego byłoby błędem bardzo poważnym.

Następne zobowiązanie Jagiełły dotyczyło odzyskania strat. Panuje zgodne przekonanie, iż na pierwszym planie stała Ruś Czerwona, na dalszym Pomorze i Śląsk. Tak było niewątpliwie, ale nie powinno się tracić z oczu rzeczy jasnej jak słońce, mianowicie, że odebrać Ruś osłabionym Węgrom było całkiem łatwo, wydrzeć Pomorze Krzyżakom, a Śląsk Luksemburgom - niesłychanie trudno. Spełnienie pierwszego celu wznagało siłę państwa, a win przybliżało osiągnięcie następnych.

Wiążąc się z Litwą Polska mierzyła w Krzyżaków, lecz na razie wcale się nie kwapiła do rozgrywki z nimi i miała słuszność, bo czas pracował na jej korzyść. Doktryna odraczania stanowiła spadek po Kazimierzu Wielkim, który na kilkadziesiąt lat zapewnił krajowi spokój od strony

Zakonu i dzięki temu ocalił państwo.

Nadzwyczaj interesująco przedstawia się sprawa zabezpieczenia wschodniej granicy Korony. Już przed wojną wykazano, że jeśli w okolicach Wiślicy mieszkało wtedy do trzydziestu ludzi na kilometr kwadratowy, a w Sandomierskiem do dwudziestu dwóch, to na Wyżynie Lubelskiej średnio jeden człowiek. Mapa dołączona do I tomu *Historii Polski* PAN dowodzi tej samej prawdy. Granicą gęstszego zaludnienia była Wisła. W okolicach samego Lublina, na glebach urodzajnych, mieszkało do trzech ludzi na kilometr kwadratowy. Taki był rezultat częstych najazdów tatarskich, lecz także, a nawet przede wszystkim... litewskich. Przypomnijmy, że w roku 1376 - na dziesięć lat przed unią! - Kiejstut doszedł do Tarnowa, zostawiając za sobą zgliszcza. Małżeństwo Jadwigi zabezpieczało kraj przed klęskami, które nie pozwalały na gospodarczy rozwój ziem, mających po temu wszelkie warunki, i powodowały bezmiar nieszczęść ludzkich. Litwini porywali mieszkańców tysiącami, gnali ich do siebie na zawsze, nie oszczędzali kobiet ani dzieci. Nie mogli poważnie zagrozić bytowi państwa. Ich prymitywna polityka łupieska ciągle niszczyła pogranicze, upuszczała rzekę krwi. Zapobiec można było temu dwojakim sposobem. Razem z Krzyżakami zgnieść i wytępić Litwę (jak poprzednio do spółki z Rusią zgniotło się Jadźwingów) albo zawrzeć z nią taki układ, który by wykluczył napady. Najwięcej polskich błogosławieństw spłynęło na głowę Jadwigi za spokój od wschodu. Wolno to uznać za pewnik, a chęć zabezpieczenia tej granicy za jeden z głównych powodów unii po stronie Korony. W danym wypadku stanowe interesy magnatów pozostawały w idealnej zgodzie z dobrem narodu. Komesowie posiadali za Wisłą liczne majątki i chcieli mieć z nich zyski zamiast strat. Ten sam wzgląd oddziaływał na takich jak Dymitr z Goraja magnatów z Rusi Czerwonej, także nękaney najazdami, a spragnionej pokoju.

Ludzie mogli snuć rozmaite przewidywania co do dalszych losów unii, na pewno liczyli na potomstwo Jadwigi. Na razie otrzymywali rzecz powszechnie w kraju pożądaną - pokój. W średniowieczu małżeństwa między panującymi były zwykłym środkiem ułatwiającym takie cele.

Istnieje jeszcze jedna okoliczność. Mówi się o niej dosyć rzadko, najpewniej dlatego, że dotyczyła kwestii życiowej, czysto praktycznej, a nie górnych założeń czy teorii.

Jadwigę należało zyskownie wydać za męża. Za kogo? Książąt niemieckich Polacy skreślili z listy, i to w sposób jak najbardziej stanowczy, o żadne egzotyczne mariaże się nie ubiegali, co znakomicie o nich świadczy. W praktyce pozostawali dwaj kandydaci - Ziemowit IV oraz Jagiełło. I właśnie ich dotyczyła stoczona w kraju rozgrywka. Obaj rokowali korzyści - Wielkopolska wcale nie warcholiła opowiadając się za Piastem, rozumowała realnie. Można się nawet zastanawiać, czy zwycięstwo Ziemowita nie byłoby swoistym powtórzeniem tego, co w XIV wieku uczyniły francuskie Stany Generalne, które po wygaśnięciu Kapetyngów odrzuciły spadkobiercę po kądzieli, króla Anglii, i powołując członka młodszej odrośli dynastii, pierwszego z Walezjuszy, ocaliły zasadę monarchii narodowej. Ale w dziedzinie stosunków międzynarodowych

Litwin nieskończenie górował nad Mazowszaninem, co Ziemowit IV ostatecznie sam uznał.

Podsumowujemy: w istniejących podówczas realnych okolicznościach unia z Litwą leżała niemal w naturze rzeczy.

Motywy, którymi powodowała się Litwa, były o wiele bardziej skomplikowane.

Na pierwszym miejscu stało na pewno niebezpieczeństwo krzyżackie. Twierdzenie powyższe poprzez można mnóstwem argumentów, a wśród nich jednym szczególnie wyrazistym. To Jagiełło umyślił zaprosić von Rottensteina na własnego ojca chrzestnego. Od razu widać, kogo chciał zaszachować i jaką korzyść najpierw osiągnąć.

Zakon zagrażał obu stronom, lecz w sposób i w stopniu zupełnie w danej chwili różnym. Starcie z nim było dla Polski kwestią przyszłości (jak się okazało, odległej jeszcze o ćwierć wieku niemal). Litwa już zmagala się śmiertelnie, władcy jej musieli zawierać z mistrzami katastrofalne układy, rejzy krzyżackie docierały pod Troki, Wilno i jeszcze dalej. Na wiosnę 1381 roku Zakon po raz pierwszy w swych dziejach wyprowadził w pole działa, osiągając piorunujące skutki - i to na prawym brzegu Niemna, w rdzennej Litwie.

Rozprawa z Polską miała być dla Malborka najpoważniejszą z prób w ogóle kiedykolwiek przebytych. Już z Łokietkiem szło ciężko, a Kazimierz wzmocnił wszak królestwo ogromnie, zreformował system obronny, zbudował łańcuchy twierdz. Była już mowa o tym, że istniały na Litwie pomysły przeniesienia się na Ruś, czyli całkowitej rejterady przed Niemcami. Jagiełło przyrzekł oddać Żmudź po Dubisę, Witold obiecał jeszcze więcej, bo po Niewiażę, a ponadto całą Kowieńszczyznę.

Krzyżacy odegrali znaczną rolę podczas zatargów Jagiełły z Kiejstutem, których przedmiotem była władza wielkoksiążęca. Stosunki wewnętrzne na Litwie były niezmiernie dalekie od uporządkowania. Tron był dziedziczny w r o d z i e Giedymina, którego potomkowie liczyli się na dziesiątki ambitnych głów. Po śmierci wspomnianego księcia zostało siedmiu kandydatów do pierwszeństwa, po Olgierdzie liczono ich dwudziestu. W korespondencji z wielkim mistrzem sam Jagiełło wyraził się o krewnych: „kłębowisko żmij”.

Równowaga za Olgierda i Kiejstuta opierała się na dobrych stosunkach osobistych, a nie na trwałej zasadzie prawnej. To samo planowano na przyszłość, wychowując Jagiełłę i Witolda w przyjaźni, na współrządców. Jagiełło miał kilku starszych braci, pomimo to awansował, ponieważ ojciec najbardziej mu sprzyjał. Względy personalne nie stwarzają żadnej solidnej podstawy. Za dobrze zorganizowane wolno uznawać jedynie takie państwo, gdzie prawo względy owe ogranicza, pozbawia roli decydującej.

Jako król polski Jagiełło od razu zajmował przemożne stanowisko... na Litwie, mógł uczynić władzę wielkoksiążęcą dziedziczną w swojej własnej r o d z i n i e . Wiele razy wspominało się w tej książce o osiągnięciach Francji, Polski piastowskiej czy Moskwy, polegających na stworzeniu odskoczni, punktu oparcia. Po unii taką podstawą rządzącej w obu krajach dynastii Jagiellonów stała się Polska. Była gęściej zaludniona, znacznie lepiej zagospodarowana, zorganizowana i uzbrojona, stała na bez

porównania wyższym szczeblu rozwoju kulturalnego.

Dla Jagiełły i jego otoczenia unia była uczynkiem świadomie dokonanym na korzyść narodowego żywiołu litewskiego, który w Wielkim Księstwie stanowił zdecydowaną mniejszość, na polu kultury pod każdym względem ulegał ruskiemu. Zdobył imperium i okazał się niezdolny do nadania mu litewskiego oblicza. Kultura - wcale nie po raz pierwszy w dziejach - dowiodła, że jest silniejsza od oręża.

Te okoliczności sprawiły zapewne, iż Litwa właściwa tak długo trwała przy pogaństwie. Prawosławie uczyniłoby może z Wilna ośrodek atrakcyjny dla Rusinów, a przez to naprawdę groźnego współzawodnika Moskwy, która korzystała z niechęci współwyznawców do „złowiernych”. Ale po przyjęciu go narodowość litewska utraciłaby jakiegokolwiek szanse przetrwania. Cerkiew używa języka słowiańskiego, obrządek rzymski w liturgii zna tylko łacinę, tak zwane nabożeństwo dodatkowe odbywa się w mowie miejscowej. Głównych modlitw nauczał Litwinów sam Jagiełło - w jego oraz ich własnym języku.

Nie bez znaczenia było i to, że litewski zachowuje wiele cech archaicznych, a więc wydaje się podobny właśnie do łaciny. Coś z tego wynikało dla ludzi ówczesnych, skoro Długosz nie zawahał się poważnie twierdzić o tym narodzie:

z jego mowy, składu wyrazów i brzmienia, rozmaitych wreszcie okoliczności wnosić można, że Litwini i Żmudzini są pokoleniem Latynów, i jeśli nie od Rzymian, przynajmniej od jakiegoś szczepu latyńskiego pochodzą.

Łacina wzmagала poczucie litewskiej odrębności narodowej. Wspomnijmy jeszcze fakt, o którym dobrze wiedzą mieszkańcy ziem dawnego Wielkiego Księstwa. Litwini w ogóle nie ulegają polonizacji. Oni się białorusinizują, a dopiero między Białorusinami a Polakami odbywa się wymiana w obie strony.

Jagiełło w żaden sposób nie mógł przewidywać spolszczenia się szlachty litewskiej. W chwili zawierania unii on i bojarstwo mówili po rusku. To był urzędowy język Wielkiego Księstwa. Akt ułatwiający przyszłą, lecz wcale nie zamierzoną polonizację dokonał się więc grubo przed unią.

Postanowiono, że wszyscy Litwini mają przyjąć obrządek rzymski. Prawa i przywileje przez czas długi nadawano tylko katolikom, a więc Litwinom.

Rusini pozostali przy prawosławiu. Nie tylko oni, bo - jak się dowiadujemy od Długosza:

inni książęta litewscy, którzy już dawniej chrzest według greckiego obrządku byli przyjęli, do ponowienia albo, iż lepiej się wyrażę, do uzupełnienia chrztu świętego nie dali się nakłonić.

Wśród nich Skirgiełło, główny pomocnik Władysława. Gra polityczna była zdecydowana, lecz ostrożna, bez palenia mostów i kopania przepaści.

„Litwa ma dwóch głównych wrogów, zakon krzyżacki i Moskwę” - pisał

Olgierd do patriarchy carogrodzkiego. Zdziwiająca rzecz, ale fakt niezbity: przy ocenie powodów oraz wyników unii najczęściej się lekceważy to olbrzymiej wagi wyznanie największego polityka litewskiego. Tymczasem przegląd wypadków, który wkrótce w tym tomie zostanie dokonany, uzmysłowi, że Władysław Jagiełło zapamiętał sobie testament ojca jak „amen” w przez siebie samego położonym pacierzu. Uzyskanych sił polskich używał na obydwu frontach. Jakże można go posądzić, że rozmyślając o unii nie brał pod uwagę wschodniego przeciwnika? W roku 1380 chodził nad Okę i Don, za dotkliwą cenę kupiwszy sobie spokój od zachodu. Na pewno pamiętał o tym w pięć lat później. Unia też dawała mu spokój od strony zachodniej, ponadto jeszcze ogólną poprawę położenia i silne poparcie nie byle jakiego królestwa.

Księstwo litewskie stało wobec licznych i ciężkich zadań. W każdej sprawie związek z Polską przynosił mu korzyść. Toteż trzeba uznać unię za wielkie osiągnięcie państwowej myśli litewskiej. Jagiełło popisał się nie lada kunsztem. Decyzje, które powziął w latach 1383-1385, same przez się stawiają go w rzędzie wybitnych postaci dziejów Europy.

Od niepamiętnych czasów istnieją w polityce pewne zasady, jeśli nie dziedziczone przez pokolenia, to ciągle na nowo odkrywane, bo samo życie do tego zmusza. Jedną z nich da się tak streścić: wróg mego wroga jest mi sprzymierzeńcem. Starożytni Galowie nie interesowali się Afryką, lecz radzi byli Hannibalowi, walczącemu z Rzymianami. W dwa przeszło tysiące lat później rzeczpospolita Francuska pilnie zabiegała o względy Aleksandra III, który ustrojów republikańskich nienawidził i pogardzał nimi. Nieco potem Edward Herriot, najbardziej mieszczański polityk pod słońcem, pojechał do komunistycznej Moskwy, głosił potrzebę porozumienia z nią i dopiął swego. I za Aleksandra, i za Herriota między Francją a Rosją leżały groźne Niemcy.

W myśl tej zasady Polska XIV wieku nadawała się nie na wroga, lecz na sprzymierzeńca Moskwy. Litwini, którzy oblegali sam Kreml, podchodzili również pod Tarnów, bywali na Łysej Górze. Unia unicestwiła widoki tego sojuszu, który prędzej czy później (w każdym razie po rozprawie z Krzyżakami) mógł Litwie zagrozić. Kreml znalazł sobie na Zachodzie partnerów, lecz dopiero u schyłku XV wieku. W dodatku ci jego przyjaciele polityczni mogli cisnąć nie na Litwę bezpośrednio, lecz na Polskę.

Brak dowodów, że Jagiełło przewidywał to wszystko. Zresztą nie o to chodzi. Próbujemy w takiej chwili ocenić, co - w dziedzinie faktów - zyskał dla Litwy, decydując się na związek z Polską.

Zastanawiając się nad wynikami unii nie należy zapominać, że dla Polski oznaczała ona między innymi rozbrat z prawidłem, które wolno zaliczyć do techniki politycznej. Dla powstrzymania się od sądów zbyt pochopnych pamiętajmy jednak, że świat katolicki bardzo późno w ogóle „odkrył” Moskwę. Stało się to aż w drugiej połowie XV wieku, po zdobyciu Konstantynopola przez Turków. Pierwszym odkrywcą był papież.

Z wywodów tych nie ma wcale wynikać posądzenie ówczesnych Polaków o polityczną naiwność. Oni się bynajmniej nie dali „nabrać”. Unia z Litwą otwarła przed Koroną niebywałe widoki, tak nawet wielkie, że sami twórcy aktu nie byli zdolni do pełnej oceny. Przez całe stulecie po

unii zadatki na końcowe zwycięstwo znajdowały się po stronie polsko-litewskiej. Jeszcze się nie narodził mąż stanu umiejący przewidywać konkretne wypadki chociażby o wiek naprzód. Wielonarodowy twór polityczny, który zaczął się zrastać u schyłku wieku XIV, doznał załamania dopiero w połowie XVII, a zgładzony został przemocą aż w końcu XVIII stulecia.

Większe i więcej korzyści otrzymała Litwa. Przetrwała jeszcze długo jako państwo, na co przed unią zdecydowanie przestawało się zanosić, ocaliła swą narodowość, której sam byt został wtedy jak najpoważniej zagrożony, a nawet terytorium przymorskie, już prawie zagarnięte przez Krzyżaków. (Alfred Rosenberg, teoretyk rasizmu, narzekał, iż nawet w dniach największych triumfów niemieczyzny za Bismarcka jeden odcinek wybrzeża wschodniego Bałtyku oparł się zalewowi germańskiemu - był to „klin litewski” koło Połangi. Rosenberg w swych rozważaniach stosował pewną niezłomną zasadę - nie dostrzegał nawet istnienia Polski, cóż dopiero jej dziejowego dorobku i roli.)

Z tego, że Litwa dużo zyskała, nie wynika żaden zarzut ani wyrzut pod adresem Polski. Wprost przeciwnie! Dziś, kiedy rachunki polityczne rozpoczęte przez unię są zamknięte, trzeba tym silniej podkreślać, że średnio-wieczna Polska to był kraj zdolny do dawania wielkich wartości, z których wcale nie wszystkie przepadły w katastrofie. Były bowiem wśród nich i takie, co nie mogą ulegać zniszczeniu.

Zanim się przejdzie do opowiadania o powszednim dniu historii - więc także o zwycięstwach wojennych, choćby i największych - trzeba koniecznie wspomnieć przedtem o zjawiskach nadrzędnej kategorii. Nie należy mieszać rang. Dlatego rzeczy, o których za chwilę, muszą się znaleźć w rozdziale omawiającym najważniejsze problemy unii.

W rok po swej koronacji Władysław Jagiełło nadał Wilnu prawa miejskie. Przywileje uzyskiwane przez to miasto są zebrane w tomie wydanym w końcu XVIII wieku przez jego burmistrza, Dubińskiego. W postanowieniach tych co chwila spotyka się zwroty: „jak Kraków”, „na wzór Krakowa”, „jak miasto krakowskie”.

Mówi się, że Jagiełło przyznał swej stolicy wielkoksiążęcej „prawo magdeburskie”. Jest to nieściskość. Obdarzył Wilno ustawami charakterystycznymi dla całej zachodniej i środkowej Europy, ale już w polskim opracowaniu czy przeróbce. Trzeba by więc właściwie mówić o „prawie krakowskim”.

W 1388 roku Witold dał przywilej najstarszej na Litwie gminie żydowskiej, znajdującej się w Trokach. Dokument zawierał powtórzenie przepisów obowiązujących od dawna w Polsce dzięki Bolesławowi Pobożnemu i Kazimierzowi Wielkiemu.

Oba te fakty, odnoszące się wszak nie do magnatów czy szlachty, lecz do ludzi prostych, nawet upośledzonych, ilustrują prawdę. Oto skutek unii Wielkie Księstwo Litewskie uzyskało niezaprzeczalnie prawo korzystania z całego dawniejszego dorobku Polski, który wcale na lekceważenie nie zasługiwał, dostało ten dorobek na własność. To, co Polska zdobywała przez wieki, ogromnym kosztem, nieraz krwawo, po wstąpieniu Litwina na tron wawelski za jego wiedzą i zgodą zaczęło się przescheczać na Litwę -

bez dodatkowych opłat z jej strony.

Jagiello objął rządy nad państwem składającym się z dwu zupełnie różnych części, musiał więc dążyć do wyrównania istniejących w nich stosunków. Nie mógł i nigdy nie chciał pozbawiać Polaków tego, co już mieli, ściągać ich w dół, obniżać poziomu ich życia. Jedno mu więc pozostawało - pracować nad podniesieniem Litwy. Od razu zaczął urzeczywistniać ten program, który stanowił godną największego szacunku treść dziejów kilku późniejszych stuleci.

Kto inny może by próbował odgrodzić Litwę od wpływu Polski, w tej ostatniej zaś zaprowadzić rządy despotyczne. Taki zamiar zupełnie nie pasował do charakteru Władysława Jagiełły. Osobowość człowieka obdarzonego w roku 1386 koroną polską odegrała dużą rolę.

Wiadomości o nim czerpiemy przede wszystkim z dzieła Jana Długosza, który go nie lubił i nieraz dawał upust swej niechęci, popełniając rażące niesprawiedliwości. Nie odmówił sobie satysfakcji i dokładnie opisał zabobony Litwina. Miał więc Jagiello przed przekroczeniem każdego progu łamać słomkę na trzy części lub trzykrotnie obracać się na pięcie. Figurze diabła, zrzuconej na posadzkę kościoła podczas wielkopostnych misterii, kazał postawić dwa ogarki, mimo woli wzbogacając polszczyznę o słynne przysłowie. Nie ma podstaw do przeczenia tym opisom Długosza, nacechowanym złośliwą uciechą.

Jeszcze ważniejsze i bardziej wiarogodne są inne informacje. Jagiello - tak samo jak Witold - nigdy nie brał do ust wina, piwa ani miodu, pijał tylko czystą wodę, którą najtrudniej zatruć. Nikt, z wyjątkiem raz na zawsze wyznaczonego dworzanina, nie miał prawa dotykać szat, naczyń stołowych, a zwłaszcza noży królewskich.

Jagiello wzrósł w atmosferze kulturalnego prymitywu i okrucieństwa. Ojciec i dziad jego matki, Julianny twerskiej, zginęli na dworze chanów zamordowani z powodów politycznych. Jak świadczą fakty, Jagiello aż do końca swego długiego żywota nie wyrzekł się osobistych ostrożności. Jednakże w nowym otoczeniu rozkwitły inne cechy jego charakteru, przede wszystkim wrodzona dobroć, życzliwość wobec ludzi.

Kraj, do którego przybył, osiągnął już rzeczy szacowne i stał na samym przedprożu dużego rozkwitu kulturalnego. Posiadał tradycję uniwersytecką, szkoły oraz spisane prawo. Istniała w Polsce - i to od dawna - opinia publiczna, nawykła do sądzenia samych monarchów i do głośnego wypowiedziania wyroków. Taki charakter nosiła kronika Kadłubka, ukończona w XIII wieku, i tradycja musiała trwać, rozwijać się nieprzerwanie, skoro żyjący w XV stuleciu Długosz poczynając sobie, jako pisarz, najzupełniej swobodnie. Książka jego mieści nie tylko krytykę nie lubianego przez autora króla i jego synów, czerpiemy z niej ponadto takie wiadomości o poczynaniach papieży, książąt Kościoła oraz biskupów, że współczesny nam pisarz katolicki wolałby pewnie schować je pod sukno. Kanonik krakowski i arcybiskup nominat lwowski głośno opowiada i utrwala piórem, że włoski dominikanin otruł cesarza udzielając mu komunii, a pewien metropolita gnieźnieński był oskarżany o namawianie królowej do zdrady małżeńskiej. Taka bezceremonialna prawdomówność świadczy o panującej w królestwie atmosferze wolności, charakterystycz-

nej zresztą dla średniowiecznej Europy.

Długosz stał wysoko w hierarchii społecznej i politycznej. Ale współczesny mu lud śpiewał pieśni i urządzał widowiska piętnujące Przemysła II za żonobójstwo. A więc dopuszczalna była w Polsce XV wieku publiczna krytyka monarchy, który wprawdzie od dawna już nie żył, nie przestawał jednak zaliczać się do przodków Jadwigi. Z takiego stanu rzeczy musiało wynikać powszechne przekonanie, że król także podlega osądowi moralnemu, a trybunałem jest ogół.

Przenosząc się do Polski przekroczył Jagiełło granicę dwóch kultur. Z nim było zupełnie inaczej niż z Piastami, którzy przyjmując chrzest zetknęli się ze światem równie okrutnym jak ówczesna Polska i stojącym na tym samym mniej więcej poziomie cywilizacyjnym. Litwin znalazł się w otoczeniu zupełnie dla siebie nowym- Nie wyrzekł się wielu dawnych obyczajów ani ostrożności. Katolickie kościoły kazał zdobić malowidłami bizantyńskimi, które lubił. Drażliwy i żądny sławy, grubo przekroczył granice rozsądnej hojności, poważnie uszczuplając skarb państwa.

Nierozważną szczodrotą i rozrzutnością więcej krajowi uczynił uszczerbku niż inni chciwością i łakomstwem

- napisał Długosz, tym razem sprawiedliwie, bez przesady, Założyciel nowej dynastii zapoczątkował w Polsce nowy styl rządzenia, zupełnie różny od piastowskiego - aż nazbyt ustepliwy i łagodny wobec magnatów i szlachty.

W dwadzieścia kilka lat po unii wystawił Jagiełło wielki dokument swobód dla szlachty litewskiej, w którym kazał napisać:

jako zawsze troskliwie staraliśmy się o dobro ziem litewskich i mieszkańców ich Litwinów, naszemu panowaniu podległych, dla których nieraz otwieraliśmy radzi rękę naszej szczodroblewości, tak i teraz [...] zdejmując z ich karków jarzmo niewoli, którymi dotychczas byli uciskani...

W następnym rozdziale będzie się szerzej mówiło o tym akcie, wydanym w Horodle w roku 1413. Obecnie trzeba tylko wymienić pewne jego szczegółowe postanowienia, by dowieść, że słowa o „jarzmie niewoli” nie były przenośnią czy deklamacją, i scharakteryzować ogólne położenie wewnątrz połączonego państwa. Mówił więc Jagiełło o prawach, które właśnie nadawał Litwinom-katolikom:

rzeczeni panowie i szlachta mogą dziedziczyć dobra swe ojczyste, podobnie jak panowie i szlachta w królestwie polskim [...] Toż i po śmierci rodziców dzieci nie mogą być pozbawiane swoich dóbr dziedzicznych, ale posiadać je mają i dziedziczyć wraz ze swymi potomkami, tak jak je panowie i szlachta królestwa polskiego posiadają i według woli na swój obracają użytek. Podobnież żonom posagi na dobrach i wsiach, które dziedzictwem po ojcach lub z nadania naszego posiadają lub posiadać mogą, wolno im będzie zapisywać, tak jak je w królestwie polskim zapisują. Córki zaś, siostry, krewne i powinowate rzeczeni panowie i szlachta ziemi

litewskiej będą mogli wydawać jedynie za katolików, lecz małżeństwa te kojarzyć mogą według swej woli, zwyczajem w królestwie polskim od dawna zachowywanym.

W XII wieku książęta polscy zrzekli się prawa do „łupu” po zmarłych biskupach, bo w stosunku do świeckich wielmożów w ogóle takiego prawa nie mieli. Statuty Kazimierza Wielkiego zabroniły dziedzicom zagarniać mienie bezpotomnie zmarłych chłopów, przeznaczając je najbliższemu krewnemu. Dopiero w XV wieku czterdzieści osiem dokładnie wymienionych rodów litewskich - wśród nich Radziwiłłowie - otrzymuje prawo sporządzania testamentów oraz decydowania o małżeństwach własnych córek.

Swym poddanym ze wschodu musiał Jagiełło nadawać podstawowe uprawnienia obywatelskie i ludzkie, w dosłownym sensie wyzwalać ich z jarzma niewoli. W tym samym czasie musiał utrzymywać w korbach magnatów Korony, którzy jego samego - Władysława II - wynieśli na tron polski i potrafili lekceważyć, a za Andegawenów przywykli targować się z władzą, stawiać warunki. Zakłócenia równowagi można było unikać chyba tylko cudem.

Takich zadań, podobnych do kwadratury koła, unia stworzyła wiele.

Od razu po jej zawarciu zachodnioeuropejski dorobek kulturalny i cywilizacyjny niepowstrzymanie popłynął na wschód, i to zasadnicze zjawisko ważne jest przy każdej ocenie, roszczącej sobie pretensje do sprawiedliwości.





Władysław Jagiełło

1

Wielki mistrz Konrad Zoellner von Rottenstein nie przyjechał na chrzest Jagiełły, ale w sprawach polsko-litewskich na inny sposób gorliwie uczestniczył. Jeszcze kiedy tamci układali się w Krewie, powiódł przeciwko Litwie wielką wyprawę i dotarł aż za Wilno, do Oszmiany. Uroczystościom krakowskim z lutego 1386 roku towarzyszyły w czasie groźne wypadki na północnym wschodzie. Najstarszy z Olgierdowiczów, Andrzej Garbaty - główny wróg Jagiełły - uznał się nieco wcześniej za lennika Zakonu i poddał mu swoje księstwo połockie. Wytworzyła się sytuacja nadzwyczaj niebezpieczna - powstawała zwarta koalicja, gdyż ziemie Kawalerów Mieczowych w Inflantach stykały się z dziedzicami Andrzeja, a te znów leżały blisko granic Moskwy, z którą książę już od dawna utrzymywał przyjazne stosunki i współdziałał przeciwko Jagielle.

Kiedy Władysław koronował się w Krakowie, mistrz inflancki, Robin von Else, dotarł do Wilna, jednocześnie uderzyli też Andrzej i władca Smoleńska. Na gwałt śpieszyli przeciwko nim bracia Jagiełły, ci sami, którzy mieli zostać nad Wisłą jako zakładnicy. Wiedli ze sobą posiłki polskie. W kwietniu kampania była rozegrana na korzyść Litwy. Smoleńsk ukorzył się, w Połocku osiadł Skirgiełło. Wzięty do niewoli Andrzej Garbaty wysłany został do Polski, gdzie na zamku w Chęcinach przesiedział w więzieniu lat dziewięć.

Uderzenia krzyżackie, dokonane w samej dobie zawierania unii, to jakby przygrywka do wypraw trwających nieprzerwanie aż po rok 1394. Zmarłego Rottensteina zastąpił na stanowisku wielkiego mistrza Konrad Wallenrod i robił to samo co poprzednik. Rozumiejąc, jak bardzo zmienia się położenie ogólne, z niebywałym uporem szturmował Zakon mocno nadwerężoną twierdzę litewską, którą wzmocniły już jednak nowe podpory. Okrążający dotychczas Litwę pierścień wrogów dzięki unii nie tylko na dobre pękł, ale od południowego zachodu od razu ruszyła pomoc zbrojna. Sytuacja wyglądała dziwnie - sama Polska jeszcze zachowywała pokój z Zakonem, ale Polacy zażarcie wojowali przeciwko Krzyżakom na Litwie. Kraków i Malbork wołały nadal odraczać starcie bezpośrednie, gdyż zapowiadało się ono jako ostateczne...

Ruś Czerwoną, o którą tak bardzo chodziło stronie polskiej, Jadwiga zajęła w dwóch wyprawach w roku 1387, usuwając urzędników węgierskich. Operacja nie była trudna, bo królowa, jako prawa dziedziczka Ludwika, miała mocną pozycję, a od strony Litwy nie stawiano przeszkód, nawet udzielono wsparcia. We wrześniu tegoż roku gospodar mołdawski Piotr złożył we Lwowie hołd Polsce, uznając się za jej lennika.

Sprawa Rusi Czerwonej nie mogła wywołać zbyt wielu komplikacji, bo i pod względem terytorialnym była ograniczona do niezbyt wielkich obszarów, i stanowiła przedmiot sporu między Polską a Węgrami. (Państwo to przeżywało akurat ciężkie chwile. Podczas zamieszek wewnętrznych w roku 1387 straciła życie matka Jadwigi, Elżbieta Bośniaczka. Została zaduszona na oczach starszej córki, Marii, również uwięzionej. Martwe ciało mordercy powiesili na wieży zamku, obleganego przez śpieszącego z pomocą Zygmunta Luksemburczyka.)

Wcale nie tak gładko jak z Rusią Czerwoną szło z dziedzicznymi problemami Litwy. Tutaj w dalszym ciągu dawał o sobie znać fakt istnienia dwóch głównych wrogów i brak porządku w stosunkach wewnętrznych. Unia z Polską ułatwiła położenie, lecz zmienić go całkowicie jednak nie mogła.

25 kwietnia 1389 roku brat Jagiełły Lingwen wystawił w Sandomierzu tajny dokument o zastanawiającej treści:

Ponieważ przez Najjaśniejszego króla Władysława zostaliśmy ustanowieni i naznaczeni ludowi Wielkiego Nowogrodu na opiekuna i rządcę, przeto temuż Najjaśniejszemu królowi, królowej Jadwidze, ich dzieciom i dziedzicom, jako też Koronie Królestwa Polski przyrzekliśmy i niniejszym ponownie jak najusilniej przyrzekamy wraz z całym ludem nowogrodzkim pieczy naszej poddanym, że tak do nich, jako też do Królestwa Polskiego odnosić się będziemy zawsze bez zdrady jakiegokolwiek i służyć im zawsze pomocą i radą według wszystkich sił naszych, nie opuszczając ich nigdy ani też nigdy im się w niczym nie przeciwstawiając.

Zamiar opanowania Wielkiego Nowogrodu wynikał z szerszego planu. Chodziło o okrazenie Moskwy i zadanie jej ciosu śmiertelnego. Lingwen przyrzekał ponadto wierność jako władca ziem, które zdobędzie po zajęciu Nowogrodu. Miał na myśli Psków. Jagiełło doskonale rozumiał, że te dwie wielkie, niesłuchanie bogate republiki kupieckie stanowią szczebel do ostatecznego zwycięstwa na wschodzie. Kto nimi zawładnie, ten stanie się panem położenia. Posiadłości Wielkiego Nowogrodu sięgały po Ural, oskrzydlały od północy obszar Wielkiego Księstwa Moskiewskiego.

Nie trzeba udowadniać, że Lingwen nie zasięgał rady Nowogrodzian i nie miał prawa powoływania się na ich wolę. Akt sandomierski był przejawem tradycyjnej polityki litewskiej, do której Jagiełło wciągał teraz i Polskę, jako jej król. Decydował oczywiście on, a nie piętnastoletnia Jadwiga.

Tajna umowa sandomierska zasługuje na zapamiętanie i na uważne porównanie z wcześniejszymi o dwa lata działaniami Polski na Rusi Czerwonej. To zestawienie doskonale bowiem pokazuje, na czym polegała zmiana kursu polityki polskiej po unii z Litwą. Przyłączenie Rusi Czerwonej można oceniać ujemnie lub dodatnio, nikt jednak nie zaprzeczy, że chodziło o szmat kraju niezbyt wielki i przylegający do stołecznej dzielnicy Polski. Tutaj toczyła się gra o jej bezpośrednie interesy. Wpuszczenie innego mocarstwa na Ruś Czerwoną było z nimi sprzeczne.

Ale Wielki Nowogród i Psków polityki polskiej nie interesowały

dotychczas wcale. Królestwo przychodziło tu z pomocą polityce litewskiej, skierowanej w te odległe strony od czasów bardzo dawnych. Jak pamiętamy, już w XII wieku, w epoce zwykłych wypraw łupieskich, nie zasługujących właściwie na miano polityki, Litwa niepokoiła zarówno Nowogród, jak Psków. Umowa sandomierska uzmysławia, jaki spadek i jakie obciążenie w stosunkach międzynarodowych wzięła na siebie Polska zawierając unie,

Skirgiełło rządził w Połocku od trzech lat, więc podstawa do działań mających na celu zhołdowanie Wielkiego Nowogrodu była gotowa. Ale w ostatniej chwili wybuchł na Litwie bunt potomków Kiejstuta, kierowany przez Witolda, który znowu porozumiał się z Krzyżakami, przeszedł na ich stronę, potwierdził swe dawniejsze ustępstwa na rzecz Zakonu i wydał mu Grodno. Tak dała o sobie znać charakterystyczna cecha dotychczasowych dziejów Litwy, odtąd stale już towarzysząca losom połączonego państwa. Mnogość frontów nie dopuszczała do zwycięstwa na którymkolwiek z nich.

Za Witoldem podążyła do Krzyżaków cała jego rodzina. Wobec tego do Malborka, a nie gdzie indziej, musiało się udać poselstwo księcia Moskwy, Wasyla, po obiecaną mu córkę Litwina, Zofię. Narzeczona wyjechała z Gdańska drogą morską, po czym przez Inflanty i Psków dotarła na Kreml.

Powodem buntu było oczywiście niezadowolenie Witolda z przewagi Skirgiełły na Litwie, a także z odmowy oddania przyrzeczonych poprzednio ziem. Podobno niektórzy komesowie małopolscy usilnie i zawczasu namawiali króla do ustępstw na rzecz Witolda.

4 września 1390 roku potężna armia obległa Wilno. Oprócz Krzyżaków i wojsk Witolda byli w niej liczni „goście rycerscy” z Francji, Niemiec i Anglii, skąd przybył nawet wnuk królewski. Jeden z dolnych zamków padł wkrótce, a dowodzący nim brat Jagiełły, Korygiełło, dostał się do niewoli i został zamordowany na miejscu. Drugi zamek obronił książę Teodor Ostrogski. Utrzymała się również główna twierdza, zamek górny wileński, obsadzona przez polską załogę pod Kiemensem z Moskorzowa. Zaciekłość i okrucieństwo walk były wyjątkowe. Witold, który od polskiej kuli działowej utracił brata, Towtiwiłła, kazał wziętego do niewoli własnego szwagra powiesić na drzewie za nogi i ubić z łuków. Cofając się 1 października Krzyżacy wbijali na pale dzieci mieszczan wileńskich.

Następny rok zapowiadał się bardzo groźnie. Rycerstwo polskie nadal musiało strzec Wilna. Po Moskorzowskim objął dowództwo sędzia krakowski, Jaśko z Oleśnicy, ojciec słynnego później kardynała. Do oblężenia stolicy tym razem jednak nie przyszło, bo Konrad Wallenrod musiał wrócić do Prus. Doszły go wiadomości o wkroczeniu wojsk koronnych do ziemi dobrzyńskiej. Władysław Opolczyk otrzymał był swego czasu kraj ten w lenno od Ludwika Węgierskiego, a teraz zastawił go Krzyżakom za pieniądze.

Pomimo pomocy ze strony polskiej Witold opanowywał na Litwie coraz większe obszary. Żmudź uznawała jego zwierzchnictwo. Lingwen oczywiście ustąpił z Wielkiego Nowogrodu, gdzie w danych warunkach nie mógł się ostać wobec politycznego nacisku Moskwy.

Rok 1392 przyniósł odmianę. Jagiełło znowu tajnie porozumiał się z Witoldem. Za pośrednika służył książę mazowiecki Henryk, biskup płocki,

którego narodziny (opisywane w pierwszym tomie) spowodowały tyle tragicznych wypadków, a małżeństwo z Ryngałą upamiętniło się na zawsze. Latem, wyprawivszy przed sobą rodzinę, Witold podpalił trzy zamki krzyżackie i przeszedł na stronę króla. Otrzymał swą ojcowiznę, Troki, a prócz tego zarząd całej Litwy z ramienia Jagiełły, jako monarchy. Skirgiełło poszedł do Kijowa.

W ten sposób w sześć lat po unii stworzone przez nią warunki uległy poważnej modyfikacji. O ile przedtem każdy z książąt litewskich z osobna podlegał Władysławowi II, o tyle teraz Wielkie Księstwo znowu zaczęło stanowić pewną odrębną całość. Jak widzimy, Jagiełło istotnie interpretował swoje słynne „*applicare*” zależnie od okoliczności. Zresztą sama logika każe stwierdzić, że zwyczajne włączenie Litwy do Korony, przekreślenie odrębnego bytu Wielkiego Księstwa, byłoby zamiarem natury czysto teoretycznej. Takie rzeczy nie dają się przeprowadzić w praktyce, zwłaszcza że w polityce zagranicznej zjednoczonej monarchii na plan pierwszy wysuwały się sprawy i interesy litewskie, a nie polskie.

Ponowne faktyczne wyodrębnienie Wielkiego Księstwa nie mogło być sprzeczne z wolą samego Jagiełły, który musiał coraz bardziej niepokoić się o przyszłość. Osiemnastoletnia już Jadwiga dotychczas nie zaszła w ciążę. Na horyzoncie rysował się zatem nowy kryzys dynastyczny, a przezorność nakazywała dbać o spójność Litwy. Wolno było przewidywać, że młodsza o dwadzieścia przeszło lat królowa przeżyje męża i znowu będzie rozporządzać swą ręką oraz tronem.

Porozumienie Jagiełły z Witoldem nastąpiło 4 sierpnia 1392 roku w Ostrowie i dlatego akt ten nosi nazwę ugody ostrowskiej.

Kronika ruska pisze o Witoldzie:

i poszedł na Litwę, i osiadł w Wilnie, na Litwie, na Wielkim Księstwie Litewskim, na tronie stryja swojego, Wielkiego Księcia Olgierda, i ojca swojego, Wielkiego Księcia Kiejstuta, i rada mu była cała ziemia litewska i ruska.

Zaraz też odczuła skutki ścisłej współpracy trzech polityków, króla, Witolda oraz Skirgiełły. Ich połączone działania w krótkim czasie doprowadziły do prawdziwego zjednoczenia Litwy. Udzielni książęta zlatywali z tronów jeden po drugim. Smutny los nie ominął nawet rodzzonego brata królewskiego, Świdrygiełły. Siłą usunięty z Witebska, musiał powędrować do Krakowa, skąd uszedł na Węgry.

W 1397 roku zeszedł ze świata Skirgiełło. Ten w odróżnieniu od braci lubił pić, a podchmielony stawał się wprost straszny dla otoczenia - dobywał miecza i rąbał. Otrzeźwiawszy, własnoręcznie opatrywał pokaleczonych, bo biegły był w sztuce lekarskiej. Doczekał się trutki.

Zachodnie Podole otrzymało (w 1395 roku) nowego zwierzchnika, oczywiście podporządkowanego Witoldowi. Został nim wojewoda krakowski Spytko z Melsztyna herbu Leliwa, jeden z najwytrwalszych stronników Jadwigi i unii. Przed kilku laty Ziemowit IV przez zemstę spalił mu jego dziedziczny Książ, teraz przychodziła nagroda za wierną służbę. Mianowanie Polaka panem lennym części Podola zdaje się niemiłosiernie i

bez reszty wyjaśniać motywy unii, mianowicie żądę zaborów na wschodzie. Zaraz zobaczymy, jaki sens miała ta nominacja z punktu widzenia kierowników wielkiej polityki.

Tymczasem zakon krzyżacki starał się odplacić za ponowne odstępstwo Witolda, uderzał na Litwę raz za razem. Po Konradzie Wallenrodzie czynił to jego następca, Konrad von Jungingen. Jedną z wypraw, prowadzona przez wielkiego marszałka Wernera von Tettingen, pobiła wszystkie dawniejsze rekordy, dochodząc aż do Lidy. Pomimo to od roku 1394 osłabł nacisk na Litwę górną - Auksztotę - gdzie leży Wilno. Stało się jasne, że tej połaci kraju Zakon już nie zdobędzie. Pozostawały mu widoki na Żmudź, której losy przedstawiały się niepewnie, a nawet zupełnie źle.

Wzgląd na chronologię każe powrócić na chwilę do roku 1392, tak pomyślnego dla Litwy. U Konrada Wallenroda zjawiał się wtedy Władysław Opolczyk, przywożąc plan godny najpilniejszego zapamiętania. Zaproponował mianowicie rozbiór Polski pomiędzy cesarza, Brandenburgię, Węgry i książąt śląskich (o Litwie nie było mowy). Krzyżak bardzo zrecznie wykręcił się i nie przyjął propozycji. Powody takiego postępowania wydają się jasne. Umocniony nad Bałtykiem Zakon zamierzał w przyszłości zagarnąć całe dorzecze Wisły, a więc wpuszczanie tam innych państw nie mogło być zgodne z jego dalszymi planami.

Tak więc rok 1392 przyniósł najwcześniejszy projekt rozbioru Polski. Było to zaledwie w sześć lat po unii, która tak bardzo podniosła autorytet Krakowa i otworzyła przed nim widoki naprawdę mocarstwowe. Wolno przypuszczać, że właśnie ten nagły awans zaniepokoił sąsiadów Polski i zaczął ich skłaniać do pomysłów całkiem bezwzględnych. Teorie równowagi politycznej zaczęto spisywać dosyć późno, lecz w praktyce znano je od niepamiętnych czasów. Kto zbyt szybko rósł w potęgę, ten poniekąd automatycznie narażał się na solidarną wrogość sąsiadów. Obszar monarchii jagiellońskiej był ogromny, zasoby materialne również, można więc było spodziewać się wyrośnięcia imperium, które by siłą faktu politycznie zdegradowało państwa przyległe. Z takich prawdopodobnie rozważań zrodził się projekt przedstawiony Wallenrodowi w Toruniu.

Pomysły Opolczyka zostały jednak odrzucone, a jemu samemu Polacy wkrótce odebrali lenna na pograniczu śląskim oraz na Kujawach, nadane ongi przez Andegawenów. Jedynie ziemi dobrzyńskiej nie udało się w całości odzyskać i Zakon nadal dzierżył jej część jako zastaw za pożyczone Opolczykowi sumy.

W roku 1398, po wojnie trwającej od lat ośmiu, nastąpił nareszcie pokój pomiędzy Litwą a Krzyżakami. Rozmowy wstępne odbywały się w Grodnie, na wiosnę, ostateczny układ podpisano 12 października na wyspie niemnowej Salin. Przyjęte przez króla i Witolda warunki okazały się nadzwyczaj ciężkie dla Litwy. Miała ona wydać Zakonowi Żmudź, a nawet pomóc w jej podboju i we wzniesieniu tam trzech twierdz. Ponadto jeszcze Wielkie Księstwo zobowiązywało się ułatwić Krzyżakom opanowanie Pskowa, samo zaś miało otrzymać od nich sukurs w dziele zhołdowania Wielkiego Nowogrodu.

Powody tak wielkich i groźnych najgorszymi skutkami ustępstw sięgały głęboko. Niedługo przed zjazdem salińskim doszło do wyraźnego napięcia

w stosunkach polsko-litewskich. Z namowy panów koronnych Jadwiga zażądała od Litwy danin pieniężnych na rzecz Polski. Król i Witold odpowiedzieli na to śmiałym posunięciem odwołali się do opinii magnatów oraz szlachty litewskiej, którzy postulaty polskie kategorycznie odrzucili. W nie określonym dokładnie czasie i miejscu, w każdym razie w roku 1398 i za zgodą Jagiełły, bojarstwo okrzyknęło Witolda królem Litwy.

Jakie przyczyny skłoniły każdą ze stron do tak drastycznych posunięć? Szukać ich chyba trzeba w całkiem konkretnych faktach. Po dwunastu latach monarszego małżeństwa dziecka nadal nie było, a Jagiełło i Witold dobiegali już pięćdziesiątki, co podówczas znaczyło więcej niż dziś. Żaden z nich nie miał dziedzica. Pobyt dynastii litewskiej na krakowskim tronie zapowiadał się jako krótki epizod, więc polska rada koronna usiłowała zaznaczyć podległość Wielkiego Księstwa, wynikającą z litery zawartych w Krewie i Lublinie umów. Już wtedy kształtowała się pewnie teoria, której rzecznikiem stał się później Jan Długosz, iż związek dwóch państw obowiązuje bez względu na to, kto zasiada na tronie. Czas płynął, plany i oceny musiały już wyglądać inaczej niż w roku 1386.

Ustepliwość Litwy wobec Krzyżaków wynikała jednak i z innych powodów. Jak już wiele razy przedtem bywało, pokój na zachodzie stawał się koniecznością, bo nadchodził czas ponownej próby na wschodzie. Dokonała się ona w roku 1399, który potomność dobrze zapamiętała nie tylko ze względu na łatwość daty.

Zaraz w pierwszych miesiącach tego roku do papieża Bonifacego IX i do wielu monarchów chrześcijańskich poszły radosne pisma Jagiełły. Jadwiga była przy nadziei. Król zawczasu zapraszał na chrzciny. Przyszłość połączonego państwa zaczynała się przedstawiać mniej mrocznie, zeszłoroczna demonstracja bojarstwa litewskiego traciła na znaczeniu.

Latem z wyznaczonego na punkt zborny Kijowa ruszyła na południowy wschód wielka wyprawa litewsko-tatarska, wspomagana przez czterysta kopii rycerskich z Polski tudzież sto krzyżackich. Tabor dobrze okutych żelazem i pospinanych łańcuchami wozów mieścił liczne „piszczele, puszkę, samostrzały”.

W latach poprzedzających Witold dwukrotnie chadzał w stepy wzdłuż Dniepru i za Don. Pochwycił tam wielu brańców, od których wywodzi się ludność tatarska na Litwie. Tym razem - w 1399 roku - znowu godził bezpośrednio w część Tatarów, a w gruncie rzeczy miał na oku stolicę położoną o wiele bardziej ku północy.

Chan Tochtamysz, który przed siedemnastu laty spalił był Moskwę, wygnany teraz przez słynnego zdobywcę Azji Tamerlana, schronił się wraz z rodziną i częścią ordy u Witolda i w zamian za pomoc obiecywał mu wielkie rzeczy. Ruski latopisiec zanotował słowa Litwina streszczające jego plany: pójdziemy i pobijemy Timur Kutłuka (władającego wtedy Złotą Ordą), zabierzemy jego carstwo i posadzimy na nim Tochtamysza, „*a sam siadu na Moskwie, na wielikom kniażeniu, na wsiej ruszkiej ziemi*”.

Zwierzchnictwo Tatarów nad Moskwą trwało i Tochtamysz, pomimo wygnania, uważał się za władnego rozporządzać jej tronem. Naturalnie przyrzekał też Witoldowi pomoc orężną przeciwko Kremlowi, lecz dopiero po zwycięstwie nad współzawodnikami w ordzie.

Jak pisze Długosz, Jagiełło, a zwłaszcza Jadwiga, byli stanowczo przeciwni wojnie, więc pewnie z tego powodu Polska dostarczyła umiarkowanej pomocy. Nie mógł się jednak uchylić wojewoda krakowski Spytko z Melsztyna, od niedawna pan Ienny zachodniego Podola. Jego udział w przedsięwzięciu Witolda to fakt stanowiący niezbitą dowód, jaki sens polityczny miało obdarzanie Polaków włościami na wschodzie.

Tradycja głosi, że Jadwiga przewidywała klęskę i dlatego nie usłuchała namów Witolda. Czemuż jednak sprzeciwił się Jagiełło, któremu nikt daru proroczego nie przypisuje? Papież hamował polską parę królewską, wskazywał na Turków, jako na głównych wrogów chrześcijaństwa. Rycerstwo wielkopolskie patrzyło w stronę Bałtyku. Morze Czarne nie interesowało go wcale. Tak niewątpliwie było, lecz nie należy wykluczać jeszcze jednego względu. Wawel mógł posiadać lepsze wiadomości lub po prostu trzeźwiej oceniać położenie ogólne. Plan zorganizowania całej Europy Wschodniej pod hegemonią Litwy sprawia wrażenie imponujące. Spróbowano go urzeczywistnić w chwili jak najgorzej wybranej. Tatarszczyzna doszła akurat do takiej potęgi, jakiej nie miała od czasów Czingis-chana, i zadzieranie z nią wtedy właśnie nie zaliczało się do przedsięwzięć rozsądnych. Timur Kutłuk, którego Witold zamierzał pobić i precz wypędzić, był faworyzowanym wasalem Tamerlana, zwanego inaczej Timurem Kulawym. Azja korzyła się wówczas przed jego stołeczną Samarkandą. W trzy lata później genialny kaleka miał wygrać pod Ankarą największą bitwę kawaleryjską w dziejach świata i wsadzić sułtana Bajazeta do klatki żelaznej na dożywocie. Nie wszystkie porywające pomysły dobrze świadczą o swych autorach.

Największa nawet pomoc Polski nic by nie wskórała, bo bitwa nad Worską - stoczona 12 sierpnia 1399 roku - została przegrana wskutek fatalnego dowodzenia. Witold zupełnie niesłusznie uchodzi za znakomitego wodza. Nad Worską naiwnie dał się zwodzić Timur Kutłukowi pertraktacjami, zostawił mu trzy dni czasu do namysłu i doczekał się nadejścia głównych sił tatarskich pod wodzą straszego Edygeja, jednego z najwybitniejszych podwładnych Tamerlana. Edygej nadciągnął nocą, w zupełnej ciszy. Tatarska sztuka wojenna w dalszym ciągu zdecydowanie górowała nad europejską. Jeśli orda przestawała być groźna, to ze względu na rozkład wewnętrzny i metody rządzenia nie wytwarzające żadnej kultury politycznej.

Na polu bitwy zostało siedemdziesięciu czterech kniaziów litewskich i ruskich oraz rycerzy bliskich im rangą. Poległ Andrzej Garbaty i młodszy brat jego, Dymitr Olgierdowicz. Padł również Dymitr Koriatowicz, zwany Bobrok lub Wołyniec, wnuk Giedymina, właściwy zwycięzca na Kulikowym Polu przed dziesięcioma laty. Zginęli niemal wszyscy Polacy, a wśród nich Spytko z Melsztyna, który bardzo sceptycznie zapatrywał się na wynik starcia, lecz walczył nadzwyczaj mężnie.

Między zabitymi Krzyżakami byli dwaj oryginalni ludzie - Tomasz i Jan Szurwiłłowie, rodowici Litwini. Pierwszy z nich piastował godność komtura Rastenburga (czyli Kętrzyna). Minęły czasy, kiedy prawo do białego płaszcza z czarnym krzyżem przysługiwało tylko rdzennym szlachcicom niemieckim. Zakon przyciągał już członków podbijanych

przez się narodowości, był więc jeszcze groźniejszy niż dawniej.

Witold i Tochtamysz uratowali się z pogromu. Pomoc z Polski zdażyła obsadzić przeprawy na Dnieprze i Tatarzy nie przeniknęli na zachód.

Szeroko pomyślany plan opanowania całej Rusi przez Litwę nie powiódł się, a w ręku zakonu krzyżackiego pozostawała Żmudź, cena za pokój i niezbyt znaczną pomoc.

Jadwiga nie doczekała dnia przewidywanej przez się klęski Witolda. W lipcu wydała na świat córkę, która otrzymała imiona Elżbiety Bonifacji i żyła tylko trzy dni. Królowa już się nie podniosła po położeniu. Zmarła 13 lipca 1399 roku, mając lat niespełna dwadzieścia sześć. Spoczęła w katedrze wawelskiej, przy wielkim ołtarzu, po stronie ewangelii. Dzisiaj grobowiec ten jest próżny. Szczątki królowej od lipca 1949 roku kryje biały sarkofag dłuta Madeyskiego.

Kiedy po kraju rozeszła się wiadomość o odmiennym stanie Jadwigi, „radość powszechna ogarnęła serca Polaków, cieszących się, że z jej łona królestwo otrzyma d z i e d z i c z n e g o następcę, mającego spełnić obecne i przyszłe jego szczęście”.

Bezpotomna śmierć króla-niewiasty ciężko zaważyła na losie kraju. Dziedziczne prawo do korony polskiej wygasło. Do stworzonego przez unię nadzwyczaj powikłanego układu rzeczy wbrew ludzkiej woli wpisali się nowy warunek - nieuchronna już odąd obieralność władców.

Nieszczęście rodu Andegawenów węgierskich wytepiło go doszczętnie. Starsza siostra Jadwigi, Maria, zmarła wcześniej, w roku 1395. Liczyła sobie wtedy około dwudziestu pięciu lat. Donosząc potomności o jej zgonie, Jan Długosz dał wyraz prastaremu i całkiem już zapomnianemu przesądowi polskiemu: „Ja tak mniemam - napisał - że nie godzi się żadnej niewieście, chociażby najdostojniejszej, przybierać imienia Maryi, które samej tylko Przenajchwalebniejszej Pani naszej służyć powinno.”

Jedyne Marie, jakie zna dawna historia Polski, to królowe z obcej krwi. Jeszcze teraz nie do pomyślenia jest u nas obyczaj hiszpański, dopuszczający nadawanie przy chrzcie imienia Jezusa. A teraz przypomnijmy sobie wywody Zygmunta Glogera z I tomu *Encyklopedii staropolskiej*:

Za panowania Piastów nad Wisłą i Wartą żaden szlachcic polski nie używa imienia: Ziemowit, Mieszek, Bolesław, Leszek, Kazimierz, Władysław (czyli Włodzisław), Ziemomysł i Przemysław. Tak samo na Pomorzu gdańskim, gdzie w rodzie książęcym ukazują się Świętopelki, Dambory, Mszczuje, Racibory i Warcisławy, żaden tamtejszy rycerz takiego imienia nie nosi.

To samo zjawisko występuje w dziejach Rusi i Czech, gdzie jeden tylko Waclaw stanowi wyjątek, bo wcześniej trafił do kalendarza kościelnego. Nasz, czeski lub ruski rycerz może nosić imię właściwe sąsiedniej dynastii słowiańskiej, lecz nie waży się zapożyczać go od własnej.

Obyczaj odwiecznie przestrzegany wobec rodu książęcego przenieśli więc Polacy w sferę wiary. Ciekawa jest ta lokalna tradycja religijna, ów pełen dworskiej rewerencji dystans, któremu towarzyszy zdecydowana

skłonność do nieprzejmowania się dogmatyczną stroną wyznania oraz do tolerancji wobec innowierców. A może i w tym znajdują odbicie losy społeczeństwa, które - już w pełni sformowane - otrzymało w X wieku nową religię jako akt woli panującego?

Warto pamiętać o tych objawach. Czasy znacznie późniejsze gruntownie przeobraziły w Polsce dziedzinę przeżyć religijnych, zaszczipiając pasje i pojęcia nowe, a nie znane narodowi w dobie jego świetności.

2

Kończył się wiek XIV, najważniejsze stulecie naszych dziejów. W obrębie jego dat granicznych mieszczą się dwa zjawiska, którym wypadło kształtować przyszłość. Wszechstronny i bogaty, lecz zgodnie z duchem średniowiecza rozbity na atomy dawniejszy polski dorobek ponownie i o własnych siłach wytworzył jednak tkanę łączącą, zrósł się, scalił, by przetrwać już na zawsze. W ostatniej ćwierci wieku otworzyła się droga, która, mogąc zaprowadzić naprawdę wysoko, zawiodła w polityczną nicość oraz do niezniszczalnych, pożytecznych zmian na mapie kultury europejskiej.

Oto pierwsza i ostatnia data XIV stulecia:

Rok 1301 - wypędzony z kraju Władysław Łokietek ma u granic Polski jednego już tylko, ostatniego sprzymierzeńca. Jest nim książę halicki, Jerzy, mąż siostry wygnańca. Przed kilku miesiącami Wacław II koronował się w Gnieźnie, wbrew pozorom suwerenności państwo znalazło się pod czeską okupacją i spadło do rządu pośledniejszych lenn cesarza.

Rok 1400 - do położonego w Styrii zamku hrabiów Cillejskich nieoczekiwanie przyjeżdża poselstwo z Krakowa. Ku bezmiernemu zdumieniu gospodarza - grafa Hermana - trzej wielmoże oświadczają, że przybyli w swaty, wysłani przez króla polskiego i radę koronną. Proszą o rękę bratanicy dziedzica, dziewiętnastoletniej Anny. Ojciec jej już od dawna nie żyje, matka wyszła za księcia von Teck i stale mieszka w jego włościach. Po śmierci Jadwigi Władysław II poczuł się niepewnie na tronie polskim, podobno nawet chciał go opuścić. Komesowie nie pozwolili na to, „uspokoiwszy jego obawy oświadczeniem szczerej wierności i przychylności, przyrzekli mu uroczyście, że chcieli jak wprzód mieć go swoim królem i panem”. A pragnąc ponownie związać Litwinów z piastowską tradycją, przypomnieli sobie osobę hrabianki Cillejskiej, Anny, „Kazimierza, niegdy króla polskiego, wnuczki”. Decyzja „panów i prałatów” królestwa oznaczała utrzymanie unii z Litwą. Kryzys przewyciężony został gładko, nadal trwało państwo wręcz olbrzymie, sięgające wybrzeży Morza Czarnego i źródeł rzeki Moskwy.

Trudno doprawdy w Europie o drugi przykład kariery mocarstwowej równie świetnej i dokonanej tak szybko. Właściwie przychodzi na myśl tylko jeden - nagły skok Hiszpanii po odkryciu Ameryki przez Kolumba. To wcale nie przypadek, że w obydwu razach błyskawiczne tempo przyniosło wiele rzeczy - z wyjątkiem trwałości.

Wspomniana już mapa z I tomu *Historii Polski* PAN pokazuje Wisłę

jako wschodnią granicę obszaru gęstszego zasiedlenia. Nie sposób niestety wykonać karty, która by zobrazowała nasycenie różnych części państwa kulturą. Gdyby istniała, jeden rzut oka by wystarczył dla uzmysłowienia sobie faktu o podstawowym znaczeniu - szalonego kontrastu pomiędzy stanem spraw na stosunkowo małym obszarze Polski a bardzo rozległymi ziemiami Litwy. Na tej w wyobraźni tylko istniejącej mapie Korona zabarwiona by była wcale silnie, na wschód od niej widniałby kolor rozrzedzony, miejscami przechodzący w białość. Dawną świetność Kijowa zniweczyli wszak Tatarzy. Stosunek wielkości terytorialnej obu krajów wyglądał jak „jeden do czterech” na niekorzyść Polski.

W tym samym 1400 roku Kraków przeżył wydarzenie o znaczeniu tak wyrazistym, że śmiało można je uznać za symboliczne. Od 22 do 26 lipca - w pierwszą rocznicę śmierci Jadwigi - trwały uroczystości inauguracji odnowionej Akademii, zwanej odtąd Uniwersytetem Jagiellońskim. Zaraz po rektorze, Stanisławie ze Skalmierza, do księgi uczelni wpisał się sam król, po nim dygnitarze, cały tłum duchowieństwa i na końcu dwustu pięciu uczniów, którzy najprawdopodobniej studiowali w Krakowie już przedtem.

Symbolika jest nawet dwojaka. Najpierw sprawa nazwy... Jest to jedyny pewnie w dziejach całego świata wypadek, że oficjalne miano ujmuje instytucji blasku i wieku, skraca ten ostatni o trzydzieści sześć bardzo ważnych lat. Przecież słynny uniwersytet w Heidelbergu jest o dwanaście wiosen młodszy od uczelni krakowskiej, która właściwie powinna się nazywać Kazimierzowską.

Przez długie stulecia Europa poprzestawała na niewielkiej i raczej niezmiennej liczbie uniwersytetów, skupionych na Zachodzie. Dopiero w XIV wieku we Włoszech, Francji, Czechach, Niemczech i gdzie indziej także powstało ich aż dwadzieścia cztery, w tej liczbie polski w Krakowie, założony jako drugi z kolei (po praskim, a tuż przed wiedeńskim). Ta okoliczność jak nic innego dowodzi, że rozwój kulturalny królestwa dostrajał się do rytmu życia zachodniej połaci kontynentu. Polska dotrzymywała kroku w dziedzinie najważniejszej i najtrudniejszej. Oficjalna nazwa Uniwersytetu Jagiellońskiego, sama w sobie czcigodna i już wieczna, niezmienna, spycha jednak XIV wiek w zapomnienie. Skłonni jesteśmy mniemać, że dzieło Kazimierza Wielkiego zupełnie zamarło. Tymczasem papież Bonifacy IX pisał, a raczej kazał napisać w roku 1397: „była i jest w Krakowie z zarządzenia Stolicy Apostolskiej szkoła główna dla nauk prawnych tudzież dla wszystkich innych dozwolonych umiejętności, z wyjątkiem teologii”. Nie rozkwitła jeszcze, bo Kazimierz umarł w sześć lat po jej założeniu, a potem znalazła się pod opieką znanego nam już Zawiszy z Kurozwęk, który interesował się raczej wszystkim innym niż nauką. Ale istniała, kształciła ludzi, i to rozstrzyga.

Kraków nie zaspokajał wszystkich zapotrzebowań kraju na wiedzę. Tak kompetentny w tej sprawie uczony, Aleksander Brückner, wprost pisze, że

niepodobna wymienić wszelkich doktorów decretorum polskich, którzy studia i tytuł z Bolonii czy Padwy wynieśli, na przykład Janusz Suchywilk Strzelecki, drugi duchowny doradca Kazimierza, i inni. W Paryżu Polaków było mało, więcej Prusaków. Z Montpellier wyniósł Jan Radlica, późniejszy

Na najwyższych stanowiskach nie mogło wtedy u nas braknąć analfabetów, lecz i to stanowiło europejską normę. Papież Bonifacy IX, duchowy protektor Jadwigi, umiał czytać, nauką pisania nigdy się nie utrudził... w przeciwieństwie do podskarbiego koronnego Dymitra z Goraja, który statut dla żup wielickich wykaligrafował własnoręcznie.

Pisało się wtedy i czytało w Polsce wyłącznie po łacinie. Ale znamienna rzecz - już za Kazimierza Wielkiego język ten u nas oczyszcza się i udoskonala w tym sensie, że nabiera poprawności i prostoty. Znaczący twierdzą, że statut wiślicki Kazimierza zdecydowanie góruje w tym względzie nad dokumentami kancelarii cesarskiej. Żywe kontakty z najlepszymi ośrodkami kultury zachodniej robiły swoje.

W akcie fundacyjnym odnowionego uniwersytetu Jagiełło nie wspominał o Kazimierzu Wielkim ani o zmarłej żonie. Otwarta w roku 1949 trumna Jadwigi nie zawierała żadnych zupełnie kosztowności. Jabłko monarsze i berło były drewniane, korona ze skóry z pozłotą. Kroniki mówiły prawdę - królowa oddała wszystkie swe klejnoty na Akademię.

Tradycja zapominała o pierwszych dziesięcioleciach uniwersytetu krakowskiego, które były wprawdzie pozbawione sławy, ale bardzo znamienne i ważne ze względu na czas oraz kierunek pracy uczelni. Całkiem podobnie dzieje się niekiedy z epoką piastowską, spychaną jeśli nie w zapomnienie, to w szarość i cień.

Drugie oblicze symbolu: Kazimierz Wielki założył szkołę dla „mężów prawa”. Królestwo stanowczo wymagało ludzi przygotowanych do praktycznej działalności w urzędach i sądach oraz do teoretycznego myślenia w dziedzinie ustawodawstwa i polityki. Posiadacze zagranicznych tytułów byli nadal cenieni, ale należało ułatwić zdobywanie dyplomów, położyć je niejako w zasięgu rąk większej liczby krajowców. Profil uczelni był więc naprawdę nowoczesny, to znaczy dopasowany do rzeczywistych potrzeb społeczeństwa, które rozwijało się według europejskiej przeciętnej. Takie założenie było siłą faktum pomyślnie, bo elastyczne. W miarę rozkwitu samego kraju mogły się rozrastać inne gałęzie studiów.

Uniwersytet Jagiełły od razu położył nacisk na teologię, poprzednio w Krakowie nie istniejącą. Przewrót zwrotnicy było znamiennym zjawiskiem w dobie, kiedy dawny średniowieczny teocentryzm trzymał się już tylko siłą bezwładu, kiełkowały zapowiedzi Renesansu, Europa obracała się w stronę świecką. Polska zaczynała się odchylić od zachodniej normy i jest bardzo ważne, że to się najpierw zaznaczyło w strukturze uniwersytetu, który w sposób całkiem naturalny okazał się najczulszym barometrem. Czekał go jeszcze świetny okres rozwoju, zwłaszcza w dziedzinie astronomii, ale to się mimo wszystko działo niejako na marginesie głównego kierunku prac uczelni, który ostatecznie przemógł.

Powody przemiany wytłumaczy owa imaginacyjna mapa kultury. Do Polski przyrosły znacznie od niej rozleglejsze obszary świeżo ochrzczone lub prawosławne i katolickie królestwo musiało im dostarczyć księży. Zamiast obsługiwać tylko wcale niemałe zapotrzebowania ziem Korony, Akademia musiała sprostać żądaniom idącym ze wschodniej połaci

państwa. Były to postulaty podobne do tych, jakie Polska sama zgłaszała, ale czterysta kilkadziesiąt lat wcześniej, kiedy Mieszko I sprowadzał księży z Czech.

Obraz zupełnie niedwuznaczny - praca jedyne w państwie uniwersytetu musi się dostosować do wymagań ogromnie zapóźnionych. Całkiem podobnie było z pozostałymi dziedzinami życia. Dawanie innym wartości kulturalnych to działalność bardzo zaszczytna i nie tylko nie wolno potępiać wykonawców, ale należy ją samą zapisać na konto zasług wobec ludzkości. Trzeba tylko pamiętać o odwrotnej stronie medalu, czyli o kosztach własnych: Polska zaczynała wypadać z europejskiego rytmu, opóźniać krok.

Na przełomie XIV i XV stulecia społeczeństwo Korony wyglądało zupełnie normalnie, nie znać w nim żadnych znamion przerostu ani paraliżu. Było to rozwinięte społeczeństwo stanowe. Szlachta tworzyła już grupę zwartą, o sprecyzowanych i ujętych na piśmie prawach, nadanych jej całej. Pakt koszycki, uzupełniony przywilejami Jagiełły dawał dużo, ale władza królewska i w ogóle państwowa była w dalszym ciągu jak najbardziej rzeczywista. Istniała możliwość odejmowania decyzji i wprowadzania ich w czyn. Ogólnej atmosfery politycznej wewnątrz państwa inaczej niż dodatnio określić niepodobna. Zamęt doby Ludwika Węgierskiego został przewyciężony. Kiedy - w parę lat później - Jagiełło umówił się z Krzyżakami o wykupno od nich ziemi dobrzyńskiej, zjazdy szlacheckie zgodnie uchwały sześciokrotnie podwyższone podatki - po dwanaście groszy z łanu osiadłego. Zastrzegły, że to jednorazowe postanowienie, ale pieniądze wpłynęły do kasy państwa.

Nad Jeziorem Biskupińskim, we wsi Wenecja, stoi ściana warowna zamku, który za Jagiełły należał do Mikołaja herbu Nałęcz, kasztelana nakielskiego i sędziego. Tę ostatnią powinność pełnił Mikołaj nieludzko i okrutnie, zarabiając później na przysłowiowe przezwisko „diabła weneckiego”. Sprawiedliwość wymierzyła mu i opinia publiczna, i król, który go skazał na piętnaście lat więzienia. Ówczesna Polska nie знаła jeszcze zmory bezkarności wielmożnych, na co dowody można mnożyć.

Obyczaje polskiego rycerstwa pasowały do przyjętych w Europie zasad. Podczas walk w Wilnie w roku 1390 toczyły się, oczywiście, gorące spory o to, kto broni słusznej sprawy - oblężeni czy oblegający. Najwięcej wątpliwości żywili pewnie Francuzi, toteż postanowiono, że czterech ich rycerzy stoczy pojedynki z taką samą liczbą Polaków, i w ten sposób dyskusja zostanie rozstrzygnięta. Po wojnie, na gruncie neutralnym, czyli w Pradze - u Wacława, króla Czech i cesarza zjawili się wszyscy wyznaczeni wojownicy. Widocznie więc takie postępowanie było w ich oczach regułą. Do walki jednak nie doszło. Cesarz i margrabia Moraw pojednali zwaśnionych, po czym przy uczcie rycerskiej usadzono niedoszłych zapaśników parami, w czułej zgodzie: jeden Francuz - jeden Polak i tak dalej.

Dworskość dworskością, ale prawo powiadało, że chłop, który zranił szlachcica w karczmie, w ogóle nie płacił żadnej nawiązki. Można więc przypuszczać, że „wielmożnym” i „pracowitym” często się zdarzało biesiadować, nawet awanturować się razem. Inny przepis orzekał, iż wolno

przebrać kurtę, koszulę, czapkę, lecz dolnej garderoby karczmarz nie śmie przyjmować.

Pomimo herbów, rozwoju przywilejów i odrębnego kodeksu obyczajów stanu szlacheckiego nie odgradzały jeszcze od reszty społeczeństwa żadne nieprzekraczalne bariery. Ówczesny szlachcic mógł handlować i zajmować się innymi procederami, uchodzącymi za typowo mieszczańskie. Zjawisko to trzeba uznać za zasadnicze, gdyż dzięki niemu istniał ruch, wymiana sił między różnymi warstwami. W początkach XV wieku arcybiskup Mikołaj Kurowski zgromadził wielki majątek, handlując przez Gdańsk zbożem i mięsem. Kapitału nie ulokował w roli, lecz trzymał go w gotówce i kosztownościach. Postępował więc jak typowy „tyk”.

Wspomniany poprzednio mieszczanin wileński Hanul, zwany przez Krzyżaków po prostu Hansem z Rygi, przyjechał do Krakowa razem z Jagiełłą i pozostał w Polsce. Może uważał, że bezpieczniej będzie usunąć się z zasięgu rąk potomków Kiejstuta... W każdym razie już w początkach XV wieku występował jako „rycerz Hanul” albo „rycerz z Wilna”. Uzyskał więc szlachectwo.

Kiedy zawierano pokój kaliski, układ zatwierdziły główne miasta polskie. Podczas wojny Grzymalitów z Nałęczami ci ostatni zawierali pakt z mieszczanami Poznania, uzgadniając z nimi program postępowania w sprawie dziedziczenia tronu. Miasta nie były więc jeszcze wtedy wykluczone od udziału w życiu politycznym. Wytrwale zwalczały kandydaturę konserwatywnego Ziemowita IV, który wydawał się „sławetnym” gorszy od zarazy. Szlachta małopolska długo pamiętała ich postawę z roku 1383 i odwdzięczała się w sensie dodatnim. Przecież to mieszczenie nie wpuścili Ziemowita do stolicy, a potem wyparowali go z przedmieść.

Oryginalnie, lecz tylko w oczach przywykłych do schematów, wyglądają ówczesne awanse osiągnięte dzięki nauce. Wiemy, że tron francuski z dawna zwykł był otaczać się wykształconymi plebejuszami, i uważamy to za zupełnie niemożliwe w Polsce. O karierze Jana Radlicy była już mowa. On wprawdzie nie wywodził się z pospólstwa, lecz wszedł na szczyty dzięki wiedzy fachowej, a nie urodzeniu. Za to arcybiskup Wojciech herbu Jastrzębiec należał do szlachty bardzo pośledniej. Ojciec zapisał go do szkółki i przy tej okazji miał podobno wygłosić doń słowa, które okazały się prorocze: „Oddaję cię nie w żaki, ale w biskupy.”

W samych początkach XV wieku przeżył Kraków sensację, którą nie wiadomo czemu wkłada się między legendy. Pewien szlachcic powziął podejrzenie, iż jeden z żaków Akademii to przebrana dziewczyna. W sieni kamienicy przyparł ją do muru i sprawdził. Za noszenie ubrań męskich groził wtedy kobietom stos, o czym przekonują losy Joanny d’Arc. Zapytana przez sędziów o powód tak zdrożnego postępowania, krakowska oskarżona miała odpowiedzieć: „Z miłości dla wiedzy.” Od wyroku ocaliło ją stwierdzenie przez świadków jej nienaganne prowadzenie się. Była córką wiejskiego nauczyciela z Wielkopolski. Po śmierci ojca postanowiła kształcić się dalej... Na własną prośbę oddano ją do klasztoru, gdzie została nauczycielką mniszek, później przełożoną. Historię tę opisał współczesny wypadkom opat wiedeński Marcin, góral ze Spiszu, który stosunki w

krakowskich i śląskich szkołach znał z osobistego doświadczenia.

Aby uniknąć podejrzeń o stronniczość, trzeba teraz porozmawiać o sprawach znacznie mniej chwalebnych.

W 1398 roku magistrat krakowski postanowił wypędzić z miasta wszystkie prostytutki, lecz niedługo potem zechciał jeszcze sprawdzić, jak zapatruje się prawo kanoniczne na kwestię domów publicznych. W tym celu zwrócił się z zapytaniem do uczonego dominikanina Jana Falkenberga - Niemca z Pomorza - i otrzymał w odpowiedzi aż dwie niesłychanie zawile i subtelne rozprawy. Wynikało z nich, że wprowadzić nie wolno budować takich domów, ale dla uniknięcia gorszego zła, to znaczy uwodzenia żon, można, a nawet trzeba.

Inne miasta polskie też martwiły się nierządem. W Płocku na przykład w wieku XV dawały się odczuć następujące dolegliwości: „Fałszywy sędzia w konsystorzu, chciwy ksiądz w kościele, piękna niewiasta w domu nierządu, zdradliwy kupiec, łoża małżeńskiego dokładca, skryty oszczerca.” Powszechne schorzenie średniowiecznej Europy występowało więc i w Polsce, lecz w formie osłabionej. Jak pisze Jan Ptaśnik:

Wieki średnie nie tylko nie prześladowały nierządnic, ale, owszem, miały je nieraz w wielkiej cenie. Gromadziły się one w znacznej ilości na odpustach, synodach, soborach; w Konstancji w latach 1414-1418 przebywało ich 1500, a największą ich liczbę posiadał Rzym i Awinion w czasach, kiedy był stolicą papieżstwa. Książęta i cesarze nie uważali sobie za ujmę domów ich z całym swym dworem nawiedzać, we wszystkich miastach niemieckich magistraty dbały o dobrą egzystencję tej plagi społecznej. Wrocław za przykładem miast zachodnich w czasie dni zapustnych drobnymi podarkami je honoruje, a tylko podeszłe w lata z miasta wypędza.

Polska dostrajała się czasem do normy i w tym, co stanowiło najgorszą hańbę ówczesnej Europy. Rozruchy antysemityczne zdarzyły się w Krakowie dokładnie w tym samym 1407 roku, co w Nysie, Frankfurcie oraz Canterbury. Pierwszy atak tłuszczy uciszyła straż miejska pod dowództwem Klemensa z Moskorzowa, tego samego, który bronił Wilna. Potem nieoczekiwanie przyszła druga fala, jeszcze gorsze mordy i pożar. Podobnie jak przedtem w Pradze, rozruchy krakowskie były świadomie prowokowane. Wiemy o tym od Długosza, który zasadniczo wierzył ponurym bredniom o mordach rytualnych, ale w danym wypadku bez obłonek oskarżył niejakiego Budka, kanonika wiślickiego, o to, że „jak na mistrza i opowiadacza słowa Bożego bynajmniej nie przystało”, najpierw rozpałił tłum aluzjami i wzmiankami o Pradze, a potem z ambony u Św. Barbary oznajmił:

Żydzi mieszkający w mieście Krakowie nocy poprzedzającej zabili dziecko chrześcijańskie i krwią jego bezbożnie się zmazali, a na księdza, który szedł do chorego z Najświętszym Sakramentem, kamieniami ciskali.

Jak wiemy, wygnani z Węgier Żydzi pozostali w Polsce. Widocznie tutaj

było na co dzień lepiej, ale niekiedy bywało także strasznie. W 1407 roku dzieci pomordowanych rodziców ochrzczono, pod nożem „nawróciło się” wielu dorosłych. Stolica Polski potrafiła zatem stosować wzór skrajnie zachodni, hiszpański.

Sygnalem do drugiej fali rzezi krakowskiej stał się... dzwon ratuszowy, zwołujący rajców na sąd doraźny nad pochwytanymi sprawcami poprzednich przestępstw. Tłum zbiegł się znowu i tego zupełnie wystarczyło na początek nowej zbrodni. Mechanizm odruchów masowych bywa w rozmaitych epokach taki sam.

Wszystkich sprężyn owych wypadków na pewno nigdy nie wyśledzimy, a musiały być liczne i skomplikowane. Europa znajdowała się w przededniu husytyzmu, przyczyny tej poważnej rewolucji istniały i rosły już od dawna, nie tylko w Czechach. U nas największe napięcia socjalne istniały na Śląsku, zwłaszcza we Wrocławiu, który wielkimi krokami szedł ku powstaniu 1418 roku, kiedy to dostojnicy miejscy dali głowy pod oknami ratusza. W Krakowie XIV stulecia było niespokojnie, plebs burzył się przeciwko rajcom, zagarniającym dla siebie przywileje dawnych dziedzicznych wójtów. W 1396 roku cech rzeźników, z natury rzeczy najniebezpieczniejszy, wprost wygrażał: „Czekajcie tylko, czekajcie, żeby między radą a pospólstwem nie przyszło do tego, co we Wrocławiu się dzieje.” Była to aluzja do wcześniejszych i jak widać głośnych zaburzeń nad Odrą. W odpowiedzi na to rada podzieliła miasto na cztery kwartały, dając każdemu osobnego przełożonego do pilnowania rzemieślników. We Wrocławiu rada zabrała wszelką broń ze składnic cechowych, przenosząc ją na ratusz pod własny nadzór.

Rozruchy antyżydowskie, celowo prowokowane w dobie dużych niepokojów socjalnych - przecież zjawisko to Europa XX wieku aż za dobrze zna z własnego smutnego doświadczenia. Wynalazczość w niektórych dziedzinach jest naprawdę mocno ograniczona. Niedługo przed omówionymi rozruchami sąd miejski krakowski skazał na śmierć Żyda, niejakiego Fetera, za fałszowanie pieniędzy. Oprowadzono go po rynku i ulicach przybranego w koronę wysadzaną podrobionymi monetami, „przy czym woźni obwoływali jego zbrodnię” , i w końcu spalono na stosie. Nie o to chodzi, czy rzeczywiście fałszował, lecz o logicznie pewny związek pomiędzy tą demonstracją, świadomą prowokacją ze strony księdza a pogromem.

Z dociekań Zdzisława Kaczmarczyka dowiadujemy się ciekawych rzeczy o ówczesnej wsi polskiej. Zamożność jej musiała być wcale znaczna, jeśli zdarzali się gospodarze posiadający po piętnaście koni i po dwieście owiec. Przeciętna była oczywiście znacznie niższa, ale para koni czy wołów i kilka sztuk bydła na własność to też niemało. Dobrobyt osobisty i rodzinny, możliwość rozporządzania mieniem stwarzały podstawy niezależności, którą w umiarkowanej mierze popierało i prawo państwowe. Biedy na pewno nie brakowało, ale chłop nie był wtedy odcięty od opieki monarszej, mógł skarżyć do sądu koronnego, w określonych porach roku zmieniać miejsce pobytu i pana, wypełniwszy warunki, które go, rzecz jasna, obciążały. Zdecydowany zwrot na gorsze miał przyjść dopiero znacznie później. Na razie wcale nie było rajy w Polsce - nie istniał zresztą

nigdzie - ale najliczniejsza warstwa ludności nie została jeszcze stłamszona i hermetycznie zamknięta w gmachu wszechwładzy dziedziców. Ciężka praca chłopów wznosiła także państwo, a nie tylko panów, i na tym chyba polega istota różnicy pomiędzy stuleciem XIV i XV a późniejszymi.

Wkrótce się przekonamy, że stosunkowo zamożny i mający swobodę chłop żywo uczestniczył w poruszeniach socjalnych i politycznych, ochotniczo chadzał przeciwko Krzyżakom. Walczył więc o poprawę doli własnej oraz stosunków w państwie. Wrodzoną mu rzekomo potulność zaczął wykazywać później, kiedy zupełnie przygnieciono go do ziemi. Tylko niewolnik bywa bierny, człowiek, który zna smak wolności, pragnie jej więcej.

Wszystkie powyższe uwagi, z konieczności szkicowe, odnosiły się do samej Polski. Na Litwie panowały stosunki pod każdym względem odmienne.

Nie należy sobie wyobrażać martwoty społecznej. W Wielkim Księstwie zdarzały się zawrotne awanse, takie, o jakich w Koronie nikt nie mógł marzyć. Ruskie latopisy przechowały wiadomości o niejakiem Wojdydle. Podobno: „*parobok był niewolnyj chłop*” - piekarz. Już za Olgierda zaczął szybko iść w górę, został pokojowcem, potem grodzierzczą Lidy. W dwa lata po zgonie ojca Jagiełło ożenił go ze swą rodzoną siostrą - Marią - czym rozjątrzył konserwatystę Kiejstuta. „*I był tot Wojdyło w wielikoj mocy*” - pisze kronikarz. Stał się prawą ręką wielkiego księcia, był przezeń wysyłany na tajne pertraktacje z Krzyżakami. W 1382 roku Kiejstut dostał go w swe ręce i powiesił bez sądu.

Możliwe, że Wojdyło był zwolennikiem przyjęcia przez Jagiełłę prawosławia, a tym samym całkowitego zruszczenia Litwy, czemu sprzeciwiał się Kiejstut, obrońca narodowości i tradycji. Dla niniejszych rozważań rzecz istotna to nagły, niebotyczny awans oraz sposób zakończenia kariery.

Podczas wyprawy grunwaldzkiej dwaj możni Litwini dopuścili się świętokradztwa w kościele, co wywołało wśród Polaków zgrozę. Winowajców stawiono przed Witoldem, który kazał im się natychmiast powiesić. Długosz, czerpiący wiadomości pewnie z opowiadań ojca, ze zrozumiałym zdumieniem opisuje, że sami wzniesli szubienicę, przy czym jeden drugiego zachęcał do pośpiechu, sami założyli sobie stryczki, nikt ich nawet nie podsadzał...

Martwoty na Litwie nie było, panował za to prymityw. O wzlotach i upadkach rozstrzygała nie znająca hamulca wola hosudara, który sam z kolei stale bał się trucizny.

W XIV wieku społeczeństwo Wielkiego Księstwa dzieliło się na bojarów i włościan, od których niżej stali niewolni. Dopiero w następnym stuleciu zaczęły się wytwarzać pojęcia dziedzicznej własności, gdyż poprzednio całą ziemię uważano za należącą do księcia, a ten, kto ją zajął i uprawiał, posiadał tylko prawo wyłącznego użytkowania, lecz nie mógł nią swobodnie rozporządzać.

Celem, do którego zmierzała akcja Jagiełły i Witolda - pisze Witold Kamieniecki - było stworzenie praworządnego państwa chrześcijańskiego

ze społeczeństwem podzielonym na wyraźne stany: duchowny, rycerski, mieszczański i włościański. Ośrodkiem ciężkości w państwie miał być jednolity jak w Polsce szlachecki stan rycerski, oparty na pełnej dziedzicznej własności ziemskiej.

Osiedla miejskie istniały na Litwie, mieszkańcy ich czynnie mieszały się nawet do polityki. Tak było w roku 1382, kiedy Jagiełło obalał Kiejstuta. Wielokrotnie wspomniany Hanul należał do składu poselstwa Skirgiełły, które w styczniu 1385 roku przyjechało do Krakowa prosić o rękę Jadwigi. Nie był on Litwinem i poniekąd dlatego właśnie można go uznać za typowego przedstawiciela mieszczaństwa Wielkiego Księstwa, które rekrutowało się przede wszystkim z Rusinów, Niemców oraz Polaków. Ci ostatni pochodzili z dobrowolnie napływającej ludności, bo brańcy, tak licznie chwytani w wyprawach, osadzani bywali po wsiach. Rola Rusinów jest zrozumiała sama przez się - w Kijowie i innych domenach Rurykowiczów życie miejskie kwitło z dawien dawna. Długosz, który stosunki XV wieku znał z osobistej obserwacji, zapytuje sam siebie, jak się to stać w ogóle mogło, że Litwa zapanowała nad Rusią, tak przemożną w dziedzinie cywilizacji.

Zamiar zaprowadzenia na Litwie takiego samego ustroju stanowego, jaki u schyłku XIV wieku okrzepł już w Polsce, nie został osiągnięty. Prawa, które w Koronie były wynikiem długiej i rodzimej ewolucji, przeniesione za Bug zrodziły zupełnie inne skutki. Zamiast swoistej demokracji szlacheckiej wytworzyła się tam zdecydowana przewaga magnatów, co z kolei zaczęło oddziaływać na samą Polskę. Ale nie uprzedzajmy wypadków.

Próba oceny położenia istniejącego na przełomie XIV i XV wieku musi się zakończyć znamienym wnioskiem. Punkt widzenia jest właściwie rzeczą obojętną - może nim być polityka wewnętrzna lub zagraniczna, a także kultura. W każdej z tych dziedzin spadał na Koronę obowiązek dawania pomocy. Na wzajemność można było liczyć jedynie w kwestiach polityki zagranicznej, a ściślej - wojskowych. Z tym naturalnie zastrzeżeniem, iż kierownictwo zarówno dyplomacją, jak armią znalazło się w ręku Litwina.

Dorobek królestwa polskiego, osiągnięty w przeciągu kilkuset lat dawniejszej historii, był znaczny. Można śmiało ryzykować twierdzenie, że stanowiąc podstawę dalszego rozwoju wystarczyłyby na spełnienie własnych zadań i celów Korony. Tworzony był przecież na ich miarę. Unia przyniosła problemy dodatkowe, które wcale nie polegały na potrzebie zorganizowania administracji kolonialnej obszarów przyłączonych, lecz na czymś wręcz przeciwnym - na potrzebie rozwiązania olbrzymich trudności, które w przeciągu stuleci wyrosły przed państwem litewskim, żyjącym dawniej - a właściwie i nadal - na swój własny rachunek.

Stan rzeczy, jaki wytworzyła unia, jest w dziejach Europy fenomenem, wypadkiem jedynym i niepowtarzalnym. Na razie poprzestańmy na jednym tylko, lecz bardzo ważnym stwierdzeniu. Wspomniana okoliczność wyjaśnia, dlaczego po unii nasze dzieje zaczęły się odróżniać od przeciętnego europejskiego wzorca, obfitować w wydarzenia z pozoru

dziwaczne, układać w sposób kapryśny, częstokroć zwłaszcza dla obcych - w ogóle niezrozumiały. Nie sprawiło tego żadne fatum ani niedorozwój umysłowy. Po unii przestaliśmy być państwem podobnym do innych. Rozmiary potrzeb grubo przerosły zasób posiadanych środków, skupionych przede wszystkim na niewielkich obszarach Korony.

Miało to wyjść na jaw dopiero z czasem. Jeśli się chce wymierzyć sprawiedliwość ówczesnym działaczom, trzeba pamiętać, że niemal przez cały wiek XV istniały najpoważniejsze szanse wyjścia z trudności politycznych nie tylko obronną ręką, lecz w pełni zwycięsko.

Przychodzi pora na przegląd wydarzeń tego stulecia.

3

Sprowadzonej do Krakowa Annie Cillejskiej trzeba było dać osiem miesięcy czasu na naukę języka, bo nie rozumiała ani słowa po polsku. Podobnie zresztą jak jej matka, a córka Kazimierza Wielkiego - Anna von Teck. Ludwik Węgierski działał przezornie i skutecznie wywożąc ją z kraju jako czteroletnie dziecko i w dziesięć lat później wydając za mąż za Niemca.

W 1402 roku księżna Anna przyjechała do Krakowa na koronację córki.

Kiedy w stolicy odprawiano szumne uroczystości, w przebraniu kupieckim wędrował przez Polskę najmłodszy brat królewski, Świdrygiełło. Spieszył do Malborka.

Pierwszy rok nowego stulecia - 1401 - przyniósł tak zwaną unię wileńsko-radomską. Aktami poręczonymi przez wielmożów obu stron, nie zrywając wcale związku państw, nadano Witoldowi dożywotnią władzę nad Wielkim Księstwem Litewskim. Było to więc potwierdzenie i wzmocnienie układów zawartych przed niewielu laty w Ostrowie. Przemóżny wpływ na decyzje musiało wyrzucić położenie ogólne. Na północy Krzyżacy rzeczywiście zagarnęli Żmudź. Witold pomagał im w tym dziele, jak poprzednio obiecał. Na wschodzie plan opanowania całej Rusi przez Litwę załamał się nad Worskłą, a Wasyl I moskiewski znacznie poprawił swą sytuację, pomyślnie wojując z Kazaniem.

Od roku 1401 istniała prawdziwa i pełna solidarność działań Jagiełły i Witolda. Żył jednakże malkontent w osobie zazdrosnego o władzę Świdrygiełły, który akta wileńsko-radomskie podpisał, ale podobno zawiesił przy nich fałszywą pieczęć. Wcale niełatwo było uporządkować stosunki wewnętrzne na Litwie, nawet z pomocą Polski.

Wojna Litwy z Zakonem - tym trudniejsza, że jednocześnie trzeba było zwalczać bunty na wschodzie, od Smoleńska po Podole - wznowiła się już w drugiej połowie 1401 roku. Świdrygiełło, który przybył do Malborka 31 stycznia 1402 roku, potwierdził wszystkie dawne i tak katastrofalne dla Litwy obietnice Witolda. Krzyżacy przyrzekli w zamian wprowadzić go do Wilna.

Wiele krwi polało się po obu stronach, bo i Witold chadzał na Prusy z odwetowymi wyprawami. Pokój zawarto 22 maja 1404 roku w Raciążu, gdzie Jagiełło osobiście spotkał się z wielkim mistrzem Konradem von

Jungingen. Warunki były nadzwyczaj uciążliwe dla Litwy. Przyszło zrzec się Żmudzi i zgodzić na pretensje Niemców do Pskowa, otrzymując obietnicę uznania władzy Wilna nad Wielkim Nowogrodem. Sukces Malborka był ogromny. Podobnie jak tylekroć poprzednio okazało się, że Litwa nie może jednocześnie prowadzić wojny na dwóch frontach. Wypadło więc znowu drogo zapłacić za pokój od zachodu. Zakon osiągał swój główny cel, lądowe połączenie posiadłości pruskich z inflanckimi, a ponadto jeszcze widoki na Psków.

Wielki mistrz zgodził się w Raciążu na wykupno przez króla Dobrzynia i Złotoryi, zastawionych ongi przez nieżyjącego już Opolczyka. Ten punkt umowy wykonano w najbliższym z możliwych terminów. W czerwcu 1405 roku Zakon otrzymał swoje pieniądze, a Polska wzmiankowane ziemie.

Cztery lata po pokoju raciąskim to właściwie jeden ciąg silnie wspieranych przez Koronę wypraw litewskich na wschód. Najpierw padł Smoleńsk, zaraz obsadzony przez załogę polską, a od 1406 roku do akcji czynnie przystąpiła Moskwa, która dotychczas tylko inspirowała i podsycala opór. W charakterystyczny sposób zachowywali się Krzyżacy. Dawali Witoldowi posiłki zbrojne, ale przez cały czas trzymali w rękę nici intrygi, tajnie korespondując ze Świdrygiełłą, który po Raciążu pozornie pojednał się z królem.

Do wydarzeń dużej miary doszło w roku 1408. Zaczęło się na wiosnę od ucieczki Świdrygiełły do Moskwy (Malbork zawczasu wiedział o tym zamiarze), po czym nastąpiła istna „masowa dezercja” kniazów litewsko-ruskich na Kreml. Wasyl I - zięć Witolda - przyjmował ich dobrze, hojnie obdzielał włościami. Tak więc Świdrygiełło dostał między innymi Rzew i Kołomnę, a nawet sam Włodzimierz nad Kłazmą, dawną stolicą Rusi Zaleskiej. Przykład, jeszcze za pogańskich czasów dany przez Jawnutę i Andrzeja Garbatego, znajdował coraz liczniejszych naśladowców. Chrzest nic nie zmienił w mechanizmie polityki - Litwa nadal miotała się między Malborkiem a Moskwą, nigdzie nie mogąc osiągnąć rozstrzygnięcia.

U schyłku lata 1408 roku poszła na wschód wielka wyprawa pod dowództwem samego Witolda. Pięć tysięcy polskich kopijników wiódł marszałek koronny Zbigniew z Brzezia, osobistość bardzo wybitna, Wasyl I zastąpił im drogę nad Ugrą, dopływem Oki (w dzisiejszych atlasach radzieckich Ugra widnieje w południowo-zachodnim kącie mapy noszącej nazwę „Podmoskowie”). Do bitwy nie doszło, gdyż obu stronom potrzebny był pokój. Wasyl miał na karku Tatarów Edygeja, Litwa i Polska - Krzyżaków.

Uznano Ugrę za granicę państwową. Lingwen z ramienia Jagiełły osiadł w Wielkim Nowogrodzie, a ponadto jeszcze - wbrew umowom raciąskim z Zakonem - namiestnik królewski, książę Jerzy Nos, poszedł do Pskowa.

Odwroty spod Moskwy to temat często spotykany w literaturach europejskich. Serię opisów zapoczątkował Polak, Jan Długosz, który - wymownie malował utrapienia odchodzącej na zachód armii. Witold zostawił ją własnemu losowi, bo podobno... „człek lubieżny i pożądlivy, czym prędzej rozstawnymi końmi do żony pośpieszył”. Tatarzy przeszkadzali w prowiantowaniu:

gdy więc ustały wszelkie dowozy i przyszło zostawić w lesie nieużyteczne telegi, srogi głód dał się uczuć rycerstwu. Chcieli się niektórzy z głodu karmić żołądźmi, ale, trzymając żołądź w ustach, umierali. Tym sposobem wiele ludzi wyginęło. Przylączyła się do tego nadzwyczaj śliska i niesposobna droga, z przyczyny ciągłych deszczów; kraj bowiem moskiewski położenie ma zbyt niskie: za czym wszystkie niemal konie z głodu i złej drogi poupadały. W jednym zwłaszcza obszernym lesie tak głębokie były błota, że żołnierze musieli w wielu miejscach ze zdechłych i posłabłych koni słać sobie drogę i stawiać pomosty, inaczej bowiem nie można się było przeprawić.

Długosz zapisał jeszcze, że w drużynie Świdrygiełły, która wraz z nim zbiegła do Moskwy, oprócz Litwinów i Rusinów znajdowali się jacyś Polacy. Wiadomość godna uwagi. Olbrzymia przestrzeń na wschodzie, nadzieje łupów i osobistych karier znęcały niespokojne duchy. Tak więc już w 1408 roku wystąpiły wczesne objawy gorączki, która w dwieście lat później - za Samozwańców - sięgnąć miała monstrualnego stopnia.

Kronikarz na pewno przesadził oskarżając Witolda o zbytnią tęsknotę do objęć żoniny. Pośpiech księcia tłumaczy raczej tajna narada z królem, odbyta w Nowogrodku jeszcze tej samej jesieni 1408 roku. Pędząc galopem znowo z Udry, wiozł Witold wiadomość o korzystnym pokoju na wschodzie, który dawał możliwość stoczenia generalnej batalii na zachodzie. W Nowogrodku zapadła pewnie decyzja wojny z Zakonem, nazwanej przez potomność Wielką.

Pomimo wykupna ziemi dobrzyńskiej stosunki pomiędzy Krzyżakami a Polską były od lat kilku napięte do najwyższego stopnia. W 1402 roku wielki mistrz wziął od Zygmunta Luksemburczyka w zastaw Nową Marchię, Santok i Drezdenko, odgradzał kraj od Pomorza Zachodniego, niweczył zdobycze Kazimierza Wielkiego. Taki stan rzeczy oraz wyzywające zachowanie się Malborka stopniowo przewyższały panujący w Koronie pacyfizm. Żył się w niej podówczas, jakżeśmy widzieli, wcale nieźle, a historia uczy, że społeczeństwa zadowolone ze swego losu z reguły nie są skłonne do wojny. Za dużo ma każdy osobiście do stracenia.

Sygnalem stało się powstanie Żmudzinów, rozpoczęte w końcu maja 1409 roku, a spowodowane i poparte przez Witolda. Jeszcze ostatni raz - w czerwcu - próbowali Krzyżacy zagrać na nastrojach Polaków. Posłowie wielkiego mistrza, którym był już wtedy Ulryk von Jungingen, na spotkaniu w Obornikach umyślnie wobec rycerstwa koronnego naciskali Jagiełłę, rozwodząc się, że to Litwa prowokuje i psuje pokój. Nie bez echa... Niektórzy doradcy monarchy „z wszelką zabiegali usilnością, aby tlejąca w zarzewiu wojna nie dojrzała i nie wybuchła”.

W lipcu przyjechało do Malborka poselstwo koronne z arcybiskupem gnieźnieńskim, Mikołajem Kurowskim, jako przewodniczącym. Oskarża się czasem metropolitę o zbytni temperament, który go poniósł. Trudno w to uwierzyć. Skoro Jagiełło po zawarciu pokoju na wschodzie, naradzie z Witoldem i rozpoczęciu wstępnych działań na Żmudzi zdecydował się na rozprawę, to m u s i a ł pchnąć na Malbork główną siłę, którą rozporządzał, czyli Polskę. Chcąc pchnąć, trzeba ją było wpierw poruszyć z

miejsca. Król postanowił widocznie postawić Koronę wobec faktu dokonanego i arcybiskup wykonywał pewnie ścisłą instrukcję, kiedy rąbnął prosto z mostu:

Przestań straszyć nas, mistrzu, wojną litewską: jeśli ty bowiem wybierzesz się na Litwę bądź pewnym, że król nasz Prusy zbrojno nawiedzi. Nieprzyjaciół Litwy my za swoich uważamy wrogów; na ciebie więc zwrócimy oręż, jeżeli Litwę zaczepisz.

Każda epoka ma swój własny styl rozmów dyplomatycznych, więc może to nam tylko forma spokojnej odpowiedzi mistrza wydaje się kompozycją literacką. Co do treści nie może być sporu: jest wierna i niezmiernie ważna. Najlepiej poinformowany świadek dokonuje oceny poszczególnych odcinków wrogiego frontu:

Dziękuję ci, ojczyźnie przynajbardziej, że nie utaiłeś przede mną zamiarów twego króla. Ja, twoją mową objaśniony i upewniony, raczej na głowę samą niż na członki cios mój wymierzę; ziemię osiadłą niż pustą, miasta i włości raczej niż lasy nawiedzić wolę; wojnę zamierzoną przeciwko Litwie na królestwo polskie obróć.

Ulryk von Jungingen sam wybrał teatr operacyjny, dając tym świadectwo, gdzie należało wtedy oczekiwać ostatecznych rozstrzygnięć i która z sił grała decydującą rolę. Przyparty do muru, zachował się zupełnie logicznie - postanowił rozbić głównego przeciwnika.

6 sierpnia 1409 roku obwołano w Malborku wojnę. 14 sierpnia Władysław Jagiełło otrzymał w Nowym Korczynie akt jej wypowiedzenia. W dwie doby później chorągwie Zakonu wtargnęły do Polski. Skończył się okres pokoju, trwający od lat siedemdziesięciu siedmiu. Wojna, mająca się ongi wznowić na Zielone Świąta 1333 roku przychodziła dopiero teraz.

Kazimierz Wielki zbierał po śmierci żniwo własnej mądrości. Zasługę dzielili z nim jego uczniowie, owi tylekroć później i teraz krytykowani komesowie małopolscy, twórcy czy współtwórcy unii z Litwą. Od chwili jej zawarcia upłynęło już niemal pełne ćwierćwiecze, a przez cały ten czas Polska miała spokojną granicę wschodnią. Unia to nie tylko sojusz wojskowy z Litwą, która poprzednio trudniła się systematycznym upuszczaniem krwi swemu jednemu kandydatowi na sprzymierzeńca. Unia znakomicie uzupełniła Kazimierzowską koncepcję strzeżenia pokoju dla tym skuteczniejszego skupiania sił samej Polski. Gdyby unia nie spacyfikowała wschodniego pogranicza Korony, obóz polski pod Grunwaldem byłby słabszy.

Skoro od tak dawna nie wojowano z Zakonem, nic chyba dziwnego, że system obronny zardzewiał trochę od tej strony i słabo zniósł pierwsze uderzenie Krzyżaków, nieustannie zaprawiających się w boju. A zresztą, jeśli król naprawdę sprowokował mistrza, to poddani Władysława mogli ulec chwilowemu zaskoczeniu. Atak był nadzwyczajnie silny, wsparty artylerią, jakiej nikt dawniej nie oglądał. Padły Dobrzyń, Złotoryja, Bobrowniki i inne zamki, mieszczanie niemieccy zdradą wydali

Bydgoszcz, a to, co się w jej pobliżu stało, w świetle późniejszych wypadków wygląda na szczególnie złośliwy grymas historii. Polacy wzięli tam do niewoli, odbitego wkrótce przez swoich, komtura ze Świecia, który się nazywał Henryk von Plauen.

6 października Jagiełło, po wysiłonym marszu i krótkim, bardzo energicznie prowadzonym oblężeniu, zdobył Bydgoszcz szturmem. W dwa dni potem zawarto rozejm. Rok 1409 nie przyniósł rozstrzygnięcia.

Przygotowania do dalszej rozprawy odbywały się na wielką skalę. Jeszcze przed rozpoczęciem działań rozesłał Jagiełło datowane z Opatowa pisma do całej chrześcijańskiej Europy. Dziś, kiedy upłynęło lat pięćset pięćdziesiąt i jak najdokładniej wiadomo, co wyrosło z Prus krzyżackich, czyta się owo orędzie z uczuciem podziwu dla przenikliwości jego autorów.

To tylko jedno ich życzenie - mowa tam o „panach pruskich” - aby mogli kraje cudze jakimkolwiek bądź sposobem posiadać. Skąd zaiste wnosimy, że jeśli tak przewrotnie z innymi książętami jak z nami postępować będą, trudno, aby się kto przy nich utrzymał. Nie ma wątpliwości, że kiedyś, jeśli ich Bóg opatrzny nie ukróci, wszystkie państwa i królestwa przed ich przemocą ukłękną [...] Bowiem bezkarność ich nie dopuszcza, aby w o l a s z ł a z a r o z u m e m , a l e w y m a g a , p r z e c i w n i e , i ż b y r o z u m p o d l e g a ł w o l i .

Należy unikać przesadnych aktualizacji, ale najogólniej ważąc opinie wolno jednak powiedzieć, że podkreślone słowa dadzą się zastosować zarówno do Wilhelma II, jak i do Adolfa Hitlera.

Rozesłane z Opatowa orędzie wojenne jest niezastąpionym dokumentem dla poznania kultury duchowej ówczesnej Polski. Kancelaria koronna umiała siłę argumentacji łączyć z godną największego uznania powściągliwością formy. W obszernym piśmie brak w ogóle wyklinań i wyzwisk, w które obfitowały dokumenty nie tylko współczesne, ale nawet późniejsze o cały wiek (warto porównać, jakich słów używał papież karcąc prymasa Jana Łaskiego w roku 1530). Nieznany autor orędzia nie poprzestał na opisach faktów, lecz dążył do przedstawienia czytelnikom kwintesencji krzyżackich nieprawości. Zwięźle a nader trafnie wskazał, na czym polega istota zła. Tak pisać umieją tylko ludzie zdolni do syntetyzującego myślenia.

Przygotowania psychologiczne w całym królestwie były rozległe, rozkazy i wezwania ich nie wyczerpywały. Rycerza, który poddał Bobrowniki, „prałaci i panowie” po drobiazgowym śledztwie stawili przed sądem króla, a ten ostatni skazał go na dożywotnie więzienie w Chęcinach (po Grunwaldzie jednak ułaskawił). Innych winowajców uznano za pozbawionych czci. Jeden z nich tak się przejął, że dostał obłąkania. Pod Grunwaldem odznaczył się nadzwyczajną odwagą i sławę odzyskał, lecz do zdrowia nie powrócił nigdy. Dyscypliny moralnej nie brakło w ówczesnym królestwie polskim.

Przez całą zimę „biegły w swoim rzemiośle mistrz Jarosław” w największej tajemnicy pracował w Kozienicach nad budową mostu

pontonowego, „jakiego nigdy pierwej nie widziano”. Przez osiem dni odprawiano w Białowieży i w innych puszczech wielkie łowy, a zasolone mięso płynęło Narwią i Wisłą do Płocka.

W początkach grudnia Jagiełło i Witold złożyli w Brześciu radę wojenną, w której oprócz nich uczestniczył tylko podkanclerzy koronny, ksiądz Mikołaj Trąba, późniejszy arcybiskup gnieźnieński i pierwszy prymas Polski. Tam powstał plan kampanii.

Propaganda królewska, rozsyłanie posłów po całym Zachodzie i aż do Anglii poskutkowały. W 1410 roku Krzyżacy otrzymali stamtąd mniej pomocy, niż bywało dawniej, podczas wypraw przeciwko Litwie. Zakon przeciwną jednak na swoją stronę ksiąząt Pomorza Zachodniego. Oddziaływał na nich rozmaitymi sposobami, przede wszystkim pieniędzmi, lecz także namowami otaczających ich ciągle Niemców. Nie cofał się nawet przed moralnym - co najmniej! - poparciem, a może nawet inspirowaniem zbrodni. W 1395 roku zamordowany został przez Niemca ksiązę Szczecina Warcisław VII - rodzony brat Każka słupskiego. Poprzednio złożył on Jagielle hołd, otrzymał w lenno Nakło i dochowywał Polsce wierności. Nie bez przyczyny Krzyżacy gorliwie starali się u papieża o ułaskawienie mordercy. Słabi następcy Warcisława VII najpierw prowadzili grę chwiejną, a w 1409 roku przeszli na stronę Malborka. Jednakże czynny udział w wojnie wziął tylko jeden z nich - Kazimierz V. Przyprowadził sześciuset rycerzy i pod Grunwaldem dostał się do niewoli polskiej.

Mazowsze stanęło przy Polsce, jednakże władający nim rodzeni bracia zachowali się w sposób bardzo różny. Janusz I, warszawski, szedł z Jagiełłą bez zastrzeżeń, a syn jego, Bolesław, już w 1409 roku wtargnął pod Działdowo. Inaczej Ziemowit IV, dawny rywal króla. Zgodził się uczynić ze swego Płocka bazę operacyjną i zaopatrzeniową, posłał na wojnę drużyny i syna (także Ziemowita), ale sam pozostał w domu. Takie postępowanie wydać się może niesympatyczne, jednakże właśnie ono uzasadnia twierdzenie, że Ziemowit IV był politykiem z krwi i kości. Musiał zadać sobie pytanie: a co będzie, jeśli Krzyżacy wygrają? Jego słabe księstwo aż nazbyt długą ścianą przypierało do państwa Zakonu.

Po spławionym pod Czerwińsk i doskonale zabezpieczonym na obu przyczółkach moście mistrza Jarosława armia koronna przeszła na prawy brzeg Wisły i połączyła się z wojskiem Witolda. Przeprowa odbywała się w ścieśnionych sztykach i wielkim porządku. Most popłynął potem do Płocka, gdzie czekał następnej okazji.

12 lipca, już na terytorium zakonnym, posłowie węgierscy wręczyli Jagielle akt wypowiedzenia wojny przez Zygmunta Luksemburczyka. Utajono to przed rycerstwem. Tylko ósmioosobowa rada wojenna знаła nowinę.

15 lipca rano, po odbyciu dziesięciokilometrowego marszu, chorągwie królewskie zetknęły się z nieprzyjacielem na polach koło wsi Stębarku, Łodwigowa i Grunwaldu. Krzyżacy przybyli tam zapewne już w przeddzień i zdążyli przygotować sobie plac boju.

Przebieg bitwy pod Grunwaldem i całej tej wojny został wyczerpująco i z naukową ścisłością przedstawiony w dziele Stefana M. Kuczyńskiego:

Wielka Wojna z zakonem krzyżackim. Książka ta wyjaśniła wiele zagadnień, przez długi czas budzących spory.

Dowodził na pewno sam Władysław II. Podczas bitwy zachowywał się dokładnie tak jak chan Mamaj na Kulikowym Polu. Stał ze świtą na wzgórzu, skąd było dobrze widać, i przez gońców słał rozkazy, od których nawet ochrypl. Bo też ten sposób postępowania był przejęty wprost od Tatarów, mistrzów sztuki wojennej.

Siły obu stron. Wielki mistrz miał dwadzieścia jeden tysięcy konnych i jedenaście tysięcy pieszych żołnierzy, liczonych wraz z czeladzią. Jagiełło przyprowadził razem około trzydziestu dziewięciu tysięcy wojowników, do których należy jeszcze dodać tysiąc lub dwa Tatarów, dowodzonych przez Dżelal-Eddina, syna Tochtamysza. Skład polsko-litewskiej armii był urozmaicony zarówno pod względem narodowości, jak i uzbrojenia. Ciężkiej jazdy koronnej było, razem z najemnikami, osiemnaście tysięcy i ona stanowiła główną siłę uderzeniową. W zakresie broni najważniejszej, rozstrzygającej, Krzyżacy mieli więc przewagę. Skupianie sił Korony, z powodzeniem uprawiane od lat kilkudziesięciu, okazało się polityką zbawienną, deską ratunku. Lżej zbrojonej kawalerii litewsko-ruskiej było jedenaście tysięcy. Polska piechota liczyła cztery, litewska do sześciu tysięcy. Na wiadomość o wojnie wszyscy rycerze polscy bawiący za granicą, wśród nich słynny Zawisza Czarny, ścignęli do kraju i wzięli udział w najgorętszym boju.

Długosz zanotował rzecz, która dlatego pewnie bywa przemilczana, że od dawna przywykliśmy mierzyć wartość zwycięstwa ogromem strat. Pod Grunwaldem poległo dwunastu wybitniejszych rycerzy polskich. Wyjaśnić to można chyba tylko doskonałością uzbrojenia oraz sprawnością fizyczną - to była przecież ręczna robota! Inni, gorzej zaopatrzeni i wyćwiczeni wojownicy ponieśli oczywiście wielkie straty. Jedną z dzielnie walczących chorągwi smoleńskich wycięli Krzyżacy niemal do nogi. Smoleńszczanami, którzy najbardziej się odznaczyli z całej armii litewskiej, dowodził brat królewski Lingwen (jako prawosławny, nosił on imię Szymona, które nie przyjęło się w dziejopisarstwie).

Bitwa skończyła się dobrze przed zachodem słońca, i to jest szczegół bardzo ważny dla oceny późniejszych wydarzeń. Czas zaczynał się liczyć na wagę nie złota, lecz historii.

Zakon stracił pod Grunwaldem większość wojska i całe swe dowództwo, będące jednocześnie kierownictwem politycznym (ocalał tylko wielki szpitalnik, Werner von Tettingen, ale załamał się psychicznie i zbiegł aż do Elbląga). Niedobitki poddały się lub uciekały ogarnięte paniką. Chorągwie królewskie ściagały je na przestrzeni kilku mil, jeszcze za widna. 16 lipca odnaleziono na pobojowisku zwłoki Ulryka von Jungingen. Jagiełło zachował się wobec nich w sposób kulturalny. Kazał je obmyć, okryć purpurą, włożyć na czterokonny wóz i wraz z ciałami innych dostojników, a więc arcykomtura i wielkiego marszałka, odesłać do Malborka.

Uprzedził je biskup Jan Kropidło, który przebywał pod Tczewem. Otrzymał wiadomość o wyniku starcia i natychmiast popędził do Malborka. Stał tam 17 lipca i niezwłocznie pchnął do króla gońca z zawiadomieniem o strasznej panice w stolicy Zakonu, gdzie nikt nie myślał

o obronie.

Ale 18 lipca nadciągnął z wojskiem komtur ze Świecia, Henryk von Plauen, ten sam, który w roku poprzednim wpadł na krótko w ręce polskie pod Bydgoszczą, a pod Grunwaldem nie był. Nazajutrz - 19 lipca - powitał w zamku zwłoki Ulryka von Jungingen i kazał je pogrzebać w kaplicy Św. Anny.

Karawan wielkiego mistrza Krzyżaków wygrał wyścig z historią Polski. Konna armia królewska zjawiała się pod Malborkiem w sześć dni po nim, 25 lipca. Henryk von Plauen zdążył tymczasem wziąć wszystko w żelazną garść, zebrał żywność, powiększył załogę, ściągnął z Gdańska marynarzy, spalił miasto i zrobiwszy wszystko, co leżało w jego mocy, czekał oblężenia.

Z Grunwaldu do Malborka jest około stu kilometrów. Po bitwie część rady wojennej żądała śpiesznego pochodu lub przynajmniej wydzielenia pewnej liczby chorągwi i rzucenia ich naprzód. Argumentowano, że skoro król „główny zamek opanuje, w chwili gdy świeży przestрах i groza włada umysłami Krzyżaków, wnet i inne poddadzą się zamki i wojna skończy się spokojnie, bez walki”. Przeważyło zdanie króla i większości rady, postanowiono biwakować opodal pobojozawiska przez trzy dni. Ale decyzję o tym postoju podano wojsku do wiadomości już w nocy z 15 na 16 lipca, czyli zaraz po bitwie, i - jak zdaje się wynikać z opisu Długosza - przed zebraniem rady wojennej. Uczynił to „z rozkazu króla woźny królewski Boguta”, a wspomnianą uchwałę większości rady powzięto „potem”.

Jagiello nie dotrzymał jednak zapowiedzianego terminu, ruszył w pochód 17 lipca i szedł pod Malbork dni... dziewięć. A więc w przeciągu doby wojsko przebywało mniej więcej tyleż drogi, co 15 lipca rano, kiedy ciągnęło pod Grunwald. Na początku tegorocznej kampanii ta sama armia dokonywała trzydziesto- i czterdziestokilometrowych przemarszów. Poprzedniej jesieni król potrzebował sześciu etapów, by dotrzeć z okolic Łęczycy pod Bydgoszcz (sto pięćdziesiąt kilometrów w linii powietrznej). Było to w ostatnich dniach września. Nienaruszone wojsko krzyżackie czyhało w pobliżu, zmuszając do ostrożności, która siłą rzeczy opóźnia pochód. Tym razem maszerowało się w lipcu, po rozgromieniu wroga.

A przecież do pośpiechu winna była skłaniać nie sama tylko sprawa wojny z Krzyżakami. Jagiello wiedział, że od południa lada chwila może Polsce grozić uderzenie Zygmunta Luksemburczyka.

Stało się absolutnie wszystko, czego było potrzeba, by dać Zakonowi ochłonąć i choć jako tako pozbierać się do kupy.

25 lipca, zaraz po przybyciu pod Malbork, dwaj rycerze polscy, Jakub z Kobyłan i Dobiesław z Oleśnicy, uderzyli ze swymi pocztami do szturm i wdarli się w wyłom od strony Nogatu. Nie padł rozkaz wsparcia ich, okazja zdobycia podzamcza została zmarnowana. Całe oblężenie prowadzone było w sposób zadziwiająco miękki, jakże odległy od zaciętości pokazanej w roku poprzednim pod Bydgoszczą. Wtedy błyskawicznie przeprowadzono poważne roboty ziemne - teraz nie nakazano ani jednego porządnego szturm, pozostawiono von Plauenowi możliwość znoszenia się ze światem zewnętrznym, nawet przesyłania pieniędzy na najem zaciężnych. Armia gnuśniała, opływając w żywność i inne dostatki, prawdziwe działania

bojowe prowadziły czasem tylko chorągwie polskie i ruskie.

Bardzo dziwne, że nasza historiografia częstokroć zbywa ogólnikami to, co się działo bezpośrednio po Grunwaldzie. Czyta się, że Polacy zmarnowali owoce zwycięstwa, nie potrafili go wyzyskać, okazali się niezdolni i tak dalej. Albo: „Opanowanie potężnych zamków krzyżackich wymagało, jak wykazało później doświadczenie wojny trzynastoletniej, znacznego wysiłku, na który nie zdobyli się polscy panowie.” Ale wojna trzynastoletnia odbyła się pół wieku później, kiedy zarówno metody wojowania, jak i stosunki w państwie polskim uległy znacznym przemianom, porównanie więc kuleje.

Pewien wpływ na charakter ocen wywarło może to, iż większość piszących o Grunwaldzie i Malborku historyków sama nigdy w żadnym wojsku nie służyła. W przeciwnym razie autorzy musieliby zwrócić uwagę na wzorową karność, panującą w wojsku królewskim, które w niczym nie przypominało późniejszego pospolitego ruszenia. Rozkazy były ściśle wykonywane. Natychmiast po zdobyciu obozu krzyżackiego Jagiełło kazał porozbijać znajdujące się tam beczki i „płynęło wino strumieniami na trupy poległych”, a żołnierzom do upajania się pozostało samo zwycięstwo. Jeńców potraktował Władysław wspaniałomyślnie, zwolnił ich na słowo. Rycerstwo podporządkowało się tej decyzji, która nie mogła mu być miła. Kilka dni wcześniej, zdobywszy Dąbrowno, urządzili tam Polacy srogą rzeź, mszcząc spustoszenie ziemi dobrzyńskiej. A sama zmiana postanowienia o trzydniowym postoju? Rada wojenna uchwaliła obozować do 19 lipca, król kazał ruszyć 17 i usłuchano go.

Po stwierdzeniu faktu wielkiej karności przychodzi kolej na inną kwestię. Jeśli armia zachowuje się w określony sposób, maszeruje wolno, nie wysyłając wprzód oddziałów wydzielonych, to należy zadać oczywiste dla każdego wojskowego pytanie: czego chce dowódca tejże armii, jakie są jego zamiary?

Zmęczenie żołnierzy, jako argument mający wyjaśnić spóźnienie się pod Malbork, nie nadaje się do poważnego traktowania. Liczyć by się mogło tylko zmęczenie lub brak koni. Zresztą po zakończeniu bitwy były jeszcze po stronie polskiej świeże odwody.

Przyjmuje się, że wskutek błędów król nie zdobył stolicy Zakonu. Właściwie należy sprawę postawić zupełnie inaczej i zapytać, czy Jagiełło w ogóle chciał zająć Malbork. Fakty zdają się temu zdecydowanie przeczyć. Krzyżacy, którzy pod Grunwaldem przestali istnieć jako poważna siła zbrojna, wyszli z wojny bez strat terytorialnych na rzecz Polski. Logicznie postępował Długosz, który przypisywał to woli niebios. Trudno za to tłumaczyć tak niebywały wynik serią błędów, nieporozumień lub niedołęstwem. Wojsko królewskie na pewno było zdolne poruszać się z szybkością karawanu. Gdyby przybyło pod Malbork razem z nim, a więc nazajutrz po Henryku von Plauen, sytuacja wyglądałaby znacznie lepiej. Komtur ze Świecia odznaczał się szatańską zawziętością i miewał przebłycki geniusz, ale cudów robić nie umiał. Nie zdążył na przykład załatać wspomnianego wyłomu w murze podzamcza, a miasto Malbork spalił w ostatniej chwili. Na przewyciężenie paniki i zorganizowanie obrony potrzebował czasu. Otrzymał cały tydzień.

Wkrótce po rozpoczęciu oblężenia von Plauen zaproponował pokój, godząc się oddać Koronie Pomorze, ziemię chełmińską i michałowską. Panowie polscy zdecydowanie odrzucili te warunki żądając Malborka, czyli całkowitej kapitulacji. Król początkowo skłonny był zgodzić się na wniosek komtura, a więc na ocalenie resztek państwa krzyżackiego.

W początkach września marszałek inflancki Bern von Hevelmann przyprowadził do Prus słabe posiłki. Wysłany mu naprzeciw Witold zawarł dwutygodniowy rozejm i pośredniczył w porozumieniu z królem. Hevelmann wraz z pięćdziesięciu rycerzami został wpuszczony do Malborka. Miał namawiać von Plauena do zawarcia pokoju, a w rzeczywistości przywiózł mu informacje i zachęty do wytrwania. Po tej wizycie komtur jeszcze bardziej zhardział i przestał myśleć o jakichkolwiek ustępstwach.

Długosz nie zawahał się oskarżyć Witolda, którego zazwyczaj słał, o działanie na korzyść Krzyżaków. Wkrótce książę postanowił wrócić na Litwę. Powoływał się na biegunkę, trapiącą jego pułki nie nawykłe do tak obfitego jadła, jakie miały pod Malborkiem. Zażądał sześciu chorągwi polskich dla zabezpieczenia odwrotu. Prośba została spełniona, co z wojskowego punktu widzenia oznaczało dalsze osłabienie korpusu oblężniczego. Asysta okazała się niepotrzebna, ostrożność przesadna. Odwrót Witolda i powrót Polaków odbyły się w spokoju.

19 września:

Król, nie usłuchawszy zdrowych i zbawiennych rad rycerzy i obywateli pruskich, zwinąć kazał obozy, porzucił oblężenie i z miejsca pełnego chwały, podobniejszy raczej do zwyciężonego aniżeli do zwycięzcy, ruszył do Polski z powrotem.

Książdz Mikołaj Trąba, jedyny oprócz Jagiełły i Witolda uczestnik rady w Brześciu, gdzie ułożono plan kampanii, zaklinał na wszystkie świętości, by oblężenia nie zwijać, płakał rzewnymi łzami. W trzy dni później Polacy jednym szturmem wzięli zamek w Radzynie. 10 października, słabsi o połowę od Krzyżaków, pozbawieni artylerii, wygrali niezwykle zaciętą bitwę kawaleryjską pod Koronowem, którą ówczesni fachowcy stawiali wyżej od Grunwaldu.

Wojna wcale sił polskich nie zużyła. One nie zostały użyte, jak należało.

16 lipca Jagiełło i Witold objeżdżali pobojowisko grunwaldzkie. Gdybyż wiedzieć, o czym rozmawiali wtedy i przy innych okazjach! Ponieważ darmo o tej wiedzy marzyć, trzeba rozpatrzeć ogólne położenie polityczne, bo tylko ta czynność może choć trochę rozjaśnić fatalną zagadkę.

Należyte wyzyskanie Grunwaldu radykalnie, do głębi zmieniłoby sytuację na korzyść Polski, lecz nie Litwy. Witold stracił w bitwie połowę swojej armii, dobrze wyszczerbione chorągwie koronne nadal jednak reprezentowały pełną wartość, a to tym bardziej że siła Zakonu niemal przestała istnieć. Mocniejszy zagarnąłby lwią część łupów, i to nie tylko materialnych, lecz politycznych, to znaczy trwałych i owocujących w przyszłości. Likwidacja państwa zakonnego uczyniłaby z Korony, która i tak była od Litwy silniejsza, wielką potęgę. Gdańsk, Malbork, Elbląg i

Toruń słuchałyby wszak Krakowa, nie zaś Wilna.

Jagiello kończył szósty krzyżyk i nie miał dziedzica, podobnie Witold. Dwa lata wcześniej przyszła na świat córka królewska, Jadwiga. Zapowiadało się więc znowu to samo co przed ćwierćwieczem, to znaczy, że Polacy będą mieli do rozporządzenia rękę małoletniej królowy. Jagiello i Witold musieli o tym wszystkim myśleć, zwłaszcza wtedy gdy się zastanawiali, co począć po Grunwaldzie. Brali pod uwagę konkret, od którego zależała przyszłość. Tylko zachowanie jakiejś równowagi mogło uchronić Litwę od znalezienia się na łasce i niełasce Korony. W skarbcu kapituły krakowskiej leżał dokument stwierdzający wieczyste przyłączenie Wielkiego Księstwa do Polski! Ocalenie szczątków państwa krzyżackiego mogło się przyczynić do utrzymania równowagi politycznej. Osłabiony Malbork mógł się stać dla Litwy już nie śmiertelnym wrogiem, lecz partnerem. Jagiello znakomicie prowadził działania mające na celu złamanie sił zakonnych w polu, czyli decydujące ich osłabienie. Nic nie wskazuje, że przewidywał możliwość zniweczenia tego państwa. Ale brak również dowodów, iż do tego celu w ogóle dążył.

Wielkoduszne odesłanie zwłok wielkiego mistrza do Malborka mogło być gestem ułatwiającym początek ewentualnych pertraktacji. Stwarzało przychylny im klimat.

Nie należy dawać się zwodzić słowom i pięknie brzmiącym sformułowaniom. Pergaminy nie robią polityki, czynią to ludzie, przedstawiciele konkretnych sił, interesów. A zwłaszcza tacy ludzie, co sprawują władzę. Wbrew pozorom, wynikającym z postanowień unii, pod Grunwaldem działała swoista koalicja.

Dzieje Europy dobrze znają to zjawisko, że zaraz po zwycięstwie jeden z uczestników koalicji zaczyna działać na rzecz pokonanego, a na niekorzyść własnych sojuszników. Czyniąc tak, jest wierny nadrzędnej zasadzie równowagi politycznej. Wielka Brytania jest w tej mierze mistrzynią, lecz wcale nie musimy uważać jej za wynalazczynię. Stojąc w pobliżu Kulikowego Pola Jagiello zachowywał się powściągliwie, nic mu nie dolegało, że ordy Mamaja krwawią.

Niektórzy nasi historycy piszą o Władysławie II jako o królu polskim, kładąc wymowny nacisk na przymiotnik, zupełnie tak, jakby on o wszystkim decydował. Przedwojenni badacze litewscy uważali Jagiellę za zdrajcę, co bez zastrzeżeń przeszedł na stronę Lachów. Tymczasem Bernard Wapowski, który żył od roku 1450 do 1535, rozmawiał więc z ludźmi znającymi króla osobiście, pisał o nim: „dziwnie do Giedyminowego domu i do plemienia swego przywiązany, zamki i wsie od Królestwa Polskiego i Rusi odrywał i te Litwinom swoim przyznawał”.

Jagiello ani na chwilę Litwinem być nie przestał. Służył swej ojczyźnie, wspierając ją polskimi siłami. Pretensje z tego powodu dowodziłyby ciasnoty umysłowej lub szowinistycznego zaciętrzewienia. Chrzest i koronacja to nie są ponowne narodziny. Człowiek pozostał wierny krajowi, któremu zawdzięczał duszę. Był politykiem, a nie moralistą.

Grunwald nie znajduje analogii w dziejach Europy. Nikt tak wielkiego zwycięstwa w równy sposób nigdy nie zmarnował. Ale to właśnie dowodzi,

że proces odchylenia się od europejskiej normy trwał i rozwijał się. Niesłuchanie skomplikowane było położenie państwa, którego główny rezerwuar sił leżał na zachodzie, a kierownictwo i ogólny kierunek polityki przyszły ze wschodu (i w tamtą stronę ciągle się oglądały). Król jedynie polski i tylko doraźnie sprzymierzony z Litwą byłby po Grunwaldzie działał w sposób łatwy do przewidzenia, zwykły, wszystkim zrozumiały. Polityczna dwoistość sił, które w roku 1410 wystąpiły przeciwko Krzyżakom, zrodziła skutek podobny z pozoru do przekleństwa złego losu.

Wywody te, zasadniczo sprzeczne z opiniami wielu naszych najlepszych historyków i prowadzone przez autora na jego wyłączną odpowiedzialność, są, być może, mylne. Jeśli tak, w dalszym ciągu czeka na odpowiedź pytanie: dlaczego po Grunwaldzie, nie zważając na wieści od biskupa Kropidły oraz na groźbę drugiego frontu, armia szła tak wolno, jakby dowódcy jej specjalnie zależało, by w Malborku zjawił się lub wypłynął ktoś, z kim można będzie pertraktować? Czemu wyzyskano drobnitką tylko część możliwości zdobycia stolicy? Wzięcie Malborka rozstrzygało wojnę i kończyło byt państwa Krzyżaków. Król działał nadzwyczaj rozumnie i energicznie, dopóki chodziło o pobicie ich wojska w polu. **D o k ł a d n i e** od chwili zwycięstwa zaczyna się pasmo niesłuchanego „niedołężstwa”. Stolica Zakonu ocalała. Czym to wyjaśnić?

8 grudnia 1410 roku Jagiełło spotkał się w Raciążu z wielkim mistrzem. Von Plauen mógł już sobie pozwolić na szczerość. Oto jego słowa w wersji Długosza:

Zdarzały ci, Miłościwy Królu, nieba i sam los przychylny po trzykroć najszcześniejszą porę, w której mogłeś zamek malborski z łatwością zdobyć i kraje zakonu krzyżackiego na zawsze opanować, ale nie umiałeś ze sposobności korzystać. Najpierw, kiedy poprzednika mego, Ulryka, i wszystkie jego wojska pokonałeś i zniósłeś prawie do szczętu, bo gdybyś był zaraz nazajutrz kilka tylko chorągwi posłał pod zamek malborski, byłby ci się poddał niezawodnie, małą bowiem i nader słabą miał załogę. Drugi raz po wzięciu miasta Malborka, gdybyś był niebawem uderzył na zamek, albowiem przez wylom pomiędzy Wisłą a zamkiem zrobiony, którego w trwodze i zamieszaniu naprawić nie pośpieszyliśmy, mogło wojsko twoje wdrzeć się do zamku. A trzeci raz [...] gdybyś tylko do dni piętnastu przedłużył oblężenie, tak bowiem byliśmy ściśnieni niedostatkiem i głodem, że na wszystkich lud strzegący zamku mieliśmy już tylko dwa barany i trzy poletki słoniny. Zabrakło przy tym i chleba i z tej przyczyny panować poczęła biegunka. Zgoła nie mogliśmy już dłużej wytrzymać oblężenia; gdybyś ty przy nim chciał wytrwać.

Odpowiedź Jagiełły była o wiele krótsza: „Nic nie może się stać bez woli Boga, który wszystkim opatrznie rządzi.”

Jeśli król miał rację, musimy przyjąć, że Opatrzność była z unii bardzo niezadowolona. Pomiedzy 15 lipca a 19 września 1410 roku zostały bowiem bezpowrotnie zaprzepaszczone nie wszystkie bynajmniej, lecz szczytowe możliwości stworzone przez ten układ. Polska, pozbawiona krzyżackiego frontu i wydatnie rozszerzona, utworzyłaby potężną i

zupełnie bezpieczną bazę wspólnego państwa. Tak się nie stało; ów front został wprawdzie osłabiony, lecz przetrwał, co w przyszłości rozstrzygnęło.

Trudno nie wspomnieć o tym, co wtedy przeciekło Polsce między palcami. Poprzestaje się zazwyczaj na wzmiankach o dostępie do morza i zlikwidowaniu głównego wroga, zapominając, że chodziło także o spadek po nim. Zaraz po Grunwaldzie zaczęły się Koronie poddawać i przyłączać do niej miasta, zamki i biskupstwa pruskie. Zakon zdołał utrzymać tylko Królewiec, Bałgę, Brandenburg i Ragnete, czyli północno-wschodni kąt kraju. Gdańsk i Elbląg przodowały w tym prawdziwym wyścigu o tytuły miast królewskich. Kronikarz krzyżacki pisał ze zrozumiałą goryczą: „tak wielkiej niewierności i tak szybkiej zmiany nie słyszano nigdy i w żadnym kraju, bo kraj poddał się królowi w przeciągu jednego miesiąca.” Utrzymanie tej zdobyczy, która sama z radością szła w polskie ręce, ogromnie wzmocniłoby państwo, pomnożyło w nim żywioł miejski. A szlachta w tym czasie jeszcze się nie odgradziła od reszty stanów, dobrze znała karność państwową, nie posiadała późniejszych przywilejów i sama zajmowała się handlem. Zdobycie Prus, ich licznych i dobrze rozwiniętych miast musiałoby pomyślnie wpłynąć na równowagę społeczną Polski. Przyłączenie Pomorza, Malborka i Warmii, które nastąpiło w kilkadziesiąt lat potem odbyło się w okolicznościach zupełnie zmienionych, kiedy ziemiaństwo wzięło już górę w Koronie.

Jeśli Prusy poddały się królowi w przeciągu czterech tygodni, to skok w drugą stronę odbył się w tempie jeszcze szybszym. 24 września - a więc w pięć dni po odwróceniu spod Malborka - stronnicy Zakonu zajęli Działdowo i ten fakt posłużył jakby za hasło do ogólnej rejterady. Miasta i grody z powrotem posypały się do krzyżackiego saka.

Tego Jagiełło na pewno nie przewidział. Zamierzał budować klasztor na pobożowisku grunwaldzkim, leżącym na terytorium wroga!

Z zawartych w tym rozdziale przypuszczeń wynika, że dla dobra polityki litewskiej król i Witold woleli oszczędzić resztkę państwa zakonnego. Nie można natomiast twierdzić, nic do tego nie upoważnia, że Jagiełło pragnął wykwitowania Polski z wszelkich zysków. Jeśli rzeczywiście chciał przyjąć propozycję von Plauena, wziąć Pomorze oraz ziemię chełmińską i michałowską, to ze względu na dobro Korony. Panowie polscy zmierzali jednak do pełnego zwycięstwa, które wydawało się i naprawdę było całkiem możliwe. Z dwutorowości dążeń politycznych wynikł rezultat, którego król ani nikt w jego obozie pewnie nie oczekiwał: całkowita utrata zdobyczy pruskiej. Jagiełło nie życzył Polsce źle, dawał tylko pierwszeństwo Litwie.

Nie można się dziwić postępowaniu stanów pruskich ani ich potępiać. One doskonale znały Krzyżaków, a teraz znów patrzyły na wściekłą energię, z jaką von Plauen i marszałek inflancki zabrali się do odzyskiwania strat. Von Hevelmann nie był już taki układowy jak podczas rozmów z Witoldem. Zdobył Elbląg i wbrew układowi mordował, zakuwał w kajdany i więził wziętych do niewoli Polaków. Postarajmy się ponadto ocenić, jak straszliwy zawód spotkał stany pruskie, które zaufały Polsce, poddały się jej królowi i same rozbrajały załogi zakonne. Ich przedstawiciele, zarówno rycerstwo, jak mieszczenie, daremnie błagali

Jagiellę, by nie odchodził spod Malborka.

Gdańsk ostatecznie skapitulował przed Krzyżakami i zaprzestał oporu dopiero w kwietniu 1411 roku, w dwa przeszło miesiące po zawarciu pokoju pomiędzy Polską a Zakonem. Burmistrze miasta, Arnold Hecht i Konrad Letzkau, którzy osobiście składali Jagielle hołd pod Malborkiem, wezwani na zamek komtura już stamtąd żywi nie wyszli. Wraz z nimi zginął rajca miejski, B. Gross. Komtur wydał ich ciała, które spoczęły w gdańskim kościele Najświętszej Marii Panny.

1 lutego 1411 roku na wyspie wiślanej pod Toruniem zawarto pokój na warunkach, które mówią same za siebie. Polska nie otrzymała dosłownie nic. Zakon zobowiązał się tylko wykupić jeńców, ale większą sumę można by było podobno uzyskać pertraktując z każdym z nich z osobna. To wykupno zresztą było ustępstwem wcale nie na rzecz Polski, lecz krajów Zachodu, z których pochodzili więźni do niewoli „goście rycerscy”. Wielki mistrz pod żadnym pozorem nie mógł ich pozostawić własnemu losowi.

Litwa dostawała Żmudź, co prawda tylko w dożywocie dla Jagielly i Witolda. Być może jednak, warunek ten należy uważać za pozór formalny, którym Zakon przysłał swą dotkliwą porażkę na tym odcinku. Zrzekał się przecież połączenia lądowego z Inflantami.

Nie wystarczy omówienie fatalnych dla Polski warunków pokoju. Zawartość najbardziej nawet majestatycznych pergaminów nie wyczerpuje treści dziejów. Każdy fakt polityczny ma wszechstronne skutki, a wśród nich na naczelnym miejscu należy policzyć to, co zachodzi w duszach ludzkich. Posłuchajmy znów Jana Długosza:

Dziwić się zaiste potrzeba, że w tym układaniu wiecznego przymierza ani król Władysław, ani Witold (...) ani nikt inny nie zwrócił na to uwagi, jaką królestwo polskie ponosiło krzywdę przez oderwanie ziem, które wtedy mogły być odzyskane, i że ich nie bolała strata powiatów dawniej część królestwa stanowiących, a których w czasie oblężenia [...] sami Krzyżacy Polakom odstępowali. Jakoż Władysław, król polski, nie troskał się bynajmniej o odzyskanie krajów swego królestwa, to jest ziemi pomorskiej, chełmińskiej i michałowskiej (...) Mniemał wraz z Aleksandrem, wielkim księżęciem litewskim, że dosyć miał na tym, iż Litwa odzyskiwała swoją całość, choć z krzywdą i uszczupleniem królestwa polskiego, które winien był na pierwszym mieć względzie. Lubo zaś panowie radcy czuli bardzo tak wielką królestwa stratę, nie śmieli jednak nic przeciw niej mówić, aby króla i księżęcia nie obrazili. A tak przez największą nieroztropność króla i księżęcia, równie jak panów radnych, sławne owo i pamiętne pod Grunwaldem zwycięstwo na nic prawie, owszem, na sromotę wyszło, gdyż żadnej królestwu polskiemu nie przyniosło korzyści; Litwa tylko znakomite zebrała z niego plony.

Grunwald naprawdę uwolnił Litwę od niebezpieczeństwa krzyżackiego, które nadal wisiało nad Polską.

Można oczywiście próbować podważać poglądy Długosza i wielu z zapalem to czyni. Temperament trochę poniósł dziejopisarza wychowanego w tradycjach bitwy, w której uczestniczył jego ojciec. Nikt jednak nie

zaprzeczy, iż kronikarz dał wyraz uczuciom nurtującym społeczeństwo polskie w XV wieku. Na pewno nie on jeden rozpaczał i rwał włosy z głowy. Grunwald, a raczej cała wojna musiała w spadku po sobie zostawić głęboki kryzys zaufania, rozczarowanie i nieufność wobec kierownictwa politycznego. Przeczyć temu znaczyłoby uważać ówczesnych Polaków za ludzi z drewna lub z księżycy. Ten spadek przetrwał, psychika ludzka zachowuje ślad każdej bruzdy.

Na poboju pod Grunwaldem Janusz I warszawski ukląkł przed Jagiełłą i dziękował mu imieniem wojska i narodu. To był szczytowy punkt kariery Litwina w Polsce. Uczucia zawodu i żalu, a pewnie i lekceważenia wyjaśnia wiele nieprzyjemnych okoliczności jej zmięczenia.

Przytoczony tekst Długosza dowodzi, że znakomity dziejopis jasno widział fakt politycznej dwoistości sił działających przeciwko Krzyżakom i doceniał jego skutki. Później odstąpiono niestety od jego trzeźwych zasad myślenia i zaczęto wszystko tłumaczyć przy pomocy papierowych schematów. Jedni wołali: niecny Jogaila zaprzedał Litwę Polsce. Inni mniemali, że w lutym 1386 roku Jagiełło uległ cudownemu przeistoczeniu w Polaka, a dążenia Wielkiego Księstwa reprezentował wyłącznie Witold. Trzeci wreszcie utrzymywali, iż polscy feudałowie przerobili Litwę na kolonię i nie dobili Krzyżaków, bo śpieszyli do majątków na wschodzie.

Tymczasem rzeczywistość palcem wskazuje, że Jagiełło po roku 1386 doskonale pamiętał o motywach, które go skłoniły do zawarcia unii, to znaczy o interesach litewskich. Między nim a Witoldem istniała zasadnicza solidarność, zwłaszcza po bitwie nad Worskłą. Po unii Litwa nie tylko nie przestała istnieć, ale w polityce połączonego państwa odgrywała rolę dominującą. Z biegiem czasu zjawisko to przybierało na sile.

Korona królewska, czyli prawo prowadzenia polityki i rozkazywania wojsku, to była olbrzymia cena zapłacona przez Polskę za unię, ważniejsza od wszelkich obietnic „przyłączenia”. Nie można moralnie potępiać Jagiełły za jego litewski patriotyzm, ale trudno nie przyznać, że grubo przemędrkował - marnując szanse Korony beznadziejnie pograżył i Litwę (jeśli pamiętać o jego zachowaniu się u Kulikowego Pola, wolno się domyślać, że miał skłonność do przemędrkowania).

Ziemowit IV, który pod Grunwald nie poszedł i siedział w domu, z pustymi rękami ze sprawy bynajmniej nie wyszedł. Otrzymał ziemię zawkrzańską. Ten umiał dbać o dobro swego państwa, którym było księstwo płockie.

4

Po zawarciu pokoju Jagiełło spędził na Litwie całe niemal dwa lata i fakt ten niezbitnie dowodzi, gdzie miał być dyskutowany Grunwald. Król ruszył na wschód wprost z Torunia, nie zważając nawet o Kraków. Dopiero jesienią 1411 roku przybył do stolicy i zawiesił na Wawelu zdobyte chorągwie krzyżackie. Wcześniej, bo natychmiast po zakończeniu wojny, oddał Witoldowi Podole, którym dotychczas zarządzał polski starosta Piotr z Charbinowic. Decyzja ta zaskoczyła „prałatów i panów

królestwa polskiego”, gdyż w ogóle nie zapytano ich o zdanie. Grunwald, jak widać, wcale autorytetu Korony w połączonym państwie nie podniósł.

Największą indywidualnością polityczną wśród Polaków był Mikołaj Trąba. Rok 1411 przyniósł mu zaszczytne wyniesienie. Książę Trąba został wtedy, dzięki staraniom króla, arcybiskupem gnieźnieńskim - odszedł więc z Krakowa i od polityki. Kanclerstwo wziął Wojciech Jastrzębiec, zdecydowany zwolennik Witolda.

Pobyt Jagiełły na Litwie to była jedna wielka podróż triumfalna. Najpierw odwiedził monarcha Żmudź, potem Połock i Smoleńsk. Przyjmował posłów ruskich i tatarskich, odbierał hołdy, między innymi od Riazania, znowu wysłał Lingwena „na kniażenije” do Wielkiego Nowogrodu. Potem ruszył na południe, był w Kamieńcu, Kijowie, płynął Dnieprem do Czerkas. Zwycięstwo nad potężnym Zakonem, odniesione w dorzeczu Wisły siłami przede wszystkim polskimi, ogromnie powiększyło powagę i przewagę Litwy na wschodzie. Słusznie zresztą - całością operacji politycznych i wojennych kierował Litwin, syn Olgierda.

W 1412 roku Władysław II znowu długo bawił w Wielkim Księstwie, zwiedził pogranicze pruskie i kazał tam wznieść zamek koło Wielony. Szykowało się nowa rozprawa, mająca zniweczyć wszelkie pretensje Krzyżaków do Żmudzi, skreślić zastrzeżenie, iż Jagiełło i Witold uzyskali ją tylko w dożywocie.

Rok 1413 przeszedł do historii jako data słynnej unii horodelskiej. Zgodnie z zasadą oddawania pierwszeństwa dziełom, które nie przemijają, trzeba przypomnieć i podkreślić, że prawa nadane poprzednio szlachcie litewskiej zostały w Horodle rozszerzone i potwierdzone. Na razie odnosiły się one nie do wszystkich, ale to postaci rzeczy nie zmienia. Skoro zdjęto „jarzmo niewoli” z karku kilkudziesięciu bojarskich rodów katolickich, to tym samym wytknięto kierunek dążeń ogółu szlachty. Mało jest na świecie rzeczy tak zaraźliwych jak wolność. Horodło było jednym z najważniejszych aktów w dziedzinie przenoszenia na wschód najlepszych zdobyczy polskich.

Jeśli chodzi o politykę bieżącą, układ horodelski zdecydowanie potwierdzał unię obu państw, lecz wprowadzał zarazem nowe artykuły. Wydano wtedy aż trzy dokumenty, oznaczone tą samą datą 2 października 1413 roku. Szlachta polska w słowach bardzo gorących dzieliła się z Litwinami swymi prawami, przyrzekała też zabiegać u monarchy a dalsze poszerzenie przywilejów bojarstwa. Litwini przyjmowali dary, lecz wyrażali się powściągliwie. Wreszcie król, jako „pan i dziedzic prawy” całej Litwy, ponownie ją „do naszego królestwa polskiego” przyłączał i „z Koroną tegoż królestwa polskiego na wieczne czasy trwale i niezmiennie” jednoczył.

Polacy zobowiązali się nie wybierać sobie króla bez wiedzy i rady Litwinów, ci zaś przyrzekli, że w przyszłości uznają za wielkiego księcia tylko tego, kogo wyznaczy król lub jego następcy, znowu za zgodą możnowładztwa obu krajów. Jagiełło i Witold dźwigali już siódmy krzyżyk, lecz żaden z nich nie miał syna. Kwestia następstwa stawała się wprost paląca. Horodło ustaliło wytyczne, ale trudno nie zauważyć, iż skomplikowane zastrzeżenia co do wzajemnej zgody pozostawiały wiele

możliwości sporów. W tym samym 1413 roku szlachta polska zgodziła się uznać za spadkobierczynię tronu pięcioletnią Jadwigę, córkę Anny Cillejskiej, a więc po kądzieli wywodzącą się od Piastów. Jednakże uznanie to nosiło poniekąd charakter elekcji, wyboru, a nie zwyczajnego dziedziczenia.

Już w dobie Horodła możnowładztwo koronne wyznawało pogląd, że Litwa ma być z Polską złączona nawet na wypadek wygaśnięcia rodu Jagiełły. O teorii tej przyjdzie nam wkrótce porozmawiać nieco szerzej.

Na razie związek obu państw trwał, istniały warunki prowadzenia polityki wedle dotychczasowych wytycznych. Unia horodelska, zawarta jesienią 1413 roku, umacniała związek państw w przededniu ich nowego wspólnego wystąpienia przeciwko Krzyżakom. W 1414 wybuchła wojna zwana „głodową”. Wojska Zakonu nie przyjmowały bitwy w polu, broniły twierdz, a pragnąc ogłodzić przeciwnika zawczasu niszczyły młyny i zapasy zboża. Starcie nie przyniosło rozstrzygnięcia. Następne, zamierzone na rok 1419, wskutek interwencji legata papieskiego właściwie wcale nie doszło do skutku i zostało nazwane „wyprawą odwrotową”.

Naszkiecowanych spraw nie sposób należycie ocenić, jeśli się zapomni o europejskim tle. Uwagę kontynentu pochłaniał wtedy sobór powszechny w Konstancji oraz wielki ruch husycki. Właściwie oba te zagadnienia dadzą się sprowadzić do jednego zasadniczego zjawiska. Średniowiecze dobiegało kresu, uniwersalne autorytety papieża i cesarstwa znajdowały się w zaniku, brały górę odrębności narodowe i nowe siły społeczne, zmagające się ze starym porządkiem feudalnym.

Sobór rozpoczął się 5 listopada 1414 roku i trwał do 22 kwietnia roku 1418. Miał on zakończyć tak zwaną wielką schizmę zachodnią, która ciągnęła się od lat kilkudziesięciu i sprawiała, że w Kościele bywało jednocześnie po dwóch, a nawet trzech papieży. W interesującej nas chwili tytuł papieski nosili: Grzegorz XII, Benedykt XIII i Jan XXIII. Sobór usunął ich wszystkich, powołując na tron Marcina V. Nie przyszło to łatwo i nie obyło się bez drastycznych momentów. Neapolitańczyk Baltazar Cossa, uzurpator imienia Jana XXIII, za młodu korsarz, stawiał opór i musiał go odpokutować trzyletnim ciężkim więzieniem, ponieważ wyznaczony sąd udowodnił mu pięćdziesiąt pięć zbrodni.

Wielki zjazd hierarchii schizmę usunął, lecz nie załatwił innej sprawy niezmiernie ważnej dla katolicyzmu. Uczestnicy obrad w Konstancji uznawali wyższość soboru nad papieżem. Uchwała taka zapadła nawet dnia 6 kwietnia 1415 roku, a zwolennikami jej byli między innymi przedstawiciele Polski, zwłaszcza biskup poznański, Andrzej Laskary. Jednakże Marcin V wyznawał inne poglądy i jeszcze przed zakończeniem narad ogłosił dekret zakazujący odwoływania się od postanowień papieża do soboru.

Spór o to, komu przysługuje przywilej nieomyślności - soborowi powszechnemu czy papieżowi - miał trwać długo i wśród gorących polemik zakończyć się w roku 1870 zwycięstwem papieża.

Delegacji polskiej przewodniczył arcybiskup Mikołaj Trąba, a dodatkowo uświetniał ją Zawisza Czarny, zaliczany do najpierwszych rycerzy kontynentu. Najwybitniejszą rolę odegrał Paweł Włodkowic z Brudzenia,

herbu Dołęga, rektor Akademii Krakowskiej. Niemały rozgłos uzyskały jego dyskusje z kreaturą Krzyżaków i skończonym awanturnikiem dominikaninem Janem Falkenbergiem (był to ten sam mędrzec, którego zdania zasięgał magistrat krakowski w sprawie domów publicznych). Lecz dopiero traktat *O władzy papieża i cesarza nad niewiernymi*, obalający zasadę nawracania siłą i głoszący prawo każdego narodu do swobodnego życia, stanowi prawdziwy pomnik wielkości swego autora i doskonale świadczy o środowisku, które go wydało. Dlatego też uwagi o tym traktacie znajdują najwłaściwsze miejsce w rozdziale poświęconym dziełom ludzkim, które nie przemijają.

Na dowód, że akcja misjonarska na wschodzie nie jest propagandowym wymysłem, przedstawiono soborowi kilkudziesięciu ochrzczonych Żmudzinów. W początkach 1418 roku z licznym i wspaniałym orszakiem zjawił się w Konstancji metropolita kijowski, Grzegorz Camblak, Bułgar z Tyrnowa. Został on wyniesiony na godność metropolity przez synod biskupów prawosławnych, mających swe stolice w Wielkim Księstwie Litewskim, i niezwłocznie wyklęty przez Konstantynopol. Krzyżacy, śledzący te sprawy z nadzwyczajną uwagą, pisali tak:

Witold wyniósł i obrął ruskiego papieża lub, jak go zowią, patriarchę na Litwie i zamierza zmusić Moskwinów, Nowogrodzian, Pskowian, słowem, wszystkie ruskie kraje, do posłuszeństwa temu patriarsze.

Krzyżacy mylili się w jednym: niesłusznie przypisywali samemu Witoldowi to, co było celem dążeń również Jagiełły. Chodziło o stary Olgierdowy program usunięcia Rusi litewskiej spod cerkiewnych wpływów Moskwy, a nawet o takie pokierowanie sprawami religijnymi, by ośrodek wschodniego chrześcijaństwa znalazł się na Litwie. Wizyta Camblaka w Konstancji była zapowiedzią starań o unię kościelną, o której Jagiełło myślał zresztą już od dawna. Metropolicie towarzyszyli do Konstancji liczni Rusini, nawet Tatarzy. Taka demonstracja znacznie podniosła powagę Jagiełły w oczach papieżstwa, była udanym posunięciem politycznym w stosunku do Zachodu. Na Wschodzie próby unijne jątrzyły i kopały przepaści.

Byłoby uproszczeniem twierdzić, że król kierował się tylko względami politycznymi, a rozszerzenie katolicyzmu było mu obojętne. Kto wie, czy on, gorliwy neofita, nie przejmował się tymi kwestiami szczerzej niż ludzie Zachodu? W kilkanaście lat później cesarz rzymski Zygmunt Luksemburczyk - opiekun Kościoła, świeckie ramię katolicyzmu! - zwięźle wypowiedział się w Łucku:

Zatrudniać się zjednoczeniem Greków nie ma potrzeby, bo Grecy jedną z nami wiarę wyznają, brodami tylko i pojmovaniem żon od nas się różnią, czego im wcale za złe mieć nie można, kapłani bowiem greccy na jednej żonie przestają, łacińscy po dziesięć i więcej ich trzymają.

Wiemy o tym od nieocenionego Długosza, który wiernie słowa cesarza zapisał, dodał, że zjednały one Zygmuntowi nadzwyczajną popularność

wśród prawosławnych, ale sam się zgorszył.

Cesarz Zygmunt stosował postępowanie do okoliczności. Wolnomyślny był w gronie osób wybranych, lecz podczas oficjalnego powitania w Łucku wyniośle pominął biskupa prawosławnego oraz kahał żydowski („jak słusznie należało” - pisze Długosz). Dbał o pozory.

W lipcu 1415 roku spalony został w Konstancji Jan Hus, który przybył na sobór bronić swej nauki, zaopatrzony w gwarantujący mu bezpieczeństwo „list żelazny” tegoż cesarza Zygmunta. W rok później taki sam los spotkał tamże Hieronima z Pragi.

Znacznie wcześniej rozmaici zapomniani już kaznodzieje wrocławscy - jak spalony w 1398 roku Stefan - głosili zapatrywania dziwnie podobne do teorii husyckich. Jeden twierdził więc, że każdy uczciwy człowiek świecki może udzielać sakramentów, inny odmawiał posłuchu niegodnie postępującym duchownym. Jan Hus, będący czeskim bohaterem narodowym, dał silny wyraz tendencjom mającym wtedy obieg powszechny. Nie wystarczy wskazywać na niewątpliwie zresztą związki jego nauki z działalnością angielskiego Johna Wycliffe'a, gdyż nurt buntu przejawiał się wszędzie.

Żyjący w XIV wieku Wycliffe zwalczał papieństwo i w ogóle duchowieństwo, które zwał „cesarskim”, żądał od księży ubóstwa i wyrzeczenia się wszelkiej władzy. Przeciwno świeckim wielmożom nie występował, a nawet oczekiwał, że oni właśnie zaprowadzą porządek. Inaczej musiał sobie poczynać reformator czeski, którego ojczyzna całkowicie dojrzała do rewolucji. Napięcia i antagonizmy socjalne spłoty się w Czechach w jeden węzeł z narodowymi. Uprzemysłowiony, obfitujący w tkalnie, szklarnie i kopalnie kraj był bogaty w tym sensie, że szczyty społeczne naprawdę opływały w dostatki. Zaliczało się do nich duchowieństwo i „każdy kanonik praski bogatszym był aniżeli gdzie indziej biskup”. Ponieważ zaś już od czasów ostatnich Przemysławidów niemczyzna wszechwładnie rozpierała się w Czechach, więc uprzywilejowani rekrutowali się przede wszystkim z obcych. Husytyzm zwracał się przeciwko całokształtowi dawnego porządku, wrogi był zarówno cesarzowi, jak i papieżowi, którego bulle jeszcze przed soborem w Konstancji publicznie palono w Czechach.

Wieść o męczeństwie Husa wcześniej przysłała do Wrocławia i ostatecznie zaostrzyła tam stosunki, od dawna napięte. Spór pomiędzy radą miejską z jednej a rzemiosłem i plebem z drugiej strony wyładował się 18 lipca 1418 roku, w „krwawy poniedziałek”. Odruch pospółstwa wcale nie był spontaniczny. Istniał spisek, sprzysiężeni gromadzili się w kościele Św. Klemensa na Nowym Mieście, świątyni „biednych rybaków i Polaków”. Krytycznego dnia dzwon kościelny dał hasło, zbrojne gromady dośrodkowo uderzyły na ratusz i wzięły go szturmem. W średniowieczu nie tylko rycerze feudalni, lecz i plebejusze lubowali się w patetycznym geście, taki był styl epoki. Pochwytyanych rajców ścięto przed ratuszem, u stóp pęgierza, mieczem, który cesarz Karol IV podarował ongi miastu w dowód nadzwyczajnej łaski.

W 1420 roku cesarz Zygmunt Luksemburczyk zemścił się na buntownikach, skazując na śmierć dwudziestu trzech ich przywódców. Rozprawa trwała od stycznia do marca, a w kwietniu stany czeskie ogłosiły

manifest, oskarżający Zygmunta o przelew krwi słowiańskiej w stolicy Śląska. W powstaniu wrocławskim brała również udział niemiecka biedota, ale protest czeski wiernie ujmował najgłębszy sens wydarzeń. Widownią najpierw buntu, a później rzezi sądowej było miasto, w którym niesprawiedliwość społeczna pomnożona była o narodową. We Wrocławiu, podobnie jak i w Czechach, krzywdzicielami byli bogacze przeważnie niemieckiego pochodzenia.

W tym samym roku zaszły we Wrocławiu jeszcze dwa ważne wypadki. Publicznie spalono na stosie trzech czeskich husytów, a cesarz Zygmunt wydał skandaliczny wyrok w sporze polsko-litewsko-krzyżackim, przysądzając Zakonowi absolutnie wszystko, zarówno Pomorze, jak Żmudź.

Rewolucja socjalna i powstanie narodowe w Czechach ogromnie skomplikowały grę polityczną i wiązały się bezpośrednio z Polską. Każdej z walczących stron zależało na przeciągnięciu jej do swego obozu lub na powstrzymaniu od dania pomocy przeciwnikowi. Stąd właśnie wyrok Zygmunta, który chciał rozpałcić konflikt Polski z Krzyżakami i uwikłać jej siły na północy, a osiągnął dość nieoczekiwane skutki, bo w Polsce tym silniej odezwały się sympatie dla husytów. Biskup Wojciech Jastrzębiec, oskarżony przez króla i szlachtę o niezręczną politykę, omal nie utracił urzędu kanclerza. Na zjeździe w Łęczycy „powstał rozruch straszliwy, szerzył się zgiełk i wrzawa”.

Jeszcze w 1420 roku umiarkowany odłam husytów ofiarował koronę czeską Jagielle, który przyjął posła uprzejmie, obiecał udzielić odpowiedzi i uskarżał się przed Czechem na krzywdzące Polskę postępowanie cesarza. Zjazd łeczycki nie zgodził się na propozycję, ale postanowił taić decyzję, czyniąc Czechom nadzieję, by trzymać Luksemburczyka w szachu.

Pertraktacje z Czechami były wtedy utrudnione, ponieważ z rozkazu papieża Marcina V miejscowość, do której przybył husyta, automatycznie popadała pod interdykt, ustawały w niej nabożeństwa i udzielanie sakramentów. Pomimo to odbywały się narady z udziałem Jagiełły i magnatów.

Król nie mógł przyjąć korony czeskiej, bo to by ciężko zaszkodziło w walce z Krzyżakami. Spierając się z Zakonem i cesarzem nie można było brać na siebie zarzutu popierania herezji. Za zgodą Jagiełły przyjął tę koronę Witold, lecz raczej tylko teoretycznie. Wysłano nad Wełtawę Władysławowego bratanka, Zygmunta Korybutowicza, jako namiestnika. W roku 1423, kiedy w polityce królestwa zaczęły brać górę tendencje antyhusyckie, odwołano go stamtąd.

Pragnąc przeciągnąć Polskę na swoją stronę, cesarz Zygmunt spróbował sposobu godnego wzmianki. Zaproponował owdowiałemu właśnie (po raz trzeci) monarsze małżeństwo ze swą bratową, Ofką, wdową po królu czeskim Wacławie, a w posagu obiecywał Śląsk. Jak świadczy Długosz, rada i szlachta koronna były za tym planem, jednakże Jagiełło posłuchał namów Witolda i w 1422 roku pojął prawosławną księżniczkę Sonkę Holszańską, która przed ślubem przyjęła katolicyzm i imię Zofii.

Wesele odbyło się w Nowogródku z wielką okazałością; były to gody

nierównych wiekiem małżonków, Władysława, króla podeszłego w latach, i rzezonej Zofii, kwitnącej naówczas dziewicy, a urodą więcej niżli cnotami zalecanej.

Jagiello liczył sobie wtedy lat co najmniej siedemdziesiąt jeden, Zofia około siedemnastu.

Wieści Długosza o niedoszłym posagu śląskim nie wolno chyba lekceważyć ani zbywać ogólnikami. Ten pisarz wysoko cenił kraj nad górną Odrą, był w tej mierze czułym sejsmografem.

Matrymonialna decyzja Jagielly doskonale zgadzała się z ogólną sytuacją państwa, w którym sprawy Wschodu wzięły zdecydowany prym. Po godach nowogrodzkich ukazało się to w nadzwyczaj wyrazistej, wręcz powieściowej formie - polityką, wojskiem, obu częściami połączonego państwa kierują Litwini, na tron wawelski wstępuje siostrzenica Witolda, członkini ruskiego rodu książąt Druckich, dynastii tak starej, że Giedyminowicze wydają się przy niej parweniuszami.

W 1422 roku stoczono pomyślną wojnę z Krzyżakami. Układ, który ją zakończył, posiada niezwykle wielkie znaczenie, otwiera zupełnie nowy rozdział w dziejach wzajemnych stosunków Polski, Litwy i Zakonu.

Zawarto go 22 września nad Jeziorem Melneńskim. Wielki mistrz Paweł von Russdorf wykazał ustepliwość, „obawiając się buntu swego rycerstwa i obywateli”. Polska otrzymała Nieszawę (która leżała wtedy naprzeciwko Torunia), a na rzecz Litwy raz na zawsze zrzekł się Zakon Żmudzi i Puszczy Sudawskiej.

Po zawarciu pokoju ruszył Jagiello w kierunku Brodnicy i kazał położyć na Drwęcy siedem mostów, którymi przeprowiło się wojsko. I w tej kampanii bowiem, podobnie jak w poprzednich, teatr operacyjny przylegał do ziem polskich, Korona ponosiła główne ciężary. Latem następnego roku specjalna komisja, w której skład wchodził: Witold, wielki mistrz oraz biskup krakowski Zbigniew Oleśnicki, wytyczyła i oznaczyła granice pomiędzy Litwą a państwem Zakonu.

Pokój melneński z a m k n ą ł i z a k o ń c z y ł dwieście lat trwający okres wojen litewsko-krzyżackich. Poza wytyczone wtedy granice Litwa, „ku własnej swej szkodzie największej, nigdy potem w głąb Pius się nie posunęła, ujść Niemna nie zdobyła” - powiada Ludwik Kolankowski. W poprzednim stuleciu Olgierd zażądał dla siebie Królewca i wszystkiego, co leży na wschód od Łyny. Pokój melneński na zawsze skreślił z porządku dziennego ten punkt programu największego polityka litewskiego, jaki kiedykolwiek żył. To, co zaczęło majaczyć nazajutrz po Grunwaldzie, teraz stało się faktem. Zakon przestał być - w pojęciu ówczesnych Litwinów - wrogiem śmiertelnym, został natomiast partnerem, nawet w grze przeciwko Polsce, o czym jeszcze będzie mowa.

Grunwald od Melna dzieli tylko dwanaście lat, polityką kierowali ci sami ludzie. Pamiętając o tym łatwiej zrozumiemy to, co zaszło pod Malborkiem w roku 1410.

Litwa utwierdziła się więc nad Bałtykiem i swój tamtejszy stan posiadania utrzymała niezmiennie aż do rozbiorów. Jej „okno” morskie liczyło równo p i ę t n a ś c i e kilometrów szerokości. Czynniki

rzządzające państwem uważały, że to dosyć.

Kto w Polsce lub w jakimkolwiek innym kraju wygłasza słowo „Bałtyk”, ten mówi po litewsku „Bałtis Jura” - Białe Morze... Owe piętnaście kilometrów płytkiego wybrzeża koło Połagi to istny symbol historyczny o wymowie wręcz wyjątkowo wyrazistej. Nie można bezkarnie działać wbrew naturalnemu porządkowi rzeczy. Nie może państwo bezpośrednio przymorskie odwracać się do morza plecami. Wystarczy zapamiętać sobie wygląd mapy - kontur olbrzymiego imperium, dotyczącego Bałtyku wątlutką, bezkrwistą wypustką aby pojąć to, co z pozoru wygląda na fatalność losu.

W twierdzeniu powyższym nie ma ani krzty mistyki. Litewski handel zagraniczny tuczył Niemców. Oni władali Królewcem, trzymali ujścia Niemna i Dźwiny. Z biegiem czasu zło nieustannie wzrastało. Do tego doszło, że u schyłku XVIII wieku zyski z pośrednictwa w litewskiej komercji stanowiły „główny nerw pruskiego handlu”, jak się wyraził Stanisław Smolka. Na polskim handlu tył Gdańsk, na litewskim Królewiec. To bardzo duża różnica.

Pomyślne wojny, które monarchia Władysława Jagiełły staczała z Zakonem, mogły naprawdę zmienić stan rzeczy nad Bałtykiem. Ale jeden z dwóch uczestników antykrzyżackiej koalicji wycofał się, gdy tylko oddano mu Żmudź i kawałek plaży koło Połagi. Pokój melneński, który zakończył zwycięską kampanię, był klęską. Przegrana wojna sowiecie opłacała się nadbałtyckiej niemczyźnie.

Od unii krewskiej i pierwszej lubelskiej upłynęły bez mała cztery dziesięciolecia. Korona włożyła olbrzymi wysiłek we wspólnie toczoną walkę z Zakonem, poniosła wielkie ofiary zarówno pod Grunwaldem i Koronowem, jak i znacznie wcześniej w samym Wilnie. Prowizoryczny bilans od tej strony pocieszająco wcale nie wyglądał. Państwo krzyżackie przetrwało, oddając Krakowowi jedynie Nieszawę. Polska musiała się z nim w przyszłości rozprawić, ale już tylko własnymi siłami. Związek z Litwą jako narzędzie czynnej walki przeciwko Niemcom liczyć się przestał. Ułatwiał ją, zapewniając pokój od wschodu, ale też rozpraszał uwagę i rozrywał siły.

Sprawa unii, która wywołuje tyle sporów i namiętnych oskarżeń, zaraz znacznie wyraźniej wyglądać, jeśli tylko przestaniemy mówić o ideach, ideologiach tudzież przedmurzach, użyjemy za to miary tych zwyczajnych pojęć, jakie się od wieków stosuje w polityce międzynarodowej. To znaczy miary konkretnych interesów, rozumianych tak, jak one wyglądały w oczach ludzi ówczesnych.

Jakieśmy widzieli, już Grunwald zapewnił Litwie zdecydowaną przewagę na wschodzie, lecz dopiero pokój melneński rozpoczął najświetniejszy okres w dziejach Wielkiego Księstwa. Jego sukcesy uważa się zazwyczaj za dzieło Witolda, nie całkiem słusznie, bo równie duży, jeśli nie większy, był w nich udział Jagiełły.

W dwóch wyprawach prowadzonych przy wydatnej pomocy wojsk polskich upokorzył Witold Psków i Wielki Nowogród. Przyjął hołdy i okupy, ale ich nie zdobył. Podporządkował sobie książąt Riazania, Tweru, Prońska, Perejasławia, Worotyńska, Odojewa i innych, czyli te ziemie,

które dotychczas ciążyły raczej ku Moskwie albo prowadziły grę pomiędzy nią a Litwą. Rozciągnął swe władztwo bardzo daleko na południowy wschód. Z jego ramienia zwierzchnictwo nad czarnomorskimi i nadwołżańskimi Tatarami objął niejaki Uł Mechmet. Powagę Witolda uznawano aż na Krymie.

W polityce wewnętrznej Witold zdecydowanie popierał wytwarzanie się większej własności ziemskiej. Silne bojarstwo litewskie, które umiał odróżniać i odgraniczać od ruskiego, było mu potrzebne jako właściwa społeczna podstawa jego poczynań. Ono przecież ułatwiało mu niezawisłą politykę także wobec Polski. Toteż późniejsze bajeczne kariery poszczególnych rodów litewskich biorą początek z jego darowizn. Na ogół przywileje ziemskie, wzorowane na polskich, przyniosły korzyść elementom najsilniejszym wśród szlachty litewskiej i zamiast względnej chociażby równości w jej łonie wytworzyły szalone różnice. Większą własność protegował Witold tak energicznie, że w roku 1418 wybuchło na Żmudzi powstanie ludowe. Księżę łatwo je stłumił i skazał na śmierć sześćdziesięciu przywódców.

Stosunki w miastach uległy głębokim przemianom, i to nie tylko wskutek nadawania praw zapożyczanych z Polski. Dzięki napływowi mieszczan z Korony zmniejszyła się w tych osiedlach ilość Niemców. Już za Witolda ludność stolicy Wielkiego Księstwa dzielona była w praktyce na Ruś i Lachów. Witold popierał handel, obdarzał kupiectwo przywilejami i cieszył się wśród niego znacznym uznaniem.

Okres po Grunwaldzie, a zwłaszcza po pokoju melneńskim, wyglądał świetnie. Pomimo to zupełnie słuszna jest synteza, jakiej profesor Henryk Łowmiański dokonał w roku 1930, w pięćsetną rocznicę zgonu bohatera Litwy:

Dzieje ostatnich lat Witolda znowu wykazały, że Litwa wzięła zbyt wielki rozpęd, dążąc do hegemonii we wschodniej Europie. Nawet w oparciu o Polskę, której bezpośrednio zainteresowania zwracały się raczej ku północy i zachodowi, nie potrafił Witold dopiąć celu, który tak pociągał jego wybitną indywidualność.

Moskwą od 1425 roku rządził rodzony wnuk Witolda (po córce Zofii) Wasyl II. Widząc przewagę Litwy, ojciec powierzył go w testamencie opiece Witolda. Wasyl II postępował bardzo przezornie, nie narażał się silniejszemu, czekał... w imieniu następców. Moskwa nie przestawała być dobrą odskocznią, z której we właściwym momencie można będzie pomyślnie wystartować do szerszych działań. A rosła w potęgę materialną szybciej niż kto inny. Na zapleczu miała bezkresne ziemie, niewyczerpane źródło jej mocy.

Upokorzone przez Litwę, Psków i Nowogród obroniły jednak swą niezawisłość, mogły nadal obrastać w bogactwa i politycznie lawirować. Utrzymywała się ich rola dwu wyładowanych skarbami wież, od których zdobycia zależy prawdziwa i ostateczna przewaga na wschodzie Europy.

Sprawa krzyżacka uznana została po pokoju melneńskim za załatwioną dla Litwy. Zanim doszło do jeszcze śmielszych kombinacji, Witold starał

się drobnymi dogodnościami przychylnie usposobić wielkiego mistrza. Na anegdotę zakrawa historia pewnego warownego młyna na Drwęcy w Lubiczu. Witold szantażował Jagiełłę, groził, że jeśli Polacy nie pozwolą Krzyżakom na odbudowanie tego obiektu, on - wielki książę Litwy! - odda im Połagę z przyległościami.

Świetność Litwy w tej epoce była wielka, lecz tylko z pozoru, bo ani jedna ze spraw kluczowych nie została załatwiona do końca. W sprzyjających okolicznościach każda z nich mogła się rozwinąć w śmiertelne niebezpieczeństwo. A najważniejsze, że zagadnień tych było nadal wiele. Ilość frontów się nie zmniejszyła, niektóre z nich przycichły tylko.

Ten stan rzeczy wygląda na tradycyjną właściwość polityki litewskiej. Nawyk działania na wszystkie strony bez wykańczania rozpoczętych akcji odziedziczyła ona po dobie prymitywnych wypraw łupieskich. Stary Budrys, wysyłający synów pod Wielki Nowogród, Królewiec i za Bug jednocześnie, miał licznych poprzedników i następców, reprezentował zasadę działania.

W tym pełnym blasku okresie w polityce litewskiej pojawiło się dążenie do rozluźnienia, a nawet do całkowitego zerwania związku z Koroną. Strona polska odpowiedziała na to zdecydowaną odmową, wykazała stanowczość, do jakiej naród nasz ma być rzekomo niezdolny.

Postępowanie polskich możnowładców i szlachty wyjaśnia się czasami w sposób zanadto uproszczony. Mieli się oni kierować tylko swymi interesami klasowymi. Unia dawała możliwość zdobywania majątków ziemskich na wschodzie (nie dalej jednak, jak na Podolu i Podlasiu) oraz dostojęństw, chociażby tylko kościelnych, w Wielkim Księstwie - oto wytyczne dyplomacji.

Zgodzić się na ten pogląd można tylko wtedy, jeśli się przyjmie, że owi magnaci myśleli wyłącznie o osobistych tudzież rodowych karierach, a wszelkie pojęcia polityczne i patriotyzm były im najzupełniej obce. Takiej tezy udowodnić jednak nie można, w zestawieniu z faktami wygląda ona humorystycznie. Nie należy też chyba tracić z oczu państwowych interesów Polski XV wieku.

Zerwanie unii równałoby się odpisaniu na straty całego czterdziestolecia, które upłynęło od chwili jej zawarcia. Polska wyszłaby ze spółki z pustymi rękami i od razu znalazłaby się w położeniu bez porównania gorszym od tego, które istniało w roku 1386. Wtedy miała przeciwko sobie Zakon, a w Litwie naturalnego sojusznika. Teraz nadal Krzyżaków oraz zupełnie realną możliwość przymierza Wilna z Malborkiem. Grunwald, Koronowo i inne czyny zbrojne dały ogromne korzyści Litwie i w praktyce zakończyły jej spór z Zakonem. Najbardziej pociągał ją wschód, spokój od strony zachodniej mogłaby sobie kupować polskim kosztem i już to zaczynała robić.

Po tym wszystkim, co już się dokonało i stało faktem, utrzymanie związku krajów i jakiej takiej chociażby kontroli nad litewską polityką zagraniczną było - z polskiego punktu widzenia - absolutną koniecznością. Ludzie, którzy z ramienia Polski podpisywali unię, żyli tradycjami Kazimierza Wielkiego, nie wygasły one i w XV stuleciu. Ostatni Piast za pierwszą żonę miał Litwinę i szykował sojusz z Wielkim Księstwem, ale

w listach do papieża i cesarza zwał Litwinów „śmiertelnymi wrogami”, którzy dniem i nocą czyhają, by napadać i pchać do zguby kraj polski. Unia miała przynieść i rzeczywiście przyniosła królestwu spokój od tej strony. Pozbawiała dotychczasowego napastnika swobody poczynań antypolskich, przecież została zawarta zaledwie w dziesięć lat po słynnym najeździe Kiejstuta. Zerwanie unii równałoby się wznowieniu zagrożenia linii Wisły przez państwo, któremu sama Polska walnie dopomogła wzmocnić się i stanąć na nogi.

Możnowładcy koronni byli oczywiście sobą, wielkimi panami, lecz zarazem polskimi politykami, i to z zupełnie prawdziwego zdarzenia. Można natomiast powiedzieć, że kombinacje dyplomatów, którzy po zainkasowaniu tyłu zysków chcieli po prostu zerwać spółkę, były trochę zbyt grubymi nićmi szyte.

Unia była zawarta na podstawie kardynalnej w polityce zasady *do ut des* - trzeba to jeszcze raz powtórzyć. Polska zainwestowała ogromny wysiłek. Żądała zapłaty w postaci utrzymania w mocy postanowień o złączeniu obu krajów w dwoistą całość ze stolicą w Krakowie.

Teorii, że unia ma trwać nawet w razie wygaśnięcia rodu Jagiełły, nie da się wyjaśnić samymi tylko interesami stanowymi polskich magnatów. Tutaj wchodziło w grę dobro państwa.

Kwestie przyszłości wiązały się ściśle z losami samej dynastii. Królowna Jadwiga była zaręczona z Fryderykiem von Hohenzollern, zanosilo się więc, że to on zostanie władcą. Oblubieniec - młodszy o pięć lat od narzeczonej - od dziecka wychowywał się na krakowskim dworze, aby „panowie polscy poznali tego, który miał być kiedyś ich królem i panem”. Ród Fryderyka, mający w przyszłości tak źle się zapisać w dziejach Polski i całej Europy, wtedy właśnie zaczął robić karierę. Sam Fryderyk przyszedł na świat w roku 1413, kiedy ojciec jego był zaledwie burgrabią w Norymberdze. Dopiero w roku 1415 Fryderyk starszy został margrabią brandenburskim.

31 października 1424 roku narodził się Jagielle syn, nazwany po ojcu Władysławem. Król miał wtedy siedemdziesiąt trzy lata i nadal był dziarski. W 1426 roku, podczas łowów na niedźwiedzia w Białowieży, złamał nogę i szybko powrócił do całkowitego zdrowia.

Narodziny królewicza były błogosławionym wydarzeniem dla dynastii, lecz wywołały duże komplikacje polityczne. Miał on bowiem prawa dziedzica tylko na Litwie. W Koronie nie przysługiwały one nikomu, gdyż królowa Jadwiga zabrała je ze sobą do grobu. Wzgląd ściśle prawniczy nie wystarczy, należy bowiem uświadomić sobie, że od chwili koronacji Kazimierza Wielkiego upłynęło już przeszło dziewięćdziesiąt lat i nikt w Polsce nie pamiętał, jak wygląda zwyczajne następstwo syna po ojcu. Magnaci przyzwyczaili się sami decydować o losie tronu, a w danym konkretnym wypadku musieli ponadto dbać, by Litwa nie uzyskała czasem zupełnej przewagi nad Polską.

W zdecydowanej opozycji koronnej rady panów przeciw usiłowaniom dynastii stworzenia jednolitej dziedzicznej monarchii było niewątpliwie sporo reakcji przeciw (...) jaskrawemu górowaniu litewskich czynników

Ponieważ oskarżanie Polaków o skłonność do anarchii weszło u nas w nałóg, należy przypomnieć, co dokładnie w tym samym czasie działo się w Niemczech. W styczniu 1424 roku odbył się w Bingen zjazd elektorów, książąt mających prawo wybierania króla. Utworzyli oni stałe kolegium i wystąpili z programem, dającym im prawo kontrolowania zarządzeń władcy oraz wypowiedzenia mu posłuszeństwa.

W porównaniu z tym żądania Polaków były wcale umiarkowane i zwyczajne przyjęcie ich oszczędziłoby państwu wielu wstrząsów. W kwietniu 1425 roku, na zjeździe w Brześciu Kujawskim, szlachta zgodziła się uznać królewicza Władysława następcą tronu, ale pod warunkiem zatwierdzenia przez Jagiełłę kiedykolwiek wydanych przywilejów wszystkich stanów. Oznaczało to podkreślenie uprawnień społeczeństwa, lecz nie było wcale równoznaczne z późniejszymi wolnymi wyborami. Powoływano wszak syna po ojcu, domagając się w gruncie rzeczy przysięgi konstytucyjnej.

Potrzebny akt spisano i oddano na przechowanie biskupowi Oleśnickiemu. Jednakże Jagiełło, za radą Witolda i cesarza Zygmunta, w roku następnym na zjeździe w Łęczycy cofnął przyrzeczenie, a Oleśnicki w ostentacyjny sposób zwrócił zebrany wspomniane pismo. „Porwali je natychmiast panowie i w oczach króla, nie bez trzasku i szczeru błyskających mieczów, które wszystkich nabawiły trwogi”, rozsiekali na strzępy.

Nie mogąc sobie poradzić z ogółem, próbował Jagiełło bardzo niedobrego środka - starał się pozyskiwać poszczególnych ludzi z osobna, dając im rozmaite korzyści. Czynił to zresztą od samego początku swego panowania, przez co ogromnie uszczuplał skarb koronny i przyzwyczajał szlachtę do korupcji. „Prawo Jagiełły do korony polskiej polega na prawie przekupstwa i pieniędzy” -mawiano za granicą.

Scena ze zjazdu łęczyckiego źle świadczy o autorytecie monarchy, przed którym książę mazowiecki klękał ongi na oba kolana. Powaga Jagiełły gasła, a działo się tak z wielu powodów.

Doświadczenie całej Europy poucza, że monarchia to ustrój szczególnie czuły na skandale w rodzinie panującej. Samym królom wolno, oczywiście, prowadzić się tak jak naszemu Kazimierzowi Wielkiemu lub Henrykowi IV we Francji. To królowa musi być jak łąza.

Jagiełło żenił się cztery razy, a za każdym łożem monarsze budziło sensacje co najmniej zbyteczne. Władysław II był przesadnie podejrzliwy, tego domysłu uniknąć się nie da.

Już Jadwiga była pomawiana o dalsze flirty z Wilhelmem Habsburgiem. Sprawę zbadano i oskarżyciel, Gniewosz z Dalewic, zgodnie z literą i duchem kodeksu małopolskiego musiał wleźć pod ławę, stamtąd odwołać wszystko i zaszczekać po psiemu. Odbyło się to w Wiślicy, a miejsce ceremonii do dzisiejszego dnia ludność zowie Psią Górką. Annie Cillejskiej też zarzucano niewierność. Jeden z domniemanych winowajców, arcybiskup gnieźnieński, tak się przejął zarzutami, że umarł ze zgryzoty. Trzecie małżeństwo, przygotowane w tajemnicy i zawarte 2 maja 1417

roku, zaskoczyło wszystkich. Wybranką była Elżbieta Granowska, wdowa po trzech mężach, najbogatsza dziedziczka w państwie, dama o wyjątkowo urozmaiconej przeszłości. Pierwszy małżonek porwał ją z rodzicielskiego zamku, drugi wydarł poprzedniemu, którego później zabił. Trzecim mężem był człowiek spokojny, ubogi, znecony posagiem. Czwartym król. Kiedy Elżbieta umarła w roku 1420, „wszyscy przytomni, tak duchowni, jak świeccy, objawiali radość niezwykłą; wszyscy, w świąteczne szaty przybrani, śmiali się i cieszyli w czasie pogrzebu”.

Nie można tego uważać za pozbawione znaczenia szczegóły, gdyż w grę wchodziły nie żadne osobiste perypetie, lecz powaga lub śmieszność samego ośrodka władzy, tronu monarchy. Przecież Elżbietę ukoronowano na Wawelu! Po jej zgonie Stanisław Ciołek, pisarz królewski, ułożył obelżywą, chamską wręcz satyrę o zmarłej. Usunięto go za to z dworu, a potem - ponieważ był niezastąpiony - przywrócono do łask i wyniesiono na podkanclerstwo i biskupstwo poznańskie. Polakom przebywającym na soborze w Konstancji nowinę o małżeństwie królewskim zakomunikował nasz zakamieniały wróg, Zygmunt Luksemburczyk, a posłowie „ze łzami utyskiwali na wspólną sromotę króla i ojczyzny”.

Ślubu udzielił i koronacji dopełnił arcybiskup lwowski Jan. Mikołaj Trąba, dbały o uprawnienia arcybiskupów gnieźnieńskich, niezwłocznie wystarał się od soboru o tytuł prymasa Polski, rozstrzygający o pierwszeństwie. Sprawa nie była błaha, skoro powodowała aż takie skutki.

Młodziutka królowa Sonka bardzo mocno oskarżana była o niewierność i musiała uroczystą przysięgą oczyszczać się z zarzutów, a czterech podejrzanych o uwodzicielstwo rycerzy siedziało w więzieniu. Istnieje domysł, że wytoczony królowej proces miał podłoże polityczne. Chodzić w nim miało o zaprzeczenie legalności synów Jagiełły i przekreślenie planów dynastycznych. Tak czy inaczej faktem pozostają ciągle skandale w rodzinie panującej, co w połączeniu ze znaną wszystkim metodą przekupstwa oraz wyraźnym faworyzowaniem Litwy na niekorzyść Polski rodziło w królestwie złe nastroje. Polityka nigdy nie odbywa się w moralnej próżni. Zaufanie rządzonych do osobistej przyzwoitości rządzących znaczy bardzo wiele. Nie można się dziwić, że rada koronna występowała z warunkami, żądała zaprzysiężenia przywilejów, skoro król nie wahał się naruszyć odwiecznych praw metropolii gnieźnieńskiej, i to przy okazji tak niefortunnego małżeństwa. Jagielle brakowało kultury zarówno politycznej, jak i osobistej, i ten fakt zaważył na losach monarchii polskiej.

Królowna Jadwiga, sierota po Annie Cillejskiej, zmarła w roku 1431. Długosz nie potwierdza ani nie zaprzecza, powtarza tylko krążące pogłoski, że struła ją królowa Sonka, pragnąc na wszelki wypadek usunąć ze świata współzawodniczkę synów.

Po Władysławie przyszedł na świat i wkrótce zmarł drugi królewicz, Kazimierz. Imię odziedziczył po nim trzeci męski potomek wiekowego władcy, później nazwany Jagiellończykiem (i bardzo słusznie, był bowiem uderzająco podobny do ojca). Urodził się w Krakowie 30 listopada 1423 roku.

Pomimo usilnych zabiegów Jagiełły, który przeciągnął na swoją stronę

poszczególne osoby, miasta, nawet książąt mazowieckich, rada koronna wytrwała i postawiła na swoim. W marcu 1430 roku, na zjeździe w Jedlnie, za cenę potwierdzenia przywilejów postanowiono uznać w przyszłości tego z królewiczów, który będzie się wydawał „sposobniejszym”. Tron krakowski stawał się tym samym w zasadzie obieralny. Oznaczało to zwycięstwo magnatów i szlachty, ale też i sukces w walce o utrzymanie pozycji Polski w stosunku do Litwy.

Za Piastów zasada dziedziczności władzy była dla kraju błogosławieństwem. Utrata jej winna więc być bez zastrzeżeń uznana za klęskę. Jednak nie można wydać aż tak prostego „wyroku”. Niesłychane powikłanie spraw państwowych, które nastąpiło po unii, zmusza do ocen bardzo oględnych: Polska ówczesna zgodziła się na litewskiego panującego, nie mogła się zgodzić na zerwanie z Wielkim Księstwem ani na los litewskiej prowincji.

Dzieje Polski, Czech i Węgier zgodnie dowodzą, że dla państw średniowiecznych, które Ios pozbawił ich własnych dynastii, obieralność tronu stawała się środkiem obrony niepodległości. Zastrzegając sobie prawo do elekcji, tym samym walczyły one o to, by pozostać podmiotem w polityce i historii. Rządy Ludwika Węgierskiego w Polsce to przykład losów kraju, który stał się tylko przedmiotem zabiegów dynastycznych.

W Jedlnie postanowiono również wezwać rycerstwo pod broń. Od pewnego czasu istniał bowiem otwarty konflikt z Litwą, który zmuszał do pilnego strzeżenia... zachodniej granicy Korony.

W 1428 roku powstał, a raczej wznowiony został projekt koronacji Witolda na króla Litwy. Jagiełło szedł w tej sprawie ręką w rękę z cesarzem Zygmuntem Luksemburczykiem, któremu zależało oczywiście na sporach, nawet na wojnach polsko-litewskich. Ci dwaj ostatecznie porozumieli się w Łucku, podczas wzmiankowanego już spotkania w 1429 roku. Charakterystyczne, że sprzeciwiał się sam Witold, obawiający się nieporozumień i zatargów. W najważniejszej chwili zwrócił się do króla po litewsku, by nikt inny go nie zrozumiał, przestrzegając przed zbyt pochopnymi. decyzjami. Książę, który tak silnie angażował się na wschodzie, pragnął mieć na zachodzie spokój i źródło dopływu sił. Przecież to on osobiście wodził polskie chorągwie w pobliże Moskwy, nad Worskłę, pod Psków i Wielki Nowogród. Witold przystąpił do planu własnej koronacji dopiero wtedy, kiedy cesarz przesłał mu nieopatrznie zredagowane pismo kancelarii koronnej, z którego wynikało, że Polacy uważają Litwę za kraj podporządkowany sobie.

Koronacja Witolda byłaby wydarzeniem do głębi zmieniającym sytuację. Umożliwiłaby całkowite zerwanie unii, bo „korona w koronę wcielona być nie może”. Istniały jednak i inne widoki. Oto po starym Witoldzie korona litewska przeszłaby prawem dziedziczenia na królewicza Władysława, co stanowiłoby prawdziwy triumf jagiellońskiej polityki dynastycznej, lecz w oczywisty sposób degradowałoby Polskę. Chcąc w tych warunkach utrzymać unię, należałoby się po prostu poddać litewskiej dynastii oraz jej interesom. Przypomnijmy w tym miejscu, że z przyrzeczeń danych Polsce czterdzieści kilka lat wcześniej nie spełniono najważniejszego i zupełnie konkretnego. Jagiełło nie odzyskał ziem utraconych na północy i

zachodzie. Taki stan rzeczy nie sprzyjał wzrostowi zaufania.

Straże polskie przychwyciły na zachodniej granicy posłów cesarza do Witolda. Wieźli oni na razie nie korony, które cyzelowano w Norymberdze, lecz listy. Zawierały one rozmaite cenne wiadomości, między innymi projekt ligi antypolskiej, składającej się z przyszłego królestwa litewskiego, cesarza - będącego jednocześnie królem czeskim i węgierskim - oraz Krzyżaków.

Na koronację Witolda zjechali do Wilna liczni władcy ze wschodu, wśród nich nadal oględnie postępujący książę Moskwy, Wasyl II. Potem przybył tam również Jagiełło. W uroczystym powitaniu króla oprócz Witolda i wspomnianych jego gości uczestniczył wielki mistrz Zakonu Paweł von Russdorf, od kilku miesięcy formalnie sprzymierzony z Litwą.

Zbrojne pogotowie Polski zagroziło drogę norymberskim koronom. 27 października 1430 roku Witold zmarł w Trokach, przeżywszy lat siedemdziesiąt osiem.

Zgon litewskiego bohatera narodowego nie osłabił zatargu z Polską. Wręcz przeciwnie - dopiero teraz walka zaczęła rozpalać się na dobre. Tak zupełnie, jakby po stronie litewskiej zabrakło hamulca. Witold lubił Polaków i był przez nich lubiany. Słuchali go podobno znacznie chętniej niż Jagiełły. Kronika Długosza jest jednym wielkim, nie wolnym co prawda od przesady, hymnem pochwalnym na cześć znakomitego Litwina.

Wielkim księciem mianował teraz Jagiełło najmłodszego ze swych rodzonych braci, Świdrygiełłę. Król bez wahania i ceremonii złamał postanowienia unii horodelskiej, która wyraźnie mówiła o obowiązku szukania zgody Polaków (podobnie Litwini mieli zastrzeżony głos przy ewentualnym wyborze nowego monarchy). Nikt w Koronie pytany o zdanie nie był. Na krótko przed zgonem Witolda Jagiełło odesłał do Polski towarzyszących mu członków rady królestwa.

Wytyczne ówczesnej polityki Władysława II znamy dokładnie dzięki Długoszowi, który podał własne słowa władcy: „aby jakimikolwiek sposoby dziedzictwo królestwa polskiego pozostało przy narodzie litewskim, rodzie i domu Giedymina”.

Sześćdziesięcioletni Świdrygiełło miał za sobą burzliwą przeszłość i nie lada doświadczenie w knowaniach z obcymi potencjami. O niektórych jego postępkach już była mowa. Dotychczas jednak nie wspomniano, że w 1409 roku, kiedy zaczynała się wielka wojna z Zakonem, Świdrygiełło za giejtem krzyżackim pośpieszał do Malborka. Został przychwycony, dwaj jego towarzysze oddali głowy, a on sam poszedł na lat dziewięć pod klucz do Krzemieńca. W 1418 roku uciekł do cesarza, potem pojednał się z królem oraz Witoldem, którzy powierzyli mu zarząd Siewierszczyzny, kraju nad Desną, lewostronnym dopływem Dniepru. Teraz obejmował władzę nad całym Wielkim Księstwem.

Polacy odpowiedzieli na to zajęciem Podola. Na zjeździe w Sandomierzu szczegółowo rozpatrzono postępowanie króla, które wszyscy członkowie rady ocenili ujemnie. Pertraktacje nie dały rezultatu, tym bardziej że posłów polskich Świdrygiełło policzkował i więził. Utarczki na pograniczu w czerwcu 1431 roku przemieniły się w regularną wojnę. W tym samym miesiącu Świdrygiełło zawarł sojusz zaczepno-odporny z Krzyżakami,

któremu to układowi patronował cesarz Zygmunt Luksemburczyk. Przymierze Litwy z Zakonem zaczęło się zarysowywać już wcześniej, w ostatnim roku życia Witolda. Jeśli chodzi o cesarza, to pierwszym uczynkiem Świdrygiełły, jako wielkiego księcia, było poselstwo do niego, wiozące zapewnienia przyjaźni.

Wojska koronne, z którymi, wbrew sercu i woli, musiał iść Jagiełło, dość łatwo posuwały się na wschód, Łucka jednak nie zdobyły. W końcu sierpnia zawarto rozejm. Nieco wcześniej silna armia krzyżacka uderzyła na Polskę, okropnie niszcząc Dobrzyń, Nieszawę, Inowrocław. Ogółem ofiarą najazdu padło dwadzieścia cztery miasta i około tysiąca wsi.

Wypadki z sierpnia 1431 roku jaskrawo ilustrują, czym groziło Polsce zerwanie unii - w nieuchronny sposób wiodło do wznowienia granicznych lub innych zatargów z Litwą, już teraz chrześcijańską, lecz po dawnemu agresywną, a wolną już od niebezpieczeństwa krzyżackiego. Bezwarunkowe zaś podporządkowanie się pragnieniom dynastii prowadziło do ograniczenia suwerenności.

Należy mocno podkreślić, że istota sporu polegała na konflikcie z polityką dynastyczną, która była obca zarówno dążeniom kraju, jak i jego starej tradycji historycznej. Polska nie chciała się wyrzec korzyści państwowych płynących z unii ani zgodzić się na rolę podporządkowanego przedmiotu polityki.

O panujących podówczas nastrojach najlepiej świadczą uporczywie szerzące się pogłoski, że Jagiełło zawczasu wiedział o zamierzonym uderzeniu Krzyżaków. Długosz dokładnie wymienia trzech biskupów, którzy sami mu o tej wersji mówili, „wszelako w swoim oświadczeniu ani jej nie podawali za prawdę, ani potwierdzali, ani jak o zmyślonej zamilczeć chcieli”. Nie lubiący króla historyk stanowczo odrzuca to jako potwarz: „Ja zaś to wszystko uważam za największe kłamstwo.” Nie zaprzecza jednak, że Krzyżacy oszczędzili dzierżawy mazowieckie, skąd nie przyszło do Polski żadne ostrzeżenie. Ziemowit IV już nie żył, pozostawała w Płocku wdowa po nim, Aleksandra, rodzona siostra Jagiełły. Król posłał do pustoszącego Polskę wielkiego mistrza z wiadomością, że... rozejm na wschodzie został zawarty. Zupełnie jednocześnie przywiózł tę samą wiadomość poseł Świdrygiełły, sprzymierzeńca Krzyżaków.

Nie spodziewano się napadu i na północy nie było wojska. Trzej rycerze - Jan Jarogniewski, Bartosz z Wiszemburga i Dobrogost Koliński - na własną rękę zebrali chłopów i na ich czele wyprawili się przeciwko silnej kolumnie krzyżackiej (jednej z wielu zresztą). Do spotkania doszło 13 września na polach wsi Dąbki, w pobliżu Nakła. Zgodnie z narodowym zwyczajem tłum chłopski odśpiewał przed bitwą *Bogurodnicę*, a potem z niebywałą furją uderzył na doborowe rycerstwo. Poległo trzech komturów, ośmiu innych oraz marszałek von Nesselrode dostało się do niewoli. Krzyżacy „uciekali w popłochu na wszystkie strony, dokąd którego ślepy los prowadził”. Jeszcze przez długi czas chłopci urządzali obławy, wylapując po lasach niedobitków.

Królestwo wrzało oburzeniem, którego miarą może być mowa Zbigniewa Oleśnickiego wygłoszona do króla we Lwowie. Biskup publicznie zarzucił Jagielle naprowadzenie na kraj Krzyżaków oraz

rozmyślne wypuszczenie z rąk Łucka, który łatwo można było zdobyć. W kwietniu 1432 roku zjazd w Sieradzu powziął ciekawą uchwałę. Wobec tego, że niebezpieczeństwo zagrażało ze wszystkich stron, należy

z całego królestwa zgromadzić wojska i naród cały w jedną uzbroić potęgę; a z której by strony nieprzyjaciel, czy to król rzymski, czy Litwa albo Krzyżak, groźniejszym się okazał, aby w tę stronę wszystkie wymierzyć siły i z najsilniejszym przeciwnikiem najpierwej się rozprawić, zostawiając inne części kraju losowi.

Jeszcze pamiętano nauki wyniesione ze szkoły piastowskiej. Wkrótce potem Jagiełło przyjął w Pabianicach posłów czeskich, którzy oświadczyli, że kraj ich krzywdę Polski uznaje za własną oraz „że z całą swą potęgą przyjdą królowi na pomoc, kiedykolwiek król chciałby podjąć wyprawę na Krzyżaków”. W uroczystym przyjmowaniu husytów uczestniczył arcybiskup i trzech biskupi, wrocławski, poznański i chełmski. Kiedy jednak Czesi w drodze powrotnej wstąpili do Krakowa, Oleśnicki na nic nie zważając obłożył miasto interdyktem. Trzeba zapamiętać ten wyczyn, gdyż będzie on pomocny dla zrozumienia późniejszych dziejów.

Tymczasem Świdrygiełło w żaden sposób nie dawał się przejednać radzie koronnej, godzącej się na daleko posunięte ustępstwa. W maju 1432 roku potwierdził i odnowił układy z Krzyżakami. „Nic na świecie nie może nas z wami poróżnić” - pisał do wielkiego mistrza, z którym pragnął „żyć lub zginąć razem”. Zobowiązał się używać całej siły Wielkiego Księstwa dla poparcia Zakonu. Strunę zdecydowanie przeciągnął. Pomimo wszystkich mocarstwowych uroszczeń wśród książąt i bojarów litewskich wcale nie brakowało trzeźwo rozumujących ludzi. Powstał między nimi spisek, który na zachęcający sygnał rady koronnej dokonał w Oszmianie zamachu stanu. Było to w nocy 1 września. Świdrygiełło z nielicznymi towarzyszami uszedł do Połocka, pozostawiając rodzinę w ręku zamachowców.

Wielkim księciem Litwy został teraz najmłodszy brat Witolda, Zygmunt Kiejstutowicz, nie odgrywający dotychczas roli w polityce i władający Nowogródkiem. 15 października ułożono się z nim w Grodnie, potwierdzając dawniejsze umowy między państwami. Zygmunt otrzymał rządy w dożywocie. W rzeczywistości jednak dzierżył tylko zachodnią część Wielkiego Księstwa, przede wszystkim Litwę właściwą. Ruski wschód słuchał Świdrygiełły i walka, jaka miała się rozpaść, nabrała stąd cech narodowościowej. Nie należy ani na chwilę zapominać o podziale Wielkiego Księstwa na uprzywilejowaną mniejszość litewską i większość ruską. Trudno mówić o przepaściach, skoro rodzeni bracia Jagiełły, jak Skirgiełło-Iwan, Korybut-Dymitr i Lingwen-Szymon, wyznawali prawosławie, a królowa Sonka pochodziła z rodu książąt Druckich, który dopiero w XVII wieku przyjął katolicyzm. Ten ostatni obrządek wyznawał i sam Świdrygiełło. Nie wolno przenosić w tamte czasy dzisiejszych pojęć narodowych i nacjonalistycznych, ale wspomniany podział istniał. Wzorowane na polskich prawa przysługiwały dotychczas tylko Litwinom katolikom.

W 1433 roku królestwo wzięło odwet na Krzyżakach. Armia polska, wspomagana przez czeskich husytów, zwanych sierotkami, wkroczyła do Nowej Marchii oraz Prus i doszła aż do morza, pustosząc kraj bardzo bezwzględnie.

Piękny to był i wesoły dzień dla rycerstwa polskiego, które [...] dotarło zwycięsko i bez szkody aż do morskiego oceanu. Za czym wielu Polaków pasowano wtedy na rycerzy [...] Wielu zaś spomiędzy Czechów nalewało wodę morską we flaszkę i zaniósł ją potem do swoich, na pamiątkę tak dalekiej wyprawy.

Czesi, jak widać, byli wtedy skłonni do ciekawości, lecz nie do żartów. W zdobytym Tczewie Polacy musieli im wydać wziętych do niewoli ich pobratymców, którzy za pieniądze służyli Krzyżakom. Zostali spaleni na ogromnym stosie za to, „że przeciw własnemu narodowi dawali pomoc Niemcom i przyszedli do Prus najemniczym orężem wojować z królem polskim i Polakami, którzy dla wspólnego języka zawsze byli Czechom przychylni”. Były to słowa husyckiego przywódcy, Jana Czapka, ogłoszone do skazanych przed egzekucją.

Przejawiła się wtedy prawda stała i niezmiennie występująca w historii: wystarczy dać zły przykład, a naśladowcy natychmiast się znajdują. Widząc, co uczynili Czesi, rycerz polski, Jan Strasz z Białaczowa, kazał zamknąć w drewnianym budynku pochwytych korsarzy bałtyckich, obłożyć gmach słomą i podpalić. Zanim dowódca dowiedział się i nadbiegł z zakazem, było już po wszystkim.

Czesi, którzy u siebie - pod Domażlicami - 14 sierpnia 1431 roku roznieśli w puch i pył krucjatę legata papieskiego Juliana Cesariniego, znajdowali się u szczytu nastrojów antygermańskich. Polaków też nie trzeba było do tego uczucia specjalnie zachęcać. Ochotnicy z Korony walczyli pod Domażlicami po stronie husytów.

Wspólna polsko-czeska wyprawa nad Bałtyk przyniosła olbrzymie zyski, nie terytorialne wprawdzie, lecz polityczne, i to osiągnięte drogą pośrednią. Poddani Zakonu, stany pruskie, zmusili Malbork do zawarcia pokoju i do przestrzegania go. Koniecznie trzeba przytoczyć słowa burmistrza Torunia, Hermana Reusappa, ogłoszone do wielkiego mistrza i komturów. Reusapp przemawiał w obecności przedstawicieli kraju:

Łaskawy panie i drodzy panowie. Oto stoi wasze wierne rycerstwo i miasta i kazali mi powiedzieć Waszej Łaskawości i prosić, by Wasza Łaskawość i komturowie zechcieli postarać się o pokój, bo długi czas w niepokoju i wielkim nieznośnym zniszczeniu siedzą; jeśli tego Wasza Łaskawość nie uczyni, a pokoju nam nie da, to powinien Wasza Łaskawość wiedzieć, że sami o tym będziemy myśleli i będziemy szukali pana, który nam sprowadzi pokój i spokój.

Stany pruskie dotrzymały słowa i w niezbyt odległej przyszłości poszukały sobie dawcy pokoju.

Władysław Jagiełło nie doczekał podpisania pokoju z Krzyżakami ani

zjazdu pacyfikacyjnego, na który zaprosił i Świdrygiełłę. W kwietniu 1434 roku po drodze do Halicza zatrzymał się w Medyce, gdzie

z upodobania i zwyczaju, jaki miał w całym życiu, a który był zachował jeszcze z czasów pogaństwa, poszedł do lasu dla słuchania słowika i ucieszenia się jego słodkim pieniem; a zabawiwszy na tym słuchaniu aż do późnej nocy i zaziębiwszy się mocno, zwłaszcza że wiek już był ciało jego ostudził, a nie był dosyć ciepło ubrany (przez całe życie bowiem nie nosił żadnych drogich futer [...] ale tylko barani kożuszek), zaraz od tego czasu zaczął na siłach zapadać.

Zmarł 1 czerwca 1434 roku w Gródku, nazwanym później Jagiellońskim.

Los sprawił, że najwybitniejszym przedstawicielem naszej nowej dynastii był jej założyciel. Władysław II przeważnie dokładnie wiedział, czego chce, która to właściwość zdarza się u polityków dosyć rzadko. Pamiętał o pouczeniu ojca, mówiącym o dwóch głównych wrogach Litwy, i ustrzegł się dalszego pomnażania frontów, to znaczy komplikowania polityki zagranicznej o nowe zatargi. Jego następcy już tego nie potrafili. Decydując się na unię uratował Litwę, lecz wkrótce zaprzepaścił najlepsze możliwości stworzone przez ten układ. Aczkolwiek wyda się to dziwne, trzeba stwierdzić, że dwóch rzeczy w pełni nie docenił - Krzyżaków jako wroga, a Polski jako litewskiego sojusznika nie tylko na „teraz”, lecz także na odległą przyszłość.

Zdanie Michała Bobrzyńskiego, iż Jagiełło łączył chytryść Litwina z bezwzględnością Krzyżaka, nie znajduje uzasadnienia, jest niesłuszne i obelżywe. Na pewno za to niedostawało królowi kultury politycznej i ogólnej. Świadczy o tym niewykańczanie rozpoczętych akcji, publiczne awantury o rzekomą niewierność żon i kompromitujące małżeństwo z Elżbietą. Braku kultury politycznej dowodzi również nieszczęsny zatarg z 1426 roku. Jagiełło mógł dość łatwo zapewnić synowi następstwo po sobie, szlachta żądała ceny znacznie mniejszej od tej, jaką zapłacił Ludwik Węgierski za uznanie praw córek. Andegaweńczyk, władca wielu koron, umiał jednak postępować kompromisowo, Jagiełło zażądał bezwarunkowej zgody, czyli bardzo dotkliwej kapitulacji rady koronnej. Za ostro, zbyt pochopnie zmierzał do wyniesienia dynastii oraz do hegemonii Litwy. Kraj o tak wyrobionej indywidualności jak ówczesna Polska zdegradować się nie dał.

Jagiełło pilnie dbał o przychylność opinii europejskiej i okazał się w tej mierze nie lada mistrzem. Podczas wielkiej wojny z Zakonem w niezrównany sposób grał rolę dobrotliwego monarchy, drżącego przed przelewem krwi chrześcijańskiej, pragnącego tylko pokoju. Zaraz na początku rozesłał z Opatowa do wszystkich dworów monarszych znane nam już pismo, które doskonale uzasadniało racje strony polsko-litewskiej. Godne głębokiego zastanowienia, że on sam Władysław Jagiełło - nie wysnuł praktycznych wniosków ze słów o Krzyżakach, jakie umieścił w tym orędziu ktoś bardzo mądry, zatrudniony w jego własnej królewskiej kancelarii:

To tylko jedno ich życzenie, aby mogli kraje cudze jakimkolwiek bądź sposobem posiadać. [...] Nie ma wątpliwości, że kiedyś, jeśli ich Bóg opatrzny nie ukróci, wszystkie państwa i królestwa przed ich przemocą uklękną.

Jagiello był tym człowiekiem w naszych dziejach, który trzymał w ręku przyszłe losy kontynentu. Dane mu to było na czas bardzo krótki, od lipca do września 1410 roku. A nie można mówić, że brakowało wtedy zrozumienia wagi mających zapaść rozstrzygnięć. Niezbicie świadczą o tym już przytoczone wywody orędzia, datowanego z Opatowa. W 1410 roku król nie wykonał programu, który już istniał w myślach i słowach jego polskich poddanych.

Władysław Jagiello zaczął obdarzać wschód Europy prawami obywatelskimi, przeniósł tam samo ich pojęcie. O tym przede wszystkim winno się pisać na jego pomnikach.





Król i kardynał

Jagiello zostawił więc po sobie dwóch synów, z których starszy, Władysław, już 25 lipca wstąpił na tron. Nazajutrz zaś tłumy krakowian podziwiałały dziesięcioletniego chłopca w koronie, na czele wspaniałego orszaku przemierzającego konno ulice miasta. Strzemię w strzemię z królem jechało dwóch biskupów przystrojonych we wszystkie oznaki godności - krakowski i płocki. Pierwszym z nich był Zbigniew Oleśnicki.

Jagiello zostawił również po sobie powagę królewską w takim poniżeniu, jakiego nigdy przedtem nie zaznała. Żaden z dawniej koronowanych władców polskich do czegoś podobnego nie dopuścił, książęta dzielnicowi też umieli strzec autorytetu.

Na krótko przed zgonem Jagielly Oleśnicki podkreślił swą przewagę w sposób niezwykle zuchwały. Było to w Nowym Korczynie podczas zjazdu „znaczniejszych panów”. Biskup wraz z innymi hierarchami miał wyjechać na sobór do Bazylei i - przewidując, że więcej już zgrzybiałego króla nie ujrzy - postanowił pokazać, kto jest naprawdę pierwszą siłą w państwie. Wygłosił mowę tak brutalną, że starzec rozplakał się i głośno narzekając opuścił izbę. Wytknął monarsze zabobony, rzekomą przemianę królestwa w „barbarzyńskie i poddańcze” oraz fikcyjne grabieże dóbr kościelnych. Zagroził klątwą. O sobie samym powiedział, że Opatrzność ze „służebnika” uczyniła go „ojcem” Władysława.

Po zgonie Jagielly, kiedy korona z głowy sędziwej przeniosła się na dziecinną, rzeczywista władza nad Polską przypadła magnatom, zwłaszcza duchownym. Inaczej być nie mogło. Biskupi od dawna posiadli duchową przewagę nad królem-neofitą. Oleśnicki miał o trzydzieści kilka lat mniej od Jagielly, a jeszcze ważniejsze, że był indywidualnością wyjątkowo silną, imponował nie tylko drażnionemu przez kompleksy Litwinowi, lecz i samym papieżom ówczesnym. Należał do moralnego plemienia tych książąt Kościoła, którzy łamali cesarzy i królów, a jeśli przegrywali, to z takimi charakterami, jak Filip Piękny we Francji, Kazimierz Wielki u nas. Zbigniew Oleśnicki był w swej epoce przeżytkiem najgłębszego średniowiecza. Jego triumf w Polsce wynikał z całego układu okoliczności. Ułatwił go i wiek monarchii, obcego krajowi pochodzeniem oraz kulturą, i potęga magnaterii, obdarzanej przez Jagiełłę bez miary i rachuby, musiały dopomóc wspomnienia o zmarnowanym Grunwaldzie, wyraźnym faworyzowaniu Litwy, podejrzaniach, oskarżeniach i awanturach w rodzinie panującej.

Ogólny bilans sześćdziesięciu czterech lat, które upłynęły od wygaśnięcia rodzimej dynastii, nic dobrego monarchii polskiej nie wróżył. Przyzwyczajeni do biadania nad jej upadkiem zapominamy, że rujnować powagę władzy może czasem ona sama.

Przeciwko koronacji Władysława III, a raczej przeciwko rządóm

oligarchii duchownej, protestowali w Krakowie trzej świeccy magnaci - Spytko z Melsztyna (syn wojewody poległego nad Worskłą), Abraham Zbąski i Strasz z Kościelnik. W niedalekiej przyszłości dwaj pierwsi mieli zdobyć się na opozycję nie tylko słowną. Na razie nie dopuścili Oleśnickiego do objęcia regencji.

Tymczasem sprawy rozpoczęte za poprzedniego panowania toczyły się dalej. W tym samym 1434 roku, kiedy Jagiełło już dogorywał, na Litwie Zygmunt Kiejstutowicz ogłosił wielki przywilej ziemski, przynoszący bojarstwu dalsze ulgi, lecz odnoszący się tym razem także i do Rusi. Prawosławni otrzymali prawa majątkowe i inne, jednakże nadal byli odsunięci od dostojenstw państwowych, zastrzeżonych dla Litwinów-katolików. Miało to oczywiście osłabić pozycję opierającego się na ruskich ziemiach Świdrygiełły. Z tych dwóch walczących w Wielkim Księstwie współzawodników Zygmunt uznał Władysława III swym zwierzchnikiem, Świdrygiełło - rodzony stryj nowego króla - nie uczynił tego.

Decydujący akt rozgrywki odbył się 1 września 1435 roku pod Wiłkomierzem nad rzeką Świętą. Starły się tam dwie armie, które wolno nazywać koalicyjnymi. Zygmunta Kiejstutowicza wspierał Jakub z Kobylan na czele dwunastu tysięcy jazdy polskiej, po stronie Świdrygiełły stali Tatarzy oraz siły krzyżackie z Inflant, dowodzone przez tamtejszego mistrza von Kerskorfa. Wielki mistrz z Malborka, ze względu na wrogą wojnie postawę swych poddanych, przyjść nie mógł, ale jego podejrzone posunięcia nie pozwoliły Polsce dać Kiejstutowiczowi większej pomocy. Polacy złamali najpierw Tatarów, potem Niemców, Litwini rozbili ruskie drużyny Świdrygiełły. Bitwa pod Wiłkomierzem to prawdziwy Grunwald w pomniejszeniu. Poległ mistrz inflancki, niemal cała starszyzna i mnóstwo rycerzy zakonnych. Inflanty stały się na czas pewien bezbronne - miały po zamkach najwyżej kilkuset ludzi, w tym dwustu spieszonych korsarzy bałtyckich, zwanych *Schiffskinder*. Strona polska żądała natychmiastowego marszu na ten kraj i zajęcia go. Ale dowodził Zygmunt Kiejstutowicz, który zawrócił pułki z drogi do Inflant i skierował je na Smoleńsk, Witebsk oraz Połock, pragnąc skończyć ze Świdrygiełłą i opanować Ruś. Do wielkiego mistrza, obawiającego się uderzenia z dwóch stron i katastrofy, słał książę z zapewnieniami, że chce żyć z nim dobrze i zła mu nie życzy. Kiejstutowicz również uważał istnienie osłabionego Zakonu za pożyteczne dla Litwy. Zaczął się z nim tajnie porozumiewać natychmiast po objęciu władzy.

Magnes wschodni, tak silnie oddziałujący na Litwę, okazał się istnym błogosławieństwem dla nadbałtyckiej niemczyzny. Poszczerbiona i nadwątlona ocalała jednak ze śmiertelnych niebezpieczeństw. Zachowała pozycje zarówno wokół Królewca, jak Rygi, a w przyszłości znowu je wzmocniła w sposób, który przyniósł wyłącznie klęski, i to całej Europie.

Nasza najnowsza historiografia słusznie podkreśla ujemne skutki ekspansji na wschód, ale kieruje oskarżenia pod adresem niezupełnie właściwym. Polscy magnaci chcieli zagarnąć Podole i Wołyń. Takie aneksje wcale nie przekraczały miary znanej innym państwom europejskim, były nawet dalekie od ówczesnych rekordów. A najważniejsze, że nie pochłaniały wszystkich sił i nie odciągały kraju od głównych zadań politycznych. Dopiero program zdobycia całej Rusi dla

Litwinów okazał się deską ratunku dla Królewca i niemieckiej Rygi. Mówienie więc tylko o zaborczości feudałów małopolskich to nadmierne upraszczanie spraw zawiłych. Polskę spychał z właściwego szlaku sam fakt związku państwowego z Litwą, zmuszający do liczenia się z jej od dawna wytyczonymi celami, ale tenże związek dawał Koronie znaczną i natychmiastową korzyść. Zabezpieczał granicę wschodnią, pozwalał na gospodarczy rozwój Zawisła.

Jakub z Kobyłan nie bez zysku dla Polski bił się pod Wiłkomierzem, gdzie pokonał chorągwie niemieckie. Wobec złamania sił inflanckich wielki mistrz z Malborka musiał porzucić tajne zamysły i zawrzeć pokój wieczysty, który podpisano 31 grudnia 1435 roku w Brześciu Kujawskim. Warunki były dla nas bardzo pomyślne. Pod względem terytorialnym ponownie otrzymywała polska tylko Nieszawę, ale są rzeczy ważniejsze od kilometrów kwadratowych. Zakon wyrzekł się związków z postronnymi potęgami - a więc papieżem, soborem i cesarzem - przestawał więc być ekspozyturą niemczyzny, wspieraną przez rozmaite moce Zachodu. Schodził do roli zwykłego państwa, pilnującego własnych spraw. Ponadto jeszcze - gdyby Malbork złamał te zaprzysiężone warunki, poddani mieli prawo wypowiedzieć mu posłuszeństwo. „Panowie pruscy” dostawali się zatem pod kontrolę społeczeństwa, które już od dawna spoglądało na Polskę, a w 1410 roku na wyścigi śpieszyło poddać się jej.

Niezależnie od tego faktu pokój brzeski wprowadzał w Prusach porządek z reguły pożyteczny. Państwo, którego rząd został skrepowany przez wolę własnych obywateli, nie mogło uprawiać polityki zbyt niebezpiecznej dla sąsiadów, a jeśli dawniej hołdowało takim tendencjom, musiało się z nimi rozstać.

Zygmunt Kiejstutowicz bezpowrotnie wypuścił z rąk Inflanty, lecz pomimo to wschodnich celów nie osiągnął i Świdrygiełły nie złamał. Zamęt i walki na Litwie trwały nadal. O ich bezwzględności świadczy los rezydującego w Smoleńsku metropolity prawosławnego Harasima, którego Świdrygiełło uwięził i spalił na stosie (stało się to jeszcze przed bitwą pod Wiłkomierzem). Magnaci koronni próbowali polityki kompromisowej, nie zależało im na całkowitym usunięciu Świdrygiełły, byli gotowi uznać jego władzę nad częścią Litwy. Oczywiście, że byłoby to korzystne dla Krakowa, lecz owa oględność świadczy zarazem o umiarkowaniu i braku zasadniczej wrogości wobec księcia, rządzącego przede wszystkim Rusinami. Świdrygiełło przyjeżdżał na narady do samego Krakowa.

Zygmunt Kiejstutowicz wziął górę dopiero w roku 1439. Byłoby zupełnie niesłusznie widzieć w nim polskiego agenta na stolicy litewskiej. Prowadził politykę samodzielną, nie liczącą się z interesami Polski, a czasem i wrogą jej. Razu pewnego pisał do Albrechta Habsburga:

My nigdy nie byliśmy niewolnymi ani też nasze Wielkie Księstwo nigdy nikomu, jak daleko pamięć ludzka sięga, nie było poddane; i teraz nie trzymamy go od nich [Polaków], lecz siedzimy na nim, objąwszy je z łaski Bożej, prawym dziedzictwem przodków naszych, po śmierci brata naszego, śp. Witolda.

Zwartego frontu całej Litwy przeciwko Polsce też jednak nie było, o czym doskonale wiedzieli Krzyżacy: „Panowie i ziemia litewska niezupełnie są ze sobą w zgodzie; część ich jedna oświadcza się po stronie Polaków, część druga za wielkim księciem” - pisał komtur brandenburski.

Wielmoże litewscy wiele zyskali od czasów unii, przede wszystkim wzorowane na polskich prawa i możliwość odgrywania roli politycznej. W osobie i rządach Zygmunta Kiejstutowicza jakby zmartwychwstał dawny pogański obyczaj, nieludzki i mroczny. Długosz opowiada o nim ponure rzeczy, a nie wolno lekceważyć tych relacji, bo kronikarz był już wtedy mężem dorosłym, wiarogodnym świadkiem. Według niego Zygmunt

to człek na podziw srogi i łakomy, do karania śmiercią lub wydzierstwem z lada przyczyny pochopny [...] a przy tym niezmiernie chciwy [...] Okrutnik chytry i podstępny, każdego za lada oskarżeniem jakoby zdrajcę i buntownika [...] najpierw odzieraniem ze wszystkiego, potem więzieniem, a na ostatek, co się często zdarzało, srogimi káźniami, wśród których badani sami na siebie z bólów winę kładli, i śmiercią niewinnie karał.

Podobno

za namową wrózków, którzy umysłem jego rządzili, z krwi ludzkiej z krwią dzikich zwierząt zmieszanej święcił ofiary bluźniercze dla zbadania rzeczy przysłych.

Maciej Strykowski żył znacznie później, ale wiadomości gromadził pilnie. Zwiedzał Troki, gdzie na ścianie komnaty zamkowej oglądał szerniałe plamy krwi książęcej. Napisał o Zygumencie:

A zawždy sam z okna na miasto Trockie patrząc, gdzie więcej mieszkował, gdy ujrzał, dwa albo trzy gadają, wnet do siebie pozwanych pytał pojedyńkiem, o czym by rozmawiali; a jeśli się w czyn który namniej potknął, dał wszystkich zarazem bez prawa potopić i tym sposobem, gdy nikomu nie wierzył i wszystkie rozmowy o sobie być mniemał, a wszystkich się bojał (co jest własność każdego tyrana), dał bardzo wiele szlachty i spóółstwa litewskiego potracić.

W tydzień po Wielkiej Nocy 1440 roku miał się odbyć zjazd szlachty litewskiej, w czasie którego - jeśli wierzyć Długoszowi - książę zamierzał dokonać rozprawy ze „starszyzną”. Jednakże w Palmową Niedzielę, 20 kwietnia, sam zginął w Trokach od noży spiskowców, którym przywodzili kniaziowie Aleksander oraz Iwan Czartoryscy. Zmasakrowanego trupa Kiejstutowicza wywlokły z bramy ojcowskiego zamku konie zaprzężone do telegi bez woźnicy.

Rozważając polityczne dzieje unii nie wolno ani na chwilę zapominać o jej najgłębszym nurcie. Układy, nieporozumienia, nawet walki przeplatały się nawzajem, lecz kultura niepowstrzymanie płynęła na wschód. Takie zjawisko jak Zygmunt Kiejstutowicz w Polsce XV wieku było już nie do pomyślenia. Wkrótce i na Litwie miały zniknąć pierwotne mroki.

Gdy się to wszystko działo w Wielkim Księstwie, sprawy Korony stały pod znakiem doniosłych wydarzeń zachodzących na południu i zachodzie Europy.

Jeszcze za życia Jagiełły, 24 lipca 1431 roku, zebrał się w Bazylei nowy sobór, który już w grudniu został rozwiązany przez papieża Eugeniusza IV. Przybyli na zjazd pralaci nie usłuchali jednak rozkazu, obrad nie przerwali, ogłosili nawet stanowczo zasadę wyższości soboru nad papieżem. Spór w Kościele, kilkanaście lat temu z trudem zażegnany w Konstancji, rozpalił się na nowo. Eugeniusz IV przeniósł sobór do Ferrary we Włoszech, gdzie więcej znaczył wpływ posłusznego Rzymowi duchowieństwa włoskiego, potem do Florencji. W tym mieście 6 lipca 1439 roku dokonano aktu o wielkim znaczeniu dla Polski, a tym bardziej dla Litwy. Zawarto unię dwóch Kościołów wschodniego i zachodniego. Konstantynopol zgodził się na to, licząc na pomoc papieża oraz państw zachodnich przeciwko Turkom, którzy śmiertelnie mu zagrażali. Ale zamieszkali w granicach Litwy Rusini przywitali unię kościelną, jak świadczy Długosz, drwinami i śmiechem. Niechętnie patrzył na nią katolicki biskup Wilna, a także wielmoże narodowości litewskiej.

Trudno było spodziewać się po tej unii czegoś istotnego, skoro nieposłuszni duchowni, którzy nadal obradowali w Bazylei, potępił zjazd ferraryjsko-florencki i ogłosili za dogmat zasadę wyższości soboru nad papieżem. Na krótko przed zawarciem unii, 25 czerwca 1439 roku, uznali Eugeniusza IV za złożonego z godności i obrali antypapieża w osobie Feliksa V.

Wschód pod fizycznym naciskiem Turków przystał na unię, nie cały Zachód ją popierał. W tych warunkach i samo dzieło nie miało przed sobą przyszłości, a to tym bardziej że zajęte polityką i skłócone sobory nie załatwiły sprawy najważniejszej, nie przeprowadziły wewnętrznej reformy Kościoła. Oto opinia Michała Bobrzyńskiego, który nie może być pomawiany o brak prawowierności katolickiej:

Przywileje polityczne odwróciły duchowieństwo całej Europy od jego istotnych zadań na pole interesów świeckich, upadek ducha religijnego był wskutek tego widoczny, rozprężenie karności w Kościele, a moralności w całym społeczeństwie chrześcijańskim bezprzykładne.

Eugeniusz IV mianował dwóch hierarchów wschodnich kardynałami. Jednym z nich był metropolita kijowski Izydor, człowiek całą duszą oddany sprawie zjednoczenia wyznań. W Krakowie Oleśnicki przyjął go dobrze, dopuścił do odprawienia nabożeństwa unickiego w katedrze wawelskiej. Izydor ruszył na Ruś litewską, nie zawahał się potem pojechać do Moskwy. Nic tam nie wskórał, jak się zresztą należało spodziewać. Na czas pewien dostał się nawet do więzienia.

Unia florencka była bardzo ważnym wydarzeniem dla rozwoju i okrzepnięcia ideologii politycznej Kremla. Wielkie Księstwo Moskiewskie potępiło Konstantynopol za zdradę wiary, zerwało z nim stosunki i samo uznało się za przywódcę, obrońcę, za właściwą stolicę prawosławia. Odtąd zaczęły się w Moskwie wytwarzać przesłanki do słynnej teorii „trzeciego

Rzymu”. Według niej Moskwa jest prawowitą spadkobierczynią starożytnej Romy cesarów oraz Bizancjum-Konstantynopola, lecz sama już nie będzie miała następcy. „*A tritij Rim Moskwa, a czetwiortomu - nie bywat’.*”

W ruchu soborowym Polska brała udział bardzo żywy, stanowczo, konsekwentnie i dłużej niż jakiegokolwiek inne państwo kontynentu opowiadając się za wyższością soboru nad papieżem. Do Zbigniewa Oleśnickiego w żaden sposób nie pasują zatem słowa, które Stanisław Wyspiański włożył w usta innego kardynała krakowskiego: „*Roma locuta, a Roma nie może się mylić!*” Teoria koncyliaryzmu, którą Oleśnicki wyznawał, a Uniwersytet Jagielloński pracowicie i lepiej niż ktokolwiek w Europie uzasadniał, widziała w papieżu tylko przewodniczącego soboru powszechnego, będącego wyrazicielem woli ogółu wiernych. Przez czas pewien Kościół polski był rzeczywiście samoistny, ponieważ wobec przedłużających się zatargów przyjął i ogłosił zasadę neutralności, to znaczy nie słuchał żadnego ze zwalczających się papieży.

Takie postępowanie przyniosło Oleśnickiemu możliwość przebierania w kapeluszach kardynalskich. Ofiarowali mu je jednocześnie: Eugeniusz IV, papież, i Feliks V, antypapież. Potem, w 1449 roku, raz jeszcze dokonał nominacji Mikołaj V, który był papieżem wybranym kanonicznie. Oznaki książęcej godności Kościoła przywiózł wtedy z Włoch Jan Długosz, dobrze nam znany historyk, i w katedrze wawelskiej wygłosił do Oleśnickiego mowę, którą sam uznał za „wyborną i z uwielbieniem od wszystkich przyjętą”.

Sprawę osobistego awansu Zbigniewa Oleśnickiego wolno uznać za symboliczną, lecz tylko poniekąd. Kardynałowi przyświecała myśl zdobycia dla Polski mocnej, widnej, nawet naczelnej pozycji w świecie katolickim. Kościół był wewnętrznie skłócony, rozbity, potrzebował wielkich poświęceń i czynów. Kto by ich z powodzeniem dokonał, ten siłą rzeczy wysunąłby się na przodujące miejsce.

Trzeba mieć na uwadze ten tok myśli, jeśli się chce zrozumieć postępowanie Zbigniewa Oleśnickiego.

Sobór bazylejski doprowadził do kompromisu z czeskimi husytami, wśród których wzięło górę umiarkowane skrzydło. Jednakże właśnie w tym czasie echa husytyzmu zaczęły się coraz głośniejszy odzywać w Polsce. Nie można tego przypisywać samym tylko wpływom uchodźców z Czech. Masowych i poważnych poruszeń nigdy znikąd się nie importuje, one wyrastają z miejscowego gruntu lub nie ma ich wcale. Przyczyn niepokojów w Polsce było wiele - niezadowolenie ludu z rosnących obciążeń, pogarszanie się pieniądza, zajadłe spory szlachty z duchowieństwem o dziesięciny, niechęć do przewagi magnatów i kłótnie wśród samych wielmożów, opozycja świeckich wobec potęgi Oleśnickiego. Tłem ogólnym było zjawisko, które wywoływało wrzenie w całej Europie: bogactwo i uroszczenia polityczne kleru. Jak wiemy, już podczas koronacji Władysława III nie dopuszczono biskupa krakowskiego do objęcia regencji. Obóz opozycyjny był liczny, lecz wewnętrznie podzielony, a główna zasada postępowania Oleśnickiego polegała na odgradzaniu Polski od Czech, skąd szły hasła heretyckie i „zły przykład”.

9 grudnia 1437 roku zmarł Zygmunt Luksemburczyk, który niegdyś omal nie został królem polskim, wyznaczony na tron przez Ludwika Węgierskiego. Cesarz zawsze nienawidził Polski, a u schyłku życia sentyment ów nabrał cech manii prześladowczej. Zgon Zygmunta opróżnił trony Czech i Węgier. Wobec wygaśnięcia dynastii Luksemburgów na spadkobiercę przewidziany był zięć zmarłego, Albrecht Habsburg. Niechętni Niemcom Czesi woleli jednak poszukać sobie innego pana. Ofiarowali koronę Władysławowi III.

Pomimo wszystkich sporów i podziałów kraj zdecydowanie opowiedział się za przyjęciem propozycji. Jeden tylko Oleśnicki był przeciw. Początkowe osamotnienie nie przeszkodziło pogmatwać i ostatecznie pogrzebać sprawę. Koronę czeską przyjęto, lecz dla młodszego brata królewskiego - Kazimierza.

„Zjednoczenie Polski i Czech byłoby, ze stanowiska polityki niemieckich krajów, wielkim nieszczęściem, od którego niech Pan Bóg uchowa” - pisał kanclerz cesarski Kaspar Schlick. Od niego również wiemy, że Czesi zobowiązali się wobec Polaków „zmusić książąt śląskich do uznania zwierzchnictwa Korony Polskiej”. Był rok 1438 zaledwie pięć lat wcześniej pułki czeskie i polskie razem poszły na północ i dotarły aż do Bałtyku.

25 kwietnia 1438 roku Oleśnicki zawiązał w Nowym Korczynie konfederację, której cel polegał na obronie wiary katolickiej przed herezją, a wymowa polityczna była w danych warunkach niedwuznaczna. Dywersja zrobiła swoje - słabe, słabsze, niż być mogły, siły polskie nie dorównywały trzykrotnie liczniejszej armii Habsburga i jesienią król wraz z bratem musieli się wycofać. Zaszli zresztą tylko do Opawy. A przecież już na wiosnę oddziały polskie pod dowództwem Jana Tęczyńskiego i Stanisława Ostroroga ładnie działały w samych Czechach i obroniły Tabor.

3 maja 1439 roku Korczyn widział początek nowej konfederacji. Tym razem wodzem jej był Spytko z Melsztyna, a pod jego husyckim sztandarem stanęła cała różnolita opozycja przeciwko biskupim rządóm. Nie brakowało tłumów uzbrojonych chłopów ani... tajnego poparcia ze strony dynastii, zwłaszcza królowej-matki, Zofii. Nie może ulegać kwestii, że zmarnowanie widoków czeskich spowodowało ten wybuch, wyzwoliło go, lecz nie stanowiło jedynej przyczyny.

Wierne Oleśnickiemu hufce śpieszyły do rozprawy, zanim Spytko, który stanął w zakolu Nidy pod Grotnikami i umocnił się na wzór czeski taborem, zdążył usypać wały i przekopać rowy obronne. Konfederaci ulegli natarciu piechoty. Mordowano ich „ze srogą zawziętością”, spychano do rzeki. Śmiertelnie ranny wódz spadł z konia i zaraz, na miejscu, rozegrała się jedna z najbardziej obrzydliwych scen naszych dziejów. Odprawiono uroczysty „sąd” nad nieprzytomnym, rozciągniętym na ziemi ciałem Melsztyńskiego, „trzykrotnym wołaniem pozywano dychającego jeszcze winowajcę”. Jako „zdrajcę ojczyzny” skazano go na śmierć. Odarty do naga trup przez trzy dni leżał tam, gdzie padł.

Zanim się ten „sąd” rozpoczął, piętnastoletni Władysław III osobiście nakazał, „aby pieszemu gminowi oszczędzano życie”. Wkrótce też skasował wydany „wyrok”, przywracając prawa szlacheckie wdowie po

poległym oraz jego rodzinie.

Długosz był przysięgłym zwolennikiem Oleśnickiego, pisał o nim z uwielbieniem, stronnico. A jednak w opowiadaniu o rozprawie pod Grotnikami wyraźnie czuć między wierszami niepewność i zawstydzenie. Kronikarz nie twierdzi, że wszyscy w Polsce potępiali Melsztyńskiego, wspomina takich, co litowali się nad nim i nad „śmiercią włościan”.

Pozostawał w Polsce jeszcze jeden wybitny kacerz, Abraham Zbąski, sędzia poznański, który sprzyjał czeskiemu odszczepieństwu. Biskup Stanisław Ciołek obłożył go klątwą, a Zbąszyń interdyktem, sam jednak wolał wyjechać z Wielkopolski do Krakowa. Jego następca, Andrzej Bniński, omal nie postradał życia na ratuszu poznańskim, a potem zbrojnie obległ Zbąszyń, zmusił mieszczan do wydania pięciu księży husyckich i publicznie spalił ich w Poznaniu na stosie. Abraham Zbąski wkrótce umarł i „z jego śmiercią ustała, wykorzeniona do szczętu, zaraza kacerska w ziemi i diecezji poznańskiej”.

Pomimo surowości prześladowań nic wcale się w Polsce nie zerwała. W tym samym 1439 roku kanoniję Św. Floriana na Kleparzu w Krakowie objął ksiądz Andrzej Gałka z Dobczyna, profesor uniwersytetu i dziekan. Również w dziesięć lat później gorliwiec szperający w jego papierach wykrył odpisy dzieł Wycliffe’a oraz inne zdecydowanie heretyckie utwory, wśród nich „inwektywy na papieża, duchowieństwo i wystąpienia przeciwko posiadaniu majątków przez Kościół”. Wieziony z Mogiły do Krakowa na sąd Gałka uciekł - pewnie przy pomocy przyjaciół - i skrył się w Głogówku na Śląsku u wrogiego klerowi księcia Bolka. Stamtąd pisywał harde, lecz nacechowane szacunkiem listy do Oleśnickiego oraz obelżywe do kolegów z Akademii. Później, być może, działał w Wielkopolsce i przystał do husytów. Zostały po nim owe pisma, wśród których była „*cantilena vulgaris*”, piosenka ludowa po polsku (najdawniejsza jej kopia z nutami pochodzi z około połowy XVI wieku i znajduje się w bibliotece w Wolfenbüttel). Początek jej i koniec brzmiały tak:

*Cesarscy popowie
są antychrystowie;
ich moc nie od Chrysta,
ale od antychrysta
z cesarskiego lista...*

*Chryste, przez Twe rany,
racz nam dać kapłany,
iżby prawdę wiedli,
antychrysta pogrzebli,
nas k'Tobie przywiedli.*

Gałka wcale nie powoływał się na Husa i nawet go nie wymieniał, pewnie ze względów taktycznych. Znaczący twierdzą za to, że jego poglądy wyraźnie zbliżały się do tez Marcina Lutra, ogłoszonych w kilkadziesiąt lat później.

Ale wybiegliśmy naprzód. Na razie Zbigniew Oleśnicki triumfował.

Dopiero teraz mógł swobodnie urzeczywistniać swe programy, a sam los podsunął mu okazję. 27 października 1439 roku zmarł Albrecht Habsburg i sprawa następstwa tronu w Czechach i na Węgrzech znowu stała otworem.

Akurat w tym czasie przybył do Krakowa poseł, jakiego tam jeszcze nie oglądano. Był to przedstawiciel Murada II, sułtana tureckiego, który słysząc, że król polski walczy z Habsburgami o Czechy, ofiarowywał pomoc i przymierze. Sam bowiem wojował z nimi od strony Morza Czarnego i Węgier. „Król Władysław, przyjąwszy posła łaskawie i z uczciwością, zatrzymał go przy sobie, póki się nie dowiedział, jaki obrót brały sprawy węgierskie po śmierci króla Albrechta.”

Według zasad od całych tysiącleci obowiązujących w polityce, Turcja nadawała się wtedy na sojusznika Polski. Rozumiał to Murad i pierwszy pchnął posła do władcy nadwiślańskiej odmiany giaurów.

W same zapusty 1440 roku przyjechało na Wawel nowe poselstwo. Węgrzy ofiarowywali Władysławowi III swą koronę, żądając, by poślubił wdowę po Albrechcie, Elżbietę, znacznie od niego starszą - nawet „podstarzałą” i - będącą właśnie w ciąży. Ta perspektywa wcale się nie uśmiechała szesnastoletniemu niespełna monarsze, nie widział też korzyści w porzucaniu Polski i wyjeździe za Karpaty. Opinię tę podzielała część rady koronnej, a kiedy goniec z Węgier doniósł, że Elżbieta urodziła syna - nazwanego też Władysławem z przydomkiem Pogrobowca - zaniósł się na zdecydowaną odmowę.

Jednakże 8 marca 1440 roku Władysław III:

potłumiwszy w sobie wszystek wstręt i niechęć na radę i prośbę stron obydwóch, acz z przekonaniem swoim niezgodną, powodowany jedynie względami religijnymi, przywiązaniem do prawej katolickiej wiary, postanowił królestwo węgierskie przyjąć.

Ceremonii, podczas której posłowie madziarscy znowu ukłękli przed Jagiellonem, przyglądał się wciąż jeszcze obecny w Krakowie poseł sułtana.

Król - wraz z trzynastoletnim bratem Kazimierzem - przez Niepołomice, Wieliczkę i Bochnię wyruszył do Sącza, gdzie oczekiwała go matka i Zbigniew Oleśnicki, który dał tu monarsze sporą sumę pieniędzy oraz srebra stołowe, a w zamian wziął prawem zastawu Spisz. Dążył do stworzenia w granicach Polski osobnego księstwa biskupiego, do czego wiódł też późniejszy zakup Siewierza. Od jego czasów biskupi krakowscy noszą tytuł książęcy.

23 kwietnia Władysław III pożegnał się w Czorszynie z matką i bratem, po czym przekroczył granicę węgierską. 25 maja odbył uroczysty wjazd do Budy. Otaczające go rycerstwo polskie szło pieszo, aby lud mógł lepiej widzieć siedzącego na koniu króla. Tuż za Władysławem sunął Oleśnicki, za nim dwaj biskupi węgierscy, dziekan krakowski Mikołaj Lasocki, a dopiero potem wojewoda Jan z Tęczyna oraz palatyn madziarski Wawrzyniec Hedrewara. Reżyseria nie pozostawiała nic do życzenia.

Dzieje te układały się po myśli Zbigniewa Oleśnickiego, gdyż on był ich

właściwym sprawcą, on ostatecznie przemógł wahania króla, który jeszcze z Węgier chciał zawrócić z powrotem, skłaniając się ku zdaniu większości doradców. Nie król, lecz kardynał ponosił odpowiedzialność za uczynki, oceniane przez najteższych naszych historyków w sposób krańcowo różny. Michał Bobrzyński pisał: „Wielka to była w dziejach Polski chwila, kiedy za mężem Władysławem świetne rycerstwo polskie, zbrojnie i okazale do Węgier ciągnęło.” Ludwik Kolankowski wyraża się o wiele zwięźlejš: „Króla na tę drogę popchnięto i doprowadzono go nią do zguby, a jego ojczyznę na skraj przepaści”, która to opinia niemal idealnie przylega do prawdy.

Warunki, zawczasu ułożone w Krakowie, nakładały na Władysława III obowiązek obrony Węgier przed Turkami. Ponadto winien był król poślubić Elżbietę, zająć się losem dwóch jej córek, a Pogrobowca (należącego do rodu Habsburgów, Niemca) uczynić w przyszłości władcą Czech. Uderza brak jakiegokolwiek wzmianki, co ma uzyskać Polska, dająca wszak Węgrom pomoc wojskową, opłacaną z krakowskiego skarbcza, oraz własnego monarchę. Bo też w istocie nie przewidziano dla niej nic. Korzyści miały wyniknąć z objęcia przez nią przewodnictwa w nowej krucjacie Zachodu.

Był to pierwszy w historii Polski wypadek rozpoczęcia działania nie mającego nic wspólnego z podstawową zasadą polityki *do ut des*. Po sześciu wiekach istnienia państwo zaczynało wkraczać na tory dotychczas najzupełniej sobie obce, godziło się ponosić same koszty. Przeszłoroczna rozprawa pod Grotnikami, która zniosła opozycję i zdjęła hamulce z biskupich rządów, teraz wydawała owoce. Polityka polska bez zastrzeżeń poszła w służbę ideologii, rzekomo powszechnej, a w gruncie rzeczy nierzeczywistej, bo akurat wtedy nikt w Europie o żadnym zbiorowym wystąpieniu przeciwko Turkom nie myślał, każdy pilnował własnego dobra i już bez ceremonii odrzucał resztki uroszczeń państwa oraz cesarstwa.

W X stuleciu kraj w zadziwiający sposób zachował równowagę w dobie przemiany wiary, jego pierwsi chrześcijańscy władcy ani na cal nie zboczyli z drogi rozsądku. Chrobry obu nogami stał na ziemi popierając misję św. Wojciecha i zaraz po jego zgonie uzyskując arcybiskupstwo. Ostatni Piast zająwszy Ruś Czerwoną nie przejął ani iskry zapalu do nawracania schizmatyków. Wręcz przeciwnie w tajemnicy przed papieżem działał dla ich dobra. Naśladując ojca, Łokietka, zawierał sojusze z Litwinami, nie przejmując się ich pogaństwem.

XV stulecie przyniosło zmiany bardzo istotne, których najwcześniejšą, znamieną zapowiedzią była metamorfoza Uniwersytetu Krakowskiego. Jeden z Węgrów oficjalnie mówił w Budzie do Władysława III:

Ufaliśmy, że nad klęskami i nieszczęściami naszego królestwa litościwie się użalisz; a jako przesławny rodzic twój wiele ludów i narodów z ciemnoty błędów pogańskich przywiódł do światła wiary świętej, tak ty staniesz się obrońcą i twierdzą tejże samej wiary, którą on tak gorliwie rozkrzewiał, abys czynów jego i sławy prawdziwym był dziedzicem.

Młody król był istotnie spadkobiercą świeżej tradycji podejmowania

zadań zbyt szerokich, z własnych polskich warunków wcale nie wyrastających, a z konieczności noszących znamię walki ideologicznej. Nie odnosi się to wcale do rozszerzania katolicyzmu w samej Litwie - bardzo było mądrze odepchnąć od tej misji Niemców i wzmóc swe znaczenie. Ale skomplikowane warunki wewnętrzne Wielkiego Księstwa nieuchronnie plątały Polskę w zbyteczne zatargi z prawosławnymi, kazały jej myśleć o unii Kościołów. Całokształt nowych okoliczności zabarwiał politykę królestwa na nowy sposób, rodził atmosferę sprzyjającą triumfom Oleśnickich. Pomału zaczynała się Polska uznawać za obciążoną p o l i t y c z n ą misją obrony katolicyzmu. Jeszcze w Krakowie wygłosił Władysław III słowa, w których ton doprawdy warto pilnie się wsłuchać:

że poprzestając na swoim królestwie polskim nigdy obcych królestw nie pragnął; wszelako, aby się nie zdawał Boskiemu opierać rozrządzeniu, rzezone królestwo (węgierskie) na chwałę Boga Wszchemogącego, Rodzicielki Jego Maryi Panny i wszystkich Wybrańców nieba, dla pokoju i obrony wiernych, a wytepienia i zagłady barbarzyńców, nie bez mnogich łez wylania przyjmuje.

Jakże to uważać za czczą deklamację, kryjącą chytne interesy, skoro układy rzeczowe nie przewidywały dla Polski nic?

Po unii z Polski i poprzez Polskę popłynęła do Wielkiego Księstwa fala europejskiej kultury, lecz jednocześnie ścieżka naszej historii zaczynała odbiegać od zwykłych europejskich dróg. W tym oczywiście sensie, że samo wytyczanie kierunku marszu odbywało się na odmiennych niż gdzie indziej zasadach. We wrześniu 1440 roku, po powrocie Oleśnickiego do kraju, szlachta małopolska postanowiła obciążyć się podatkami, zwalniając od nich tylko tych, co sami osobiście wyruszą na wojnę węgierską. Trudno by przyszło skłonić wtedy do takich uchwał rycerstwo Francji, Anglii czy Niemiec. Dokonana przemiana, utrata równości, wcale nie była ostateczna. W niedalekiej przyszłości, pod wpływem własnych doświadczeń oraz europejskich prądów Renesansu i reformacji, Polska miała znakomicie otrzeźwieć. Czasy Władysława III przyniosły pierwsze pobłędzenia, od razu opłacone jednak straszliwą ceną.

Polska poniosła wiele ofiar na rzecz krajów wschodnich, z którymi po roku 1386 związała swój los. Najłatwiej oczywiście zauważyć udział w wyprawach wojennych, a najtrudniej chyba ocenić, że wskutek owego związku sama zaczęła się wewnętrznie przemieniać, rozstawać z tymi zasadami postępowania, dzięki którym wyrosła w dobie piastowskiej.

Wiele się dawniej pisało o posłannictwie czy misji dziejowej Polski. Patrząc z perspektywy dłuższej niż tysiąclecie można twierdzić, że ta misja polegała na budowie nad Odrą i Wisłą normalnego państwa europejskiego, zapewniającego narodowi bezpieczeństwo oraz dobrobyt, a przez to gruntownie i na zawsze utwierdzającego w tych stronach określony typ kultury, jak najlepszy jej rozkwit, a nie wegetację. To zadanie było wypełniane. Już XIV wiek stać było na ostateczne zjednoczenie państwowe, prawo spisane oraz uniwersytet, który datą swych narodzin wyprzedził liczne kraje Zachodu. Było wypełniane mimo trudnych

warunków tak solidnie, że pewnych podobieństw wolno szukać aż w dziejach Francji.

Odległe i górne cele, jakie przyświecały Oleśnickiemu, nie wystarczą jednak dla pełnego wyjaśnienia dziwnych losów Władysława III. Należy jeszcze spojrzeć od strony praktyki politycznej. Król wyjechał na Węgry, tym samym przestał wyczuwać puls codziennego życia kraju, utracił związek z nim. A że w chwili rozstania z Polską liczył sobie lat niespełna szesnaście, więc nie nabył jeszcze doświadczenia. Gdyby nawet w przyszłości powrócił, stanąłby w Krakowie jako człowiek skazany na naukę od początku. Wyjazd Władysława czynił Oleśnickiego rzeczywistym, choć nie koronowanym królem. Monarchia polska przez kilka lat miała istnieć tylko teoretycznie, prawdziwe rządy przypadły magnatom, zwłaszcza duchownym. W 1439 roku krwawo złamano opozycję, w następnym wśród wielkich honorów pozbyto się z kraju władcy, posiadającego wszak rozległe uprawnienia, a z natury, jak widać, wrogiemu takim wydarzeniom jak Grotniki. Z punktu widzenia praktyki politycznej zabieg Oleśnickiego wygląda niedwuznacznie. To było przechwycenie władzy.

17 lipca Władysław III wstąpił w Białogrodzie na tron węgierski. Do ceremonii posłużyła jednak nie tradycyjna prastara korona - ta sama, która niegdyś przeznaczona była dla Chrobrego, a trafiła na Węgry - lecz inna, symboliczna, specjalnie w tym celu zdjęta z relikwiarza św. Stefana. Tamtą, właściwą znacznie wcześniej, bo już 15 maja, ukoronowano Władysława Pogrobowca.

Matka jego, królowa Elżbieta, zmieniła bowiem front już wtedy, gdy polski kandydat przebywał jeszcze w Krakowie. Opierając się na pomocy cesarza Fryderyka III, stronnictwa habsburskiego na Węgrzech oraz wojsk najemnych przeprowadziła koronację syna-niemowlęcia i wytrwale broniła jego praw. Triumfalny pochód Władysława III przemienił się w dwa lata trwającą, ciężką wojnę domową. Nie było na razie mowy o objęciu przodownictwa w chrześcijaństwie ani o „rozciągnięciu wpływów polskich aż po kresy Bałkanu i uczynieniu z Polski czynnika decydującego na wschodzie i w środku Europy” (bo tymi słowami profesor Jan Dąbrowski określa cele Oleśnickiego).

Tymczasem nad Wisłą działo się źle i coraz gorzej. Nieudolne rządy magnaterii, zamieszki i rozboje to były sprawy przemijające, do naprawienia. Fatalnie i w sposób trwały cierpiał główny filar wszelkiej polityki - skarb, majątek państwa.

Polska nie była skłonna oficjalnie mieszać się do wojny z Elżbietą i Pogrobowcem, za to wielu rycerzy ochotniczo szło za Karpaty, szukając nie tyle sławy, co kariery. Zgodnie z prawem, trzeba im było płacić za służbę zagraniczną. Każdemu z przybywających kancelaria królewska uiszczala więc należność brzęczącą monetą lub dawała kwity, płatne w Polsce. Wskutek tej praktyki „przesunął się ogromny szmat ziem królewskich w ręce prywatne, nieraz bezpowrotnie”. Jeden z wierzycieli wziął więc w zastaw całą Sandomierszczyznę, inny Bydgoszcz, trzeci Śrem i tak dalej. Łukasz Górka herbu Łodzian, odgrywający na Węgrzech poważną rolę, otrzymał Kościan, Sieraków, Gostyń, Tuszą Górę i inne

dobra, a potem zaokrąglął posiadłości... pożyczając zubożałemu skarbowi pieniądze. Stał się właściwym fundatorem magnackiej potęgi swego rodu. Farurej z Garbowa, brat Zawiszy Czarnego, w sprzyjającej koniunkturze wykazał nie lada obrotność i porósł w piórka, oczywiście na niekorzyść kasy królewskiej. Ta jego kariera wydaje się szczególnie znamienita: poprzednio Farurej słynął przede wszystkim z męstwa, pod Grunwaldem należał do najlepszych.

Władysław Jagiełło był aż nadto hojny, a rządził lat czterdzieści osiem. Podczas cztery lata trwającej ekspedycji węgierskiej jego syna dług obciążający dobra państwowe wzrósł o sumę trzykrotnie przewyższającą wszystkie zobowiązania Jagiełły. Skarb koronny popadł w ruinę, z której nie miał się już nigdy podźwignąć. Na zawsze przepadł główny wspornik polityki piastowskiej, czyli zdecydowana przewaga materialna panującego nad poddanymi. W przyszłości miało być w Polsce akurat odwrotnie - bogate możnowładztwo, szczególnie duchowne, nędzarskie państwo. To była właśnie owa straszliwa cena zapłacona za politykę w imię ideologii.

Długosz, który wszystko to oglądał własnymi oczyma, pisze:

król Władysław przez czas pobytu swego na Węgrzech prawie wszystkie miasta, zamki, ziemie, miasteczka, wsie tudzież cła i dochody królewskie krociami długów obciążył i pozastawiał [...] Mnożyły się zatem w królestwie polskim nieszczęścia, tak iż zarazem cierpiało od nieprzyjaciół i niszczało przez spustoszenie kraju, królewskie darowizny i zapisy. Powiększała jeszcze te nieszczęścia duma polskich panów, którzy, uzyskawszy od króla nadania wielu wsi na Rusi i Podolu, rugowali z nich dawnych osadników i mieszkańców, którzy, przywiezieni do ostatniej nędzy, z rozpaczki uciekali do Tatarów i tych potem namawiali do plądrowania ziem ruskich i majątności, z których byli wygnani.

Od roku 1434 do 1444 trwały w Polsce rządy oligarchii magnackiej, a wielkie rody porastały w dobra jak nigdy przedtem. Owo dziesięciolecie gruntownie i na gorsze przemieniło możnych, grupę społeczną i bez tego najbardziej dla państwa niebezpieczną. Późniejsi wielcy panowie całkiem przestali przypominać swych stanowych poprzedników, komesów Kazimierza Wielkiego.

Zbyt szerokie cele polityczne kierownictwa sprawiły, że prawdziwa polityka przestała w kraju istnieć, spowodowały skutki pod każdym względem złe. W niedalekiej przyszłości, podczas walnej rozprawy z Krzyżakami, miała Polska fatalnie odczuć brak pieniędzy roztrwonionych na chimeryczne przedsięwzięcie węgierskie.

Wspomnijmy jednak z naciskiem, że zjazd koronny, odprawiony w Sieradzu w kwietniu 1442 roku, kategorycznie zażądał zakończenia wojny. W zjazdach takich, już wtedy zwanych sejmami, uczestniczyli biskupi katoliccy oraz wszyscy wyżsi dostojnicy, lecz także zwykli urzędnicy ziemscy, przedstawiciele średniej szlachty, nawet miast. Z Polski szły do Władysława III rozpaczliwe wołania o powrót. Nadal istniały zatem w kraju warunki i dane do uprawiania polityki rozumnej. Marnowano wszystko na szczytach, tam gdzie zapadały decyzje.

14 grudnia 1442 roku zwalczające się na Węgrzech obozy Władysława i Elżbiety zawarły kompromisowy układ.

O Polsce - pisze Ludwik Kolankowski - która złożyła tyle ofiar na ołtarzu pacyfikacji Węgier, w ugodzie tej w ogóle nie pamiętano, rezerwując jej za to wdzięczne pole do zasług w nowej wojnie, w którą dyplomacja papieska i ambitne plany panów węgierskich uwikłały jej króla, w ofensywnych, bałkańskich, antytureckich krucjatach.

Pośredniczył w układach wysłany przez papieża Eugeniusza IV kardynał Julian Cesarini. Nie miał on szczęśliwej ręki, nie wyniósł też przyjemnych wspomnień z wcześniejszych działań w tej połaci Europy. Swojego czasu doznawał dotkliwych klęsk od husytów czeskich. Pomocnika znalazł w Mikołaju Lasockim, dziekanie krakowskim, który stale bawił przy boku Władysława, miał duże wykształcenie, horyzonty szerokie. Może nawet za szerokie, bo odznaczał się zdecydowaną skłonnością do wytyczania odległych celów i poświęcania im rzeczywistych korzyści własnego narodu. Ta spółka tłumaczy, czemu Polska wyszła z układów bez żadnego zysku.

Zwyciężyły interesy Rzymu, papieża Eugeniusza IV, który, spierając się z soborem oraz antypapieżem, Feliksem V, na gwałt potrzebował sukcesu. Miała go przynieść zamierzona na rok 1443 wielka wyprawa przeciwko Turkom. Znamienne, że Polska wzięła w niej udział całkiem nieznaczny. Przybyli tylko niezbyt liczni ochotnicy. Kraj był rozczarowany wynikiem poprzednich układów, nie przynoszących mu nic, a oprócz tego - opowiadając się za soborem, o czym już była mowa - nie widział interesu w popieraniu planów papieża (sam Oleśnicki był kardynałem z ramienia antypapieża, bo nie przyjął kapelusza ofiarowanego mu przez Eugeniusza IV). Pomysły, dla których Polska odstąpiła Węgrom własnego monarchę i popadała w wewnętrzną ruinę, po prostu nie dawały się wprowadzić w życie. Ona sama ich zaniechała, rezygnując z udziału w krucjacie.

Bałkańska kampania Władysława III, trwająca od listopada 1443 do stycznia 1444 roku, przebiegała w warunkach nadzwyczajnie ciężkich. Przyniosła sukcesy i sławę. Wśród innych miast oswobodzono i Sofię, w Albanii wybuchło powstanie przeciwko Turkom. Chwila ulgi, którą te działania przyniosły narodom bałkańskim, jest na pewno godna zapamiętania.

To, co się stało latem 1444 roku, ciągle wywołuje namiętne spory wśród historyków, należących do rozmaitych narodowości. Pertraktacje z sułtanem odbyły się i ułożono warunki dziesięcioletniego pokoju, to są fakty. Ale czy Władysław III pokój ów naprawdę zatwierdził i zaprzysiągł, a w trzy dni później złamał? - oto przedmiot dyskusji. Większość dziejopisarzy odpowiada na to pytanie twierdząco, wyjaśniając, że Władysław działał z namowy oraz upoważnienia papieża i jego legata. Jednakże inni poważni uczeni przeczą temu, i to opierając się na najnowszych badaniach archiwalnych. Ich zdaniem, król nie zatwierdził przedstawionych mu warunków, które wcale nie były tak korzystne, jak się zazwyczaj przyjmuje.

Nie kusząc się o rozstrzygnięcie kwestii, trudno jednak zrezygnować z uwagi, że łamanie najbardziej uroczyście zawartych układów jest w polityce nie tyle zjawiskiem wyjątkowym, co chlebem powszednim. W żaden sposób nie można więc uważać Władysława III za przestępcę. Sułtan znalazł się podówczas w trudnym położeniu, w jego własnym państwie wybuchły zamieszki na tle religijnym i ta okoliczność skłoniła stronę przeciwną do próby skorzystania ze sposobności.

W każdym razie zjazd koronny w Piotrkowie doznał gorzkiego rozczarowania. Zebrani szlachcice cieszyli się wieścią o zawartym z Turkami pokoju i zapowiedzią rychłego powrotu króla do kraju, a otrzymali z Węgier nieoczekiwaną wieść o nowej wojnie.

Władysław III podjął decyzję 4 sierpnia. Czyniono mu obietnice poparcia ze strony rozmaitych krajów oraz silnej floty chrześcijańskiej. Murad II przebywał za morzem, w azjatyckiej części państwa, gdzie zaprowadzał spokój. Okręty krzyżowców wcale mu nie przeszkodziły w przeprawie na brzeg europejski. Podobno Genuieńcy za pieniądze sami przewieźli armię turecką przez cieśniny. 9 listopada Murad zastąpił pod Warną drogę Władysławowi, odcinając mu odwrót.

Starcie nastąpiło nazajutrz, 10 listopada. Nosiło charakter bitwy o przebicie. Front wojsk królewskich zwrócony był na zachód, na zapleczu miał miasto Warnę i morze. Dowodził właściwie znakomity wódz węgierski Jan Hunyady, zwany przez Turków „Przeklętym Jankiem”. Jego wiedza i doświadczenie nieskończenie górowały nad królewskimi. Batalia mogła się zakończyć powodzeniem i otwarciem drogi odwrotu. Klęskę spowodował błąd Władysława, wynikły z krwi zbyt gorącej. Przywodził on bezpośrednio dwóm hufcom ciężkiej jazdy, w których wraz z Węgrami służyli wszyscy Polacy. Było to centrum linii chrześcijańskiej oraz rezerwa taktyczna, przeznaczona do rozstrzygającego ciosu. Jakoż pułki te przywróciły równowagę na prawym skrzydle, które Turcy rozproszyli. Ale w chwili kiedy Hunyady zaczął zwyciężać na lewym, uniesiony zapałem król nie czekał, poderwał swoje rycerstwo do szarży na wprost.

Co się z nim działo potem, o tym świadczyli tylko Turcy, bo nikt z chrześcijan więcej już Władysława nie zobaczył.

Miał przeciwko sobie wielki czworobok janczarów, którzy umocnili się i otoczyli wielbłędami, płoszącymi konie rycerstwa. Sam sułtan znajdował się wśród swej znakomitej piechoty i zanosił do Allacha głośnie modły. Wypadki rozegrały się błyskawicznie i nie jest pewne, czy janczarowie rozstąpili się, by tym pewniej oskrzydlić, czy też, wytrzymawszy uderzenie, otoczyli całe rycerstwo walcząc wręcz. Możliwe też, że odcięli tylko jego część. W każdym razie dokonawszy tego godzili przede wszystkim w konie.

Zwalonego na ziemię Władysława III zabił janczar imieniem Kodza Khizr. Odciętą głowę wbito na spisę i podniesiono nad pobojuwiskiem, obwołując: „Ta głowa jest głową króla!” Potem, dla zabezpieczenia przed zepsuciem, włożoną do garnka z miodem odesłano do Brusy, ówczesnej stolicy państwa tureckiego. Obmyta w rzece, znowu znalazła się na ostrzu dzidy i obnoszona była ulicami miasta. Ciało królewskiego nie odnaleziono nigdy. Grobowiec na Wawelu jest symboliczny, próżny.

Legat Cesarini marnie zginął w ucieczce, prawdopodobnie zabity na Dunaju przez przewoźnika, który połakomił się na kiesę kardynała. Opowiadano co prawda, że Turcy schwytali Cesariniego, zawiedli do Adrianopola i żywcem obdarli ze skóry. Ale to jest prawie na pewno bajka. Jan Hunyady wraz z niedobitkami dotarł na Węgry. Okazało się, że miał rację, kiedy ostrzegał króla przed tą wyprawą.

Cokolwiek się ujemnego powie o tym smutnym okresie dziejów, nic nie dotyczy chłopca, który padł ofiarą cudzych zaślepień, ambicji i żądy władzy. Tym bardziej tragiczny, że zupełnie daremny zgon Warneńczyka to jakby wczesna zapowiedź nieszczęść czekających Polskę na szlakach, które nie były jej własnymi drogami.



Kazimierz Jagiellończyk

1

Gdy na wiosnę 1440 roku Władysław III szykował się do wyjazdu, z Litwy nadeszła wieść o gwałtownym zgonie Zygmunta Kiejstutowicza. Należało przemyśleć położenie i powziąć decyzje. Odbywało się to w pośpiechu, po drodze na Węgry. Zgodnie z życzeniem Litwinów postanowiono wysłać do Wielkiego Księstwa trzynastoletniego Kazimierza, który pożegnawszy brata w Czorsztynie zaraz wyprawił się w kierunku Wilna, odprowadzany przez świetny orszak polski.

Miał zostać namiestnikiem królewskim, co określono zupełnie wyraźnie. Jednakże panowie rady litewskiej nie uznali tego warunku i obwołali młodszego Jagiellończyka wielkim księciem. Korona nigdy się na to nie zgodziła, ani razu nie umieściła wspomnianego tytułu w dokumentach, zowiąc Kazimierza „wybranym królem czeskim i księciem litewskim”. Rzeczywista sytuacja przedstawiała się jednak w ten sposób, że Litwa miała osobnego władcę. Na upartego można uważać unię za zerwaną. Jeśli tak było, to tylko w teorii. Pozostawał bowiem w mocy i nadal kształtował dzieje cały spadek po kilku ważkich dziesięcioleciach.

W grudniu 1444 roku zaczęli powracać do kraju ocaleni z pogromu rycerze, przynosząc wieści o Warnie i bezkrólewiu w Polsce. Nie dawano im pełnej wiary, bo brakło jednego chociażby naocznego świadka zgonu Władysława III. Nie było takiego również na Węgrzech ani w żadnym innym kraju chrześcijańskim. Co prawda, Turcy zaprosili do Gallipoli wysłannika floty weneckiej z cieśnin i pokazali mu głowę Warneńczyka, przechowywaną w skrzyni z bawełną. Była to jednak głowa o długich jasnych włosach, a wszyscy wiedzieli, że król był brunetem. Turecki *Pamiętnik janczara* podał później, iż zdjętą z głowy skórę wypchano bawełną, włosy zaś ubarwiono, ale tego nikt się podówczas nie domyślał. W kilkanaście lat po wypadkach pojawił się w Polsce osobnik podający się za ocalonego króla, a jeszcze w 1466 roku opowiadano o pewnym pustelniku hiszpańskim, w którym rozpoznano byłego monarchę Polski. Inne wieści wymieniały Portugalię jako miejsce jego dożywotniego schronienia.

Z Krakowa rozsyłano poselstwa, mające sprawdzić, jak się rzeczy naprawdę mają, i dopiero w kwietniu 1445 roku rada koronna postanowiła obrać królem przebywającego na Litwie Kazimierza. Wnioskodawcą był Zbigniew Oleśnicki. Musiały jednak upłynąć jeszcze dwa lata, zanim zamiar dał się wykonać.

Były to lata burzliwe i trudne, a to tym bardziej że do dawniejszych nieporozumień przyłączyły się całkiem świeże. Kazimierzowi wcale nie tak

łatwo przyszło umocnić się na Litwie, gdzie jego współzawodnikiem był syn zamordowanego Zygmunta Kiejstutowicza, Michał, zwany Michajłuszką, protegowany przez niektórych magnatów z Korony. Spór nie zaliczał się do błahych, spadały głowy zwolenników Michajłuszki. W 1443 roku, a nawet na początku następnego toczyły się walki Litwy z Mazowszem, którego omal nie wsparła orężem Polska, oburzona za spustoszenie przez Litwinów kilku powiatów pogranicznych. Zatarg dotyczył Podlasia. Konflikt został zażegnany właściwie tylko dzięki nadziejom na powrót Władysława III z Węgier. Tymczasem przyszło załatwiać sprawę spadku po nim.

Uroczyste poselstwo polskie, w którego skład wchodził kanclerz, dwaj biskupi (jednym z nich był Oleśnicki) oraz czterej wojewodowie, stanęło przed Kazimierzem w Grodnie w październiku 1445 roku. Wbrew oczekiwaniom książę znowu odroczył decyzję. Poprzednio czynił to przez swych wysłanników. Ostatecznej odpowiedzi przyrzekł udzielić w roku 1446.

Zanim doszło do przewidzianego zjazdu piotrковского, Wilno nawiązało tajne pertraktacje z... Malborkiem, gdzie wielkim mistrzem był Konrad von Erlichshausen. Zaproponowano mu przymierze ostrzem zwrócone przeciwko Polsce. Autorem pomysłu był, jak się domyślają historycy, stary Świdrygiełło. W odpowiedzi Krzyżak zaproponował Kazimierzowi, oczywiście potajemnie, osobiste spotkanie na rzecz Świętej. Jak widzimy, po Grunwaldzie, a zwłaszcza już po pokoju melneńskim, wszyscy kolejni władcy Litwy - Witold, Świdrygiełło, Zygmunt Kiejstutowicz i Kazimierz Jagiellończyk - widzieli w osłabionym i pozornie już dla Litwy niegroźnym zakonie krzyżackim pożytecznego partnera.

W danym wypadku układy z Krzyżakami były Wielkiemu Księstwu potrzebne jako przygotowanie atutu w sporze z Koroną. W sporze wprawdzie pokojowym, lecz dotyczącym spraw najbardziej istotnych.

Powołując Kazimierza na tron wielmoże polscy pozostawali wierni własnym zasadom ustalonym jeszcze za Jagiełły. Uznawali młodego władcę wybranym panem całej Korony Królestwa Polski, to znaczy Polski i Litwy razem, traktowanych jako jedno państwo. Ta koncepcja opierała się pod względem formalnym na poprzednich aktach unii, według których Wielkie Księstwo miało być do Korony przyłączone. W ramach tej koncepcji mieściła się również wspomniana już teoria, że Litwa nie może się od Polski odłączyć nawet w takim razie, jeśli na tron krakowski wstąpi przedstawiciel innej, nie litewskiej dynastii. Oczywiście, można wytaczać przeciwko tym pomysłom oskarżenia o zaborczość w czystej postaci. Lepiej jednak wyobrazić sobie położenie rządców państwa, w którego archiwach leżą spisane na pergaminie dokumenty, zawierające zupełnie konkretne przyrzeczenia, i które idąc po myśli tych układów poniosło wielkie ofiary na rzecz kontrahenta. Odwołując się znowu do pouczeń praktyki politycznej, można i należy mówić o potrzebie ugody, wybrania drogi pośredniej, Lecz niepodobna sobie wyobrazić zwyczajnej rezygnacji z takich widoków, przekreślenia niedawnej przeszłości. Na ogół biorąc, każde normalne państwo bardzo skrupulatnie wymaga wykonania wszy-

stkiego, co mu kiedykolwiek obiecano - nawet ustnie, cóż dopiero na piśmie! Polityk, który takich obietnic nie pilnuje, zazwyczaj oskarżany bywa o nieudolność, a czasem także o zdradę interesów własnego kraju.

Magnaci koronni postępowali według zupełnie normalnych kanonów, lecz zamysły ich nie nadawały się do urzeczywistnienia w pełni. Czym innym była Litwa w roku 1385 - słaba, zagrożona ze wszystkich stron, wewnątrz rozdartą kłótniami dynastów - czym innym w 1445, kiedy stała u szczytu potęgi, na razie bezpieczna zarówno od strony Krzyżaków, jak i Moskwy, o której ówczesnej słabości za chwilę obszerniej.

30 listopada 1445 roku odbył się wielki zjazd panów „Litwy, Żmudzi i Rusi”, który postanowił zupełnie i na zawsze wyodrębnić Wielkie Księstwo z Korony Królestwa Polski. Ale wielmoże nie byli jedynym czynnikiem decydującym na Litwie. Po wypowiedzeniu się magnatów koronnych z jednej, a litewskich z drugiej strony, miał jeszcze zabrać głos trzeci czynnik - dynastia, reprezentowana przez dorastającego męskich lat Jagiellończyka oraz jego matkę, królową Sonkę. Wypuszczenie Polski z rąk nie leżało w interesie tego rodu, który odchodząc z Krakowa tym samym zdegradowałby się w sposób dotkliwy. Przecież to korona polska, a nie mitra litewska zapewniła Jagiellonom poczesne miejsce w Europie. Już z działań Jagiełły wyraźnie przeziara postanowienie pozostania na Wawelu. Wolno chyba zwrócić uwagę na słowa dokumentu wystawionego przez tego monarchę w Horodle w roku 1413, mówiące o przyłączeniu Litwy do „**naszego** królestwa polskiego”.

I jeszcze jedna okoliczność wcale, ale to wcale nie bez znaczenia: w Wielkim Księstwie dokonywano zamachów na życie Kazimierza, i to podobno aż siedem razy. Wojewoda Jan Gasztold, który go początkowo ochraniał przed nożami stronników Michajłuszki, w niedalekiej przyszłości sam zacznie dążyć do odebrania władzy potomkom Olgierda.

Na zjazd koronny przybył do Piotrkowa książę Wasyl Drucki, zwany Krasnym, krewny królowej, i złożył następujące oświadczenie:

Że książę Kazimierz wstąpił na stolicę litewską nie jako rządcą od królestwa polskiego chwilowo i zastępczo zesłany, którego by wedle upodobania do rządów tego królestwa odwoływać można, ale jako prawy i przyrodzony księstwa litewskiego dziedzic, który je po przodkach swoich, wielkich kniaziach litewskich, słusznym prawem posiada i zupełną w nim dotąd sprawuje władzę.

Co do Polski - wywodził dalej książę Krasny - Kazimierz jej nie pragnie, lecz stanowczo nie radzi śpieszyć się z obiorem króla, gdyż wieści o śmierci Władysława nie są pewne. Na zakończenie padło zdanie o treści więcej niż ważkiej:

Panowie polscy koronni baczyć powinni przezornie, ażeby ze zbytecznego pośpiechu nie narodziły się wojny niebezpieczne, zwłaszcza że książę Kazimierz nie tylko nie byłby na to obojętny, ale, owszem, wielce czułby się obrażonym, gdyby bez jego rady i zezwolenia t r o n o j c z y s t y i rządy królestwa polskiego kto inny miał opanować.

Wkrótce potem sam Kazimierz powiedział posłom polskim jeszcze wyraźniej: „Gdyby kto [...] mimo jego woli usiąść chciał na polskim tronie, tego uważać będzie za swego wroga i postara się wszelkimi siłami, aby go strącić z niego i wygnąć.”

Strony zajęły zatem jasno określone pozycje. Korona chciała w y b r a ć Kazimierza na pana swego i Litwy, książę uznawał się za dziedzica nie tylko własnej ojcowizny, lecz także i krakowskiego tronu. Uważał go przecież za o j c z y s t y i - nie dając złapać się za słowo - pozwalał odgadywać, że go pragnie. Pozostawały dwie drogi do wyboru: wojna lub kompromis. Oleśnicki popierał kandydaturę Fryderyka Hohenzollerna i w razie jego wyboru Polska mogła w przyszłości zbrojnie upominać się o Litwę, zapisaną sobie aktami unii. Szlachta nie życzyła sobie rozwiązań skrajnych i warunkowo obrała królem Bolesława mazowieckiego, któremu sprzyjał i... Kazimierz. Nie dlatego że chciał go naprawdę widzieć na Wawelu. Sprzyjał mu chwilowo jako przeciwnikowi Hohenzollerna.

W 1446 roku, na zjazdach w Parczowie i Brześciu, zdecydowanie wkroczone na drogę kompromisu. 17 września Kazimierz Jagiellończyk przyjął koronę i uznał się w y b r a n y m królem Polski, ale zachował nienaruszoną d z i e d z i c z n ą władzę nad Litwą, uważaną odtąd za państwo zupełnie samodzielne, równorzędne z Polską. Tym samym traciły znaczenie wszelkie dawniejsze obietnice włączenia Wielkiego Księstwa w skład Korony, unia nie została jednak zerwana. Wręcz przeciwnie - nowe jej podstawy okazały się tak solidne, że wystarczyły na sto dwadzieścia trzy lata, dopóki nie uznano potrzeby zacieśnienia związku.

W wystawionym wtedy akcie mówił król: „Za jednomyślnym obustronnym postanowieniem, wolą i zgodą złączyliśmy, nakłoniliśmy i przywiedli Królestwo Polski i Wielkie Księstwo Litwy do braterskiego związku, chcąc być ich panem i rządcą” (ostatnie słowa brzmią po łacinie: „*volentes eorum esse dominus ac rector*”).

„Złączyliśmy, nakłoniliśmy i przywiedli...” - czyli, używając terminów raczej technicznych i nowoczesnych, doszliśmy do kompromisu. Umiejętność ich zawierania stanowi charakterystyczną cechę europejskiej kultury politycznej i dlatego postanowienia z 1446 roku, ogromnie ważne jako akt państwowy, są jeszcze bardziej znamienne jako objaw podnoszenia się poziomu umysłowego na tej połaci kontynentu. Dwadzieścia lat wcześniej Jagiełło nie potrafił znaleźć drogi pośredniej, co spowodowało godne pożałowania wypadki. Na naukę trzeba czasu.

Poprzednie roszczenia Korony w stosunku do Wielkiego Księstwa były daleko posunięte, lecz raczej tylko teoretycznie. W praktyce chodziło o utrzymanie związku państwowego oraz o Wołyń i Podole, które możnowładztwo polskie uznawało za swój teren ekspansji. Ziemie Litwy właściwej i dalekie kresy ruskie były tym wielmożom obojętne, zagarniać ich nie pragnęli. To oraz dobra szkoła polityczna sprawiły, że postępowanie Korony wobec Witolda, Zygmunta Kiejstutowicza, nawet Świdrygiełły było w zasadzie zawsze skłonne do jakiegoś porozumienia. Dynastia przejęła tę umiejętność, do czego skłaniało ją jej własne dobro.

Trzeba jak najmocniej podkreślić, że król, który na kompromisowe rozwiązanie przystał, władzy monarszej nie nadwątlił, lecz właśnie podniósł ją z upadku, w jakim się znalazła u schyłku rządów ojca i za tragicznego panowania brata.

Rok 1446 widział narodziny porządku wielce skomplikowanego, ale - jak dowiodła historia - całkowicie zdolnego do życia, nawet pomimo ciernia, który w postaci Wołynia i Podola tkwił w samym centrum monarchii jagiellońskiej. Nie da się jednym zdaniem określić stworzonej wtedy rzeczywistości. Była to unia personalna, gdyż oba państwa łączyła osoba wspólnego monarchy. Poprzestawanie na takim ustrojowym terminie niczego by jednak nie wyjaśniło, bo istniały silne związki rzeczowe, chociażby w postaci dokonanego już przejęcia urzędzeń koronnych przez Wielkie Księstwo, wspólnego uniwersytetu i arcybiskupstwa. Pełne poezji słowa o „braterskim związku” dopiero z biegiem czasu miały się coraz bardziej upodabniać do prawdy. W innym dokumencie obiecywał Kazimierz dążyć, „aby odtąd wspólnych mieli Polacy i Litwini przyjaciół i wrogów”.

W gruncie rzeczy dopiero on był twórcą, a co najmniej współautorem tej unii, która przetrwała stulecia.

Jakże to wszystko odległe od wyobrażeń nie wiadomo czemu przyjętych przez niektórych publicystów! Litwa wcale nie została oddana na pastwę pozbawionych sumienia feudałów koronnych. 2 maja 1447 roku, tuż przed swym wyjazdem do Krakowa, wydał Kazimierz zasadniczy przywilej, na który powoływano się przez wieki. Zatwierdzał i rozszerzał uprawnienia bojarstwa litewskiego, w dalszym ciągu biorąc wzory z Polski. Lecz głosił również:

Przyrzekamy i ślubujemy, że państw, czyli ziem naszego Wielkiego Księstwa, nie uszczuplimy, lecz że jak było w swoich granicach za przodków naszych, a w szczególności jak je dzierżył Aleksander Witold, nasz stryj, tak i my będziemy je trzymali, dzierżyli i ochraniali w całości i nienaruszone, a nawet za Bożą pomocą będziemy się starali je rozszerzyć.

Znaczyło to, że ziemie sporne - Wołyń i Podole - mają należeć do Litwy (w przyszłości rozwiązanie zatargu wypadło pośrednio: Litwa wzięła Wołyń, Korona Podole).

Inny punkt przywileju warował wszelkie godności w Wielkim Księstwie, zarówno świeckie jak duchowne, tylko dla jego autochtonów. Dopiero gdyby rodzimego kandydata zabrakło, można było obejrzeć się za cudzoziemcem, czyli - w praktyce - Polakiem.

Zwróćmy jeszcze uwagę na charakterystyczną okoliczność. Wasyl Drucki-Krasny, który z ramienia Jagiellończyka posłował do Korony w misji tak ważnej, był prawosławnym Rusinem.

Kazimierz IV został ukoronowany na Wawelu 25 czerwca 1447 roku. W siedem lat później pojął za żonę Elżbietę z Habsburgów, rodzoną siostrę Władysława Pogrobowca. Dla odróżnienia od innych niewiast tego imienia zapisanych przez historię zwie się ją „Rakuszą”, a tradycja nadała jej przydomek „matki królów”. Urodziła ich czterech: Władysława, Jana

Olbrachta, Aleksandra i Zygmunta, a ponadto dwóch niekoronowanych - świętego Kazimierza oraz Fryderyka, który nosił kapelusz kardynalski.

Elżbieta - wnuczka i córka cesarzy - jeszcze bardziej wzmogła ambicje dynastyczne i zachodnią orientację domu Jagiellonów, któremu służyła wiernie, bez zawodu. W Polsce cieszyła się szacunkiem. Spędziła w naszym kraju lat pięćdziesiąt i jeden, aż do śmierci nigdzie ani razu nie wyjeżdżając. Litwa nie była dla niej oczywiście zagranicą. Kiedy najstarsza z jej sześciu córek, Jadwiga, wyszła za księcia bawarskiego, trzeba było dodać świcie tłumacza, bo królowa nie rozumiała ani słowa po niemiecku (za to później tak posiadała ten język, że napisała w nim dzieje rodu męża). Była to zasługa matki, która opanowała naszą mowę i rozmawiała z córkami tylko po polsku. O synach się nie rozprawia, bo wychowywał ich Jan Długosz. Rakuszanka uczciwie traktowała swój tytuł królowej Polski, a znajomość polszczyzny była jej tym bardziej potrzebna, że małżonek znał tylko dwa główne języki swych rozległych dziedzin - polski i ruski. Nie jest bowiem pewne, czy umiał po litewsku. A przecież od roku 1440 do 1447 stale przebywał w Wielkim Księstwie, gdzie nikt z Polaków niczego mu nie narzucał. Wątpliwe zresztą, czy człowieka o takim charakterze można by było w ogóle do czegokolwiek zmusić.

Dalekie pokrewieństwo łączyło królową z Piastami. Jej prababka po kądzieli to Elżbieta Pomorzanka, kilkakrotnie wspomniana w poprzednim tomie wnuczka Kazimierza Wielkiego. Z biegiem czasu Jagiellonowie spolszczyli się najzupełniej, a dla samej przyjemności podkreślenia, jak dalece pojęcia przyrodnicze nie pasują do ludzi, trzeba przypomnieć, że nieliczne drobiny „krwi polskiej”, jakie płynęły w ich żyłach, przekazali im Piastowie za pośrednictwem... Luksemburgów i Habsburgów. (Włodzimierz Dworzaczek, autor znakomitej *Genealogii*, wydanej przez PWN w roku 1960, dowiódł, że wszystkie dziś panujące europejskie rody monarsze wywodzą się po kądzieli od Kazimierza Jagiellończyka, który miał wiele córek i dobrze je za mąż powydawał.)

Skoro omawiamy początek rządów tego monarchy, należy koniecznie rzucić okiem na jednego z uczestników ówczesnej polityki. Co prawda, z dwóch równorzędnych państw jagiellońskich obchodził on wyłącznie Litwę, Polsce był obojętny, jednakże związki pomiędzy Koroną a Wielkim Księstwem nie ograniczały się do osoby panującego. Pewna wspólnota wytworzyła się już na dobre, o czym w przyszłości najlepiej miały zaświadczyć właśnie stosunki z owym wschodnim partnerem.

Zapoczątkowana przez Wasyla I, Witoldowego zięcia, polityka ustępliwości, nawet ostentacyjnej pokory wobec Litwy, okazała się dla Moskwy błogosławieństwem. Syn i następca wspomnianego przed chwilą, Wasyl II, jesienią 1430 roku osobiście wyprawił się do Wilna na spodziewaną koronację dziada. Był to przejaw rozumnego postępowania - Wasyl II miał na Kremlu jaki taki spokój, dopóki żył Witold. Kiedy zabrakło potężnego protektora, rozpoczęły się niezwykle zacięte i okrutne walki o tron. Przeciwnikiem Wasyla był rodzony stryj, Jerzy Dymitrowicz, oraz jego synowie, Wasyl Kosy i Dymitr Szemiaka.

Wasyl II trzykrotnie tracił Moskwę i tyleż razy ją odzyskiwał. W 1436 roku ujął Kosego i kazał go oślepić, ale kiedy w dziesięć lat później,

wykupiwszy się za wielką sumę z niewoli tatarskiej, powrócił do stolicy, wpadł w ręce Szemiaki i sam utracił oczy. Odtąd przyrósł doń przydomek Ślepego. Kalectwo nie przeszkodziło mu w dalszej walce, w której wyniku 17 lutego 1447 roku opanował Moskwę ostatecznie.

Podczas tych niepokojów przybył mu nowy i dokuczliwy sąsiad. Pobity przez współzawodnika chan Uł Mechet zachował jednak dość siły, by uchodząc na północ znieść 5 grudnia 1438 roku pod Bielewem wojska moskiewskie i założyć chanat kazański. Dalsze walki przeciwko Tatarom przynosiły klęski, nawet wspomnianą już chwilową niewolę Wasyla.

W tych warunkach zatargi Litwy z Polską, spory o Wołyń i Podole, boje Świdrygiełły, długie pertraktacje o koronację Jagiellończyka przynosiły Moskwie oczywistą korzyść, skierowując uwagę potężnego sąsiada na zachód i powstrzymując go od wznowienia Olgierdowych pokuszeń o sam Kreml. Kryzys w stosunkach polsko-litewskich, rozpoczęty w latach 1426-1429, zakończył się dopiero w roku 1453, i to nie całkiem. W ramach tych dat - z okładem na obie strony - mieści się okres wojny domowej w Moskwie.

Nic nie świadczy o tym, by Kazimierz Jagiellończyk w ogóle myślał o wznowieniu polityki wschodniej dziada, Olgierda. Odnosił się do Moskwy w sposób wybitnie pokojowy. Chodziło mu o uregulowanie stosunków traktatem i uzyskanie możliwości całkowitego poświęcenia się innym sprawom. Granica Wielkiego Księstwa Litewskiego przebiegała wtedy niezbyt daleko od Tuły, z czym Moskwa mogła się godzić tylko w chwilach własnej słabości.

Wasył II ostatecznie pokonał współzawodników dzięki pomocy politycznej Kazimierza Jagiellończyka. Stronnicy Ślepego chronili się na Litwę, skąd w pierwszych miesiącach 1447 roku wyruszyli na decydującą wyprawę przeciwko jego wrogom. 31 sierpnia 1449 roku król zawarł z władcą Kremla traktat o wieczystym przymierzu. Główny rywal Kazimierza na Litwie, Michajłuszka, z uporem i po warcholsku popierany z Polski przez Oleśnickiego, zmarł w Moskwie, gdzie go Ślepy internował, unieszkodliwił, a podobno i otrul.

Jagiellończyk współdziałał z Moskwą przeciwko chanowi stepów czarnomorskich i Krymu, Sid-Achmetowi. Wskutek poparcia sprzymierzeńców wypłynął tam i wkrótce na dobre opanował Krym Hadzi Girej, założyciel nowej dynastii tatarskiej, która aż za wyraźnie zapisała się w polskiej historii i literaturze.

Moskwa wyszła z zamętu poniekąd nawet wzmocniona. Odzyskała wpływy w Wielkim Nowogrodzie i Pskowie, nowy metropolita moskiewski, imieniem Jona, został oficjalnie uznany za cerkiewnego przełożonego Rusinów zamieszkałych w granicach Litwy.

Wasył II żył i panował do 27 marca 1462 roku. Jego syn - Iwan III Srogi - rozpoczął zupełnie nowy rozdział dziejów Moskwy. Astrologowie od początku źle wróżyli panowaniu Kazimierza Jagiellończyka, bo koronacja odbyła się pod niefortunną - ich zdaniem - gwiazdą, w nieszczęśliwym dniu i godzinie (dodajmy przy okazji, że zgodnie z polską tradycją koronacji dokonywano zawsze w niedziele). Jednakże ponure przepowiednie nie sprawdziły się. Człowiek zwykły, zważający na fakty ziemskie, a nie na

ciała niebieskie, byłby nawet od razu skłonny raczej do optymizmu, widząc, że uroczystościom w katedrze wawelskiej asystuje stary matacz i buntownik Świdrygiełło, w tym czasie udzielny władca Wołynia, ostatni już żyjący syn Olgierda.

Wczesne lata panowania Jagiellończyka w całości poszły na twardą, nieustępliwą, z wielkim talentem prowadzoną walkę, której najgłębszą treść wolno określić jako obronę zasady kompromisu przeciwko skrajnym dążeniom po obu stronach, w Polsce i na Litwie. Oczywiście monarcha nie był sam. W Koronie wspierali go oddani mu panowie, niechętna magnackiej przewadze szlachta, a z prowincji zwłaszcza Wielkopolska. Znamienna dla tych dziejów jest sprawa zaprzysiężenia przywilejów koronnych. Król odkładał ją ciągle aż do roku 1453, ponieważ szukał takiego wyjścia, które by pozwoliło uniknąć drażnienia Litwy. Nieprzejednane skrzydło magnatów małopolskich żądało bowiem potwierdzenia dawnych obietnic włączenia Wielkiego Księstwa do Korony. Hasła te były jednak obce większości szlachty, która chciała samego tylko potwierdzenia praw, i Wielkopolsce, patrzącej na północ i zachód. Ostatecznie król postawił na swoim i żadnych przyrzeczeń obciążenia suwerenności czy granic Litwy nie dał.

W Koronie jego głównym wrogiem był wszechwładny do niedawna kardynał, w Wilnie zaś tamtejszy wojewoda Jan Gasztołd, zwany przez historyków litewskim Oleśnickim. Polski wielmoża żądał oddania Litwy wspomnianemu już Michajłuszce, to znaczy powrotu do starych metod wyznaczania osobnego księcia, podległego królowi. Gasztołd chciał w ogóle obalić Jagiellończyka i osadzić na tronie wielkksiążęcym Radziwiłła Ościkowicza.

W 1451 roku podczas zjazdu w Nowym Korczynie Oleśnicki spróbował starej sztuki. Wygłosił zuchwałe przemówienie, zarzucał królowi krzywoprzysięstwo wobec Michajłuszki, wznosił ręce do nieba i wołał:

niechaj więc krew niewinna, jaka z tej przyczyny może się wytoczyć, i wszystkie wyniki stąd nieszczęścia Bóg Wszechmogący nie na nas zwróci, ale na ciebie, który ojcowskie prośby i przestrogi z taką odrzuciłeś pogardą!

Jednak tym razem słuchaczem był nie osiemdziesięcioletni Jagiełło, lecz młody i twardy Kazimierz. „Żadna rada nie zdoła mnie do tego nakłonić, abym uczynił, o co mnie upominasz. Spadnie jeszcze niejedna głowa, nim książę Michał wróci do swego ojczystego dziedzictwa” - powiedział.

W dwa lata później zausznicy Gasztołda dokonali na Litwie zamachu na życie króla, który odniósł poważną ranę, lecz ocalał. Polityczną karierę Oleśnickiego załamała Warna. Magnat w szacie duchownej nie chciał jednak tego zrozumieć i jeszcze powiększał swe uroszczenia. Otrzymał kapelusz kardynalski zażądał dla siebie pierwszego miejsca w radzie królewskiej, a więc przed prymasem. Oburzyło to Wielkopolskę, zazdrosną o resztkę splendoru stołecznej ongi dzielnicy. Zatwierdzono pierwszeństwo prymasa i jego wyłączne prawo dokonywania koronacji, a ponadto król orzekł, że w przyszłości nikt z Polaków nie może bez zgody monarchy

przyjmować godności kardynalskiej.

Następna rozgrywka miała przebieg niezwykle. Podczas zaślubin Kazimierza z Elżbietą wynikł spór, kto ma dopełnić ceremonii prymas czy Oleśnicki. Przyjęto rozwiązanie kompromisowe, powierzając zaszczytny obowiązek legatowi papieskiemu, Janowi z Kapistranu. Przyszły święty zaraz zastrzegł, że zgodzi się tylko pod warunkiem uzyskania pełnomocnictwa od kardynała. W ostatniej chwili - już na stopniach ołtarza! - ujawniła się nowa trudność. Kapistran nie umiał po polsku, rusku ani po niemiecku, był więc niezdolny do zadania nowożeńcom sakramentalnych pytań. Wobec tego ślubu udzielił jednak Oleśnicki. Jan Kapistran od trzech lat gorliwie działał w Czechach i w Polsce, a wszędzie jego łacińskie kazania tłumaczono ludowi na język czeski, polski lub niemiecki. Podstęp, którego dokonano przed wielkim ołtarzem katedry wawelskiej przeciwko prymasowi Polski i przy okazji udzielania sakramentu, rzuca ciekawe światło na pobożność ludzi średniowiecza. Zwłaszcza jeśli się pamięta, kto ów podstęp uknuł i w czyn wprowadził.

Pełna patetycznych scen, malownicza rozprawa z Oleśnickim w niczym nie przekraczała normalnej miary sporów z magnatami, odbywała się bez przelewu krwi. O wiele groźniej się zapowiadał i drożej kosztował spór o Wołyń. Można się niewesoło zadumać nad właściwościami natury ludzkiej, widząc, jakimi nieszczęściami groziła i jakim korzyściom przeszkadzała klótnia o trzy powiaty, które nie były litewskie czy polskie, lecz ruskie.

Od dawna wlokący się zatarg wstąpił w krytyczną fazę, gdy 10 lutego 1452 roku umarł Świdrygiełło i Wołyń przekazany został Litwie. Było to zgodne z przywilejem Kazimierza z roku 1447, gwarantującym całość granic Wielkiego Księstwa, ale sprzeczne z interesami możnowładztwa małopolskiego oraz ruskich magnatów z Rusi Czerwonej. W tej ostatniej dzielnicy od razu narodził się pomysł wojny, która z początkiem następnego roku zaczęła zagrażać. Miało ją prowadzić pospolite ruszenie województw małopolskiego, sandomierskiego, lubelskiego i ruskiego. Niebezpieczeństwo zostało zażegnane dzięki Wielkopolsce, która na zjeździe w Kole opowiedziała się przy królu. Dołożono starań - a uczyniła to sama szlachta - by nie zabrakło przedstawicieli Kujaw, Dobrzynia i Krajny, zapatrujących się na Wołyń jak na odległą egzotykę.

Bez porównania bardziej niebezpieczne i obfite w niedobre skutki były poczynania magnatów litewskich, którzy domagali się od lawirującego z konieczności króla wypowiedzi wyraźnej, a ponadto przynajmniej jeśli chodzi o Gasztołda i jego stronników - chcieli przy okazji powołać nowego panującego i wypchnąć Jagiellończyka z ojcowizny. Na wiosnę 1453 roku odbył się wspomniany już zamach na życie króla. Wtedy też spadły na Ruś koronną trzy najazdy Tatarów zawołańskich Sid-Achmeta. Sprowadził ich Gasztołd, działając za pośrednictwem Radziwiłła. Nie rozwodząc się już nad zniszczeniami (Tatarzy nie oszczędzili i Wołynia, który otrzymał rozkaz niestawiania im oporu), trzeba wspomnieć o trwałych rezultatach tych posunięć.

Tradycyjnymi sprzymierzeńcami Litwy byli Tatarzy krymscy, gdzie właśnie dochodził do głosu Hadzi-Girej, założyciel nowej dynastii. Tymczasem Gasztołd wszedł w porozumienie ze śmiertelnym wrogiem

Krymu, Sid-Achmetem. To był początek rozdźwięków, które sprawiły, że w niedalekiej przyszłości ród Girejów miał stanąć w rzędzie najzjadlejszych wrogów państwa Jagiellonów. Na razie Hadzi-Girej postępował lojalnie wobec Kazimierza, pochwycił nawet Radziwiłła i zabrał mu podarki przeznaczone dla Sid-Achmeta, którego pobił i zmusił do szukania schronienia na Litwie.

Ze względu na nadchodzące wypadki najgorzej przedstawiały się jednak zabiegi Litwy o pomoc Krzyżaków. Do Prus jeździły z Wilna poselstwa uzalające się przed wielkim mistrzem i proponujące wspólne akcje. Zagrożony we własnym państwie Ludwik von Erlichshausen postępował oględnie. Żywił jednak nadzieję, że przychylne Zakonowi stanowisko Litwy powstrzyma Koronę od wiszących wprost w powietrzu decyzji.

Późną jesienią 1453 roku Wilno zaczęło szykować się do wojny. Ponieważ przygotowania objęły całe Wielkie Księstwo, Malbork poczuł się poważnie zaniepokojony. Wyjaśniono jednak wielkiemu mistrzowi oraz komturowi Kłajpedy, że gromadzone siły mają posłużyć przeciwko Polsce.

U samego schyłku tego burzliwego roku wystąpił trzeci, najbardziej do zabierania głosu powołany czynnik. Litwini wykryli spisek panów wołyńskich, którzy pragnęli przyłączyć swój kraj formalnie do Korony, a w rzeczy samej do Rusi Czerwonej. Te dwie dzielnice jednoczyła wszak spójnia najzupełniej naturalna - obie były ruskie, ongi żyły razem pod berłem Romanowiczów. Granica państwowa między nimi była tworem sztucznym. Więzionym w Wilnie przywódcom spisku nie stało się nic złego, bo zapobiegł temu sam król.

Wołyńianom dobrze się wiodło pod rządami Świdrygiełły, kiedy w ramach państwa jagiellońskiego stanowili udzielne księstwo i o ile warunki pozwalały - byli panami we własnym domu. Nie zależało im na panowaniu ani polskim, ani litewskim. Dobra, godności i urzędy chcieli zachować dla siebie. Oczywiście nie pragnęli wojny, na którą się akurat zaniósł, tym mniej najazdów tatarskich. Ich wystąpienie, podyktowane typowym dla średniowiecza partykularyzmem dzielnicowym, odegrało dodatnią rolę, ponieważ ostudziło nadmierne zapęły.

Groźny rok 1453 zakończył polsko-litewski spór o Wołyń. Stało się to nagle i w takiej tajemnicy, że nawet Oleśnicki i Długosz, szperacz nie lada jaki, nie mieli dokładnych wiadomości. Zagadkę rozwikłały dopiero gruntowne studia profesora Oskara Haleckiego.

W kwietniu 1454 roku król wyruszył na zjazd panów litewskich do Brześcia nad Bugiem, biorąc ze sobą trzech przedstawicieli Korony. Byli to: kasztelan krakowski Jan z Czyżowa, wojewoda krakowski Jan z Tęczyna i podkanclerzy Piotr Woda ze Szczekocin. Już to dowodzi pojednawczości, że zgodzili się przekroczyć granicę królestwa i obradować na Litwie. Według profesora Haleckiego w Brześciu strona koronna zrzekła się Wołynia na korzyść Litwy, a tajemnicę zachowano, by nie jątrzyć elementów skrajnych.

Teza uczonego wydaje się tak prawdopodobna, że trzeba ją uznać za pewnik. Ostra faza sporów skończyła się, jak nożem uciął, przez wiek przeszło o żadnych zatargach w sprawie Wołynia nie było już słyhać, zachodnie Podole pozostało przy Polsce. Kompromis do którego wytrwale

dążył Kazimierz Jagiellończyk, był zatem osiągnięty.

Wynik obrad w Brześciu zasługuje na najpilniejszą uwagę jako objaw znamieny dla poziomu myśli politycznej w królestwie. Korona wyrzekała się Wołynia, ponieważ rozpoczynała wojnę o ujście Wisły. Uroszczenia magnackie schodziły w cień wobec nadrzędnego dobra państwa i narodu. Do Brześcia zabrał król trzech wielkich panów z Małopolski i oni właśnie, a nie kto inny, zgodzili się na ustępstwo, które jak najlepiej świadczy o Polsce XV wieku.

2

Na cztery miesiące przed zjazdem brzeskim, w styczniu 1454 roku, stanęli przed królem w Sandomierzu wysłannicy Związku Pruskiego, prosząc pomocy. Kazimierz odroczył decyzję, zażądał przybycia wielkiego poselstwa, które pojawiło się w Krakowie w lutym, na samą uroczystość zaślubin monarchy z Elżbietą Habsburg.

Organizacje niezadowolonych poddanych miały długą historię w państwie zakonnym. Początek dało słynne Towarzystwo Jaszczurcze, założone jeszcze w XIV wieku i istniejące jawnie, lecz nie bez skrytych celów. Członkowie jego sprawili, że pod Grunwaldem niektóre chorągwie krzyżackie były się miękko i złożyły broń. Wielki mistrz Henryk von Plauen zemścił się później na spiskowcach. Kazał ściąć bez sądu podstępnie zaproszonego do zamku gdańskiego założyciela Towarzystwa, Mikołaja Ryńskiego, oraz jego towarzyszy rycerzy: Konrada z Ropkowa i Janusza Orzechowskiego, mieszczan gdańskich Piotra Necko i Bartłomieja Grossa. Odmówiono im ostatniej spowiedzi, a ciała zakopano w gnoju.

Potem Towarzystwo Jaszczurcze nie przejawiało już żywszej działalności, ale członkowie jego stanowili zapewne komórkę kierowniczą w założonym w 1440 roku jawnym Związku Pruskim, jednoczącym rycerstwo i miasta. Akt związkowy zaprzysiężono w Kwidzynie. Pomimo istniejącej granicy państwowej ziemie poddane Zakonowi ciążyły ku Polsce i zrastały się z nią. Sprzyjały temu zarówno względy narodowe, jak społeczne i gospodarcze. Sprawy kultury też nie były bez znaczenia, bo wielu młodych ludzi z Prus studiowało w Krakowie. Charakterystyczne dla ówczesnej Europy nastroje wrogości wobec świeckich uroszczeń kleru siłą rzeczy musiały się zwracać i przeciw państwu zakonnemu.

Od czasu zawarcia pokoju „wieczystego” z Polską (1435 rok) Krzyżacy znajdowali się poniekąd pod kontrolą własnych poddanych, a wielcy mistrzowie dążyli naturalnie do zmiany tego położenia. Konrad von Erlichshausen postępował oględnie, starając się rozbić Związek Pruski od wewnątrz, poróżnić ziemian z mieszczanami. Jego bratanek i następca, Ludwik, poczynał sobie o wiele ostrzej, zabiegając o pomoc papieża i cesarza. Za pośrednictwem Rzymu usiłowano narzucić metropolitom gnieźnieńskim i w ogóle biskupom polskim przysięgę, że nie będą popierali Związku. W 1450 roku legat Ludwik de Silves uznał związkowców za wykłetych, a w trzy lata później cesarz, Fryderyk III, orzekł całkowite skasowanie organizacji oraz skazał na śmierć trzystu jej uczestników. Tak

więc wbrew postanowieniom pokoju „wieczystego” Krzyżacy znowu sięgali po pomoc Zachodu i znajdowali ją wcale łatwo. Na drugim skrzydle asekurowali się porozumieniami z Litwą, pokładając w nich duże nadzieje.

Związkowcy nie uznali postanowienia cesarskiego i odwołali się o pomoc do Polski, z którą już od roku 1452 utrzymywali ścisłą styczność. Ze strony królestwa najczynniej wtedy działali tacy ludzie, jak kanclerz Jan z Koniecpola, podskarbi Hińcza z Rogowa, wojewodowie Mikołaj z Szarleja i Łukasz Górka, prymas Władysław z Oporowa. Koniecpolski osobiście jeździł nawet do Torunia, gdzie pod pozorem kuracji porozumiewał się ze sprzysiężonymi. Akcji polskiej ogromnie przeszkadzała opozycja ze strony Oleśnickiego, ale już w lipcu 1453 król wyraźnie opowiedział się po stronie Związku.

Zanim monarcha podjął ostateczną decyzję, a raczej zanim oficjalnie o niej ogłosił, 4 lutego 1454 roku rozpoczęło się w całych Prusach powstanie, i to tak skuteczne, że Krzyżacy utrzymali się tylko w Malborku, Sztumie i Chojnicach. Wszystkie inne miasta uwolniły się od nich. W Gdańsku, Elblągu, Toruniu oraz Królewcu zamki komturów dosłownie przestały istnieć, zostały zrównane z ziemią. Po niezwykle potężnej fortecy gdańskiej przetrwały tylko fundamenty, odnajdywane dziś przez archeologów. Dokonali tego mieszczanie, którzy dobrowolnie szli pod berło króla polskiego, ale ośrodek władzy miejscowej na wszelki wypadek woleli zburzyć. Nie chcieli mieć nad sobą nikogo z wyjątkiem samego monarchy.

W Brodnicy komtur tamtejszy, nie chcąc kapitulować przed pogardzanym pospólstwem, poddał zamek polskiemu wojewodzie, Janowi z Kościelca.

Tylko dwaj ludzie w radzie koronnej opowiedzieli się przeciwko udzieleniu pomocy Prusom, a więc tym samym przeciwko odzyskaniu ujścia Wisły. Byli nimi: kardynał Zbigniew Oleśnicki oraz biskup włocławski Jan Gruszczyński. Ten ostatni w zasadzie należał do zwolenników króla i oddał mu potem duże usługi, a został widocznie na krótko pozyskany przez Krzyżaków jakimiś doraźnymi koncesjami. Pomorze Gdańskie politycznie należało wtedy do Krzyżaków, pod względem kościelnym podlegało biskupom z Włocławka.

Za przychylnym wysłuchaniem prośby Związku o pomoc pierwszy przemówił Jan z Czyżowa, kasztelan krakowski, najwyższy świecki dostojnik Korony, ten sam człowiek, który miał wkrótce pojechać do Brześcia godzić się z Litwinami. Cała reszta rady królewskiej poszła za jego zdaniem i 22 lutego 1454 roku Polska wypowiedziała Zakonowi wojnę.

Jan Bażyński stał na czele poselstwa Związku Pruskiego i prawił do króla w ten sposób:

udajemy się do Majestatu twego z prośbą, abyś nas raczył przyjąć za twoich i królestwa twego wieczystych poddanych i hołdowników i wcielił na nowo do królestwa polskiego, od którego jesteśmy oderwani. Poddajemy się dobrowolnie i z posłuszeństwem pod twoją zwierzchność i rządy.

A oto fragmenty odpowiedzi królewskiej:

Kazimierz, z Bożej łaski król polski, wielki książę litewski i dziedziczny pan Rusi [...] postanowiliśmy: rzeczone rycerstwo, miasta, ziemian i wszystkich mieszkańców ziem pruskiej, chełmińskiej, królewieckiej, elbląskiej i pomorskiej, położonych na lądzie i morzu, a chętnie, dobrowolnie i z wszelkim poddających się posłuszeństwem, pod naszą opiekę, władzę i rząd przyjmując. Jakoż brzmieniem niniejszego pisma [...] bierzemy i przyjmujemy, ziemie i państwa wyżej pomienione królestwu polskiemu przywracamy, z nim jednoczymy, do niego włączamy i wcielamy, z prawem uczestnictwa wszelakich korzyści, praw, swobód i nadań [...] Wszystkich biskupów, rycerstwo, ziemian, miasta i mieszkańców ziem rzeczonych równamy co do praw, stanu i własności z mieszkańcami królestwa polskiego [...] a nadto obdarzamy ich tym dobrodziejstwem, że urzędy i godności dotąd w tych krajach zwyczajne i na potem utrzymane będą, a zamki i dzierżawy miast i majątków w pomienionych ziemiach nie obcym i cudzoziemcom, ale tylko rodowitym krajowcom wypuszczać się mają.

Panowanie króla polskiego nie przynosiło niwelacji, nie naruszało odrębności ojcowizny pruskiej, drogiej jej mieszkańcom. Tylko dzięki takim sposobom Polska ówczesna przyciągała do siebie sąsiadów.

W odzyskanych i przyłączonych ziemiach utworzył król cztery województwa, a mianowicie gdańskie, elbląskie, toruńskie i królewieckie, powierzone miejscowym obywatelom. Zwierzchnikiem, gubernatorem całości nazaczył Jana Bażyńskiego, przewodniczącego poselstwa Związku Pruskiego.

Wśród wielu przyrzeczeń monarszych mieściło się jedno odnoszące się do prastarego i teraz już zupełnie zapomnianego prawa, lecz właśnie dlatego godne wzmianki. Kazimierz obiecał nie przywłaszczać sobie wraków okrętowych ani pochodzących z nich łupów, oddawać to wszystko właścicielom statków lub ich krewnym. Przez całe średniowiecze obowiązywało bowiem w całej Europie tak zwane *ius naufragii*, którego mocą co tylko pochodziło z rozbitego okrętu, a więc zarówno towary, jak ludzie, stawało się własnością mieszkańców wybrzeża. Z biegiem czasu przywilej ów został zastrzeżony wyłącznie dla monarchów, którzy w drodze łaski mogli nim obdarzać innych. Na przykład w XIII wieku klasztor w Oliwie wykonywał to prawo od Gdańska po Puck.

Wiosna 1454 roku zapowiadała niebywały i ostateczny triumf. W maju „wstąpiwszy na majestat wśród rynku miasta Torunia ustawiony i świetnie przyozdobiony, sam mając na sobie kapę i wszystkie znamiona dostojności królewskiej”, przyjmował Kazimierz hołd swych nowych poddanych. Zakończenie uroczystości odbyło się w kościele Św. Jana, gdzie powstał taki tłok ludu, że sam król ledwie się dostał do środka. To samo nastąpiło potem w Elblągu. Królewiec też pragnął powitać u siebie Jagiellończyka, ponieważ jednak okazało się to niemożliwe, demonstracyjnie oddano najwyższe honory kanclerzowi Janowi z Koniecpola, który wystąpił jako osobisty przedstawiciel monarchy.

W lipcu przybyli do Torunia wysłannicy papieża i sejmu Rzeszy

Niemieckiej z żądaniem oddania Prus Zakonowi i obrócenia oręża polskiego przeciwko Turkom. Otrzymali odpowiedź odraczającą decyzję. Królowi i radzie zależało na zyskaniu czasu, z Niemiec nadchodziły bowiem wieści o werbunku wojsk najemnych na pomoc Krzyżakom. Wielki mistrz pozaciągał w tym celu pożyczki, a prosto z Krakowa ruszył na zachód podskarbi Zakonu, wioząc ogromną sumę poprzednio bezskutecznie przeznaczoną na przekupywanie Polaków.

Wojska królewskie zdobyły Sztum, broniły się już tylko Malbork i Chojnice.

W tym czasie przybył do Kazimierza wysłannik od Oleśnickiego, który usilnie doradzał królowi nie iść w pole „bez starego i doświadczonego rycerstwa” i bez drużyny nadwornej. „Rzeczony kardynał - pisze Długosz - lubo przeciwnym był rozpoczynaniu wojny pruskiej, wszelako, kiedy już do niej przyszło, nie chciał opuszczać sprawy krajowej.”

Opozycja Oleśnickiego wynikała z rozmaitych powodów, wśród których wcale nie ostatnim był lęk magnata przed pospolitym ruszeniem szlachty. Doświadczony polityk przewidywał, że zwykłe rycerstwo - uzbrojone i zebrane tłumnie - natychmiast wystąpi z żądaniami naruszającymi dotychczasową potęgę możnowładztwa, że - słowem zmartwychwstanie ruch krwawo stłumiony pod Grotnikami. Lecz z czysto wojskowego punktu widzenia kardynał miał słuszość, a wspomniany list był jednym z ostatnich jego czynów. Zbigniew Oleśnicki zmarł w roku 1455.

We wrześniu, zostawiając na zapleczu oblężony Malbork, ruszył król pod Chojnice, przez które wiodła droga z Niemiec do Prus. Szło z nim pospolite ruszenie województwa wielkopolskiego i kujawskiego. Niedaleko od Chojnic, w obozie pod wsią Cerekwicą 15 września 1454 roku szlachta wysunęła żądania polityczne, bez których spełnienia nie chciała iść dalej. Król nie mógł się ociągać, a zresztą nie miał po temu zbyt wielu powodów. Polityczne wystąpienie zwykłego, to znaczy średniego i drobnego ziemiaństwa niewątpliwie wspomagało monarchę w jego walce z możnymi. Przybywał nowy czynnik polityczny, mogący być w przyszłości wyzyskany jako punkt oparcia dla władzy centralnej. Kazimierz obiecał więc nie zwoływać pospolitego ruszenia i nie nakładać nowych podatków bez zgody zjazdów, czyli sejmików ziemskich.

Pertraktacje obozowe pod Cerekwicą zyskały złą sławę, ponieważ znalazły się w cieniu tego, co zaszło w trzy dni później pod Chojnicami. Polacy ponieśli tam ciężką klęskę w starciu z oddziałami ciągnącymi z Niemiec, tym boleśniej, że zadana przez siły o połowę przeszło słabsze pod względem liczebnym.

Kazimierz Jagiellończyk nie odziedziczył po ojcu talentu wojskowego i był tylko osobiście odważny, dowodzić nie umiał. Pod Chojnicami nie dowodził właściwie nikt, bo król wyznaczył aż czterech wojewodów, równorzędnych i równie nieudolnych.

Od czasu reform wojskowych Kazimierza Wielkiego upłynęło sto lat, podczas których nikt nie zatroszczył się o dalsze udoskonalenia. Co było dobre jeszcze pod Grunwaldem i Koronowem, całkowicie zawiodło pod Chojnicami. Pospolite ruszenie szlacheckie starło się tam z zawodowym żołnierzem zaciężnym i przegrało na głowę.

Klęska przyniosła natychmiastowe i fatalne skutki. Nie powiodło się obleżenie Malborka, Zakon zaczął odzyskiwać stracone pozycje. Jeśli na wiosnę 1454 roku poddało się królowi pięćdziesiąt sześć miast pruskich, to u schyłku roku następnego pozostało mu ich tylko trzydzieści trzy. 25 marca 1455 Krzyżacy wznieśli bunt w Królewcu i opanowali go, pomimo że dzielnica Knipawa broniła się przed nimi jeszcze długo. Władza polska trwała w Królewcu jeden jedyny rok. Błyskawiczny triumf, który zapowiadała promienna wiosna 1454 roku, przemienił się w wojnę trzynastoletnią, zakończoną sukcesem, lecz tylko częściowym.

Powstanie w Prusach, Chojnice... wszystko to działo się w dziesięć zaledwie lat po Warnie. Krocie tysięcy dukatów i florenów, karygodnie zmarnowane na politykę w imię ideologii, usłałyby królestwu równą i krótką drogę na całe wybrzeże aż po ujście Niemna. Skarb koronny był pusty, brakło pieniędzy na wojsko zaciężne, którego potrzebę doskonale w Polsce rozumiano. Kazimierz musiał zabiegać o podatki nadzwyczajne, chętniej uchwalane przez Wielkopolskę, brać klejnoty kościelne, na co łatwiej godzili się biskupi tejże prowincji. Sytuację ratowało, że wielki mistrz też był bankrutem.

Miał pieniądze Gdańsk i używał ich, ale kazał sobie płacić nowymi przywilejami, które zaczęły sięgać tak daleko, że władza króla nad ujściem Wisły mocno ucierpiała. W 1455 roku sejm obozowy głosami samej średniej szlachty nałożył podatek na duchowieństwo, dotychczas całkowicie wolne od tego rodzaju obciążeń na rzecz państwa. Tak w czasie walki o Pomorze i pod naciskiem wyższej konieczności po raz pierwszy przejawiała się dodatnia tendencja, która w stuleciu następnym znajdzie wyraz pełny i głośny, ale do pożądaných skutków nie doprowadzi.

Związek Pruski był słabiej zakorzeniony we wschodniej części kraju, tej właśnie, co ostatecznie została przy Krzyżakach. Spójrzmy tylko na mapę, a od razu zobaczymy jej fatalne podówczas położenie strategiczne. Litwa mogła zupełnie łatwo zapobiec zmartwychwstaniu władzy Zakonu nad tą ziemią, zamieszkaną wszak częściowo przez jej własnych pobratymców. Królewiec zburzył zamek komtura i poddał się Jagiellończykowi. Wystarczyło rękę wyciągnąć... Chojnice stworzyły znakomitą sposobność wcielenia wschodniej części Prus bezpośrednio do Wielkiego Księstwa bez oglądania się na ewentualne protesty osłabionej Polski.

Litwa się w ogóle nie ruszyła, poprzestając jedynie na nieprzepuszczaniu posiłków inflanckich na zachód. W obozie królewskim znajdowały się najwyższej nieliczne rotty nadworne litewskie, coś w rodzaju gwardii przybocznej. Trudno to uważać za udział w wojnie. Korona sama łamała się z Krzyżakami o Bałtyk i... wspólną przyszłość.

Poprzednie odstąpienie Wołynia zapewniło spokój na wschodzie, lecz podczas tej wojny niektórzy magnaci litewscy wcale nie wyrzekali się myśli o zbrojnym uderzeniu na Polskę, a to w celu odebrania jej zachodniego Podola. Rządzący Wielkim Księstwem możnowładcy myśleli wtedy wyłącznie o programie „granic Witoldowych”, to znaczy o zdobyczach na wschodzie i południu.

Należy stronić od przesady, ale naprawdę niełatwo wskazać w dziejach europejskich drugi przykład takiej pomyłki i takiego prymitywizmu

myślenia politycznego. Uganiać się za krymskimi mirażami, grozić sprzymierzeńcowi wojną o odległe Podole i wykazywać całkowitą obojętność wobec losów pobrzeży dolnego Niemna, głównej rzeki litewskiej!

Raz jeszcze powtórzmy prawdę podstawową: od chwili zawarcia pokoju melneńskiego w roku 1422 unia przestała się liczyć jako oręż w walce z Zakonem. Wielki mistrz Ludwik von Erlichshausen, umysł i charakter słaby, słusznie jednak rachował na przychylność magnatów litewskich. Oszczędzili mu oni lekkiego szturchnięcia, które by go od razu położyło na obie łopatki. Knipawa, dzielnica Królewca, długo się broniła nie mając znikąd pomocy. Do najbliższego punktu granicy litewskiej było jakieś sto dziesięć kilometrów. Biorąc pod uwagę ustępstwa na Żmudzi, czynione Krzyżakom od czasów Mendoga, wyniki wielkiej wojny, Melno i wojnę trzynastoletnią wolno twierdzić, że Litwa w ogóle nie miała zrozumienia dla spraw morza. Cały jej wysiłek był skierowany na ekspansję lądową.

Wojna trzynastoletnia odchyła na chwilę zasłonę pozorów i pozwala na ocenę prawdziwego stanu rzeczy w państwach jagiellońskich. W Koronie Kazimierz był królem obranym, musiał się liczyć z mnóstwem czynników - radą, zjazdami, szlachtą, z jej przywilejami, nie mówiąc już o prawie, odwiecznie spisany i o jeszcze starszym zwyczaju. Mimo to mógł prowadzić politykę rzeczywistą. Nie miał żadnej możliwości skłonienia do tego Litwy, której był dziedzicznym panem. Przemocną rolę grał sam charakter obu państw, ich najzupełniej różna tradycja historyczna. Koronie kazała ona walczyć o cele całkiem realne, Litwie o mocarstwowe efemerydy, które przysły, gdy tylko Moskwa okrzepla i poruszyła się z energią.

Określenia ogólnikowe, takie jak elekcyjność czy dziedziczność tronu, skłaniają do sądów zbyt uproszczonych, gdy tymczasem ważny jest stan faktyczny, a nie nazwa. Korona - razem ze swym skomplikowanym, wolnościowym ustrojem - była w XV wieku państwem z prawdziwego zdarzenia i długo jeszcze zachowała ten charakter.

Nadane w Cerekwicy przywileje zostały rozszerzone u schyłku roku na całą Koronę. Stało się to w Nieszawie, gdzie wydano dwa akta, dla Wielkopolski i Małopolski osobno. Tenor ich był w zasadzie ten sam: bez zgody sejmików ziemskich król nie może zwoływać pospolitego ruszenia ani nakładać nowych podatków.

Postanowienia te stały się niezmiernie ważnym etapem na drodze dalszego rozwoju parlamentaryzmu polskiego. Szlachta musiała radzić (przede wszystkim nad podatkami, bo pospolite ruszenie stanowiło przeżytek i w tamtej wojnie powołano je po raz ostatni w roku 1461; nie skasowano go jednak i anachronizm trwał, przeszkadzając wytworzeniu nowszych form obrony). Poszczególne prowincje zaczęły więc zbierać się na sejmyki generalne - Wielkopolska w Kole, Małopolska w Korczynie. Rozwijało to, udoskonalało tradycję dawnych zjazdów prowincjonalnych, o których się już wspominało. Później przedstawiciele, posłowie sejmików niższego stopnia, ziemskich, utworzyli izbę poselską sejmu walnego, dawna zaś rada koronna przetworzyła się w izbę wyższą, zwaną senatem. Ale to wszystko wykrystalizowało się ostatecznie dopiero za następnymi

królów. Panowanie Kazimierza Jagiellończyka oglądało proces żywej fermentacji, poszukiwania właściwych form.

Uzyskane wtedy przez szlachtę przywileje wcale na potępienie nie zasługują i o żadnych skłonnościach do anarchii nie świadczą. Rozszerzanie i określanie uprawnień społeczeństwa to czynność z reguły pożyteczna, tylko takie dzieje zasługują na szacunek, które tej czynności sprzyjają. Wielka Brytania od wieków już znała zasadę, iż żaden Anglik nie może być zmuszony do płacenia podatków, w których uchwaleniu nie uczestniczyli wybrani przezeń przedstawiciele. U nas i na Węgrzech pierwotna forma sejmów utrzymała się na przełomie XIV i XV wieku w postaci stałych zjazdów dorocznych. W Czechach stało się to wcześniej, bo już w pierwszej połowie XIV stulecia. Żle zaczyna się dziać dopiero wtedy, kiedy część, a czasem mała część społeczeństwa uznaje i ogłasza siebie za cały naród, podstawia się niejako na jego miejsce, garnąc prawa na swój wyłączny użytek.

Za Kazimierza Jagiellończyka istotnie nastąpiło zwichnięcie równowagi społecznej w Polsce, ale wynikało ono nie z przywilejów danych szlachcie, lecz z zaniedbania sprawy miast. Ich katastrofa znalazła widomy wyraz w wydarzeniach tragicznych, jakby przez samą historię skomponowanych po literacku. Zanim do nich przejdziemy, jeszcze parę wiadomości o dalszym przebiegu wojny trzynastoletniej. Wymaga tego szacunek dla chronologii.

Walka toczyła się ospale, po obu stronach rychło wystąpiły objawy wyczerpania. Zdobycami Polski zachwiała klątwa papieska rzucona na Związek Pruski. W królestwie biskupi jej nie uznali, ale w Prusach efekt był szkodliwy, tekst ekskomuniki przybijano na drzwiach kościołów i na wielu to oddziaływało. Część duchowieństwa pruskiego, w szczególności zakon dominikanów, zachowała się tak samo jak biskupi koronni, to znaczy nie przyjęła klątwy do wiadomości.

8 czerwca 1457 roku Kazimierz Jagiellończyk uroczyście wjechał do Malborka. Osiągnął to jednak bez zwycięstwa w polu i złamania sił wroga. Ogromnym wysiłkiem Korony oraz przy pomocy Gdańska i Torunia zebrał niebotyczną sumę stu dziewięćdziesięciu tysięcy florenów, którymi zapłacił zaległy żółd najemnikom krzyżackim, przejmując z ich rąk twierdzę. Wodzem tych zaciężnych był Czech Ulryk Czerwonka. Większość jego wojska składała się jednak z rodowitych Niemców. Ostatnie dni pobytu wielkiego mistrza w stolicy Zakonu nie należały do przyjemnych. Niepłatni żołnierze zrewidowali mu łóżko, łajali go i targali za brodę. Ludwik von Erlichshausen nie potrafił zachować godności. Wyjeżdżając z Malborka wśród urągania tłumów odgrażał się, wołał, że król polski nie zbierze w swym państwie tylu garnków, ile potrzeba na wyżywienie wojska, które on - mistrz - przyprowdzi z Niemiec.

W dwa miesiące później mieszczanie malborscy wydali swe miasto Krzyżakom, w polskim ręku został tylko zamek. Stratę odzyskano dopiero w roku 1460.

16 lipca 1461 roku w zakrystii krakowskiego kościoła Franciszkanów zabity został przez mieszczan Andrzej Tęczyński, brat kasztelana. Zaczęło się od kłótni z płatnerzem Klemensem, którego wielmoża najpierw sam uderzył, a potem kazał sługom zbić do utraty przytomności. Nie usłuchał

weszań królowej Elżbiety, która przeczuwając, co się święci, kazała mu przyjść na Wawel. Hardo paradował po mieście, obwarował się w pewnej kamienicy przy ulicy Siennej, ale w ostatniej chwili uląkł się i skrył w kościele, gdzie zginął. Zmasakrowanego trupa tłum powłókł ulicami pod ratusz.

Wieść o tym wzburzyła pospolite ruszenie zebrane na Pomorzu. Tylko obietnicą surowego sądu i kary powstrzymał król szlachtę od wyprawy na Kraków.

Proces odbył się w grudniu w Korczynie. Obecny był król i cała rada koronna. Rozstrzygał zwykły dwuosobowy sąd szlachecki, co stanowiło jaskrawe pogwałcenie przywileju Kazimierza Wielkiego z roku 1358, orzekającego, iż za zabójstwo szlachcica mieszczanin odpowiada przed monarchą i trybunałem miejskim. Prawo to zatwierdzali kolejno Jadwiga, Jagiełło i Warneńczyk. W Korczynie złamano je, opierając się na paragrafie świeżego przywileju nieszawskiego, który pozwalał szlachcicowi w sprawie o zranienie pozywać mieszczanina przed sąd ziemski, pomijając miejski.

15 stycznia 1462 roku w narożnej wieży Wawelu zostali ścięci: burmistrz Krakowa Stanisław Leitmiter, rajcy Konrad Lang i Jarosław Scharley, malarz Wojtek, majster Jan Schilling oraz Mikołaj, przełożony pacholków grodzkich. Żaden z nich nie uczestniczył w rozruchu, ale w tamtych czasach władze miejskie wszędzie odpowiadały gardłem za to, co się dzieje w mieście. Nie pomogły osobiste interwencje królowej, ujmującej się za Scharleyem. Egzekucji dokonano na zamku, a to z obawy przed możliwością nowych rozruchów. Ciała straconych pochowano wśród rozpaczy miasta w kościele Mariackim we wspólnym grobie.

Okrutna rozprawa z Krakowem nie wywołała w kraju echa. Żadne z miast nie ujęło się za znieważoną stolicą.

Proces o zabójstwo Andrzeja Tęczyńskiego w tragicznie wyrazisty sposób ilustruje przełom, jaki się dokonał za Kazimierza Jagiellończyka. Zniweczone, podeptane zostało prawo miast do odrębnego sądownictwa. Odtąd w zatargach między stanami szlachta występuje jako sędzia we własnych sprawach. Proces korczyński, który na tę fatalną drogę wstąpił, odbył się w czasie wojny trzynastoletniej o Prusy, czyli o kraj usiany dobrze zagospodarowanymi, ludnymi miastami. Dobrowolnie zgłaszały się one pod władzę Polski już w roku 1410, ostatecznie przyłączyły się do niej dopiero w pół wieku później. Królestwo było już wtedy czymś innym niż za Jagiełły, w dobie bezpośrednio popiastowskiej. Zdążyło się wewnątrznie przeobrazić w państwo o zdecydowanej przewadze ziemiańskiej. Pół wieku to bardzo dużo czasu! W nowych, na gorsze zmienionych warunkach nabytek pruski nie mógł już odegrać poważnej roli w dziejach naszego ustroju społecznego.

Miasta polskie wchodziły wtedy w epokę rozkwitu ekonomicznego, oczekiwała je jeszcze duża pomyślność materialna. Sensację wywołują dziś drewniane rury wodociągowe, odkopywane po rozmaitych zapadłych miasteczkach. U schyłku XIV wieku tylko Kraków miał wodociągi. W roku 1407 założył je Lwów. Krosno, Biecz i Pilzno dokonały tego w latach 1461-1464, potem szedł Sanok (1510). Szydłów o całych siedem lat

wyprzedził Lublin, budując wodociąg w roku 1528. Okres dobrobytu gospodarczego trwał jeszcze w Polsce długo, bardzo natomiast wcześniej, bo za Kazimierza Jagiellończyka, zaprzepaszczona została polityczna równowaga stanów, co w ujemny sposób wpłynęło na charakter państwa.

Na początku XV wieku wcale nie było źle z miastami polskimi. Właściwie do pełni uprawnień szlacheckich brakowało mieszczanom tylko dostępu do godności państwowych. Nie posiadali go, ale też nie musieli chodzić na wojnę i płacić podatków z wyjątkiem tak zwanego szosu, co stwarzało pozór, że tylko szlachta ponosi ciężary na rzecz państwa, i tym bardziej zachęcało ją do starań o rozszerzenie przywilejów. Mogli mieszczanie na równi z herbowymi posiadać majątki ziemskie. W elekcji Warneńczyka obok magnatów i szlachty uczestniczyli przedstawiciele dwudziestu ośmiu miast polskich, starannie wymienianych w dokumencie. Z Krakowem, Poznaniem i Gniezmem sąsiadują w nim Dobrzyń, Gostyń, Wieluń oraz inne grody. Utrzymywała się zatem przez Piastów jeszcze zapoczątkowana tradycja udziału miast w życiu politycznym. Stosowała się do niej szlachta, o czym świadczą wypadki z doby bezkrólewia po Ludwiku Węgierskim, kiedy rycerstwo wielkopolskie układało się z obywatelami Poznania, małopolskie zaś powołało swoich sławetnych do udziału w zarządzie prowincji. Za Jagiellończyka tradycja ta uległa załamaniu.

Historycy są zgodni, że znaczna odpowiedzialność obarcza same miasta, które fatalnie zaniedbały zbiorowych wystąpień, solidarnej walki o prawa polityczne całego stanu miejskiego. Zajęte „kramarskimi przetargami” o indywidualne przywileje, tamtą kapitalną sprawę zaprzepaściły. Pewną i wcale niemałą rolę musiało tu odegrać narodowe pochodzenie patrycjatu, który jeśli w XV wieku nie był już całkiem niemiecki, to wywodził się z Niemców i czuł się do pewnego stopnia obco wśród szlachty polskiej (jeszcze w 1537 roku toczył się w sejmie zajadły spór o polskie nabożeństwa w kościele Mariackim, w tym samym stuleciu sejmy upominały się, by zapewniono Polakom przewagę głosów we władzach miejskich). Faktem jest, że pospólstwo było o wiele bardziej krewkie i skłonne do wystąpień przeciwko szlachcie niż rajcy. Czulo się u siebie, żyło na własnych, dziedzicznych śmieciach.

Miasta polskie nie podjęły zdecydowanej, twardej walki stanowej. Postępując tak potulnie nie tylko nie sprowadziły na kraj strumienia błogosławieństw, ale wręcz przeciwnie - popchnęły go ku katastrofie.

W odróżnieniu od nich szlachta zachowywała się normalnie, walczyła o swe prawa. Miara została przekroczona, bo brakło kontroli i ograniczeń.

Pisze Jan Ptaśnik:

Niezrozumiałe jest, jakie pobudki kierowały Kazimierzem Jagiellończykiem, że nie poszedł w ślady swych poprzedników w otaczaniu żywiołu mieszczańskiego królewską opieką, że odsunął miasta od wszelkiej ingerencji na sprawy państwowe, i to właśnie w tym czasie, kiedy rozpoczynał walkę z zakonem krzyżackim, kiedy na poparciu finansowym ze strony miast powinno mu bardzo zależeć.

Ospale nasze miasta mógł i powinien był popchnąć do solidarnego działania sam król. Czynili tak dwaj ostatni Piastowie, aczkolwiek za ich czasów kwestia narodowościowa przedstawiała się bardzo ostro, wręcz groźnie. Łokietek i syn jego popierali konfederacje miejskie zwrócone przeciwko przestępcom wszelkiego stanu. Kazimierz Wielki utwierdzał apelacyjne, a więc dla wielu miast przeznaczone, trybunały, wciągał mieszczan do akcji politycznych. Wiązał ich w całość, dbał o nich jako o stan.

Przy całym szacunku dla charakteru i umysłu Kazimierza Jagiellończyka trzeba stwierdzić, że w tej sprawie zawiódł. Łamał przewagę magnatów opierając się na samej tylko szlachcie, w przywileju nieszawskim niczego nie dał mieszczanom. Ta metoda miała krótki oddech. Sojusz ze średnim ziemiaństwem przeciwko wielkiemu był pożyteczny, jednakże zbyt daleko zaprowadzić nie mógł, bo pomimo rozdzwieków oba obozy pozostawały... ziemiańskie.

W 1422 roku Jagiełło wydał przywilej czerwiński, który zabraniał konfiskować dobra szlacheckie bez wyroku sądowego. Wkrótce król rozszerzył to słuszne prawo i orzekł, iż w ogóle nie wolno karać ani więzić szlachcica osiadłego bez orzeczenia trybunału („*neminem captivabimus nisi iure victum*” - nikogo prawem nie pokonanego nie uwięzimy). Wyjątki mogły zachodzić tylko wtedy, jeśli szlachcica schwytano na gorącym uczynku zabójstwa, porwania kobiety, podpaleniu, rozbójnictwie lub rabowaniu wsi. Dobrodziejstwa te służyły zarówno wielkim panom, jak i takim, do których odnosiło się późniejsze przysłowie „z kordem, ale boso”. Rycerstwo okrzepło, tym bardziej należało dbać, by nadażały za nim przynajmniej miasta.

Miał chyba rację Fryderyk Papée pisząc o Kazimierzu Jagiellończyku:

Zasłaniał, ile mógł, miasta od zanadto już jaskrawych nadużyć szlachty, ale pociągnąć je do udziału w rządzie i rządach omieszkał; nie miał znać przeczucia niebezpieczeństw grożących państwu na jednym wyłącznie stanie opartemu. Do tego potrzeba było umysłu bystrego wznoszącego się nad poziom swego czasu i swego społeczeństwa. Kazimierz był królem zapobiegliwym i dzielnym, ale geniuszem zaprawdę nie był. Takiej potężnej postaci królewskiej, jakie u schyłku średnich wieków na Zachodzie spotykamy, pozazdrościły nam zawistne losy w chwili przełomu.

Elementy potrzebne do budowy państwa nowoczesnego istniały w Polsce XV wieku. Stworzyła je cała nasza poprzednia historia, z powodzeniem dotrzymująca kroku Europie. Przebudowa jednak nie nastąpiła. Jeszcze za Jagiellończyka szlachta jednostronnymi decyzjami narzuciła miastom ciężary podatkowe i wojskowe, co było konieczne, lecz nie dała nic w zamian, i tu leży nieszczęście. W przyszłości spadało na mieszczan jedno ograniczenie po drugim. Z czasem Polska przestała się zaliczać do krajów o bogatym, zróżnicowanym profilu społeczno-gospodarczym, wypadła z ich rzędu. Zaczęła się nasza smutna rola dostarczyciela surowców i płodów rolniczych. Utracił wpływy polityczne

stan z natury rzeczy powołany do troski o rodzime rzemiosło i przemysł. Wskutek tego okazał się niezdolny do obrony przed szlachtą własnych przedsięwzięć już dawniej rozpoczętych lub zainicjowanych w XVI wieku.

Pospolite ruszenie, które omal nie wyruszyło przeciwko własnej stolicy, było ostatnim w wojnie trzynastoletniej. Potem Polska przeszła do systemu wojsk zaciężnych i znalazła nareszcie wybitnego dowódcę. Był nim podkomorzy sandomierski Piotr Dunin herbu Łabędź (strona przeciwna od początku miała zdolnego wojownika w osobie Bernarda Szumborskiego, czeskiego najmity). O Duninie profesor Karol Górski pisze zwięźle:

jest typem nowego człowieka, wyniesionego przez króla z rzesz szlacheckich. Do możnowładztwa nie wszedł, pozostał do końca reprezentantem szlachty. Był okrutny i bezwzględny na wojnie, sprawiedliwy i surowy w czasie pokoju. Strzegł pilnie praw monarchy, poddanych nie uciskał. Był dobrym wodzem i tęgim administratorem.

Rozpoczął działania w roku 1462 i od razu pokazał, że jest urodzonym żołnierzem. Wraz z gdańszczanami przeprowadził desant w Sambii, lecz kiedy między jego wojskiem a marynarzami rozpoczęły się kłótnie o zdobyte miasteczko Fiszhużę, kazał je spalić i tym uciął spór. Gdańsk go odtąd nie lubił, za to szanował. 17 września tegoż roku Dunin pobił przeważające siły krzyżackie pod Świecinem koło Jeziora Żarnowieckiego i zdecydowanie przechylił szalę na stronę Polski. Jego poczynania miały określony cel strategiczny, zmierzały do zupełnego odcięcia Zakonu od Niemiec. We wrześniu następnego roku skomplikowana akcja lądowo-wodna znalazła punkt kulminacyjny w bitwie okrętów na Zalewie Wiślanym (14 września i w nocy na 15), w której Polacy opanowali wszystkie jednostki krzyżackie, pozbawiając przeciwnika floty i możliwości sprowadzenia posiłków drogą morską. Piotr Dunin zdobywał lub zmuszał kolejno do kapitulacji twierdze. W 1466 roku padły Chojnice, ostatni krzyżacki punkt oporu na Pomorzu. To zmusiło Zakon do prośby o pokój.

Zawarcie go stanowiło problem trudny, a to ze względu na mieszanie się czynników trzecich, wcale nie życzących Polsce pełnego powodzenia. Jeszcze w maju 1466 roku król musiał słać Jana Długosza do Wrocławia na spotkanie legata papieskiego, którego kazał przestrzec, by nie próbował czasem naśladować swego poprzednika. Ten ostatni bowiem „szlachtę i obywateli miast pruskich uznał za wyłączonych z Kościoła i wyklętych i w sprawie królewskiej za mistrzem obstawać począł”. Przywiezione przez Długosza zapewnienie, że biskup nie będzie uważał tych ludzi za ekskomunikowanych, uspokoiło panów koronnych, którzy przedtem „przybycia legata jak zarazy jakiej się lękali”. Przytoczone słowa napisał kanonik krakowski, człowiek głębokiej wiary i zawsze wierny Kościołowi, trzeba to koniecznie przypomnieć.

Pertraktacje pokojowe prowadzono w Toruniu bardzo wytrwale i z poświęceniem, bo trapiła wtedy Polskę epidemia, nawiedzająca przede wszystkim ludne miasta. 19 października zawarto układ, do czego walnie się przyczynił wspomniany już legat papieski Rudolf z Rudesheim. Nie wysłuchano nalegań tych, którzy wzywali do jeszcze jednego wysiłku,

zdobycia Królewca i całkowitego skończenia z Krzyżakami. Do zwolenników dalszych działań zaliczali się niektórzy członkowie rady królewskiej, biskup warmiński Paweł Legendorf i gdańszczanie.

Państwo było wyczerpane długotrwałą wojną, szlachta zniechęcona, skarb pusty, a papież naciskał na Jagiellończyka, pragnąc go skłonić do interwencji w Czechach. Od kilku lat Kazimierz sam pilnie patrzył w tamtą stronę.

Pokój toruński zwracał Polsce Pomorze Gdańskie, ziemie chełmińską i michałowską, oddawał jej Malbork i Elbląg. Biskupstwo warmińskie ze stolicą w Lidzbarku (zwanym wtedy i aż do rozbiorów a tym bardziej po nich - Heilsbergiem) również przechodziło pod jej berło, lecz jako księstwo rządzone przez swego ordynariusza. Reszta państwa zakonnego stawała się jej lennem. Wielcy mistrzowie przenosili rezydencję do Królewca, a każdy z nich musiał najpóźniej w sześć miesięcy po wyborze składać hołd królowi i wchodził w skład rady koronnej, gdzie miał być uważany za najwyższego ze świeckich dostojników. Bez zezwolenia Polski nie wolno było Krzyżakom prowadzić wojen przeciwko katolikom.

Szczątek państwa krzyżackiego przetrwał więc w postaci dziwnej, podobnej na mapie do rogalika o bardzo zgrubiałym prawym szpicu. Dotykał Wisły, obejmując Kwidzyn, potem okalał od południa Warmię - tracił bowiem Olsztyn, lecz zachowywał Działdowo - a punkt ciężkości miał zdecydowanie na wschodzie, gdzie władał Królewcem i ujściem Niemna (więc przez to samo dochodami z handlu zagranicznego Litwy). Taki stan rzeczy zapowiadał dalszą rozgrywkę, przy czym wszystkie atuty na razie zdawały się znajdować w naszym ręku.

Rok 1466 zamknął wojnę i przywrócił Polsce dostęp do morza, ale sprawę prusko-krzyżacką pozostawił otworem.

Jeśli wierzyć Długoszowi, sfery faktycznie rządzące wtedy Litwą nie były rade z pokoju, ponieważ traciły sposobność odebrania Polsce Podola. O spóźnionych chociażby żalach z powodu Królewca i Kłajpedy niczego kronikarz nie zapisał.

Za to na wstępie do relacji o wypadkach roku 1467 umieścił rozdział, który stanowczo trzeba przytoczyć w całości, jako charakterystyczny dla nastrojów w Polsce ówczesnej:

I ja, piszący te księgi, czuję niemalą pociechę z ukończenia wojny pruskiej, odzyskania krajów z dawna od królestwa polskiego odpadłych i przyłączenia Prus do Polski. Bolało mnie to bowiem, że królestwo polskie szarpane było dotąd i rozrywane od rozmaitych ludów i narodów. Teraz szczęśliwszym mienię siebie i sobie współczesnych, że oczy nasze oglądają połączenie się krajów ojczystych w jedną całość; a szczęśliwszym byłbym jeszcze, gdybym doczekał odzyskania za łaską Bożą i zjednoczenia z Polską Śląska, ziemi lubuskiej i śląskiej, w których są trzy biskupstwa, od Bolesława Wielkiego króla polskiego i Mieczysława, ojca jego założone, to jest wrocławskie, lubuskie i kamieńskie. Z radością zstępowałbym do grobu i słodszy miałbym w nim odpoczynek.

Wojna trzynastoletnia wzmocniła jednak więzy z Pomorzem Zachodnim.

Książę słupski Eryk II zaraz na początku otrzymał od króla w lenno Łębork i Bytów. Utracił je potem na rzecz Krzyżaków i pragnąc odzyskać prowadził politykę mocno dwuznaczną. Próbował stworzyć sobie na Pomorzu Gdańskim własne stronnictwo i w myśl zasady: „Gdzie dwóch się bije, trzeci korzysta” - po prostu zająć ten kraj. W 1462 roku szedł nawet na pomoc Zakonowi. Z drogi zawróciła go wiadomość o zwycięstwie Dunina pod Świdwinem. Łębork i Bytów wróciły doń i pozostały już przy książętach szczecińskich jako lenno Polski, stanowiąc punkt styczny oraz łącznik. Syn i następca Eryka, Bogusław X, dostał za żonę córkę Kazimierza Jagiellończyka, Annę.

W 1469 roku, jeszcze za życia Eryka II, król polski miał rozstrzygnąć spór pomiędzy Pomorzem Zachodnim a Brandenburgią. Rozprawa odbywała się w Piotrkowie i zakończyła kompromisowo. Rycerz Dionizy von Osten, przedstawiciel książąt pomorskich, odezwał się wtedy dosłownie tak: „Ziemia słupska żadnemu innemu nie miała hołdować książęciu, tylko samemu królowi i królestwu polskiemu, do którego pierwotnie należała.”

Pragnienia Jana Długosza wcale nie zaliczały się do jałowych marzeń.

3

Rok 1467 - pierwszy po zakończeniu wojny pruskiej - rozpoczął się w sposób poniekąd symboliczny. W nocy z 1 na 2 stycznia urodził się w Kozienicach piąty syn królewski, Zygmunt, będący ósmym z kolei dzieckiem polskiej pary monarszej.

Daty metryk jego rodzeństwa pięknie świadczą o tym stadle. Tak więc 1 marca 1456 roku przyszedł na świat Władysław („dziwnej nadobności, kształtnego i na schwał urodnego ciała”), w 1457 Jadwiga, w 1458 - Kazimierz, w 1459 - Jan Olbracht, w 1461 Aleksander, który miał ciche chrzciny, bo w miesiąc niespełna po krakowskich rozruchach i zgładzeniu Tęczyńskiego dynastia nie chciała się weselić. W 1464 roku urodziła się królewna Zofia, w 1465 Elżbieta, która żyła równo dwanaście miesięcy, w 1467 - jak się już wspomniało - Zygmunt, nazwany później Starym. A oto jego młodsze rodzeństwo: Fryderyk (1468), Elżbieta (1472-1480), Anna (1476), Barbara (1478) i w końcu trzecia Elżbieta, szczęśliwsza od swych sióstr-imienniczek, urodzona w 1483 roku, zmarła w 1517. Z trzynastorga dzieci jedenaście dochowanych! - jak na owe czasy, zjawisko rzadkie. Przestajemy się dziwić temu, że wszystkie dzisiejsze rody panujące w Europie zaliczają Kazimierza Jagiellończyka do swych antenatów.

Trzeba było koniecznie poświęcić nieco uwagi potomstwu monarchy, bo wkrótce po zakończeniu wojny o ujście Wisły rozpoczęła się w naszych dziejach epoka, której osiągnięcia długo zachwycaly wielu historyków i publicystów, a niekiedy zachwycają jeszcze i dziś. Dom jagielloński rozszerzył swe panowanie daleko za Karpaty, sięgnął nawet Adriatyku. Na obszarach jego władania znalazły się Praga, Buda i Belgrad. Jeśli przypomnieć i doliczyć Kraków, Wilno, Poznań, Gdańsk, Kijów, Smoleńsk i Wiaźmę, powstanie obraz wręcz imponujący. Tak też wygląda odnosząca

się do tych czasów mapa.

Koron dla synów szukał Kazimierz na południu i południowym zachodzie, wszystkie córki wydane zostały za książąt panujących na zachodzie (z nich jedna poszła do Szczecina, druga do Legnicy, pozostałe poślubiły Niemców). Królewicz Kazimierz, wkrótce po śmierci uznany za świętego i będący kościelnym patronem Litwy, nie lubił jej, a już szczególnie przeważającego w Wielkim Księstwie prawosławia. Uśmiechały mu się Węgry, potem był przeznaczony na następcę tronu w Polsce.

Kazimierz Jagiellończyk i jego liczna rodzina stanowią bardzo ciekawy etap na drodze polszczenia się litewskiej dynastii. Król, nie mający wszak w żyłach ani atomu „krwi lechickiej”, sam już był potężnie spolonizowany. W roku narodzin Zygmunta powołał na wychowawcę synów doskonale sobie znanego Jana Długosza i ten wybór przemawia bardzo wyraźnie. Szacowny kronikarz łączył cnoty osobiste, na przykład niebywałą pracowitość, z głębokim patriotyzmem polskim, zorientowanym zdecydowanie na zachód. Kazimierz nie policzył mu jakoś dawniejszych wiernych służb pod znakiem Oleśnickiego ani tego nawet, że kanonik właściwie przemycił do Polski kapelusz kardynalski swego patrona, działając wbrew woli monarchy.

Polityka Kazimierza Jagiellończyka w zasadniczy sposób różniła się od poczynań państwowych ojca, Jagiełły, oraz stryja, Witolda. O ile tamci sprawy Korony, a więc zachodniej połaci państwa, poświęcali wschodowi, dla niego wschód stał na ostatnim planie. Dobitnie świadczy o tym chronologia: najpierw rozegrał król wojnę o Prusy, potem obrócił się ku Czechom i Węgom, a dopiero w końcowym okresie panowania żywiej zainteresował walką na wschodzie. Zresztą zmusiła go do tego zewnętrzna inicjatywa, o czym będzie jeszcze obszerniej mowa.

Polonizacja dynastii nie oznaczała jednak zmartwychwstania piastowskiej szkoły myślenia i działania politycznego, której cechą główną był umiar oraz obracanie sił przede wszystkim na scalanie polskich ziem gniazdowych. W czynach Kazimierza Jagiellończyka nadal żyła typowo litewska tradycja rozmachu, efektownych zdobyczy i pozostawiania mnóstwa spraw w zawieszeniu. Zamiast gruntowności klajstrowanie. I główna chyba rzecz: od Mendoga i z jeszcze starszych czasów wywodząca się skłonność do beztróskiego podejmowania działań na wielu frontach.

Nawyki podyktowane przez setki lat historii to straszna potęga. One podlegają prawu dziedziczenia i kształtują oblicza środowisk ludzkich. Dynastia piastowska wyrosła z tych plemion, które - jedne jedyne z całej rzeszy słowiańskiej! - nigdy i nigdzie się nie ruszyły ze swych ziem ojczystych. Jakże nie dostrzegać związku pomiędzy tym faktem o podstawowym znaczeniu a dziedzicznymi skłonnościami Piastów, którzy byli bardzo nieustępliwi w sprawach autochtonicznych, polskich, na zewnątrz zaś chadzali niechętnie?

Powracamy do właściwego tematu. Wojna trzynastoletnia dała Polsce bezcenną zdobycz w postaci Pomorza Wschodniego i części Prus - zwanych odtąd Królewskimi - lecz wytworzyła też na północy położenie wielce skomplikowane. Przede wszystkim przetrwał zakon krzyżacki, a po

doświadczeniach zbieranych od dwustu lat z okładem nie wolno się było ludzi co do tego sąsiada, zwłaszcza że jego losem nadal żywo się interesowało papieństwo oraz cesarstwo. Już najbliższa przyszłość miała wykazać, jak skłonny jest Królewiec do korzystania z każdej napotkanej przez Polskę trudności.

Oprócz tego domagała się urzeczywistnienia świeża władza Korony nad Prusami Królewskimi, które przejawiały zdecydowaną chęć utworzenia państewka jakby odrębnego, połączonego z Polską tylko osobą monarchy. Tendencja tym niebezpieczniejsza, że w kraju dominował żywioł niemiecki. Poprzednio z uznaniem wspominało się liberalizm ówczesnej Polski, która nie dążyła do zagłady odrębności tej prowincji. Jedno drugiemu wcale nie przeczy, bo twórcza praca państw średniowiecznych polegała właśnie na stopniowym godzeniu dążeń zjednoczycielskich z patriotyzmami lokalnymi. Najlepszym tego przykładem jest sama Polska, która utworzyła królestwo szanujące indywidualności poszczególnych dzielnic.

Mieszkańcy Prus Królewskich uważali, iż Korona winna ich w razie potrzeby orężnie bronić, ale oni sami wcale nie mają obowiązku uczestniczenia w wojnach prowadzonych przez Kraków. Kazimierz Jagiellończyk od razu zaczął stanowczo, sposobami wyłącznie pokojowymi, urzeczywistniać swą władzę w świeżo nabytym kraju. Przestał mianować osobnego gubernatora dla Prus, urzędy powierzał wyłącznie zwolennikom swej własnej polityki. Zadań do wykonania było jednak bardzo wiele.

To samo da się powiedzieć o stosunkach wewnętrznych w całej Polsce. Podczas wojny trzynastoletniej dużo rzeczy uległo odmianie na lepsze. Umarł Oleśnicki. Stronnicy jego przez czas pewien namiętnie bruździli, lecz stopniowa zaczęli zmieniać poglądy i przechodzić do obozu króla. Jagiellończyk umiał wyszukiwać i popierać nowych ludzi, którzy - co ogromnie znamienne - przeważnie należeli ongi do rozgromionej pod Grotnikami konfederacji Melsztyńskiego. Potęga magnatów duchownych uległa znacznemu osłabieniu, gdyż król stał twardo przy zasadzie, że bez jego woli i zgody nikt nie może zostać w Polsce biskupem, a więc członkiem rady koronnej. Zaczął to podkreślać zaraz na początku panowania, kiedy kazał swemu posłowi tak argumentować przed papieżem: „Mogłoby się bowiem zdarzyć, że wróg ojczyzny miałby powierzone rządy kościelne, gdyby tu i ówdzie otrzymywał ktoś biskupstwo wbrew woli króla.” Do bardzo ostrego konfliktu doszło w roku 1460, gdy po śmierci biskupa krakowskiego - Strzępińskiego, król wyznaczył jednego kandydata, kapituła drugiego, a papież mianował trzeciego. Jagiellończyk wygnał z kraju nominata papieskiego (był nim Jakub z Sienna, siostrzeniec Oleśnickiego), zabrał mu dobra, kapitułę zmusił do posłuchu. Biskupem został jego wybraniec, Gruszczyński. Znamienne, że polityki króla mocno bronił poseł do Rzymu, Jan Rytwiański, niedawno jeszcze wielki zwolennik Oleśnickiego, nawet naśladowca jego sztuki wygłaszania obelżywych dla monarchy przemówień.

Kazimierz Jagiellończyk potrafił złamać przewagę hierarchów Kościoła nad państwem polskim. Pętające Jagiełłę kompleksy neofity w jego

młodszy syn już widać nie działały.

W 1467 roku było w Polsce lepiej, bez porównania lepiej niż dwadzieścia lat wcześniej. Pomimo to kraj miał mnóstwo kwestii do rozstrzygnięcia i załatwienia. A przecież nie wolno zapominać o Wielkim Księstwie, które było wtedy państwem odrębnym, ale żyjącym pod tym samym berłem co Polska i wielu węzłami z nią zrośniętym. Sprawy Wschodu miały wkrótce same o sobie przypomnieć, narzucić się losom obu krajów z niebywałą siłą.

Po wojnie trzynastoletniej nad polityką Europy dominują poczynania trzech wielkich rodów monarszych - niemieckich Habsburgów, francuskich Walezjuszów oraz polsko-litewskich Jagiellonów.

O Habsburgach była już mowa w pierwszym tomie. Od XIII wieku, kiedy wypłynęli na szerszą scenę, nie zmienili oni kierowniczych zasad swej często dynastycznej polityki. Po dawnemu mieli silny punkt oparcia w dziedzicznych domenach austriackich i starali się opanowywać rozmaite trony. Chętnie stosowali metodę, którą później nie bez żółci streszczono w łacińskim wierszu: „*Bella gerant alii, tu felix Austria! - nube*” - wojny niech inni prowadzą, ty - szczęśliwa Austrio! - żeń się. Jako spadek familijny po ostatnim Luksemburczyku, Zygmuncie, przypadł Albrechtowi Habsburgowi tron węgierski, o czym już się wspomniało w rozdziale „Król i kardynał”. Habsburgiem był Władysław Pogrobowiec, który po śmierci Warneńczyka panował w Czechach i na Węgrzech.

Obszerniejsza wzmianka należy się Walezjuszom, po raz pierwszy wymienianym w tej książce. Starsza, królewska linia francuskich Kapetyngów wstąpiła na tamtejszy tron później niż Piastowie na polski, a wymarła wcześniej od nich, bo już w roku 1328. Jej ostatnimi przedstawicielami byli trzej synowie Filipa Pięknego - Ludwik X, Filip V oraz Karol IV, których kolejne panowania razem wzięte zajęły tylko czternaście lat. Kryzys został jednak natychmiast przewyciężony. Stany Generalne oparły się bowiem na nieco wcześniej uchwalonym prawie, stanowczo wykluczającym kobiety od dziedziczenia tronu. Odsunięty więc został pretendent po kądzieli, król angielski, Edward III, powołany zaś rodzony bratanek Filipa Pięknego, Filip de Valois, który objął rządy jako szósty władca tego imienia. Tak postępując dała Francja Anglikom jeden więcej pretekst do rozpoczęcia wojny (zwanej stuletnią!), a nowy król okazał się politykiem całkiem miernym. Ocalała jednak zasada monarchii narodowej, i to okazało się najważniejsze.

Filip VI zapoczątkował więc nie nową dynastię, lecz boczną odrośl rodu Kapetyngów. Potomków jego zwiemy w spolszczeniu Walezjuszami, co jest tym bardziej usprawiedliwione, że ostatni z nich przez czas krótki nosił i naszą koronę. Ale stało się to znacznie później.

Polityki Walezjuszów nie można uważać za dynastyczną, aczkolwiek prowadził ją określony ród, pilnie strzegący swym praw dziedzicznych. Pod ich rządami Francja nadal zmierzała ku celom narodowym, była podmiotem, a nie przedmiotem działania. Zaciekle rywalizowała z Habsburgami, jednakże nie o trony dla swych książąt. Toczyła walkę o ziemie nadreńskie, te same, które od wieków stanowiły kość niezgody z Niemcami.

Dynastyczna polityka Jagiellonów była w dziejach polskich zjawiskiem

nowym. Za Piastów kraj jej nie znał, lecz po zgonie Kazimierza Wielkiego zaczął się z nią oswajać, najpierw sam stanowiąc jedno z licznych królestw andegaweńskich, potem zaś uchwalając przyjęcie korony czeskiej lub też dzieląc się z Węgrami własnym monarchą. Jednakże za Kazimierza Jagiellończyka zaczęła się zupełnie nowa praktyka. Król zabiegał o berła dla swych synów - państwo polskie dostarczało punktu oparcia dla tych działań, które wymagały znacznego wysiłku, zwracały uwagę w odległe strony, przysparzały Polsce wrogów, a z własnymi trzeźwo pojmowanymi interesami Korony bywały nawet sprzeczne.

Polityka dynastyczna była przedsięwzięciem szalenie niebezpiecznym ze względu na... olbrzymie rozmiary stworzonego przez unię państwa jagiellońskiego. Pozory zdają się świadczyć przeciwko temu twierdzeniu, milion kilometrów kwadratowych to wszak nie lada potęga. Zważmy jednak, jak długa była wtedy linia graniczna, która nigdzie przecież nie przebiegała w próżni. Nad każdym jej odcinkiem siedział i czuwał jakiś partner, będący najczęściej wrogiem. Postarajmy się ich wymienić, zaczynając od zachodu: Śląsk, Brandenburgia, Pomorze Zachodnie, Krzyżacy oraz ich inflancka przybudówka, Psków, Wielki Nowogród, Moskwa i księstwa położone pomiędzy nią a Litwą, Tatarzy, Mołdawia, Węgry i Czechy (w najbliższej przyszłości miała się jeszcze przysunąć Turcja). Każda z tych nazw oznacza problem polityczny, nieraz szalenie powikłany lub wręcz groźny. Poprzednio mówiło się dość obszernie o kwestiach wewnętrznych, wielkim głosem wołających o uporządkowanie i reformy, oraz o skomplikowanych stosunkach z Litwą. Skoro nie przyszła ona z pomocą w czasie wojny trzynastoletniej, rozmyślała za to o odebraniu Podola, to znaczy, że dużo jeszcze brakowało do sielanki. W tych warunkach wszelkie rozpraszenie uwagi i sił na przedsięwzięcia niekonieczne, powiększanie listy zadań do rozwiązania groziło ciężkimi następstwami.

W XIV wieku Kazimierz Wielki umiał zdobywać się na najboleśniejse wyrzeczenia, jeśli widział, że wszystkiemu naraz nie poradzi. W stuleciu XV jeśli Polska winna była czegoś się wyrzeknąć, to niektórych własnych inicjatyw.

Podczas wojny trzynastoletniej nie zboczyła z właściwej drogi. Najpierw uspokoiła Litwę, oddając jej Wołyń, potem wytrzymała wszystkie naciski papieży, pragnących odciągnąć ją od Malborka i pchnąć na Czechy.

Jak już wiemy, tam i na Węgrzech panował Władysław Pogrobowiec, dawny rywal Warneńczyka. Trudno rozstrzygnąć, czy naprawdę zgładzono go trucizną. Umarł w roku 1457, skończywszy siedemnastą zaledwie wiosnę. Jego śmierć otworzyła drogę dwom królom narodowym. Na Węgrzech był to energiczny, ambitny i bezwzględny Maciej Korwin, młodszy syn Jana Hunyady, wsławionego wodza. W Czechach koronę otrzymał Jerzy z Podiebradu, który właściwie od wielu lat sprawował w tym kraju faktyczne rządy, „a do krwi przelewu nigdy nie był pochopny i skory”. Obaj zostali obrani w roku 1458. Dla narodów środkowoeuropejskich elekcja była naprawdę skuteczną bronią przeciwko uroszczeniom obcych dynastii. Z punktu widzenia Habsburgów śmierć Pogrobowca oraz powołanie Macieja i Jerzego oznaczały poważne straty,

które należało odrobić. Oba te państwa raz już przecież znalazły się w rękach niemieckiego rodu, z zasady nie wyrzekającego się zdobyczy.

Jerzy z Podiebradu miał ponadto wroga w Rzymie. Był husytą. Należał wprawdzie do odłamu umiarkowanego, tego, który ugodził się z soborem bazylejskim, ale papieżom już to nie wystarczało. W 1463 roku Pius II (Eneaszy Sylwiusz Piccolomini, głośny pisarz i humanista, poprzednio przez czas pewien biskup warmiński, człowiek bardzo niechętny Polsce) zniósł umowę z husytami, a jego następca Paweł II uznał Jerzego za pozbawionego godności królewskiej i ogłosił przeciwko niemu krucjatę. Część czeskich katolików - w szczególności Morawy, Łużyce oraz Śląsk z Wrocławiem na czele - odstąpiła „heretyka”, oglądając się za innym władcą.

Ten układ okoliczności powodował naciski Rzymu na Polskę, by zaniechała wojny z Krzyżakami i obróciła oręż na Czechy. Z tych samych względów legat papieski tak gorliwie pośredniczył w pokoju toruńskim.

Otrzymał on z Rzymu ważne instrukcje i z wyłożeniem ich nie zwlekał. Zanim jeszcze nagłeni przez grozę epidemii panowie rady opuścili Toruń, biskup oznajmił im, iż papież odsądził Jerzego od korony czeskiej i ofiarowuje ją Jagiellończykowi. Jeżeli zaś król polski nie może zaraz sam wyjechać z kraju, niechaj wyśle syna, który zostanie ukoronowany we Wrocławiu. Wkrótce potem, 23 grudnia 1466 roku, papież rzucił uroczystą klątwę na Jerzego.

Przed Kazimierzem otwierały się interesujące się widoki. Obiecywano mu Śląsk, pomoc przyrzekał nawet tak zwany „związek sześciu miast”, mający swą siedzibę w Zgorzelcu. Król odroczył decyzję.

W 1463 roku przyjeżdżało do Krakowa jedno poselstwo po drugim, wszystkim bowiem zależało na pozyskaniu Polski. Przedstawiciele zbuntowanych przeciwko Jerzemu czeskich magnatów katolickich też ofiarowywali Jagiellończykowi koronę, uznając jego prawa dynastyczne jako małżonka Elżbiety Habsburg, siostry Pogrobowca.

Kazimierz nie dał się skusić i dochował uczciwości Jerzemu, z którym już w roku 1462 zawarł traktat, odciągając go zresztą w ten sposób od popierania Krzyżaków. Zwlekał, odracząc decyzję, pośredniczył w próbach porozumień, licząc, że znajdujący się w ciężkim położeniu władca Czech dobrowolnie i za zgodą większości swych poddanych przekaże Pragę Jagiellonom. W Polsce zakazano głoszenia papieskich wezwań do krucjaty przeciwko husytom oraz zbierania składek na ten cel.

Propozycje Rzymu wywoływały przychylne echa w Małopolsce, która - całkiem niezależnie od tendencji klerykalnych - kierowała się zwykłym wyrachowaniem politycznym. Chciała odzyskać Śląsk. Zupełnie inaczej myślała Wielkopolska, gdzie sympatie dla Czech i dla nowych teorii religijnych były bardzo żywe.

Polska XV wieku w niczym nie przypominała tej późniejszej, beznadziejnie zawojowanej przez Rzym papieski. Po wielokroć już wspomniany legat Rudolf wyrobił sobie nieszczególną opinię o naszym kraju:

jeśli ziemia kacerska [Czechy] pod polskie rządy przejdzie, to należy się

obawiać, że herezja się nie pomniejszy, ale powiększy na wielką hańbę chrześcijaństwa. Polscy duchowni przez długi czas sprzyjali herezji, wielu między panami i szlachtą jest nią zarażonych, wielu kacerskich duchownych w Czechach jest polskiego pochodzenia.

Jego poprzednika spotkała w roku 1462 nieoczekiwana przygoda w Brześciu Kujawskim. Na rzucony przez legata interdykt miasto odpowiedziało biciem we wszystkie dzwony i demonstracyjnymi nabożeństwami we wszystkich kościołach, a wreszcie wyгнаło go.

Kazimierz Jagiellończyk oświadczył kiedyś, że nie pójdzie w ślady brata i nie da się legatom za nos wodzić. Nieustępliwość tego szczerze religijnego władcy wobec kleru była zdumiewająca. Wolno się domyślać, że patronował jej cień Warnieńczyka.

Z nieodpartą siłą nasuwa się jednak w tym miejscu wspomnienie o... Bolesławie Śmiałym, który też klerykałem nie był, ale politycznie należał do obozu papieskiego, bo to przynosiło korzyści. Postępowanie Kazimierza Jagiellończyka wobec Jerzego, narodowego króla Czech, budzi głęboką sympatię. Trudno jednak zaprzeczyć, że strona papieska proponowała kombinacje, które stwarzały możliwość odzyskania Śląska dla samej Polski. I to prawda, że w XIV wieku straciliśmy go właśnie na rzecz korony czeskiej. Śląsk należał do tych krajów, które się przeciwko Jerzemu zbuntowały, a wrocławianie wprost głosili, iż „Polska jest dla ich utrzymania niezbędna”.

W rozważania utrzymane w trybie warunkowym wdawać się tu nie można. Za to koniecznie trzeba się przeciwstawić teorii pewnego pisarza katolickiego, który niezbyt dawno temu twierdził, że Jagiellończyk nie skorzystał z propozycji papieskich co do Śląska, ponieważ bał się odwrócić uwagę Polaków od spraw... wschodu. Po zawarciu ostatecznego (w jego mniemaniu) pokoju z Moskwą król przez piętnaście lat nie oglądał ruskich kresów swego państwa. Tak wyglądały w praktyce jego wschodnie ciągoty.

Polityka odraczania decyzji i wyczekiwania na spadek po Jerzym doznała załamania w roku 1469. Śląska i czeska opozycja, nie znalazłszy poparcia w Krakowie, poszukała sobie innego protektora. Był nim król węgierski Maciej Korwin, człowiek wierny Rzymowi i uważany za świeckie ramię Kościoła. Papież dotychczas nie wciągał go w sprawy czeskie, pozostawiając mu tureckie. Teraz zgromadzeni we Wrocławiu czescy panowie katoliccy sami wysłali posła do Macieja, który wkrótce zajął Morawy, Łużyce oraz Śląsk. 3 maja 1469 roku obwołano go królem.

W odpowiedzi na to prawowity sejm czeski już w czerwcu wybrał następcą tronu najstarszego z synów Kazimierza, Władysława Jagiellończyka. Torowano mu drogę bardzo gorliwie, odsuwając od dziedziczenia trzech synów Jerzego. Czechy żywiły nadzieję, że Polska obroni je przed Korwinem i doprowadzi do ugody z Rzymem. Ale stamtąd w dalszym ciągu słyszał Kraków wezwania do wojny przeciw „odszczepieńcowi”. Legat papieski pisał ze zgorszeniem: „Polacy jedni Jerzego nazywają królem i cześć mu oddają.”

Wybór królewicza Władysława na czeskiego następcę tronu stanowiłby duży sukces polityki zmierzającej do uzyskania Pragi na drodze pokojowej,

gdyby nie to, że w istniejących okolicznościach nie mogło się już obyć bez wojny z Maciejem Korwinem. Zamierzony pochód młodego Jagiellończyka nad Wełtawę automatycznie musiał postawić w ogniu południową granicę Polski i na tym polegało nieszczęście, z konieczności pociągające za sobą dalsze trudności. Maciej był wodzem wybitnym, nie brakowało mu ani sił, ani sprzymierzeńców. Jak się wkrótce przekonamy, miał jeszcze pozyskać dodatkowych, i to w stronach od Węgier bardzo odległych.

Siedemdziesiąte lata XV wieku obfitowały w wydarzenia, których część przynajmniej trzeba przedstawić w porządku chronologicznym, dzieląc w tym celu opowiadanie na urywki oznaczone datami rocznymi, a w pewnych wypadkach uwzględniające nawet daty dzienne. Jest to bowiem jedyny dostępny pisarzowi sposób uzmysłowienia, iż wydarzenia te zachodziły jednocześnie, przeplatały się nawzajem, stawiając przed ludźmi nie poszczególne problemy do kolejnego załatwiania, lecz cały ich powikłany węzeł... od razu.

Rok 1470

Jego początek zastał Jagiellończyka na Litwie. Król odwiedził dalekie kresy Wielkiego Księstwa, których nie oglądał od kilkunastu lat, był w Połocku, Smoleńsku i Witebsku. Przewidywał ważne wydarzenia na wschodzie i gotował się do nich.

Stosunki z Moskwą od pewnego czasu naprężyły się coraz bardziej. Wasyl Ślepy aż do końca zachowywał ostentacyjną powściągliwość, nawet uległość i pokorę - przed śmiercią polecił swych pięciu synów opiece „przewysokiego, szlachetnego, sławnego i wielkiego króla” - ale sam jeszcze zdążył wydatnie wzmocnić swe państwo od strony zachodniej. Jego następcą, Iwan III Srogi, w 1464 roku objął zwierzchnictwo nad Pskowem i wyraźnie zagroził Wielkiemu Nowogrodowi. Poczynaniom księcia ideowo patronowała Cerkiew, będąca w gruncie rzeczy narzędziem jego polityki.

13 kwietnia Jagiellończyk przebywał już w Sandomierzu, gdzie przyjmował legata papieskiego, który wzywał do krucjaty przeciwko Jerzemu z Podiebradu, oraz posła cesarskiego, ofiarującego przymierze przeciw Maciejowi Korwinowi. Ze swej strony słał król do Pragi, namawiając Jerzego do abdykacji na rzecz Władysława.

W lipcu Kazimierz przez dłuższy czas bawił we Lwowie. Czekał tam na wojewodę mołdawskiego Stefana, który był zobowiązany do składania Polsce hołdu, ale nie przyjeżdżał, wymawiając się wojną z Besarabią.

Jesienią odbywał się zjazd koronny w Piotrkowie. Niedawno obrany wielkim mistrzem Henryk von Richtenberg złożył Polsce hołd oraz przysięgę wierności, do czego zobowiązywał go traktat toruński. Stało się to w listopadzie.

W tym samym czasie książę Michał Olelkowicz „z ręki królewskiej” wjechał do Wielkiego Nowogrodu. Nastąpiło to wskutek porozumienia z jego obywatelami, którzy, zagrożeni przez Moskwę, poddali się Litwie i wysłali do Wilna posłów z prośbą, by Kazimierz dał im „kniazia ze swej dzierzawy”. Już Jagiełło i Witold dążyli do opanowania tej potężnej i przebogatej republiki kupieckiej. Teraz, to znaczy u schyłku 1470 roku, zamiar ich zdawał się przyoblekać w ciało, a Litwa zyskiwać decydujący

punkt w rozgrywce z Kremlem. Wielki Nowogród przeszedł na jej stronę „uroczyście i dobrowolnie”, dzierżawy jego okrażały Moskwę od północy, a bajeczne skarby stanowiły solidną podstawę działania.

Rok 1471

W pierwszych jego miesiącach król znowu bawi w Wilnie i osobiście doprowadza do końca układ z nowogrodzianami, którzy mają odtąd pozostawać pod władzą jego namiestników. Miasto reprezentowało na tych naradach ośmiu przedstawicieli bojarstwa, kupiectwa i ludu.

22 marca, kiedy Kazimierz przebywał jeszcze w Wilnie, w Pradze zmarł Jerzy z Podiebradu, od dawna ciężko chory. Kandydatów do spadku zgłosiło się wielu. Jednakże 9 czerwca stanęło w Krakowie poselstwo czeskie, zgodnie z dawniejszym wyborem zapraszające na tron polskiego królewicza. W tydzień później - na Wawelu - w obecności ojca, biskupów, tłumy rycerstwa i ludu Władysław Jagiellończyk

przemówił w języku polskim tak wymownie i pięknie, że wielu słuchających do łez poruszył, i za powszechną zgodą, na cześć Boga Wszechmogącego, pomnożenie wiary chrześcijańskiej i zaszczyt ludów słowiańskich przyjął rządy królestwa czeskiego, przyrzekając nieprzezornie, że zapłaci wszystkie długi królestwa, które rozumiał, iż były nie tak wielkie.

14 lipca Iwan Srogi rozgromił nad Szeloną wojska Wielkiego Nowogrodu, który nie zdążył nawet wezwać Litwy na pomoc. Książę Michał Olelkowicz, namiestnik królewski, nie uczestniczył w walce, ponieważ już wcześniej wycofał się. Od końca poprzedniego roku istniał bowiem zatarg między nim a Kazimierzem. Chodziło o Kijów, którym dotychczas władała rodzina Michała i została go pozbawiona na rzecz litewskiego wojewody Marcina Gasztołda.

25 lipca Władysław Jagiellończyk, odprowadzany przez ojca aż do granicy, na czele dziesięciu tysięcy rycerstwa polskiego rusza do Czech. Po drodze poselstwo Macieja Korwina przywozi mu wypowiedzenie wojny.

11 sierpnia dziesięciu posłów Wielkiego Nowogrodu stawia się w Moskwie, na Kremlu. Płacą ogromną kontrybucję oraz imieniem swego miasta przyrzekają poddać się władzy Iwana i nigdy już więcej nie porozumiewać z Litwą. W najbliższej przyszłości Srogi miał jeszcze bardziej umocnić swe panowanie nad Nowogrodem, ponieważ jednak akt z dnia 11 sierpnia 1471 roku nie został cofnięty ani przekreślony, więc śmiało można go uznać za moment zwrotny i rozstrzygający.

W dziesięć dni później - 21 sierpnia - biskupi polscy ukoronowali w Pradze Władysława Jagiellończyka na króla Czech. Wojsko powróciło do domu, ani razu nie dobywszy oręża, bo wszystko odbyło się w zupełnym spokoju. Stanowiło wspaniałą asystę przy koronacji.

O wiele gorzej powiodło się tym oddziałom, które w październiku i listopadzie w sile dwunastu tysięcy zbrojnych chodziły na Węgry. Niechętna Maciejowi Korwinowi grupa tamtejszych magnatów zaprosiła na tron drugiego polskiego królewicza, Kazimierza. Uchodził on za szczególnie zdolnego i dlatego wielu działaczy koronnych nie chciało

oddawać go Madziarom. Król postanowił jednak inaczej. (Trzeba przypomnieć, że Jagiellończyk prowadził swych synów na trony czeski i węgierski jako dziedziców, matka ich była bowiem siostrą Pogrobowca; opierał się więc na zasadzie czysto dynastycznej, widząc w swych dzieciach spadkobierców ich bezpotomnego wuja. Królewicze szli za granicę w kolejności starszeństwa, czego niepodobna uznać za zgodne z interesem kraju macierzystego, Polski, degradowanej tą drogą w sposób oczywisty. Wspomniana praktyka wcale też nie sprzyjała odbudowie dziedzicznej monarchii u nas, gdyż ta odbudowa wymagałaby zagwarantowania pierworodnemu praw do Wawelu.) Wyprawa nad Dunaj nie powiodła się. Królewicza Kazimierza nie poparli ci nawet, którzy go wezwali na Węgry. Jeszcze przed zakończeniem roku przyszło rozpocząć odwrót, a polskie sejmiki generalne musiały uchwalić specjalne podatki na zapłacenie wojsku należnego żołdu. Jedyne rezultaty przedsięwzięcia polegały więc na zaostrzeniu stosunków z Korwinem, kompromitacji wobec Europy oraz na dotkliwym osłabieniu finansów królestwa, i tak już znajdujących się w opłakanym stanie.

Jesienią powrócił ze Złotej Ordy poseł litewski. Przywiózł zgodę chana Achmata na wspólną wyprawę przeciwko Moskwie, zamierzoną na najbliższe lato.

Rok 1472

W styczniu królewicz Kazimierz przekroczył - w drodze powrotnej - granicę Polski, nic nie działawszy na Węgrzech. Na wiosnę zaś wybuchły groźne i - jak się z czasem okazało - bardzo przewlekłe niepokoje w Warmii, wokół Lidzbarka. Wznicił je ksiądz Mikołaj Tungen, rodowity Warmiak z Ornety, kandydat na tamtejsze biskupstwo.

Wkrótce po pokoju toruńskim zmarł biskup warmiński Paweł Legendorf, który usilnie namawiał króla do dalszego prowadzenia wojny i całkowitego zniszczenia Zakonu. Na opróżnione stanowisko kapituła obrała kanonika Mikołaja Tungena, przebywającego w Rzymie, stronnika Krzyżaków. Jagiellończyk go oczywiście nie uznał i sprawa pozostawała w zawieszeniu, co było tym gorsze, iż papież nie zatwierdził pokoju toruńskiego. Tungen w przebraniu pielgrzyma przedostał się do Prus i na wiosnę, korzystając z zatrudnienia króla na południu, rozpoczął akcję. Miał zdecydowane poparcie ze strony wojującego z Polską króla Węgier oraz Krzyżaków, którzy nie występowali jawnie, lecz oburącz uchwycili sposobność do odrobienia strat poniesionych w wojnie trzynastoletniej. Tungen przy ich i Macieja Korwina pomocy zwerbował wojsko i zajął Warmię. Taki był początek długotrwałego zatargu, przemienionego później w otwartą wojnę, nazwaną „popią”.

Latem chan Achmat zgodnie z zawartą umową wyruszył przeciwko Moskwie. W oznaczonym miejscu nie zastał posiłków litewskich. Król nie mógł ich przysłać ze względu na wspomniane przed chwilą zatrudnienia na innych frontach, południowym i północnym. W sierpniu Tatarzy nie zdołali sforsować rzeki Oki i cofnęli się w stepy, dziesiątkowani przez epidemię. Orda nieustannie słabła i jej zwierzchnictwo nad Moskwą z każdym rokiem stawało się coraz bardziej wątpliwe. Iwan Srogi już wtedy zaczął głosić, że właściwie pozostaje mu tylko jeden poważny wróg, którym jest Kazimierz

Jagiellończyk.

Chronologiczny przegląd wydarzeń trzech lat dostatecznie chyba ilustruje prawdę o tej decydującej w dziejach państw jagiellońskich epoce. Wielka, a wskutek dynastycznych przedsięwzięć jeszcze pomnożona ilość frontów i zagadnień nieustannie dostarczała okazji wrogom króla, Litwy lub - jak w wypadku Tungena i Krzyżaków - Polski. Sejmiki koronne muszą uchylać podatki na wspomnienie Władysława Jagiellończyka, wojującego z Maciejem Korwinem. Cała ta polityka w ostatecznym obrachunku odbywa się bowiem na koszt Polski, i to nie tylko pieniężny. Korona, jako bardziej zasobny składnik państwa, stanowi właściwą podstawę działań i chce czy nie chce, musi płacić. Prawdę tę miały wymownie potwierdzić późniejsze dziesięciolecia i wieki.

Dzięki żmudnym dochodzeniom badaczy rozporządzamy konkretnymi wiadomościami o rozkładzie sił oraz o ich jakości. Wielkie Księstwo Litewskie na całym swym olbrzymim obszarze posiadało zaledwie sześć twierdz murowanych. W dodatku cztery z nich Wilno, Troki, Miedniki i Krewo - leżały w Litwie gniazdowej, a tylko dwie - Orsza i Witebsk - strzegły wschodu. Nawet Kijów poprzestawał na drewnianych umocnieniach. Jak widzimy, Litwa fortyfikowała się poważnie (w miarę swych możliwości) od strony Krzyżaków, wschód zaniedbała pod tym względem, aczkolwiek właśnie on bardziej ją pociągał.

Moskwa ówczesna też była daleka od rekordów, bo posiadała dziesięć twierdz murowanych. Jednakże tylko jedna z nich - sam Kreml - leżała na zapleczu, pozostałe tworzyły front zachodni.

Wspomniano w pierwszym tomie, że Kazimierz Wielki wznosił w swym niewielkim królestwie pięćdziesiąt pięć ceglanych i kamiennych fortec oraz zaopatrzył dwadzieścia osiem miast w mury obronne (o ich jakości możemy się dziś jeszcze przekonać w Będzinie, Kazimierzu, Szydłowcu i w wielu innych miejscach). Poddani króla dokonali ponadto piętnastu takich samych prac. Oczywiście nie wszystkie zamki polskie powstały za Kazimierza. Kraków na przykład zawdzięczał obwarowania Leszkowi Czarnemu, Mazowsze swoim książętom. Doliczmy umocnienia starsze i nowsze oraz „burgi” odjęte Krzyżakom. Na Polsce kończył się wtedy w Europie teren naprawdę uzbrojony.

Kolosalne przestrzenie wschodnie miały się wkrótce stać widownią wojny ruchowej. Wobec mizernej liczby dobrych punktów oporu możliwe były posunięcia szybkie, opanowywanie dużych terytoriów od jednego zamachu. Polska nie mogła przenieść swych zamków na wschód, musiała więc dawać pomoc w postaci siły żywej, pieniędzy i wysiłku dyplomatycznego. Taki stan rzeczy powodował jak najpoważniejsze skutki natury politycznej. Z punktu widzenia Kremla owocny sposób walki z Litwą polegał na szukaniu takich sojuszników, którzy mogą zaszachować lub uderzyć Koronę. Sprawa jest jasna i dalszych dowodów nie potrzebuje. Należy natomiast wspomnieć, że właśnie za Iwana Srogiego Zachód „odkrył” Moskwę. Dostrzeżono nagle, także i w papieskim Rzymie, iż na zapleczu imperium jagiellońskiego istnieje mocarstwo, które w sam raz nadaje się na sprzymierzeńca, bo takim Habsburgom lub pruskim Krzyżakom w niczym nie zagraża (Krzyżacy inflancy od razu poczuli się

zaniepokojeni i współdziałali z Litwą).

Już za Wasyla Ślepego Moskwa narzuciwszy Twerowi protektorat zobowiązała go do wspólnego działania przeciwko Litwie, Tatarom, Lachom i Niemcom (oczywiście tym z Inflant). A przecież Polska, skłócona wtedy z Litwą o Wołyń i Podole, nie posyłała rycerstwa na wschód. Samo położenie polityczne skłaniało Kreml do dalekowidztwa. Po unii Kraków wziął na siebie tę rolę, którą poprzednio spełniało tylko Wilno - rolę celu, w który należało godzić, jeśli się chciało odebrać Litwie ziemie ruskie. Przed unią nadawał się raczej na partnera Moskwy, po jej zawarciu jedynie na wroga.

Wszystko to dopiero z czasem miało zupełnie wyraźnie wyjść na jaw. Bo w siedemdziesiątych latach XV wieku Kraków miał inne zatrudnienia i wschodem przejmował się mało.

Wojna z Maciejem Korwinem, który wcale nie zrezygnował z Czech i w dalszym ciągu trzymał Śląsk, Łużyce i Morawy, trwała. 21 lutego 1474 roku przerwał ją rozejm, wkrótce niestety popsuty. A spokój od południa mógł się wtedy bardzo przydać, bo w tym samym miesiącu Mikołaj Tungen opanował Lidzbark i stał się chwilowym panem całej diecezji warmińskiej. Jednakże obaj Jagiellonowie - Kazimierz i Władysław - 13 marca zawarli umowę z cesarzem Fryderykiem III skierowaną przeciwko Korwinowi.

Wojna rozpałała się na nowo. Jej najważniejszym, wielce oryginalnym, lecz bynajmniej nie chwalebny momentem było wspólne, polsko-czeskie oblężenie Wrocławia, którego bronił Maciej Korwin na czele swych najemników. Trzeba ich było umieścić w osobnym obwarowanym obozie koło kościoła Św. Wincentego i zakazać im wstępu na ulice miasta nocą, gdyż obrońcy ci byli gorsi od nieprzyjaciół. Rabowali i zabijali mieszczan, tłumacząc im: król Maciej zalega z żołdem, więc wy, jako jego poddani, powinniście nam płacić. Na rozkaz Macieja tłumy wieśniaków schroniły się za mury, tak zapełniając wszelkie przejścia, że ruch wewnętrzny odbywał się z trudem.

Ogromna, sześćdziesięciu tysięcy podobno dochodząca armia polsko-czeska, z którą byli obaj monarchowie, topniała z głodu, zimna i chorób. Fatalnie dowodzona, nie przedsięwzięła żadnych godnych uwagi działań i w listopadzie odeszła. W grudniu ułożono we Wrocławiu pokój, obowiązujący do maja 1477 roku. Strona polska dopuściła do tego, że Korwin umieścił w układzie klauzulę obejmującą Mikołaja Tungenę, którego brał w ten sposób pod swoją oficjalną opiekę.

Główny doradca polityczny Macieja Korwina, włoski franciszkanin Gabriel z Werony, zwany przez Niemców krótko „der Mönch”, osławił te wypadki w wierszach własnego pióra, szeroko kolportowanych po Europie, dotkliwie obniżając autorytet Polski. On również popierał sprawę Tungenę, dla którego wyprawa wrocławska była istnym dobrodziejstwem. Podobno pełnych czterdzieści tysięcy wojsk polskich lub opłacanych przez Polskę poszło pod to miasto zdobywać je nie dla siebie, lecz dla Władysława jako króla Czech. Zabrakło więc sił dla ostatecznego zrobienia porządku w Warmii oraz z sąsiednimi protektorami Tungenę.

Byli nimi oczywiście Krzyżacy. U schyłku 1476 roku wielki mistrz

Henryk von Richtenberg zaczął działać w sposób zdecydowany. Niedaleki termin wygaśnięcia rozejmu polsko-węgierskiego wróżył mu pomyślną okazję. Na wiosnę król Kazimierz osobiście był w Malborku, ale „ani dokonawszy zmian zamierzonych [...] wykrywszy tylko i sprawdziwszy dowodnie rozmaite chytryści i zdradziectwa, które Maciej, król węgierski, przeciw niemu i królestwu polskiemu wraz z mistrzem, zakonem krzyżackim i wielu osobami potajemnie knował” - odjechał na południe. Z Piotrkowa wysłał potrzebne rozkazy i natychmiast „porwały się do broni wszystkie ziemie ruskie, jak to przemyska, lwowska, podolska, bełska, chełmska, i pod miastem Kamieńcem [...] stanęły obozem, aby w każdej potrzebie mogły przeciw Turkom pomagać Stefanowi”, wojewodzie mołdawskiemu, lennikowi Polski.

W poprzednim roku sułtan opanował był bowiem miasto Kaffę na Krymie, pochwycił tam i uwiózł do siebie chana tatarskiego Mengli-Gireja. Teraz spodziewano się jego uderzenia na Mołdawię, które jednak nie nastąpiło. Pospolite ruszenie wróciło do domu.

Tymczasem Maciej Korwin dał duży zasiłek pieniężny Krzyżakom, jeszcze więcej obiecywał. „Biegali ustawicznie komturowie z Prus do Węgier i wchodzili w obopólne układy z Maciejem, który na ich podstawie brał Krzyżaków w opiekę i obronę.” 13 lutego 1477 roku podpisano w Ostrzyhomiu traktat przyjaźni między Budą a Królewcem. W Polsce przejęto tajną korespondencję i król „dla utrzymania w posłuszeństwie tak wiernych, jak i przeniewierców” pchnął do Malborka to, co było pod ręką - sześciuset konnych i czterystu pieszych żołnierzy pod dowództwem Piotra Dunina. Mieli oni zapobiec wybuchowi wojny, dopóki Kazimierz nie zbierze większej siły.

W sierpniu zgromadzona w Królewcu kapituła zakonna powołała nowego wielkiego mistrza. Został nim Marcin von Truchsess, komtur Ostródy. To on osobiście podpisał w Ostrzyhomiu układ z Maciejem Korwinem, a tuż przed wyborem powrócił z Rzymu. Był pewien poparcia obu wzmiankowanych potęg i dobrze zorientowany w położeniu. Toteż w roku 1478 wystąpił otwarcie, odmówił złożenia hołdu i wkroczył z wojskiem do Polski, zajmując Brodnicę, Chełmno i Starogard, które wykupił od najemników królewskich. Był to zdecydowany zamach na pokój toruński, próba powrotu Krzyżaków na stracone ziemie. Na szczęście przeraziła ona dawnych poddanych Zakonu, zwłaszcza gdańszczan.

W początkach owego roku otrzymała Polska bardzo niebezpieczny cios. Rezydujący we Wrocławiu legat papieski, Baltazar z Piscii, ogłosił Kazimierza i Władysława Jagiellonów za wyklętych i wyłączonych z Kościoła szkodników, którzy przeszkadzają Maciejowi Korwinowi zwalczać Turków. Krzyżacy oraz wszyscy mieszkańcy Prus zostali zwolnieni z przysięg złożonych królowi. Rzym dotychczas nie zatwierdził traktatu toruńskiego, a teraz zamierzył go unicestwić. Papieżem był wówczas Sykstus IV.

Polska nie przejęła się klątwą, rozciągającą się również na wszystkich zwolenników monarchy, a Kazimierz w sporach z klerem bywał z reguły twardy. 10 maja zjazd piotrkowski wysłał do Rzymu doktora praw i kanonika poznańskiego Jana Gosłupskiego, który znalazł właściwe

argumenty. Można je w pewnym przybliżeniu określić jako groźbę zerwania z Rzymem i wprowadzenia w Polsce czegoś w rodzaju kościoła narodowego. Tak więc tylko krajowi biskupi mieliby prawo mianowania na urzędy duchowne, odwoływanie się do papieża zostałoby zabronione, a instancję rozstrzygającą stanowiłaby rada królewska. O żadnych kwestiach dotyczących samej wiary mowy nie było i trzeba to uznać za charakterystyczny dla Polaków, czysto praktyczny, jak najściślej ziemski sposób traktowania zagadnień kościelnych.

We wrześniu 1478 roku wojska polskie wkroczyły do Warmii, zajmując ją szybko. Mikołaj Tungen uciekł do Królewca, a wielkiego mistrza żałośnie zawiodły rachuby. Nie poparli go mieszkańcy Prus ani Węgry, zajęte wojną z Austrią. Maciej Korwin w tym samym roku zawarł pokój z Władysławem Jagiellończykiem i zastrzegł jedynie nieco później, że król polski przebaczy zarówno Tungenowi, jak Truchsessowi.

Akt niepotrzebnej łaski okazano im w roku 1479. W lipcu na zjeździe piotrkowskim Tungen upadł królowi do nóg, „z pokorą i łzami wyznał swoje winy”. Otrzymał nie tylko przebaczenie, lecz został uznany za prawowitego biskupa warmińskiego, mógł objąć rządy w Lidzbarku.

Dłużej upierał się wielki mistrz, który „zaklinał się, że pierwszej da z siebie żywego skórę zdjąć i posiekać się na drobne kawałki”, niż złoży hołd. Uczynił to jednak 9 października w głównej sali zamku korczyńskiego, w obecności wielu świadków, wśród których nie zabrakło dożywającego swych dni Jana Długosza. Stary dziejopis cieszył się serdecznie, że oto dane mu jest własnymi oczyma oglądać hołd, składany Polsce przez czwartego z kolei wielkiego mistrza Krzyżaków.

Wynik „wojny popiej” i hołdy z 1479 roku uważa się często za utwierdzenie pokoju toruńskiego oraz odniesionego przed trzynastu laty zwycięstwa. Z większą chyba jednak dozą słuszności można w nich widzieć zmarnowanie okazji do całkowitej zagłady Zakonu. Mistrz wystąpił zaczepnie i w krótkim czasie popadł w położenie właściwie bez wyjścia. Zawiodły go nadzieje, pomoc nie przysłała, a Polska była przecież o wiele silniejsza. Gdybyż jej władca włożył w tę sprawę tyle wysiłku i uporu, ile poświęcał zabiegom dynastycznym!

Litwa nie uczestniczyła w „wojnie popiej”, podobnie jak poprzednio w trzynastoletniej, ale tym razem wynikało to z zupełnie innych powodów, chociaż intryg krzyżackich też nie brakowało. Na wiosnę 1478 roku zebrani w Brześciu nad Bugiem panowie litewscy zaklinali króla, by wyznaczył jednego z synów na zarządcę Wielkiego Księstwa. Chcieli mieć na stałe w Wilnie kogoś obdarzonego prawem decydowania. Kazimierz odrzekł im jednak, „że za życia swego nikomu nie powierzy rządów Litwy”. 17 listopada 1479 roku, w pięć tygodni po hołdzie von Truchsesa, jako tako ułożywszy sprawy koronne i nie zaglądając nawet do Krakowa, wyruszył z Korczyna na Litwę, gdzie miał pozostawać przez pięć lat. Pośpiech wpłynął chyba na nagłe i lada jakie załatwienie kwestii Prus krzyżackich.

Położenie Litwy zaczynało być wręcz groźne. Iwan III naciskał na granice, a w styczniu 1478 roku ostatecznie umocnił się w Wielkim Nowogrodzie, gdzie opozycja po dawnemu sprzyjała Wilnu i zdołała nawet

wzniecić rozruchy.

Posłuchajmy, co napisał o tych wypadkach Jan Długosz. Czyńmy to tym uważniej, iż słowa te kreśliło pióro Polaka wolnego od jakichkolwiek kompleksów wobec Moskwy, która go po prostu mało dawniej obchodziła:

kniaź Iwan dzielny był i obrotnym mężem [...] Bolało to męża dzielnego umysłu i wyniosłej duszy, że mu Nowogród, z ruskich powiatów największy i najzamożniejszy, o którym twierdził, że był jego własnością i dziedziną, Litwa odjęła. Oburzał się na to wspomnienie, że naród zinał słaby i zniewieściał, a w bogactwa więcej niż Wenecja obfitujący, wzgardził jego panowaniem i podług swego upodobania książąt sobie i władców, za radą biskupa starszego i ludu, obierał lub strącał. Skoro więc kniaź Iwan spostrzegł, że kraj ten przez Kazimierza króla polskiego zaniedbany był i prawie opuszczony, chociaż corocznie płacił królowi sto tysięcy złotych groszy, czyli rubli, podatku, niebawem zagarnął go i do swoich państw przyłączył.

Długosz mówił dotychczas właściwie o wypadkach roku 1471, już nam znanych. Dalszy ciąg odnosi się do stycznia 1478 roku:

Obawiając się zaś, aby nowogrodzianie potężni na morzu i na lądzie, przez długie wieki niezmiernie zbogaceni, nie porwali się kiedy przeciw niemu i nie podnieśli rokoszu, wkroczył do Nowogrodu ze znaczną siłą tak własnego, jak i najemnego żołnierza, tając zrazu swój zamiar. Niebawem zaś złupiwszy skarb biskupi, zamożny w niesłychane składy złota, srebra i rozmaite kosztowności, które od kilkuset lat biskupi jeden drugiemu w spadku przekazywali i troskliwie chowali, i trzechset nowogrodzian starszych wiekiem i zamożniejszych straciwszy, a dobra ich i majątki na skarb książęcy zabrawszy, całe potem miasto Nowogród i jego mieszkańców obrab w dwóch częściach ze złota, srebra i drogich kamieni, a trzecią tylko część każdemu z posiadaczy zostawił, która jednakże więcej bogactw wynosić miała niżli dziesięć Wenecji. Może wierzyć temu nie zechcą potomni, że trzysta wozów naładowanych samym złotem, srebrem, kamieniami drogimi, perłami i innymi tego rodzaju klejnotami, w które nowogrodzianie aż do zbytku obfitowali, uprowadził. Szła za nim prócz tego niezmierna liczba wozów z najwyborniejszymi futrami, postawami purpury, sukna i rozmaitego rodzaju zdobyczą. Tak ogromnymi skarby zbogacony, stał się wszystkim dokoła narodom strasznym i niebezpiecznym. Oderwawszy kilka powiatów Litwie zdawał się podobnież innym krajom zagrażać.

Jeśli potomni wątpią, to szczególnie o tym, czy pozostawione w Wielkim Nowogrodzie resztki istotnie były więcej warte niż dziesięć Wenecji. No i wysokość podatku płaconego przez miasto Jagiellończykowi nie była aż tak zawrotna. Ale przytaczajmy dalej, bo rozdział kroniki Długosza, z którego czerpiemy, zalicza się do zjawisk rzadkich w całej historiografii światowej:

A gdy Litwini chcieli przeciw niemu wziąć się do oręża, odwoził ich od tego zamysłu Kazimierz król polski i roztropnie odradzał im wojnę, przestrzegając, „aby sami mało świadomi bojów nie porywali się lekkomyślnie na wodza wstawionego tyłu zwycięstw i w wielkie zamożnego skarby, nie zapewniwszy sobie wprzód z Polski posiłków wprawnego i ćwiczonego wojska; aby nie pokładali wiele nadziei w Rusinach do Litwy należących, którzy dla odmienności wyznania byli im nieprzychylni; i aby zgola wiedzieli, że jeśli z Moskwą zmierzyć się zechcą orężem, raczej zguby swej niżeli zwycięstwa dobijać się będą”. Usłuchali tych rad roztropniejsi z Litwinów, uznawszy, że król prawdę mówił i rzeczy mądrze przewidywał.

Ktoś wtedy okazał się genialny - król Kazimierz, jeśli naprawdę te słowa wyrzekł, albo ksiądz kanonik Długosz, jeżeli własne opinie włożył w usta monarchy.

Przybywszy na Litwę w końcu roku 1479, nader energicznie zabrał się Jagiellończyk do dzieła. Wszedł w porozumienie z dwoma braćmi Iwana oraz z zakonem inflanckim, który - w najwyższym stopniu zaniepokojony położeniem - już poprzednio słał był aż do Lubeki i Kopenhagi trwożne wieści. Spodziewał się bowiem zupełnie słusznie, że spotężniała Moskwa sięgnie po wybrzeża Bałtyku. Najważniejszym sprzymierzeńcem Kazimierza był jednak chan Złotej Ordy, Achmat, nominalny zwierzchnik Kremla, ten sam, który już kilka lat temu chodził nad Okę.

Powróćmy znowu do fenomenalnego rozdziału księgi Długosza. Określiwszy Iwana Srogiego jako męża „dzielnego umysłu i wyniosłej duszy”, tak pisze dalej kronikarz o jego czynach, które uważa za już w pełni dokonane:

Wydobył się on na wolność ze wszystkimi księstwami swymi i powiatami, skruszywszy jarzmo barbarzyńskie, które całą Moskwę od dawnego wieku [...] srodze uciskało. To jarzmo tak było twarde i ohydne, że sam książę moskiewski naprzeciw posłom chana tatarskiego, a nawet sługom prostym i najnikczemniejszym, po odebranie haraczu lub z innym jakim zleceniem do Moskwy zajeżdżającym, pieszo na powitanie występował, siedzącym na koniu podawał kubek kobyłego mleka z największą pokorą, a kapiące krople z końskiej grzywy zlizywać musiał.

Wiadomość o wydobyciu się Moskwy na wolność umieścił nasz dziejopisarz w rozdziale opowiadającym o roku 1479. Tymczasem cała bez wyjątku historiografia światowa oznacza koniec niewoli tatarskiej na rok 1480, rachuje od jesiennych wypadków, o których Jan Długosz niczego wiedzieć nie mógł, ponieważ leżał już w grobie. A więc na podstawie dawniej zaszłych wydarzeń uznał on za możliwy tylko ten wynik, który się istotnie urzeczywistnił, lecz wśród okoliczności dramatycznych, a zupełnie nie nadających się do przewidzenia. Zatem nasza wielka kronika średniowieczna zawiera prawdziwą wiadomość o fakcie, który się ostatecznie dokonał po zgonie jej autora.

Czymś wstrząsającym jest ta przenikliwość myśli schorowanego, na samym brzegu mogiły stojącego starca, który przez całe życie święcie

wierzył w siły nadprzyrodzone i nie wątpił o ich decydującym wpływie na losy narodów. Wcale mu to nie przeszkodziło zrozumieć, czym stała się Moskwa i jakie widoki w walce przeciwko niej mają zarówno Tatarzy, jak i Litwini. Ponieważ rzeczy oczywiste najłatwiej uchodzą uwagi ludzkiej, trzeba jeszcze raz podkreślić, że Długosz ustalił i utrwalił na piśmie swe poglądy w roku 1479, a nie na przykład w 1796, po rozbiorach... Zmarł 19 maja 1480 roku. Przytoczone urywki pochodzą z przedostatniego rozdziału i zawierają ostatnie w ogóle ważne wiadomości jego dzieła.

Król Kazimierz przebywał wtedy w Wilnie, gdzie pertraktował z komturami inflanckimi. Na Litwie stało już, czekając rozkazu, osiem tysięcy zacieężnej kawalerii polskiej, chan Achmat zaś wraz z sześciu synami i całą swą ordą szedł na Moskwę. Przekroczył Okę w granicach Wielkiego Księstwa Litewskiego i rozbił obóz w umówionym miejscu, czekając na króla, który nie przyszedł. Późną jesienią chan samodzielnie ruszył nad Ugrę. Drugi brzeg rzeki obsadziły wojska moskiewskie, lecz żadna ze stron nie zaczynała walki. W listopadzie ścisnęły mrozy. Achmat cofnął się w stepy, wysławszy do Iwana list tej treści: idę, bo ludzie moi są bez odzieży, a konie bez derek, niech jednak minie dziewięćdziesiąt dni „serca zimy” - powrócę i pomyje u mnie pić będziesz. Istnieje podanie o innym piśmie chanowym, ozdobionym jego wizerunkiem. Srogi miał splunąć na nie, porwać je i podeptać.

Achmat nie wrócił, bo poległ nad Dońcem w starciu z Nogajcami. 11 listopada 1480 roku, dzień odejścia chana znad Ugry, data w historii powszechnej niezmiernie ważna, oznacza koniec dwa i pół wieku niemal trwającego zwierzchnictwa tatarskiego nad Moskwą, rozpoczyna całkowitą suwerenność tej ostatniej. Potęga jej, jak wiemy, urosła znacznie wcześniej.

Dlaczego Kazimierz nie nadciągnął chanowi z pomocą, pomimo że „*oba prysiahnuli i na koń swój wsiedszy mieli na Iwana pojty*”? Przyczyny były trzy.

Wiosną 1480 roku lennik Polski, wojewoda mołdawski Stefan, nadesłał do Wilna alarmującą wiadomość. Ostrzegał o zamierzonym uderzeniu Turków na południowe ziemie Wielkiego Księstwa.

Ludwik Kolankowski, który te dzieje poznał do głębi, przychyła się ku opinii, że z zasady skłonny do kręctw Stefan umyślnie przysłał fałszywą wiadomość, działając na korzyść Moskwy. Pozostawał z nią w porozumieniu, które miało się wkrótce jeszcze bardziej zacieśnić. Wydawał właśnie córkę za najstarszego syna Iwana.

Ostrzeżenie wywołało na Litwie zrozumiałą trwogę, tamtejsi politycy już od lat niespokojnie spoglądali na południe. W 1435 roku sułtan podporządkował sobie Krym.

Swojego czasu, a mianowicie w roku 1415, Witold wjechał konno w wody Morza Czarnego koło Odessy, obejmując je w posiadanie. O tym patetycznym i często później przy rozmaitych okazjach naśladowanym geście wiedzą wszyscy. Lecz tylko specjalistom wiadomo, że kolosalne obszary ukraińskie, którymi zawładnęła Litwa, były całkowicie bezbronne. Tam w ogóle brakło murowanych twierdz. Inne, rzadkie i mizerne fortalicje posiadały zaopatrzenie wręcz śmieszne. Broń palną liczono tam na pojedyncze sztuki. Starcie Litwy z armią sułtana, która w 1453 roku wzięła

szturmem Konstantynopol i rozporządzała znakomitą artylerią... starcie takie mogłoby się łatwo przemienić w wojnę noża z masłem. Jeżeli wojewoda Stefan istotnie chciał dokonać dywersji na korzyść Moskwy, to wybrał skuteczny środek.

Turcy nie uderzyli, lecz uczynił to chan krymski Mengli-Girej, od lat kilku będący poddanym sułtana. Działał on w sojuszu i ścisłym porozumieniu z Iwanem Srogim, został poszczuty na Wielkie Księstwo, aby Kazimierz nie mógł dać Achmatowi pomocy. Najazd odbył się we wrześniu, akurat wtedy, kiedy chan zawołański czekał na króla.

Najpoważniejszy był jednak powód trzeci, czyli spisek kniaziów litewsko-ruskich zmierzających do zgładzenia rodziny panującej i opanowania całej Litwy lub oderwania obszarów wschodnich aż po Berezynę i Kijów, a to w celu poddania ich Moskwie.

Na czele konspiracji stał Michał Olelkowicz, ten sam człowiek, który w roku 1470 obejmował Wielki Nowogród jako królewski namiestnik i wkrótce odszedł stamtąd, umożliwiając piorunujące zwycięstwo Iwana. Był on w prostej linii prawnikiem Olgierda, a więc po mieczu rodowitym Litwinem (matka to księżniczka moskiewska, córka Wasyla I). W herbie nosił Olelkowicz Pogoń Litewską, lecz był prawosławny i całkowicie zruszczony. On oraz drugi po nim spiskowiec, książę Jerzy Semenowicz Holszański, już w roku 1460, podczas pertraktacji z metropolitą, wyraźnie oświadczyli, że „patrzają” w prawosławnego „w *blagociestwie cwietuszczego*” pana Moskwy i uznają go za protektora wiary wschodniej na całej Litwie. Deklaracja ta nie potrzebuje komentarzy jako akt polityczny.

W 1480 roku Jagiellończyk musiał więc zająć się pacyfikowaniem stosunków wewnętrznych na Litwie, której dał osobnego metropolitę prawosławnego, a do Kijowa posłał na wojewodę wiernego sobie Iwana Chodkiewicza. W tych warunkach trudno mu było ogałać kraj z pułków i ruszać z nimi w pole. O spisku wiedział już zapewne w roku 1479 i to musiało przyspieszyć jego wyjazd z Polski, a przedtem... byle jakie załatwienie „wojny popiej”.

Na wiosnę 1481 roku spiskowcy postanowili dokonać zamachu i zgładzić króla podczas łowów. Synowie mieli podzielić los ojca, „matce królów” przeznaczano więzienie. Zamysły te wykrył prawdopodobnie Chodkiewicz i zaraz zaczęły spadać głowy. 30 sierpnia w Wilnie, w pobliżu mostu przez Wilię, Michał Olelkowicz i Jerzy Holszański zostali ścięci. Przy egzekucji asystowała cała rada wielkoksiażąca. Wyrok stwierdzał, że Olelkowicz już w 1471 roku działał na korzyść Moskwy.

Trzeci z przywódców, książę Teodor Bielski, zbiegł do Moskwy. Ułatwił mu to zapewne spowinowacony z nim Chodkiewicz, który pozostałych sprzysiężonych pochwytał i uwięził właśnie w domu Bielskiego, na jego weselu. Została na Litwie pani Teodorowa, mężatka od dwudziestu czterech godzin. Później wywiązała się ciekawa korespondencja dyplomatyczna, gdyż Iwan Srogi żądał odesłania jej na Kreml, powołując się na prawa boskie, Jagiellonowie zaś odmawiali, głosząc, że nie jest zgodne z ich pojęciem prawa wolnych ludzi w niewolę oddawać. Sama zainteresowana wcale bowiem nie pragnęła wyjazdu z Litwy.

Minęło niemal półtora wieku od chwili ucieczki wielkiego księcia Litwy, Jawnuty, na Kreml, do Kality. Przykład ten naśladowali potem przyrodni bracia Jagiełły, nawet rodzony - Świdrygiełło - nie licząc już pomniejszych osobistości. Pomimo surowych metod postępowania swych władców Moskwa wywierała przyciągający wpływ na wielu dynastów i magnatów Litwy, niekiedy nawet rodowitych Rusinów. Wynikało to z wielu przyczyn, wśród których prawosławie i poczucie pewnej wspólnoty narodowej należy jednak wysunąć na miejsce naczelne. Rdzenni Litwini-katolicy stanowili w Wielkim Księstwie żywioł uprzywilejowany, coraz bardziej przejmowali od Polaków obyczaje zachodnie, co w połączeniu z niefortunnymi próbami unii kościelnej zrażało Rusinów lub zruszczonych i prawosławnych Litwinów. Przyciągająca siła Moskwy, jej olbrzymich przestrzeni oraz oszałamiającej potęgi to temat, o którym od dawna wiele pisano - wcale go nie wyczerpując. W XV wieku, kiedy Kreml uwolnił się od Tatarów, znikł ponadto nimb otaczający władców Wilna jako obrońców przed orzą.

Imperium litewskie wyrosło w dobie wielkiego odpływu sił Rusi. Program opanowania wszystkich jej ziem urzeczywistniony nie został, Moskwa przetrwała najcięższe chwile i oto zaczynał się przyptyw. Fale jego trafiały na wygładzony grunt, bo nigdzie - w Kijowie ani w Smoleńsku, Witebsku czy Mińsku - nie było już samorodnego ośrodka polityki ruskiej. Pod tym względem Moskwa nie miała współzawodników. Władca Litwy, będący jednocześnie królem Polski, spędzał większość czasu w odległym Krakowie, a ostatnio objawił żywe zainteresowanie ziemiami położonymi na południe od Karpat.

Wolno twierdzić, że historyczna kariera na wschodzie przyszła Litwie łatwo. Najlepiej o tym świadczy szybkie tempo jej wzrostu. Gdzie indziej scalanie obszarów stosunkowo niewielkich, jak francuski lub polski, trwało przez długie stulecia i wymagało nie lada mozołu. Tutaj - w Wielkim Księstwie - w przeciągu wieku powierzchnia państwa urosła kilkakrotnie. Szczególnie zaś łatwo przyszło Litwie wspiąć się na same szczyty świetności, co nastąpiło po Grunwaldzie i pokoju melneńskim, a nosiło charakter raczej triumfalnych pochodów niż fundamentalnych, trwałych dokonań. Nie zajęto Pskowa ani Wielkiego Nowogrodu, porzestając na hołdach i okupach. Głęboki kryzys państwowy w Moskwie sparaliżował głównego współzawodnika na wschodzie, ale ta okoliczność przestała istnieć już u schyłku rządów Wasyla Ślepego. Zająwszy północne republiki kupieckie Iwan Srogi odmienił wszystko w sposób decydujący.

Pozornie zniweczył tylko dotychczasową przewagę Litwy i osiągnął stan równowagi. Trudno jednak nie uznać, że ten, kto idzie w górę i zdobywa nowe pozycje, siłą tego właśnie faktu góruje nad takim, który spada, traci. A już zwłaszcza jeśli ma jednego tylko równorzędnego wroga i wielu kandydatów na sojusze, z przeciwnikiem zaś jest akurat odwrotnie. Po katastrofie chana Achmata Litwa, władczyni wielu ziem ruskich, mogła liczyć na pomoc Polski, inflanckich Krzyżaków oraz niedobitków tatarskich. O sukcesach dyplomatycznych Iwana przyjdzie jeszcze pomówić obszerniej. Na razie wspomnijmy o tym, co zaszło przed kilku laty.

W 1472 roku przybył do Moskwy, świetnie tam przyjęty, legat papieża Pawła II, a 12 listopada Iwan pojął za żonę Zofię, córkę Tomasza Paleologa, despoty Morei na Peloponezie, potomkinię cesarzy bizantyńskich. Naraił mu ją sam papież, ciągle marzący o unii kościelnej. Takie małżeństwo ogromnie wzmogło powagę Moskwy, czyniąc z niej ideową spadkobierczynię zdobytego przez Turków Bizancjum-Konstantynopola, wtedy już Stambułu. Zewnętrznym tego wyrazem było przyjęcie przez Kreml herbu cesarzy, dwugłowego orła czarnego. Filoteusz, przełożony klasztoru w Pskowie, rozwijał teorię „trzeciego Rzymu”, zowiąc księcia Moskwy jedynym naprawdę chrześcijańskim władcą na ziemi i utrzymując, że Bizancjum upadło, ponieważ pokalało się konszachtami z papieżem (tezy o nowym Rzymie nie były całkiem oryginalne, wywodziły się ze znacznie wcześniejszych, bo jeszcze w XIV wieku snutyh pomysłów bułgarskich i serbskich, odnoszących się, oczywiście, do tych krajów).

W 1473 roku poselstwo senatu weneckiego tłumaczyło Iwanowi, że jako mąż bratanicy ostatniego cesarza ma prawo do tronu bizantyńskiego. Nie udało się jednak przywabić Srogiego na szlak Warneńczyka. Cennym sprzymierzeńcem Moskwy stał się mahometański chan Ordy Krymskiej, Mengli-Girej, lennik turecki. W 1482 roku jego najazd zniszczył Kijów, gdzie wzięty został do niewoli biskup, przeor Ławry Peczerskiej i wojewoda wraz z całą rodziną. Tatarzy działali w ścisłym porozumieniu z Moskwą, nawet pod jej presją (Iwan szantażował bowiem Mengli-Gireja, trzymając u siebie jego rywali). W tym czasie Srogi domagał się od Jagiellończyka oddania ruskich „grodów, włości i ziem, które król dzierży pod sobą”, a spotkawszy się z odmową pchnął ordę na Kijów.

Chan żądał pewnych rzeczy i dla siebie. Chciał stałych opłat pieniężnych, ubranych w formę wsparcia „na strawę” czy „upominków”, oraz terytoriów przy ujściu Dniepru, gdzie rzeczywiście wybudował później forteczkę Oczaków.

Wkrótce grożące państwu Kazimierza fronty południowy i północno-wschodni połączyły się pod względem politycznym. Z inicjatywy wroga Jagiellonów, Macieja Korwina, doszedł do skutku, został zawarty i zaprzysiężony traktat Moskwy z Węgrami. Pośredniczył wojewoda mołdawski Stefan, lennik Krakowa a sojusznik Kremla. Maciej Korwin podsunął ponadto Iwanowi myśl koronacji na króla lub cesarza Rusi.

Za ostatnich Piastów sojusz z Węgrami stał się fundamentem polityki polskiej i zdecydowanie dopomógł zjednoczeniu królestwa. Teraz wyszły stamtąd pomysły okrażania Polski. Dynastyczne ambicje drogo kosztowały.

Układ, o którym mowa, zaprzysiężono najpierw w Moskwie, a potem - w styczniu 1484 roku - w Budzie. Latem tegoż roku sułtan turecki Bajazet II zdobył nadmorskie grody mołdawskie Kilię i Białogród. Tak więc, skutkiem akcji Turków i Tatarów, państwa jagiellońskie i hołdująca im Mołdawia zostały odepchnięte od Morza Czarnego. Dzielił je od niego pas ziemi niezbyt szeroki, ale do odebrania nader trudny. W stepach pomiędzy ujściami Dunaju i Dniestru wyrosła z czasem niezmiernie dokuczliwa Orda Budziacka, zasilana z Krymu. Przedsięwzięta w roku 1485 wyprawa

królewska, pomimo zwycięstw odniesionych w polu przez oddziały polskie, nie doprowadziła do odzyskania strat.

Możliwość jednoczesnej wojny na frontach południowym i wschodnim stanowiła groźbę tak wielką, że już w roku 1484 postanowiono zabiegać o pokój z Moskwą. Udał się tam poseł litewski, Jan Zabrzeziński, proponując ugodę oraz - dla jej wzmocnienia - małżeństwo polityczne. Jeden z synów królewskich miał zaślubić córkę Iwana, Helenę. Zamiar spełniono, lecz dopiero w jedenaście lat później.

Wyraźnie pojednawcze stanowisko Litwy oznaczało, że Iwan Srogi zachowuje i utwierdza wszystkie swe naprawdę znaczne zdobycze poczynione w latach poprzednich, a sytuacja ogólna wróżyła mu dalsze. Jeszcze w tym samym roku, gdy Zabrzeziński bawił na Kremlu, przysły tam wiadomości, że sułtan pragnie pokoju z Moskwą.

Gwałtowne pogorszenie się położenia politycznego Wielkiego Księstwa zaraz wpłynęło na stosunki wewnętrzne w państwach Kazimierza Jagiellończyka. Panowie rady litewskiej zwrócili się do polskich, „aby im w tej ich przygodzie byli radni i pomocni przeciw każdemu wrogowi wszystkimi mocami Korony Polskiej i by ich w przygodach i potrzebach nie opuszczali”.

Uchwalono to w Wilnie w roku 1486, w samo stulecie unii. Oryginalny zbieg okoliczności dostarcza okazji do próby podsumowania jej dotychczasowych dziejów.

Przetrwała pełny wiek, co już samo przez się świadczy o jej żywotności. Jakież sprawy oraz interesy odegrały rolę naczelną? Wbrew pozorom i rozpowszechnionym opiniom nie były nimi zaborcze apetyty polskich magnatów, którym chodziło o Wołyń i Podole. Korona posiadała dość sił, by orężnie zdobyć Łuck, Włodzimierz i Kamieniec, nie potrzebowała do tego aż unii, która nie ułatwiała, lecz utrudniała zwykły podbój (Łucka i Włodzimierza wyrzekła się zresztą). Bez unii nie mogłaby za to tak szybko i skutecznie osiągnąć spokoju oraz bezpieczeństwa wschodniego pogranicza. Takie wydarzenia, jak łupieżcze najazdy Litwinów na Tarnów, Sandomierszczyznę, Mazowsze, nawet na Łęczycę, już się nie powtarzały. Główny cel, dla którego zaproszono ongi Jagiełłę do Krakowa, został zatem osiągnięty, środkowy bieg Wisły przestał być granicą gęstszego zaludnienia w Koronie.

Jeśli chodzi o Wielkie Księstwo, za decydujący motyw polityczny uznać wypadnie narodowe interesy Litwinów, którzy stworzyli imperium i okazali się w nim mniejszością oraz stroną kulturalnie słabszą od podbitych lub w inny sposób podporządkowanych Rusinów. Przytoczony przed chwilą apel panów litewskich do polskich nastąpił pod presją. Poprzedziło go całe pasmo niepowodzeń, utrata przewagi nad Moskwą, uderzenia Tatarów oraz groźba turecka, odnosząca się również do Polski (a właściwie do jej peryferiów politycznych, przyrosłych po unii; rdzennych ziem polskich nigdy Turcy nie dosięgli). Jagiełło obejrzał się na Kraków - czy też posłuchał wezwania stamtąd - w chwili nader dla siebie ciężkiej, dokładnie to samo uczyniła rada litewska w 1486 roku. A więc początkowy i ostatni rok pierwszego wieku dziejów unii stał dla Litwy pod tym samym znakiem zagrożenia i konieczności szukania pomocy. Fakty przemawiają z

nieodpartą logiką.

Wilno liczyło więc na „wszystkie moce Korony Polskiej”. Zupełnie spokojnie, jako o rzeczy największego znaczenia dla przyszłości, trzeba powiedzieć, że wskutek fatalnego zaprzepaszczenia sprawy krzyżackiej owe moce przedstawiały się o wiele słabiej, niż to było całkowicie możliwe do osiągnięcia. Brak poparcia dla Polski po pokoju melneńskim (że się już przemilczy politykę po Grunwaldzie), konszachty z wielkimi mistrzami, powstrzymanie się od udziału w wojnie trzynastoletniej, wszystko to z punktu widzenia dobra samej Litwy okazało się zgubne. Nie dopuszczając do wzmocnienia Korony, kłócąc się z nią zajadle o kilka powiatów (nawet o młyn na Drwęcy dla... Krzyżaków), Wielkie Księstwo podcinało gałąź, na której samo dobrowolnie usiadło. Polska nigdy - a więc także przed unią - nie zaliczała się do naturalnych wrogów Litwy. Kraków Wilna nie zaczepiał.

Jako oręż do walki z Zakonem unia zawiodła. Zwykły sojusz wojskowy spełniłby to zadanie lepiej, gdyż nie mógłby politycznie spętać Korony, odebrać jej swobody poczynań w roku 1410, zaraz po Grunwaldzie.

Niełatwo ocenić skutki długotrwałego kryzysu w stosunkach polsko-litewskich, jaki się rozpoczął w schyłkowych latach panowania Jagiełły. Były one ujemne dla polityki zagranicznej obu państw, co wynika z poprzednich rozważań. Dodać najwyżej można, że Litwa z zupełnie zrozumiałych względów namiętnie pożądała Wołynia. Należał on przecież do bardzo nielicznych w Wielkim Księstwie prowincji ludnych i naprawdę zagospodarowanych, znaczył bez porównania więcej niż olbrzymie pustki na południowym wschodzie. Jednakże wypuścić z rąk Królewiec dla oddanego zresztą przez Polskę Łucka - to niewybaczalny błąd.

Niewątpliwym zyskiem wynikłym z kryzysu był osiągnięty wreszcie kompromis między obu państwami i stopień przesadnych, nierealnych uroszczeń części rady koronnej. Program zwykłego „włączenia” Litwy do Polski nie nadawał się do wykonania i był niesłuszny. Kompromis prowadził ku formom doskonalszym, umożliwiał federację.

Długotrwały spór polityczny utrudnił, nawet zahamował wpływy kulturalne Polski na Litwę i to zjawisko trzeba uznać za bezwarunkowo ujemne. Wielkie Księstwo, które za Władysława Jagiełły wchłonęło tyle nowego, stanęło w miejscu na czas bardzo długi, bo na całe półwiecze. Nie widać żadnego postępu, kiedy się porówna rok 1430 z 1480. Obrażona na Koronę Litwa nie zaznała zjawiska, które wystąpiło w Polsce tak silnie zaraz na początku rządów Jagiellończyka. Nie było w niej mianowicie buntu szlachty przeciwko przewadze magnackiej. W królestwie zwycięsko odrodziła się opozycja „młodszych”, okrutnie zdławiona ongi przez Oleśnickiego pod Grotnikami, król zyskał punkty oparcia w sejmikach ziemskich. Na Litwie też tworzyły się pierwociny sejmu, ale mieli w nim głos tylko i wyłącznie możnowładcy. Oni obrócili na swą korzyść przywileje ogłoszone za Jagiełły oraz Witolda, półwiekowy zastój fatalnie opóźnił wyrastanie konkurencji w postaci drobniejszego ziemiaństwa. Tym gorzej naturalnie wyglądała sprawa miast, którą i w Koronie król zaniedbał.

Pod naciskiem sił zewnętrznych nieporozumienia zaczęły słabnąć, kulturalne oraz ustrojowe wpływy Polski odżywały. Działo się to jednak w

okolicznościach coraz trudniejszych, wśród gróźb wojennych lub samych wojen, a zmarnowane półwiecze było dla Litwy okresem pokoju, maconego jedynie przez zamieszki wewnętrzne. Czas jest w historii skarbem, jego straty nic powetować nie może.

W 1486 roku mieszkańcy dalekich okrain południowo-wschodnich nie zasiewali pól - z obawy przed Tatarami. Fakty i oparte na nich opinie najteższych historyków świadczą, że w tej dobie Korona - a już szczególnie Polska rdzenna - poświęcała bardzo mało uwagi tamtym stronom. Jeśli zaś chodzi o zagrożenie Wilna od strony Moskwy, to Fryderyk Papée nie zawahał się napisać w roku 1904, że za Jagiellończyka „nie ma najmniejszego zainteresowania dla północno-wschodnich granic Litwy”.

Nie można się dziwić tym zupełnie naturalnym faktom. Małopolska, od dawna połączona z Rusią Czerwoną, zważała owszem na Podole, Dniestr, nawet na Mołdawię, lecz nie na Wiaźmę i nikt by na jej miejscu inaczej nie postępował. Dla Poznania czy Kalisza to wszystko stanowiło egzotykę... nader kosztowną, bo dalekie kresy ukraińskie, pozbawione twierdz i artylerii, wymagały nakładów.

Jak pamiętamy, Jagiełło zaraz po unii usiłował związać Wielki Nowogród z Koroną Królestwa Polski, ciągnął Polaków na najdalszy wschód europejski, a Witold prowadził ich nad Ugrę. Zatarg polsko-litewski, rozpoczęty w roku 1429, na pół wieku przeszło zamknął tę politykę. Odległy wschód, a zwłaszcza już północny wschód, stał się Polakom tak samo obojętny, jak to było za Kazimierza Wielkiego. Rzeczy wróciły do normy, co z punktu widzenia interesów Litwy nie było pożądane.

Przez cztery lata - od roku 1486 do 1490 - królewicz Jan Olbracht przebywał na Rusi i zajmował się jej obroną. Odnosił wtedy pod Kopystrynem znaczne zwycięstwo nad Tatarami, wiódł nawet wyprawę na Wołoszczyznę. Głośna później „obrona potoczna” kresów, składająca się z nielicznych, lecz doborowych oddziałów wojska zawodowego, zapoczątkowana została właściwie już w owych czasach przez Olbrachta.

6 kwietnia 1490 roku zmarł w Wiedniu wróg Jagiellonów, Maciej Korwin, zostawiając nieprawego syna i pusty tron Węgier. Od kilku lat nie żył już wtedy polski królewicz Kazimierz (umarł w Grodnie 4 marca 1484 roku), który kiedyś niefortunnie wyprawiał się nad Dunaj, ale roszczenia jego rodu wcale przez to nie wygasły. Król pragnął teraz korony węgierskiej dla Jana Olbrachta, posiadającego licznych zwolenników wśród drobniejszej szlachty madziarskiej. Sprzyjali mu także niektórzy magnaci.

Widoki zapowiadały się pięknie - ojciec panem Polski i Litwy, starszy syn od dawna króluje w Czechach, młodszy pójdzie na Węgry... w Europie środkowej wyrasta mocny, solidarny blok państw jagiellońskich, oparty o Bałtyk i Adriatyk, dotykający wybrzeży Morza Czarnego. W rzeczywistości o losie korony św. Stefana rozstrzygnęła zażarta walka między rodzonymi braćmi.

Najwięksi magnaci węgierscy z potężnym Stefanem Zapolyą na czele opowiedzieli się nie za Olbrachtem, lecz za władcą Czech. Dopomogła wdowa po Korwinie, którą Władysław zdążył potajemnie zaślubić jesienią

1490 roku. Przeszedł on do historii jako „*rex bene*” (król dobrze, dobrze...), był bezwolny, uległy wpływowi, wręcz niedołączny. Zrozumiałe, że do magnackiego gustu pasował właśnie on, a nie energiczny, zacięty Jan Olbracht, popierany w dodatku przez pogłowie szlacheckie tudzież miasta. Artylerię dla zakarpaccich rot królewicza dał Gdańsk.

Kazimierz Jagiellończyk nie zmienił zdania, wsparł zbrojnie Olbrachta. Na Węgrzech rozpoczęła się wojna, którą młodszy z braci przegrał. Odstąpili go nieliczni zwolennicy magnaccy, wśród nich wojewoda siedmiogrodzki Stefan Batory (imię Stefana powtarzało się w tym rodzie ciągle). 20 lutego 1491 roku zawarto w Koszycach pokój. Tytułem odszkodowania otrzymał Olbracht od Władysława Głogów, Oleśnicę, Opawę oraz inne ziemie, a także tytuł „najwyższego księcia na Śląsku”. To mógł być duży zysk dla przyszłego spadkobiercy korony polskiej. W traktacie figurował jednak warunek, że na wypadek bezpotomnej śmierci Olbrachtowej włości śląskie powrócą do korony węgierskiej. Nie do czeskiej nawet, ale do węgierskiej! Fakt dokonany przed niewiele laty przez Macieja Korwina utrzymywał się w mocy pomimo rozszerzenia władztwa Jagiellonów na oba te państwa.

W lipcu Olbracht znowu porwał się do broni przeciwko bratu. Poparcia od ojca już nie otrzymał, gdyż król Kazimierz zmienił decyzję. W rodzinny spór Jagiellonów wmieszał się bowiem jeszcze jeden czynnik - Habsburgowie, którzy ani na chwilę nie zapomnieli, że raz już władali Czechami i Węgrami. Wobec takiego stanu rzeczy król zaniechał popierania Olbrachta, troszcząc się już tylko o utrzymanie zdobyczy dynastii.

1 stycznia 1492 roku wojska Władysława Jagiellończyka pokonały przeciwników pod Preszowem. Olbracht bił się bardzo odważnie, a uszedł z życiem dzięki poświęceniu rycerza nazwiskiem Piotr Krupski, który widząc w ręku królewicza złamany miecz oddał mu własny. Cudzym orężem przerąbał się Jan Olbracht przez czeską piechotę.

Zwycięzca potraktował go łaskawie, nie cofnął śląskiej darowizny, uszczuplił ją tylko.

Rezultat dotychczasowej rozgrywki o kraje położone na południe od Karpat był więc dla rodu Jagiellonów pomyślny. Habsburgowie stracili Pragę, Budę i Belgrad, wyszli z pustymi rękami. Sukces polsko-litewskiej dynastii zaraz przyniósł bardzo niedobre rzeczy zarówno Polsce, jak Litwie. Habsburgowie poszli poniekąd w tropy już przetarte przez dyplomację papieską - odkryli Moskwę. Na zapleczu Krakowa i Wilna dostrzegli dawniej im obojętny Kreml.

Już w 1489 roku dotarł tam pierwszy poseł habsburski, Mikołaj z Popielowa, który w imieniu swych mocodawców zaproponował Iwanowi tytuł króla całej Rusi. „Gdy będziesz, Twoja Miłość, królem - słyszał Srogi od austriackiego polityka - wtedy cała ruska ziemia, co jest pod królem polskim, odstąpi odeń i Twojej Miłości będą posłuszni.” Następnemu posłowi, von Thumowi, Iwan III wyjaśniał, że pragnie przede wszystkim Kijowa, który uważa za swą ojcowiznę. 22 kwietnia 1491 roku zawarto w Norymberdze układ. Habsburgowie przyrzekli Moskwie pomoc we wspomnianej sprawie.

W trzysta lat później sojusz niemiecko-rosyjski miał się okazać śmiertelny dla odrodzonej wewnętrznie Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

Pomimo zwycięstwa Władysław Jagiellończyk nie czuł się zbyt pewnie na Węgrzech. Słyszał o zaciągach wojskowych w Polsce, spodziewał się stamtąd nowego uderzenia i zawnoczu zabiegał w Rzymie o sankcje kościelne przeciwko ojcu i bratu. Niepokoił się jeszcze w pierwszych dniach czerwca.

Kazimierz Jagiellończyk od maja bawił w Wielkim Księstwie, ciężko chory na biegunkę. Braciszkwowie bernardyni poradzili mu nie zważać na lekarzy, kurować się litewskim razowcem i pieczonymi gruszkami. Monarcha posłuchał i rzeczywiście pomogło, ale nie na długo. Serce osłabło, wystąpiły obrzęki nóg. Medyk przyboczny, Jakub z Zalesia, orzekł otwarcie, że nie ma ratunku.

- Więc tedy umierać - spokojnie odpowiedział król.

Skończył w Grodnie dnia 7 czerwca 1492 roku.

Dokładnie w tym samym czasie na drugim krańcu Europy, w hiszpańskim porcie Palos, niejaki Krzysztof Kolumb ekwipował swoje trzy okręty i zbierał załogę z oczajduszów, specjalnie w tym celu powypuszczanych z więzień. Rok 1492 to według tradycyjnych, przemawiających do wyobraźni zapatrywań - koniec średniowiecza.

Zwłoki monarchy dotarły do Krakowa 11 lipca. Wspaniałość pogrzebu przewyższyła wszystko, co dotychczas w Polsce oglądano. Chorążowie nieśli dwadzieścia banderii ziem podległych berłu zmarłego.

Kazimierz Jagiellończyk spoczął na Wawelu. Rzeźbiony przez Wita Stwosza sarkofag jego stoi w kaplicy Świętokrzyskiej, zdobnej w bizantyńskie malowidła. Pierwsi królowie polscy z rodu Jagiellonów odznaczałi się nadzwyczajnym nabożeństwem do relikwii Św. Krzyża i bardzo często odwiedzali szczytujący się ich posiadaniem kościół na Łysej Górze.

Jest prawie niepodobieństwem wydać zrównoważony sąd o Kazimierzu Jagiellończyku - podobnie zresztą jak o całej tej dynastii. Na pewno był politykiem wybitnym, a niektórzy zdecydowanie uważają go za największego króla polskiego. Opinii tej nie można jednak traktować zbyt serio. Kazimierz najwyżej dorównywał ojcu, którego wielu Piastów przerastało o głowę.

On sam odegrał decydującą rolę w sprawie pożądanego kompromisu pomiędzy Koroną a Wielkim Księstwem. Poprawił pierwotny szkic unii, usuwając rzeczy niesłuszne. Dzięki niemu znikła fikcja polityczna, głosząca, że Litwa utraciła odrębny byt państwowy, gdy w rzeczywistości działało się zupełnie inaczej, interesy Wielkiego Księstwa niekiedy nawet górowały nad koronnymi.

On również złamał przewagę magnacką w Polsce, zakończył nad Wisłą rządy kardynałskie i biskupie. W sprawach Kościoła postępował w sposób zapowiadający już nadejście nowych czasów. Sterował tak, że zatargi z Rzymem oraz klerem krajowym wzmocniały państwo.

Sukcesy na niekorzyść możnowładztwa odnosił, niestety, tylko w Koronie, na Litwie nie działało się pod tym względem dobrze. Przyszłe losy stanu mieszczańskiego w całym państwie stanęły za jego czasów pod złą

wróżbą, która się spełniła. Król nie wyczuwał widocznie wagi tych spraw, nie przywykł do nich w Wielkim Księstwie, gdzie spędził decydujące lata młodości, nie dziedziczył też żadnych tradycji po przodkach. Na Litwie miasta przypominały rozległe wsie, dochody skarbu płynęły z myt, ceł i karczem, a więc od przejezdnych kupców cudzoziemskich, a nie z krajowej wytwórczości.

Przeistoczenie, któremu uległ w Polsce litewski ród Jagiellonów, wolno śmiało uznać za jeden z najciekawszych tematów naszej historii. Okazuje się, że można gruntownie odmienić obyczaj, odwrócić uwagę od wschodu, a zwrócić ją na zachód i południe, zapomnieć o pogaństwie, stać się natomiast gorliwym czcicielem Św. Krzyża i w pełni zachować tradycyjny system postępowania w kwestiach dla monarchów najważniejszych, politycznych. W działaniach Kazimierza Jagiellończyka wyraźnie widać tę samą metodę, która najpierw szybko zaprowadziła Litwinów na szczyty imperialne, a potem nagle postawiła ich wobec śmiertelnego niebezpieczeństwa. Istota owej metody to przesadny rozmach i brak troski o wykańczanie szczegółów, robota efektowna, lecz bardzo mało solidna.

W chwili śmierci Kazimierza Jagiellończyka polityczne zainteresowania Krakowa sięgały tak daleko, jak nigdy przedtem. Nie licząc spraw litewskich, które zaczynały o sobie przypominać w sposób nie wróżący nic dobrego, przybyło całe wielojęzyczne Zakarpacie aż po Adriatyk, Kaffę i Białogród. Na północy państwo krzyżackie nadal wisiało nad krajem, uczone Wisły pod Kwidzyniem, władające ujściem Niemna. Każda trudność Polski natychmiast wywoływała tam gorączkę, wielcy mistrzowie wcześniej wyjawili w czynach, że cel ich polityki polega na obaleniu traktatu toruńskiego.

Za Kazimierza Jagiellończyka ilość zagadnień domagających się załatwienia ogromnie wzrosła, na listę rzeczy już całkowicie załatwionych nie wpisano nic. To stwierdzenie uzmysławia różnicę między piastowską a jagiellońską szkołą polityczną. Kazimierz Wielki wkrótce po objęciu władzy skreślił ze spisu zadań rzecz niezmiernie ważną: pretensje Luksemburgów do korony polskiej zostały przezeń wykupione, ta trudność po prostu przestała istnieć. Można było przystępować do obmyślenia sposobów odebrania ceny, którą się z musu zapłaciło - Śląska.

Pewien z pozoru tylko anegdotyczny szczegół wart jest wzmianki. Kazimierz Jagiellończyk przed zgonem zaproponował Jana Olbrachta na tron polski, Aleksandrowi oddał w zarząd Litwę. Pierwszy ze wspomnianych miał wtedy lat trzydzieści trzy, drugi trzydzieści jeden, a obaj byli bezzenni. Zadziwiające zjawisko w rodzie uprawiającym politykę dynastyczną. Swojego czasu Władysław Łokietek pod przymusem doprowadził przed ołtarz piętnastoletniego syna, Habsburgowie zaręczali dzieci w kołyskach.

Cesarz Fryderyk III (mówiąc nawiasem, po matce - księżniczce mazowieckiej Cymbarce - pół-Polak) w roku 1492 stał nad grobem. Ale ster polityki przejął już syn, król rzymski Maksymilian, z którego talentami cała Europa miała się wkrótce zapoznać. To Maksymilian, a nie Fryderyk, doprowadził do przymierza z Iwanem Srogim.

Mnóstwo w dziejach przykładów, jak wielkim dobrodziejstwem dla

monarchii była możliwość szkolenia następcy za życia poprzednika. W tak zwanym „złotym wieku” cesarstwa rzymskiego imperatorzy zawczasu wybierali spadkobiercę i przyuczali go. Władza od razu przechodziła więc w ręce męża dojrzałego, doświadczonego, zorientowanego we wszystkim. Zrządzeniem losu Polska bardzo drogo zapłaciła za to, że Warneńczyk był dzieckiem w chwili śmierci ojca.

Solidarna bezzenność Jana Olbrachta i Aleksandra dowodzi, że politykę dynastyczną Jagiellonów cechowała dziwna lekkomyślność, brak prawdziwej troski o przyszłość.

W XV wieku pojawiły się u nas zjawiska poprzednio zupełnie nie znane, a najniesłuszniej w świecie uchodzące za wrodzone cechy Polaków - romantyka polityczna, znajdująca wyraz w mierzeniu sił na zamiary, rachuby na „jakoś to będzie”.

Szacunek dla prawdy nie pozwalała na pomijanie objawów ujemnych, towarzyszących dodatnim. Czynność ta w niczym jednak nie umniejsza głównej zasługi, którą Kazimierz Jagiellończyk oddał krajowi. O d z y s k a ł d l a P o l s k i P o m o r z e , w j e c h a ł d o M a l b o r k a j a k o j e g o w ł a ś c i c i e l . Los odmówił mu talentu wodza, a nawet zwykłego wyczucia spraw wojny. Monarcha powetował to energią, nieustępliwością, wielkim wysiłkiem osobistym.

Piszący w XVI stuleciu Maciej Strykowski scharakteryzował go tak:

Był wzrostu wysokiego, strzelistego, długiej a suchej twarzy, łysy na głowie, mowy szepietliwej, obyczajów prostych, myślistwem około zwierzu i ptastwa wszelakiego nader się bawiący, dlatego w Litwie więcej mieszkiwał, tak iż gdy wielkie podarki z Litwy posłał synowi Władysławowi, królowi czeskiemu, a rybnickie je książę posłom odjął, po tym widząc zły uczynek, łaski i odpuszczenia u Kazimierza króla prosił, jedno to rzekł: „Niech tylko psy wróci, a inne podarki niech sobie trzyma.” Niepyszny, trzeźwy, bo wina, piwa i miodu nie pijał; utratny, niebudowny, w łaźni się winnikiem zawżdy chlostał; pracy, zimna, wiatru, dymu, upalenia słonecznego cierpliwy, a we wszystkim ojcu Jagiellowi podobny; małżonkę swą Elżbietę nad obyczaj miłował, ona także jego.





Twórczość

Na roku 1480 kończy się zatem, tylekroć tutaj przytaczana, kronika Jana Długosza. Nie można bez wzruszenia czytać pięćset lat temu prawie napisanych ostatnich słów książki:

Po długiej i ustawicznej pracy, po wielorakich badaniach i rozmyślach, a k'temu wycieczkach i podróżach, które podejmowałem spisując kroniki, tak krajowe, jako i obce, po doznaniu rozmaitych przymówek, obelg i potwarzy, czuję niemalą w sercu pociechę, acz pośród gorzkich utrapień i niemal schodząc już do grobu, że domierzyłem kresu mego dzieła [...] mam bowiem mocne przecucie, że niezadługo życia mego dosnuje się wątek. Już z łaski Najwyższego doszedłem wieku, który zwykłym bywa ludzi naszych czasów zakresem; skończyłem lat sześćdziesiąt pięć, a przebywszy porę południową, chylę się ku zachodowi i dotykam łoża wiecznego spoczynku.

Wiele upłynęło czasu, zanim główne dzieło Długosza, *Roczniki*, czyli *Kroniki sławnego Królestwa Polskiego*, doczekało się druku i to tylko częściowo. Było znane i czytane. Obu garściami czerpali z niego późniejsi dziejopisarze, posłowie sejmowi powoływali się na opinie uczonego kanonika i przytoczone przezeń fakty. Ale dobrodziejstwo druku przyszło dopiero w roku 1614. W dodatku jeszcze wydawca, Jan Szczęsny Herburt, musiał urwać tekst na roku 1240. Publikowaniu rozdziałów późniejszych sprzeciwiali się magnaci, którzy woleli ukryć bezceremonialne opinie historyka o ich przodkach.

Przekładu polskiego dokonał Karol Mecherzyński, i ta jego praca drukowana sumptem Aleksandra hrabiego Przeździeckiego - liczy sobie dzisiaj lat równo dziewięćdziesiąt. Od roku 1870, pomimo odzyskania niepodległości państwowej, nowego wydania nie było. Dopiero u schyłku roku 1961 ukazał się tom pierwszy nakładem Państwowego Wydawnictwa Naukowego.

Te okoliczności, jak również nawyk zbyt niskiego szacowania własnej historii dotkliwie zdegradowały Jana Długosza w oczach potomnych. A przecież był to jeden z największych pisarzy, jacy tylko kiedykolwiek w Polsce żyli, i największy zapewne historyk europejskiego średniowiecza. Żaden inny kraj na kontynencie nie mógł się wtedy pochlubić takim fenomenem.

Już w dzieciństwie odznaczył się Długosz nadzwyczajnym zamiłowaniem do nauki i godną uwagi pracowitością. Urodzony w Brzeźnicy, do szkoły chodził w Korczynie, gdzie razu pewnego cisnął do wody własne zabawki, by pozbyć się pokus. Akademię Krakowską czcił i zwał ją „przesławną”, ale jej nie skończył. Nie zdał nawet żadnego z przepisanych egzaminów. Nie czuł bowiem najmniejszego pociągu do wykładanej tam

filozofii scholastycznej. Miłował dziejopisarstwo oraz pokrewne mu umiejętności - na przykład statystykę i heraldykę - im też poświęcił całe swe życie. Ta specjalizacja jest osobliwym, na pewno bardzo ważnym rysem jego wizerunku duchowego. Nadchodziły nowe czasy, a wpływ ich nie ominął i Długosza, całą duszą wiernego dawnym ideałom.

Ostatnia karta *Roczników* to jedno wielkie, korne błaganie Akademii, by zechciała materialnie umożliwić dalsze studia nad przeszłością narodu.

Nade wszystko doktorów, mistrzów, profesorów i kolegiatów proszę, błagam i zaklinam, aby jedną z najlepszych kolegiatur wybrawszy, dali ją przedniejszemu nad innych mistrzowi, biegłemu w naukach wyzwolonych, który by od wszelkich innych prac i zatrudnień wolny, spisywaniem dziejów wyłącznie się zajmował, ku nim wszystkę myśl zwracał, im z zamiłowaniem był oddany, w nich się ćwiczył, dniem i nocą o nich sam z sobą i z drugimi rozprawiał i radził, pracując w ten sposób dla dobra powszechnego, dla pożytku i zaszczytu milej ojczyzny, a więcej jeszcze dla chwały Bożej i prawdy.

Po tej prośbie następuje już tylko ostatnia, zwrócona do czytelników - o jedno *Ojczyzna nasz* i jedno *Zdrowaś Maryja*, zmówione na klęczkach za spokój duszy autora, kanonika krakowskiego, który w ostatnich chwilach życia mianowany przez króla arcybiskupem lwowskim, objąć godności już nie zdążył.

W przyszłości Akademia Krakowska źle na tym wyszła, że nie wysłuchiwała prośby Jana Długosza. Wiek XVI domagał się od uczelni wiedzy ziemskiej, między innymi prawa, historii, statystyki. Ponieważ Kraków dziedziny te zaniedbał, Polacy szukali ich na Zachodzie, własny uniwersytet lekceważąc. Ale o tym nieco później, na właściwym pod względem chronologii miejscu.

Długosz odbywał liczne wędrowki po świecie. Znał Włochy i Palestynę. „Na próżno żyłem dotychczas, dopóki ziemi rodzinnej Zbawiciela nie oglądałem” - orzekł. Z podróży przywiózł do Polski odpis dzieła Liwiusza, najpierwszy w naszym kraju. Wiadomo powszechnie, jak olbrzymią rolę w europejskim przełomie umysłowym owych czasów odegrały utwory autorów starożytnych, w ten czy inny sposób odkryte albo z nową uwagą odczytane.

I jeszcze pod jednym względem Jan Długosz, człowiek średniowiecza, wyraził ducha nowych czasów. Ignacy Chrzanowski bardzo zwięźle to określił: „Patriota zwyciężył religianta.”

Zdaniem Długosza, nieszczęścia trapiące Polskę w dobie rozbitcia dzielnicowego i kiedy indziej to kara Boża za świętokradczy uczynek króla Bolesława Śmiałego. Tyle już było zresztą przytoczeń z *Roczników*, że doskonale pojmujemy, jak dalece autor ich był oddany teorii o przewadze władzy duchowej nad świecką i spraw wiecznych nad doczesnymi. Ale kiedy Kazimierz Jagiellończyk ruszył zbrojnie ku ujściu Wisły, Długosz opowiedział się po jego stronie. Kariery nie szukał, dawnych towarzyszy nie odstąpił. Później nieco, podczas znanego nam już zatargu o nominację na biskupstwo krakowskie, stał odważnie przeciwko monarsze i dotkliwie

ucierpiał. Utracił na czas pewien swój sławny dom w Krakowie, musiał się tułać, korzystając z gościny osób życzliwych. Przemiana, która się w dziejopisarzu dokonała, dotyczyła spraw najwyższych. On popierał polskiego króla, walczącego o odzyskanie ziem polskich. Nie zrażał się i tym nawet, że zamysłem Kazimierza przeciwdziałał papież.

Działalność pisarską rozpoczął Długosz od wydanych u nas ostatnio *Banderii pruskich*. Malarz Stanisław Durink ozdobił księgę wizerunkami pięćdziesięciu sześciu zdobytych chorągwi krzyżackich. Potem powstały żywoty świętych, Stanisława i Kunegundy, oraz *Katalogi* biskupów polskich. Ogromne znaczenie posiada czterotomowa *Księga uposażeń biskupstwa krakowskiego*. Pierwsza część zaginęła, za to pozostałe trzy - „od budynków aż do chłopów czynszowych wszystko tu jest dokładnie opisane -nieoceniona statystyka tak odległych czasów” - powiada Fryderyk Papée. Długoszowi również zawdzięczamy najstarszy herbarz polski. I dopiero teraz przychodzi wymienić koronę twórczości kanonika, składające się z dwunastu ksiąg *Roczniki*. Praca nad nimi trwała lat dwadzieścia pięć, a tekst został doprowadzony niemal do samego dnia śmierci autora. Polskie średniowiecze uważało badanie i opisywanie dziejów jak najnowszych za rzecz zwyczajną. Długosz najpierw zabrał się do przedstawiania czasów Oleśnickiego, a dopiero potem sięgnął do Mieszka, nawet Popiela - równolegle pracując nad opisem wypadków całkiem świeżej daty. Jakaś się przekonali, nie dbał, co kto sobie pomyśli o jego wywodach na tematy aktualne.

Ranga literacka *Roczników* jest bardzo, bardzo wysoka, wartości poznawcze wprost niezmierne, ale słabości dzieła też liczne i niebłahe. Co wcale nie przeszkadza, że niejedyn współczesny nam badacz wiele by skorzystał, ucząc się od księdza kanonika sumienności poszukiwania źródeł wiedzy i duchowej niezależności. Tylko dzięki Długoszowi dotarły do nas wieści zawarte kiedyś w licznych pismach, zaginionych bezpowrotnie.

Niewielu Polaków poświęca się dziś lekturze *Roczników*. Ale bez niej nasza kultura i samowiedza narodowa wprost nie dadzą się pomyśleć. Wolno może żywić nadzieję, że czytelnik tego tomu oraz poprzedniego, *Polski Piastów*, o jednym na pewno został przekonany: kto tylko chce pisać o polskim średniowieczu, ten będzie bezradny, jeśli mu z pomocą nie przyjdzie książd Jan Długosz herbu Wieniawa.

Rozmaicie układały się stosunki pomiędzy historykiem a jego królem. Początkowe nieporozumienia i zatargi ustąpiły miejsca wzajemnemu zrozumieniu i głębokiemu szacunkowi. Przez cały czas obaj mieli jednak pewne cechy wspólne. Przeżyli na świecie dokładnie taką samą ilość lat, po sześćdziesiąt pięć każdy, nie ulegając specjalnym zmianom. U Jagiellończyka wyrażało się to w sposób anegdotyczny prawie. Michał Olelkowicz knuł zamach na posuniętego w latach króla, chciał go napaść i zgładzić podczas łowów. To samo omal nie spotkało Kazimierza we wczesnej młodości, czasu sporów z Michajłuszką, w puszczy nad Wigrami. Gdyby nie chłopci-osacznicy, którzy zauważyli w gąszczach ukryte gromady zbrojnych i zaraz donieśli, komu należało, z królem mogłoby być źle. Monarcha nie odmieniał ani przyzwyczajęń, ani zasad postępowania. Szedł przez życie krokiem pewnym, równo. Podobnie postępował dziejo-

pisarz.

W tej samej dobie historii wielu Polaków czas albo gruntownie przeistaczał, albo stawiał twarzą w twarz wobec problemów nowych, zrodzonych przez szybko zmieniające się okoliczności.

Długosz urodził się w roku 1415, czyli wtedy, kiedy delegacja polska jechała do Konstancji na sobór powszechny. Jużemy omówili jego znaczenie, teraz pora przyjrzeć się bliżej pracy człowieka, który musiał odegrać główną rolę i zdobyć się na nie lada wysiłek.

Rektor Akademii Krakowskiej, Paweł Włodkowic z Brudzenia, oświadczył, że zabierze głos nie jako „ambasador”, lecz jako uczyony. Już ta zapowiedź świadczy o trafnym rozpoznaniu położenia. Rektorowi przyszło wystąpić w roli, jakiej nigdy jeszcze żaden z Polaków nie spełniał. Miał udowodnić wobec kolegium światowego, że pod Grunwaldem Polacy bronili zasady słusznej, zgodnej z podstawowymi prawdami chrześcijaństwa. Nie było to zadanie łatwe.

Średniowiecze wyznawało teorię uniwersalizmu, uważało wszystkie kraje chrześcijańskie za wspólny organizm, będący w prostym sensie spadkobiercą dawnego imperium rzymskiego, państwa powszechnego. Władza duchowna nad tą rzeszą należy do papieża, świecka do cesarza. *Polska Piastów* w dostatecznie obszerny sposób rozprawiała o gwałtownych starciach między tymi potęgami, w teorii powołanymi do harmonijnej współpracy. Zawsze chodziło w tych walkach o pierwszeństwo tiary lub korony. Tutaj dodać tylko wypadnie, że sama ideologia uniwersalizmu normalną rzeczą koleją dawno uległa przywłaszczeniu przez konkretne ośrodki władzy politycznej, czyli przez Rzym papieski, będący wszak stolicą państwa i prowadzący własną, skomplikowaną dyplomację, oraz cesarstwo - w teorii „rzymskie”, w praktyce niemieckie.

Katolicki i germański zakon Krzyżaków działał na Wschodzie z ramienia obu tych ośrodków, był przez nie uznany i popierany, posiadał ich przywileje tudzież nadania. Władysław Jagiełło przyprowadził pod Grunwald chorągwie polskie, składające się z niewątpliwych katolików, a wraz z nimi dopiero co ochrzczonych Litwinów, tysiące prawosławnych i pewną ilość mahometańskich Tatarów. Teraz należało bronić jego sprawy przeciwko „racji wyższego rzędu”, osłaniającej jak najbardziej namacalne interesy polityczne. Już w 1411 roku poselstwo polskie jeździło do papieża teoretycznie uzasadniać słuszność zwycięstwa odniesionego w polu pod Grunwaldem. A jeszcze przedtem wysłane z Opatowa pismo przygotowywało grunt.

Paweł Włodkowic nie dał się uwikłać w postępowanie procesowe, podobne do tych rozpraw, jakie Polska toczyła z Krzyżakami za Kazimierza Wielkiego. Gruntownie zmienione okoliczności wymagały zupełnie odmiennego działania. Uczony odpowiedział na teorię orężem teorii, uderzył w samą istotę problemu. Bez niedomówień odrzucił tezy o władzy cesarza, potępił metodę nawracania mieczem, głosił, że państwa pogan istnieją legalnie, ponieważ prawa ich wcale nie wygasły z chwilą narodzin Chrystusa.

Władzę papieża Włodkowic uznawał, nie należy jednak wysnuwać z tego wniosków zbyt pochopnych i tak już bez reszty zaliczać polskiego

teoretyka do typowo średniowiecznych myślicieli. Swoje główne wywody umieścił on w sławnym i poprzednio już wymienionym traktacie *O władzy papieża i cesarza nad niewiernymi*. Ale w innej rozprawie, i to wcześniejszej, wypowiadał się jako zdecydowany zwolennik wyższości soboru nad papieżem. Trzeba więc w jego polemice naukowej widzieć i mądrą taktykę także. Sam rozum dyktował oględność w stosunku do papieża, jeśli się kategoriycznie zwalczało uroszczenia cesarza.

Tylko cytaty mogą dać pojęcie o treści i formie wywodów Włodkowica. Oto kilka paragrafów jego *Konkluzji*, przedłożonych soborowi dnia 6 lipca 1415 roku:

XXX. Krzyżacy z Prus, wojując ze spokojnymi poganami albo ich zwalczając, jak to ma miejsce, nigdy nie prowadzili z nimi sprawiedliwej wojny. Uzasadnienie: ponieważ przeciw zwalczającym pogan, chcących żyć pokojowo, przemawia wszelkie prawo, mianowicie naturalne, Boskie, kanoniczne i cywilne.

XXXII. Niedopuszczalne jest zmuszać pogan zbrojnie lub przemocą do przyjmowania wiary chrześcijańskiej, ponieważ w taki sposób nawracanie łączy się z krzywdą bliźniego. Nie należy czynić zła, by wynikło dobro...

LII. Bezbożnie i niedorzecznie jest twierdzić, że poganie są dziś całkowicie niezdołni [do posiadania] jurysdykcji, czci, powagi i państwa, ponieważ to zgubne twierdzenie otwiera drogę do zabójstw i rozbojów, a to dlatego, że - jeśli poganie nie są władni rzeczy wymienionych - każdemu będzie wolno ich rabować lub nawet ujarzmić.

Istnieje nawyk lekceważenia wypowiedzi głównego rzecznika Krzyżaków, Jana Falkenberga (tego samego teoretyka, u którego magistrat krakowski zasięgał zdania w sprawie domów publicznych). Falkenberg był awanturnikiem, przerzucal się od jednej skrajności w drugą, doświadczał przykrych, poniżających przygód, co wszystko razem wzięte popsulo mu opinię. Jego osławiona *Satyra* przeciwko Jagielle i Polakom (za której napisanie wielki mistrz wypędził go z Prus, obawiając się komplikacji politycznych) reprezentowała niski, ordynarny poziom. Ale w zasadniczej polemice z Włodkowicem Falkenberg twardo i zrećźnie bronił sprawy niemieckiej.

Jego zdaniem, cesarz posiada pełnię władzy, a oprócz tego przysługuje mu prawo nieustannego rozszerzania swego państwa („po wieczne czasy pomnożyciel Rzeszy” - tak brzmiał fragment oficjalnej tytulatury cesarzy aż do początków XIX wieku). Cesarz może uczynić swym pełnomocnikiem każdego, kogo tylko zechce, i w takim razie wszystkie zabory dokonane przez owego plenipotentę stają się usprawiedliwione i legalne. Falkenberg nie zaprzeczał, że Krzyżacy zabijali na Litwie księży prawosławnych. Twierdził tylko, iż Zakonowi należy się za to nie kara, lecz pochwała, ponieważ zgładzeni byli duchownymi heretyckimi, a więc stali na równi z poganami. Albowiem: „Rany, które nie przyjmują błogosławieństwa leków, uzdrawiać należy żelazem.” Polacy powinni być za swą działalność potępieni i ukarani pozbawieniem godności królestwa.

Falkenberg w bardzo znamieny sposób wyzyskiwał aktualność.

Straszył Zachód potęgą króla polskiego, pomawiał Witolda o zamiar napojenia konia w Renie.

Teorie Falkenberga popierała określona siła polityczna i materialna, trzeba o tym stale pamiętać, jeśli się chce ocenić ich ówczesną wagę. Stał za nimi cesarz, z którym papież musiał się jak najbardziej liczyć. Marcin V zatwierdził podczas soboru przywileje otrzymane przez Jagiełłę, lecz również dawne nadania dla Krzyżaków. Z przedstawionych w poprzednich rozdziałach faktów wiemy, jak dalece i papież, i cesarz opowiadali się później za Zakonem - nawet w wiek cały po chrzcie Litwy. Paweł Włodkowic niewątpliwie dał wyraz poglądom słusznym i szlachetnym, ale byłoby błędem utrzymywać, że pozyskał dla nich główne powagi Zachodu. Obalił za to mit krzyżacki w oczach narodów nieniemieckich.

Interesujące są dzieje skargi polskiej przeciwko *Satyrze* Falkenberga. Zawierała ona między innymi i takie twierdzenia: król polski to bożek pogański, a wszyscy Polacy są bałwochwalcami „i służą swemu bożyszczu, Jagielle”; ponieważ Polacy oraz ich król są „wstrętnymi heretykami i bezwstydnymi psami”, zasługuje na wieczne zbawienie ten, kto ich zabija... i tak dalej. Sobór nie załatwił skargi polskiej, a protestującemu ostatni raz Włodkowicowi Marcin V zagroził klątwą. Zaraz potem odbyła się w Konstancji jakaś burzliwa scena. Duchowni członkowie poselstwa polskiego pozamykali się w swych kwaterach, świeccy zaś rycerze mieli podobno, wyłamawszy drzwi, wtargnąć zbrojnie do mieszkania papieża, zmusić go do rozmowy, w czasie której zaprotestowali przeciwko sposobowi traktowania sprawy ich króla.

Satyre potępiono dopiero w sześć lat później, w styczniu 1424 roku. Uznano ją za „bezwstydną i wojowniczą”, lecz nie dopatrzono się w jej wzywającej do mordów treści też sprzecznych z wiarą chrześcijańską. Dlatego też kazano katowi porwać i podeptać owo pismo, ale go nie palić!

Władysław Jagiełło przebaczył później Falkenbergowi i pozwolił mu dożywotnio zamieszkać w polskiej prowincji dominikanów. Jan Falkenberg zmarł w Legnicy.

Paweł Włodkowic nie był pierwszym na świecie chrześcijaninem, który uważał inaczej wierzących za ludzi i protestował przeciwko nawracaniu mieczem. Powoływał się wszak na wielkie autorytety Kościoła. Zasługa krakowskiego rektora polega na stworzeniu zwartego i logicznego wywodu, zwalczającego praktykę łamania zasad należących do istoty chrześcijaństwa. Bo - jak powiada Adam Krzyżanowski - „Nie nakaz miłości bliźniego sam przez się, jeno powszechność tego nakazu jest znamieniem moralności chrześcijańskiej, wyróżniającej się spośród innych systemów moralności.” Z upływem wieków rośnie szacunek dla filozofa, który tak wcześnie sprzeciwił się narzucaniu przemocą jakiegokolwiek ideologii. Jakiegokolwiek, bo i jego własnej także. Paweł Włodkowic był księdzem katolickim.

Nie obawiając się przesady, wolno zaliczyć traktat Włodkowica do szczytowych osiągnięć umysłowych epoki. To była nie tylko twórczość samodzielna, lecz w dodatku jeszcze twórczość na najwyższym poziomie.

Pozostaje do rozpatrzenia kwestia okoliczności, które skłoniły uczonego polskiego do tego rodzaju wysiłku. Wiemy, że teoria wszechwładzy Rzymu

i Akwizgranu od dość dawna nie cieszyła się u nas zbyt dużym uznaniem. Popierali ją, a może raczej zasłaniali się nią, duchowni i świeccy magnaci w dobie rozbicia dzielnicowego. Wypada jednak przypomnieć słowa Spytka z Melsztyna, wyrzeczone do kanclerza cesarskiego w roku 1357: „Wasz cesarz niższym jest od papieża. Składa przed nim przysięgę. Nasz król ma od Boga swoją koronę i miecz swój, a własne prawa i obyczaj przodków przenosi ponad wszystkie prawa cesarskie.” Wypowiedź wcale nie dwuznaczna, zwłaszcza jeśli ją połączyć z wiadomościami o znanej skłonności Polski piastowskiej do tolerancji wobec innowierców. Kazimierz Wielki opiekował się prawosławnymi, ale czynił to nie troszcząc się o uzasadnienie teoretyczne. Znacznie bardziej dbał o tajemnicę przed papieżem.

Tego rodzaju proste i nieskomplikowane metody wystarczały w Polsce Piastów, byłyby jednak stanowczo niedostateczne w państwie Jagiellonów. Wiele już w tej książce powiedziano na temat unii, a teraz wypada dodać jeszcze nieco uwag, i to bardzo ważnych.

Wiążąc swój los z Wielkim Księstwem Litewskim stała się Polska współtwórczynią państwa nowego i wyższego, to znaczy wielonarodowego typu. Ponieważ zaś poprzednio sama całkowicie należała do systemu zachodniego, katolickiego, więc teraz na nią spadał obowiązek obrony poczynań własnych oraz sprzymierzeńców. Król, który przyszedł na Wawel w roku 1386, panował nad wielu narodami i plemionami, wyznającymi różne wiary czy obrządki. Należało to uzasadnić z punktu widzenia teorii, którą posługiwały się także siły wrogie zarówno Polsce, jak Litwie, zbić twierdzenie, że Polacy ową teorię zdradzili. Czynność ta nie zabezpieczyłaby oczywiście państwa Jagiellonów przed atakiem, bo to osiągnąć mogła tylko siła materialna. Była jednak niezbędna.

Unia stworzyła ogromne trudności, między innymi dlatego, że zmusiła do rozwiązywania także i takich zadań, które w całej pełni zasługują na nazwę pięknych. Najlepszym sprawdzianem tego faktu jest mądry i szlachetny traktat Pawła Włodkowica, wprost podyktowany autorowi przez warunki, w jakich się po unii znalazł naród polski, od kilkuset już lat katolicki. Ten sam traktat dowodzi, jak niewiele unia miała wspólnego z zaborem. Włodkowic nie tłumaczył wszak soborowi, że katolicy (a więc i Polacy również) mają prawo pozbawiać pogan i schizmatyków mienia oraz wszystkich innych dóbr z życiem włącznie. Udowadniał coś wręcz przeciwnego.

Nie jest pewne, kiedy zmarł mistrz Paweł Włodkowic herbu Dołęga, wywodzący się z Brudzenia w ziemi dobrzyńskiej, a przez długie lata zamieszkały w Krakowie, przy ulicy Kanoniczej. Znamienna jest wzmianka o charakterze nekrologu, poświęcona mu przez Długosza:

Mąż rzadkiej cnoty i gorliwy miłośnik ojczyzny, który największym wyrównał mężom. Lubo więc założyłem sobie w tym dziele wspominać tylko o zgonie ludzi znakomitych, wszelako nie zważając na to postanowienie, zapisuję tu śmierć tego męża, ponieważ jego cnoty godnym go czynią umieszczenia między ludźmi znakomitymi.

Tak więc, zdaniem Długosza, intelektualista, człowiek nauki tylko w drodze wyjątku mógł być zaliczony w szeregi mężów znakomitych. Zdaje się, że w tym miejscu wyjrzał z księdza kanonika typowy szlachcic średniowieczny.

Zupełnie chyba inaczej podchodził do tych spraw pewien wielki pan, urodzony w tym czasie, o którym mowa. Jan Ostroróg, syn wojewody poznańskiego, przyszedł na świat w roku 1436 (według mylnej zapewne informacji Długosza, Włodkowiec zmarł w 1435). W przyszłości przejął miał po ojcu godność, a we wszelkich swych wystąpieniach zawsze używał - obok nazw urzędów i honorów magnackich - tytułu naukowego. Był pierwszym w Polsce świeckim doktorem obojga praw - kanonicznego i cywilnego.

Skoro się już dotknęło dziedziny prawa, trzeba przypomnieć to, o czym tak szeroko i barwnie pisał Aleksander Brückner w I tomie *Dziejów kultury polskiej*. Panowało wtedy u nas wielkie zamięłowanie do procesowania się, ale też i istny terror sądowniczy. Posłuch i cześć dla trybunałów były nadzwyczajne. Nikt nie wezwany nie śmiał wejść do izby rozpraw, najłżejsze wykroczenie lub pozór takowego zaraz karano grzywną. Zgarbił się kto zeznając, z niedostateczną pokorą spojrzal na sędziego? Płacić! Od czasów Kazimierza Wielkiego zapanował w Polsce kult prawa pisanego.

W rozprawie, która zapewniła mu imię w historii, Jan Ostroróg gwałtownie protestuje przeciwko odwoływaniu się polskich sądów miejskich do Magdeburga. Uważa to za hańbę dla królestwa. Przekazuje nam również wiadomości o pewnych zasadach prawnych, obowiązujących w Polsce XV wieku, które uważa za niesłuszne. Nam w ogóle trudno uwierzyć, że istniały kiedyś. W sprawie o zgwałcenie kobiety oskarżenie najzupełniej wystarczało do wydania wyroku, którym mógł być tylko wyrok śmierci. Postępowanie odwodowe, czyli wykazywanie fałszywości oskarżenia, było zabronione. „Nadto surowy zwyczaj” - utyskuje Ostroróg i pisze dalej: „Niewiasta, skoro powije dziecko z cudzołóstwa, kogokolwiek o to zaskarzy, ten musi płacić. Niech zwyczaj ten nierozsądny i śmieszny zostanie zniesiony!” Zaczynamy pojmować, dlaczego Polska jest jedynym krajem na globie, gdzie uparcie trzyma się późnohelleński zwyczaj całowania kobiet w rękę.

Spółczeństwo, w którym podobne tradycje obowiązywały święcie, musiało na co dzień przestrzegać zasad przyzwoitości, traktować je jak chleb powszedni. Ludzie szanowali własne słowo, gdyż w przeciwnym razie szantaż uniemożliwiłby życie. W sto lat później pewien Włoch stwierdził - nie bez nuty zdziwienia - że w Polsce przysięga sądowa stanowi rzeczywisty dowód prawdy.

Traktat Ostroroga, zatytułowany *Monumentum pro Reipublicae ordinatione*, powstał prawdopodobnie około roku 1474, a w każdym razie na pewno jeszcze za życia Jana Długosza. Dwa światy pojęć mieściły się wtedy w jednej i tej samej Polsce! Ten starszy, co prawda, dogorywał.

Ostroróg był zwolennikiem wzmocnienia państwa i jego całkowitej, absolutnej suwerenności. Rozprawiał o wielu zagadnieniach, niektóre z nich traktując powierzchownie. Ostrze wywodów skierowane zostało przeciwko obydwu filarom porządku średniowiecznego: Niemcom,

będącym przecież domeną cesarza, i papieżowi, jako władcy. Rzym - głosi autor -nie ma żadnej zwierzchności nad Polską. Mianować biskupów krajowych może tylko król. Należy natychmiast i raz na zawsze zaprzestać składania jakichkolwiek opłat lub danin papieżowi.

Rzymski zwierzchnik - woła Ostroróg - zmyśla, twierdząc, że te grosze mają być obrócone na budowę jakiegoś tam kościoła, gdy wiadomą jest rzeczą, że tego rodzaju dochody idą na pożytek osobisty krewnych i powinowatych, na utrzymanie koni, służby, że czegoś brzydszego nie powiem.

Przytoczony urywek stanowi słabą raczej próbkę tonu, jakiego Ostroróg używa w stosunku do głowy Kościoła. W traktacie mówi się o bullach papieskich: „brednie z czerwonymi pieczęciami”.

Jan Ostroróg posłował do Rzymu (wygłosił nawet wobec Pawła II bardzo buńczuczną mowę, w której dowodził, że Polska to jedyny kraj, którego starożytni Rzymianie nie zdołali podbić, ona zaś pokonała orężnie samego Juliusza Cezara). Stosunki panujące nad Tybrem w wieku XV znał więc nie tylko z cudzych opowiadań. A były to czasy w historii Kościoła gorzej niż smutne, co nie mogło pozostać bez wpływu na gwałtowność tonu polskiego statysty. Czuły na niebezpieczeństwo niemieckie Wielkopolanin przeżył wojnę trzynastoletnią, pamiętał rolę dyplomatów papieskich. Można zrozumieć rozpierające go pasje.

Monumentum zajęło się również klerem krajowym, a zwłaszcza jego majątkami. Autor twierdził, że w stosunku do duchowieństwa panuje w Polsce „nienawiść ciągła”. Sam uważał je za darmozjadów, wywierających zły wpływ na społeczeństwo, bo wszyscy chcieliby nosić habity i próżnować. Z posiadłości kościelnych należy wydzielić dokładnie tyle, ile potrzeba na skromne utrzymanie kleru, reszta ma iść na ubogich i państwo. „Ojcowie nasi duchowni bardzo zabobonnie zasłaniają się Bogiem, gdy o to chodzi, aby cokolwiek królowi z dochodów swych na potrzeby kraju udzielić.”

Wezwania Ostroroga nie zostały wysłuchane, nikt nie sięgnął po wielkie bogactwa Kościoła. Jednakże chcąc w pełni ocenić charakter dawnego państwa polskiego, trzeba pamiętać, że nigdy, do samych rozbiorów, nie tknęło ono również majątków Cerkwi prawosławnej (czym się jaskrawo odróżniało od carów moskiewskich i cesarzy rosyjskich, którzy wcale nie byli tacy powściągliwi).

Traktat Ostroroga obszernie rozprawia o Rzymie, papieżu i jego uprawnieniach, lecz w ogóle nie zawiera rozważań dotyczących wiary. Łatwo natomiast usłyszeć ton świadczący o religijności autora. („Papież nie powinien tych opłat wymagać, nie powinien być tyranem, owszem, ojcem łagodnym, jako miłosiernym jest Ten, którego się on zastępcą być mieni na ziemi.”) Z punktu widzenia prawowierności katolickiej Ostroróg wyglądał jak najbardziej podejrzanie, ale trudno go chyba uważać za reformatora religijnego. Wojewodę interesowała rola kleru w państwie polskim, wzajemne stosunki Rzymu i Wawelu. Ostroróg był pisarzem politycznym i jako taki zwiastunem nowych czasów. Warto pamiętać o nim i jego wywodach, kiedy dojdzie do opisu doby reformacji religijnej i działalności

sejmów za ostatniego Jagiellona. Stary badacz i komentator *Monumentum*, Adolf Pawiński, twierdził, że „racjonalizm góruje w poglądach Ostroroga”.

Omawianemu memoriałowi daleko oczywiście do tych wartości, które reprezentują Długosz i Paweł Włodkowic. Dzieła tamtych obu oznaczają, że po raz pierwszy w historii pisarze polscy, kronikarz i myśliciel, wspięli się na same szczyty twórczości europejskiej owej doby. Ostroróg znamionuje tylko przemiany zachodzące w Polsce. Rozprawa jego dowodzi, że prądy umysłowe ożywiające wtedy kontynent nie omijały i Korony. Odwieczne, typowe dla Polaków skłonności do umiaru i rozsądku w kwestiach związanych z wiarą znalazły teraz wyraz już nie tylko w uczynkach i doraźnych wypowiedziach, ale w zwartym, dobrze napisanym traktacie. Nadchodzący przewrót wcale nie miał pozbawić Polski jej własnego oblicza, raczej sprzyjać rozwojowi tego, co od dawna u nas istniało.

Chciałoby się znaleźć więcej dowodów na poparcie tez powyższych. Pamiętajmy jednak, że bardzo łatwo mogliśmy być pozbawieni i tych, które posiadamy. Utwór Ostroroga nie był drukowany za życia wojewody (który zmarł w roku 1501). Anonimowy autor przedmowy, napisanej w połowie XVI wieku, powiada, że dzieło ocalało przypadkiem. Na czym ów przypadek polegał? I tego nawet nie wiemy. Wiadomo natomiast, że archiwum wydziału prawa Akademii Krakowskiej spłonęło. Bardzo możliwe, że zawierało pisma, których odczytanie rzuciłoby na epokę równie nieoczekiwane światło, jakie bije z rewelacyjnych odkryć archeologicznych. Nasza wiedza o przeszłości zawsze jest ułomna, nawet szczątkowa. Nigdy nie może być pełna, bo wśród dokumentów i zabytków wszechmocnie gospodarzył los, ślepy traf.

I gospodarzy nadal.

W 1958 roku powrócił z Kanady *Psalterz floriański*. Artyści zaczęli go kaligrafować i zdobić w Kłodzku u schyłku XIV wieku, skończyli na początku XV, kiedy niedoszła właścicielka spoczywała już w grobie. Był przeznaczony dla królowej Jadwigi. Obok siebie widnieją w nim łacińskie, polskie i niemieckie teksty psalmów. Przytoczone przed chwilą daty odnoszą się tylko do terminu powstania samej księgi, bo zawarty w niej przekład polski jest o wiele starszy, pamięta XIII stulecie.

Właścicielem psalterza był dawniej klasztor w Linzu, skąd rząd polski wykupił go przed wojną za drogie pieniądze.

Zupełnie inaczej ułożyły się losy *Biblii królowej Zofii*, dwu okazałych foliów pergaminowych, spisanych w połowie XV wieku. Sonka wywodziła się z książąt Holszańskich. Nie znała łaciny. Karty Biblii pokryły litery duże, wyraźne. Czyż nie znamienna jest przyczyna, która spowodowała narodziny pierwszej księgi napisanej całkowicie w języku polskim?

Oto kilka pierwszych zdań, podanych w pisowni obecnej, bo stara, wzruszająca i ciekawa, utrudnia jednak ocenę formy:

Poczynają się pirwe księgi Mojżeszowy, Genesis.

Na początce Bóg stworzył niebo i ziemię, ale ziemia była nieużyteczna a prożna, a ćmy były na twarzy przepaści, a duch Boży na świecie nad

wodami. I rzekł Bog: Bądź światło.

(Próbka pisowni starej: „Aduch boszy naszwyecze nadwodamy.”) *Biblia królowej Zofii* zwie się inaczej *Szarospatacką*, gdyż znajdowała się w miejscowości Saros Patak na Węgrzech, w bibliotece gimnazjalnej. Odnosiło się to zresztą tylko do pierwszego, mocno uszkodzonego tomu. Drugi od dawna zużyto na oprawy innych książek. Ostatnia wojna zaprzepaściła również tom pierwszy. Na szczęście w 1930 roku Ludwik Bernacki opublikował podobiznę.

Mało ocalało ze spuścizny człowieka, który już za życia zyskał wielką sławę. W styczniu 1477 roku zmarł nagle w Rohatynie arcybiskup lwowski, Grzegorz z Sanoka. Długosz złożył mu hołd należny, pisząc: „Był to wielki miłośnik nauk, ćwiczony zarówno w prozie, jak i w wierszu, i innych naukach wyzwolonych [...] mówca sławny”, ale zaraz dodał: „Nie wiadomo z pewnością, azali zwyczajną umarł śmiercią, czy z zadanej mu trucizny od kobiet, z którymi nad miarę lubił obcować.” Ten domysł to chyba na pewno złośliwość. Długosz, który sześćdziesiąty piąty rok życia uważał za zwyczajny kres, tym razem jakoś zapomniał, że Grzegorz przekroczył już siedemdziesiątkę. Arcybiskup dobrze pamiętał bitwę pod Warną, w której uczestniczył jako ksiądz, a więc nie wojownik, lecz widz.

Historycy wygłaszali krańcowo różne opinie o Grzegorzu. Jedni uważali go za wielkość, inni prawie za grafomana. Ogromnym wysiłkiem osobistym, pracą całego życia osiągnął arcybiskup cel, będący przedmiotem marzeń każdego intelektualisty nowych czasów. Pisał wierszem i prozą, oczywiście po łacinie. Bawiąc po Warnie na Węgrzech, gdzie wychowywał synów Jana Hunyady, nasiąknął nowinkami, płynącymi z Włoch, i stał się później w Polsce ich protektorem.

Arcybiskupstwo lwowskie otrzymał w roku 1451. Bawił najchętniej nie w swej stolicy, lecz w Dunajewie, gdzie zbudował okazałe dworzyszcze i stworzył prawdziwą przystań nowatorów. Być może, trzeba w nim też widzieć pioniera obyczaju niezbyt pięknego, lecz zakorzenionego u nas wyjątkowo mocno. Grzegorz był arcyuprzejmy dla przyjezdnych cudzoziemców, zwłaszcza dla Włochów, cierpki dla Polaków.

Jednym z tych przybyszów był Filip Buonaccorsi, zwany Kallimachem, zbieg z Italii, gdzie za spory z papieżem groził mu wyrok. Włoch odwdzieczył się dobrodziejowi, pisząc po łacinie uroczę dziełko *O życiu i obyczajach Grzegorza z Sanoka*. Poszedł później znacznie wyżej. Został dyplomata polskim, nauczycielem i wychowawcą synów Kazimierza Jagiellończyka i wywarł znaczny wpływ na osobowość młodszych królewiczów. Zluzowanie powołanego do innych zadań Jana Długosza przez Kallimacha właśnie - to wypadek naprawdę osobliwy. Człowieka surowych obyczajów, ascetę niemal, zastąpił mąż... pod każdym względem światowy.

Kallimach przybył do Polski w roku 1470 i pozostawał w niej przez lat dwadzieścia sześć, aż do zgonu. Wyrobił sobie następującą opinię o ówczesnych Polakach:

Na tak rozległych przestrzeniach jednolity to lud i naród [...] jeśli

patrzeć na ich dążności i chęci oraz niejako znowę w dobieraniu środków działania, trzeba po prostu uznać, że to raczej jest dom jeden i jedna rodzina aniżeli naród.

W Italii dobrze wiadomo, gdzie się obraca i jak sobie poczyną jej syn nie tyle marnotrawny, co nieodrodny. Poeta, Jan Chrzyciel Cantalicio, napisał na ten temat wymowny epigramat:

*Barbarami zwał się ród, co z Rzymu spłoszył Kallimacha,
On Rzymian zaś wytworzył z barbarzyńców rodu.*

Wspomniany w jednym z poprzednich rozdziałów dziekan krakowski, Mikołaj Lasocki, niechcący wprowadzał ludzi w błąd. W samym Rzymie brano go za rzymianina. Profesor Akademii, Jan z Ludziska, spędził we Włoszech kilkanaście lat na studiach i stał się później w Krakowie gorącym propagatorem nabytych umiejętności. W ogóle Polacy od dawna znosili się z południem Europy, ale to były tylko nieliczne jednostki. Pobyt Kallimacha, jego ożywiona działalność na dworze królewskim i w Krakowie równały się niejako przeniesieniu do Polski autentycznej włoskiej szczepionki. Buonaccorsi obracał się i wśród szlachty, i wśród mieszczan.

Już Grzegorz z Sanoka, pierwszy w Polsce, stworzył w swoim Dunajewie środowisko skupiające ludzi umysłowo niespokojnych, nawet pisarzy. Kallimach, a po nim Niemiec Konrad Celtis zrobili to samo w samym Krakowie i w postaci o wiele lepiej skryształizowanej. Ten drugi zorganizował tak zwaną *Sodalitas Litteraria Vistulana*, czyli Towarzystwo Literackie Wiślańskie (a może raczej: Nadwiślańskie). Garnęli się do owych kółek ludzie z Korony - Polacy i Niemcy - a obok nich Ślązacy. Początek został dany i wcale nie należy ukrywać, że zaczynem stali się wybitni cudzoziemcy. Inaczej działać się nie mogło. Odtąd już nie jednostki, ale całe falangi młodych Polaków śpieszyły na studia i po oglądę do Italii, nowiny najwyższej próby popłynęły do nas potokiem.

W zachodniej Europie zdecydowanie przemogły już wtedy dwa wielkie prądy kulturalne, zwane humanizmem i Renesansem, w spolszczeniu Odrodzeniem.

Może bez błędu rzeczownik „humanizm” napisano w poprzednim zdaniu małą literą. Stanisław Łempicki powiedział bardzo trafnie, że od czasów starożytnych Grecji i Rzymu: „Humanizm jest prądem wieczystym i wiecznie wracającym”, wolno więc jego nazwę traktować jako imię pospolite. Wywodzi się od łacińskiego słowa „*homo*”, człowiek, i stawia osobę ludzką w samym środku zainteresowań ludzkich. Jego istotę najlepiej oddaje tysiące razy cytowane zdanie rzymskiego autora: „Jestem człowiekiem i nic, co ludzkie, nie jest mi obce.”

Warto określić, czemu mianowicie przeciwstawiała się ówczesna fala humanizmu. W tym celu, za Bogusławem Leśnodorskim i w jego przekładzie, trzeba przytoczyć kilka zdań z dzieła papieża Innocentego III *O pogardzie dla świata i nędzy ludzkiego istnienia*, napisanego w wieku XII:

Człowiek składa się z łąna i najpospolitszych pokarmów, podczas gdy inne rzeczy stworzone są z materiałów o wiele szlachetniejszych. Bowiemy mędracy mówią, że gwiazdy i planety powstały z ognia, powiew i wiatry z powietrza, ryby i ptaki z wody [...] Drzewa wydają z siebie liście, kwiaty i owoce, ludzie gnidy, robaki i wszy [...] Niewiasta płodzi syna w ogniu i brudzie rozkoszy, rodzi go w męce i cierpieniach, karmi go w bólu i strachu, a wszystko dzieje się przez popęd natury.

Nie wszyscy w średniowieczu wyznawali ten pogląd, stanowiący jednak pewien ideał oficjalny, przynajmniej w teorii górujący. Szczególnie w średniowiecznej Polsce słabo i raczej rzadko pogardzano życiem doczesnym. Humanizm usprawiedliwiał je w pełni, przywracał mu wolność.

Renesans-Odrodzenie to nazwa zupełnie określonej epoki w dziejach Europy. Jednakże jej początkowe i końcowe daty oznaczyć można tylko stuleciami. Jeśli przedświt Odrodzenia na Zachodzie znaczy się już w wieku XIII, to pełnia i koniec przypada na XVI. W tym długim czasie dokonała się całkowita przemiana we wszystkich dziedzinach życia. Odrodziła się w nowym wydaniu sztuka starożytności klasycznej, uległa rewizji wyobrażenia o globie ziemskim, jego lądach i morzach, egoizmy narodowe wzięły górę nad dawnym i sfalszowanym zresztą uniwersalizmem... Przykłady można mnożyć bez końca, bo nic właściwie nie oparło się nowym prądom.

W tym wielkim przetwarzaniu porządków europejskich oraz wyobrażeń o świecie brali udział i Polacy - już na równi z innymi. Znalazła w tym wyraz najnormalniejsza kolej rzeczy: w styczność z duchową kulturą Zachodu weszliśmy w wieku X, po chrzcie, w XV doścignęliśmy w dziedzinie twórczości średniowiecze, w XVI dojrzeliliśmy całkowicie.





Trzecie pokolenie

1

Jan Olbracht to pierwszy król polski swobodnie wybrany. Ojciec, który Aleksandra zwyczajnie mianował wielkim księciem Litwy, jego mógł tylko zalecić Polakom.

Jakże odmienna była owa najwcześniejsza polska elekcja od innych, znacznie późniejszych, swarliwych i warcholskich! Czemuż upieramy się pamiętać tylko zjawiska ujemne, a skreślamy z rejestru piękno własnej historii? Piękno i prawdę...

Wybór Olbrachta też uchodzi za trudny i burzliwy. Wielu magnatów było przeciwko niemu, wysuwając kandydaturę księcia Janusza mazowieckiego. Królowa Elżbieta przysłała na pomoc synowi oddział kilkuset kawalerzystów, którzy jednak nie dobywali mieczów i krwi niczyjej nie przelali. Za Janem Olbrachtem murem stała szlachta, wspierana przez mieszczan, i narzuciła swą wolę. Nie bywa sporów politycznych polegających na wzajemnym padaniu sobie w objęcia. Jeżeli grupa wyznająca słuszny program posiada zdecydowaną przewagę i umie przeprowadzić swój zamiar, to już jest dobrze i nie warto żądać więcej.

Działo się to w Piotrkowie, w sierpniu 1492 roku. Oprócz panów z rady koronnej przyjechał, kto chciał ze szlachty. W licznym tłumie ziemiańskim znaleźli sobie miejsce przedstawiciele głównych miast królestwa. Pomniejsze również w jakiś sposób uczestniczyły w wyborze, zapewne jednak nie przez delegatów, lecz złożony tylko odpowiednie oświadczenia.

Narady trwały przez dwa tygodnie, a chodziło w nich o uzgodnienie poglądów, by sama elekcja mogła się odbyć zgodnie. Za przeciwników Olbrachta mogli uchodzić - oprócz wspomnianego Janusza - także rodzeni bracia Władysław i Zygmunt. Aleksander bowiem ani myślał oponować.

27 sierpnia marszałek wezwał do komnaty królewskiej tych, którym przysługiwało prawo uczestniczenia w ścisłej elekcji. Zebrało się ich czterdziestu, a więc daleko do kompletu rady koronnej. Obok biskupów, kasztelanów i wojewodów stanęli przedstawiciele Prus Królewskich. Przywodził im biskup warmiński Łukasz Watzelrode, a tuż przy nim widniały mieszczańskie postacie wysłanników Gdańska, Torunia i Elbląga. Pomimo wszystko miasta nie utraciły jeszcze politycznego znaczenia całkowicie.

Zgodnie z prawem każdy z obecnych głosował imiennie i jawnie. Kiedy przyszła kolej na Watzelrodego, ten oświadczył, iż chce wypowiedzieć się jako ostatni. Nie był to wcale objaw pokory, przeciwnie raczej. Biskup podkreślał pewną odrębność czy samodzielność grupy pruskiej.

Łukasz Watzelrode to rodzony wuj Mikołaja Kopernika, o którego narodowość toczą się aż nazbyt namiętne spory. Scena elekcyjna rzuca na tę sprawę znamienne i na pewno prawdziwe światło. Wielki astronom niewątpliwie wyznawał te same poglądy, co jego starszy krewny, dobrodziej i opiekun. Wywodził się ze śląskiego gminu, a uważał za obywatela i patriotę Prus Królewskich, stanowiących autonomiczną część składową Korony Królestwa Polski. Po co upraszczać to, co w rzeczywistości było skomplikowane, zawile? Nowsze czasy zatęrzyły podziały wewnętrzne, ale w XV i XVI stuleciu patriotyzm lokalny był siłą żywą, znakomicie się godzącą z wiernością, nawet miłością względem takiego państwa, które ją szanowało.

Biskup Watzelrode głosował tak samo jak rodowici koroniarze. Wybór Jana Olbrachta nastąpił jednomyślnie, a cała czynność trwała godzinę.

Marszałek wyszedł przed zamek do tłumu, oznajmił o wyniku i zapytał, czy jest on zgodny z wolą ogółu.

- Jest! Jest! Jest! - trzykrotnie odkrzyknęła cizba. Bez tej króciutkiej ceremonii elekcja byłaby nieważna.

„Każda elekcja to handel, przetarg, stręczycielstwo” - napisał francuski publicysta historyczny. A już co najmniej chwila w życiu państwa krytyczna - dodajmy od siebie. Można spokojnie zauważyć, że w 1492 roku Polska przetrwała ją gładko. Owe dwa tygodnie pokazują nam państwo funkcjonujące sprawnie.

Daleko odeszliśmy już od groźnych chwil roku 1426, kiedy w Łęczycy miecze magnackie rozsiekały pergamin elekcyjny, oraz od ciężkich zatargów lat 1445-1447 poprzedzających koronację Kazimierza Jagiellończyka. Tym razem rządzący Litwą królewicz i w jednej osobie wielki książę, Aleksander, przysłał do Piotrkowa Mikołaja Radziwiłła, kazać mu pozdrowić Jana Olbrachta „jako starszego brata na tej stolicy Korony Polskiej, na której Bóg dał mu usiąść”. Wzorem Jagiełły Jan Olbracht przybrał tytuł „*supremus dux Lithuaniae*” - najwyższego księcia Litwy.

Dwoiste państwo polsko-litewskie przetrwało kryzys i zdecydowanie szło po drodze umiarkowania. Przesadne pretensje bądź uroszczenia stron obu uległy pożądanemu złagodzeniu. Czas, realne potrzeby polityczne oraz wyteżona, świadoma celu praca Kazimierza Jagiellończyka zrobiły swoje.

W stosunku Polaków do nowego króla nie widać już ani cienia owego poczucia wyższości, które kazało Oleśnickiemu - a po nim Rytwiańskiemu - pomijać Jagiełłę lub pamięcią o nim. Bo też nie było żadnych powodów do utrzymywania się takich sentymentów. Jan Olbracht to europejski monarcha w każdym calu, w polskim, łacińskim i niemieckim języku „krasomówca wielki”. Na jego dużej, siłę i szczerłość znamionującej twarzy znaczyła się odziedziczona po matce, w przód wysunięta, słynna „warga Habsburgów”. Był rosły, łysawy, zarzucił ojcowski obyczaj noszenia długich szat, ubierał się krótko, jeździł na koniu mlecznej maści, słynął z wyjątkowej odwagi. Nie żywił dziadowej i rodzicielskiej, pełnej przezorności odrazy do rozweselających napitków. Wręcz przeciwnie! Od poddanych nie stronił, nawet w okolicznościach dla pomazańca dość dziwnych. Szukając kiedyś z dwoma towarzyszami przygód nocnych na

ulicach Krakowa, „gdy pijany na pijańców trafił, powadził się z nimi, tamże go raniono, z której rany długo chorował”.

W 1496 roku Jan Olbracht zamówił u dwóch malarzy krakowskich, Tomka i Stanisława, trzytomowy graduał, czyli księgę zawierającą pieśni mszalne. Jest ona wybitnym dziełem sztuki. Na obrazach powtarza się postać króla w koronie i wspaniałych szatach, raz klęczącego u stóp Matki Bożej, to znów zasiadającego na bardzo wysokim tronie, u którego stopni, głowami nie dosięgając butów monarchy, stoją dostojnicy koronni. Inicjał litery „M” jest osobliwy. W motyw roślinny wplekli tam artyści figury nagich chłopców w pozach co najmniej swobodnych. Ten, który przykucnął najwyżej, także golusieńki, zachowuje się zupełnie już nieprzystojnie, jakby był gotów wyrzucić dotkliwą przykrość gronu osób namalowanych niżej. Jego Królewska Mość zapłacił za tę księgę i posługiwał się nią. Widocznie w niczym nie urażała ona jego uczuć religijnych ani wrodzonego mu poczucie własnego majestatu.

Ewolucja kulturalna rodu Jagiellonów była dokonana. Na tronie polskim zasiadł władca kubek w kubek podobny do współczesnych mu europejskich dynastów doby Renesansu. Rzymem papieskim trzęśli wtedy osławieni Borgiowie. Jan Olbracht na pewno nie dzielił z nimi jednej ich cechy - okrucieństwa przechodzącego w bestialstwo.

Wkrótce po objęciu władzy pisał do Aleksandra o Maksymilianie Habsburgu:

Przeciw nam zaś wszędzie knuje intrygi, wśród Moskali, Wołochów, Tatarów i Prusaków, abyśmy, rozerwani naszymi sprawami, opuścili brata [Władysława]. Trzeba się mieć na baczności, aby nie przeszkodził państwu naszym i sławnemu Domowi naszemu.

Wysokie pojęcie o powołaniu domu Jagiellonów nie przeszkodziło mu wytrwać w stanie kawalerskim aż do zgonu. W tym względzie znalazł naśladowcę dopiero w Stanisławie Augustie, ostatnim królu polskim.

W 1493 roku Turcy zaofiarowali rozejm na lat dziesięć czy nawet na dwadzieścia. Król podpisał układ na trzy zimy, gdyż - jak utrzymuje Fryderyk Papée - miał poczucie misji dziejowej. Raz już przecież szedł z wojskiem ku Morzu Czarnemu, odnosił zwycięstwa nad Tatarami.

Wstąpiwszy na tron polski zatrzymał Olbracht i swe śląskie posiadłości, nie zwrócił ich Władysławowi. Jednakże dawne pouczenia wychowawcze Jana Długosza padły widać na opokę lub między ciernie. Król nie dbał o Śląsk, ani razu nie odwiedził Głogowa, którego był panem. Zamiast niego rządził najlepszy z rotmistrzów koronnych, Jan Karnkowski z przydomkiem „Polak”, „mąż rycerski, lecz surowy i niesprawiedliwy”. Zawodowi wojskowi rzadko nadają się na dobrych administratorów; Piotr Dunin stanowił wyjątek. Śląsk naprawdę zaznał ucisku i łamania prawa, w 1493 roku wybuchł tam nawet bunt. Zjednoczenie w Olbrachtowym ręku władzy nad Krakowem i Głogowem ani trochę nie posunęło naprzód sprawy polskiej nad Odrą, popsuło nawet stosunki i zostawiło złe wspomnienia.

O miasta w Koronie Olbracht dbał i doznał z ich strony zdecydowanego

poparcia podczas elekcji. Zaraz po koronacji nadał im przywileje i stwierdził na piśmie, iż mieszczenie „nikogo innego, tylko nas z całym pragnieniem i całym afektem żądali”, co jak najdokładniej odpowiadało prawdzie. Ten pełen ducha rycerskiego i kresowego rozmachu król był mocno popularny w Prusach, na Pomorzu, zwłaszcza w Gdańsku.

Na sejmie piotrkowskim w roku 1493 Kraków uzyskał, jako ciało zbiorowe, zrównanie w prawach ze szlachtą. Synowie Kazimierza Jagiellończyka, lepiej od ojca zżyci z krajem obfitującym w miasta, wyraźnie starali się naprawić błędy rodzica. Wcale nie było na to za późno, ale cóż, kiedy sami mieszczenie nie wyrzekli się swego śmiertelnego grzechu i nie prowadzili godnej tego miana walki stanowej. Zamiast solidarnych wystąpień w dalszym ciągu trwały kramarskie targi o przywileje dla każdego grodu z osobna.

Rok 1496 przyniósł mieszczanom i w ogóle plebejuszom przykre nowości. Na wiosnę zebrał się wtedy drugi w naszych dziejach sejm w pełnym tego słowa znaczeniu, ogólnopaństwowy, gromadzący posłów z całej Korony (pierwszy, wspomniany przed chwilą, obradował o trzy lata wcześniej). Zapadłe postanowienia były tak doniosłe, że historycy uznają je za istotną „wielką kartę” swobód szlacheckich.

Tylko herbowi ziemianie mieli odtąd dostęp do wyższych godności kościelnych. W każdym biskupstwie jedynie pięć kanonii nadal stało otworem dla innych kandydatów posiadających wyższe wykształcenie. Sejm uwolnił szlachtę od wszelkich, zarówno przywozowych, jak i wywozowych, ceł. Co prawda odnosiło się to wyłącznie do towarów wyprodukowanych, a nie zakupionych przez szlachcica, oraz do przywożonych na własny użytek, bez prawa dalszej odprzedaży. Ale mimo to nowa ustawa wyraźnie godziła w interesy miast. Wbrew pozorom o wiele mniej szkodliwy był zakaz nabywania dóbr ziemskich przez plebejów, ponieważ uniemożliwiał lokowanie kapitałów w roli, tym samym skierowywał je ku przemysłowi.

Sejm 1496 roku bardzo poważnie ograniczył prawa chłopów. Odtąd już tylko jeden gospodarz rocznie mógł opuszczać wieś. Tylko jednemu synowi w rodzinie wieśniaczej służyło prawo wyboru nowego zawodu, pójścia do miasta czy na naukę. Do jedynaków chłopskich wszystko to w ogóle się nie odnosiło. Oni musieli zostawać na miejscu i brać zagrody po ojcach.

W XV wieku, wobec rozwoju miast w Polsce, zwłaszcza zaś na zachodzie Europy, wzrosło zapotrzebowanie na zboże, a odzyskanie Pomorza uniezależniło jego wywóz od polityki krzyżackiej. Holandia oraz Anglia ciągle dopominały się o polskie ziarno, płaciły dobrze i taki stan rzeczy skłonił ziemian do zmiany sposobu gospodarowania. Dawniej szlachcic żył z czynszów, o folwark dbał mało, robocizna nie była mu zanadto potrzebna. Teraz zmieniło się to radykalnie - należało rozszerzać obszar uprawiany przez sam dwór, a chłopów unieruchomić i obciążyć powiększoną pańszczyzną.

Kiedy sejm piotrkowski wydawał wspomniane ustawy, wieśniak polski stał jeszcze daleko od tej zależności i nędzy, w jaką wtrącono go później. Wcale nie brakowało chłopów zamożnych, dobrze gospodarujących i

wypożyczających nawet pieniądze szlachcie. Stanisław Arnold i Andrzej Wyczański twierdzą (*Historia Polski*, PAN, tom II, str. 88), że:

przeciętny inwentarz chłopski w gospodarstwie łanowym wynosił w połowie XV w. 2-4 woły, 1-2 konie, 2 krowy, ponad 20 owiec i około 7 świń. Zdarzali się jednak nierzadko znacznie bogatsi chłopi, posiadający o wiele większą ilość inwentarza. W wypadku nastawienia na hodowlę - a chłopi zajmowali się hodowlą często poszczególne ilości bydła, koni, owiec czy świń znacznie wzrastały

- a podobnie działo się jeszcze w drugiej połowie XVI wieku.

Rok 1496 nie wtrącił jeszcze chłopca w niewolę i nędzę, groźny był jednak kierunek postanowień. Zaszły zmiany na gorsze, zapowiadały się rzeczy jeszcze bardziej niebezpieczne: odsunięcie władzy państwowej od wszelkiej opieki nad stanem wieśniaczym.

W 1496 roku stratni byli mieszczanie, chłopcy oraz możnowładcy. Ci ostatni, oczywiście, tylko pod względem politycznym. Dawna, wszechmocna za Oleśnickiego rada koronna, przetworzona teraz w senat, czyli wyższą izbę parlamentu polskiego, zesłała za Olbrachta w cień. Król opierał się na szlachcie i sejm piotrkowski dał temu pełny wyraz.

Ziemiaństwo odwdzięczyło się panującemu uchwalając duże podatki. Mocarstwowe zamierzenia Jana Olbrachta nabierały przez to krwi i ciała.

Młody od czterech lat załedwie rządzący król szedł dotychczas od sukcesu do sukcesu. Załagodził ojcowski spór z biskupem warmińskim Łukaszem Watzelrode i zyskał w jego osobie wiernego doradcę (drugim był słynny Kallimach), uporządkował stosunki w Prusach, które odwiedził, wszędzie przyjmując hołdy w lutym 1495 roku, a więc jeszcze przed sejmem, wobec bezpotomnej śmierci księcia Janusza wcielił do Korony Płock, będący kościelną stolicą Mazowsza. Drugiemu z tamtejszych dynastów, Konradowi III Rudemu, pozostały tylko Czersk i Warszawa.

Królestwo było więc już przygotowane do szerszych zadań i czynnych wystąpień. Z grubsza biorąc, to samo odnosiło się do Wielkiego Księstwa, którego położenie było jednak bez porównania trudniejsze.

W organizmie politycznym stworzonym przez unię zapanował wtedy stan rzeczy nadzwyczaj oryginalny i nie mniej znamieny. Kraków i Wilno miały osobnych władców, przy czym Aleksander objął władzę o cały miesiąc wcześniej od Olbrachta. A więc formalnie unia została zerwana, bo nie było nawet osobowego związku. Pomimo to Litwa i Polska stanowiły pewną całość, trzymały się siebie nawzajem i szły razem. Nie przeszkodziło i to nawet, że na Litwie zmiana władcy zamiast triumfu średniej szlachty przyniosła zdecydowane sukcesy możnowładztwu. O zgodnym działaniu rozstrzygały względy rzeczowe, przede wszystkim polityka zagraniczna.

Niemal natychmiast po zgonie Kazimierza Jagiellończyka, bo już w sierpniu 1492 roku, Iwan III Srogi przybrał znamieny tytuł „prawego pana całej Rusi” (w oryginale brzmiało to: „*Jedin prawoj gosudar wsiej Rusi otcicz i diedicz i innym mnogim ziemiom od siewiera do wostoka gosudar*”). Działania wojenne zostały wznowione, a skutkiem ich nie tylko

wiele pogranicznych grodów i włości znalazło się w ręku moskiewskim, ale sam Smoleńsk popadł w zagrożenie strategiczne. W tej sytuacji otrzymał Aleksander od brata z naciskiem wyrażoną radę szukania pokoju z Kremlen. Król wskazywał na Maksymiliana Habsburga jako na głównego wroga, a byli jeszcze i inni, o czym za chwilę. 7 lutego 1494 roku zaprzysiężono w Moskwie układ, którego mocą wyrzekła się Litwa zdobytej przez Iwana Wiaźmy oraz innych ziem, odzyskiwała zaś między innymi Briańsk. Jednocześnie przyznawała Srogiemu ów jego tytuł „pana całej Rusi”. Wznowiono też pomysł sprzed dwunastu lat i księżniczka moskiewska Helena została żoną Aleksandra Jagiellończyka.

Każda ze stron rozumiała jednak to posunięcie w sposób najzupełniej różny. Aleksander marzył o trwałym pokoju, Iwan wysyłając córkę do Wilna traktował to jako jeden więcej krok na drodze do rzeczywistego władztwa nad całą Rusią. Przydał Helenie zadziwiająco liczny dwór, który miał patrzeć, nasłuchiwać i nieustannie służyć swemu właściwemu panu. Ani jeden z dawniejszych aliansów Moskwy nie uległ zerwaniu. Iwan pośpieszył zawiadomić o tym chana Krymu Mengli-Gireja, którego zaniepokoiły gody wileńskie.

I ten także po śmierci Kazimierza Jagiellończyka nabrał rozpędu. Zestawienie dat i faktów opowie o tym najwymowniej. W 1493 roku zniszczyli Tatarzy Czerkasy, Kaniów i Winnicę, w następnym doszli do Wołynia i rozbili pod Wiśniowcem wojska litewskie, wspierane przez zaciężne i nadworne rotę koronne (zachęciło to wojewodę mołdawskiego Stefana, który napadł i spalił Braclaw na Podolu). W roku 1495 orda doszła kolejno do Kijowa i aż do Korca na Wołyniu, w 1496 - do Równego oraz Trembowli, w 1497 - do Krzemieńca i nad Prypeć, gdzie 1 maja zginął z rąk tatarskich metropolita kijowski Makary, zaskoczony przez najazd w głuchej wiosce. Kresy ukraińskie Wielkiego Księstwa Litewskiego ogarnął prawdziwy pożar, tłumy jasyru zapełniły rynki Białogrodu i Kaffy, ataki Tatarów z roku na rok sięgały coraz dalej, już niemal dotykając ruskich granic Korony. Mengli-Girej nie działał na własną rękę, gdyż łączący go z Moskwą sojusz ani na chwilę nie osłabł.

Wkrótce po klęsce pod Wiśniowcem Kallimach wybrał się do Wilna jako poseł królewski, najprawdopodobniej wioząc propozycję wspólnego uderzenia na sam Krym. Rada litewska była jednak innego zdania: „dopóki Kilia i Białogród są w ręku pohańców, nie może być spokoju u granic obojga państw” - dowodziła. Jej zdanie przemogło, postanowiono uderzyć w kierunku ujść Dniestru i Dunaju, na Turków, rozerwać ich połączenie lądowe z Krymem i odzyskać dostęp do Morza Czarnego. Zdobycie dwóch ważnych portów, stanowiących punkty wyjściowe dwu szlaków handlowych, przecinających jeden Litwę, drugi Polskę, przyniosłoby pokaźne zyski gospodarcze.

Postępowanie Jana Olbrachta podczas sejmu piotrkowskiego zmierzało do przygotowania wyprawy - chcąc otrzymać poparcie szlachty, należało zaspokoić jej żądania. Jeszcze inny filar podtrzymywał politykę królewską. Był nim najmłodszy z Jagiellonów, Fryderyk, który - najpierw dzięki poparciu ojca, a potem brata - w dwudziestym wiośnie życia został biskupem krakowskim, w dwudziestym piątym arcybiskupem gnieźnieńskim, prymasem

Polski i kardynałem (za każdym razem dopiero po nominacji przyjmował potrzebne święcenia kapłańskie). Ten znany z wesołego życia i lekkich zamiłowań człowiek dbał o swe owieczki, kładł między innymi silny nacisk na przestrzeganie... celibatu. Stale i z pomyślnym skutkiem zmuszał kler do ofiar pieniężnych na rzecz państwa, sprzedawał na ten cel kosztowności kościelne. Nieco później, w roku 1500, posunął się bardzo daleko - oddał skarbowi sumy zebrane na wielki jubileusz Kościoła i przeznaczone dla Rzymu.

W listopadzie 1496 roku Jan Olbracht i Aleksander odbyli zjazd w Parczowie, którego wyniki osłaniali najściślejszą tajemnicą. „Gdyby moja koszula wiedziała, tobym ją spalił” - solidarnie powtarzali po rusku przysłowie włoskie, którego się nauczyli od Kallimacha.

Milczeń umieli i wskutek tego do dzisiejszego dnia brak między historykami zgody, przeciwko komu właściwie zamierzono wtedy wojnę. Bo liczna armia koronna uderzyła nie na Kilię i Białogród, lecz na Mołdawię i jej hospodara, Stefana Wielkiego. Niektórzy dziejopisarze, także ci najdawniejsi, najbliżsi wypadkom, utrzymywali, że chodziło o zdobycie tego kraju dla królewicza Zygmunta, później nazwanego Starym. Jakkolwiek było, pierwszym przeciwnikiem, z którym idąca ku Morzu Czarnemu Polska musiała się rozprawić, okazał się jej własny hołdownik - gospodarstwo mołdawskie. Waleczny, przebiegły i nadzwyczajnie obrotny Stefan od dawna należał do antyjagiellońskiej koalicji i sukces Olbrachta nie dogadzałby jego polityce.

Z Polski poszło na tę wyprawę czterdzieści tysięcy pospolitego ruszenia i żołnierza zaciężnego, dobra artyleria. Silna armia litewska pod samym Aleksandrem rozbiła namioty koło Winnicy, gotowa do strategicznego współdziałania. 24 września Jan Olbracht, przy którym znajdował się królewicz Zygmunt, obległ stolicę Mołdawii, Suczawę. Po stronie Stefana stanęli Tatarzy, przyszły mu z pomocą oddziały tureckie, a Węgry - jedno z państw Domu Jagiellońskiego! wypowiedziały Polsce wojnę. Nie miało większego znaczenia, że królował tam Władysław Jagiellończyk. Rządził nie on, lecz magnaci, którym wcale się nie uśmiechało wpuszczenie Polski na Bałkany. Bardzo czynny udział w grze wziął także Iwan Srogi. Wojska wprawdzie nie wysłał, za to posłów do Aleksandra ze stanowczym protestem przeciwko jakiegokolwiek akcji na niekorzyść Stefana. Tego wystarczyło do unieruchomienia sił Wielkiego Księstwa, które w danych warunkach naprawdę nie mogło ryzykować wojny z Moskwą.

Z Olbrachtem szły na południe posiłki krzyżackie, prowadzone przez wielkiego mistrza Jana von Tieffen. Istnieje wszelkie prawdopodobieństwo, że król zamierzał przesiedlić Zakon z Prus na Podole, a może nawet na wybrzeże czarnomorskie (już przed wielu laty poseł polski Jakub z Sienna podczas kongresu w Mantui rozwijał wobec papieża myśl o potrzebie połączenia Krzyżaków z Joannitami i osiedlenia ich na jednej z wysp Morza Śródziemnego, by mogli walczyć przeciwko niewiernym, których nad Bałtykiem brakowało). Von Tieffen zmarł we Lwowie, zanim się jeszcze rozpoczęły prawdziwe działania. Zresztą nowe tereny dla Krzyżaków trzeba było najpierw zdobyć.

Obleżenie Suczawy nie powiodło się i wobec ogólnej niepomyślnej

sytuacji król nakazał odwrót. Szedł drogą najkrótszą, lecz trudną. 26 października, w lasach i wąwozach pod Koźminem, wojsko wpadło w zasadzkę, uderzyli nań Wołosi i Węgrzy. Ciężka kawaleria koronna pod dowództwem Jana Tęczyńskiego opanowała położenie, „albowiem Wołochowie niedługo zdzierżyć mogli gwałtowi jezdnych ludzi królewskich”, pospolite ruszenie i tabor poniosły jednak duże straty. Artyleria przeważnie ocalała, bitwa kosztowała ją osiem dział.

Poszczerbiona armia ciągnęła ku Dniestrowi, atakowana na wszelkie możliwe sposoby. Nieprzyjaciel podpalał stopy, ratunek polegał na szybkim koszeniu i uprzątaniu traw wokół wstrzymanych kolumn. Nad Prutem czekała pomoc i ulga. Nadeszły nieliczne, lecz doborowe oddziały litewskie pod Stanisławem Kiszką, namiestnikiem ludzkim. Wobec postawy Iwana Srogiego Aleksander nie mógł przyjść z całą swą siłą, posłał jednak bratu na spotkanie roty nadworne.

Za korola Olbrachta pohibe w Polsce szlachta - tak brzmiał ruski odpowiednik przysłowia, które zrobiło historyczną karierę i było powtarzane przez stulecia. Pełno w nim przesady. Szlachta ani myślała wyginać, aczkolwiek wielu pospolitaków istotnie złożyło głowy na Bukowinie i jeszcze w wiek później przejezdni oglądali pod Koźminem wielki kurhan oraz rozwleczone po wertepach kości ludzkie. Wojskowe skutki przegranej nie były groźne, za to polityczne okazały się straszne.

Wydaje się rzeczą nie do wiary, że jedna niefortunna kampania, stoczona w dodatku na obcej ziemi, mogła aż do tego stopnia wstrząsnąć państwem, zepchnąć je z wyżyn. A jednak tak było, i to w całkowitej zgodzie z prawidłami logiki politycznej.

Wojna skończyła się późną jesienią, w roku 1493 nic już ważnego nie zaszło. Z wiosną następnego ruszyli Tatarzy, a Iwan Srogi znów uderzył na pogranicze litewskie, bez obsłonek zapowiadając, iż celem jego dążeń jest Kijów. Wtedy też najdalsze południowo-wschodnie ziemie Korony po raz pierwszy na własne oczy zobaczyły Turków. Pasza Sylistrii, Malkocz, doszedł do Sanoka, Przeworska oraz Przemyśla, dziko pustosząc kraj, lecz nie napotykając oporu. W Królewcu kapituła krzyżacka powołała nowego wielkiego mistrza. Poprzedni musiał iść nad Morze Czarne przy boku Olbrachta, zamyślającego przesiedlenie Zakonu. Obecny odmówił królowi hołdu z Prus. Był nim spokrewniony z Jagiellonami Fryderyk saski, książę Rzeszy Niemieckiej, pewny poparcia ze strony innych elektorów oraz cesarza Maksymiliana Habsburga, pragnącego odzyskać dla swego domu Czechy i Węgry. Przegrawszy wojnę musiał Jan Olbracht zrzec się dzierżonego dotychczas Głogowa, a wraz z nim tytułu „najwyższego księcia na Śląsku”. Chan Mengli-Girej wystąpił wkrótce pod adresem Litwy z niesłychanym żądaniem stałej daniny z Kijowa, Czerkas, Kaniowa i Putywła. W niedługi czas później wojewoda kijowski wyprawił się na Krym z propozycją płacenia Tatarom rokrocznie pogłównego z ziemi kijowskiej, Podola i Wołynia. Miała to być cena za pokój i przymierze. W kilka lat po zgonie Kazimierza Jagiellończyka mocarstwowość Wielkiego Księstwa Litewskiego przestała zatem istnieć, odeszła w przeszłość. Rozpoczęte przez Iwana Srogiego natarcie rozwijało się i od roku 1500 przybrało nigdy dawniej niebywałe rozmiary.

Jedna wyprawa przegrana na Bukowinie sprawiła, że natychmiast rozogniły się wszystkie nie załatwione, byle jak zaklajstrowane problemy, od stulecia wiszące na obrębach połączonych państw Polski i Litwy. Zdobywca rozmach Jagiellonów załamał się, gdy tylko klęska uwidoczniła chwilową słabość, dostarczyła okazji tym **wielu**, którzy czekali na sposobną chwilę. Idąc na Suczawę uderzył Olbracht w ogniwo łańcucha wrogich przymierzy, dobrze zakotwiczonego w Moskwie, na Krymie, w Budzie, w Wiedniu, no i w Królewcu. Łańcucha rozerwać się nie udało. Teraz obręcz zaczęła się dośrodkowo zacieśniać.

Powróćmy znowu do tematu, który zasługuje na jak najczęstsze przypomnienie. Od niepamiętnych czasów istnieją w polityce pewne zasady, ustalone bez teoretyzowania, na mocy samej praktyki, wielokrotnie sprawdzone doświadczeniem. Przestrzeganie ich świadczy o kulturze politycznej kraju. Głoszą one, iż nie wolno wojować na wielu frontach jednocześnie, że trwale korzyści osiąga się idąc naprzód krok za krokiem - „etapami”, jak zaczęto mówić w czasach najnowszych - że nie sztuka chwycić rzecz, która chwilowo ma słabego dozorcę, sztuka utrzymać... Wszystkie razem wzięte nakazują umiar, oględność, troskę o gruntowne wykańczanie szczegółów rozpoczętych robót, stanowczo zabraniają ścigania celów, na których osiągnięcie brak sił. Państwa jagiellońskie popadły w niezgodę z tymi nie pisanymi przepisami, co należy bez ogródek stwierdzić.

Sięgnięcie na przykład poza Karpaty dało same szkody, gdyż pochłonęło mnóstwo środków, potrzebnych wszak gdzie indziej, przyniosło fatalny w skutkach, na nic nieprzydatny konflikt z Węgrami, Śląska zaś nie tylko do Polski nie przybliżyło, ale wręcz przeciwnie politycznie go oddaliło. I skłoniło obojętnych dawniej Habsburgów do konsekwentnego działania przeciwko nam.

W XV i XVI wieku Polska osiągnęła wielkie zdobycze kulturalne w potocznym tego słowa znaczeniu, to znaczy w nauce, literaturze, sztukach plastycznych, architekturze, muzyce. Kultura polityczna obniżyła się wydatnie w porównaniu z epoką piastowską. Za czasów swej pierwszej dynastii Polska działała dokładnie tak, jak te państwa europejskie, które osiągnęły wyniki trwałe.

Kogo winić? Na pewno nie należy obarczać pojedynczych ludzi odpowiedzialnością za całokształt przemiany. Wraz z nową dynastią przysłała do Polski nowa metoda prowadzenia polityki. Nowa i gorsza.

Jan Olbracht nie popełnił w roku 1493 chyba żadnego zasadniczego błędu. Działać musiał. Tatarzy zbliżali się wszak do granic Korony. O pokój z Moskwą i wzmocnienie własnej pozycji w Polsce zatroszczył się w porę. Wszystko, czego było potrzeba do przegranej odziedziczył. To nie on sprawił, że na granicach siedzieli sami wrogowie, kandydatów na przyjaciół, a chociażby tylko na spokojnych sąsiadów, brakowało.

W 1345 roku ociemniały król czeski Jan z Luksemburga ciągnął pod Kraków, pragnąc dotknąć dłonią jego murów. Przez następne sto pięćdziesiąt lat stolica była spokojna i bezpieczna. Po klęsce bukowińskiej, widząc Turków pod Sanokiem, zaczęła wzmacniać mury, wzniosła przed Bramą Floriańską swój słynny Barbakan.

Król nie załamał się i cugli z rąk nie wypuścił. Wojnę przegrał, lecz surowo pokarał szlachciców, którzy uchylili się od udziału w niej i pozostali w domu, skonfiskował wiele majątków. Nie załamał się, ale ciężko odczuł nieszczęście. Rozhulał się, pił na umór, szalał w tłumie kobiet. To wtedy właśnie, po powrocie z wyprawy, wdał się w bójkę nocną i odniósł ranę. Tego rodzaju niebezpieczeństwa były niczym w porównaniu z grozą, na której spotkanie szedł poprzez krakowskie bachanalie, niczego nie przeczuwając.

Współczesna kronika ruska pisze: „*W lieto 7001* [czyli w roku 1493]. *Jawisia w Polsce nowaja niemoszcz, blaholemaja Franca, juże niekaja žena, chodiaszczaja na otpusty, priniesie z Rimu do Krakowa.*” Polscy dziejopisowicze to potwierdzają: jakaś kobieta przyniosła z rzymskiej pielgrzymki odpustowej syfilis, zwany wtedy francą, „która niemoc w Polsce jako osobliwa plaga Boża za wszetecznictwem ludzi swawolnych prętko się rozmogła”, a przebieg miała ostry, gwałtowny, zabierała ludzi szybko („a naprzód - dodaje jeszcze kronikarz - nasz ksiądz miły, kardynał Fryderyk kredencował”).

Wypadki polityczne następowały jeden po drugim świadcząc, że rozhulany król działać wcale nie przestał.

6 maja 1499 roku zawarto tak zwaną unię wileńską, będącą właściwie ścisłym sojuszem dwu równorzędnych państw, Polski i Litwy. Wspólnie odczuwane niebezpieczeństwo umacniało związek, rozluźniony w tamtych jakże już odległych czasach, kiedy Wielkie Księstwo wydawało się wolne od wrogów. Dość długo trwały układy o pokój z Węgrami i Turcją, jednakże walki z nimi ustały. Inaczej działo się od strony Moskwy i Tatarów.

Rok 1500 przypominał Koronie dawne lata. Orda tatarska uderzyła na Lublin, przekroczyła Wisłę, napadła na Sandomierz i Opatów.

14 lipca poseł królewski, marszałek Piotr Kmita, asystował w Budzie węgierskiej przy ceremonii podpisania traktatu, który dom Jagiellonów zawarł z królem Francji, Ludwikiem XII. Układ wzmocniono związkami familijnymi - Władysław Jagiellończyk poślubił księżniczkę francuską Annę de Foix et Candale, bezżenny dotychczas Jan Olbracht miał pojąć jej siostrę, Germaine. Po raz pierwszy w naszych dziejach wchodziliśmy w orbitę politycznych wpływów Paryża.

Pomysł traktatu narodził się w głowie Ludwika XII. Już jego poprzednik, porywczy i rycerski, lecz „nikłego ciała i małego rozumu”, Karol VIII, rozpoczął był długą serię wojen o Włochy. Początkowe triumfy były niezwykle, potem przyszły zawody i rozczarowania. Intrygant i nawet jak na italskie stosunki niebywały matacz, Ludwik Sforza zwany „il Moro” (mówiąc nawiasem, starszy krewny Bony, późniejszej królowej polskiej), zamknięty w żelaznej klatce powędrował na dożywocie do zamku Lys-Saint Georges we Francji. Trudno było jednak poradzić sobie tak samo z resztą współzawodników. Poczesne miejsce wśród nich zajmowali Habsburgowie. Toteż traktat, o którym przed chwilą mówiliśmy, teoretycznie zwrócony przeciwko Turkom oraz „wszelkim nieprzyjaciołom obecnym lub przyszłym”, faktycznie godził w cesarstwo.

Tegoż samego dnia, kiedy w Budzie podpisywana układ z Paryżem, to

znaczy 14 lipca 1500 roku, wojska moskiewskie rozbiły nad rzeczką Wiedroszą Litwinów i wzięły do niewoli ich wodza, księcia Konstantego Ostrogińskiego. Porozumienia z Francją, pożyteczne dla działań przeciwko Niemcom, nie miały żadnego znaczenia dla litewsko-polskich trudności na wschodzie. Oryginalny zbieg okoliczności podkreślił to z nadzwyczajną wyrazistością.

Coraz poważniej zagrożona przez Moskwę Litwa szukała sojuszników w Krzyżakach inflanckich oraz w zawołzańskich Tatarach. Uwaga Polski obracała się w inną stronę. Ze wszystkich nieszczęść, jakie na nią spadły po klęsce bukowińskiej, najgroźniej wyglądało to, co zaczynało się dziać w Prusach zakonnych, w Królewcu. Należało ratować zdobycze wojny trzynastoletniej i dostęp do morza.

Krzyżacy przez cały czas uparcie dążyli do odzyskania strat, jednakże dopiero wybór księcia saskiego na wielkiego mistrza otworzył przed nimi duże możliwości. Z Niemiec przysyłano do Polski propozycje zwrócenia Zakonowi Prus Królewskich, cesarz Maksymilian, uważający ziemie zakonne za część Rzeszy, zabraniał mistrzowi składania hołdu, posuwał się aż do pozywania Gdańska przed swój sąd.

Postępowanie Jana Olbrachta świadczy, że przygnieciony nieszczęściem król nie stracił energii, odwagi ani trzeźwości myśli. Latem 1501 roku nakazał koncentrację wojsk koronnych w Toruniu. Z istnej lawiny domagających się załatwienia spraw wybrał zatem najważniejszą dla przyszłości Polski. Zaniósł się na wojnę, która miała co najmniej zmusić wielkiego mistrza do posłuszeństwa, a może nawet zlikwidować państwo krzyżackie w Prusach.

Niepodobna rozprawiać o przypuszczalnym wyniku kampanii, której nie było. Jest w każdym razie faktem, że komturowie usilnie namawiali mistrza do złożenia hołdu. Bali się wojny z Polską.

Król przyjechał do Torunia wozem, ciężko chory. Tknięty paralizem w sali ratusza, utracił mowę. Zmarł w tym mieście 17 czerwca 1501 roku, przeżywszy na świecie lat czterdzieści dwa. Czy padł ofiarą zarazy niedawno przywleczonej do Polski? Nie można tego wykluczyć.

„Śmierć jego Polakom ciężki żal, wrogom radość przyniosła” napisał Maciej z Miechowa. Bo też naprawdę była katastrofą o fatalnych skutkach. Trudne położenie państwa wymagało władcy obdarzonego zdolnościami i charakterem, umiejącego występować czynnie. Bierne odpiertanie ciosów nie mogło niczego poprawić w sposób trwały.

Dziewięć lat niespełna rządził Polską Jan Olbracht, pierwszy z jej obranych królów. W tym czasie magnateria nie podnosiła głów, a państwo podjęło próbę rozerwania pierścienia wrogów po stronie południowo-wschodniej, zdobycia tam spokoju. W ostatniej chwili życia szykował się Olbracht do nowej takiej próby, tym razem w miejscu dla Polski najważniejszym i z wielkimi widokami ostatecznego powodzenia. Idąc ku Morzu Czarnemu wiodł ze sobą mistrza Krzyżaków, których zamierzał przesiedlić w odległe kraje. Ten fakt pozwala ufać, że zbierając wojsko w Toruniu, również myślał o zupełnym wypchnięciu Zakonu z pogranicza Polski, znad Bałtyku.

Wraz z Janem Olbrachtem na długo zeszła do grobu polityczna odwaga

rodu Jagiellonów. Kronikarz napisał o nim zwięźle: „Był dowcipny, śmiały, wielgomyślny, ale się fortuna z nim nieprzyjacielskie obchodziła.”

2

Już sama wiadomość o jego śmierci wywarła duży wpływ na losy Litwy, wprost wyrwała wielkiego księcia Aleksandra ze zwartej linii wojowników.

Przeszłoroczna ciężka klęska nad Wiedroszą nie przyniosła rozstrzygnięcia w wojnie. Wynikła przede wszystkim z lekkomyślności. Podjazdy litewskie schwytały wtedy języka, który ostrzegł o przeważających siłach moskiewskich, nawet odradzał akcję zaczepną. Zamiast posłuchać jeńca Ostrogski kazał go powiesić i ruszył naprzód z wiadomym skutkiem.

Aleksander postarał się o wspomniane już sojusze i latem 1501 roku zaczął zbierać owoce tej polityki. Na południowym, czyli prawym skrzydle frontu chan zawołański Szach-Achmat rozbił Tatarów krymskich, wtargnął do zajętej przez armię Iwana Siewierszczyzny i poczynił tam znaczne zdobycze. Na północy landmistrz Krzyżaków inflanckich, Plattenberg, odniósł poważne zwycięstwo pod Izborskiem i o mały włos nie wziął Pskowa. Sytuacja wymagała decydującego uderzenia sił litewskich, wspartych zaciężnym żołnierzem z Polski, Czech i Węgier, a skupionych na środkowym odcinku.

25 czerwca Aleksander dowiedział się o śmierci brata. Wkrótce, zamiast iść zbrojnie na wschód, pociągnął na zachód, po koronę polską. Wiódł ze sobą liczny orszak oraz nadworne rotty litewskie. We wrześniu stanął w Mielniku nad Bugiem, na „lackiej granicy”. W tym mniej więcej czasie pozostawiony samemu sobie Plattenberg przerwał działania i cofnął się do Inflant. A co się tyczy Szach-Achmata, to wspomniane jego sukcesy były ostatnim w ogóle wyczynem Złotej Ordy, która w 1502 roku dosłownie przestała istnieć, zniszczona przez straszliwe mrozy i głód. Historia skreśliła z rejestru tego kandydata na sojusznika Litwy. Przewaga sprzymierzonego z Moskwą Krymu stała się na południu niezaprzeczalna.

Aleksander roztasował się z dworem w Mielniku i czekał na wieści z Polski. Poselstwo litewskie wspierało w Piotrkowie podczas elekcji jego kandydaturę, która i większości Polaków wydawała się jedynie możliwa. Położenie przyciśniętego przez Moskwę Jagiellona nie było pomyślne. Po stronie polskiej pojawiły się teraz pomysły zerwania związku ze śmiertelnie zagrożoną Litwą. Wszystko wyglądać by musiało inaczej, gdyby sięgając po koronę mógł się Aleksander wykazać zwycięstwami zamiast porażek.

19 sierpnia 1501 roku obrano go królem, ale pod ściśle określonymi warunkami, które poselstwo senatu przywiozło z Piotrkowa do Mielnika. Żądano więc, by Aleksander zrzekł się swych praw dziedzicznych na Litwie. Odtąd wspólny władca obu krajów miał być obierany. Inny dokument, wręczony Aleksandrowi jednocześnie, uznawał króla za zwykłego przewodniczącego senatu, zwał go „princepsem” i „tyranem”, pozbawiał monarchę wszelkiej rzeczywistej władzy, poddawał kontroli magnatów, a o pomniejszej braci szlacheckiej wyrażał się w sposób wręcz

obelżywy. Zawierał też artykuł „*de non praestanda obedientia*”, którego mocą poddani mogli wymówić królowi posłuszeństwo w razie naruszenia przezeń ustaw.

23 października Aleksander zatwierdził te niesłychane warunki, równające się zniweczeniu władzy monarszej w Polsce i na Litwie. Moźnowładztwo, zepchnięte w cień za Kazimierza Jagiellończyka i Jana Olbrachta, teraz powracało do głosu. Bez skrupułów wyzyskiwało sposobność, jakiej mu dostarczyły klęska na Bukowinie i nagła śmierć królewska. Główną rolę w tym dziele grali magnaci małopolscy, których wodzirejem był kanclerz Krzesław z Kurozwęk.

W listopadzie Aleksander ruszył do Polski. Jechał oczywiście w otoczeniu liczego dworu, ale bez żony. 12 grudnia 1501 roku brat, kardynał Fryderyk, ukoronował go na Wawelu... również samego. Biskupi nie zgodzili się na koronację prawosławnej Heleny, w czym podtrzymywał ich Rzym papieski. Pomimo to w całej Polsce nazywano ją królową i ona sama używała tego tytułu. Oficjalnie służyło jej miano: „żony króla Aleksandra, wielkiej księżnej litewskiej”.

Przez bardzo długi czas przechowywano u Bazylianów w Wilnie drogocenną ikonę, którą Helena Iwanówna przywiozła z Moskwy. Na srebrnej okładzinie widniała z boku postać klęczącej niewiasty w stroju ruskim, domniemany wizerunek właścicielki.

Helena była wyjątkowo piękna. Wysłannicy Aleksandra, którzy przyjechali po nią na Kreml, długo nie mogli ochłonąć z wrażenia i „lubowali się jej krasotą”. Małżeństwo zaprojektowane dawno, jeszcze za Kazimierza, odraczone i ostatecznie zawarte wyłącznie z wyrachowania, okazało się bardzo dobrane. Aleksander spotkał narzeczoną w pobliżu Wilna. Wysiadając z karocy serdecznym i prostym ruchem do siebie przygarnął, w którym to sentymencie wytrwali oboje.

Ale nie same tylko uczucia osobiste wpływały na losy Heleny, liczyła się również polityka. I ona właśnie uczyniła z niekoronowanej królowej postać zupełnie tragiczną. Nie cierpiała jej teściowa, dumna Rakuszanka, a z drugiej strony ojciec ciągle słał nakazy, groził klątwą rodzicielską. Posłuchajmy listu, który pod dyktando Heleny pisał Iwaszko Sapieha:

Poddani moi widzieli we mnie zwiastuna pokoju, a tymczasem przyniosłam im tylko krew, pożogę i lzy, jakbym na to tylko była wydana na Litwę, aby podpatrywać jej słabe strony. A ci kniaziowie przechodni, istni Kainowie po szyję we krwi zbroczeni, którzy dawniej zdradzili Moskwę, a teraz zdradzają Litwę, jakoż zasługują na wiarę u ciebie, ojcze?

Srogi surowo skarcił córkę za wysyłanie takich epistoł. Wojnę przeciwko Litwie rozpoczął pod pretekstem utrudnień, jakich Helena rzekomo doznawała w praktykowaniu prawosławia. Chodziło mu o to, że na zamku wileńskim nie wybudowano dla niej cerkwi. Nie pomogły listy samej Heleny, która wyjaśniała, że z zamku do soboru prawosławnego nad Wilenką bliżutko (co potwierdzi każdy, kto zna Wilno).

Moskwa walczyła z Litwą nie o taką czy inną cerkiew, ale o „zebranie całej ziemi ruskiej”. Starcie musiało się zakończyć klęską jednej ze stron,

możliwości kompromisu nie było.

Helena przybyła do Krakowa w lutym 1502 roku i odprawiła uroczysty wjazd na Wawel. Nie popasała długo w Polsce, bo już 3 maja wybrała się wraz z mężem z powrotem na Litwę, gdzie czekały sprawy nie cierpiące zwłoki.

Przedtem jednak odbył się w Krakowie sejm koronacyjny, którego uchwały wprawiały w zdumienie każdego, kto pamięta, jakie warunki przedłożono Aleksandrowi nieco wcześniej, w Mielniku. Sejm zatwierdził wysokie podatki, ogłoszone jeszcze za Olbrachta, i wyznaczył nowe, na okres pięciu lat zawiesił wolności celne ziemiaństwa i postanowił nacisnąć na duchowieństwo o daniny dla skarbu. W izbie poselskiej zasiadali przedstawiciele zwykłej szlachty i im, a nie degradującym króla magnatom, zawdzięczał kraj te dodatnie uchwały. Ówczesna Polska jak najbardziej nadawała się do uprawiania rzeczywistej polityki, tron miał sojusznika i partnera w tłumie szlacheckim, który wcale jeszcze nie popadł w anarchię.

Wyjeżdżając na Litwę, rządy w Koronie powierzył król magnatom. Inaczej postąpić na razie nie mógł.

Triumf, który możnowładztwo polskie odniosło w roku 1501, litewscy wielmoże osiągnęli o całych dziewięć lat wcześniej. Już w roku 1492, podnosząc Aleksandra na Wielkie Księstwo, poddali go swej kontroli i uzależnili we wszystkim. Okoliczność bardzo godna uwagi, gdyż dowodząca tej zasadniczej prawdy, że na Litwie magnateria wyrastała szybciej niż w Polsce.

Aleksander przeszedł do historii w nieszczęśliwym świetle. Ogłaszano go za skończonego niedołęgę i człowieka upośledzonego na umyśle. Trudno przeczyć - natura okazała się dlań mniej łaskawa niż dla któregośkolwiek z pozostałych Jagiellonów, obdarzyła go skąpo. Pisze Marcin Kromer:

Miał tedy Aleksander wzrost średni, twarz pociągłą, włosy przyczerniejsze, plecy rozrosłe, siłę dużą, ale zaś dowcip przytępiejszy i dlategoż był milczący.

Istotnie, w debatach politycznych nieraz zapominał języka w ustach, ale głupcem nie był, co najlepiej poznać po doradcach.

Jeszcze jako wielki książe sprowadził z Krakowa do Wilna Wojciecha z Brudzewa, słynnego astronoma, twórcę tablic do obliczania położenia ciał niebieskich, uczonego, którego wielu z dużym prawdopodobieństwem uważa za nauczyciela Kopernika. Wojciech zmarł w Wilnie w roku 1497. Aleksander ściągnął również do siebie Erazma Ciołka, późniejszego biskupa plockiego i wybitnego dyplomata. Widocznie wcześniej poznał się na nim. Budził zgorszenie wśród wielmożnych pospolitując się z tym mieszczańinem, którego później dla pozoru przyszyto do herbu Sulima. Od chwili elekcji doradcą i bliskim królowi człowiekiem stał się znakomity Jan Łaski, przyszły prymas, kanclerz, autor zbioru praw, mąż stanu - a w 1501 roku dopiero sekretarz kancelarii koronnej... dobrze już zaawansowany w latach. To Łaski wsunął do zatwierdzonych w Mielniku fatalnych postanowień zastrzeżenie, które z czasem pozwoliło na cofnięcie

poczynionych magnatom ustępstw, uchylił niejako monarsze furtki.

Aleksander nie był orłem i musiał zdawać sobie z tego sprawę, co już samo przez się dodatnio o nim świadczy. Posiadał rzadką i cenną umiejętność wyszukiwania ludzi naprawdę wybitnych i torowania im drogi.

Odziedziczył po ojcu zupełny brak talentu wojskowego. Tradycyjną rozrzutność jagiellońską doprowadził do opłakanego szczytu. Mówiono, że „dogodnie i według czasu ze świata ustąpił, pierwej aniżeli Polskę i Litwę wszystką roztrwonil”.

Jego wielkoksiążęcych rządów na Litwie (czyli okresu od roku 1492 do 1501) nie oceni się sprawiedliwie, rachując tylko magnackie sukcesy w polityce. Stało się wtedy wiele dobrego dla wewnętrznego rozwoju Wielkiego Księstwa. Wilno zawdzięcza mu swoje pierwsze mury obronne, To Aleksander rozpoczął prace budowlane, które w przyszłości miały uczynić z litewskiej stolicy skarbnicę architektury.

Ożywił się wpływ kulturalny Korony, przyhamowany w poprzedniej dobie sporów. W 1495 roku złotnicy wileńscy założyli najpierwszy na Litwie cech rzemieślniczy. Aleksander pisał, że pragnie „miasto swoje wileńskie z dnia na dzień coraz bardziej w rozmaitych kunsztach pomnażać”, i wcale nie poprzestawał na pięknych słowach. Za jego rządów rosła niezwykła kariera Abrahama Ezofowicza, Żyda z Kijowszczyzny, który w 1488 roku przyjął prawosławie oraz imię Jana, a w przyszłości miał dojść do godności szlacheckiej, herbu Leliwa i urzędu podskarbiego litewskiego. Ezofowicz był człowiekiem bardzo zdolnym, obrotnym i uczciwym. Zgromadził znaczny majątek, dzierżwiąc cła i myta, stale dogadzał władcy pożyczkami, finansując niejako jego politykę. Nadając mu na własność dobra ziemskie, stwierdzał król, że Jan-Abraham, „w te lata w czasie najazdu nieprzyjacielskiego na graniczne miasta i zamki nasze zawsze nam się zasługiwał, krwi swej i gardła nie szczędząc”.

Kariera Ezofowicza nie może jednak służyć za podstawę do zbyt ogólnych wniosków. W 1495 roku Aleksander wydał dekret o przymusowym wysiedleniu z Litwy wszystkich Żydów.

Jakieśmy widzieli, Aleksander będąc samodzielnym zwierzchnikiem Litwy sprowadzał z Korony, kogo chciał, nawet najwybitniejsze jednostki. Okoliczność znamienita dla prawdziwych stosunków między obu krajami. Mówienie o jakiegokolwiek zamierzonej polonizacji byłoby śmieszne, bo w samej Koronie językiem urzędów i literatury nadal pozostawała łacina, Aleksander zaś ściągał na wschód nie tylko rodowitych Polaków, lecz także nie umiejących po polsku gdańszczan. Polszczyzna rozpowszechniała się na Litwie powoli, w sposób samoczynny. Przynosili ją ze sobą osiedlający się w grodach mieszczanie z Korony, przyjmowali również magnaci, którym nikt niczego nakazać nie mógł. Co do samego króla - nie wiadomo, czy znał litewski. Po rusku mówił na pewno.

Po koronacji Aleksander powrócił na Litwę i nie doczekał się wojskowej ani politycznej pomocy od rządzonej przez magnatów Polski, gdzie trwała istna orgia rabunku grosza publicznego. Uchwalone przez sejm podatki szły do kieszeni osób wpływowych, niepłatne wojsko rozlazilo się. Podkanclerzy Drzewiecki pisał o tym bez ogródek:

Tutaj wszystko rozdrapane zostało bezwstydnie i z największą szkodą Rzeczypospolitej; każdy bowiem pragnie być bogatym, króla i państwo w tył odrzucając - ale dosyć doświadczyliśmy, co znaczą prywatne zasoby a publiczny niedostatek.

Wczesną wiosną i latem 1502 roku Tatarzy znowu przeszli Wisłę, sięgając Kunowa i Łagowa. Dali im odpór mieszczanie opatowscy, zamknięci w klasztorze Bernardynów, Pacanów obronił Jan Wapowski. Orda ustąpiła przed oddziałem wysłanym przez kardynała Fryderyka, a cofając się potopiła w Wiśle mnóstwo jasyru.

Wysłanie owych posiłków to jeden z ostatnich czynów Fryderyka Jagiellończyka, kardynała i prymasa. W marcu 1503 roku zmarł on, „długą niemocą francuską zemdlony”, w trzydziestym piątym roku życia i „w Krakowie na zamku przed wielkim ołtarzem pochowany w mosiężowym grobie”.

Nieco wcześniej, 9 października 1502 roku, sułtan Bajazet II podpisał pokój z Polską. Nie zapobiegło to najazdom Tatarów, trochę je wszakże zahamowało.

Na froncie wschodnim wojskom moskiewskim nie udało się zdobyć Smoleńska, którego dobrze bronił Stanisław Kiszka. 7 kwietnia 1503 roku, po mozolnych pertraktacjach, stanął nareszcie pokój. Zbiegiem okoliczności tego samego dnia zmarła żona Iwana Srogiego, Zofia, która ongi przyniosła mu w posagu dwugłowego orła oraz spadek ideowy po Bizancjum.

Warunki pokoju stwierdzały, że Litwa traci jedną czwartą obszaru państwowego. Granica, która dziesięć lat wcześniej przebiegała nieco na wschód od Wiaźmy, przeniosła się teraz w pobliże Smoleńska i samego Kijowa. Iwan III Srogi, który zmarł 23 września 1505 roku, dokonał rzeczy naprawdę niebywałych. Zaczął przecież rządy jako lennik tatarski, hamował ordę na przedpolach Moskwy...

Zawarty na wschodzie układ był w gruncie rzeczy rozejmem, przewidywał bowiem przerwanie działań wojennych tylko na lat sześć. I taka ulga była jednak bardzo cenna, gdyż pozwalała królowi zabrać się do uporządkowania spraw koronnych i w ogóle wewnętrznych.

Było ich wiele. Wołosi zagarnęli poprzednio Pokucie, które teraz odzyskano w drodze układów z następcą Stefana Wielkiego, jednookim Bogdanem. Dzięki tym posunięciom wrogi nadal Polsce chan krymski został poniekąd osamotniony. Chcąc go ułagodzić, dokonano uczynku, który wygląda całkiem nieładnie. Chan zawołżański Szach-Achmat, sojusznik z roku 1501, przebywał na Litwie, gdzie schronił się po katastrofie Złotej Ordy. Stracił siły, ale zachował znaczenie polityczne, jako zawsze możliwy do wysunięcia przeciwnik Krymu.

Teraz - za wszelką cenę pragnąc pokoju - uwięziono go, oddano pod straż. Kroniki przechowały wiadomości o przemówieniach nieszczęśnika, który przypominał sejmowi, jak to w roku 1501 nie dano mu pomocy i wystawiono „na jatki mięsne”, żądał zwrócenia wolności. W odpowiedzi usłyszał, że sam był winien, ponieważ... i tak dalej.

Zupełnie nie powiodło się Aleksandrowi z Krzyżakami. Erazm Ciołek

dokazał nadzwyczajnej sztuki, uzyskał zdecydowane poparcie samego papieża, Juliusza II. Rzym nakazał wielkiemu mistrzowi złożyć hołd Polsce, lecz Zakon ani myślał o posłuszeństwie. Raz jeszcze okazało się, że nad Bałtykiem tylko siła mogła doprowadzić do celu. Jan Olbracht chciał wejść na jedyną drogę, jaka w ogóle istniała.

28 października 1503 roku zmarł Konrad III Rudy, książę warszawski. Osierocił dwóch synów - Stanisława i Janusza III - z których pierwszy liczył sobie dwa lata, drugi kilka miesięcy.

W swoim czasie Jan Olbracht zostawił Konradowi Warszawę i Czersk tylko w dożywocie, wcielił natomiast do Korony Płock. Rozżalony książę knuł z Krzyżakami oraz z innymi wrogami, uprawiał politykę Polsce nieprzychylną. Po jego zgonie należało rozstrzygać o losie spadku. (Kazimierz Wielki, który nie gwałcił regionalnej odrębności Mazowsza, obrał i przekazał następcom politykę zbawienną. Konrad III nie wahał się sprzyjać osłabionym Krzyżakom. Cóż by się mogło dziać, dopóki Zakon miał Malbork, Gdańsk i Pomorze! Kazimierz nie wiódł na pokuszenie książąt Mazowsza i miał po stokroć rację. Wiedział, że siły można i należy używać, ale tylko wtedy, gdy to się opłaca.)

W 1503 roku posłowie króla polskiego zastali bramy Warszawy zamknięte na głucho, a na murach tłumy pospółstwa, które w najczystszej mowie polskiej lżyło i bezcześciło wszystkich Polaków. Odpowiedź była spokojna, całkiem logiczna, brzmiała zaś mniej więcej tak: Polakom wymyślacie? a wy sami co za jedni jesteście?

Jeszcze w tym samym XVI stuleciu Warszawa miała się stać sercem i stolicą Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Takie skutki przynosić potrafi polityka umiaru.

Konrad III Rudy trzykrotnie stawał przed ołtarzem. Jego dwie pierwsze żony były córkami mieszczan, trzecia to Anna Radziwiłłówna, potomkini Mikołaja, wojewody wileńskiego. Chcąc pozyskać jej ród oraz za cenę trzydziestu tysięcy dukatów Aleksander pozostawił Warszawę z przyległościami wdowie i jej synom. W takich okolicznościach objęło władzę ostatnie pokolenie udzielnych książąt Mazowsza.

Poparcie Radziwiłłów było monarsze potrzebne dla osiągnięcia najważniejszego z celów polityki wewnętrznej. Chodziło o zniweczenie fatalnych akt, przyjętych w Mielniku jesienią 1501 roku, więc o utrzymanie dziedzictwa tronu na Litwie i obalenie wszechwładzy magnatów.

W jaki sposób można głośić całkowicie ujemny sąd o Aleksandrze Jagiellończyku, który panował niespełna pięć lat, a u schyłku rządów z powodzeniem odzyskiwał to, co stracił na ich początku? W 1501 roku Jan Łaski przewidująco umieścił w dokumentach zastrzeżenie, iż zapadłe postanowienia musi jeszcze zatwierdzić sejm litewski. Nie nastąpiło to nigdy i w ten sposób akta mielnickie straciły moc.

Chcąc uchylić to wszystko, co mu narzucił senat koronny, musiał Aleksander stoczyć ciężką walkę... na Litwie. Potężna i wpływowa grupa możnowładztwa Wielkiego Księstwa szła bowiem ręką w rękę z magnatami polskimi. Zaliczali się do niej tacy ludzie, jak biskup wileński Wojciech Tabor, wojewoda trocki Jan Zabrzeziński, Stanisław Kiszka, Kieżgajłowie, Hlebowicze i inni. Po stronie króla stali Radziwiłłowie, a

przede wszystkim książę Michał Gliniński, marszałek nadworny, postać niezwykła i tragiczna. „Mógł być bardzo pożyteczny, ale też bardzo niebezpieczny, zwłaszcza w miękim ręku Jagiellonów” - napisał o nim historyk. Za Aleksandra Gliniński okazał się jak najbardziej pożyteczny.

Pochodził z Tatarów (jego przodek po klęsce na Kulikowym Polu schronił się na Litwie). Kilkanaście lat młodości spędził na zachodzie Europy. Zdobył tam wyższe wykształcenie, dużą wiedzę wojskową, opartą na osobistej praktyce, i odmienił prawosławie na katolicyzm. Powrócił do kraju w roku 1499.

On i Radziwiłłowie sprawili, że obradujący w Brześciu sejm litewski odrzucił postanowienia mielnickie. Nie poszło to łatwo. Przeciwnicy polityki królewskiej potracili stanowiska, niektórzy trafili nawet do więzienia.

Parlament litewski zakończył obrady w marcu 1505 roku, a w kwietniu zjechali do Radomia posłowie na sejm polski. Już w roku poprzednim, w Piotrkowie, rozpoczęli oni wielki szturm na pozycje magnackie. Ustawowo zabronili łączenia dokładnie określonych wysokich godności w jednym i tym samym ręku, zakazali też praktyki rozdawania i zastawiania dóbr skarbowych osobom prywatnym. Władza państwowa, którą po śmierci Olbrachta możni postanowili zniszczyć, dzięki średniej szlachcie znowu stała na nogi. I powiedzmy od razu, że w najbliższej przyszłości - po zgonie Aleksandra Jagiellończyka - sama zmarnowała wielkie możliwości. Dodatkich uchwał sejmu, powziętych w roku 1504, następni królowie nie tylko nie pilnowali, lecz łamali je systematycznie.

Dawniejsze zakusy na władzę monarszą były dziełem przede wszystkim magnaterii małopolskiej. W 1504 roku doszła do głosu Wielkopolska, a szlachcie tamtejszej przewodził Jan Łaski.

Sejm radomski z roku 1505 całkowicie skasował postanowienia mielnickie i nadał określony kształt polskiemu parlamentowi. Uczynił to uchwalając słynną konstytucję, bo tak się wtedy nazywała uchwała sejmowa, „*Nihil novi*”, czyli „Nic nowego”. Jej najważniejszy ustęp brzmiał: „odtąd na potomne czasy nic nowego stanowionym być nie ma przez nas [króla] i naszych następców bez wspólnego zezwolenia rady i posłów ziemskich”.

Odtąd parlament polski składał się z trzech s t a n ó w : króla, senatu oraz izby poselskiej. Siłą faktu punkt ciężkości zaczął się przenosić do tej ostatniej, gdzie zasiadali i debatowali posłowie, będący przedstawicielami sejmików ziemskich. Średnia i pomniejsza szlachta zniweczyła zatem wszechpotęgę magnacką, uczyniła z senatu drugą, wyższą izbę parlamentu, sama zaś w XVI wieku była daleka od zaniku zmysłu państwowego, czego wyraźne dowody składała jeszcze długo.

Konstytucja „*Nihil novi*” bynajmniej nie niszczyła władzy królewskiej, wyznaczała jej ważne, prawem określone miejsce. Zabraniała wydawania dekretów zmieniających ustrój lub przywileje stanów. W tym zakresie król nie mógł niczego postanowić bez sejmu, ale i sejm bez króla byłby całkiem bezsilny. Tylko monarcha mógł zwoływać sesje, bo stałych terminów jeszcze nie było. W owych czasach panującemu wolno było nawet wojnę rozpocząć bez pozwolenia sejmu, byle tylko prowadził ją żołnierzem

zaciężnym - nie zwołując pospolitego ruszenia - i z normalnych dochodów skarbu. Ta okoliczność pozwala ocenić, jak olbrzymie szanse kładły królom w ręce sejmy, które zażarcie walczyły o przywrócenie skarbowi dóbr zagarniętych przez magnatów lub o pociągnięcie niezmiernie bogatego kleru do świadczeń pieniężnych na rzecz państwa. Władza centralna miała wtedy przed sobą piękne widoki, ale nie umiała o nie dbać.

Sejm z 1505 roku przyjął zbiór praw, Statut, nazwany imieniem Jana Łaskiego. Zaraz w roku następnym wydrukowano go w krakowskim zakładzie Jana Hallera, „żeby znajomość jego [prawa] z wyjątkowej powszechną się stała”.

Troska o praworządność była rzeczywista, skoro podczas sejmku osądzono, skazano i ścięto albo powieszono szlachciców winnych rozboju. Znalazła się wśród nich i niewiasta, niejaka Barbara Rusinowska, która na czele watahy zbrojnej „drapieżyła w ziemi sandomierskiej”. Dla odstraszącego przykładu poszła na szubienicę w tym stroju, w jakim ją schwytano, to znaczy w męskim, w skórzniach z ostrogami i z kordem u pasa.

W czerwcu 1505 roku w izbie poselskiej nagle zasłabł „paralizem zarażony” król Aleksander. Utracił władzę w lewej połowie ciała. Musiał mieć organizm naprawdę niezwykle silny, jeżeli nie zaraz umarł, wytrzymał kurację, jaką mu na wiosnę zaaplikował pewien ówczesny cudotwórca nazwiskiem Baliński, który „Polakiem urodzonym będąc, za Greczyna kłamliwie udawał się”, a brał za leczenie ogromne sumy. Kazał on prażyć króla w łaźni aż do dziesiątych potów, pić co mocniejszymi winami. Dopiero kanclerz Łaski wziął szarlatana pod klucz i przywołał prawdziwych lekarzy.

Latem 1506 roku było już jednak tak źle, że Maciej z Błonia, medyk i kanonik gnieźnieński, doradził królowi myśleć już tylko o zbawieniu duszy. Czterdziestopięcioletni Aleksander podjął wtedy ostatnie decyzje. Postanowił zwołać w lipcu sejm litewski do Lidy, władzę i wszelkie prawa tak do Wielkiego Księstwa, jak i do Korony przelać na młodszego brata, samemu zaś wrócić do Polski i dokonać życia w jednym z jej ustronnych zamków. Z tą wiadomością biskup poznański Jan Lubrański ruszył do przebywającego w Głogowie królewicza Zygmunta. Jednakże los pogmatwał ostatnią wolę Aleksandra Jagiellończyka.

Spadł wtedy na Litwę najazd Tatarów krymskich, którzy przekroczyli Niemen i rozbili obóz w okolicach Nieświeża. Lida znalazła się w niebezpieczeństwie. Nie wierzono w nie, dopóki wysłane przez Michała Glińskiego podjazdy nie przywiozły dowodów rzeczowych w postaci pozatykanych na kopie dziewięciu głów tatarskich.

Bezwładnego króla ułożono w noszach-kołysce przytroczonej między siodłami dwóch koni. Dosiedli ich dworzanie - „za czym król zaprawdę dniem i nocą od Wojciecha biskupa wileńskiego, Jana Zabrzezińskiego, i od Jana Łaskiego kanclerza koronnego z królową prowadzony, zaledwie już oddychając Wilna dojachał”.

Przeciwko ordzie wyprawił się Michał Gliński. Wiódł siedem tysięcy kawalerii oraz trzy „hałustry”.

Dogorywający w Wilnie król usłyszał jeszcze i zdołał pojąć wiadomość

z pola bitwy. Gliński odniósł pod Kleckiem znakomite, zupełne zwycięstwo. Najpierw rozbił siły główne, a potem - urodzony wódz, pragnący stuprocentowego wyniku - czekał na nieświadome niczego, powracające z wypraw czambuły i tępił je jeden po drugim.

Aleksander Jagiellończyk zmarł 19 sierpnia 1506 roku. Wbrew jego własnej woli oraz głosowi kanclerza Łaskiego pochowano go nie w Krakowie, obok dziada, ojca i brata, lecz w katedrze wileńskiej. Była to zemsta magnatów za porażki polityczne, za zniweczony Mielnik.

Jesienią 1931 roku, podczas prac nad wzmacnianiem fundamentów katedry naruszonych przez wiosenną powódź, odnaleziono w podziemiach szczątki króla, jego miecz i trumienną koronę.





Zygmunt Stary

1

Zygmunt I również zaliczał się do trzeciego pokolenia dynastii, ale jego panowanie to niemal jedna czwarta całej epoki jagiellońskiej. Dziwnie kapryśnie obszedł się los z sześciu synami króla Kazimierza. Władysława i Zygmunta długo trzymał w zdrowiu i na tronach. Św. Kazimierza, Jana Olbrachta, Aleksandra i Fryderyka szybko sprzątnął. Pierwszego z nich - podobno najzdolniejszego! - według wszelkiego prawdopodobieństwa zabrała gruźlica.

Zygmunt nie doznał zbyt wielu przeszkód na drodze do władzy. Śpieszącego ze Śląska na Litwę powitał w Grodnie Michał Gliński. Wiódł on siedmiuset konnych, gdy królewiczowi towarzyszyło zaledwie dwustu, i ta okoliczność posłużyła za ilustrację do zupełnie niesłusznych zarzutów. Miał więc rzekomo Gliński sam dążyć do objęcia tronu wielkoksiążęcego... W rzeczywistości wspierał on dynastię i jego od dawna trwającym staraniom zawdzięczał Zygmunt swe błyskawiczne sukcesy.

20 października 1506 roku został wielkim księciem, 8 grudnia królem polskim. Elekcja odbyła się w Piotrkowie.

Wyniesienie go na Wielkie Księstwo, dokonane bez oglądania się na Koronę, może być uważane za objaw litewskiego separatyzmu, wrogiego unii. Od strony formalnej tak to istotnie wyglądało. W gruncie rzeczy jednak - najkrótsza droga na Wawel wiodła przez Wilno. Jagiellończyk, który objął władzę nad Litwą, mógł być zupełnie pewien berła polskiego, co panowie z rady litewskiej doskonale pojmowali. Koronni też zdawali sobie sprawę z położenia, widzieli, że Litwa zdecydowanie wzięła „przodek” w obieraniu władców i stwarza fakty dokonane. Dla dobra unii godzili się z tym.

Nagły awans czterdziestoletniego już niemal królewicza kontrastował z dotychczasowymi, szarymi raczej kolejami jego żywota. Ze wszystkich braci on jeden dożył średniego wieku nie mając korony, mitry ani purpury kardynalskiej. Nie mógł też niczego wspaniałego oczekiwać, bo rychła i bezpotomna śmierć Jana Olbrachta i Aleksandra przewidzieć się nie dawała. Był księciem bez ziemi i ze skąpymi środkami utrzymania. W Koronie uważano, że zaopatrywać go powinna Litwa, dziedzictwo rodu Jagiellonów, a znaleźć wolny grosz w kasie olbrzymiego państwa było coraz trudniej. Już w roku 1456 królowa Elżbieta musiała raz zastawić u kupców własną suknię, Jan Olbracht smętnie pisał: „Tylko długi niepomierne otrzymałem w spadku zasiadłszy na tronie królewskim”, za Aleksandra dwór niekiedy nawet żywność brał na kredyt.

Zygmunt dobijał się u braci o dział rodzinny. Najpierw żądał księstwa na

Litwie, potem mówiło się o Kijowie. W 1497 roku, podczas nieszczęśliwej wyprawy bukowińskiej, zaświtała mu wizja Mołdawii. Jeszcze później chciał objąć Mazowsze i gubernatorstwo Prus Królewskich. Wszystkie plany spełzyły na niczym, lecz kiedy Jan Olbracht zrzekł się tytułu „najwyższego księcia na Śląsku” i zwrócił Głogów Władysławowi, przyszedł do tego miasta Zygmunt. Było to w roku 1499.

Śląsk ówczesny rozpadał się na liczne księstwa, posiadał wspólny sejm prowincjonalny, podkreślający poniekąd historyczną jedność regionu, i cierpiał od wspólnych nieszczęść. Zaliczało się do nich przede wszystkim rozbójnictwo, uprawiane z zamiłowaniem przez wielu rycerzy. Dla gospodarki jeszcze większą bodaj klęską był „system” monetarny. Każde ksiąźatko biło własne pieniądze, liche, o niskiej wartości. W dodatku ciągle trzeba było je przeliczać, ważyć i wymieniać, bo wcale nie każdy grosz miał wszędzie swobodny kurs.

Z ramienia brata objął Zygmunt najpierw Głogów, potem zarząd Łużyc, wreszcie namiestnictwo całego Śląska. Gospodarzył naprawdę dobrze, dbał o kraj. Zbójów tępił, chronił także ludność przed uciskiem ze strony kleru, który wymuszał daniny w sposób zupełnie niemiłosierny. Założył w Głogowie mennicę, wypuszczając uczciwe grosze, zwane „głogowskimi”.

Wyjeżdżającego do Polski księcia żegnał miejscowy poeta tymi słowami:

Tyś nam wrócił, największy z Jagiellonów, pokój i bezpieczeństwo. Tobie winien kupiec, że próżen trwogi może swobodnie z bogatym towarem spocząć, gdzie go albo zmierzch, albo upał słońca zapadnie. Niewzględny na żadną zacność ani potęgę wzięłeś zemstę ze wszystkich potworów krwi naszej niesytych. Pan i sługa, dzieliwszy z sobą zbrodnię za twoim wyrokiem na jednym haku karę dzielą. Za ciebie pierwszy raz zadrzał przed haniebnym drzewem przemożny złodziej.

Dużo przesady w tym panegiryku, bo główny zbój śląski, rycerz Krzysztof Czarny z Ryszewic, zawisł na szubienicy w kilka lat po wyjeździe Zygmunta. Królewicz zdziałał jednak dużo dobrego, zatarł przykre wspomnienia Olbrachtowej beztroski i twardych, niesprawiedliwych postępów Karnkowskiego.

Sukcesy na Śląsku osiągnął, zjednał sobie serca człowiek, który prosto z Głogowa przeniósł się na tron polski. Widoki, zdawałoby się, promienne. Zygmunt używał tytułu: „Jego Królewskiej Mości Węgier i Czech na Górnym i Dolnym Śląsku i obojgu Łużyc najwyższy królewski haytman a sprawca.” Ruszając po koronę polską, spokojnie i bez żadnych zastrzeżeń zwrócił Śląsk Władysławowi czeskiemu i węgierskiemu. Kraj pozostał wszak w ręku Jagiellona, nie był stracony dla dynastii. Raz jeszcze się potwierdziło, że objęcie przez nią rządów za Karpatami Śląsk od Krakowa politycznie oddaliło, gdyż zaspokajając ambicje rodzinne, tym samym paraliżowało ośrodek władzy p o l s k i e j . Nie zapominajmy, że pomimo wszystkich ustaw ograniczających uprawnienia króla on nadal pozostawał jedynym kierownikiem polityki zagranicznej. W te sprawy sejm się jeszcze nie wtrącał. To koncepcje dynastyczne, nie mające nic wspólnego z dobrem

samej Polski, a nie wschodnie apetyty zaprzepaściły Śląsk. Jagiellonowie parli ku górnej Odrze, ale kierowani fałszywą doktryną.

Zygmunt I należał do osób, u których powierzchowność służy do maskowania duszy. Wielki, ciężki, o wypukłym czole myśliciela i władczym spojrzeniu dużych oczu, z silnie zarysowanymi brwiami i wysuniętą dolną wargą, sprawiał wrażenie królewskiego mędrca, który innych na wskroś widzi, umie rozkazywać i przymuszać. Mocarz, rozdierający palcami talię kart, potrafił imponująco wystąpić. Kiedy w roku 1497, nad Prutem, roztrzęsiony febrą Olbracht nie mógł się ruszyć z namiotu, a wojsko zaczęła ogarniać panika wzniecona pogłoską o ucieczce króla, Zygmunt dosiadł konia, przy pochodniach objechał nocą obóz i uciszył strachy.

Był dobrym i miękkim człowiekiem, ulegał wpływom tak dalece, że razu pewnego jeden z jego własnych doradców dobył ze siebie głosu rozpaczy:

Sądzę, że nadszedł czas naszego upadku, któremu sam tylko król mógłby zapobiec, gdyby zechciał być nieco surowszym i nie tak dalece zależeć od naszego zdania. Inaczej nie ma nadziei ocalenia.

Tego monarchę cechowała skłonność nie do kompromisów, które osiągać potrafią jedynie tęgie charaktery, lecz do ustępstw. Niekiedy ma się wrażenie, iż poszukiwał pozoru, byle tylko pozostać bezczynnym w polityce, nie zażądać, nie przycisnąć partnera gry. Ufał na kredyt, całkiem tak, jakby sam fakt podpisania układu już gwarantował wykonanie go przez obie strony. Świat przemieniłby się niewątpliwie w raj, gdyby zaludniali go wyłącznie tacy jak Zygmunt I.

Czerstwy i zdrów do późnego wieku, duchem szybko postarzał. Czas rozbierał go coraz bardziej.

Będąc namiestnikiem Śląska znalazł sobie nieślubną towarzyszkę życia w osobie niejakej Katarzyny Telniczanki, Czeszki. Związek z nią trwał lat dwanaście i wcale nie przypominał przelotnej miłości. W cztery wiosny po wstąpieniu na tron polski doszedł Zygmunt do wniosku, że pora pomyśleć o małżeństwie politycznym. Czynność wstępna polegała na wydaniu za mąż kochanki. Ku oburzeniu własnej rodziny pojął ją Andrzej Kościelecki, podskarbi wielki koronny. Potomstwo Zygmunta I i Katarzyny zaszło wysoko. Jan „z książąt litewskich” został biskupem wileńskim, później poznańskim. Regina poślubiła Hieronima Szafranca z Pieskowej Skały, wielkiego pana, Katarzyna zaś jeszcze większego - Jerzego II hrabiego Montfortu. Wcześniejszy projekt wyswatania jej za wojewodę mołdawskiego mocno oburzył króla.

W stosunkach osobistych Zygmunt I był solidny i stateczny. Tej ostatniej cechy na pewno nie dzielił z nim jego krakowski dwór. Tadeusz Boy-Żeleński napisał kiedyś, że w Polsce Renesans europejski przemienił się w rzewne treny o Urszulce. Zapatrzeni w Mikołaja Reja, w jego duży talent i zupełny brak wyrafinowania umysłowego („a przedsię mię w grzbiet nie tak barzo puknie...”) oraz w ziemiańskie wczasy Jana Kochanowskiego, pozór, a najwyżej część prawdy bierzemy za całą. Rzeczywistość tym łatwiej nam przeoczyć, że to, co o niej świadczy, ma postać nigdy

przeważnie nie tłumaczonych i rzadko przedrukowywanych pism łacińskich. Suche, ostrożnie i z zastrzeżeniami udzielane wiadomości mieszczą się poza tym w rozprawach specjalistów. Ilu ludzi wie, że w roku 1518 wydrukowano w Krakowie piękny, Owidiusza naśladowujący poemat *Elegia amatoria*, którego autor - w przyszłości biskup chełmiński i warmiński opiewał własną przygodę miłosną, przeżyta w Niemczech?

Cóż mówić o tym! Utrzymywano, że Mikołaj Kopernik napisał w młodości budujący zbiór kolęd pod tytułem *Siedem gwiazd*. Uчени spierają się, czy naprawdę tak było. Nie można za to wątpić, iż przyszły reformator astronomii przetłumaczył z greckiego na łacinę i wydał drukiem Teofilakta Symokatty *Listy obyczajowe, sielskie i erotyczne*, utwór sprzyjający filozofii bardzo ziemskiej, odległej od ideałów średniowiecza. Listy, tłoczone po raz pierwszy w roku 1509 przez Jana Hallera, wznowiono w 1953 roku wzbogacając tekst grecki i łaciński o piękny przekład polski, dokonany przez Jana Parandowskiego.

Istnieje pogląd, że dopiero Italczyk z otoczenia królowej Bony przynieśli do nas luźne obyczaje i naruszyli staropolską cnotę (co prawda już żywot Zawiszy z Kurozwęk nieszczególnie o niej świadczył, ale tego biskupa też chętnie się przemilcza). W 1514 roku przybył do Krakowa z Włoch uczony franciszkanin Albert Fantini. Został profesorem uniwersytetu i rozwinął ożywioną działalność naukową. Prócz tego ostro zabrał się do naprawiania rozluźnionych obyczajów zakonnych, do czego miał prawo jako przełożony polskiej i czeskiej prowincji franciszkańskiej. Nie wszyscy w krakowskim klasztorze byli radzi powrotowi ascezy, toteż w nocy z 5 na 6 września 1516 roku surowy brat Fantini zginął w jego murach od noży malkontentów. Trzech głównych winowajców ścięto, kościół został zamknięty prawie na rok.

W samych początkach panowania Zygmunta I na dworze wawelskim uformowało się osobliwe towarzystwo „braci i sióstr”, pragnących do syta użyć życia we wszelkich jego przejawach. Założyciel bractwa to rodowity Mazowszanin z Sochaczewskiego, Korybut Koszyński.

Był po trosze wszystkim - pisze Władysław Pociecha - poetą, muzykiem (cytrzystą), filozofem, lekarzem, prawnikiem, a przy tym hulaką w wielkim stylu, graczem, pijakiem i miłośnikiem kobiet. Trefniś niezrównany, dla swego dowcipu przez króla i najwybitniejsze osobistości dworu nadzwyczaj lubiany, poważany również dla swego zdrowego sądu i mądrych rad, których udzielał, uważany był przez wielu jako fenomen natury.

Władysław Pociecha, niezrównany znawca epoki i historyk unikający sensacji, pisał o ówczesnym środowisku dworskim:

zespół sekretarzy i pisarzy królewskich w swej ogromnej większości składał się z ludzi przesiąkniętych kulturą włoskiego Odrodzenia i posiadających wyższe wykształcenie, zdobyte przeważnie na uniwersytetach włoskich. Pomimo tego, że tyle wspólnych łączyło ich więzów, każda postać, jakby na inną skrojona miarę, nosi wybitne cechy indywidualne, znamionujące już nowożytnego człowieka. Posiew nowych prądów widać w

atmosferze, jaką wytworzyli wokół siebie. Unosi się nad nimi duch buntu przeciwko staremu porządkowi z wszystkimi jego dodatnimi i ujemnymi rysami: zwrot do zainteresowań człowiekiem i jego otoczeniem na ziemi, realistyczne pojmowanie życia, wybijające pojęcie wolności przeradzające się nieraz w swawolę, znajdującą upust w złośliwych satyrach i paszkwilach, nie szanujących żadnej świętości i nie uznających żadnego autorytetu, a w krańcowych swych przejawach prowadzące do wyuzdania i demoralizacji [...] ci ludzie przez swą ogładę i wyższą kulturę umysłową doprowadzili do zespolenia nowej cywilizacji z narodową kulturą. Większość z nich, przejęta duchem pogańskiego humanizmu, świadomie lub nieświadomie torowała drogę reformacji religijnej.

Żył wtedy pisarz królewski i dworzanin, Jan Zambocki, który w niewoli tureckiej podobno nawrócił się chwilowo na wiarę Proroka, a do kraju przywędrował przez Korfu i Dalmację, odbity przez Wenecjan. Mawiano o nim, że „został lutrem, zanim się Luter narodził”. Z czasem do tego doszło, że król musiał zabronić dworzanom pod karą więzienia wszelkich dysput o religii, bo pletli rzeczy zupełnie niemożliwe w zamku katolickiego monarchy. Zakaz obwieścił im z urzędu marszałek Piotr Kmita, sam będący wielkim protektorem nowych prądów kulturalnych.

Zambocki zaliczał się do przywódców stowarzyszenia „pań i panów swawolnych”. Równą z nim rolę grał Jan Dantyszek, pisarz europejskiej sławy, obdarzony przez cesarza Maksymiliana wieńcem laurowym, podróżnik, uwodziciel, niezbyt troskliwy ojciec wielu nieślubnych dzieci, dyplomata, u schyłku życia przykładowy biskup i gorliwy stróż celibatu księży. Godność kanonika, a potem infułę otrzymał wcześniej niż święcenia kapłańskie. Bawiąc w Niemczech pilnie i z powodzeniem zabiegał o znajomość z Lutrem, tłumacząc innemu herezjarsze, Melanchtonowi, że „kto papieża w Rzymie, a Lutra w Wittenberdze nie widział, o tym powszechnie mówią, że nic nie widział”. Później starannie odgradzał swą diecezję warmińską od wpływów reformacji, lecz pewnej tolerancji nie wyrzekł się aż do śmierci, która go dościgła w Lidzbarku dnia 28 października 1548 roku.

Nie tylko z Marcinem Lutrem zetknął się Jan Dantyszek. Znał również cesarza Karola V, słynnego czy osławionego króla Anglii, Henryka VIII, wspaniałego Franciszka I, władcę Francji. Ścisnął dłoń Ferdynanda Corteza, łupieżcy Meksyku. A teraz nastrójmy się na inny ton - był dobrym znajomym Mikołaja Kopernika.

Zbyt wiele miejsca zajęłoby opisywanie podróży Jana Dantyszka. Wystarczy powiedzieć, że przemierzył większość krain położonych między Hiszpanią, Anglią a Arabią. Ameryki nie odwiedził, ale się nią interesował i pisywał o niej.

Jan Zambocki to rdzenny Polak. Dantyszek był czymś o wiele bardziej osobliwym - Polakiem z dobrowolnego wyboru.

Jakoby to znał się von Höfen i wywodził ze szlachty. Inne nazwisko, bo czas ów nie znał jeszcze paszportów, brzmiało Flachs binder. Zrujnowany przez wojnę trzynastoletnią dziad jego przeniósł się ze wsi do Gdańska i żył z wyrobu powrozów, skąd wzięło się miano. Ojciec Jana był kupcem i

piwowarem. „Dantyszek”, łacińskie Dantiscus, pochodzi od niemieckiej nazwy jego rodzinnego miasta. Szczęśliwie wybrano pseudonim dla wielkiego gdańszczanina.

Niemiecki rodowód Dantyszka nie może ulegać żadnej wątpliwości. Poeta miał zresztą oblicze landsknechta. Kiedy mu w 1536 roku zarzucono, iż osłabł w nim patriotyzm polski, oburzony do głębi odpowiedział wielkim poematem *Epitalamium Reginae Bonae*, w którym wysławiał Polskę Zygmuntofską. Jedenaście lat wcześniej stanowczo, choć niestety bezskutecznie, odradzał królowi miłosierdzie wobec Krzyżaków.

Wszelkie prawo w tych czasach oparte jest na broni i jak widzimy u wszystkich innych, a zwłaszcza pierwszych rządców naszego świata, ten, kto ma silniejszą armię, uważany jest za mającego lepsze prawo, nie należy przeto pominąć żadnej sposobności, by zająć te ziemie, skąd tyle nieszczęść spadło na n a s

- pisał. Cesarzowi wykladał, że Polska ma pełne prawo do Pomorza i Prus, przypomniał mu bez ogródek, że wieśniacy z okolic Lubeki jeszcze mówią po polsku (sprostujmy: po słowiańsku), tak samo jak Kaszubi. Znał te sprawy. Jego matka, Krystyna z domu Schultze, była córką rajcy miasta Pucka.

Polska literatura piękna dotychczas bardzo rzadko interesowała się Janem Dantyszkiem. Od większości jego własnych dzieł odgradza łacina.

Sporo napisano o szybkim spolszczeniu się litewskich oraz wielu ruskich magnatów i szlachty. Nie bez pożytku pewnie będzie spojrzeć na te sprawy od strony Jana Dantyszka. Powie ktoś - przylepił się do polskiego dworu, gdzie znalazł karierę. Dantyszek przez siedem lat był przedstawicielem dyplomatycznym Krakowa w Valladolid przy cesarzu, który jednocześnie władał Hiszpanią i jej koloniami w Ameryce. Kiedy już wybierał się do domu, w ostatniej chwili musiał odroczyć wyjazd. Karol V wyraził bowiem życzenie, by poseł polski towarzyszył mu w podróży do Włoch. Człowiek, w którego państwie „słońce nie zachodziło” , był także rodowitym Niemcem, głową domu Habsburgów. Przed Dantyszkiem cała Europa ówczesna stała otworem, wszędzie mógłby błyszczeć i zbierać honory. On wybrał Polskę. Przyjęty w roku 1500 na dwór Jana Olbrachta służył kolejno trzem królom, a niezmiennie krajowi, który uznawał za ojczyznę i kochał.

Dzieje wewnętrzne dawnej Polski dowodzą olbrzymiej siły przyciągania, jaką odznaczała się nasza kultura. To był jakiś przedziwny tygiel magnetyczny, który wchłaniał pierwiastki ludzkie napływające z krajów zarówno prymitywnych, jak stojących na szczytach cywilizacji, i w niedługim czasie odmieniał je, przeistaczał na nadwiślański ład. W roku 1515 osiedlił się w Warszawie Jerzy Fugger, pochodzący z rodu potentatów finansowych Augsburga. W piętnaście lat później, dobrze już wrosły w mazowiecką stolicę, otrzymał od króla zwolnienie od obowiązku sprawowania urzędów miejskich. Uzasadnienie było oryginalne: Fugger kiepsko znał język polski. Zamiast go za to prześladować, dano mu przywilej. Bo nic, zupełnie nic w tych sprawach nie działało się wtedy siłą!

Wszyscy znają dalsze losy rodziny Fukierów. Bez niej Warszawa nie byłaby sobą.

Mieszczañstwo niemieckie, tak groźne za Łokietka, w XVI wieku polszczyło się szybko. Odwieczne u nas tradycje tolerancji po unii z Litwą znalazły doskonałe warunki rozwoju. W przeciągu mizernych dwóch pokoleń kraj tak przyrósł do nowej dynastii, że przypomnienie o obcym pochodzeniu Jagiellonów stało się czymś w rodzaju rewelacji. Okoliczność będąca wyrazistym znamieniem czasu.

Książka poświęcona losom rodu królewskiego z konieczności mówi przede wszystkim o polityce. Gmatwała się ona za Jagiellonów, przedstawiała być tak skryzalizowana i męska jak za Kazimierza Wielkiego. To wszystko prawda. Ale zwracanie głównej uwagi na jej sprawy grozi poważnym niebezpieczeństwem. Gotowiśmy zapomnieć, że naród i jego kultura rozkwitały w pełni. XVI stulecie było pod tym względem naprawdę Złotym Wiekiem.

Pomimo znanych nam już sukcesów szlacheckich wolno mówić o narodzie i społeczeństwie. Od twardej litery ustawy sejmowej do praktycznego wykonania daleka droga. Niewątpliwym chłopem był urodzony w 1516 roku Klemens Janicki, poeta uwieczony w Padwie. Łukasz Górnicki, tłumacz *Dworzanina Castiglione'a* i autor *Dziejów w Koronie Polskiej*, pisarz bardzo wysokiej rangi, nazywał się właściwie Góra i był łykiem z Oświęcimia (chroniąc wiernego sługę przed zaczepkami, król stworzył fikcję, przypisał go do herbu Ogończyk). Wykształcenie, a przez to i karierę zapewnił mu wuj, „Anserinus”, po polsku zwyczajny Stanisław Gąsiorek z Bochni, poeta, muzyk, kapelmistrz nadwornej orkiestry Zygmunta I. O mieszczańskim pochodzeniu biskupa i dyplomaty Erazma Ciołka już się wspominało. Szlacheckie „von” w rodowodzie Dantyszka jest trochę wątpliwe, za to powroźnicze i kramarskie zajęcia jego bezpośrednich przodków pewne.

Wszyscy wyżej wymienieni zawdzięczali pomyślność dworowi. Król dał, herbowi (i powiatowi) królewężta nie odjęli, aczkolwiek wymierzone przeciwko ludowi ustawy na sejmach uchwalali. To zestawienie jest ważne, wymienia bowiem dwie siły polityki wewnętrznej, których harmonijna współpraca mogła zapewnić krajowi niejaką równowagę społeczną - tron i zwykłą szlachtę.

W samych początkach panowania Zygmunta I, a mianowicie w roku 1507, Jan Haller wydrukował w Krakowie łaciński traktat polityczny pióra księdza Stanisława Zaborowskiego, zatytułowany *O naturze praw i dóbr królewskich oraz o naprawie królestwa i rządzie Rzeczypospolitej*. Posłuchajmy, jak Władysław Pociecha streszcza wywody Zaborowskiego, który pojmuje

władzę królewską jako samoistną i nadrzędną, ale nie absolutną. Władzę królewską ograniczają bowiem obowiązujące prawa. Nawet w połączeniu z panami nie może król naruszyć tego co stanowi własność rządzonego przezeń społeczeństwa; naród nie ma władzy nad królem, ale jest panem swego życia i mienia, którego nie wolno królowi samowolnie naruszyć, a jeśli to w interesie całości jest konieczne, winien król uzyskać zezwolenie

całego narodu,

czyli reprezentowanej przez sejm szlachty, oczywiście.

Zaborowski powiada, że monarcha, „który naukami się nie opiekuje i nie chce, żeby poddani jego byli oświeceni, nie jest królem, lecz tyranem”. Za zgodą ogółu wolno więc czynić nadania na cele kultury, natomiast wszelkie inne darowizny „są nieprawne i winny być zwrócone”.

Wcale wcześniej sformułowano więc w Polsce ideał, że czynnikiem jedynie w państwie panującym jest p r a w o , które wolno w sposób legalny zmieniać, lecz którego nie wolno łamać. Traktat Zaborowskiego to jedna z najwcześniejszych zapowiedzi słynnego programu „egzekucji”, czyli wykonania praw, o którym głośno było w Polsce aż do końca epoki jagiellońskiej.

Ogół szlachty ówczesnej nie bawił się w subtelności. Polityka nigdy zresztą nie przypomina dyskusji filozoficznej. Istota jej to walka określonych interesów i sił, a nie spór naukowy pomiędzy zwolennikami rozmaitych poglądów. Szlachcie chodziło o złamanie potęgi magnackiej i o własny awans, lecz także o zwrot zagarniętych przez możnych dóbr koronnych oraz o zmuszenie przebogatego kleru do ponoszenia ciężarów materialnych na rzecz państwa. Jest zupełnie jasne, że szlachta pilnie strzegła swej przewagi nad mieszczaninem i chłopem, a wyciskając kabzy wielmożów i duchowieństwa pragnęła ulżyć sobie w podatkach. Ale w grze uczestniczył jeszcze jeden wielkiej wagi czynnik - król.

Monarcha jest pierwszym wśród szlachty, lecz zajmuje pozycję, która go siłą faktu skłania do troski o całe państwo. Dowodzą tego liczne przykłady historii europejskiej. Najbardziej wyniośli królowie, o ile tylko posiadali rzeczywistą władzę, zawsze dbali o pewną równowagę społeczną, nie pozwalali na zupełne stłamszenie pospółstwa. I ono zdawało sobie sprawę z tej prawdy, czego wielce oryginalnym świadectwem są na przykład wiersze wspomnianego przed chwilą Anserinusa-Gąsiorka. Ten plebejusz sławi w swych utworach nie takich czy innych ludzi, ale państwo, królestwo polskie!

W XVI wieku położenie tak u nas wyglądało, że utrzymać władzę mógł król tylko w sojuszu ze średnią szlachtą. Moźni chcieli zeń uczynić popychadło, o czym mówią fakty przedstawione w poprzednich rozdziałach, a miasta nadal uprawiały katastrofalną politykę... stronienia od polityki.

Po tragicznym zgonie Władysława Warneńczyka zaczął się w Polsce wykształcać system współpracy królów ze zwykłym ziemiaństwem. Dotyczyło to tylko Korony, lecz trwało za Kazimierza, Olbrachta i wbrew ogromnym trudnościom za Aleksandra. Można więc uznać ów system za tradycję jagiellońską. W czasach Zygmunta I uległa ona zwichnięciu.

Nowy król, zanim przybył na Wawel, praktykował w niedobrej szkole. Dziesięciolecia przeżyte w przykrej roli książęcego petenta musiały jeszcze bardziej pogłębić wrodzoną mu bierność (w przyszłości kronikarz miał zapisać, iż król „na nieprzyjaciela się nie ruszył, aż za wielką krzywdą”). Bawiąc długo w państwach brata, Władysława, nawykł do tamtejszych wzorców. Były to przykłady złe, jak najgorsze. Przy słabym, nieudolnym

królu Czechy i Węgry popadły w zupełne rozprzężenie, magnaci wszystkim trzęśli. Z właściwą mu skłonnością do konserwatyizmu Zygmunt przeszczepił na Wawel to, do czego się przyzwyczał.

Zostawszy królem podniósł na krajowe szczyty tych samych ludzi, z którymi zżył się wcześniej. Krzysztof Szydłowiecki jeździł kiedyś na Litwę zabiegać o dział dla niego, teraz doszedł do wielkiego znaczenia, został z czasem kanclerzem oraz kasztelanem krakowskim. Piotr Tomicki od 1502 roku zaglądał do Głogowa. Osiągnął godność biskupa poznańskiego i podkanclerzego jednocześnie, czego wyraźnie zabraniała ustawa z roku 1504. Nie działała ona również w stosunku do Szydłowieckiego.

Ci dwaj mężowie wywierali decydujący wpływ na politykę wewnętrzną i zagraniczną, byli jej właściwymi kierownikami. Obu ich cechował brak zrozumienia dla niebezpieczeństw idących z Niemiec, a także skłonność do ulegania Habsburgom. Gładki światowiec Szydłowiecki był wobec rodu cesarskiego tak uprzejmy, że nie odmawiał przyjmowania pieniędzy i zdradzał tajemnice państwowe. Tomicki nie czynił tego, ale też daleki był od nieustępliwości, nie mówiąc już o programie odzyskania strat nad Odrą. Ich rządy wewnętrzne pozostawały w rażącej sprzeczności ze wspomnianą już jagiellońską tradycją szukania oparcia w tłumach szlachty. Dzięki tym dwóm, całej kohorcie ich towarzyszy oraz własnym błędom Zygmunt I przeszedł do historii jako „król senatorski”.

Mniej więcej w połowie drogi pomiędzy Warszawą a Krakowem leży miasteczko Szydłowiec, gniazdo rodu kanclerza. Oprócz innych pięknych zabytków jest tam również wspaniały pałac renesansowy, ostatnio podniesiony z zaniedbania i odnowiony. Krzysztof miał same córki, taki sam los spotkał jego braci i licznie rozrodzona familia wygasła na tym pokoleniu, które zrobiło karierę. Szydłowiec przeszedł prawem dziedzictwa na Radziwiłłów, spadając do roli ich podrzędnego i odległego folwarku. Znamienne jest to swobodne i niczym nie skrepowane sadowienie się litewskich potentatów w samym środku ziem rdzennie polskich. Ekspansja magnacka szła, jak widzimy, w obie strony, a nie tylko na wschód (wkrótce przekonamy się, że Litwinom było nawet łatwiej przenikać do Polski niż Polakom do Wielkiego Księstwa, przed czym zabezpieczało tamtejsze prawo). Moźne rody obu krajów zrastały się już we wspólny organizm i grały tę samą rolę polityczną. Za Zygmunta I wszechpotężny na Litwie był Olbracht Gasztołd, kolejno wojewoda nowogródzki, połocki, trocki, wileński i kanclerz wielki. Jego syn Stanisław - ostatni z rodu - pojął za żonę Barbarę z domu Radziwiłłów. Miał kto zgłaszać się do spadku po wymierających Szydłowieckich, Gasztołdach, nawet po Piastach mazowieckich.

W poprzecznej nawie słynnej kolegiaty opatowskiej znajduje się nagrobek rodu Szydłowieckich. Znaczący zaliczają go do najlepszych dzieł sztuki odlewniczej na kontynencie Europy. Szczególnie sławny jest „lament opatowski”, płaskorzeźba przedstawiająca rozpacz społeczeństwa po zgonie kanclerza, ukazująca też postać samego króla Zygmunta I.

Zdaniem historyków, otaczający się niebywałym przepychem Szydłowiecki traktował sprawy kultury powierzchownie, sztuka służyła mu za środek do uprzyjemnienia życia i uświetnienia własnej postaci. Inaczej

Tomicki, który należał do najbardziej świątłych i wyrafinowanych umysłów owej doby, stawiającej ludziom nie lada wymagania. Podkanclerzy nie ustępował żadnemu ze sławnych podówczas Włochów, wielu przewyższał.

Ci wielcy panowie przenieśli zamiłowanie do komfortu w dziedzinę polityki. Nie lubili się fatygować rozwiązywaniem zagadnień trudnych, woleli odsuwać od siebie kłopoty. Tymczasem położenie państwa wymagało postępowania wręcz przeciwnego. Był najwyższy czas załatwić choćby część spraw zaniedbanych lub zawieszonych od pokoleń, a przy lada okazji grożących jeszcze gorszą lawiną od tej, która spadła na państwo po bukowińskiej klęsce Olbrachta. (Ogólny układ okoliczności europejskich sprawił, że potop lunął dopiero całe stulecie później, w połowie XVII wieku.)

Jednej ze swych śląskich przyjaźni nie umiał, niestety, Zygmunt I dopilnować. Legnicą rządził wtedy Fryderyk II z rodu Piastów (matka jego, Ludmiła, była córką Jerzego z Podiebradu, króla Czech). Obaj mężowie pozostawali ze sobą w doskonałych stosunkach, współpracowali, odwiedzali się nawzajem. Jeszcze lepiej zaczęło się wszystko zapowiadać, kiedy Fryderyk w roku 1516 poślubił siostrę królewską, Elżbietę Jagiellonkę (która zmarła w kilkanaście miesięcy później). Rodzina następnej małżonki księcia pilniej dbała o swe interesy. Byli to Hohenzollernowie z Berlina. Fryderyk II związał się z nimi na śmierć i życie, torował im drogę na Śląsk (od niego, co prawda po kądzieli, wywodzi się Fryderyk II Wielki, zdobywca Śląska dla Prus, rozbiorca Polski). Wkrótce zobaczymy, jak bardzo ten Piast śląski ułatwiał Hohenzollernom robotę. Był człowiekiem zdolnym, gospodarzem znakomitym. W Legnicy istnieje pamiątka po nim w postaci portalu zamkowego. On również zapoczątkował przebudowę zamku w Brzegu, którego to dzieła dokończył jego syn i następca, Jerzy II.

Szydłowiecki i Tomicki byli przeciwnikami Jana Łaskiego. Zepchnęli go ze świecznika, lecz bynajmniej nie w cień. W 1510 roku Łaski poszedł wysoko - został arcybiskupem gnieźnieńskim, prymasem. Spotkał go więc ten sam awans, który po Grunwaldzie stał się udziałem Mikołaja Trąby. Wyniesienie na kościelną stolicę Polski w zupełnie zrozumiały sposób odsuwało od czynnej polityki, kierowanej wszak przez Kraków, a nie przez Gniezno.

Łaski wybił się, doszedł do znaczenia własnym wysiłkiem oraz dzięki poparciu króla Aleksandra Jagiellończyka. Pochodził z magnaterii, pradziad jego był kasztelanem łędzkim. Rodzina podupadła jednak i przyszłego kanclerza nie stać było na ukończenie uniwersytetu.

Jan Łaski przewodził ziemiaństwu, a przede wszystkim szlachcie wielkopolskiej, której uwaga po dawnemu zwracała się na zachód i północ. Jeśli chodzi o politykę zagraniczną, obóz Łaskiego - zwany niekiedy „narodowym” - żądał rozwiązania sprawy Prus i Pomorza, był należycie wyczulony na niebezpieczeństwo niemieckie. W polityce wewnętrznej popierał program „egzekucji praw”. Przecież to Łaski, jeszcze za Aleksandra, przyczynił się do umniejszenia przywilejów magnackich, podał królowi pomocną dłoń.

W otoczeniu Łaskiego stawiał pierwsze kroki Andrzej Frycz Modrzewski, którego wielkie dzieło *O poprawie Rzeczypospolitej* zawiera i takie wywody:

Jeśliby się tedy miało ustanawiać jakieś różnice w karaniu, to ciężej należy karać tych, co stoją na wyższym stopniu dostojności, niż tych, co na niższym; surowiej bogatych niż biednych, szlachtę niż plebejuszów, tych, co na urzędach, niż ludzi prywatnych [...] im wyżej stoi przestępca, tym jego zbrodnia widoczniejsza i zwykle licznych znajduje naśladowców [...] Skoro bowiem obowiązkiem praw jest krzywdom zapobiegać, to z pewnością nie inaczej się to osiągnie, jak karząc gwałcicieli ludzi ubogich srożej niż tych, co krzywdzą bogatych. Bo nie tak łatwo pokrzywdzić możnych jak ludzi niższego stanu, których krzywdy przeto surowiej trzeba karać niż krzywdy tamtych.

Obóz Łaskiego to za Zygmunta I opozycja polityczna! Było prawdziwą tragedią, że ci, co szczerze chcieli „poprawy Rzeczypospolitej”, musieli iść przeciwko rządowi królewskiemu. Praktyka dowiodła nieskończoną ilość razy, że długotrwałe pozostawanie w opozycji wykołaja ludzi, wdraża ich do nawykowego wykrzykiwania: „nie!”.

Broniąca się przed przewagą magnatów szlachta węgierska wywalczyła sobie prawo odbywania periodycznych zjazdów na polu Rakos. Mogli w nich uczestniczyć wszyscy herbowi. Ta sama tendencja przenosi się i do nas, a obca nazwa pola obrad przemienia się w doskonale znane słowo: rokosz. Opozycyjna szlachta polska też dba o prawo do tłumnego występowania. Dążenie to osłabia znaczenie sejmu, który dopiero co uformował się jako ciało reprezentacyjne, ogólnopaństwowe, wysuwa zaś na plan pierwszy sejmik ziemski, dostępny dla wszystkich urodzonych. W ten sposób powoli wykształca się też podłoże dla przyszłej zasady obierania królów przez zgromadzenie szlachty całego państwa. „Kupą, mości panowie!” - hasło zupełnie naturalne u tych, co spierali się z możniejszymi.

Na razie jednak troska szlachty o prawo do masowego występowania wybitnie szkodziła obronności kraju. Pospolite ruszenie było już przeżytkiem, skutecznie wojowało się wtedy jedynie zaciężnym żołnierzem, który wymagał pieniędzy. Tymczasem sejmy skąpiły grosza. Przyczyna nie leżała w samym tylko sobkostwie szlachty (aczkolwiek niechęć do płacenia podatków zalicza się do czynników kształtujących historię wszystkich krajów pod słońcem). Każde pospolite ruszenie to wszak masowy zjazd rycerstwa, dający okazję do debat politycznych czy nawet demonstracji. Ziemiaństwo nie chciało wyzbyć się tego środka działania, a w rezultacie wojska stałego było w kraju śmiesznie mało.

Wytwarzało się nieszczęsne błędne koło: centralna władza państwowa pozostawała w niezgodzie z obozem politycznym, który chciał państwo uporządkować i wzmocnić.

Zygmunt I przywiózł jednak na Wawel nie tylko bierność i skłonność do ulegania magnaterii. Cechowały go ponadto zamiłowania, dzięki którym o słabych stronach jego rządów trzeba dziś przypominać, zapewne gorsząc

czytelników. Wkrótce po objęciu władzy nakazał przebudowę zamku stołecznego. Zanim Bona ze swymi Italczykami przybyła do Polski, arkadowy dziedziniec Wawelu był już od dawna gotów. Przebywając podczas wojny w Wilnie znalazł król czas na przejrzenie i zatwierdzenie planów Kaplicy Zygmuntowskiej, wykonanych przez Bartłomieja Berecci.

Zygmunt I był głęboko religijny, w jego obyczajach sporo z tradycji średniowiecza. Nie tyle jednak, co w postępowaniu współczesnego mu cesarza Maksymiliana I, który gdziekolwiek pojechał, wszędzie woził ze sobą własną trumnę.

2

Położenie państwa nie było łatwe. W 1509 roku nowy podskarbi Andrzej Kościelecki zastał w kasie sześćdziesiąt jeden złotych. Jeśli chodzi o sprawy międzynarodowe, współczesny nam historyk trafnie scharakteryzował je przy pomocy jednego zdania: „Państwa jagiellońskie, otoczone ze wszystkich stron wrogimi mocarstwami, nie miały żadnych sojuszników.”

Za Zygmunta I stan finansów uległ zdecydowanej, choć jeszcze bardzo niewystarczającej poprawie. Dobra koronne dalej szły w zastaw, wzbogacając przede wszystkim magnatów. Działo się to jednak w mniej rabunkowym tempie niż za Aleksandra. Solidna stateczność nowego króla robiła swoje.

Ile można było osiągnąć przy prawdziwej gospodarce, świadczy następujący przykład. W 1507 roku dzierżawiący cła w Kownie Ezofowicz przekonał się po trzymiesięcznej próbie, że dochód dziesięciokrotnie przewyższa sumę zapłaconą jako tenuta. Zawiadomił o tym króla i oświadczył, że pragnie być tylko zwykłym administratorem, dzierżawy się zrzeka. Fakt ten poucza jednocześnie, czego mogła się spodziewać władza państwowa, jeśliby zechciała konsekwentnie popierać ludzi z nizin. Każdego z nich własny interes, że już przemilczymy uczucia, skłaniałby do wywdzięczania się dobroczyńcy.

W polityce zagranicznej nie wstał z martwych rozpęd, załamany za Olbrachta, trwało natomiast cofanie się, do którego już Aleksander był zmuszony. Tym razem jednak przyszło oddać nie tylko dalekie pozycje wschodnie, lecz także zdobycze dynastyczne na południu i południowym zachodzie. Ponadto i właściwie bez żadnego przymusu poczyniono zgubne, śmiertelne ustępstwa w punkcie najważniejszym, na polskim wybrzeżu Bałtyku.

Wrogowie, zwartym pierścieniem otaczający granice, nie działali w pojedynkę. Oczywiście dobro każdego z nich polegało na podaniu ręki temu z drugiej strony kręgu. Za Zygmunta I doszedł do skutku pierwszy w dziejach sojusz Moskwy już nie z Budą czy Wiedniem, lecz z Królewcem, za którym stał Berlin.

Poprawiło się za to od strony wieloplemiennej rzeszy wyznawców Proroka. Tatarom krymskim, którzy po katastrofie Złotej Ordy poczuli się pewniej, trzeba było nadal płacić upokarzające „upominki”, jednakże

napady ich kierowały się obecnie raz na Polskę czy Litwę, raz na Moskwę. Co do Turków, ostatecznie przeważała opinia Łaskiego, że jeśli już Europa ma zginąć z ich ręki, to niech Polska będzie ostatnią w kolejce. Od śmierci Warneńczyka nie upłynęło jeszcze pełne stulecie, a jakże zmienili się ludzie oraz kierujące nimi zasady. Prymas Polski, Jan Łaski, wcale nie taił, że woli przyjaźń z Turkami od zwycięstw Habsburgów.

Rzecz wydaje się nie do wiary, ale trzeba ufać tak świetnemu historykowi, jak Władysław Pociecha. Na dworze sułtańskim coraz więcej znaczyli poturczeni Słowianie i nie pozostawało to bez wpływu na dzieje. Legendarna Roksolana, ukochana małżonka Solimana Wspaniałego, to postać prawdziwa, wzięta w jasyr córka popa z Rohatyna. Sułtanka nie zapomniała o ojczyźnie i wywierała wpływ na politykę. Do tego doszło, że wezyr Mustafa basza rzekł raz posłowi polskiemu: „My z tobą i twoim królem z jednego jesteśmy narodu, ty Lach, ja Bośniak; jest to zaś rzeczą przyrodzoną, że każdy naród więcej kocha swoich niż obcych.”

Polityka Polski wobec Turcji zaczynała zrywać ze złudzeniami, przestawała liczyć na fikcyjną solidarność państw chrześcijańskich, a przez to nabierała cech nowoczesnych. Nastąpił pokój od strony Stambułu.

Wznowiły się natomiast wojny z Moskwą, gdzie władzę po Iwanie Srogim odziedziczył jego syn, Wasyl III. Wysunął był on nawet swą kandydaturę na tron litewski, lecz uczynił to bezskutecznie, gdyż rada wileńska jednomyślnie powołała Zygmunta. Kampania 1507 roku przyniosła Litwie pewne sukcesy i już zapowiadał się nowy rozejm, kiedy zmałyły wszystko pewne królewskie błędy w polityce personalnej. Chodziło o kniazia Michała Glińskiego, zwycięzcę spod Klecka.

W 1506 roku był on filarem dynastii, lecz solą w oku możnowładztwa litewskiego, sprzymierzonego z magnatami Korony. Głównym jego wrogiem był Jan Zabrzeziński, wojewoda trocki. I oto Zygmunt już w tym samym 1506 roku zaczyna usuwać Glińskiego w cień. Nie cofa mu swej łaski, ale też nie bierze jego strony w coraz ostrzejszym zatargu. Usiłuje grać na zwłokę, łagodzić namiętności. Tymczasem magnaci odbyli już specjalną naradę w Nowogródku, gdzie knuli zemstę nad kniazem. Kiedy Gliński wytoczył przeciwko Zabrzezińskiemu skargę o oszczerstwo, król wprawdzie zapewnił go o swym zaufaniu, ale odroczył proces. Jan Łaski, który w imieniu monarchy udzielił odpowiedzi oficjalnej, prywatnie miał powiedzieć Glińskiemu:

- Panie Michale, nigdy ty nie będziesz bezpiecznym wśród tych panów, którzy cię nienawidzą i godzą na twe życie. Pomyśl o swym bezpieczeństwie.

- Nikomu nic nie zawiniłem, lecz teraz zmuszony już jestem pomyśleć o swym ocaleniu - odrzekł tamten.

Wielkopolski statysta inaczej pewnie rozumiał słowa „bezpieczeństwo” i „ocalenie” niż wywodzący się z Tatarów kniaź kresowy. Usiłujący łagodzić król Zygmunt też mierzył ludzi własną, to znaczy za dobrą miarką.

W nocy 2 lutego 1508 roku zbrojny orszak dworzan i przyjaciół Glińskiego ruszył na Grodno, gdzie przebywał Zabrzeziński. Niedaleko od miasta pochwycono wracającą do domu lubą wojewody. Przerażona niewiasta wygadała wszystko, jej informacje ułatwiły zaskoczenie i napad.

Dworzanin kniazia, szlachcic saski von Schleinitz, wywlókł Zabrzezińskiego z łóżka, reszty dokonał służący, Turek. Głowę wojewody powieszono dalej, zatkniętą na szable, i wreszcie ciśnięto do jakiejś wody, podobno do jednego z jezior na pograniczu Puszczy Bersztańskiej.

Potem usiłował Gliński uwolnić chana Szach-Achmata z kowieńskiego więzienia i siedmiokrotnie słał do króla wiernopoddańcze listy, a sam już w lutym otrzymał propozycję przejścia na służbę Wasyla III. Zygmunt nie odpowiedział mu nic i 14 marca 1508 roku Gliński poddał się Moskwie.

Na razie pozostał jednak na Litwie. Opowiedziało się za nim wielu magnatów, rodzina, a zwłaszcza brat Wasyl, przed którego krwią otwierała się nieoczekiwana kariera. Dość trudno określić, jakie konkretne cele stawiał sobie Gliński, kronikarze pisali nawet o zamiarze wskrzeszenia księstwa kijowskiego. Najbardziej prawdopodobne, że Wasyl III przyrzekł uczynić go zwierzchnikiem ziem, które zostaną oderwane od Litwy.

W tych sprawach polityka państw przeplatała się ambicjami możnych rodów i dlatego należy strzec się uproszczeń. Jesienią 1507 roku, kiedy Gliński - Tatar z pochodzenia, a z wolnej i nieprzymuszonej woli katolik - już się szykował do czynów gwałtownych, powrócił z Moskwy na Litwę inny kniaź. Był nim Konstanty Ostrogski, wzięty do niewoli w 1500 roku nad Wiedroszą.

Iwan Srogi pragnął przeciągnąć go na swoją stronę, więc Ostrogski był początkowo „w tęższym więzieniu chowan”. Przysięgę wierności złożył, z powodzeniem wodził pułki moskiewskie na Tatarów i przy pierwszej sposobności zbiegł na Litwę.

Prawosławie nigdy nie miało w Wielkim Księstwie lepszego i bardziej ideowego obrońcy. Ostrogski był Rusinem z krwi i kości, potomkiem kniazia Teodora, który w 1392 roku wspólnie z Klemensem z Moskorzowa bronił Wilna przed Krzyżakami. Zmarł w roku 1530; spoczywa w Kijowie, w Ławrze Peczerskiej. Rzeźba na nagrobku pokazuje brodatego rycerza w pełnej zbroi płytowej, zupełnie podobnej do tych, które oglądamy na malowidłach wawelskich, napis zaś, wykonany cyrylicą w języku cerkiewno-słowiańskim, głosi:

Konstanty syn Iwana książę Ostrogski, hetman Wielkiego Księstwa Litewskiego, obrońcą wschodniej religii i chrobrością w walkach przesławny, liczne cerkwie Boże, dla sług - szkoły, dla chorych - szpitale w księstwie swym Ostrogskim i w swoim stołecznym grodzie Wilnie wystawiwszy, pragnął być pochowany po śmierci we wtórej Getsemanii przeświętej Bogarodzicy Peczerskiej.

Wzniesione przez Glińskiego powstanie nie przyniosło sukcesów i kniaź musiał się schronić w Moskwie. Stratę jego boleśnie odczuła Litwa w następnej fazie wojny. „Pokój wieczysty”, zawarty w październiku 1508 roku, nie przetrwał bowiem nawet czterech lat.

Zanim walka na wschodzie rozpalila się na nowo (i to w nie lada sposób), gdzie indziej trzeba było stawić czoło tylu sprawom, że w zupełności wystarczyłoby ich na niejedno długie panowanie.

4 października 1509 roku hetman koronny, Mikołaj Kamieniecki, pobił

nad Dniestrem jednookiego wojewodę mołdawskiego, Bogdana, który parę miesięcy wcześniej bezskutecznie oblegał Lwów, a z pełnym powodzeniem spalił Rohatyn. W układzie pokojowym Bogdan zrzekł się wszelkich pretensji do Polski. Stwierdzono jednak, że zwierzchnictwo nad nim sprawują Węgry, a nie Kraków.

Układ ten zaprzysiął Zygmunt 20 marca 1510 roku. 14 grudnia zmarł wielki mistrz krzyżacki, Fryderyk, książę saski. Trudności czynione przezeń Polsce za Jana Olbrachta, Aleksandra i samego Zygmunta były dopiero wstępną przygrywką do tego, czego miał dokonać spadkobierca. Fryderyk zawczasu umyślił bowiem przekazać Królewiec i wszystkie antypolskie zamiary Zakonu w najbardziej powołane ręce. W lutym 1511 roku Krzyżakiem i kandydatem na wielkiego mistrza został Albrecht Hohenzollern, jeden z dziesięciu synów margrabiego brandenburskiego i Zofii Jagiellonki, a więc rodzony siostrzeniec króla polskiego. Zygmunt zgodził się na to i 6 kwietnia Albrecht objął rządy w Królewcu.

Marchia Brandenburska przyczyniła Polsce piastowskiej moc zła. Ona pierwsza sięgnęła po Gdańsk i usiłowała oddzielić nasze państwo od Pomorza Zachodniego, czyniła podboje nad Odrą i dolną Wartą. Od czasów Albrechta Niedźwiedzia stała się najlepszą wyrazicielką dążenia niemieckiego, określonego później słowami „*Drang nach Osten*”. Brandenburgia i zakon krzyżacki parły ku sobie, a Łokietek i Kazimierz Wielki dokonywali nadludzkich wysiłków, by rozerwać lądowe połączenie Malborka z krajami Rzeszy Niemieckiej. Plan się powiódł. Przez odzyskanie Pomorza Gdańskiego Kazimierz Jagiellończyk jeszcze lepiej izolował resztki państwa Zakonu, zepchniętego we wschodnią połać Prus. Teraz władający Berlinem ród Hohenzollernów politycznie przeskoczył przegrodę terytorialną. Wysłał jednego ze swoich do Królewca.

W XVI wieku nastąpiło, jak najgorzej Polsce wróżące, odrodzenie politycznego znaczenia Brandenburgii. Wtedy właśnie Hohenzollernowie zaczęli snuć plany co do Śląska, urzeczywistnione w dwieście lat później (siostra mistrza Albrechta, Zofia, wyszła za znanego nam już Fryderyka II, pana Legnicy i Brzegu, Anna poślubiła Wacława II, księcia Cieszyna). Czyhali ponadto na Pomorze Zachodnie, będąc już o krok od celu.

26 marca 1493 roku, układem w Pyrzycach, książę całego Pomorza Zachodniego, Bogusław X, uznał swym dziedzicem Jana Cicerona Hohenzollerna, margrabiego brandenburskiego. Bogusław był wtedy ostatnim z dynastii władców Szczecina. Sytuację uratowała poślubiona mu przed dwoma laty Anna Jagiellonka, córka króla Kazimierza. Urodziła siedmioro dzieci i ocaliła dynastię pomorską jeszcze na stulecie przeszło.

Już w 1503 roku Bogusław X proponował Polsce objęcie zwierzchnictwa lennego nad całym Pomorzem Zachodnim. Król Aleksander przychylił ucha, rozpoczął rokowania, ale nie zdążył ich ukończyć. W 1513 roku Bogusław ponawia prośbę, lecz Zygmunt I sprawę odracza. Za dużo problemów wisi mu na karku i konflikt z całym rodem Hohenzollernów nie wydaje się w tych warunkach pożądany.

Państwa jagiellońskie nie mogły się skarżyć na brak niespodzianek, nie licząc już problemów zasadniczych. Tak na przykład w roku 1510 jeden z najazdów tatarskich doszedł aż za Wilno. Orda Krymska uspokoiła się nie

wcześniej, aż Ostrogski i Kamieniecki odnieśli duże zwycięstwo pod Wiśniowcem, w kwietniu 1512 roku. Od tej pory chan raczej przycichł, inkasując jednak co roku piętnaście tysięcy złotych tytułem „upominku”.

Albrechta Hohenzollerna, który państwo zakonne zwał po prostu „Nową Germanią”, zdecydowanie popierał cesarz Maksymilian I. Jednocześnie z pertraktacjami o dalszy los Prus prowadziła Polska inne - na Węgrzech. Nadal królował tam Władysław Jagiellończyk, a rządzili miejscowi magnaci. Istniały wśród nich dwa stronnictwa: wielmoże duchowni okazywali przychylność Habsburgom, wspomnianemu dopiero co Maksymilianowi, świeccy zaś nastroszeni byli antyniemiecko. Przywodził im wojewoda siedmiogrodzki, Stefan Zapolya. 18 lutego 1512 roku Zygmunt pojął za żonę jego córkę, niezwykle urodziwą Barbarę. Małżeństwo było polityczne, poprzedziły je dłuższe układy, których rezultatem był zapewne tajny sojusz ze Stefanem, wymierzony przeciwko cesarzowi.

U schyłku tegoż 1512 roku wznowiła się wojna na wschodzie. Wasyl III wystąpił czynnie, zarzucając Zygmuntowi niedawny układ z Tatarami oraz podburzanie ich do napadu na Riazan. Nie zabrakło równie tradycyjnych już skarg na złe rzekomo traktowanie królowej-wdowy Heleny (która w początkach roku 1513 zmarła na Litwie).

Rozpoczynająca się wojna moskiewska, druga już za panowania Zygmunta I, miała trwać dziesięć lat i odegrać rolę więcej niż poważną. Z punktu widzenia Niemców - zarówno cesarza, jak Brandenburgii i wielkiego mistrza - nie mogło być rzeczy bardziej od niej pożytecznej. Nic więc dziwnego, że jeszcze przed jej wybuchem rozmaitymi drogami pojechały i popłynęły na odległy wschód duże transporty uzbrojenia, i to wartościowego, wykonanego przez nie lada rzemieślników.

Początek kampanii wcale nie zapowiadał się źle dla Litwy. Smoleńsk, gdzie załogą dowodził Jerzy Hlebowicz, wytrzymał dwumiesięczne oblężenie, pomimo dobrej i licznej artylerii przeciwnika. W drugiej połowie 1513 roku Ostrogski odniósł kilka znacznych sukcesów w polu. Wisiał już w powietrzu nowy rozejm, kiedy w styczniu 1514 roku przybył na Kreml poseł cesarza Maksymiliana, Jerzy Schnitzenpaumer, z propozycją układu zaczepnego przeciwko Polsce i Litwie. Była to odpowiedź Habsburga na wcześniejsze porozumienia z węgierskimi Zapolyami, a jednocześnie dalszy i logiczny ciąg tych konszachtów z Moskwą, w które wdał się jeszcze Maciej Korwin, kiedy dynastia jagiellońska nieopatrznie sięgnęła za Karpaty. Cesarz, jak pamiętamy, sam się już z Kremlem wiązał, a tym razem proponował działanie na wielką skalę, prawdziwą ligę antypolską. Oprócz Maksymiliana, Moskwy i zakonu krzyżackiego mieli w niej uczestniczyć książęta sascy, Dania oraz Brandenburgia. Zaniósł się na uderzenie ze wszystkich stron.

W 1514 roku Litwa była stosunkowo dobrze przygotowana. Wynikło to przede wszystkim z gorliwych starań Jana Abrahama Ezofowicza herbu Leliwa, wtedy już podskarbiego Wielkiego Księstwa. Starosta trembowelski Janusz Świerczowski, wraz z ośmiu tysiącami żołnierza zaciężnego z Korony, od wiosny stał na Litwie, ale koncentracja wojska posuwała się ospale i Wasyl zdążył ponownie oblec Smoleńsk. Twierdza

była należycie zaopatrzona i miała nowego dowódcę w osobie Jerzego Sołłohuba. W lipcu 1514 roku Smoleńsk padł, został poddany Wasylowi. Później Sołłohub zapłacił za to głowę, osadzony i ścięty.

Polityczne, strategiczne oraz moralne znaczenie klęski było niezmierne. Od jednego zamachu zdobyła Moskwa kluczową pozycję w dorzeczu górnego Dniepru, bramę, przez którą wiodła najlepsza z dróg na zachód. Europa aż przesadnie oceniła doniosłość wydarzenia, w Rzymie uważano, iż nadszedł kres na królestwo polskie. Brano oczywiście pod uwagę nie tylko sukces Moskwy, lecz także głośno już i bez obsłonek zapowiadany atak ze strony państw niemieckich.

Arcydioniosłą rolę odegrał w tych wypadkach Michał Gliński. Wojna i układy polityczne, dotyczące posunięć zupełnie konkretnych, to akurat dziedzina, w której talent jednego człowieka może decydująco zawazyć.

Gliński początkowo usiłował przebłagać Zygmunta I, ale na próżno. Król uważał go za zbrodniarza i żądał od Wasyla wydania kniazia lub ścięcia mu głowy w Moskwie. Wobec takiego stanu rzeczy Gliński wziął gorliwy udział w przygotowywaniu wspomnianej już koalicji. Jego ludzie pomagali przemycać z zachodu broń (jeden z nich, nazwiskiem Łata, został za to stracony w Krakowie), on sam prawdopodobnie uczestniczył w układach z Maksymilianem. Dworzanin Glińskiego von Schleinitz, tenże, który pastwił się nad Zabrzezińskim, jako agent dyplomatyczny nawiązał pierwsze nici porozumień pomiędzy Moskwą a zakonem krzyżackim. Stało się to w roku 1510, jeszcze za życia wielkiego mistrza Fryderyka.

Gliński był pod Smoleńskiem, i to on właśnie skłonił załogę do kapitulacji. Teraz jednak oczekiwał go zawód, bo Wasyl III nie powierzył mu twierdzy, mianując jej komendantem kniazia Szujskiego. Widocznie przeczuł coś albo zwęszył, bo wedle wszelkiego prawdopodobieństwa Gliński zamierzał za cenę łaski zwrócić Smoleńsk Zygmuntowi I.

Król zmienił w końcu stanowisko (trzeba przyznać, że mocno poniewczasie), przebaczył banicie i wezwał go do powrotu. W nocy 1 września Gliński zbiegł. Ruszył konno na spotkanie ciągnącej na wschód armii litewsko-polskiej. Na drodze czekała nań zasadzka. Zdradził kniazia ktoś z bliskich, a może jego litewscy wrogowie w porę ostrzegli Wasyla.

Od haniebnej śmierci ocalała Glińskiego obietnica powrotu do prawosławia. Zakuty w ciężkie kajdany poszedł do więzienia na lat trzynaście.

Chorągwie, do których Gliński nie dotarł, wiodł Konstanty Ostrogski. Liczyły około dwudziestu tysięcy zbrojnych. Litwinom przewodził Jerzy Radziwiłł, Polakom Janusz Świerczowski. 8 września 1514 roku doszło pod Orszą do spotkania z czterokrotnie silniejszymi wojskami moskiewskimi. Ostrogski z genialnym ryzykiem sforsował Dniepr i odniósł naprawdę wielkie zwycięstwo. O tym wodzu mówiono, że wygrał tyleż bitew, ile niegdyś Bolesław Krzywousty - równo czterdzieści.

Wzięto do niewoli obu dowódców nieprzyjacielskich, wielu kniazów i bojarów, tłumy żołnierzy. Chcąc oddziaływać na Europę zachodnią, skąd groził cios w plecy, król Zygmunt posłał niektórych jeńców do papieża i na inne dwory. W Halli ludzie cesarza Maksymiliana siłą zatrzymali taki konwój, uwolnili brańców, których przez Inflanty odesłano Wasylowi.

W warszawskim Muzeum Narodowym znajduje się dużych rozmiarów obraz malowany przez nieznanego mistrza krakowskiego, a przedstawiający bitwę pod Orszą. Wartościowy jako dzieło sztuki, jest dla historyków niewyczerpaną kopalnią wiadomości o dawnym uzbrojeniu, strojach, nawet o technice. Nic dziwnego, że batalia naddnieprzańska zainteresowała artystę. Widowisko musiało być niezwykle, bo starły się dwie armie o wyglądzie najzupełniej różnym.

Wojsko polskie, a w znacznej mierze i litewskie, nosiło wtedy ciężkie, całkowite zbroje, zakrywające ciało od ciemienia do pięt. Także i korpus konia osłaniały płyty o krawędziach wygiętych na zewnątrz, istne fartuchy z żelaza. Nawet piechurzy dźwigali półpancerze, hełmy i wielkie pawęże. Wykonane ręcznie, zbroje te różniły się szczegółami, utrzymywały jednak jednolity, surowy styl. Niczym nie osłonięta stal stwarzała groźny akcent.

Jeden z legatów papieskich napisał nieco później o wojsku moskiewskim:

Aby zaś komu dziwnym się nie zdało, że kobierce i złotogłowy w nieprzyjacielskim obozie znaleziono, wiedzieć ma, iż u tego narodu jest obyczaj przy wyjściu na wojnę okrywać zbroję drogimi, a zwłaszcza różnobarwnymi szatami, tak że ich wojsko stawia obraz najpiękniejszej wiosennej łąki.

Ostrogski zwyciężył, ale zmarnował potem sporo czasu i dopiero w końcu września stanął pod Smoleńskiem. Wasyl Szujski zdążył przygotować twierdzę do obrony, ponadto wyłapał stronników królewskich i kazał ich powywieszać na szubienicach wieńczących wały. Smoleńsk został przy Moskwie, Orsza nie zmieniła ogólnego wyniku kampanii.

Wypadki roku 1514 spowodowały skutki natury bardzo ważnej. Zaczynało stawać się jasne, że ruskie posiadłości Litwy, a nawet byt jej samej da się utrzymać jedynie pod warunkiem rzucenia na wschód w s z y s t k i c h sił połączonego państwa, to znaczy także i polskich. Aż dotychczas Korona odnosiła się do zmagania naddnieprzańskich z wyraźną rezerwą. Szczególnie Wielkopolska przejawiała mało zainteresowania. Pod Orszą obok polskich zaciężnych walczyli już i ochotnicy. Z biegiem czasu cała Rzeczpospolita zwróciła się twarzą ku płonącemu ciągle frontowi wschodniemu. Zabrakło właściwie fizycznej możliwości zajęcia się innymi stronami świata. A już na pewno - zajęcia się w sposób skuteczny.

Doraźnie, na gorąco, pod świeżym wrażeniem utraty Smoleńska należało jakoś łądzić z Habsburgami. Spodziewane uderzenie z zachodu nie nastąpiło, ale utrzymywanie dotychczasowego stanu rzeczy stało się niemożliwe. Do najwyższych stanowisk doszli wtedy w państwie Tomicki oraz Szydłowiecki.

Latem 1515 roku w Preszburgu i Wiedniu odbyło się uroczyste spotkanie obu królewskich Jagiellonów z ich starym wrogiem, Maksymilianem I. Zygmunt po rycersku okazywał mu pełne zaufanie, Władysław wzruszył się do łez. Cesarz postępował wyniośle, a w układach zastosował tradycyjną zasadę swego rodu: żenić młodych, byle z zyskiem! Postanowiono zaręczyć potomków Władysława Jagiellończyka z wnukami

cesarza (dziećmi Filipa Pięknego, króla Kastylii, i Joanny Szalonej). Tak więc dwunastoletnia Anna została narzeczoną Ferdynanda Habsburga (przyszłego Ferdynanda I, króla rzymskiego i cesarza), dziewięcioletniemu Ludwikowi, następcy tronu Czech i Węgier, przeznaczono Marię.

W ten sposób Habsburgowie ujęli przyszłość w swe biegle dłonie, a Jagiellonowie zostali wykwitowani ze sprawy, która od półwiecza blisko pochłaniała moc sił polskich. Słusznie zauważyli historycy, że wystarczyło teraz otoczyć małego Ludwika niemieckimi wychowawcami, a oprócz tego zawsze można było pchnąć go na Turków, w ślady Warneńczyka. Zastosowano kolejno oba środki.

Władysław Jagiellończyk zmarł w kilka miesięcy później, 15 marca 1516 roku. Maksymilian I przeżył go o trzy zimy, miał więc czas należycie ustawić stery.

Pozornie Polska nic na tym układzie nie traciła, mogła nawet skorzystać, uspokajając cesarza. W rzeczywistości nadal obciążała ją fatalne dziedzictwo w postaci wyrobionej tradycji porozumień państw germańskich z Moskwą. Żadne traktaty nie mogły powetować tego, co się już stało, ani zwrócić straconego czasu, zmarnowanych wysiłków.

Zygmunt oraz jego doradcy liczyli naiwnie, że cesarz wystąpi jako pośrednik w sporach z Zakonem tudzież z Moskwą i nie tylko doprowadzi do pokoju z Kremlem, lecz skłoni go ponadto do zwrócenia zdobytych ziem. Wszystkie poselstwa spełzyły na niczym, Wasyl III niczego nie chciał oddać, żądał natomiast Kijowa. Wielkiego mistrza Albrechta wcale nie rozczuliła zgoda Polski z cesarzem. Prowadził dalej rozpoczętą politykę i wiosną 1517 roku zaprzysiągł w Kłajpedzie umowę, na mocy której miał otrzymać od Wasyla dużą zapomogę pieniężną, nająć dwanaście tysięcy wojska i rozpocząć otwartą wojnę z Polską.

Uplynnienie gotówki moskiewskiej oraz przygotowania wymagały jednak czasu i walka z Zakonem rozpoczęła się dopiero w roku 1519. Wcale nie jest pewne, czy ta zwłoka wyszła Polsce na dobre. Bo wtedy właśnie z wielką mocą wystąpił nowy, ogromnej wagi czynnik dziejowy, który poruszył wszystkie siły żywotne Europy, a zwłaszcza Niemiec. Tym czynnikiem była reformacja religijna.

31 października 1517 roku na drzwiach kościoła w Wittenberdze ukazała się karta zawierająca dziewięćdziesiąt pięć twierdzeń, wymierzonych przeciwko katolickiej nauce o odpustach. Przybił ją doktor Marcin Luter, profesor miejscowego uniwersytetu, przeor klasztoru Augustianów, człowiek dotychczas we wszystkim wierny papieżowi, zainteresowany jedynie sprawami wiary i zbawienia.

Pierwsze wystąpienie Lutra wcale nie oznaczało zerwania z Kościołem, które datuje się dopiero od roku 1519, kiedy to podczas publicznej dysputy w Lipsku Luter oświadczył, że w nauce Husa mieściły się pierwiastki słuszne, prawdziwie chrześcijańskie, oraz że zarówno sobór, jak i papież mogą się mylić.

Nie ma tu miejsca na bliższe charakteryzowanie reformacji ani omawianie jej dziejów. Stała się ona bodźcem dla wszystkich sił umysłowych, społecznych i politycznych domagających się zniszczenia dawnego porządku, ale dodała także ducha jego obrońcom. Pod hasłami

religijnymi uciemieniony lud walczył o poprawę doli, a książęta Rzeszy o powiększenie swej władzy. Nie przecząc tym oczywistym faktom, nie należy też upraszczać. Wśród wrogów Kościoła i jego zwolenników wcale nie brakowało takich, dla których najważniejsza była sama wiara. Uważać reformację oraz katolicką kontrreformację j e d y n i e za wynik gry sił społecznych i politycznych - to znaczy beznadziejnie spłycać pogląd na dzieje.

Nieźródnany Rabelais oświadczył z godną najwyższego szacunku szczerością, że podtrzymuje wszystkie swe twierdzenia... aż do kary stosu włącznie. Byli tacy w obu obozach, co przekraczali granicę, dawali się umęczyć, lecz nie odstępowali s w o j e j wiary.

„Umysły się budzą, dobrze będzie żyć!” - wołał sławny humanista niemiecki Ulryk von Hutten, który całą siłą swego talentu wsparł Lutra. Umysły były już wtedy od dawna obudzone przez Renesans, reformacja to tylko nowy, jeden więcej poryw myśli wolnej. Co prawda, jej czołowi przywódcy, twórcy nowych doktryn, sami wkrótce zapragnęli sprawować dyktaturę nad mózgami, ale ogólny bilans uniesień i rozczarowań był niewątpliwie dodatni. Kraje, w których reformacja zwyciężyła całkowicie, też wiele nagrzeszyły fanatyzmem, ale ostatecznie wysunęły się na czoło kulturalnego i społecznego postępu. Przeżywszy w XVI i XVII wieku okrutne trzęsienie ziemi, weszły na drogę racjonalnego zarządzania stosunków wewnętrznych i zaoszczędziły sobie jeszcze gorszych wstrząsów na później.

Książka ta kilkakrotnie napomykała o wyłamywaniu się krajów europejskich spod średniowiecznych pojęć o zwierzchnictwie papieskim i cesarskim. Mówiło się również o żywym ruchu soborowym, który pozostawał w ścisłym związku z żądaniami naprawy porządków w Kościele, „w głowie i w członkach”. Reformy nie przeprowadzono, i oto nastąpiła reformacja. Całe narody odeszły od papieskiego Rzymu, zerwały z nim wszelki związek. Ta sama reformacja sprawiła jednak, że papieństwo przestało być instytucją do rdzenia zeświecczoną.

Jeden z najwcześniejszych przykładów czysto politycznego wyzyskania reformacji zdarzył się na północnym pograniczu Polski. Ale o tym za chwilę. Zanim ruch wywołany przez Lutra oddziaływał na nasze losy, w życiu państwa zaszły inne ważne wypadki.

Barbara z domu Zapolyów, której ręka miała umocnić alians Polski z antyniemieckim stronnictwem na Węgrzech, nie o wiele przeżyła zmianę kursu polityki małżonka. Zmarła w październiku tegoż 1515 roku, w którym zawarto traktat wiedeński. Zygmunt był do niej szczerze przywiązany i niechętnie słuchał o nowych planach matrymonialnych. Zaczęto je jednak snuć od razu, po całej niemal Europie biegali posłańcy i gońcy, brzęczały talary, grube sumy obiecywano pośrednikom. Głównym swatem był cesarz Maksymilian, który starał się trzymać rękę na pulsie spraw polskich. On wybrał narzeczoną. Była nią rodzona siostrzenica jego żony (i cioteczna siostra króla Francji Franciszka I), włoska księżniczka, Bona z rodu Sforzów. W czasie zaocznych swatów przedstawiano ją Zygmuntowi jako dziewiętnastoletnią dziewczynę. W rzeczywistości Bona, urodzona w roku 1494, była o rok starsza od niedawno zmarłej Barbary.

Ale i tak Zygmunt miał o dwadzieścia siedem wiosen więcej.

Zaślubiny *per procura* odbyły się w Italii, 6 grudnia 1517 roku, w zamku Castel Capuano. Celebrował je poseł polski, ksiądz Jan Konarski, biskup krakowski. Nieobecnego króla reprezentował drugi jego wysłannik, Stanisław Ostroróg, syn pisarza. Ten już podczas wcześniejszych wystąpień budził powszechny podziw. Wygłosił w Wiedniu orację łacińską, po której wysłuchaniu Niemcy sami przyznali, że w całej Rzeszy nie znaleźć równie świetnego mówcy. Oczarował lubujących się w wystawności i widowiskach Włochów - klejnoty z jego czapki, nie licząc reszty kapiącego złotem stroju, warte były pięćdziesiąt tysięcy dukatów.

Podczas zaślubin musiał kolejno: wygłosić sakramentalne formuły, włożyć oblubienicy pierścień na palec, ucałować własne dwa palce, dotknąć nimi czoła Bony i znowu je pocałować, złożyć niski ukłon. To wyczerpywało jego obowiązki jako zastępcy małżonka. Bona przybyła do Krakowa 18 kwietnia 1518 roku i została wspaniale powitana.

Jej słynny ród od całkiem niedawnych czasów zaliczał się do panujących. Nazwisko Sforza pochodzi od włoskiego czasownika *sforzare*, który i w naszej mowie zrodził słowo: forsować. Początkowo było to przydomko nadane w roku 1385 najemnemu żołnierzowi, niejakiemu Jacopo Attendolo. Sforzowie wywodzili się z drobnego, pośledniego rycerstwa. Sami zdobyli sobie tron w Mediolanie oraz koronę książęcą.

Bona wyszła z doskonałej szkoły politycznej, była oswojona z dyplomacją naprawdę godną tego miana. Kwestia jej zamążpójścia żywo obchodziła cesarza, papieża oraz sławnego króla Hiszpanii, Ferdynanda Katolickiego. Kolejno zamierzano ją wydać za księcia Sabaudii, Filipa, potem za Ferdynanda Habsburga, przyszłego cesarza. To wszystko oraz cała tradycja rodzinna pouczyły ją dokładnie, na czym polega prawdziwa polityka i jak się ją prowadzi. Przyjechała zatem do nas przedstawicielką najlepszej szkoły europejskiej. W jej wykształceniu brakowało tylko wiedzy o zjawisku, będącym czysto polską, bo już nawet nie litewską specjalnością. U nas w tym czasie materiału na podporę tronu należało szukać nie wśród arystokracji ani w ośpałych miastach, lecz w średniej i drobnej szlachcie. W tym samym elemencie społecznym, z którego wyłonił się kiedyś... ród Sforzów.

Zasadnicze obowiązki monarchini spełniała Bona wzorowo. Pierwsze dziecko, córka Izabela, przyszło na świat co do dnia w dziewięć miesięcy po pierwszym spotkaniu małżonków w Krakowie. Łatwo policzyć: 18 kwietnia 1518 - 18 stycznia 1519 roku.

W niedługi czas później sejm i senat zaczęły w sprawach państwa zwracać się do królowej, bo Zygmunt coraz bardziej tracił zmysł polityczny i chęć działania.

Tło wypadków stanowiła tocząca się ciągle wojna z Moskwą, przy czym Kremlowi znowu udało się pozyskać Tatarów. Latem 1519 roku pokłócony z Olbrachtem Gasztołdem Mikołaj Radziwiłł rozmyślnie nie przybył z wojskiem na punkt zborny do Krewa, skutkiem czego pułki moskiewskie dotarły w pobliże Wilna. 2 sierpnia orda zadała klęskę Ostrogskiemu i rotom koronnym. Było to nie tyle pod Sokalem, co w nim samym, bo bój toczył się na zgliszczach miasteczka.

W tych bardzo ciężkich okolicznościach sejm koronny powziął słuszną, zbawienną decyzję szukania rozstrzygnięcia na najważniejszym froncie, skąd ciągle groziło uderzenie. Mowa o Prusach krzyżackich.

Wielki mistrz Albrecht nie był jeszcze gotów do wystąpienia, gdy w połowie grudnia Polska postanowiła rozpocząć wojnę na północy. Popularna w kraju kampania prowadzona była ze zmiennym szczęściem, aż sprowadzone z Krakowa ciężkie działa burzące pozwoliły na zdobycie szeregu twierdz. 30 kwietnia 1520 roku stary, Kazimierza Jagiellończyka pamiętający wojownik i dyplomata, Mikołaj Firlej z Dąbrowicy obległ Królewiec i wezwał załogę do złożenia broni. Sam król mniemał, iż nadszedł „ostatni akt dramatu”. Tak w istocie mogło i powinno było się stać. Rozstrzygnięcie zależało już nawet nie od siły oręża, lecz ludzkich charakterów. Mówiąc najprościej - od zajądłości i uporu.

W spór polsko-krzyżacki wdali się pośrednicy, legaci papiescy, księżęta Rzeszy Niemieckiej oraz król węgierski i czeski, młody Ludwik Jagiellończyk, będący kukłą w ręku swych niemieckich opiekunów. Zygmunt I zgodził się na rozejm, a tę jego decyzję można przyrównać tylko do rzucenia koła ratunkowego tonącemu wrogowi. W czerwcu Albrecht zjawiał się na rozmowy w Toruniu i postępował tak hardo, jakby trzymał króla w niewoli. Kiedy zaś nadeszły wieści o wylądowaniu posiłków z Danii, odwrócił się plecami, zerwał pertraktacje i wyjechał.

Wojna się wznowiła, od zachodu w kierunku na Wałcz i Gdańsk ciągnęła silna armia najemników niemieckich, Mikołaj Firlej otrzymał rozkaz odstąpienia spod Królewca. Pomimo bardzo groźnej sytuacji Polacy poradzieli sobie na polu walki. Landsknechci doszli wprawdzie aż do Wisły, zdobywając Chojnice i Tczew, ale odparci od Gdańska, zagrożeni przez silny korpus jazdy Firleja, w nieładzie cofnęli się tam, skąd przyszli.

Wśród takich okoliczności otrzymał Zygmunt I wiadomość, która innego człowieka skłoniłaby do wyteżenia wszystkich sił ducha. Z Krakowa przycwałował goniec z wieścią o narodzinach syna, dziedzica i następcy. Zygmunt August, ostatni z Jagiellonów, przyszedł na świat 1 sierpnia 1520 roku.

W listopadzie Firlej odebrał Chojnice. Nic nie było stracone, Krzyżacy nadal znajdowali się na łasce i niełasce bez porównania silniejszej Polski. Księżęta Rzeszy Niemieckiej gotowi byli pośredniczyć i knuć, lecz nie wojować. Litwa nie pomagała wprawdzie Koronie, bo nie mogła, sama zagrożona przez Moskwę, ale Wasyl III doszedł do wniosku, że trzeba wyzyskać kłopoty króla i... zawrzeć pokój. Gdańsk służył Polsce wiernie i działał z poświęceniem, to samo czynili Kaszubi z Pomorza. Poddani Zakonu bić się nie chcieli, nienawidzili zresztą swoich panów.

Wielki mistrz Albrecht Hohenzollern nie cofał się ani o jeden krok, walczył. Król Zygmunt I poprosił cesarza Karola V o pośrednictwo pokojowe. 5 kwietnia 1521 roku zawarto w Toruniu rozejm na cztery lata. Przed wygaśnięciem tego terminu cesarz i król węgierski mieli rozstrzygnąć, czy mistrz Krzyżaków jest w ogóle zobowiązany hołdować Polsce. A więc królestwo nie tylko że nic nie osiągnęło, lecz pozwoliło na zakwestionowanie zdobyczy Kazimierza Jagiellończyka. Trzeba jeszcze dodać, że króla Czech i Węgier reprezentował w tych układach margrabia

Jerzy Hohenzollern, rodzony brat wielkiego mistrza Albrechta. O prawach Polski na północy miał zatem rozstrzygać on i cesarz Karol V, Habsburg.

Aż dziwnie przypomnieć, że tymi samymi sprawami krzyżackimi zajmował się kiedyś Władysław Łokietek...

Podczas tej wojny biskup Tomicki napisał w pewnym liście: „My, Polacy, gdy nam się powodzi, jesteśmy mało dostępni, jeżeli nie wyniośli, gdy zaś się nie powodzi, opadamy.” A więc już wtedy ludzie mieli skłonność do ogólnikowych, na niczym nie opartych sądów. Łokietek był wszak jak najrdzenniejszym Polakiem i po mieczu, i po kądzieli. Niczego się nie wyjaśni, rozprawiając o charakterach narodowych, które są zmienne, kształtowane przez okoliczności historyczne. Faktem jest za to, że umysły i charaktery konkretnych, sprawujących władzę osób wpływają na dzieje państw, a nieraz rozstrzygają o nich. Na samej górze, w ośrodku rządzącym zapadają decyzje, kiedy, na co i jak użyć sił nagromadzonych pracą bezimiennego tłumu, a historia tysiąc raz dowiodła, że wcale nie każdy błąd można odrobić.

Jak pamiętamy, księżę całego Pomorza Zachodniego, Bogusław X, zwany Wielkim, sam proponował Polsce objęcie zwierzchnictwa nad tym krajem. Powtórzył to w roku 1513, kiedy poseł królewski, Łukasz Górka, kasztelan poznański, przyjechał do Szczecina na uroczystości rodzinne tamtejszej dynastii. Program odnowienia związków bardzo odpowiadał prymasowi Łaskiemu i jego zwolennikom, młode pokolenie książąt szczecińskich to byli siostrzeńcy Zygmunta I. Król odraczał decyzję, aż w roku 1521 Bogusław X przyjął zwierzchnictwo cesarskie, złożył hołd Karolowi V. Odtąd polityka polska przestała się interesować Szczecinem, miała na oku jedynie Lębork i Bytów.

Zygmunt I w dobrym nastroju powrócił do Krakowa z wojny pruskiej, czuł się jak „zwolniony z więzienia”. Zawieszono wtedy na wieży katedry wawelskiej dzwon, nazwany jego imieniem. Głos „Zygmunta” odezwał się po raz pierwszy 13 lipca 1521 roku. Uczcił pozory zwycięstw i świetności.

Rozejm z Moskwą zawarto w roku 1522 na lat siedem, zostawiając w jej ręku Smoleńsk. Trwały natomiast najazdy Tatarów z Krymu. Wkrótce skłoniło to sterników nawy polsko-litewskiej do wypuszczenia na wolność nieszczęsnego chana Złotej Ordy, Szach-Achmata, który był już stary, żadnej roli odegrać nie mógł, ale ze zdumiewającą energią przedsięwziął wyprawy w stepy rodzinne. O wiele ważniejsze - to uchwała sejmu o podatkach na tak zwaną „obronę potoczną”, czyli nieliczne, lecz stałe i doborowe wojsko przeznaczone do strzeżenia kresów południowo-wschodnich. Szlachta nie dała jednak pieniędzy uległemu magnatom królowi. Powierzyła je specjalnym komisjom wojewódzkim. Jednocześnie i Litwa zaczęła tworzyć straż zbrojną nad Dnieprem. Dla oszczędności Wielkie Księstwo zaciągało na służbę elementy miejscowe, osiadłe, a raczej przebywające na stepach. Tak pomału powstawała kozaczyzna, mająca odegrać olbrzymią rolę historyczną, lecz dopiero w następnym stuleciu.

Obrona potoczna spełniła swe zadanie, polepszyła warunki bezpieczeństwa od strony Tatarów. Główne zamki, w których skupiały się te rotty, to Bar, Kamieniec Podolski, Buczacz i Trembowla w Koronie,

Czerkasy, Kaniów, Krzemieniec, Łuck i Włodzimierz Wołyński w Wielkim Księstwie.

Sprawę pruską Zygmunt I i jego doradcy załatwili w sposób tak zagadkowy, że na przykład Bona w żaden sposób nie mogła zrozumieć motywów postępowania małżonka.

Sejm piotrkowski uchwalił: „Nie zawierać ani pokoju, ani rozejmu z Zakonem, lecz usunąć go z tych ziem.” Zakończył obrady 24 lutego 1525 roku, a 10 kwietnia Albrecht Hohenzollern złożył w Krakowie na Rynku hołd Zygmuntowi I jako świecki książę Prus. Otrzymał od króla oficjalne i prawomocne potwierdzenie swej władzy nad Królewcem, Kwidzynem, ujściem Niemna!

W lutym położenie Albrechta wydawało się rozpaczliwe. Decyzje, które miały mu przynieść ratunek, zapadły w tym samym miesiącu podczas narady u znanego nam już Fryderyka II, pana Legnicy i Brzegu. Postanowiono próbę urzeczywistnienia wcześniejszego pomysłu Marcina Lutra. Państwo zakonne miało się przemienić w luterańskie księstwo świeckie, lennicze w stosunku do Polski. Projekt wymagał jednak zgody drugiej strony. W marcu Fryderyk II z rodu Piastów oraz margrabia Jerzy Hohenzollern udali się do Krakowa i przedłożyli szkic traktatu, a król Zygmunt I i senat uznali wniosek za pożyteczny. Zatwierdzenie układu odbyło się 8 kwietnia, na dwa dni przed uroczystością hołdu.

Stanisław Hozjusz, sławny później kardynał i protektor jezuitów, z pochodzenia Niemiec, zaraz napisał wiersz łaciński; którego fragmenty brzmią tak oto:

*Powiedz, ktokolwiek przeczytasz te sprawy,
Czyli nie nazwiesz monarchę szalonym,
Co mogąc łatwo skończyć z zwyciężonym,
Wzrok mu swój wolał pokazać łaskawy?*

*Pokazał temu, co niedawno jeszcze
Byłby niewdzięczny szarpał mu wnętrzności...*

Zanim doszło do hołdu pruskiego, król duński otwarcie głosił:

Gdyby teraz król polski zmyślał i chciał wznowić wojnę z mistrzem pruskim, nie miałby żadnych trudności: opuszczony jest [mistrz] przez wszystkich przyjaciół, nikt więcej mu nie wierzy i skończona sprawa z Prusami i z całą jego fortuną.

Skończona sprawa... Decyzja o likwidacji państwa pruskiego zapadła, jak wiadomo, w roku 1945, po zakończeniu drugiej wojny światowej. Ta „skończona sprawa” posiada ogromne znaczenie teoretyczne. Stanowi niezbity dowód, co mogą znaczyć w historii konkretne czyny polityków, osób sprawujących władzę nad innymi ludźmi.

Legat papieski na Węgrzech w nazbyt uproszczony sposób wyjaśniał, jak doszło do ułaskawienia Albrechta i hołdu pruskiego.

Król jest dobrym człowiekiem - pisał - a część rady królewskiej, w której rękach spoczywają podobne sprawy, jest dosyć przekupna i krótko mówiąc - król polski jest pod tym względem podobny do króla węgierskiego, a sprawy tego królestwa przypominają stosunki węgierskie.

Człowiekiem, który przeważył szalę na korzyść Albrechta, był Krzysztof Szydłowiecki, zdecydowany przeciwnik wojny, wymagającej pospolitego ruszenia. On i magnaci bali się tego, ponieważ było zupełnie pewne, że powołana pod broń szlachta natychmiast wysunie żądania polityczne, zaprotestuje przeciwko łamaniu praw z roku 1504, zabraniających skupiania rozmaitych godności w jednym ręku i szafowania dobrami skarbu.

Stanowy interes magnacki odegrał dużą rolę, ale nie wolno go uważać za czynnik wszystko wyjaśniający. Jan Łaski też był bardzo wielkim panem (to on gnębił Erazma Ciołka, wytykając mu mieszczańskie pochodzenie). Nieustannie układał projekty usunięcia Zakonu z Prus i aby to ułatwić, gotów był oddać Albrechtowi własną godność prymasa Polski. Umysł i charakter człowieka! - skreślcie te czynniki, a dzieje narodów staną się niezrozumiałe.

Postanowiono więc, że Albrecht, przestając być mistrzem i zakonnikiem, zachowuje władzę jako dziedziczny, świecki książę, hołdownik króla polskiego. Spadkobiercami mają być jego dzieci, również zobowiązane do hołdu i posłuszeństwa. W razie braku potomstwa dziedziczyć po Albrechcie będą dwaj jego bracia, jednakże z wykluczeniem linii Hohenzollernów rządzącej w Brandenburgii. W układzie nie było mowy o przyjęciu protestantyzmu, co w niczym nie przeszkadzało, że zmiana wyznania była czynnością zasadniczą, umożliwiającą całą kombinację. Albrecht już od dwóch lat porozumiewał się z Marcinem Lutrem, który był właściwym autorem przemiany Prus krzyżackich na państwo protestanckie i świeckie, zwane odtąd Prusami Książęcymi.

Jak się wspomniało, brandenburska linia Hohenzollernów została wykluczona od dziedziczenia po Albrechcie. Było do łatwego przewidzenia, że ród zrobi wszystko, co w jego mocy, by nie wypuścić zdobyczy z rąk. Nie istniały wtedy w Krakowie wątpliwości, że wszystkie nici intryg antypolskich zbiegają się w dłoni elektora brandenburskiego, Joachima Hohenzollerna, i że on jest głównym protektorem Albrechta. O tym wiedziano dokładnie jeszcze przed hołdem. Zygmunt I dopuścił do tego, że władzę nad Berlinem i Królewcem objęła jedna i ta sama dynastia niemieckich książąt, umiejąca rządzić i zdobywać sympatie poddanych. Taki oto czynnik zastąpił zdegenerowanych, powszechnie pogardzanych Krzyżaków. Zwykle usunięcie ich przez Polskę wszyscy normalni ludzie powitaliby z sympatią. A zwłaszcza już tak by to odczuli sami poddani Zakonu. Rzutcy, gospodarni, nadzwyczaj konsekwentni Hohenzollernowie przerobili lokalny patriotyzm pruski na niemiecki. Poszło im to od początku tym łatwiej, że luteranizm przyszedł z Niemiec i usunąwszy międzynarodową łaćnę przemawiał po niemiecku.

Niektórzy uczeni w skomplikowany sposób tłumaczą postępowanie Zygmunta i jego doradców. 16 lipca 1524 roku Polska zawarła układ

przyjaźni z Francją, wzmocniony projektami małżeństw w obu rodzinach królewskich. Było to oczywiście swoiste okrażanie cesarza Karola V (który ze swej strony pielęgnował dobre stosunki z Moskwą, przyjmował jej wysłanników aż w Hiszpanii i wyprawiał swoich na Kreml). Francja w tym czasie starała się konsekwentnie osłabiać Niemcy od wewnątrz i w tym celu popierała w Rzeszy protestantyzm, przysparzający wielkich kłopotów katolickiemu cesarzowi. Sekularyzację Prus i oddanie ich luteranizmowi należałoby więc uważać za przejaw takiej samej polityki.

Francja rozbijała wewnętrzną jedność Niemiec, ale sięgała w tym celu za Ren. Nie wolno jej posądzać, że zgodziłaby się pozwolić na zagrożenie ujęć Sekwany. Tymczasem Zygmunt I oddał niemieckiemu księciu Prusy, których najdalej na zachód wysuniętym punktem był Kwidzyn, leżący nad Wisłą. Jeśli król naprawdę naśladował obce metody, to tym gorsze wystawił sobie świadectwo. Prawdziwa polityka wyrasta z warunków określonego kraju i ma na oku jego specyficzne interesy. Jedyne sposoby dobrego załatwienia sprawy Prus polegały na wcieleniu ich do Polski. Współcześnie żyjący, zarówno swoi, jak obcy, pojmowali to jasno.

Od Grunwaldu do hołdu pruskiego upłynęło sto piętnaście lat, a wiek przeszło od pokoju melneńskiego, po którego zawarciu Litwa przestała współdziałać z Polską przeciwko Krzyżakom. W tym czasie królestwo kilkakrotnie trzymało Zakon za gardło, za każdym razem rozluźniając chwyt. Najistotniejsze przyczyny takiego stanu rzeczy polegały na tym, że monarchia jagiellońska miała za wiele zatrudnień, a dynastia nie mogła się jakoś nauczyć solidnej roboty. Litwę odciągnął od Królewca wschód, Polskę - ściślej mówiąc, jej władców - południe. Wysiłki i środki zmarnowane na imprezę Warneńczyka oraz na zupełnie zbyteczne wojny z Maciejem Korwinem wystarczyłyby aż nadto na dobiecie Krzyżaków. Polska miała materialną możliwość poradzić sobie sama, bez pomocy Litwy.

Wbrew żelaznym prawidłom logiki politycznej sprawa wlokła się w nieskończoność, aż zawsze wszak możliwe niefortunne przypadki i układy okoliczności zaczęły decydująco grać przeciwko temu, kto marnował czas i okazje. Najpierw śmierć Jana Olbrachta, a potem... niedołężny król i małoduszni doradcy u nas, wyjątkowo energiczny polityk po drugiej stronie. I jeszcze reformacja, która nagle dała pruskiej niemczyźnie nową szansę. Zważmy, że od pierwszego wystąpienia Lutera do jego porozumień z wielkim mistrzem upłynęło zaledwie pięć lat, do hołdu pruskiego niespełna osiem. Absolutnie nieprzewidziana sposobność została wyzyskana błyskawicznie.

Dla zapobieżenia jałowemu narzekaniu na charakter narodowy przypomnijmy sobie dzieje piastowskie, które obfitowały w przykłady jeszcze szybszych refleksów. Nie ma nic mistycznego w klęsce 1525 roku. Zemściły się wykroczenia przeciwko prawidłom logiki, nawet techniki politycznej, wypróbowanym od niepamiętnych czasów.

Hołd pruski nie był jedyną uroczystością odprawioną na Rynku krakowskim 10 kwietnia 1525 roku. Król pasował również wtedy na rycerza Michela Ezofowicza, młodszego brata podskarbiego Jana Abrahama. Tamten po drodze do szlachectwa przyjął prawosławie, Michel dochował wierności religii mojżeszowej. Jest to jedyny w naszej historii

wypadek uszlachcenia Żyda nie będącego chrześcijaninem. Państwo, w którym takie rzeczy były możliwe, zasługiwało na coś lepszego niż zwichnięcie losu.

Rok 1526 oglądał dwie - jakże różne! - likwidacje masy spadkowej .

10 marca zmarł Janusz III, ostatni udzielny książę Mazowsza. Brat, Stanisław, wyprzedził go o dwa lata. Obaj zostali prawdopodobnie otruci za sprawą wojewodzianki Katarzyny Radziejowskiej. Zgodnie z prawem ziemie ich miały przypaść Koronie. Zygmunt I osobiście przybył z Gdańska do Warszawy i dopilnował gładkiego załatwienia kwestii. Upłynęło jeszcze nieco lat, zanim regionalne odrębności Mazowsza dopasowały się jakoś do koronnych, ale nie wywołało to zbyt wielu zaognień. Pod względem organizacyjnym Mazowsze weszło w skład Wielkopolski, jego przedstawiciele jeździli na sejmiki generalne do Koła. Liczna, konserwatywnie nastrojona szlachta mazowiecka odegrać miała w przyszłości dużą rolę, lecz wbrew najniesłuszniej w świecie rozpowszechnionym mniemaniom wcale nie odznaczała się warcholstwem ani skłonnością do anarchii.

Polityka ogleńności wobec pobratymców przyniosła pożądane owoce. Mazowsze leżało w punkcie bardzo niebezpiecznym. Nieopatrznie traktowane, mogło przechylić się w złym kierunku.

Jak delikatne to były sprawy, niech zaświadczą fakty zaszłe tuż przed wygaśnięciem dynastii warszawskiej i zaraz potem. W 1522 roku zmarł biskup płocki Erazm Ciołek. W Rzymie panował wtedy Hadrian VI, już chociażby dlatego wart wzmianki, że był Holendrem, ostatnim (jak dotychczas) nie-Włochem na tronie papieskim (kiedy zmarł, na drzwiach domu jego lekarza umieścili Rzymianie napis: „ojcu ojczyzny”). Hadrian VI mianował biskupem płockim Jana Albrechta Hohenzollerna, brata wielkiego mistrza. Zygmunt I nie dopuścił jednak do aż takiego zaokrąglenia władzy tej rodziny. Biskupem został Rafał Leszczyński, poprzednio starosta człuchowski, człowiek świecki.

Po wygaśnięciu Piastów mazowieckich o spadek po nich gorliwie starał się u króla sam książę Albrecht. Niemieckie zabiegi o Mazowsze były uporczywe.

Druga likwidacja odnosiła się do władztwa Jagiellonów w Czechach i na Węgrzech.

Za krótko i w nazbyt już złych warunkach żył młody król Ludwik II, by można było coś rzec o jego prawdziwej osobowości. Wychowywał go Jerzy Hohenzollern, brat Albrechta. Rozwinał w uczniu zboczenie dla władcy moralnie śmiertelne, mianowicie ekshibicjonizm. Rezultaty zabiegów pedagogicznych opisał Krzysztof Szydłowiecki:

Im dalej król rośnie w latach, tym bardziej głupieje. Ma on zupełnie zdeprawowane obyczaje i u tych, co z nim żyją na dworze, nie ma najmniejszego szacunku ani poważania. Do komnat jego wchodzi każdy, kto chce: król zaś wszystkim wchodzącym pokazuje się nago. Przy stole brak wszelkiego porządku: kto chce, zasiada do jedzenia, przy czym publicznie króla wyśmiewają i żarty zeń stroją [...] Podatki wybiera się źle, a i z tego mało co dochodzi do kas królewskich, o czym lud wie doskonale i

na przyszłość nic nie da i dobrze uczyni, bo obecnie znój swój i krew jakby psom wyrzucił. Król nie chce wiedzieć, ile ma dochodu, a ile trzeba wyłożyć na zamki graniczne i obronę państwa.

Inny Hohenzollern, Jan, stale przebywał na dworze cesarza i starał się odpowiednio wpływać na jego politykę.

Niemieckie stronnictwo na Węgrzech popchnęło Ludwika II do wojny przeciwko sułtanowi Solimanowi Wspaniałemu. W ostatniej chwili Zygmunt I posłał bratankowi na pomoc półtora tysiąca kawalerii polskiej. 26 sierpnia 1526 roku Turcy roznieśli pod Mohaczem armię chrześcijańską. Ludwik Jagiellończyk żyć przestał: „sam, gdy uciekał z przegranej bitwy, od własnego konia przytłoczony utonął i zaduszony w błotnym potoku”. Zgodnie z umowami sprzed jedenastu lat na Czechy przyszli teraz Habsburgowie w osobie brata cesarskiego Ferdynanda, męża siostry Ludwika (z Węgrami poszło im trudniej, o czym za chwilę). Panowanie naszej dynastii za Karpatami skończyło się. Polska wyszła z przedsięwzięcia o wiele gorzej niż z pustymi rękami, bo z Habsburgami i Hohenzollernami na karku oraz z żałośnie długim rejestrem daremnych kosztów. Na zakończenie czekały ją jeszcze upokorzenia, gdyż Zygmunt zabiegał o tron czeski dla siebie, ale zręczniejszy Ferdynand ubiegł go i został obrany jednomyślnie, przy czym przedstawiciele Śląska wcale nie dopuszczono do elekcji.

W następnym stuleciu naród czeski okropnie zapłacił za powołanie Habsburgów na tron św. Wacława. Cena była taka, że podobieństw dostarczyły dopiero rządy hitlerowców na wschodzie Europy.

Na krótko przed Mohaczem zamajaczyła i natychmiast została zmarnowana okazja odzyskania Śląska dla Polski. Szczególna rzecz: orędowniczką polskich interesów narodowych była wtedy Bona, rodowita Włoszka, od kilku lat zaledwie zamieszkała na Wawelu. Byłoby pewnie przesadą widzieć w tym skutek naszych moralnych podbojów. To po prostu dała o sobie znać dobra szkoła polityczna.

W 1522 roku Bona naciskała na małżonka, by uzyskał od Ludwika II nadanie księstwa głogowskiego dwuletniemu Zygmuntovi Augustowi. Kombinacja była zupełnie realna, opierała się na precedensach (wszak Jan Olbracht i sam Zygmunt rządili już przedtem w Głogowie) i wyraźnych sympatiach stronnictwa narodowego w Czechach. Odpowiedź króla była czymś naprawdę wyjątkowym:

Niech Wasza Królewska Mość rozważy, jak by to było godnym i uczciwym, jaką by to nam zjednało opinię w tamtych krajach, jeślibyśmy naszego młodego bratanka, oddanego naszej opiece, pozbawionego prawie wszystkich dóbr swoich, a teraz znajdującego się w największych trudnościach, zamiast udzielić mu pomocy dla odzyskania dóbr, jeszcze sami mieli o coś prosić z tego, z czego już niewiele pozostało, dla malutkiego synka naszego, nie potrzebującego nic takiego.

Jak rozumieć tę nieprawdopodobną wypowiedź? Czy rzeczywiście u Zygmunta I względy etyczne górowały nad politycznymi? Przytoczone

słowa zdradzają raczej słabego człowieka, który przede wszystkim chce mieć spokój i szuka pięknych pozorów. Moralność nakazywałaby troskę o dobro Polski, kraju, który wybrał Zygmunta królem i powierzył mu swój los. Obserwacja faktów pouczała, że Ludwik trwoni dobra na prawo i lewo, Habsburgowie sięgają po całe jego dziedzictwo, a Hohenzollernowie zaczynają zdobywać na Śląsku mocne pozycje. Jeden z nich o mały włos nie został biskupem wrocławskim, margrabia Jerzy pozawierał liczne umowy spadkowe i był już na Śląsku potęgą.

Władysław Pocięcha pisze:

Zygmunt I jeszcze jako zarządca Śląska nie okazywał zrozumienia dla interesów narodowych polskich na Śląsku i teraz z powodów etycznych wyrzekł się zespolenia go ściśle z Polską.

Zdaje się jednak, że oprócz charakteru króla decydującą rolę odegrała nie etyka, lecz fałszywa doktryna. Jagiellonowie uprawiali politykę dynastyczną, której wystarczało, że Śląsk podlega jednemu z członków rodziny. Pozyskanie przez nią tronów Czech i Węgier było - wbrew najbardziej jaskrawym pozorom - klęską polityki polskiej.

U schyłku 1526 roku, zaraz po wyborze Ferdynanda Habsburga na króla Czech, pojawił się nowy pomysł, którego autorem mogła być tylko Bona. Chodziło - ni mniej, ni więcej - jak o zamianę jej dóbr we Włoszech na Śląsk dla Polski. I tym razem kombinacja posiadała cechy realizmu, bo Italia żywo obchodziła Habsburgów, a oprócz tego Zygmunt I dziedziczył prawa spadkowe do korony czeskiej, wprowadzicie czysto teoretyczne, ale nadające się do sprzedaży (przypomnijmy sobie, że w XIV wieku Jan Luksemburczyk wymusił na Kazimierzu Wielkim ustępstwa na Śląsku właśnie za cenę zrzeczenia się równie teoretycznych „praw” do korony polskiej). Kombinacja była dobra, wymagała jednak energicznego poparcia ze strony samego króla, który i tę okazję zmarnował.

Bona też była zwolenniczką polityki dynastycznej, ale jej plany nie wisały w powietrzu, miały zarówno głowę, jak nogi. Włoszka wytrwale zmierzała do powiększenia władzy królewskiej, utrzymania dziedzicznych praw Jagiellonów do tronu litewskiego i polskiego oraz do odbudowy samego fundamentu wszelkiej rzeczywistej polityki - skarbu monarszego. Osobisty majątek rodziny królewskiej miał stanowić punkt oparcia dla dalszych poczynań.

Warto zauważyć, że pod tym względem dążenia Bony żywo przypominały to, co kiedyś istniało już w Polsce, i to nawet w dobie rozbitcia dzielnicowego. Taki Mieszko Stary używał wszelkich godziwych i całkiem niegodziwych sposobów, byle utrzymać stan rzeczy, który zapewnił Piastom historyczną karierę - dziedziczność władzy oraz materialną, majątkową przewagę panującego nad innymi czynnikami w państwie. Potomkini rodu Sforzów i adeptka najlepszej kultury europejskiej nie przyniosła na Wawel rzeczy nigdy u nas nie znanych. Nawiązywała do tradycji dawnych, od końca XIV wieku w żaloszny sposób zaniedbanych, tych, które zupełnie samorodnie wykiełkowały kiedyś nad Wartą. Były to też pierwszorzędne tradycje europejskie.

Grono świetnych humanistów, nadające ton życiu dworskiemu, w spokoju ducha przyjmowało niepowodzenia polityczne. Jan Zambocki pisał do Dantyszka: „Używamy naszych rozkoszy krakowskich [...] niech zginie, kto troszczy się o przyszłość.” Biskup Andrzej Krzycki beznamiętnie i wcale, ale to wcale nie bez racji dokonywał bilansu rządów jagiellońskich za Karpatami:

Co za pożytek mieli nasi przodkowie z tego, że niegdyś Ludwik i Władysław byli zarazem królami czeskimi i węgierskimi, i jaką im samym przyniosło to korzyść, dostatecznie świadczy o tym historia, gdyż oprócz innych ujemnych skutków, których było wiele, z tego źródła wypłynęły zastawy dóbr królewskich i ta nadmierna wolność, która nas gubi.

Jednak nie wszystkich stać było na olimpijski spokój, nie każdy hołdował beztrósce. Dowodzi tego chociażby przytoczony już wiersz Stanisława Hozjusza. Nazywać króla szaleńcem... takie rzeczy nawet w czterysta lat później w liberalnym XIX wieku zdarzały się raczej rzadko. Jeszcze dobitniej o pasjach i namiętnościach świadczy zdarzenie, które się przytrafiło na pewien czas przed hołdem pruskim i bitwą mohacką.

5 maja 1523 roku wieczorem, kiedy Zygmunt I stojąc przy oknie Kurzej Stopki przyglądał się miastu, wystrzelona z rusznicy kula strzaskała szybę. Sprawcy nigdy nie wyśledzono. Być może, najał go czy też nasłał ktoś z zagranicy, lecz wolno i inaczej przypuszczać.

Niedługo przedtem zebrany na Wawelu sejm ostro spierał się z królem, wołał o egzekucję praw i nie chciał dać pieniędzy rządowi, opanowanemu przez magnatów.

Godne pilnego zastanowienia, w jakiej postaci przeszedł do historii pewien wrześnieowy wypadek z 1527 roku. Potomność zapamiętała tylko to, co wtedy uczynił sławny Stańczyk, najzupełniej zapomniała o katastrofie, jaka spotkała dynastię.

Król wyprawił łowy w Niepołomicach, gdzie - jak opowiada Marcin Bielski - „miał niedźwiedzia nad obyczaj wielkiego, którego z Litwy przywieziono w skrzyni”. Wypuszczony zwierz „z przodku był niemężny, ale potem, gdy się rozgniewał, oślep biegał na ludzi” i po drodze przewrócił wraz z koniem Stańczyka, który umykał, ile sił w nogach. Król wyszydzał go później: „Począłeś sobie nie jako rycerz, ale jako błazen, żeś przed niedźwiedziem uciekał.” Na to Stańczyk: „Większy to błazen, co mając niedźwiedzia w skrzyni, puszcza go na swoją szkodę.”

Kto wie, o czym myślał rozumny wesolek? Cała sprawa odbyła się zaledwie w dwa lata po hołdzie pruskim.

Uciekała wtedy i ciężarna królowa. Spadła z konia i poroniła dziecko płci męskiej, które oddychało tylko tyle czasu, ile było potrzeba na chrzest i nadanie imienia Olbrachta. Zostało pochowane tego samego dnia w Niepołomicach, w miejscu, którego ludowa nazwa „Poszynie” powstała ze zrosłych i zniekształconych słów: po synie. Równie dobrze mogłoby być: po dynastii. Ale nikt nie mógł przewidzieć, że siedmioletni naówczas Zygmunt August okaże się ostatnim z rodu.

Już od pięciu lat posiadał on wywalczone przez matkę zaręczenie, iż po

śmierci ojca zostanie uznany wielkim księciem Litwy. Osiągnąwszy pierwszy szczebel, natychmiast zaczęła Bona wspinać się na drugi. Zabiegała o nadanie tej godności synowi jeszcze za życia Zygmunta I. Planom jej przeciwstawiał się Konstanty Ostrogski, który bał się wszystkiego, co mogło osłabić związek Litwy z Koroną, i na kolanach błagał króla o oględność. Stary obrońca prawosławia i Rusi był żołnierzem. Dokładnie wiedział, czym groziłaby Wielkiemu Księstwu utrata wojskowej pomocy Polski. Panowie litewscy w ścisłym tego słowa znaczeniu, jak na przykład Olbracht Gasztołd, zwalczali Ostrogskiego, wypominali mu rozmaite niepowodzenia orężne i zwali pogardliwie „ruskim książęciem”, co po łacinie brzmiało: *ruthenus ducaculus*. Za to polski kronikarz miał wkrótce napisać o kniaziu Konstantym: „drugi Annibal, Pyrrus i Scipio ruski i litewski [...] mąż świętej pamięci i trudno wysłowionej dzielności”.

W październiku 1529 roku Zygmunt August został uznany i ogłoszony wielkim księciem Litwy, a tym samym wszedł na przetartą już przez poprzedników drogę do tronu polskiego. Przebył ją jednak w sposób dotychczas nie praktykowany. 18 grudnia sejm piotrkowski obrał go królem... za życia i rządów ojca. 20 lutego 1530 roku odbyła się na Wawelu koronacja. Przez dalszych osiemnaście lat miała więc Polska posiadać dwóch monarchów i od tej chwili królowi-ojcu zaczęto nadawać przydomek Starego.

Dziedziczność tronu we Francji wynikała początkowo tylko z praktyki koronowania syna za życia rodzica i dopiero z czasem stała się zasadą prawną. Sposób zastosowany w Polsce w roku 1529 i 1530 byłby więc może dobry, gdyby sprawę lepiej przygotowano. Zaliczała się ona do tym bardziej delikatnych, że Korona zdawała sobie sprawę, iż Litwa już od pokoleń stwarza fakty dokonane i właściwie rozstrzyga, kto ma zasiąść na Wawelu. Zaskoczona inicjatywą dworu szlachta polska zgodziła się więc na jego nieoczekiwany wniosek, ale i zabezpieczyła przed podobnymi niespodziankami. Sejm koronacyjny uchwalił, że na przyszłość króla obierać się będzie nie inaczej niż po śmierci poprzednika, i to na specjalnym zjeździe, „ażeby każdy, kto chce, mógł nań przybyć”. W ten sposób rok 1530 niejako zapowiedział następny okres naszych dziejów, który rozpoczął się zaraz po śmierci Zygmunta Augusta. Nosi on nazwę „epoki królów obieralnych” i cały aż huczy od elekcji *viritim*, czyli powszechnych zgromadzeń szlachty całego kraju, a nie tylko jej posłów.

Miał zatem rację sędziwy prymas, Jan Łaski, którego wcale nie uradował sukces dworu, osiągnięty w drodze naginania prawa do doraźnych celów politycznych. Sejm, który uznał Zygmunta Augusta królem, wyraźnie przekroczył swe kompetencje, gdyż elekcja wymagała wcześniejszego zapowiedzenia i osobnego zjazdu. Prymas nie taił niezadowolenia, ale koronacji na Wawelu dopełnił osobiście. Inna rzecz krytykować zapadłą uchwałę, inna lojalnie ją wykonać. Przywódca ruchu zmierzającego do „egzekucji praw” pozostał wierny własnemu hasłu, złożył świadectwo świetnej kultury politycznej.

Obrzęd koronacyjny był jednym z ostatnich czynów Jana Łaskiego, który zmarł wkrótce potem, w roku 1531. Można go śmiało zaliczyć do najwybitniejszych mężów stanu, jakich Polska kiedykolwiek miała.

Nieszczęście polegało na tym, że człowiek tak znakomity, polityk, który przed ćwierćwieczem wyciągnął króla Aleksandra z beznadziejnego prawie położenia, został zepchnięty do opozycji.

3

Opozycja w Polsce ówczesnej to zjawisko zasługujące na pilną uwagę, a występujące nie tylko w dziedzinie polityki. W Koronie bez specjalnego trudu napotkać można było „człowieka zbuntowanego” przeciwko wszystkim dawniejszym poglądom i porządkom. Objawy przewrotu, tak wyraźne już w początkach stulecia, wzmogły się i objęły nowe dziedziny.

W roku 1514 Florian Ungler wydrukował w Krakowie pierwszą książkę w języku polskim, modlitewnik zatytułowany *Raj duszny*. Tłumaczem dzieła, rozpowszechnionego wtedy w całej Europie, był Biernat z Lublina. To on zatem, a nie Mikołaj Rej, wprowadził naszą mowę do literatury drukowanej.

Sprawy buntu polszczyzny przeciwko łacinie nie należy upraszczać, gdyż toczyły się wówczas nie jedna, lecz dwie rewolucje językowe. Wykształceni humaniści wszystkich krajów zachodnich z Polską włącznie solidarnie zwalczali „kuchenną łacinę” teologów średniowiecznych, sami zaś z największym powodzeniem i korzyścią dla kultury nadal używali mowy Rzymian, ale już wedle klasycznych prawideł Cycerona. Posługiwanie się łaciną nie dowodziło więc zacofania. Istota rzeczy polegała na tym, co i jak człowiek głosi, a nie w jakim języku. Zawile te problemy doskonale ostatnio wyjaśnił Julian Krzyżanowski i nie one stanowią główny przedmiot zainteresowania niniejszej książki.

Biernat z Lublina, autor *Żywota Ezopa Fryga* i *Dialogu Palinura z Charonem*, to mieszczanin, lekarz z zawodu i wielki radykał. Dobrze nasiąknięty tradycjami husytyzmu, nienawidził możnych panów, księży, a zwłaszcza zakonników, „wilków szarych i czarnych”. Wzdychał do... szubienicy. „Małe wieszają wielcy złodzieje, a gdyby sprawnie wiesili, mało by panów ostawili” - pisał. Urodzony około roku 1465, zaczął tworzyć na długo przed wystąpieniem Lutera w Niemczech. Jeśli reformacja szybko przerzuciła się do Polski, w żaden sposób nie można uważać tego faktu za import w czystej postaci. Ruch umysłowy w skali całego kontynentu musiał ogarnąć i nasz kraj, zupełnie już przygotowany do czynnego udziału w przewrocie. Rozważania poprzednich rozdziałów, przytoczone w nich cierpkie uwagi legatów papieskich dowodzą, jak bardzo burzyła się Polska już w stuleciu XV. Doprawdy, nic równie fałszywego niż wyobrażać sobie, że wszyscy średniowieczni nawet Polacy wzorem Maćka z Bogdańca potulnie słuchali pouczeń opata Janka z Tulczy. Pokolenie synów Zbyszka i Jagienki to przecież uczestnicy konfederacji Spytka z Melsztyna! W wiek później, za Zygmunta Starego, sejmik wielkopolski uchwalił:

Prosimy, aby nam księża nie bronili imprymować po polsku historii, kronik, praw naszych i też innych rzeczy, a zwłaszcza o Biblię. Albowiem każą sobie bić rzeczy rozmaite, a czemu też nam nie mają bić naszym

językiem. Tu też wielka nam się widzi krzywda od księży. Albowiem każdy naród ma swym językiem pisma, a nam księża każą głupimi być.

Oddziaływały wtedy na nas Włochy, a także i Niemcy. W niczym absolutnie nie umniejszając znaczenia wpływów kulturalnych zagranicy, trzeba pilnie przypatrywać się i temu, co dojrzewało w samej Polsce. Trwał tu ożywczy ferment, ale i to nie wyczerpywało jeszcze sprawy.

W 1508 roku odwiedził Warmię Wawrzyniec Raabe, zwany też Corvinus lub Korwin, wychowanek Akademii Krakowskiej, pisarz miejski z Wrocławia, dobry humanista śląski. Na pożegnanie ułożył wiersz łaciński, w którym wspomniał, że przemieszkuje nad Łyną

uczony mąż [...] który szybki ruch księżycy i łudzące ruchy słońca, jako też ruchy gwiazd błędnych, zdumiewające dzieło Stwórcy umie objaśniać na godnych podziwu zasadach...

Mowa naturalnie o Mikołaju Koperniku, który po zakończeniu studiów przebywał w Lidzbarku Warmińskim od roku 1504 do 1512, jako sekretarz swego wuja, biskupa Łukasza Watzelrode. Wtedy właśnie napisał po łacinie dzieło (tzw. *Commentariolus*) znane z dwu kopii przechowywanych w Wiedniu i Sztokholmie i aż do roku 1878 zupełnie zapomniane. Tłumacz polski, L. A. Birkenmajer, nazwał je zwięźle *Zarysem nowego mechanizmu świata*. Czerwone, do dzisiaj świetnie zachowane mury warowni biskupiej w Lidzbarku mieściły więc pracownię, w której dojrzewała jedna z największych myśli ludzkości, a ze wszystkich na pewno najśmielsza.

Mikołaj Kopernik, urodzony w Toruniu w roku 1473, studiował kolejno w Krakowie, Bolonii, Padwie i Ferrarze. Sprzeczność w powszechnie dawniej uznawanym systemie geocentrycznym Ptolemeusza dostrzegł nie później niż w roku 1495. Było to w Krakowie. Pomysł nowej, heliocentrycznej teorii przyszedł pewnie w Rzymie, w roku 1500 czy 1501. Praca nad nią odbywała się już znowu w kraju, w Lidzbarku Warmińskim, a zwłaszcza we Fromborku. Losy astronoma i jego dzieła najlepiej świadczą, w jaki sposób Polska ówczesna współżyła z kulturą Europy.

Kopernik pisał wyłącznie po łacinie, co do reszty grzebie potoczne mniemanie, że zwolennicy tego języka musieli być koniecznie wstecznikami. Poglądów swych popularyzować nie lubił, zwierzał się tylko gronu najbliższych przyjaciół, osobom stojącym wysoko pod względem umysłowym (życiowe, codzienne dobro ogółu wcale nie było mu obojętne: wszechstronnie utalentowany, zajmował się nie tylko reformą pieniądza, lecz również kierował budową wodociągów we Fromborku i podobno w Kwidzynie). Głuche wieści o nowej teorii rozchodziły się jednak po Europie jeszcze przed wydaniem książki, wszędzie budząc takie samo echo. W Elblągu jakiś trefniś wyśmiewał je podczas jarmarku, Norymberga kazała wybić specjalną monetę, wyszydającą uczonego, a Luter grzmiał: „Ten błazen chce wywrócić całą sztukę astronomii!”

Mikołaj Kopernik osiągnął sam szczyt umysłowych możliwości człowieka, ale jako pionier nauki nowożytnej wcale nie był w Polsce odosobniony. W roku 1517 rektor uniwersytetu krakowskiego Maciej z

Miechowa - znany przede wszystkim jako historyk, lecz będący również lekarzem i astrologiem - wydał kapitalne dzieło z zakresu geografii. Jego *Traktat o dwóch Sarmacjach, azjatyckiej i europejskiej* miał w XVI stuleciu jedenaście wydań, został przełożony na język holenderski, niemiecki, włoski, no i na polski (w roku 1535), bo oryginał był łaciński. Pierwszy przyniósł światu naukowo ugruntowaną wiedzę o geografii i etnografii Europy wschodniej. Miechowita wysunął między innymi twierdzenie, że wielkie rzeki wcale niekoniecznie muszą wypływać z wielkich gór. Nam teza ta wydaje się oczywistością, mamy bowiem na usługi mapy, dokładnie wypełnione kolorami. Podówczas jednak karty geograficzne, jeśli nie pstrzyły się od białych plam, to tylko dlatego, że miejsca nie zbadane wypełniała fikcja, twór fantazji lub schematycznych, żadnej rzeczywistości nie odpowiadających mniemań. Patrząc na ujście takiej Wołgi, człowiek ówczesny był święcie przekonany, że źródła jej muszą bić w jakichś wschodnich Alpach, zwanych „Górami Hiperborejskimi i Ryfejskimi”. Nikt nie wątpił dotychczas o ich istnieniu. Twierdzenie Miechowity było rewelacją, wywołało niesłychane zainteresowanie na Zachodzie, cesarz Maksymilian kazał swym dyplomatom wysyłanym do Moskwy sprawdzać jego prawdziwość. Bo też otwierało zupełnie nowe horyzonty, sprzyjało pożytecznemu pogładowi, że wykoncypowany dawniej obraz świata jest nieprawdziwy, a ostatnie słowo ma doświadczenie. W epoce istnego kultu myśli starożytnej pouczało ludzi, że i najwięksi mędrcy antyczni mogli się mylić.

Polska nadal przyjmowała z Zachodu rozmaite nowiny, płacąc mu już niekiedy monetą co najmniej równą. Ulryk von Hutten sławił życie i odwagę przebudzonych umysłów, była już o tym mowa. Niewielu jednak ludzi wie, że słynny humanista popadł w ten entuzjazm przekonawszy się o słuszności wywodów Miechowity, a więc pod ich wpływem (znamienny, lecz zapomniany ten fakt przypomniał nam ostatnio profesor Bolesław Olszewicz w studium *o Geografii polskiej w okresie Odrodzenia*).

Niezbyt chętny nowinom był, niestety, Uniwersytet Krakowski i wskutek tego zaczął się jego zmierzch, który uczeni datują mniej więcej od roku 1525. Profesorowie Akademii trwali w świecie zainteresowań dawnych, średniowiecznych, gdy ludzie wymagali wiedzy nowej, pomocnej przy reformowaniu życia. Toteż młodzi Polacy udawali się na Zachód w poszukiwaniu nauki, Kraków uważali za wstęp do niej. Na studiach krajowych poprzestawali tacy, których nie stać było na podróże, co zrodziło później u szlachty snobistyczne lekceważenie dla plebejskiej uczelni. Na dobitkę król Zygmunt August nie potraktował poważnie głosu sejmów, domagających się poprawy stosunków w uniwersytecie. W XV stuleciu Akademia działała wiele dobrego dla ugruntowania na Litwie chrześcijaństwa, ale szlachtę tamtejszą zdobył dla zachodniej kultury dopiero humanizm.

Kraj nie szedł w ślady swojej Akademii i przyjmował nowiny najświeższe, a nawet burzycielskie. Widać to dokładnie z dat i faktów. Zerwanie Marcina Lutera z Kościołem nastąpiło w roku 1519, a już w następnym ukazały się w Polsce dwa dekryty królewskie zabraniające sprowadzania jego dzieł. Nieposłusznym groziło wygnanie i konfiskata

mienia. Dalsze zakazy sypały się jeden po drugim, zapowiadały nawet karę stosu (nie były to czcze pogroźki, skoro w roku 1539 spalono w Krakowie siedemdziesięcioletnią mieszczańkę Katarzynę Melcherową Weiglową, oskarżoną o przyjęcie judaizmu). Wprowadzono cenzurę wszelkich druków, ustanowiono w stolicy komisję, której przysługiwało prawo rewidowania mieszkań prywatnych, powołano po diecezjach inkwizytorów.

Dekrety nie mogły powstrzymać tego, co występowało z siłą żywiołu. Około roku 1520 rozpoczął działalność profesor uniwersytetu, Jakub z Iłży, wyraziciel radykalnych ludowych tendencji reformacyjnych. W 1525 roku na dobre zbuntował się Gdańsk. Początkowo pospólstwo burzyło się tylko przeciwko sądom biskupim oraz żądało od magistratu sprawozdań z gospodarki groszem publicznym. Wkrótce jednak zaczęło wołać o skasowanie mszy, postów i śpiewów kościelnych oraz o wolność rybołówstwa, połowu bursztynu i głoszenia kazań przez świeckich. Postulaty, a zwłaszcza ich równorzędność, mówią same za siebie. 24 stycznia 1525 roku tłum siłą opanował miasto. Rozpędzono zakonników i zaprowadzono nowy, demokratyczny ustrój. Na czoło wysunął się średni, umiarkowany odłam mieszczaństwa. Pojechały delegacje do Niemiec, między innymi do samego Lutra, który daleki był od radykalizmu społecznego. Miały one sprowadzić nad Motławę nauczycieli nowego wyznania. Inni wysłannicy ruszyli do Krakowa, do samego Zygmunta I, który od razu zajął wrogie stanowisko wobec wypadków.

1 kwietnia 1526 roku król na czele kilku tysięcy wojska wkroczył do Gdańska, budząc w mieście blady strach. Rozprawa była surowa, nawet okrutna. Czternastu przywódców ścięto publicznie przed Dworem Artusa, przywrócono dawne władze, księży i zakonników. Nieodłączny zazwyczaj monarcha tym razem działał bardzo energicznie. Nie poszedł jednak za radą prymasa Łaskiego, który oczywiście namawiał do stłumienia herezji, lecz jednocześnie zalecał skorzystać z okazji i lepiej połączyć miasto z Koroną. Można śmiało twierdzić, że działania Zygmunta zaszkodziły polskości Gdańska. Przywróciły przecież władzę patrycjatowi, który był czysto niemiecki, gdy tymczasem niższe warstwy ludności składały się z osób rozmaitej narodowości, jak zwykle w mieście portowym. Polaków nie było na gdańskich szczytach, za to wcale nie brakowało ich na dole. Popieranie patrycjatu było postępowaniem pod każdym względem szkodliwym, bo on właśnie uprawiał separatyzm w stosunku do reszty państwa, dążył do osłabienia władzy króla polskiego nad ujściem Wisły.

Dzieje rewolty gdańskiej źle wróżyły o ogólnym politycznym wyniku ruchu reformacyjnego w Polsce. Władza centralna zdecydowanie wystąpiła w obronie określonego wyznania, sama nic nie zyskując.

Luteranizm dostarczył Prusom krzyżackim oraz Hohenzollernom szansy zbawiennej dla nich, a zgubnej dla Polski. To prawda, lecz nie cała. Polska także mogła wyzyskać reformację, i to na rozmaite sposoby. Nikt nie ma prawa wysnuwać z tego twierdzenia wniosku, że tylko zmiana wiary potrafiłaby nas uratować. Nie ulega natomiast wątpliwości, że należało działać, korzystać z okazji.

Henryk VIII zaczął jako żarliwy i krwawy obrońca katolicyzmu, skończył jako założyciel Kościoła anglikańskiego. Zachwycać się tym

rzeźnikiem nie ma powodu, ale Wielka Brytania dobrze wyszła na jego rządach. Henryk IV - początkowo protestant - zmienił wyznanie, motywując to słynnymi słowami: „Paryż wart mszy.” Zastał Francję pogrążoną w nieopisanej anarchii, odumarł uspokojoną, kwitnącą, u szczytu potęgi.

Można było podówczas przyjąć luteranizm, kalwinizm, założyć kościół narodowy lub pozostać ortodoksyjnym katolikiem - na każdej z tych dróg osiągając konkretne cele polityczne, przede wszystkim wzmocnienie samej władzy państwowej i skarbu. Najgorsze rozwiązanie od razu zarysowało się właśnie w Polsce, i to w newralgicznym punkcie, nad Bałtykiem. Zgnieść u siebie ten sam ruch, na którym Albrecht Hohenzollern dopiero co zrobił w Królewcu karierę przeciwko nam, samemu nic nie zyskać! Niestety, ta metoda stała się u nas w praktyce obowiązująca i ostatecznie przemogła.

W kraju istniały - i to w obfitości - elementy potrzebne do prowadzenia polityki odnowicielskiej. Od dawna już szlachta wyznawała program w zasadzie przychylny wzmocnieniu tronu (byłe przyjaznego ziemiaństwu). Domagała się między innymi pociągnięcia kleru do świadczeń na rzecz państwa. Skorzystajmy teraz z dociekań Kazimierza Lepszego i przytoczmy jego słowa o majątkach kościelnych:

Biskupstwa katolickie skupiały w swych rękach olbrzymie dobra. W diecezji krakowskiej np. żaden magnat nie dorównywał biskupowi krakowskiemu, który posiadał około 240 wsi, podczas gdy dobra pojedynczych magnatów na ogół nie przekraczały 30 wsi. Bardzo znaczna była na terenie Małopolski również wielka własność klasztorna. Klasztor bożogrobców w Miechowie posiadał 42 wsie i 1 miasto, benedyktynek u Staniątkach 19 wsi, cystersów w Koprzywnicy 29 wsi i 1 miasto, benedyktynów w Tyńcu 44 wsie i 5 miast itd. W Wielkopolsce, gdzie przeważała średnia własność, arcybiskup gnieźnieński w 1512 roku miał 292 wsi osiadłych, 5 nieosiadłych, 6 części wsi i 13 miast. Wielkie dobra posiadali też biskupi wrocławski, poznański, plocki, a zwłaszcza warmiński. Mimo konstytucji z lat 1510 i 1519, zakazujących przekazywania na rzecz Kościoła dóbr nieruchomości, dobra kościelne powiększały się stale przez darowizny i zakupy.

Zważmy, że wszystko to płaciło minimalne podatki! Właściwie uiszczali je chłopci, po dwa grosze z łanu w majątkach biskupich i po cztery w klasztornych. Do Rzymu szły natomiast duże sumy z najrozmaitszych tytułów. Taki stan rzeczy wyjaśni, dlaczego słabe nawet czambuły tatarskie potrafiły przekraczać Wisłę.

Jak wiemy, w kasie państwowej znajdowało się w roku 1509 złotych sześćdziesiąt i jeden. Wiemy również, że swojego czasu Filip Piękny francuski, nie przestając być katolikiem, zagarnął na rzecz skarbu dobra templariuszy. Metody, którymi to osiągnął, nie zasługują na pochwałę, ale przecież nasz Jan Olbracht tak wymanewrował bez żadnych okrucieństw, że pieniądze przeznaczone dla Rzymu na jubileusz posłużyły polskiemu celom wojennym.

Szlachta koso patrzyła nie tylko na majątki kleru. Dolegało jej także

sądownictwo duchowne i dyktatorskie uroszczenia w dziedzinie myśli, a ówczesna hierarchia kościelna nie mogła wzbudzać nadmiernego szacunku. Rafał Leszczyński, otrzymawszy wiadomość o mianowaniu go biskupem plockim, „obyczajem swym zasiadł między dworzanami i kilku klientkami Wenery, gratulującymi mu i pijącymi”, o czym wiemy z listu innego infułata. Nadchodziły czasy biskupa Andrzeja Zebrzydowskiego, który miał mawiać: „Wierz sobie i w kozła, byleś dziesięcinę płacił.”

Wszyscy o takich rzeczach wiedzieli, a Polska XVI wieku to kraj pełen fermentu i zbawiennych napięć społecznych, zamożny, gotów przyjąć każdą nowość lub sam ją stworzyć. Nie było w tym kraju martwoty ani przewagi tępego konserwatyzmu. Konstytucja „Nic nowego” oznaczała w praktyce: nic nowego po tyrańsku i dyktatorsku, bez zgody uprawnionego ogółu. Już nie sejm, ale sejmik ziemski wołał o taki przewrót, jak złamanie monopolu łaciny.

Nie potrzebujemy zresztą ograniczać się do spraw samej szlachty, chłopów i mieszczan dotychczasowego typu. W ogóle tradycyjny podział stanowy już nie wystarczał dla charakterystyki Polski Złotego Wieku. Pojawiały się w niej nowe, zupełnie poprzednio nie znane zjawiska.

Dobrze rozwijające się górnictwo nie mogło poprzestać na dawnym prawie zwyczajowym. Nowe okoliczności wymagały jego kodyfikacji.

Na polach wsi Tarnowice (tam gdzie dzisiaj są Tarnowskie Góry, miasto założone w roku 1526) odkryto kruszec. Miał tego dokonać chłop miejscowy, półlegendarny Rybka. W roku 1528 Jan III Dobry, dziedzic Opola, Raciborza i władca ziemi bytomskiej, wydał pierwszą w naszych dziejach ustawę górnictw - *Ordunek gorny*. Opierała się ona na prastarym polskim prawie zwyczajowym (co wyraźnie stwierdza niemiecka kopia z XVI wieku), lecz zawierała również elementy frankońskie i saskie. Postarał się o to znany nam już Jerzy Hohenzollern, który nabył wtedy księstwo karniowskie i czyhał na spadek po bezdzietnym Janie.

Tarnowskie Góry leżały nad samą granicą polską, po stronie zewnętrznej. Data założenia miasta i wydania *Ordunku* to czasy bitwy pod Mohaczem, przejścia Śląska we władanie Habsburgów i projektów Bony, mających na celu odzyskanie tej dzielnicy. Klamka wcale jeszcze nie zapadła, okazji nie brakowało i znacznie później...

Jan III Dobry odziedziczył Opole po bracie, Mikołaju II, który w roku 1497, za sprawą biskupa Jana Rotha, został stracony, a raczej przy pomocy sądu zamordowany w Nysie. Dwaj ostatni Piastowie opolscy nie umieli po niemiecku.

Jan Dobry zmarł 23 marca 1532 roku. Jego piękny nagrobek można oglądać w kościele Św. Krzyża w Opolu.

Ordunek aż do XVIII wieku stanowił wzór prawa górnictwa na Śląsku. W roku 1928 Józef Piernikarczyk przedrukował tekst. Oto urywek „Dziesiątego Artikułu”:

Wody maiąm być bez Szkody precz wywiedzione, A żadne Płoczki między Gorami nie maiąm być dopuszczone. Gdzie Wodę ciągnom, aby iąm precz odwiedziono, aby inszym Gorom na Szkodę nie była...

Wynika z tego jasno, że w szesnastowiecznej polszczyźnie „gora” znaczyło to samo co dziś „szyb”. Nazwa miasta Tarnowskie Góry stała się zrozumiała.

„Jedenasty Artikuł” stanowił: „Wiele Godzin Robotnicy w Szychtą robić mająm.” Dowiadujemy się, że:

Robotnik ma 12 godzin za Szychtę robić, A ieden drugiego lozować, a nie wyieżdżać aż zazwonią, a który Robotnik w Poniedziałek ziedzie, Sobotniām Szychtę całą ma mieć, A który w puł tego Dnia ziedzie, w Sobotę tylko puł Szychty ma mieć albo mu zrażono być ma...

Warunków pracy dotyczy również artykuł 63:

Gdyż w Roku Świąt jest wiele, A u gor koszt a nakład wielki, musi tedy y we Świąto robiono być, też y na Gorach, gdyż wody wielkie, tedy tesz y tam może w Świąto robiono być.

Szczególnie interesująco wygląda artykuł 58, który powiada, że co sobota „wszyscy Szafarze, ktorzy w swey Mocy Robotniki mają, od każdego dwa Halerze wziąć mająm”:

Ci wszyscy Przednicy od Robotnikow przy Płacy po dwu halerzach brać mają, a do zamknioney Skrzinki albo Pokładnice do Żupnika włożyć, od ktorey on y Rada po kluczu mieć mają. A te Pieniądze mają być dla ubogich niemocznych Pachółkow albo na rzeczy pospolite dobre nałożyć, a każdy Quartal albo gdy czas przyidzie naszemu Żupnikowi a Radzie z tego Poczet czynić.

Przepis daleki od ideału, lecz szczerzy przynajmniej. Sprawa jasno postawiona: uprzywilejowani - „przednicy” - sami nic nie płacą, za to dysponują zebranymi pieniędzmi. Ale na określony cel! Artykuł ten mówi przecież o pierwocinach opieki społecznej.

Spółka Bracka, twierdzi Józef Piernikarczyk, powstała w Tarnowskich Górach w roku 1528 i istniała przez lat dwieście trzydzieści. Lecznice dla górników założono w pierwszej połowie XVI wieku.

Ordunek kończy się tak:

Książę Porucza Aby tak nad tymi Artikuły Ręka trzimana była, A gdzieby Urzędnicy tak nieczynieli srogiego karania od nas oczekiwać mają. Actum na Opolu w Strzodę po Świątym Marcinie. Anno 1528.

W hutnictwie zaczęło się od udoskonalień technicznych, które umożliwiły powstawanie tak zwanych „kuźnic”, czyli zakładów jednoczących wszystkie hutnicze, walcownicze i warsztatowe czynności. Taka fabryka nie mogła się lokować w mieście, gdyż korzyść kazała budować tam, gdzie była woda, ruda i las na opał. Nie pasowała również do staroświeckich porządków cechowych. Założyć ją mógł tylko ten, kto rozporządzał kapitałem płynnym.

Zjawiają się więc przedsiębiorcy, nie posiadający ziemi na własność i rekrutujący robotników na zasadzie wolnego najmu. Załoga kuźnicy nie podlegała żadnym obciążeniom pańszczyźnianym ani sądownictwu dziedzica, który za odpowiednią opłatą dał przedsiębiorcy koncesję. W dzisiejszej Kielecczyźnie, czyli w Staropolskim Okręgu Przemysłowym, wyrosło w XVI wieku około pięćdziesięciu osiedli fabrycznych, zaludnionych przez wolnych robotników. Aż do połowy następnego stulecia okrąg ów górował nad Śląskiem poziomem uprzemysłowienia. W całej zaś Polsce powstało około dwustu kuźnic.

Na zachodzie Europy te same zjawiska występowały o wiele potężniej, ale pod żadnym pozorem nie należy lekceważyć i tego, co się działo w Polsce. Ważny jest sam objaw kiełkowania nowych, twórczych i pożądaných sił społecznych. Kraj rozwijał się wewnątrz, nawet rozkwitał.

W sierpniu 1557 roku zdawało się, że nic nie uratuje Francji. Hiszpanie rozbili jedną jej armię, drugą zmusili do kapitulacji i stanęli o trzy dni drogi od bezbronnego właściwie Paryża. Sytuację uratowała Katarzyna Medycejska, co było niespodzianką, bo aż dotychczas królowa nie ujawniła talentów, zepchnięta w cień przez kochankę męża, Dianę de Poitiers. Teraz, przybrana w ciężką żałobę, udała się na ratusz, gdzie wymową i łzami skłoniła mieszczan do sfinansowania nowego zaciągu (czas potrzebny dał Filip II, który powstrzymał swe wojska, zazdroszcząc sławy ich dowódcy, księciu Sabaudii).

Szybka mobilizacja tak dużego kapitału byłaby pewnie w Polsce XVI wieku trudniejsza. Ale naszej stolicy nie zagrażał wtedy nikt. Na to (i na Szwedów) trzeba było poczekać jeszcze całe stulecie. Polska nie graniczyła też z Hiszpanią, której skarbcze pękały od złota zza oceanu. Istota rzeczy na tym polega, że zasoby kraju wystarczyłyby na stopniowe wzmocnienie systemu obrony i całej organizacji państwa. Materiał istniał, czas był spokojny.

Zgrzeszymy ciężko, interesując się samymi tylko ówczesnymi nowościami z dziedziny gospodarki, a pomijając rzeczy spowszedniałe. Już od pokoleń cytuje się w u nas gorzkie słowa Krasickiego:

*W mieście, ponieważ zbiór pustek tak zowiem,
W godnym siedlisku i chłopa, i Żyda [...]
Było trzy karczmy, bram cztery ułamki,
Klasztorów dziewięć i gdzieniegdzie domki.*

Istotnie, za dni księdza biskupa warmińskiego tak się to mniej więcej przedstawiało. Z czego wcale nie wynika, że zawsze bywało podobnie.

W 1810 roku W. Surowiecki wydał w Warszawie książkę *O upadku przemysłu i miast w Polsce*. Przekonywał czytelników o prawdzie, którą i dziś jeszcze warto głosić, bo została gruntownie zapomniana:

Te nędzne miesciny - pisał - w których dziś widzimy przedmieścia zagubione, ulice bez domów, rynki puste, ratusze bez okien i dachów; w których się teraz czołga kilkuset biedaków bez powołania i sposobu do

życia, liczyły w owych czasach po kilkaset warsztatów rzemieślniczych. Pomiędzy tymi nie brakowało takich nawet, które albo są rzadkie, albo też służą do samego zbytku. Iglarze, kobierniki, złotnicy znajdowali w nich odbył na swe dzieła i pewny sposób do życia.

Surowiecki zastosował słuszną metodę dowodzenia, od której późniejsi historycy przeważnie stronili. Nie powoływał się na przykłady Krakowa, Gdańska, Poznania. Omawiał stan rzeczy panujący w połowie XVI wieku w miasteczkach podrzędnych, przede wszystkim mazowieckich. Warto go naśladować, bo czasami najlepiej widać od dołu właśnie.

Tak więc Stanisławów mazowiecki liczył sobie „domów i siedlisk” czterysta szesnaście, rzemieślników zaś opłacających podatki - dwustu sześćdziesięciu trzech. Pamiętajmy tylko, że lustratorzy ówczesni umieszczali w spisach jedynie majstrów i domostwa „ze strony królewskiej”, to znaczy płatników podatków państwowych. Zwolnień z rozmaitego tytułu nie brakowało, więc i podane liczby są niższe od rzeczywistych, nieraz znacznie.

Statystyki bywają niekiedy barwne, nie bójmy się więc wyliczeń. Pracowało zatem w Stanisławowie (mazowieckim) dziewięćdziesięciu piekarzy, siedemdziesięciu dziewięciu piwowarów, trzydziestu trzech szewców i tyluż kołodziej, dwudziestu sześciu praszolów (czyli takich, „co sól bili i przedawali”), piętnastu zdunów, jedenastu kuśnierzy, dziesięciu krawców, dziewięciu włóczenników, sześciu kowali, po pięciu stolarzy i ślusarzy, czterech bednarzy i tyluż tokarzy; iglarzy, szklarzy, rymarzy i siodlarzy po dwóch, jeden paśnik i jeden czapnik. Kupców było sześciu.

W Warce domów „po stronie królewskiej” dwieście trzydzieści sześć oraz sto trzydzieści trzy wolne od podatków. Miasto słynęło z jarmarków, na które ludzie ściągali zarówno lądem, jak Pilicą, i pewnie w związku z tym liczyło trzynastu czapników, pięciu iglarzy, trzech kotlarzy, dwóch zameszników, ośmiu sukienników i aż sześćdziesięciu dwóch szewców. Działało również stale w Warce dwóch złotników.

Miał złotnika i Liw, liczący dwieście jednaście domów podatkujących. Wśród innych rzemieślników przodował cech piwowarów - sześćdziesiąt warsztatów. Za nim szli szewcy (dwudziestu siedmiu) i piekarze (o dwa warsztaty mniej). Płatnerzy było tylko dwóch, za to siedmiu rzeźników i sześciu rybaków. Liw, będący dziś osiedlem, pełne prawa miejskie zdobył około roku 1350.

W Wyszogrodzie nad Wisłą płaciło monarsze podatki trzystu ośmiu rzemieślników. Na rzece stało siedem młynów „łodnych”, przy zamku zaś „winnica niemała, jest wina w niej niemało, jest też drzewa rodzajnego w sadach dosyć [...] natłaczają wina czasem baryłę, czasem dwie, jest też drugi sad w zwierzyńcu niemały”. Dwudziestu czterech sukienników miejscowych wyrabiało rocznie cztery tysiące pięćset postawów sukna.

Mazowsze pozostawało w tyle za Wielkopolską właściwą, Małopolską i Prusami Królewskimi. Można długo wyliczać jego miasta i miasteczka, podziwiając ich stan ówczesny. Bo i w Czersku stu pięćdziesięciu sześciu majstrów cechowych parało się „przemysłem miejskim”.

Rzut oka na statystykę przekona, że chyba tylko stan wyższej

konieczności mógł wtedy skłonić Polaków do picia wody. W Garwolinie sześćdziesięciu trzech piwowarów, w Piasecznie pięćdziesięciu pięciu, w Łęczycy czterdziestu sześciu. Zaraz za nimi szli szewcy i piekarze. Utrzymywała się widać, a może i rozwinęła, pewna prapolska tradycja. W Opolu archeologowie odnaleźli mnóstwo okazów skórzanego obuwia, lecz ani jednego łapcia. W XVI stuleciu miasta i miasteczka właściwie roły się od szewców, a nie wolno zapominać, że nie brakło rzemieślników i po wsiach, na stałe tam osiadłych. A piekarze? Chleb jest powszedni dopiero w takich społecznościach, które już osiągnęły pewien dobrobyt. Nędzarz ma chleb tylko w święta. Jada ziarno prażone, kaszę, placki lub podplomyki co najwyżej.

Dziewięćdziesięciu piekarzy w Stanisławowie mazowieckim - to znaczy, że wieś stale kupowała u nich chleb. Szewcy też obsługiwali nie samych tylko mieszczan. To samo da się powiedzieć o innych rzemieślnikach. Kilkunastu kuźnierzy w niezbyt ludnym mieście to za wiele dla samych sławetnych. Zwłaszcza że sąsiednie miasto leżało wcale niedaleko.

W trzeciej ćwierci XVI wieku Korona liczyła około tysiąca miast. Była nimi tak usiana, że najdalej mieszkający chłop, wyszedłszy z domu o świcie, mógł powrócić z jarmarku wieczorem. Każdy z tych grodów miał własny rynek lokalny, niezbyt rozległy, lecz wcale dobrze obsłużony. Zdarzało się, że granice tych rynków zachodziły na siebie. Chłop miał wybór.

Widziała Polska takie czasy, kiedy wieśniakowi nie opłacało się pieczenie chleba w domu. Lepiej było kupować go w mieście. Nieco później, lecz jeszcze w dobie pomyślności, zanotowano u nas, że „cudzoziemscy narodowie” uważają chleb polski za „niesmaczny i zdrowiu szkodliwy”. Ale to nieprawda: „Chleb żytni, u nas najpowszechniej i najwięcej używany, jest też zdrowy i smaczny”, narzekają zaś tylko ci, „którzy mu się nie przyłożyli”. Źle jednak czynią piekarze, używający samych drożdży, bez kwasu lub „naciasty”. Chleb bowiem „takowy niezdrowy, bo wiele ma dziur w sobie i gąbczasty, w którym że się powietrza wiele zachowywa, przeto wiele też w ciele wietrzności czyni”. Chleba owsianego używano rzadko, w czasie nieurodzajów i innych klęsk. „Chleb z prosa pospolicie przy wielkich dworach pańskich tylko dla psów piekają.”

Polska XVI wieku nie zaliczała się do najbogatszych krajów na kontynencie, lecz stała też daleko od późniejszej nędzy. Magnaci mogli pozwalać sobie na pałace, naśladujące Wawel, wielkie mieszczaństwo na takie ratusze, jak w Poznaniu, a rozkwit rzemiosła w grodach prowincjonalnych niezbitcie świadczył o względnym dobrobycie zarówno ich samych, jak i wsi.

A przecież oddziaływały na nią i nowe formy gospodarowania.

Takie na przykład kuźnice wcale nie pozostawały bez wpływu na los chłopca. Robotnicy spełniali w nich zadania ściśle fachowe, cała reszta - więc transport, przygotowywanie opału, sypanie grobli czy kopanie kanałów - przypadała wieśniakowi, który wykonywał te prace częstokroć nie z tytułu powinności wobec dziedzica, lecz za zapłatą. Z obliczeń Jana Pazdura wynika, że około jednej trzeciej kapitału obrotowego kuźnic

przenikało na wieś, wzmagając jej zamożność.

Ale prawne położenie chłopów pogarszało się wyraźnie, sejmy uchwały postanowienia ograniczające jego wolność. Jak pamiętamy, ustawa z 1496 roku pozwalała jednemu tylko kmieciowi rocznie opuszczać wieś i przenosić się gdzie indziej. Konstytucje wydane w latach 1501, 1503, 1510, 1511, 1532, 1543 zabroniły wszelkich przemieszczeń bez zgody dziedzica. Nie oznacza to, że chłop rzeczywiście przestał ruszać się z miejsca, bo administracja po prostu nie mogła dokładnie wykonywać wszystkich przepisów, nie miała po temu środków technicznych. Kierunek ustawodawstwa był jednak zdecydowanie zły. Już tylko wychodzące za mąż córki chłopskie mogły zmieniać miejsce zamieszkania, pozostając w zgodzie z prawem. Katastrofalny okazał się rok 1518, kiedy Zygmunt I wydał najwcześniejsze, powtarzane później orzeczenie, iż nie chce wdawać się w spory pomiędzy wsią a ziemiaństwem, czyli że rezygnuje ze swej władzy sądowej nad chłopem. Odtąd jedynym trybunałem dla chłopów stał się jego własny pan. W dobrach królewskich i duchownych prawo apelacji ocalało, lecz droga do sprawiedliwości stawała się coraz trudniejsza. W roku 1520 konstytucja sejmowa narzuciła chłopom całego kraju jeden dzień pańszczyzny tygodniowo z łanu, jeśli wcześniej nie odrabiali więcej. Zmierzało to do podwyższenia robocizny w królewskich państwach i usunięcia w ten sposób zbyt jaskrawych różnic pomiędzy majątkami państwowymi a prywatnymi i duchownymi. Bo w tych ostatnich powinności wynosiły już niekiedy i po dwa dni z łanu.

Chłop tracił, a buntował się słabo. Bywały wystąpienia, nawet gwałtowne i krwawe, brakowało jednak takich masowych poruszeń, jak chociażby w ówczesnych Niemczech. Wszystko to wcale nie świadczy o potulności ani o wrodzonej Polakom odrazie do walk społecznych. Decydującą rolę odegrały zjawiska innego typu, jak najbardziej konkretne.

Po odkryciu Ameryki zaocenne kruszce szlachetne zalały Europę, która przeżyła zawrotny spadek wartości pieniądza i wzrost cen. Podrożała przede wszystkim żywność. Z dokładnych obliczeń specjalistów wynika, że w przeciągu XVI wieku ceny jej wzrosły w Polsce średnio o trzysta procent (gdy zarobki robotników w miastach zwiększyły się tylko o sto). Lwią część zysków zagarniał oczywiście szlachcic, ale i chłop uczestniczył w dobrodziejstwach koniunktury na płody rolne. Los ubogiej, nie posiadającej ludności miejskiej, w którą kryzys bił najmocniej, nie mógł się mu uśmiechać. Wzrost cen był powszechnym zjawiskiem europejskim, stanowił poważny składnik tła historycznego, lecz sam jeden nie tłumaczył względnie spokojnego zachowania się naszych wieśniaków. Wiele znaczył charakter monarchii jagiellońskiej. Pod berłem wspólnego władcy znajdowały się dość gęsto zamieszkane kraje Korony i kolosalne, częstokroć prawie bezludne obszary Wielkiego Księstwa (a i w samej Polsce prawy brzeg Wisły dopiero po unii zaczął na dobre nasycać się osadnikami, na Podhalu przeważały pustki). Było dokąd uciekać, było gdzie szukać odmiany losu na lepsze. Zbiegostwo należy do klasycznych sposobów walki chłopów z uciskiem. Powstanie zbrojne to ostateczność dobra dopiero wtedy, gdy brak wszelkiej innej nadziei. W Polsce XVI wieku było jej jeszcze sporo.

O przytwierdzenie chłopów do ziemi zabiegała przede wszystkim średnia i drobna szlachta prowincji rdzennie polskich. Magnat, właściciel olbrzymich pól pustek, zwłaszcza na wschodzie, patrzył na tę sprawę nieco inaczej. Jemu zależało na możliwości znęcenia wieśniaka do siebie, a więc na jego względnej swobodzie ruchu. W rozległych dobrach wielmożów duchownych i świeckich znajdowali schronienie nie tylko zwykli zbiegowie od złego pana, lecz nawet szlachecy i inni skazańcy, całkiem pospolici przestępcy. Sejm i sądy mogły wydawać, jakie chciały, ustawy lub wyroki. O ścisłym ich wykonywaniu mowy nie było.

Obszar państwa! - czynnik o znaczeniu pierwszorzędym. To on wpłynął na stopniowe słabnięcie napięć socjalnych w królestwie polsko-litewskim, wytworzył pozory wrodzonego niedołęstwa mieszkańców. Komu nie podobały się stosunki nad Wisłą, ten mógł machnąć na nie ręką i powędrować nad Dniestr, Dniepr czy Dunajec. W Meklemburgii, Saksonii, Palatynacie Nadreńskim brakło miejsca do uskoków. Tam trzeba było stać na własnych śmieciach i walczyć o lepszy los dla siebie oraz potomstwa.

I jeszcze jedna rzecz z tasiemca racji wyjaśniających postępowanie naszego wieśniaka. Całkiem po prostu - nie było mu najgorzej. Nawet później, w dobie wzmożenia niesprawiedliwości, chłopów z państw ościennych często uciekali w granice naszej Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Zbiegostwa w przeciwnym kierunku historia nie zna.

Blaskom Złotego Wieku towarzyszyły cienie wcale jeszcze nie beznadziejne; nadające się do rozproszenia, ale pod warunkiem konsekwentnej, świadomej pracy. Kraj patrzył na Wawel. Żywymi i prężnymi siłami państwa należało stamtąd pokierować.

4

W polityce międzynarodowej zdarzały się sukcesy, rozstrzygnięć nie było. Rosły natomiast nowe powikłania, wywodzące się zresztą z dawnych.

Do rzędu doraźnych triumfów trzeba zaliczyć głośną bitwę pod Obertynem, stoczoną w roku 1531. Hetman Jan Tarnowski, dowodzący zupełnie nielicznym, lecz wyłącznie zawodowym wojskiem, pokonał tam kilkakrotnie silniejsze oddziały hospodara mołdawskiego. Zwycięstwo było piorunujące, komenda znakomita, bezbłędna, ale... polityczna ranga przeciwnika mizerna. Mołdawia miała znaczenie jako stały sprzymierzeniec Moskwy i kraj bezpośrednio interesujący Turcję. Kłopoty, jakich przysparzała Polsce, nie przydawały blasku naszemu państwu.

Pragnąc mówić o nowych zawikłaniach, trzeba cofnąć nieco tok opowiadania, powrócić na chwilę do czasów, w których jeszcze żył Jan Łaski. Wymaga tego wielka waga tematu.

Była już mowa o tym, że jesienią 1526 roku Czesi powzięli fatalną dla ich kraju decyzję o powołaniu na tron Ferdynanda Habsburga. Nie tak łatwo poszło mu z drugą połową spadku po Ludwiku Jagiellończyku, z Węgrami. Stronictwo narodowe obrało tam królem Jana Zapolyę. Stało się to 10 listopada 1526 roku. W pięć tygodni później - 16 grudnia - zwolennicy Habsburgów obwołali panującym Ferdynanda. Węgry

otrzymały więc dwóch monarchów, walka stała się nieunikniona. Pozorne rozstrzygnięcie przyszło szybko, bo w początkach 1528 roku. Jan Zapołya poniósł klęskę, na polu bitwy haniebnie zdradzony przez swych węgierskich stronników. Schronił się w Polsce. Dano mu gościnę w Tarnowie.

Zygmunt I zachowywał ścisłą, nawet ostentacyjną neutralność. Wydawał rozporządzenia surowo zabraniające mieszania się w sprawy węgierskie. Nic to nie pomogło i liczni ochotnicy szli na południe, głosząc, że król nie ma prawa zakazywać, nie zapytawszy sejmu o zdanie. Postępowaniem tych ludzi kierowały względy bardzo istotne. Ówczesni obserwatorzy nie mogli wyjść z podziwu, że na pomoc Janowi śpieszą Polacy z Pomorza, a więc tacy, którzy nie tylko Węgier, ale nawet naszej strony Karpat na oczy nigdy nie widzieli. Poseł habsburski w Krakowie pisał: „Nie mogę zrozumieć, jak się poczciwi Niemcy tam [to znaczy na Pomorzu] zachowywali, że ich tak śmiertelnie nienawidzą.” W 1527 roku sejmiki żądały usunięcia wszystkich Niemców z Polski, przede wszystkim zaś z samej stolicy.

Sprawa węgierska dostarczyła okazji do starcia się w Polsce dwu już nie programów, lecz tendencji historycznych. Narodowy, swobodnie obrany król Madziarów, Jan, walczył z Habsburgiem, z Niemcem. Wchodziło w grę coś o wiele poważniejszego od zwykłych sympatii.

W tym czasie Habsburgowie pozyskali w Polsce, w Krakowie, w bezpośrednim otoczeniu króla, licznych stronników, których bez obawy o przesadę wolno uznać za zwykłych agentów. Zaliczał się do nich kanclerz Krzysztof Szydłowiecki i wskutek tego Wiedeń znał najbardziej tajne akta państwowe. (Szydłowiecki przyjmował jednak nie tylko pieniądze; cesarz przysyłał mu również w darze takie rzeczy, jak odpisy sprawozdań Corteza z Meksyku oraz portret wielkiego konkwistadora. Prośby kanclerza o prezent w postaci żywego Indianina spełnić się nie udało.) Pojawiały się w Polsce pierwsze w jej dziejach dziedziczne tytuły hrabiowskie i książęce, nadawane magnatom przez cesarza. Na jego stronę przeszło wielu krajowych Niemców. Nie poszedł ich śladem Jan Dantyszek, który naprawdę spolszczył się duchem. Zupełnie inaczej postępował Jost Ludwik Decjusz, skądinąd zasłużony historyk i ekonomista. Oto jak ten osobisty sekretarz króla polskiego pisał do Ferdynanda Habsburga:

Ja tymczasem za wolą Bożą będę starał się nie zawieść oczekiwania W. K. Mości, które uważam bez wątpienia za największą dla mnie nagrodę [...] Wszelkie bowiem temu poświęcę usiłowania moje, byle W. K. Mość zechciał, nawet w trudnych sprawach, korzystać z mojej pomocy, abym miał jako dłużnika władcę, który będzie głową świata.

Tych ostatnich słów nie należy uważać za trywialne pochlebstwo. Podkanclerzy Piotr Tomicki - człowiek wysokiej wiedzy, daleki od zasadniczej wrogości wobec cesarza, lecz również i od roli agenta pisał współcześnie o „nadmiernej pysze” Niemców, którzy wierzą, „że obejmą władzę nad całym światem chrześcijańskim i nie chcą się zadowolić swoimi granicami”. „Co za szal opanowuje tych Niemców?” - zapytywał.

Ferdynand Habsburg reprezentował niemczyznę na wschodzie. Starszy

brat, cesarz Karol V, władał Rzeszą, Hiszpanią oraz krajami Ameryki. W jego państwie nie zachodziło słońce, jak się wtedy wyrażano. Zarówno Decjusz, jak Tomicki pisali o zupełnie rzeczywistych zamysłach niemieckiego rodu.

Habsburgowie gotowali Polsce ten sam los, którego ofiarą padły już Czechy, a po części i Węgry. Wiadomości o tych planach zachowały się w postaci nie podlegających zakwestionowaniu dokumentów. Nawet metoda postępowania miała być dokładnie wzorowana na tej, która zapewniła Habsburgom spadek po Władysławie Jagiellończyku i jego niefortunnym synu. A więc po rychło spodziewanej śmierci Zygmunta Starego wypadłoby zająć się odpowiednio jego potomkiem, Zygmuntem Augustem. Opiekunem i wychowawcą mógłby z powodzeniem zostać wuj królewicza, Albrecht Hohenzollern, książę pruski (na szczęście był on już protestantem, co go odgradzało od cesarza, utrudniało Niemcom solidarność). Wszakże to jego rodzony brat potrafił należycie zdeprawować i wykoleić Ludwika Jagiellończyka. Po zgonie Zygmunta Augusta korona polska przypadłaby Habsburgom. Ferdynand był przecież mężem Anny Jagiellonki, córki Władysława, „króla dobrze, dobrze”...

Jeden z dyplomatów niemieckich wywodził czarno na białym w liście do Ferdynanda:

Ze strony zaś związku pokrewieństwa W. K. Mości i jego dzieci z królem polskim i młodym królem [Zygmuntem Augustem] nie mogę znaleźć, by z punktu widzenia przepisów prawa i słuszności ktoś inny mógł mieć więcej podstaw od W. K. Mości do tej opieki, a następnie dewolucji [czyli zajęcia państwa polskiego] na wypadek śmierci starego i młodego króla.

Należy tylko przeciągnąć na swoją stronę Albrechta pruskiego i większość magnatów, a można będzie

stronę przeciwną podbić lub zmusić do poddania się przy pomocy niewielkich wojsk posiłkowych. Albowiem ci, którzy by chcieli stawić W. K. Mości opór [...] nie spodziewają się od nikogo zasiłków ani pomocy i z tej strony mogą łatwo być pokonani.

Kim byli owi oporni? Zaczynając od samej góry, trzeba wymienić królową Bonę. Włoszka uprawiała politykę z zasady antyniemiecką, a nawykła do tajnej dyplomacji kryła zamiary tak dobrze, iż nie zdołał ich przeniknąć żaden szpieg. Za to wtedy właśnie rozpoczęła się przeciwko niej kampania oszczerstw, pomawiania o trucicielstwo i rozmaite inne podłości. Godne smutnego podziwu, że szerzone przez płatnych agentów zniewagi na długo przyjęły się w kraju. O cyniczne wyzyskiwanie Polski oskarżano kobietę, która usiłowała naprawić nasz skarb, inwestując własne pieniądze rodowe, gotowa była zamienić dobra italskie na Śląsk.

Przeciw Habsburgom stał prymas Jan Łaski i wszyscy, którym przewodził - tak zwane stronnictwo narodowe, a prościej: uzbrojona w kordy ciżba zwykłej szlachty.

Zygmunt Wojciechowski jak najśluszniej twierdził, że późniejszej

historii Polski nie sposób pojąć, zapominając o wyraźnych zakusach niemieckich na całe nasze państwo oraz o zaciekłym oporze szlachty. Ta okoliczność tłumaczy między innymi jej uparte dążenie do masowego występowania i do wolnej elekcji. Germańska dynastia mogła pozyskać magnatów, ale nie tłum szlachecki. On stanowił tamę, zapórę dla niemczyzny i przez to samo podporę niepodległości. Raz jeszcze trzeba przypomnieć, że dla państw monarchicznych, które los pozbawił własnych dynastii, wolna elekcja stanowiła skuteczny środek obrony wolności. Te same elekcje, te same zjazdy i rokosze paczyły ustrój. To także prawda. Kazimierz Jagiellończyk, Jan Olbracht i Aleksander weszli na jedyną drogę zbawienia. Zawarli szczery sojusz ze szlachtą, zdobyli jej zaufanie. Po tej tradycji jagiellońskiej zostało tylko coraz to bledsze wspomnienie.

Kiedy podczas decydującego starcia Jana Zapolyi z Ferdynandem na jednym skrzydle piechota polska zajadłe walczyła z Niemcami, na drugim husaria węgierska zaczęła bratać się z nimi. Postępowania ochotników polskich żadną miarą nie wolno uważać za bezrozumną brawurę czy awanturnictwo. W danych warunkach przeszkadzać Niemcom wszędzie było stokroć mądrzej niż wpuścić ich na własny tron, jak to się stało w Pradze. Idąc za Karpaty tamci ludzie przeciwstawiali się grozie oskrzydlenia państwa od południa, chociażby nawet sami tego w pełni nie rozumieli. Nie ich wina, że część Węgrów fatalnie zawiodła. Wobec dzikich okrucieństw landsknechtów inni Węgrzy doszli do przekonania, że od Niemca lepszy już Turek.

Jan Zapolya nie zmarnował czasu w Tarnowie. Poszedł w jego służbę bratanek prymasa, zdolny Hieronim Łaski, który wyprawiwszy się do Sztambułu doprowadził do porozumienia pomiędzy Węgrem a sułtanem. Ważył się na więcej - samowolnie zawarł umowę o przedłużeniu rozejmu polsko-tureckiego (i powrócił do kraju w stroju tureckim, dając początek modzie, która miała się stać powszechna w następnym stuleciu).

Zygmunt I nie zatwierdził osiągnięć Hieronima Łaskiego. Król nie pragnął wojny z Turcją, ale nie zamierzał zrywać ze starą ideologią wspólnej walki chrześcijan przeciwko mahometanom. Pomysły takie były już całkiem przestarzałe, lecz i położenie Polski w tej sprawie nadzwyczaj delikatne. Zbyt otwarte paktowanie z Półksiężycem mogło wywołać nie lada jakie trudności.

Oto ich próbka:

Stosując się do życzeń Habsburgów, papież Klemens VII przysłał do Polski upomnienie, skierowane przeciwko prymasowi Janowi Łaskiemu.

prymas - widniało w dokumencie - wspomagał swego bratanka pieniędzmi, pieniądze te czerpał z kościelnego majątku, w swej diecezji zbierał i żywił wojsko luterskie, które miało iść na pomoc Turkom pod oblężony przez nich Wiedeń, zaopatrywał Solimana w maszyny wojenne, był tedy sprzymierzeńcem tureckim, i to wbrew rozkazom swego króla.

Dalej nazywano prymasa „zdrajcą, bratem Judasza, arcybiskupem z imienia, a w istocie diabłem”. Tak streścił wywody rzymskiego konsystorza Zygmunt Wojciechowski, historyk i pisarz katolicki.

Kopie upomnienia miały być przybite na drzwiach wszystkich kościołów w Polsce, a sam Łaski pod grozą najsurowszej odpowiedzialności winien był stawić się w Rzymie. Zygmunt Stary nie dopuścił do tego wszystkiego, pismo papieżowi zwrócił, ale wstrząs moralny skrócił życie wielkiego prymasa, który wiosną następnego roku zeszedł ze świata. Jego rozumne zlecenia urzeczywistniono i w 1532 roku poseł królewski, Piotr Opaliński, zawarł z Solimanem Wspaniałym układ, który gwarantował utrzymanie pokoju aż do śmierci obydwu Zygmunatów - Starego i młodego.

Wspomniane poprzednio zwycięstwo Tarnowskiego pod Obertynem przyniosło tę ważną korzyść, iż zapobiegło uderzeniu Moskwy na Litwę. Wasyl III zamierzał bowiem wyzyskać najazd sprzymierzeńca na Koronę. Rozejm ciągle ponawiano na krótkie terminy, aż 3 grudnia 1533 roku zmarł Wasyl. Zostawił syna, imieniem Iwan, który miał się stać jedną z najbardziej znanych postaci historii powszechnej, zasłynąć w podaniu, dziejopisarstwie, poezji i powieści jako Groźnyj, le Terrible, the Terrible, der Schreckliche, Groźny...

Na razie następca tronu liczył trzy lata i regencję objęła jego matka, księżna-wdowa. Była nią Helena z domu Glińskich, rodzona bratanica znanego nam kniazia Michała.

Niezwykły, iście baśniowy jego żywot miał jeszcze rozbrłysnąć, ale na krótko. Przesiedziawszy w więzieniu lat trzynaście, został uwolniony w roku 1527 wskutek gorących prośb Heleny. Otrzymał znaczne dobra, na czele pułków moskiewskich zwycięsko wojował z Tatarami kazańskimi. Tuż przed swym zgonem Wasyl III powołał go na członka dumy bojarskiej, mającej pomagać regentce w rządach. Zażarta walka o władzę wybuchła zaraz. W lipcu 1534 roku, a więc zaledwie w osiem miesięcy po świetnym awansie, Gliński znowu znalazł się w więzieniu, skąd już nie wyszedł. Zmarł 15 września, podobno torturowany przed zgonem i oślepiony. Obaliło go stronnictwo kniazia Iwana Owczyny-Oboleńskiego, kochanka wielkiej księżnej, bratanicy skazańca.

Przyszły na Moskwę straszne czasy, które odpowiednio kształciły pamiętliwą duszę małego Iwana IV. Nagromadzona w niej śmiertelna nienawiść do możnych miała się wyładować znacznie później, lecz w sposób przerażający. Zawód, który choremu carowi sprawili dwaj jego najwierniejsi słudzy, zerwał wszelkie hamulce i otworzył drogę niebywałemu okrucieństwu. Ale to dopiero w przyszłości. Podobnie jak i wspomniany przed chwilą tytuł cara, którego Iwan IV użył po raz pierwszy w roku 1547.

W danej chwili Litwa postanowiła wyzyskać słabość rywala i wystąpiła zaczepnie. Zakreśliła sobie ambitny program zdobycia tej granicy na wschodzie, jaką posiadała w dniach największej świetności za Kazimierza Jagiellończyka. Prowadziła jednak działania ospale, a w dodatku spóźniła się, nie potrafiła wyruszyć jednocześnie z tatarskimi najazdami na ziemię wroga. Faktycznie rządzący w Moskwie diak Podzogin zdołał skupić siły i niemiłosierny odwet przyszedł jeszcze w tym samym 1534 roku, w którym zaczęła się kampania, prowadzona przez obie strony z wyjątkowym okrucieństwem. Trzy ogromne armie moskiewskie spotkały się w Mołodecznie i doszły pod samo Wilno. „Na trzysta wiorst w głąb

spustoszyli Litwę” - zapisał kronikarz.

Dopiero teraz sięgnięto po pomoc Korony. Ona sama dała tysiąc pięćset żołnierza, dalszych pięć tysięcy najęła w Polsce Litwa. W 1535 roku przysły powodzenia. Polacy zdobyli Starodub, gdzie po raz pierwszy użyto granatów artyleryjskich. Inna nowość techniczna - to działania górników polskich, którzy „podkopali się, podsypali złe ziele, podpalili i silny grom wyrwał ścianę”. Załoga z nadzwyczajnym męstwem broniła się do ostatka, czym rozjątrzony dowódca zdobywców kazał ściąć tysiąc czterystu wziętych do niewoli żołnierzy.

Gdybyż jeszcze można było przypisać to jakiemuś ciemnemu szlachciurze... rzeź nakazał Jan Tarnowski, zwycięzca spod Obertyna, umysł europejski, nie tylko doskonały wódz, lecz także wybitny teoretyk wojskowy, autor napisanej po polsku *Rady sprawy wojennej*. Mary pomordowanych dręczyły podobno hetmana aż do zgonu.

Ciężko o tym wspominać, ale przemilczać nie wolno. Historia wymierza sprawiedliwość wszystkim lub nikomu.

W dawnym dziejopisarstwie polskim występuje zjawisko, o którym nie godzi się mówić inaczej niż z odkrytą głową. Autorzy z własnej, nieprzymuszonej woli wybierali prawo mówienia całej prawdy również o swoich. Tak więc kiedy Jan Olbracht idąc pod Suczawę uwięził posłów mołdawskich, kronikarze polscy zgodnie orzekli: nasz król pogwałcił prawo narodów.

Powodzenia wojenne 1535 roku zostały utracone, gdyż skarb litewski nie miał czym płacić żołdu zaciężnym. Ludzie walczący tylko dla pieniędzy ani myśleli narażać życia za darmo i odeszli z frontu. Takie porządki panowały wtedy w całej Europie.

Rozejm zawarto 25 marca 1537 roku. Litwa utrzymała jedynie Homel i przekonała się dowodnie, że program odzyskania dawnych granic jest fikcją.

Wojna nie zahamowała na Litwie innej pracy, aczkolwiek magnaci parli do konfliktu z Moskwą właśnie po to, by ją uniemożliwić. 9 października 1536 roku król, „za przyczyną” Bony, nadał Wilnu nowe wartościowe prawa. Ich cechą szczególną była zdecydowana przychylność dla pospólstwa, które dopuszczono do udziału w zarządzie miasta oraz do kontroli nad jego gospodarką. Ta sama tendencja przebiega z przywilejów nadanych później Grodnu.

Już od lat królowa intensywnie działała na Litwie. Podobnie jak w Koronie dążyła do powiększenia majątku rodziny panującej, wykupując z rąk magnatów włości państwowe, dzierżone przez nich tytułem zastawu. W ziemi bielskiej szlachta i mieszczaństwo urządzili składkę pieniężną, by ułatwić Bonie spłacenie Gasztołdów. Fakt nie wymagający żadnych komentarzy.

Objęte przez królową dobra natychmiast wstępowały w erę rozwoju. Bona wszechstronnie dbała o ich kulturę, wprowadzała nowe rodzaje upraw, a jednocześnie budowała kościoły, osadzała przy nich proboszczów, w osiedlach troszczyła się o higienę. Polecała domy stawiać „pod sznur”, a nie jak kto chce, systematycznie sprawdzać czystość, opracowywać i przedkładać sobie projekty upiększania i rozszerzania miast. Wtrącała się

do drobiazgów. Rajcom grodzieńskim kazała na przykład sprowadzić nareszcie zegarmistrza, który by naprawił tradycyjnie popsute czasomierz grodzki. Tylko dzięki takim metodom zarządzania zachodnie miasta zachwycają porządkiem.

W Wielkim Księstwie działalność Bony natrafiała na przeszkody osobliwego typu i powodowała nader ważne skutki natury społecznej. Zwracali się do niej z prośbami prości chłopci, całe gromady. Takie fakty mogły się jednak zdarzać w każdym innym kraju. Naprawdę niezwykła była dopiero walka królowej o uwolnienie z magnackiego jarzma... szlachty.

Charakterystyczną cechą dotychczasowego ustroju Litwy było poddaństwo prywatne drobnego rycerstwa, które podlegało sądownictwu możnych. Posiadali oni przewagę miażdżącą, wyrażającą się przy tym w formach brutalnych. Batalia szlachty o wprowadzenie, na wzór polski, obieralnych sądów ziemskich toczyła się przez lata, równoległe do prac nad Statutem Litewskim, który, ogłoszony po raz pierwszy w roku 1529, w 1538 otrzymał nową redakcję. Dopiero wtedy został też przełożony na język polski, gdyż tekst oficjalny był ruski.

Głównym wyrazicielem opozycji magnackiej przeciwko nowościom był wojewoda Olbracht Gasztołd, pozujący na obrońcę samodzielności litewskiej, a w gruncie rzeczy szermierz przywileju stanowego. Podczas dyskusji, którą z ramienia królowej prowadził z nim Jan Chojeński, padły z polskiej strony słowa ważkie:

Czyż przynosi to wstyd Polakom, że przyjmują obyczaje i sposób życia od Włochów, a towary od Niemców? Jakież mąż prawy nie życzyłby sobie widzieć rodaków podobnych do innych narodów, zwłaszcza w tym, co należy do dobrego porządku i wymiaru sprawiedliwości? Polacy chcieliby mieć sędziów w Krakowie na wzór parlamentu [czyli sądu najwyższego] francuskiego, lecz dotąd nie wynaleźli dochodów na jego utrzymanie.

W Wielkim Księstwie Bona opierała się na szlachcie, coraz natarczywiej żądającej dla siebie praw koronnych i zbliżenia z Polską, w której nie wznowiono, niestety, tradycji Kazimierza Jagiellończyka.

Jeśli wojna moskiewska nie przeszkodziła pożytecznym pracom na wschód od Bugu, to tym mniej na zachód od niego.

12 lipca 1536 roku zmarł w Bazylei wielki Erazm z Rotterdamu. Jeden z jego listów zawiera krótką charakterystykę przemian zachodzących w naszym kraju:

Gratuluje narodowi polskiemu, który niegdyś uważany był za barbarzyński, a teraz tak kwitnie w naukach, prawach, religii, obyczajach i we wszystkim innym, co najodleglejsze jest od barbarzyństwa, że może rywalizować z pierwszymi i najkulturalniejszymi narodami w świecie.

Dużo prawdy w słowach Erazma, ale i typowej dla humanistów przesady też nie brakuje. W niektórych dziedzinach Polska dopiero wyrównywała opóźnienie, wynikłe w sposób naturalny z naszej młodszości kulturalnej.

Tak na przykład w roku 1534 Stefan Falimirz wydał w Krakowie pierwszą polską encyklopedię lekarsko-przyrodniczą. Dzieło nie było oryginalne, stanowiło kompilację z rozmaitych wcześniejszych wydawnictw łacińskich, ale dzięki niemu „weszliśmy w krąg światowej literatury tego typu”, jak mówi Bolesław Hryniewiecki.

Skoro mowa o awansach polskiej twórczości, to trzeba wspomnieć o Stanisławie Grzebskim, który mniej więcej w tym czasie (a ściślej: w roku akademickim 1541/2) wstąpił na uniwersytet krakowski. Był szlachcicem herbu Świnka, pochodził z Grzebska pod Mławą, z rodziny posiadającej mało ziemi, lecz za to dużo dzieci, które musiały własną pracą zdobywać chleb. Studia uniwersyteckie zaliczały się do zatrudnień popularnych w tej rodzinie. W ćwierć wieku później (w roku 1565) ogłosił Stanisław Grzebski podręcznik *Geometrii, to jest miernickiej nauki po polsku krótko napisanej z greckich i łacińskich ksiąg*. Henryk Barycz nazywa ten podręcznik „pierwszą polską książką techniczną”. Minęły jeszcze trzy lata i wydał Grzebski w Antwerpii dzieło swego życia, zatytułowane *De multiplici siclo et talento hebraico (O różnorodnych syklach i talencie hebrajskim)*. Pisał je pod Mławą, w rodzinnym Grzebsku, a poświęcił zgłębianiu dawnych systemów miar i numizmatyce starożytnej. Rozprawa weszła do światowej literatury specjalistycznej. Po upływie wieku z dobrym okładem - w roku 1693 - przedrukowano ją w Rotterdamie. Powolny uwiad Uniwersytetu Jagiellońskiego był wielką klęską. Dobrze rozwijająca się uczelnia niejednego Grzebskiego wygrzebałaby na polskiej prowincji...

Wracamy jednak do schyłkowej doby rządów Zygmunta Starego. Pamiątką z tamtych lat są słynne ruiny w Janowcu nad Wisłą. Zamek zawierający siedem wielkich sal i dwadzieścia osiem komnat zbudował Piotr Firlej, kasztelan wiślicki. Prace zostały ukończone przed rokiem 1537. Oprócz pałacu założył również Firlej miasto Janowiec. On także był fundatorem Lubartowa, który od herbu Lewart zwał się dawniej Lewartowem. Rodzinne gniazdo Firlejów, Dąbrowica pod Lublinem, zawdzięcza mu przebudowę pałacu, który - podobnie jak zamki w Janowcu i Lubartowie - był wzorowany na Wawelu. Wymienione miejscowości leżały we wschodniej połaci Korony, tej właśnie, która przed unią, wskutek ustawicznych najazdów, stanowiła bezludzie niemal.

W tym czasie władza Zygmunta Starego to już raczej formalność i należy mówić o rządach królowej, która zdobyła decydujący wpływ na obsadzanie stanowisk zarówno duchownych, jak świeckich. Istota polityki Bony polegała na stopniowym spychaniu ze świecznika osób dotychczas przemożnych i zastępowaniu ich przez nowych dostojników, jej zawdzięczających wyniesienie. Krótko mówiąc, zamiast starego senatu - nowy. Po atut szlachecki dwór nie sięgnął, wobec czego uczynili to obrażeni możnowładcy.

Sejmy przebiegały burzliwie, ale wśród wysuwanych przez posłów żądań było wiele słusznych. Domagano się więc lepszego zespolenia z państwem Prus Królewskich, Oświęcimia i Zatora, stanowiących luźne księstwa, dokończenia unii z Litwą. Program egzekucji praw coraz bardziej zabarwiał się antyklerykalizmem. Chórem już wołano o język polski w druku, o zniesienie sądownictwa duchownego nad świeckimi i wreszcie o

obciążenie olbrzymich dóbr kościelnych podatkami. Szlachta walczyła zatem nie tylko o poddaństwo chłopów i o ograniczenie mieszczan.

Rozjątrzona na dwór stara magnateria potrafiła wyzyskać napięcia. Agitacja trwała od dawna, ale do roku 1536 tron i sejm potrafiły osiągać kompromisy. Dopiero od następnej wiosny „zaczęły się z podniety pierwszych panów koronnych po wszystkich województwach tajne zebrania i niebezpieczne zмовy”.

Jedenaście lat wcześniej uległy magnatom król nie zwołał pospolitego ruszenia przeciwko Krzyżakom wołał przyjąć od Albrechta hołd. Teraz - z tej samej namowy - rozesłał wici na same żniwa 1537 roku! Wyjaśniono mu, że w tych warunkach szlachta bez trudu uchwali podatki na wojnę z Mołdawią, byle tylko szybciej móc powrócić do domów. Postarano się też, by wiadomość o tym podstępie dotarła do ziemian. W rezultacie obóz pod Lwowem przemienił się w typowy rokosz, który przeszedł do historii pod wzgardliwą nazwą „wojny kokoszej” (od kur doszczętnie wyjedzonych po okolicznych wioskach).

Władza królewska doznała głębokiego upokorzenia. Do żywego dotknięta Bona twierdziła, że woli widzieć w synu osobę prywatną niż narażać go na „rządzenie” w tak niemożliwych warunkach. Zygmuntovi Staremu przedłożono długi spis zarzutów, zawierający fakty łamania prawa. Przywódca zbuntowanego tłumu, Piotr Zborowski, wołał: „Za upadkiem znaczenia senatu znaleźliśmy się w tak trudnym położeniu.” Musiał tego słuchać człowiek słusznie zwany przez historyków królem... senatorskim. Demagogia święciła triumfy.

Rezultaty „wojny kokoszej” podsumowano na sejmie 1538 roku. Posłowie uchwalili wysoki podatek na wojnę z hospodarem mołdawskim Petrylą, który znowu napadł na Pokucie i pobił wojska koronne. Król musiał jednak przyznać, że elekcja Zygmunta Augusta miała przebieg niezbyt właściwy, gdyż korona jest własnością narodu. Raz jeszcze stwierdzono, że w przyszłości wybór panującego winien nosić postać zjazdu całej szlachty. Wykupione przez Bonę majątki uznano za własność państwa, a nie rodziny panującej.

Takie były główne ustrojowe skutki zamętu. Ustawa o elekcji była istotnie ważna, ale i ją nawet przewyższał sam charakter „wojny kokoszej”, jako zjawiska dziejowego. Po raz pierwszy zarysował się wtedy kontur nieszczęścia, które miało trapić dawną Polskę aż do rozbiorów - rozpalony agitacją tłum szlachecki prowadzony przez magnatów przeciwko tronowi. Polityczne znaczenie ziemiaństwa już wcześniej stało się faktem. Teraz trzeba było rozstrzygnąć, kto pokieruje masą herbową. „Wojna kokosza” wróżyła, iż mądra tradycja jagiellońska sojuszu króla ze szlachtą może się przemienić we własne zaprzeczenie.

Na razie była to tylko groźna zapowiedź. Już sejmy z lat 1538 i 1539 powróciły do rozsądku, przedkładały nawet pożyteczne wnioski. W niedalekiej przyszłości szlachecki program egzekucji praw miał się pokazać z najlepszej strony. W jego imieniu toczyła się walka o rzeczy słuszne i konieczne. Niestety, przez długi czas była to walka z własnym królem.

Za Zygmunta Starego wykiełkowało jeszcze jedno nieszczęście

państwowe. Chodziło o stanowisko hetmana, który w XVI stuleciu był dowódcą rot zaciężnych. Ponieważ szlachta nie ufała rządowi, pieniądze na wojsko wpłacali bezpośrednio obrani przez nią szafarze wojewódzcy. Tak pomалу zaczęła się wytwarzać i utrwałać praktyka niezależności hetmanów od króla. Od 1539 roku hetmanom „wielkim” zaczęto dodawać jako pomocników „polnych”.

Początek owego roku widział w Krakowie wielkie uroczystości, uświetnione turniejami na zamku wawelskim. Goniono i na ostre. Trup nie padł ani jeden, ranni byli. Z powodzeniem potykał się i Zygmunt August.

Polscy królestwo wydawali swą pierworodną, Izabelę, za władcę Węgier, Jana Zapolyę. Zaślubiny odbyły się *per procura*. Gawiedź krakowska podziwiała madziarskich rycerzy, których zbroje zdobiły skrzydła natkane lotkami ptasimi. Z wolna nagromadzały się w Polsce składniki tradycji, uznanej potem za ściśle rodzimą.

Zapolya tylko z imienia był królem całych Węgier, gdyż zachodnią ich częścią władał Ferdynand Habsburg. W czasie poprzednich, pominiętych tutaj, perypetii Turcy po raz pierwszy w dziejach oblegli Wiedeń. Było to w roku 1529. Obecnie pomiędzy współzawodnikami trwał pokój, a niedawny układ zapewniał Ferdynandowi spadek po bezdzietnym Janie. 7 lipca 1540 roku Izabela Jagiellonka urodziła syna, nazwanego Janem Zygmuntem, a 22 tegoż miesiąca król Zapolya rozstał się z życiem. Sprawy węgierskie skomplikowały się groźnie, gdyż Ferdynand nie chciał uznać praw spadkowych noworodka i rozpoczął działania wojenne. Doprowadziły one tylko do tego, że wezwany przez część Węgrów sułtan ruszył naprzód, zajął Budę i kazał z kościoła Najświętszej Marii Panny zrobić meczet.

Nieco wcześniej uległy niepomyślnej odmianie stosunki panujące na południe od granic Polski. Królestwo, znecierpliwione ciągłymi napadami hospodara Petryły, postanowiło z nim skończyć. Chcąc to uczynić, należało przedtem uprzedzić sułtana, bo Mołdawia była jego lennem. Poseł polski otrzymał w Stambule nieoczekiwaną odpowiedź: król Zygmunt nie potrzebuje się trudzić, padyszach sam ukarze awanturniczego sługę. Niech tylko Polska dopilnuje, by Petryło nie uciekł w jej granice. Przy okazji sułtan przyrzekł, że jego flota operująca przy wybrzeżach italskich otrzyma rozkaz oszczędzania posiadłości Bony. Gest przyjaźni stanowił słabą pociechę. Soliman oddał Mołdawię całkiem sobie uległemu Stefanowi Lucuście i w ten sposób do samych karpackich granic Korony dotoczyła się potęga naprawdę straszna. Pokój trwał, ale sąsiedztwo było nadzwyczaj niewygodne, zwłaszcza że Habsburgowie zaczęli robić wszystko, co mogli, by popchnąć Polskę na niewiernych. Sprzyjający Ferdynandowi magnaci koronni pozwalali sobie na zaczepki, które lada chwila mogły ściągnąć na kraj nieszczęście.

Przezorność i energia Bony wpłynęły na częściową poprawę położenia. Pod jej wpływem Izabela nie opuściła kraju, którego była królową. Pozostała w Siedmiogrodzie, wyznaczonym przez sułtana na uposażenie małego Jana II Zygmunta. W ten sposób przynajmniej Siedmiogród został poniekąd zneutralizowany, bezpieczeństwo Polski trochę wzrosło.

Naszkiecowane przed chwilą powikłania okazały się prawdziwym dobrodziejstwem dla Moskwy. W 1541 roku ruszyła przeciwko niej cała

sprzymierzona tatarszczyzna z Kazaniem włącznie. Wiódł ją chan krymski Sahib-Girej, a szedł także pasza Sylistrii, namówiony przez zbiega moskiewskiego, kniazia Symeona Bielskiego. W wyprawie miała uczestniczyć i Litwa, od strony której Kremlowi po prostu zabrakło osłony. Zagrał jednak mechanizm doskonale znany z poprzednich niefortunnych prób jagiellońskich: inny front odwrócił uwagę. Akurat w tym czasie Ferdynand wojował z Izabelą, w sprawę wdał się sułtan.

Moskwa pokonała tatarską koalicję, a Sahib-Girej zwrócił się do Zygmunta I z ironicznym zapytaniem: „Nieprzyjaciela swego teraz nie używiesz, kiedyż go używiesz?”

W marcu 1542 roku Litwa zawarła z Moskwą rozejm na dalszych siedem lat. Iwan IV liczył już sobie wtedy dwanaście wiosen. W niedalekiej przyszłości, bo w roku 1551, młody car zdobył Kazań, na całe stulecia uwalniając swe państwo od poważniejszego przeciwnika na wschodzie (następny, czyli Japonia, miał wystąpić dopiero w XX wieku). Położenie luźno związanej, a niekiedy i pokłóconej z Polską Litwy stawało się wprost beznadziejne.

Na razie nastał rok 1543, dziwna, niezwykła data w dziejach Polski. W maju Kraków rozbrzysnął całą świetnością, na jaką tylko było stać rozległą monarchię jagiellońską. Widziało się w stolicy poczty magnatów polskich i litewskich, strojne każdy inaczej, a jeden piękniej od drugiego. Zbroje srebrne i złote, pióropusze, ubiory tureckie, węgierskie, hiszpańskie... Młody król Zygmunt August wstępował w związki małżeńskie. Oblubienicą była Elżbieta Habsburg, córka tylekroć wspomnianego Ferdynanda. Bona przegrywała bardzo ważny punkt. Nie zdołała zapobiec temu mariażowi ani przeprowadzić własnego zamysłu, ożenić syna z królową Francji. Udało się jej tylko odroczyć datę ślubu, umówionego już w 1538 roku we Wrocławiu, oraz udaremnić plany Ferdynanda, który przy okazji godów chciał zawrzeć z Polską przymierze zaczepno-odporne, a więc grożące sprowokowaniem Turcji. Nic dziwnego, że polscy, a zwłaszcza litewscy magnaci tak się wysadzili na uroczystość. Zbliżenie do Habsburgów było ich zwycięstwem.

W tym samym 1543 roku Mikołaj Rej z Nagłowic wydał drukiem *Krótką rozprawę między panem, wójtem a plebanem*, Andrzej Frycz Modrzewski po raz pierwszy wystąpił w szrankach publicystycznych, ogłaszając łacińską broszurę *Łaski, czyli o karze za mężobójstwo*, a leżącemu na łożu śmierci Mikołajowi Kopernikowi przyniesiono świeży egzemplarz jego dzieła *O obrotach ciał niebieskich*. Nie ma innego przykładu, by jedna data tyle znaczyła w dziejach kultury jakiegoś narodu.

Rok 1543 to istny symbol całej epoki jagiellońskiej. Niebywała świetność zewnętrzna przy coraz trudniejszym i bardziej pogmatwanym położeniu politycznym, w sprawach kultury rzeczy wielkie.

Krótką rozprawę na dobre wprowadziła nasz język do literatury. Wbrew ścisłej prawdzie, lecz może i słusznie, zwykło się dawać Rejowi pierwszeństwo przed Biernatem z Lublina. Bo tym razem w grę wchodził już nie przekład, ale dzieło na wskroś oryginalne. Walcząc o prawa mowy ojczystej pozostawał Rej w idealnej zgodzie z sejmem 1539 roku, który nakazał ogłaszać ustawy i inne dokumenty po polsku, dodając tylko

łacińskie streszczenia. To, co sejm w dziedzinie polityki zdobywał po wielu debatach i z niemałym mozolem, pisarz osiągnął w świecie kultury od jednego razu, siłą talentu.

Broszura Modrzewskiego wspierała jeden z najlepszych zamiarów Zygmunta Starego, który daremnie usiłował podwyższyć wymiar kary w sprawach o zabójstwo plebejusza przez szlachcica. „Śmierć zadana przez bogatego czy biednego powinna być karana jednakowymi prawami” - pisze Modrzewski. Utwór, o którym mowa, był daleki od szczytowych możliwości autora, rozwiniętych wkrótce w słynnym dziele *O poprawie Rzeczypospolitej*, zasługuje jednak na najpilniejszą uwagę jako debiut. Po raz pierwszy jał się wtedy pióra człowiek, który został największym, a co najmniej jednym z najwybitniejszych pisarzy społecznych Europy XVI wieku. Niełatwa rzecz zdobyć taki szczebel w dobie Odrodzenia, kiedy kontynent aż huczał od pisarskich sporów, programów, haseł.

Mikołaj Rej to w życiu prywatnym typowy przedstawiciel średniego ziemiaństwa polskiego. Nawet wyznanie kalwińskie nie wydzielało go z masy, bo szły chwile, w których większość sejmu polskiego miała się składać z protestantów. I oto ten szlagon, rozmiłowany w swojskim jadle i prostym stroju, sprawia, że pierwszy oryginalny utwór literacki wydrukowany po polsku zdecydowanie staje po stronie upośledzonego ludu. „Książd pana wini, pan księdza, a nam biednym zewsząd nędza” - mówi u Reja wójt. Andrzej Frycz Modrzewski pochodził ze szlachty, pracował w kancelarii prymasa Jana Łaskiego, potem u biskupa poznańskiego Jana Latańskiego, stronnika Bony. Rozpoczął jako namiętny obrońca praw ludu i na zawsze pozostał wierny tej idei.

Modrzewski i Rej zaliczali się do najlepszych ze szlachty. Ich głos daje wyraźne świadectwo myślom wyznawanym na pewno przez mniejszość, lecz żywym w tym środowisku. Takie zjawisko coś jednak znaczy. A nawet... bardzo wiele znaczy. Zwłaszcza jeśli pamiętać, że Rej zasiadał w sejmach jako poseł. Sympatia dla ludu nie zwichnęła mu kariery.

Modrzewski nie rozstrzygał o kierunku ustawodawstwa, ale głosił prawdę i przez to samo wywierał wpływ na ogólny stan rzeczy. Nazywał zło złem, a więc choć trochę je hamował. Dzięki niemu literatura spełniała swe najwyższe powołanie. Sprawowała moralną kontrolę nad współczesnością.

Dzieło Kopernika zostało wydrukowane w Norymberdze. Wydawca, Andrzej Osjander, wbrew „stanowczo i ze stoicyzmem” wyrażonej woli astronoma przerobił przedmowę (wykrył to Jan Kepler, a zatajony przez Osjandra tekst prawdziwy ujrzał druk aż dopiero w wydaniu warszawskim w 1854 roku). Myśl Kopernika była zbyt śmiała, zbyt olśniewająca. Ówczesna Europa spojrzała na *Obroty ciał niebieskich* przez przydymione szkiełko. Pewnie nie mogło być inaczej.

Książka napisana została po łacinie.

Słusznie wysławiamy literacką odwagę Biernata i Reja. Jednakże pomni na niewątpliwą prawdę o dwu stronach każdego medalu winniśmy pamiętać, że droga, na którą weszli, prowadziła do pewnych komplikacji. Literatura polska wyrzekła się praktyki używania języka powszechnie zrozumiałego, zaczęła stosować własny. Polszczyzna zalicza się do

najtrudniejszych języków świata. Jest do pewnego stopnia bliska jedynie ludom słowiańskim, od Zachodu oddziela ją mur. Kiedy Miechowita napisał swój traktat o Sarmacjach, zainteresowany Wschodem Zachód rzucił się na jego dzieło, przedrukowywał je, szybko przekładał na własne języki. Mógł to czynić bez trudu - Miechowita napisał *Sarmacje* po łacinie, prościuteńki szlak wiódł książkę nawet do Portugalii. Rozbrat z łaciną - konieczny, nieunikniony i potrzebny -gruntownie zmieniał położenie. Wytwarzają się odtąd pozory zaściankowości (potem przyszły i warunki powodując zasklepienie w kręgu własnych, nikogo nie obchodzących spraw). Książki napisane w języku polskim, nawet jeśli pod względem wartości nie ustępują zachodnim, dzieli od szerokiego świata próg bardzo trudny do przekroczenia. Cudzoziemcy z reguły nie mogą poznawać oryginalnych tekstów utworów polskich, a tłumacz równorzędny twórcy to zjawisko niesłychanie rzadkie.

Obcokrajowcy stwierdzali, że w XVI wieku zupełnie łatwo było porozumiewać się w Polsce po łacinie. Rozpowszechniony był także język włoski. Za to listy, które Albrecht pruski pisywał po niemiecku, sprawiały w senacie pewien kłopot, trzeba było szukać tłumaczy.

Pożycie młodej pary, Elżbiety i Zygmunta Augusta, od samego początku układało się dziwnie. Wkrótce po ślubie on wyjechał na Litwę, ona została przy teściach. „Król Zygmunt [Stary] w niej się wielce kochał, lecz królowa Bona nie barzo”. W roku następnym, podczas sejmu w Brześciu, przybyły z Wilna Zygmunt August zamieszkał osobno, „bo na zamku dla niego stanie być nie mogło”.

Koronowany następca tronu odmawiał pożycia z żoną, dopóki ojciec nie odda mu Litwy w zarząd, i postawił na swoim. Wbrew zdaniu Bony i części senatu otrzymał władzę nad Wielkim Księstwem. Jagiellowym jeszcze obyczajem Zygmunt Stary zastrzegł dla siebie tytuł najwyższego księcia Litwy.

Zygmunt August zaczynał działalność polityczną od zatargów z matką. Popierała go „większa część senatorów, łapając łaski u pana młodego”.

W tym czasie rozpalila się w państwie dwojaka agitacja, płynąca z jednego źródła - od Habsburgów. Wskutek własnej zachłanności popadli oni w położenie trudne. Nie chcieli zostawić Budy w ręku Zapoljów, wobec czego osiadł tam basza turecki. Armia sułtana stale kwaterowała w pobliżu samej Austrii. Należało więc ze wszystkich sił pchać Polskę w ślady Warneńczyka i Ludwika II. Wymagało tego zarówno bezpieczeństwo państw habsburskich, jak i plan opanowania samego Wawelu.

Hetman Jan Tarnowski obmyślił sposób sprowokowania wojny poprzez zatargi graniczne i zawiadomił o tym Ferdynanda. W 1545 roku książę Teodor Sanguszko, starosta włodzimierski, napadł na Oczaków, turecką twierdzę nad Morzem Czarnym. Wiśniowieccy zamordowali posła mołdawskiego powracającego z Moskwy.

Dyplomacja polska ułagodziła jakoś sułtana, który wojny na tym froncie nie pragnął. Wyjaśniono mu, iż ludzie, „którzy w Oczakowie szkody poczynili, byli Kozacy polni”. Odszkodowanie przyszło jednak zapłacić.

Głośny pisarz Stanisław Orzechowski wystąpił z płomiennymi

Turcykami. Były to drukowane po łacinie „oracje do rycerstwa polskiego” na temat konieczności rozpoczęcia wojny z Turcją.

Inna fala agitacji godziła w Bonę. Przybyły nowe zarzuty, pomawiano królowę o głodzenie Elżbiety i zakusy na jej żywot, a echa tych potwarzy zrodziły między innymi sztukę Lucjana Rydla *Królewski jedynak*, napisaną w wieku XX. Do nagonki dał się także użyć Stańczyk, który nienawidził „włoskiej gadziny”. Słynny błazen nie był widocznie aż takim geniuszem politycznym, za jakiego uchodzi.

Zagadnienia północy i zachodu też dawały znać o sobie. Albrecht Hohenzollern działał. Odkąd wypromował brata Wilhelma - przezornie dochowującego wierności Kościołowi - na arcybiskupa w Rydze, możliwości rodu znacznie wzrosły. Brandenburgia, liczne pozycje na Śląsku, Prusy Książęce, spodziewany spadek szczeciński, wpływy w Inflantach - to naprawdę dużo. Nie udało się za to (na razie) Albrechtowi zniweczyć tego paragrafu układu z roku 1525, który choć trochę zabezpieczał interesy Polski. Odmówiono zgody na jego projekt uznania brandenburskiej linii Hohenzollernów za spadkobierczynię pruskiej, królewieckiej.

W 1546 roku Albrecht pojechał do Wilna z nowym pomysłem. Namawiał obu Zygmunatów do zbrojnego uderzenia na cesarza, który właśnie toczył tak zwaną wojnę szmalkaldzką z protestanckimi książętami Rzeszy. Stary król nazwał „absurdem” zamiar wystąpienia przeciwko katolikom po stronie herezji. Zygmunt I był niezdolny ani do pełnej ugody z Turcją, ani do wspomnianej akcji. Trumny ze sobą wprawdzie nie woził, lecz wiele w nim było ze średniowiecza.

Wojnę szmalkaldzką cesarz wygrał szybko i teraz zaczęła zagrażać jego wyprawa na heretyckie Prusy Książęce, których Polska musiałaby oczywiście bronić. Na dowódcę wojska w możliwej wojnie przewidziano Zygmunta Augusta.

Rodzic jego ponad wszystko cenił spokój, a oto coraz nowe zmartwienia mąciły mu ostatnie miesiące życia. Z Litwy nadchodziły wiadomości o samowolnym, niesłychanym postępku Zygmunta Augusta. W Piotrkowie, podczas obrad sejmiku odbywającego się w grudniu 1547 i w styczniu następnego roku

król stary osobno na pokoju pytał o to syna, i żeby mu powiedział prawdę. Tam, jako odpowiedział Ojcu, nikt tego nie wie: lecz tak rozumieli ludzie, że się nie przyznał; albowiem po starcu nie było znać frasunku żadnego.

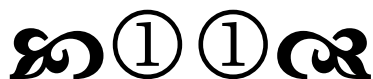
Pozory zmyliły kronikarza. Zygmunt Stary poznał groźną prawdę. Słał listy do podwładnych, do córek, zabraniając uznawać, że... kłamka już zapadła. W kilka dni po jego zgonie zrozpaczona królowa pisała do panów litewskich: „Tożże ból, taż żalost wprawiła J. K. M. w niemoc, w kotorej żywota dokonał i P. Bohu dusze dał.”

Zygmunt Stary zmarł w Krakowie dnia 1 kwietnia 1548 roku, w niedzielę wielkanocną.

Pokrótkie omówione w tym rozdziale fakty dostatecznie charakteryzują

jego rządu. Byłby znakomitym administratorem prowincji albo podskarbin. Jako król ucieleśniał ideał niewłaściwego człowieka na niewłaściwym miejscu. Panował lat czterdzieści dwa, dokładnie tyle, ile żył na świecie Jan Olbracht.





Zygmunt August

1

Wieść, która zmaćla schyłek życia Zygmunta Starego, dotyczyła małżeństwa syna z Barbarą z domu Radziwiłłów, wdową po Stanisławie Gasztołdzie, wojewodzie nowogrodzkim i trockim, ostatnim z tego rodu.

Jak pamiętamy, Zygmunt August wyjechał do Wilna wraz z niedawno poślubioną Elżbietą Habsburg (dla odróżnienia od żony Kazimierza Jagiellończyka, Elżbiety „Rakuszanek”, nazywa się ją zazwyczaj „Austriaczką”). Stadło, które przyczyniło Bonie tyle zgrzyoty i wywołało gniewne pomruki sułtana, rozklejało się od początku i nie trwało długo. Młody król czuł odrazę do pięknej epilepticzki, a ponadto - dopóki przebywał w Krakowie - uganiał za tamtejszą mieszczańką, Weissówną. W Wilnie odnosił się do żony z całym respektem dworskim, rzeczywiście dbał o jej zdrowie. Za pośrednictwem Jana Dantyszka zabiegał o pierścień króla angielskiego, mający rzekomo cudowną moc leczenia wspomnianej choroby.

11 czerwca 1545 roku w przeciągu dziesięciu godzin Elżbieta doznała piętnastu ataków epileptycznych i zmarła w cztery doby później. Została pochowana w katedrze wileńskiej. Ojciec - Ferdynand I - rozpaczał, że zbyt szybko wypłacił Polsce wiano, a jego agenci pomawiali Bonę o otrucie synowej. Czynili to tak pilnie, że już w lipcu pogłoski doszły do słabo tym wszystkim zainteresowanego Londynu.

„Żył potem król August w Wilnie bez żony, nieco odmieniwszy obyczajów” - półgębkiem przyznał w swej kronice Łukasz Górnicki, dworzanin i chwalec monarchy. Bo w gruncie rzeczy romans z Barbarą trwał od dawna. Opowiadano o nim już w roku 1544, lecz po zgonie Elżbiety zaczęto się wprost lękać nowego ożenku królewskiego, aczkolwiek jednocześnie krążyły pogłoski o wywiadach na różnych dworach zachodnich w poszukiwaniu narzeczonej.

W każdym razie jeszcze latem 1547 roku Zygmunt August powiedział swemu dworzaninowi, Gabrielowi Tarle: „Mam nadzieję, że Pan Bóg, jak Go o to co dnia proszę, nie dopuści mnie do tego upadku, bym miał użyć źle swego rozumu.”

Wkrótce po tej rozmowie, w końcu lipca lub na początku sierpnia, został jednak mężem Barbary. Rzecz działa się w Wilnie, gdzie zamek dzieliła od siedziby Radziwiłłów przestrzeń niewielka i nie zamieszкана.

Król im [Radziwiłłom] obiecał do niej nie chodzić i nie chodził przez czas dłuższy. Potem krewkości przyrodzonej dłużej zdzierżyć nie mógł i poszedł do niej nocą samotrzeć. A panowie Radziwiłłowie pilnie tego

strzegli i gdy król do ich siostry wszedł, oni natychmiast zjawili się przed nim i rzekli: „Miłościwy królu! Przyrzekłeś do siostry naszej nie przychodzić, przecz więc teraz tu jesteś?” A król na to: „A kto wie, czy obecne przyjście moje do siostry waszej nie przyniesie wam wspomnienia sławy, czci i pożytków waszych.” Oni rzekli: „Boże to daj” - i natychmiast przyzwali plebana, który był na to przygotowany, i zaślubili króla z swą siostrą w tajemnicy, tak że nikt ani z panów rady, duchownych i świeckich, ani też z dworu królewskiego o tym nie wiedział, z wyjątkiem Radziwiłłów, Kieżgalla i księdza, który ślub dawał.

Król wpadł w potrzask, a wygórowane poczucie godności własnej nie pozwoliło mu cofnąć się. O jego miłości do Barbary wątpić nie sposób, starannie przygotowany podstęp stworzył jednak fakt polityczny o skutkach jak najgorszych.

Ród Radziwiłłów reprezentowali w tych zdarzeniach dwaj bracia Barbary, rodzony - Mikołaj Rudy, pan na Birzach i Dubinkach, oraz stryjeczny - Mikołaj Czarny, na Ołyce i Nieświeżu. Obaj nosili udzielony im przez Habsburgów tytuł książąt Świętego Cesarstwa Rzymskiego. Ten drugi, Czarny, miał wkrótce zrobić najlepszą partię, jaka tylko była w Koronie Polskiej, pojąć za żonę Elżbietę Szydłowiecką, córkę „wielkiego” kanclerza, świetnego pana i agenta habsburskiego, dziedziczkę jego fortuny. I nie skądinąd, jak właśnie z Szydłowca pisał do Rudego listy, wystawiające Barbarze świadectwo od początku do końca ujemne: głupia, zła, swarliwa, uparta, a „obyczajnie prawie włoskie”. Popiera ją jedynie po to, aby „kłobukiem”, to jest polską koroną królewską, przyozdobić swój ród. Lecz skoro raz już zostanie ukoronowana, „niech za swe zdrowie sama prosi, bijąc czołem Bogu, iście ja wtedy gęby nie rozdziawię dla niej”.

Wiadomość o zgonie Zygmunta Starego dotarła do Wilna 8 kwietnia. 17 kwietnia Zygmunt August wprowadził Barbarę na zamek i uroczystie przedstawił ją radzie litewskiej jako swą małżonkę. „Wiecie - oświadczył - iż żadna moc na świecie takiego związku prawnie między chrześcijanami zdziałanego rozerwać nie może.”

Zygmunt i Barbara! - najbardziej romantyczne wydarzenie w dziejach polskich rodów królewskich. Nie należy go jednak uważać za początek akcji wynikłej z trudnej do przewidzenia okoliczności uczucia dwojga młodych. Związek ten wzmocnił tylko działania polityczne rozpoczęte grubo wcześniej.

Radziwiłłowie, zwłaszcza Rudy, jak tylko mogli, tak popierali plan oddania Zygmunтови rządów Litwy jeszcze za życia ojca. W styczniu 1544 roku posłowie cesarza Ferdynanda I oraz jego polsko-litewscy stronnicy odbyli w Piotrkowie tajną naradę i postanowili dopiąć tego celu. Względ na pozycie Zygmunta Augusta z Elżbietą był tylko pozorem, dobrym dla pozyskania starego króla. Nie tak łatwo poszło z oszukaniem królowej. Bona stanowczo protestowała aż do końca.

Teraz, kiedy nieszczęsny ożenek musiał nieuchronnie spowodować ostry zatarg z nią, z Koroną, a już szczególnie z sejmem, Radziwiłłowie dostawali Zygmunta II w ręce. Dążyli, mówiąc najkrócej, do władzy. Nie chodziło już tylko o odzyskanie dóbr i dochodów odjętych im przez Bonę,

lecz o faktyczne rządy nad państwem. Trudno przy tym uważać Radziwiłłów za ideowych przedstawicieli odrębności litewskiej, jeżeli pierwszy dostojnik Wielkiego Księstwa, wojewoda wileński Jan Hlebowicz, był w ogóle przeciwny powoływaniu Zygmunta Augusta do Wilna, a zwykła szlachta miała wkrótce donośnie zawołać o zbliżenie z Polską, zwłaszcza już z jej swobodami ziemiańskimi.

Wileńskie rządy Zygmunta Augusta przyniosły jednak coś więcej niż triumf polityki magnackiej, w dziejach wewnętrznych Wielkiego Księstwa stanowiły całą epokę, i to błogosławioną. Znaczne zasługi położył sam król, aczkolwiek niektórzy współcześni narzekali, że jeśli nie ucztuje, nie flirtuje i nie wyprawia festynów, to jedynie po to, by gonić po puszczech za niedźwiedziami i ubijać je, narażając własne życie. Sama jego obecność w Wilnie czyniła z miasta rzeczywistą stolicę. Rozpoczął się żywy ruch budowlany, ściągnęło mnóstwo rzemieślników najrozmaitszych narodowości. Obok Włochów i Niemców przyjeżdżali Czesi i Grecy, lecz najczęściej było Polaków, i to przeważnie z samego Krakowa. Ciekawa rzecz, że byli to na ogół architekci i majstrowie z pokrewnych specjalności, jak na przykład kamieniarze. Oni też kierowali pracami budowlanymi.

Napływ plebejskich Polaków pozostawił w Wilnie trwałe ślady, od tych bowiem czasów mową pospolitą w mieście stała się polszczyzna. Językiem urzędowym nadal pozostawał ruski.

W 1547 roku sejm litewski uchwalił prośbę, której oryginalne brzmienie było takie:

aby Jeho Królewskaja Miłost raczył wedle starodawnoho obyczaju dwor litowski na swoim dwore chowati [...] a to dlatoho, iżby bratia i synowie nasi, na dwore Jeho Miłosti służaczi, czwiczylu sia rycerskich uczynków i tym sia łaski Jeho Miłosti dosłuhowali i na potom hodnymi słuhami gospodaru Jeho Miłosti i Rieczipospolitej byli.

Dworów wtedy w Wilnie nie brakowało. Dopóki żyła Elżbieta Austriaczka, było ich aż trzy - jej własny oraz polski i litewski małżonka. Kosztowały wiele pieniędzy, pochłonęły między innymi całe wiano, nad którym tak gorzko biadał Ferdynand I. Jednakże istnienie ich miało duże znaczenie dla kultury. Siłą rzeczy musi być one kopią dworu wawelskiego, który przeżywał szczyty świetności renesansowej. Dzięki temu do odległego miasta przenikał powszechny obyczaj europejski. Przypadek podkreślił to w sposób malowniczy. Łukasz Górnicki, z Oświęcimia rodem, spolszczył, przerobił na rodzimy użytek słynne dzieło Baltazara Castiglione o *Dworzaninie*. Pracy tej dokonał w Wilnie. Stało się to co prawda nieco później, ale wzmożone, bardzo silne oddziaływanie kultury Zachodu na Wielkie Księstwo trwało przez cały czas rządów ostatniego z Jagiellonów. To był jeden nieprzerwany ciąg, którego śmierć Zygmunta Augusta wcale nie zakończyła.

Zygmunt August założył pierwszą w Wilnie galerię obrazów, na które grosza nie szczędził. Dla artystów król miał hojną rękę. Od niego też pochodził najstarszy wileński księgozbiór, liczący ponad tysiąc dwieście tomów, starannie oprawionych w kosztowny biały pergamin. W niedalekiej

przyszłości utworzyły one fundament biblioteki Akademii Stefana Batorego. Zaginęła tylko Biblia, ofiarowana królowi przez Marcina Lutra, nosząca jego własnoręczną dedykację, a oprawiona w czarny aksamit ze srebrnymi okuciami. Jeśli wierzyć miejscowej legendzie, diabeł porwał ją później ze stołu pewnego księdza, który powodowany grzeszną ciekawością, ukradkiem, po nocy studiował skażoną księgę.

Wójt wileński i sekretarz królewski, krakowianin Augustyn Rotundus Mielecki, napisał po łacinie historię Litwy, która niestety nie dochowała się, zaginęła.

Już we wczesnych latach wileńskich zauważono u króla silny pociąg do jeszcze jednego rodzaju dzieł sztuki, mianowicie do artystycznie opracowanych klejnotów. Nuncjusze papiescy zanotowali później o tym rzeczy pozornie niewiarygodne, ale chyba prawdziwe, bo niby dlaczego mieliby fantazjować w relacjach. Jeden z nich ocenił kosztowności Zygmunta Augusta na milion dukatów. Oprócz tego miał król dwadzieścia kompletów pełnych zbroi wykonanych przez artystów włoskich i trzydzieści złotych rzędów na konie, wysadzanych klejnotami. Dzisiejsze muzea europejskie ubiegają się o pamiątki po Zigmuncie Augustynie.

W 1530 roku komisja królewska, sprawdzająca stan fortyfikacji na wschodzie, napisała o Kijowie: „ostrogami otoczony dosyć nikczemnym, a od rzeki żadnego opatrzenia nie masz”.

W XVI, XVII i XVIII wieku magnateria polska nie wstydziła się przepychu, od którego jaskrawo odbijała nędza skarbu państwa. Podobnie - jak widzimy - umieli postępować i dzierżyciele władzy zwierzchniej. Miał może rację „sejm kokoszy”, kiedy żądał, by odebrane magnatom dobra oddawać skarbowi, a nie rodzinie panującej.

Zygmunt August ubierał się zawsze na czarno. Od kirowego tła odbijała tylko złocona szpada włoska. Ściany jego osobistych komnat pokrywały czarne obicia. Jeśli nie było na dworze przyjęcia, król jadał samotnie. Pił dużo wina, ale małymi kieliszkami. Usługiwał mu zawsze jeden i ten sam pokojowiec. Nuncjusz Juliusz Ruggieri donosił swemu mocodawcy:

W sposobie życia trzyma się zawsze jednostajnego trybu w każdej porze roku, ale różnego zupełnie od powszechnie przyjętego przez innych ludzi, i tak w zimie wstaje na pięć godzin przed dniem, je obiad w nocy, wieczerzę we dnie, idzie spać w parę godzin po zachodzie słońca.

Zygmuntowi Augustowi niełatwo było bratać się z tłumem takich jak Mikołaj Rej z Nagłowic.

Ułożenie jego - pisał jeszcze o królu wspomniany nuncjusz - jest bardzo miłe i ujmujące, charakter daleki od surowości, ale jest stały i niezachwiany w swoich postanowieniach. Mówi nie tylko po polsku, ale po łacinie, po włosku i po niemiecku, każdym z tych trzech języków gładko się tłumaczy, nie jest jednak w mówieniu bardzo obfity, lecz skryty, ostrożny i niedowierzający. W układach okazuje niepospolite zdolności, lecz w swych odpowiedziach wyraża się tak dwuznacznie, że w każdym razie może im nadać przeciwne znaczenie, i łatwo pojąć, że ma na celu nie odejmować

nigdy nadziei tym, z którymi ma do czynienia, i nic pewnego nie obiecywać, aż póki potrzeba nie zmusi go do wyraźnego wyjawienia swej myśli [...] z przyrodzenia nie jest bardzo skory do działania ani w pokoju, ani na wojnie.

Wspomnieć jeszcze trzeba o niewysokiej, szczupłej, nawet chudej postaci królewskiej, o śniadej twarzy, rzadkiej czarnej brodzie i zupełnie słabym zdrowiu.

Pierwsze przeżycie Zygmunta Augusta jako rzeczywistego już władcy Polski to ostry zatarg z poddanymi. Zatarg, w którym cała racja była po stronie poddanych. Murem stanął przeciwko monarsze sejm koronny, wsparty przez wszystkich niemal senatorów.

Po pogrzebie Zygmunta Starego zebrał się w Piotrkowie sejm, a Piotr Boratyński przemówił w imieniu wszystkich posłów słowami, które podane są tutaj w literackim opracowaniu Łukasza Górnickiego:

Racz Wasza Królewska Mość sam na się okiem rozumu wejrzeć, jeśli stanowi Waszej Królewskiej Mości, wysokiemu urodzeniu, Królowi pomazanemu, w którym nasza jest ostatnia i największa nadzieja, takie ożenie przystoi. Nie tego czekała Korona, nie ten owoc urósć miał z dobrego przyrodzenia Waszej Królewskiej Mości, nie ten z dobrego wychowania [...] małżeństwo takie będąc między nierównymi, to jest między panem a poddaną, między pomazańcem Bożym, a wdową, nie poszło z Boga. A iście nie z Boga ani z natchnienia Ducha Jego. Albowiem ten, który wszystkim rozkazuje, nie swój, ale wszystkich pożytek ma obmyślać. Nie dla upodobania swego, jako inni ludzie, ale dla dobra Rzeczypospolitej ożeniać się królowi przystoi [...] głośno tedy to mówimy, iż na tę cną panią nic nie wiemy, jedno to samo wiemy, to mówimy: iż jest nierówne małżeństwo to, iż jest bez Rad koronnych tajemnie uczynione, iż jest z niesławą, iż jest ze złym, a Boże, by nie z upadkiem Korony tej. Przeto Wasza Królewska Mość za małżeństwo mieć go nie masz, jako my go za małżeństwo nie mamy.

„A tak prze tego Boga” - kończył Boratyński i wszyscy posłowie uklękli.

Co się stało, odstąć się nie może - krótko odrzekł król - a wam przystało nie o to mię prosić, iżbych żonie wiarę złamał, lecz o to, iżbych ją każdemu człowiekowi na świecie chował. Przysiągłem żonie, tej nie odstąpię, póki mię Pan Bóg na świecie zachowa: a miłsza mi jest wiara moja niż wszystkie na świecie królestwa.

W obronie ożenku wileńskiego od razu wystąpili tylko dwaj, lecz za to bardzo potężni ludzie: biskup krakowski Samuel Maciejowski i kasztelan stołeczny Jan Tarnowski. Obaj byli nieprzyjaciółmi Bony, a stronnikami Habsburgów. Osoba Barbary była w tym sporze tylko przedmiotem, czymś w rodzaju symbolu. Istota zatargu dotyczyła polityki państwa.

Sprawy nie załatwiono, poszła w odwłokę. Tymczasem wyruszył do Wiednia wysłany przez króla Stanisław Hozjusz, przyszedł kardynał. 2 lipca

1549 roku podpisał w imieniu Zygmunta Augusta układ z Ferdynandem. Obaj monarchowie przyrzekli sobie pomoc przeciwko własnym poddanym, „wiarołomcom i buntownikom”. Istnieją ponadto zapisane wiadomości, iż przybyło wtedy do Polski pięć tysięcy piechoty hiszpańskiej, którą zakwaterowano w majątkach państwowych.

Za poparcie trzeba było zapłacić nie tylko widokami na przyszłość, lecz i doraźnie. Układ zobowiązywał Polskę do cofnięcia pomocy dla siostry królewskiej, Izabeli Zapolya, która wskutek tego musiała na kilka lat opuścić Siedmiogród. Było to sprzeczne z interesami zarówno Korony, jak sułtana. Zbliżenie do Habsburgów rokowało wielkie niebezpieczeństwa, a ze względu na Turków było podobne do igrania ze śmiertelnie groźnym ogniem.

Zręczność polityczna Zygmunta Augusta zatryumfowała w rozgrywce wewnętrznej. Przejednani zostali najpierw magnaci duchowni, potem świeccy.

Przytoczona dopiero co mowa posła Boratyńskiego była twarda, lecz grzeczna. Całkiem inaczej poczynił sobie Andrzej Górka, kasztelan poznański (ten sam, którego piękny nagrobek oglądać możemy w katedrze tamtejszej). Przemawiał imieniem obu izb i sponiewierał Barbarę w sposób niesłychany. Wyliczył kochanków, których, jego zdaniem, miała jeszcze przed związaniem się z królem. Było ich - ciągle według Górki - trzydziestu kilku. Oskarżył o zarażenie się „francuską chorobą”. Po tym wszystkim nie zawahał się pójść do króla osobiście i nalegać, aby zaniechał zamiaru koronacji Barbary, jeśli nie chce jej w ogóle oddać.

To było w listopadzie 1548 roku. Latem roku 1550 Andrzej Górka własnoręcznie podał strzemień wsiadającemu na koń monarsze. Ugiął się przed Zygmuntem Augustem, ale zachował twarz. Barbary nie przeprosił i nie przybył na koronację, którą tak stanowczo zwalczał.

Odbyła się ona na Wawelu 7 grudnia 1550 roku. Królowa - *primo voto* wojewodzina Gasztołdowa - cieszyła się tytułem tylko przez kilka miesięcy.

Pisze Stanisław Orzechowski:

wkrótce po koronowaniu swoim zacząwszy chorować, z długiego dręczenia choroby, którą nazywają rakiem [...] ledwo dożyła do dnia 8 maja [1551 roku], którego zaiste czasu wielka była pilność Zygmunta w dochowaniu wiary małżeńskiej. Gdy bowiem żonę zaraźliwa dręczyła choroba i wielka jej część nagniła, on w nocy i we dnie przeciwko owej wielkiej i ciężkiej chorobie nigdy nie przestał dobrego męża sprawować urzędu [...] i gdy już poczęła cuchnąć, a wszyscy prócz króla mienili się chorą w zamku krakowskim wielkością choroby ścięsniona w samo południe umarła [...] Król podług tego, jak go prosiła, dnia 25 maja wpośród między Piotrem Kmitą i Spytkiem, wojewodami, samym ją wieczorem z jak największą okazałością z Krakowa do Wilna wywiózł i różnym strojem umarłą przyozdobił. Takie zaś uszanowanie ciała w podróży było, że król nigdzie od trumny nie odstąpił i tuż zawsze za nią jechał smutny; a jeżeli do jakiej wsi lub miasta dojeżdżał, z konia zsiadał i w żalu szedł za ciałem pieszo, ani go żadna słota od tej posługi nie

odwodziła. Na koniec z niezmierną żalnością i z wielkim dworem pobożnie i po chrześcijańsku do Litwy ciało przywiózł i w Wilnie w kościele Św. Stanisława w ojczystym grobie żonę pochował.

Trumny królowej Barbary, Elżbiety Austriaczki i Aleksandra Jagiellończyka odnaleziono w jednym i tym samym podziemnym sklepie katedry. Ukryto je tam później, w stuleciu XVII, w obawie przed profanacją i rabunkiem, a potomność zapomniała miejsca.

Współczucie dla osobistego nieszczęścia monarchy nie mogło odrobić dokonanych faktów politycznych. Utworzyły się w Polsce dwa obozy - po jednej stronie sejm, a po drugiej sprzymierzony z magnatami król.

Zaczął się w naszych dziejach okres znamieny i dziwny, zasługujący na najpilniejszą uwagę. Tym bardziej że upływały ostatnie lata sejmów Korony Polskiej. W niedługim czasie miały one na zawsze zejść ze sceny, ustępując miejsca wspólnym, polsko-litewskim sejmom Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

Zatarg o Barbarę był dla izby poselskiej ciosem strasznym, otrzymanym w dodatku na samiuteńkim wstępie nowego panowania, na które ogół czekał i liczył, zdając sobie sprawę ze słabości starego króla. Młody, dwadzieścia osiem lat zaledwie mający władca nie tylko nie powrócił do tradycji Jana Olbrachta, ale związał się na śmierć i życie z oligarchią magnacką. Najmocniej zaś z tymi spośród możnych, którzy brali od cesarza tytuły.

Sejm po męsku zniósł uderzenie. Nie cofnął się i nie ugiął, wręcz przeciwnie - stwardniał moralnie, wyprostował się i całą szerokością frontu ruszył do przeciwnatarcia. Echa „wojny kokoszej” jakby ręką odjęło. Dopiero teraz program egzekucji praw został rozwinięty w całej pełni. Od dawna już niepowstrzymaną falą płynęły do Polski nowe prądy myśli i stapały się w jedno z rodzimym dorobkiem. Sejmy doby Zygmunta Augusta należą do skutków takiego stanu rzeczy.

W lipcu 1551 roku ukazało się w Krakowie pierwsze wydanie dzieła Andrzeja Frycza Modrzewskiego *De republica emendanda*, który to tytuł w niezbyt gramatycznie wiernym przekładzie polskim brzmi: *O poprawie Rzeczypospolitej*. Wbrew treści karty tytułowej, zapowiadającej pięć „ksiąg” („O obyczajach”, „O prawach”, „O wojnie”, „O kościele”, „O szkole”), tom zawierał tylko trzy części, według wskazanej kolejności. „Albowiem - wyjaśniał sam autor - na to, by w całości wydać tę księgę, nie pozwolili pewni prałaci i teologowie krakowscy.” Kiedy wkrótce potem Modrzewski nawiązał stosunki ze szwajcarską Bazyleą, tamtejszy wydawca pisał doń: „Podług mojego sądu, nie pojawiło się podobne dzieło nie od tysiąca lat, w ogóle od początku świata nie wydali niczego w tym rodzaju ani starożytni, ani nowożytni.” Podobnie wyrażali się inni uczeni ludzie ówczesni. Z tą samą manieryczną przesadą w słowach słusznie wyznaczali traktatowi Frycza czołowe miejsce w literaturze myślicielskiej stulecia.

Oczywiście nie każdy poseł w sejmie polskim podzielał wszystkie poglądy Modrzewskiego. Księga *O poprawie Rzeczypospolitej* nie była oficjalnym programem stronnictwa reform, żądała zresztą tak głębokich i szlachetnych, że żaden kraj na świecie nie był zdolny do ich

urzeczywistnienia. (Gdzie, kto i kiedy wydał kodeks wyznaczający dostojnikom surowsze kary niż prostaczkom?) Wyrosła jednak z polskiej gleby, pragnienia kraju wyrażała w sposób wyidealizowany, a przez to samo jest dziś świadectwem niezastąpionym, idealnym.

Co wcale nie oznacza, że odrywała się od ziemi. Zaczynała się od słów: „Zygmuntowi Augustowi, królowi polskiemu, wielkiemu księciu litewskiemu, panu i dziedzicowi Rusi, Prus i Mazowsza - pozdrowienie.” Nieco dalej czytamy:

Rzeczpospolita sama w wielu swych dziedzinach pełna jest zamieszania. Są w niej bowiem i prawa niektóre, dawno już znacznej poprawy wymagające, i takie sądy, iż pożądana by w nich była większa surowość; w obyczajach zaś jej występuje często rozprężenie, lekkomyślność i wielka płochość. Sama tedy Rzeczpospolita tego od ciebie żąda i tę ci po wstąpieniu na tron nakłada konieczność, byś to naprawił i zrozumiał, że masz ład zaprowadzić.

Te słowa dokładnie wyrażały wolę sejmów walnych koronnych za Zygmunta Augusta. To król przez czas długi stał przeciwko nim. One szły ku niemu wołając, „abi yusz nie obiecywał, alye czynił”, pchały mu władzę w ręce, chciały uporządkować i wzmocnić państwo.

Widowisko dziejowe naprawdę niecodzienne! W Polsce można było wtedy stosunkowo łatwo, a już na pewno bez zbytnich okrucieństw, osiągnąć ten sam cel, dla którego jednocześnie w Anglii, we Francji, w Moskwie, w Niemczech przelewano mnóstwo krwi. Do wzmocnienia władzy państwowej wzywał sejm człowieka obdarzonego dużym poczuciem dostojności monarszego. Na wiek przed Ludwikiem XIV umiał Zygmunt August głosić jego maksymę, dyskusje polityczne ucinął słowami: „Ja tak chcę!”

Ścierały się podówczas w Polsce dwie koncepcje polityczne. Izba poselska wyznawała program wywodzący się od Łaskiego i Zaborowskiego: czynnikiem panującym jest prawo, które uchwalają król, senat i sejm razem, a skierowane przeciwko magnatom dawniejsze ustawy mają pełną moc i należy je wykonać. Zygmunt August nie chciał uznać politycznej roli tych, którzy w sali obrad zasiadają „opozad”, blisko drzwi. Jego oficjalnie wyrażonym zdaniem sejm to „stan pośledniejszy od rad koronnych”, posłowie zaś zostali „niedawno ku radzie sejmowej przypuszczeni, i to jedno dla potrzeb koronnych ku obronie granic od nieprzyjaciela”. Izba poselska powinna więc poprzestawać na uchwalaniu podatków. Jasna rzecz, iż w tych warunkach izba podatków odmawiała, czego niepodobna przypisywać samemu tylko skąpstwu. Prowadziła walkę przeciwko arystokratycznej zasadzie rządzenia.

„Egzekucja praw” polegała przede wszystkim na żądaniu, „aby wrócono Rzeczypospolitej to, co jej nad prawo odjęto”. Źrenica programu to „egzekucja dóbr”, czyli zamiar odebrania magnatom, a oddania rządowi majątków bezprawnie rozszafowanych od czasów Aleksandra Jagiellończyka, który sobie i swoim następcom „zawarł rękę”. Tak w języku ówczesnej polityki ujmowano treść znanej nam ustawy z 1504 roku,

zabraniającej dokonywania darowizn bez zgody sejmu.

Wykonanie „egzekucji dóbr” siłą faktu urzeczywistniłoby władzę państwową, ponieważ rząd otrzymałby środki materialne na prowadzenie polityki skutecznej. Równałoby się stworzeniu odskoczni do dalszych działań, szczególnie w tych dziedzinach, w których sejm jeszcze króla nie krępował. A były to dziedziny rozległe.

Sejmy sporządzały i przedkładały monarsze przerażająco długie spisy wsi i miast bezprawnie dzierzonych przez osoby prywatne (owe wykazy odnosiły się oczywiście tylko do Korony; na Litwie możni władali dobrami z natury rzeczy jeszcze obszerniejszymi). 3 lutego 1558 roku, w piątek, rozegrała się w Piotrkowie charakterystyczna scena. Z podniety posła sandomierskiego, Kietlińskiego, sejm postanowił stworzyć fakt dokonany, zacząć... od siebie.

Aby nas winować nie mogli - prawil Kietliński - dajmy im pobudkę, a uczynimy tak: jeśliże co jest między nami u kogo, co by przeciwko prawu trzymał, pójdźmyż z tym do pana swego [króla], a oddajmy mu wszystko, upomnimyż tym i pany, aby także uczynili, wszakże nam obiecują i klną się, że nie chcą w tym być krzywi Rzeczypospolitej.

Tegoż dnia zwrócone monarsze przywileje zasłały stół, za którym siedział Zygmunt August, ławy i podłogę wokół. Posłowie zgodnie wykonali pomysł Kietlińskiego, pod presją moralną to samo musieli uczynić magnaci.

Po naradzie z senatem Zygmunt August podziękował zebrany za obywatelski uczynek i odroczył sprawę do następnego sejmu. Poleciał, aby dotychczasowi posiadacze wzięli swe dokumenty z powrotem. Magnaci usłuchali od razu, można przypuszczać, że zwracając je byli spokojni o końcowy wynik. Posłowie nie chcieli brać. Król sam wtykał im pergaminy w dłoń.

Upadł również wysunięty później przez sejm wniosek o powołanie w każdym powiecie „instygatora”, czyli kontrolera królewskiego, wyposażonego w siłę zbrojną tudzież pełne prawo nadzorowania urzędników. Nie doczekała się wykonania stara ustawa o „incompatibiliach” i możni nadal skupiali w jednym ręku dostojeństwo, dające władzę i wielkie dochody. Puszczono mimo uszu wołania sejmu o naprawę szkolnictwa i podniesienie poziomu studiów wyższych.

Projekty wychodzące „z dołu” przepadały, gubił je bierny opór króla i senatu, którzy ze swej strony nie wysuwali żadnego programu. Sejm przez cały czas działał legalnie, nie wezwał szlachty do broni. Kto wie, czy nie na tym polegał jego główny błąd? Udany zamach stanu często odgrywał w dziejach rolę dodatnią. W owej okrutnej dobie historii europejskiej Polska odznaczała się powściągliwością, być może, nadmierną.

Przemoc polityczna była u nas wtedy stosowana, ale przez magnatów, szczególnie litewskich, którzy nie krępowali się wcale. Do nich w całej pełni odnosiły się słowa Modrzewskiego: „Nienasycona się bowiem staje i bez granic żądza władzy, jeśli zapadnie w duszę, która sobą nie włada.” Od złamania ich przewagi zawisła przyszłość całego państwa. Polska

przeżywała decydujące chwile. Tlum szlachecki żądał rzeczy zasadniczo pożytecznych, jeszcze się nie wykołoił, aczkolwiek już od półwiecza przeszło, wbrew własnej woli, musiał uprawiać opozycję.

Egzekucja praw i dóbr to dopiero jedna strona działalności sejmów ówczesnych. Druga dotyczyła reformacji religijnej i wzbudzała bodaj jeszcze więcej zapału. Fakty, o których tu mowa, całkowicie unicestwiają znane twierdzenie, że pod naszą szerokością geograficzną słowa „Polak” (a zwłaszcza „dobry Polak”) i „katolik” znaczą to samo. Za Zygmunta Augusta zbawiennych dla Polski rzeczy żądały sejmy w olbrzymiej większości składające się z Polaków-protestantów. Zdarzało się tak, że na mszę rozpoczynającą obrady szedł król w towarzystwie dwóch senatorów. Cała reszta to byli *dissidentes de religione* - różniący się w wierze.

Ich przywódcy to kalwin - Hieronim Ossoliński, „brat czeski” Rafał Leszczyński oraz najwybitniejszy i najlepszy - Mikołaj Siennicki, który najdalej też zaszedł w wolnomyślicielstwie, zostawszy później arianinem. Kalwinem był bardzo popularny w kraju i w izbie poselskiej Mikołaj Rej.

Historycy zgodnie stwierdzają, że reformacja płynęła przez Polskę falą szeroką, lecz płytką. Lud pozostał przy katolicyzmie, to samo uczyniła lwia część szlachty. Władysław Konopczyński utrzymuje, że mimo nowinkarskich hałasów zabrano katolikom tylko trzy kościoły. Wobec tego wszystkiego tym wyraziściej staje przed nami najważniejsze pytanie. Jakim cudem dzieć się mogło, iż katolicka przeważnie szlachta wybierała na posłów niemal samych protestantów?

Polska korzystała wtedy z błogosławionych skutków *swego wlasnego*, przez sześćset lat chrześcijańskiej już historii wyrobionego stosunku do spraw wiary. Wybierano dysydentów, bo to byli ludzie najbardziej umysłowo rozbudzeni, czynni, odważni, mający słuszny program. Zalecały ich sejmikom względy po ziemsku rzeczowe, a nie wyznaniowe. Dawano Rejowi mandat, ponieważ był zdolnym, rozumnym i przyzwoitym człowiekiem. Jego kalwinizm ani go degradował, ani protegował.

Odpychanie i poniżanie inaczej wierzących, fanatyzm, znamię religijne na politycznych sztandarach to wszystko pojawiło się u nas później, w dobie upadku, materialnej i moralnej nędzy. Średniowiecze i Złoty Wiek, dwie wielkie epoki naszych dziejów, nie znały tych zjawisk.

Pozbawione ideologicznej jedności sejmy były przez długie lata zadziwiająco zwarte w walce o rzeczy dla kraju pożyteczne.

A oto próbki tonu sejmowego w sprawach kościelnych, które trudno jednak uznać za ściśle religijne:

ichmość księza pozywają nas [...] tytułami swymi, ciągnąc nas ku jakiemuś prawu cudzoziemskiemu rzymskiemu, przeciwnemu prawu i wolnościom koronnym naszym, rozciągając w tym jurysdykcję swę i pana swojego, rzymskiego papieża, której jurysdykcji, jako jej w prawie swym nie widzimy, tak też jej na sobie nieść nie możemy ani chcemy; bo my ni o czyjej jurysdykcji nie wiemy, jeno o zwierzchności Króla Jego Mości naszego pana.

Był to głos województwa sandomierskiego. A teraz skarga ziem ruskich, zawierająca wiadomości ważkie, źle wróżące o przyszłości:

Stan duchowny rzymskiego Kościoła jako w innych ziemiach szlachtę a rycerstwo koronne do sądów swoich ciągnie [...] tak się też to wszystko dzieje w Ruskich Ziemiach, ichmość księża przywłaszczają sobie nad nami zwierzchność, prawo, sądy o majątności, o gardła, o poczciwości, o małżeństwa, o dzieci nasze i dusz naszych zbawienie, co nic innego nie jest, jeno tyraństwo a niewola [...] nad wszystkich ziem uciski tu jeszcze większe okrucieństwa cierpimy. Szlachtę posłuszeństwa Kościoła greckiego do sądów swoich przymuszają [...] jeśli się kiedy trafi, by jeden raz rzymski człowiek na roli siedział, już po nim kmiotki nasze greckie w nabożeństwie, zwyczaj, na dawanie mesznego przyciskają. Przetoż gdy rola po Lachu spustoszeje, nie chce na niej Rusin dla płacenia mesznego siedzieć, tak iż wiele pustek we wsi mieć musimy. Są to rzeczy bardzo obciążliwe, a przedtem nigdy w Rusi nie słychane.

Różnowierstwo opanowało Polskę od góry i - jak się mogło zdawać - na dobre. Hierarchia kościelna stawiała opór natury czysto fizycznej, do innego nie była zdolna. W 1551 roku kapituła krakowska w słowach całkiem niedwuznacznych oskarżyła biskupów o obojętność dla spraw wiary, nawet o jej brak, a ponadto jeszcze o chciwość, rozpustę i temu podobne rzeczy. Potwierdził to nuncjusz, pisząc, że ci purpuraci tylko wtedy zdobywają się na energię, kiedy chodzi o dobra doczesne. Wyższy kler myślał przeważnie o zachowaniu przywilejów w tym ustroju, który się kiedyś wyłoni z trzęsienia ziemi. Przeciwno sobie miał większość szlachty, której nadojadły te właśnie przywileje, lecz także ludzi rozmaitych stanów, ożywionych prawdziwą, bezinteresowną wiarą, gotowych do poświęceń i stwierdzających to czynem.

Przybył raz na sejm szlachcic Ożarowski, „człowiek zacny”. Zwrócił przywilej na wieś Przybysławice w województwie lubelskim, oświadczając, że nie może z niej korzystać, nic w zamian państwu nie dając. Na perswazje odpowiedział: „Wziąć mi, Panie mój, gwałtem co możesz; ale dać mi gwałtem nic nie możesz.”

Nie stanowił wyjątku.

Byli tacy - zanotował świadek - którzy i sami schłopieli, sami rękoma swymi robili [...] Byli drudzy, którzy ludzie zacne a nabożne wiedli do tego, że urzędy porzucali, broni odpasali, prawowania się w największym ukrzywdzeniu i przysięgi w potwarzaniu zakazowali. I wiele ludzi zacnych urzędy ziemskie porzucili i król je komu inszemu dawał; drudzy i majątności opuszczali, i przedane rozpraszałi.

Tak sobie poczynali arianie, czyli bracia polscy. Gwałtownie występowali przeciwko nim zarówno katolicy, jak i protestanci rozmaitych wyznań (wygnanych w przyszłości z Polski wygnano z kolei z zachodnich Niemiec). Ludziom, którzy różniąc się pomiędzy sobą w sprawach wiary, zawsze jednak żądali od religii zatwierdzenia określonego porządku

społecznego wraz z jego nierównościami i hierarchią, ludziom takim nie mógł odpowiadać program arian, którzy „znoszą też wszelką różnicę stanów w Kościele i państwie, aby żadnej nie było między królem a ludem, między panującym a poddanymi, między szlachtą a plebejuszami”.

Arianizm polski zdecydowanie wyodrębnił się od innych kierunków protestanckich dopiero w ostatnim dziesięcioleciu rządów Zygmunta Augusta. Jego słynny ośrodek w Rakowie powstał w roku 1569, mając jeszcze przed sobą okres rozkwitu. Skupili się tam ludzie ożywieni najbardziej ewangelicznymi intencjami, pochodzący z rozmaitych stron rozległej monarchii i z różnych warstw społecznych od szlachty, która wyrzekła się dóbr i władzy, aż do rzemieślników i chłopów. Zajmowali się pracą fizyczną i umysłową. Godzili się z tym, że inni bracia tego samego wyznania prowadzą poza Rakowem całkiem ziemskie życie, sami jednak pragnęli urzeczywistnić ideał. W początkach XVII stulecia założyli w Rakowie - będącym dziś wioską - szkołę, akademię raczej, która posiadała około tysiąca uczniów, znakomitych profesorów i zasłynęła na cały kontynent.

Arianizm polski, stawszy się w przyszłości już tylko wspomnieniem i tematem historycznym, przyciągał ku sobie serca takich jak Stefan Żeromski. Żył w tej sekcie piękno szczerego dążenia ku prawdzie. Zasady jej nie dawały się wcielić w życie, ale nie to okazało się najważniejsze w oczach potomnych. Arianie doszli do skrajności - niczym się nie odznaczając w zakresie okrutnych praktyk czy krwawych teorii, nie uprawiając ich nawet wcale. Ich skrajność łączyła się z wyrozumiałością wobec innych ludzi, a polegała na stawianiu ogromnych wymagań samemu sobie.

Zastanawiające, że tak szlachetna forma „ucieczki od życia realnego” rozkwitła w państwie obfitującym w swobody, a przez to i w pokusy, zwłaszcza dla uprzywilejowanych. Łatwiej przecie wzgardzić światem niewoli niż wolności. Najwidoczniej sama atmosfera tej ostatniej sprzyja zjawiskom, które stanowią moralny skarb ludzkości.

W czasach, o których teraz mowa, główne kierunki protestanckie zdążyły już okrzepnąć i potrafiły sięgać po „miecz świecki” w sposób godny samej inkwizycji hiszpańskiej. Za przeczenie bóstwu Chrystusa Kalwin spalił na stosie Miguela Serveta, wybitnego uczonego. Dostał go w ręce podstępem, i to wyjątkowo plugawym. Zadenuncjował Serveta przed inkwizytorami Kościoła i uchodzącego z Francji sam pochwycił. Stało się to w Genewie w roku 1553. Humanisci, pisarze i myśliciele niezależni byli już wtedy ledwie tolerowani. Jednym z ich skupisk stała się Bazylea, gdzie w latach 1551-1571 studiowało około siedemdziesięciu młodych Polaków. Między wspomnianymi mistrzami a uczniami znad Wisły istniało zrozumienie i sympatia. Są domysły, że intelektualiści zachodni szukali tą drogą mecenasów wśród młodych magnatów polskich. Także charakterystyczne.

Jeden z profesorów bazylejskich, Włoch imieniem Celio Secundo Curione, napisał traktat *De amplitudine regni Dei*, w którym udowadniał, że i bez religii objawionej można osiągnąć zbawienie oraz że w państwie Bożym jest miejsce nawet dla uczciwych pogan. Rozprawę swą autor

dedykował królowi Zygmuntovi Augustowi, uzyskawszy przedtem jego zgodę na ten gest.

W Polsce Złotego Wieku panowała atmosfera moralna naprawdę zasługująca na szacunek. Swoboda myśli, osiągnięta w miodowych latach Renesansu, utrzymała się tu dłużej niż gdzie indziej. Aleksander Brückner twierdzi, że nie unia i nie Grunwald rozsławiły Polskę w Europie. Dokonała tego jej tolerancja i nieklamana wolność. Niezbitym dowodem - dodajmy - są właśnie owe liczne dedykacje dla króla Polski, widniejące na ksiązkach z całego kontynentu.

Polska nie zabezpieczyła, niestety, swej wolności wewnętrznej przed kontratakami, nie obwarowała jej instytucjami i prawem.

Z rozmaitych wyznań religijnych zdecydowanie wziął u nas górę kalwinizm. Jego swoisty demokratyzm polegający na braku wystawności kultu (co obniżało materialne koszty wiary) odpowiadał szlachcie. Wielką rolę odegrało i to, że Jan Kalwin był Francuzem, a więc nauka jego nie nosiła szaty niemieckiej, jak luteranizm. Kalwinizm, zwany w Polsce wyznaniem helweckim, przyjął również Mikołaj Radziwiłł Czarny, co zaraz wywarło olbrzymi wpływ na stosunki litewskie.

Sprawy religijne w Wielkim Księstwie tworzyły wtedy obraz barwny, ciekawy i obfitujący w jaskrawe kontrasty. Protestantyzm zakorzenił się mocno, wkrótce miał się nawet pojawić w Wilnie katechizm kalwiński po rusku. A jednocześnie:

Świeże jeszcze bardzo w tym naszym Wielkim Księstwie są powiewy chrześcijańskiej wiary. Tu bowiem, poza Wilnem, a szczególnie na Żmudzi, ciemny, nieokrzesany lud oddaje cześć bożą (że zamilczę już o innych zabobonach) gajom, dębom, ruczajom, wężom wreszcie i składa im publicznie i prywatnie ofiary.

- pisał Zygmunt August i wznosił liczne kościoły katolickie, zakładał przy nich szkoły. Nawet jeszcze później biskup żmudzki, Melchior Giedroyc, mówił to samo co król:

W bardzo wielkiej części mego biskupstwa nie ma nikogo, kto by się raz w życiu spowiadał, kto by się raz w życiu komunikował; nikogo, kto by umiał pacierz lub znak Krzyża Świętego; nikogo, kto by miał jakąkolwiek wiadomość o tajemnicach wiary.

Biskup wileński Walerian Protasewicz Szuszkowski od chwili swego obioru (1556) jął przemyślać nad założeniem w stolicy litewskiej wyższej uczelni kształcącej duchownych i po długich zabiegach doczekał się chwili otwarcia kolegium jezuickiego, załóżka przyszłego uniwersytetu. Pojawiali się w Wilnie zbiegli z Moskwy popi, podejrzani w ojczyźnie o brak prawowierności. Jeden z nich, niejaki Teodozy Kos, dość daleko zaszedł w radykalizmie, gdyż w ogóle odrzucił chrześcijaństwo i przyjął zakon mojżeszowy.

Nad wszystkim górował ten sam co w Koronie duch tolerancji. W 1563 roku wydał Zygmunt August przywilej dla innowierczej szlachty

Wielkiego Księstwa. Otrzymywała ona prawa, którymi od czasów Jagiełły cieszyli się Litwini-katolicy. Najwięcej zyskiwała na tym szlachta prawosławna, bez porównania liczniejsza od protestanckiej. Na przywileju tym, obok imion króla i świeckich dostojników, widniały własnoręczne podpisy trzech biskupów rzymskokatolickich.

W Koronie kwestie religijne zarysowały się szczególnie ostro w roku śmierci Barbary - 1551. Synod piotrkowski rozpoczął przeciwnatarcie od strony Kościoła. Ułożył wyznanie wiary i postanowił, że każdy przyjmujący święcenia kapłańskie musi wpieryw publicznie wygłosić ów akt, zakazał duchownym zadawania się z heretykami oraz czytania ich ksiąg i zobowiązał cały kler do walki z odszczepieństwem. Każdy biskup musiał powołać w swej diecezji „inkwizytora heretyckiej nieprawości”.

W tym samym roku biskupem wrocławskim został Jan Drohojowski, przyjaciel Modrzewskiego, człowiek wysoko wykształcony na Zachodzie, za młodu prawosławny. Jego dwór w Wolborzu od razu stał się silnym ogniskiem nowinkarstwa. Biskup nie tylko otaczał się różnowiercami, ale i sam był w duchu protestantem. Katolicyzmu trzymał się ze względów oportunistycznych, wytaczał procesy tym, którzy odmawiali płacenia dziesięcin, lecz w ogóle nie występował przeciwko zmieniającym wyznanie świeckim, pilnował jedynie księży. W Gdańsku, który mu podlegał, odstąpił luteranom kościół Św. Jana. Prawowierni i gorliwi mieli mu bardzo za złe przyjaźń z Modrzewskim i mianowanie go wójtem w Wolborzu.

W Krakowie biskupem był wtedy Andrzej Zebrzydowski, który przeszedł do historii wraz ze swą osławioną zasadą: „A wierz sobie i w kozła, byleś dziesięcinę płacił.”

Siły hierarchii krajowej nie wystarczyłyby na złamanie różnowierstwa, zwłaszcza że szlachta od razu mocno stanęła okoniem przeciwko próbie powrotu do dawnych porządków. Bodźca dostarczyła sprawa Konrada Krupki Przecławskiego, którego Zebrzydowski oskarżył, iż „sobie Marcina Lutra, heretyka, naukę upodobał i jawnie dobrą ją być wyznawał”. Podczas rozprawy sądowej bramę krakowskiego pałacu biskupiego przyszło zamknąć, „a za wroty przeciwko ulicy kilka działek zatoczyć”. Wyrok skazujący wywołał oburzenie i zorganizowaną agitację w całej Koronie. Mówiono: „jako rzecz niebezpieczna jest wolnościom szlacheckim, żeby księża poczciwych ludzi [...] czci odsądzać mieli”. W roku 1552 na sejmie piotrkowskim posłowie nie dopuszczali do obrad, żądając wpieryw zniesienia dekretu biskupa i Zygmunt August zawiesił obowiązujące dotychczas prawo o wykonywaniu wyroków trybunałów duchownych przez władze państwowe. „Miecz świecki” wypadł z rąk kleru. W roku 1553 szlachta przemocą uwolniła w Poznaniu dwóch mieszczan skazanych za herezję.

Do jeszcze poważniejszych postanowień doszło w trzy lata później, również w Piotrkowie.

Główne żądanie różnowierców dotyczyło założenia w Polsce Kościoła narodowego. Po burzliwych obradach sejmu, wielkim głosem wołającego również o egzekucję praw, król wezwał poddanych do zachowania pokoju religijnego, sam zaś wysłał do Rzymu Stanisława Maciejowskiego. Miał on

domagać się od papieża zgody na cztery nie lada jakie punkty: mszę i inne nabożeństwa odprawiać się będzie w języku polskim, księżom wolno się żenić, komunii udzielać należy pod dwiema postaciami, zwołany zostanie w Polsce sobór narodowy.

Posel trafił w Rzymie na samą chwilę koronacji nowego papieża, Pawła IV. Wywarł dodatnie wrażenie, został uprzejmie przyjęty i wyłożył głowie Kościoła, o co prosi król, „powodowany chęcią ludu”.

Z niemałym smutkiem i goryczą serca Ojciec Święty słuchał tych żądań - pisano z Rzymu do nuncjusza papieskiego w Polsce - nie mógł nawet utaić żalu, że król choćby naglony natrętnymi domaganiami, czy to narodu, czy to kilku osób, tak się dalece zapomniał, że na ich przedstawienie zezwolił. Powinien był Król J. M. nie tylko nie słuchać tak nieprzyzwoitych żądań, lecz surowo zgromić tych, co wazyli się je podać.

Maciejowskiemu uszło na sucho, ponieważ był posłem monarchy, którego nie należało zrażać. Paweł IV umiał bowiem zamykać do więzienia nawet kardynałów. To on nadał inkwizycji rzymskiej, zorganizowanej na wzór hiszpańskiej, prawo stosowania tortur także dla wydobycia zeznań o współwinowajcach.

Wstąpił na tron w siedemdziesiątym dziewiątym roku życia, panował cztery lata. Kiedy 18 sierpnia 1559 roku zmarł, tłum składający się zarówno z ludu, jak z arystokratów uderzył na gmach inkwizycji, który splądrował i podpalił, oraz na klasztor dominikanów. Pomnik zmarłego, wzniesiony mu za życia, obalono i rozbito. Głowa posągu wraz ze zdobiacą ją tiarą poniewierała się po brukach rzymskich, kopana nogami.

Odruchy niewiele znaczyły, zdecydowanie zwyciężył kierunek surowy, którego Paweł IV (kardynał Jan Piotr Caraffa) był doskonałym przedstawicielem. Od roku 1540 istniał zakon jezuitów, składających ślub bezwzględного posłuszeństwa papieżowi. W roku 1542 powstało Sacrum Officium, czyli inkwizycja, również podlegające tylko Stolicy Apostolskiej. Od roku 1543 zaczęły się ukazywać spisy ksiąg zakazanych. W dwa lata później rozpoczął w Trydencie obrady sobór powszechny, powołany do całkowitego uporządkowania stosunków w Kościele. Zakończył swe dzieło 4 grudnia 1563 roku. Uchwały jego objęły dziedzinę dogmatyczną i ustrojową, podniosły powagę papieża i naprawdę uzbroiły je do walki. Zaczął się okres kontreformacji, zwanej inaczej reakcją katolicką.

Poprzednio obraz Europy przedstawiał się zastraszająco, jeśli patrzeć z punktu widzenia Rzymu papieskiego. Dokonajmy krótkiego przeglądu, idąc za znawcą tych spraw, Leopoldem von Ranke. Anglia i Skandynawia stracone, Niemcy niemal całkowicie protestanckie, Polska i Węgry w stanie wrzenia, Genewa równie silną stolicą reformacji jak luterkańska Wittenberga, we Francji i w Niderlandach potężne stronnictwa protestanckie. Tylko w Hiszpanii i we Włoszech ruch został opanowany, zgnieciony.

Teraz, po zakończeniu obrad soboru trydenckiego, ruszyła wielka kontrofensywa.

Pierwsze uderzenia nastąpiły wcześniej. Na wiosnę 1556 roku nuncjusz, Alojzy Lippomano, wdrożył surowe śledztwo przeciwko Janowi Drohojowskiemu. Biskup załamał się i uległ, ale już nie na długo. Rozchorował się wskutek ciężkich przeżyć i umarł w Wolborzu 25 czerwca 1557 roku, mając pięćdziesiąt dwa lata. Na łożu śmierci żałował, że otwarcie nie występował ze swymi prawdziwymi myślami. Skończył jako protestant. Modlitwy nad konającym odmawiał Andrzej Frycz Modrzewski, powtarzając głośno: „W ręce Twoje, Panie, polecamy tego człowieka.”

W listopadzie 1563 roku, a więc jeszcze przed ostatnim posiedzeniem soboru trydenckiego, przybył do Polski nuncjusz, Jan Franciszek Commendone, dyplomata wytrawny i zdolny. Na sejmie roku następnego Zygmunt August przyjął od niego księgę uchwał soboru. Przyjął w prostym tego słowa znaczeniu - z rąk do rąk - bo przyjęcie w sensie prawniczym nastąpiło dopiero w roku 1573, za Stefana Batorego.

Commendone potrafił odpowiednio oddziaływać na polską hierarchię kościelną, która poprzednio sama była dość przychylna idei Kościoła narodowego, a już bojowością mało się odznaczała. Ramię w ramię z Włochem szedł działacz krajowy. Był nim Stanisław Hozjusz. Odegrał on w Trydencie rolę wybitną, występował tam jako legat papieski. W 1564 roku pojawili się u nas jezuici.

Zygmunt August, który poprzednio ulegał naciskom sejmu, lecz nie wyzyskał reformacji politycznie, teraz nie stanął na czele kontrreformacji. Okazja, chwila sposobna do wzmocnienia państwa i położenia ręki na części przynajmniej olbrzymich majątków kleru, odchodziła w przeszłość. Spełniała się gdańska zapowiedź z 1526 roku jedno z walczących wyznań brało górę, ale państwu nie przynosiło to pożytku. Zaczynał się nawet proces przeciwny. W przyszłości, po całkowitym opanowaniu serc i umysłów szlachty, kler zdobył zdecydowaną przewagę nad tronem.

Jak się już wspomniało, w 1555 roku król przyjął do wiadomości żądania sejmu i przedstawił je papieżowi. Po łatwej do przewidzenia odmowie Rzymu nie nastąpiły w Polsce żadne fakty dokonane, na które sejm właściwie zawczasu wyraził zgodę. Taka metoda postępowania nie mogła nigdzie zaprowadzić. Polskie dążenia reformacyjne zostały zmarnowane.

Razu pewnego rozegrała się w Wilnie znamienna scena. Uproszony przez Radziwiłła król wybrał się odwiedzić zbór helwecki. Na placu przed katedrą zastąpił mu przejazd biskup, przybrany w szaty pontyfikalne.

- Nie ta jest droga, którą przodkowie Waszej Królewskiej Mości szli do królestwa niebieskiego, ale ta! - zawołał wskazując na drzwi świątyni. Zygmunt August zsiadł z konia i poszedł z biskupem do kościoła. Gdybyż mu wtedy powiedział: dobrze, pójdę, lecz stawiam takie a takie warunki...

Nuncjusz Ruggieri pisał o nim:

W religii nie widać, aby się w czym oddalił od Kościoła rzymskiego, chociaż życzyć by należało, aby częściej przystępował do Stołu Pańskiego, bywał regularniej na mszy i na kazaniu, i bez wątpienia należałoby mu być gorliwszym o służbę Boga i zbawienie swych ludów.

Zygmunt August nigdy właściwie nie chciał zrywać z katolicyzmem, ale kwestię zbawienia duszy pozostawiał każdemu ze swych poddanych do osobistego załatwienia. Odróżniał się jaskrawo od współczesnych mu monarchów europejskich. Jego tolerancja i odraza do prześladowań religijnych zasługują na podziw. Wielkie słowa: „Nie jestem królem waszych sumień”, są prawdziwe. Ciężki zarzut przeciwko niemu polega na tym, że w Polsce ówczesnej nie trzeba było okrucieństw dla wzmocnienia państwa. Mógł czynić rzeczy słuszne i potrzebne, pozostając sobą. Miał po temu zdecydowane poparcie ze strony sejmu.

Późniejszego nieco Henryka IV czci się za to, że uporządkował Francję i wydał w Nantes edykt tolerancyjny. Ale ten człowiek naprawdę zawsze wiedział, czego pragnie. Zwycięstwo zapewnił mu nie tylko jego osobisty geniusz. Walnie dopomogła średnia i drobna szlachta francuska, która - przyzwyczajona do nieustannych walk wyznawała pogląd, że „wojownik nie potrzebuje nic umieć, z wyjątkiem własnego podpisu”. Szlachta polska była wtedy chyba więcej warta.

Ponieważ często wspomina się tu o Francji, nie zawadzi powiedzieć mimochodem, w jaki sposób jej królowie poradzili sobie ze szlachtą. Jak osłabili jej znaczenie polityczne? Celowo i z rozmysłem zdemoralizowali ziemiaństwo. Sprawili, że większość dziedziców opuszczała swe wsie, zadłużała się, by błyszczeć u dworu, i ostatecznie żyła z łaski monarchy, zostawała honorowym żebractwem. Praktykę tę wdrożył właśnie Henryk IV. Co roku jedna piąta jego budżetu szła na herbowych utrzymanków, który to system aż do samej Wielkiej Rewolucji należał do głównych cech „starego porządku”.

Dzieła imponujące pod względem politycznym osiągnano często w sposób daleki od przyzwoitości.

Oryginalnym znamieniem stosunków polskich za Jagiellonów była nędza skarbu państwa, lecz także i to, że szlachta wzywała królów do odebrania magnatom nieprawnie zagarniętych dóbr koronnych oraz do naciśnięcia suto wypchanej kiesy kleru. Liczyła oczywiście, że te źródła dochodu uwolnią ją samą od konieczności ponoszenia nadzwyczajnych wydatków, chociażby na obronę granic. Wcale to nie osłabia dodatniej oceny programu egzekucji praw i dóbr. Raz wzmocniwszy siły, mógłby król później wziąć w rzy i ziemiaństwo także. Dobro kraju wcale nie wymagało naśladowania metod francuskich, żądało tylko osiągnięcia podobnego celu - wzmocnienia tronu.

Wykaz zmarnowanych możliwości nie został jeszcze doprowadzony do końca. Przychodzi kolej na rzecz najważniejszą, sprawę, której zaniedbanie sprowadzić miało skutki wręcz okropne. Puszczony samopas, pozbawiony kierownictwa, a nawet sabotowany przez króla, krzywo rósł parlamentaryzm polski.

Nieszczęsne *liberum veto*, czyli zasada jednomyślności uchwał sejmu, uchodzi za niezbity dowód polskiej skłonności do anarchii. Jest to „prawda” z gatunku gruntownie fałszywych, bo geneza *liberum veto* nie miała nic wspólnego z tzw. charakterem narodowym. Prawdą już pozbawioną cudzysłowu i absolutnie niezbitą jest to tylko że k a ż d y

kraj europejski musiał wcześniej czy później samodzielnie dojść do zasady stanowienia o wszystkim większością głosów. K a ż d y musiał wielkim wysiłkiem zwalczyć przesąd jednomyślności, właściwy prymitywnym organizmom politycznym.

W rozdziale zatytułowanym „Rok Pański 1440”, a opowiadającym o przyjęciu przez Warneńczyka korony węgierskiej, mówi Jan Długosz: „większość głosów (jak zwykle bywa) górę wzięła”. A więc już w XV wieku przewaga większości uchodziła lub zaczynała uchodzić w Polsce za rzecz zwyczajną. Czemuż zatem poszliśmy nie naprzód, lecz w tył i w XVII stuleciu głos jednego posła zrywał sejm?

Polska literatura historyczna posiada znakomite dzieło poświęcone temu tematowi. Jest to studium Władysława Konopczyńskiego *Liberum veto*, wydrukowane w roku 1918 i od tej pory nie wznawiane. Około jednej trzeciej swych obszernych wywodów poświęcił autor dziejom innych państw, resztę Polsce. Na stronach 338 i 330 czytamy:

Zagadnienie: większość czy jednomyślność? stało otworem w różnych krajach przez całe wieki. Anglicy [...] rozstrzygnęli je u siebie około roku 1300, Francuzi w wieku XIV, Niemcy - zależnie od sfery, w jakiej odbywało się głosowanie, i od jego przedmiotu - pomiędzy wiekiem XIV a XVI, Hiszpanie, zależnie od dzielnicy, albo od czasów Filipa II (1592 rok w Aragonii), albo o parę wieków wcześniej (w Kastylji), Szwajcarzy w wieku XIV, chociaż nie bez odwrotu w stronę jednomyślności, kiedy chodziło o kwestie wyznaniowe albo skarbowo-wojskowe. Stany holenderskie i belgijskie borykały się z objawami partykularyzmu i sejmikowym „nie pozwalam” jeszcze w wieku XVIII; Szwedzi uporządkowali swe sejmy w duchu majorystycznym ostatecznie za Gustawa Adolfa [pierwsza połowa XVII wieku - przyp. P. J.], w momencie swego najszybszego rozrostu mocarstwowego. Dania i Norwegia dzieliły pewne objawy „choroby sejmowej” z Polską i Holandią, dopóki ich sejmy nie stopniały w oparach absolutyzmu. Węgrzy nie uporali się z niezawistością komitatów aż do najnowszych czasów. Okazuje się zatem, że gdyby Polska za ostatnich Jagiellonów od razu rozciąła zadzierzający się węzeł gordyjski, to wyprzedziłaby większą część narodów europejskich.

I miała po temu warunki, nie miała za to rządu, który by chciał wesprzeć sejm. Za Zygmunta Augusta izby poselskie decydowały większością głosów, skłonione do tego przez własny rozum i poczucie konieczności politycznej. Należało przetworzyć tę arcydotadnię, lecz doraźnie powstała rzeczywistość w niezłomną zasadę prawną, obowiązującą już stale. Materiał na budowę zdrowego parlamentaryzmu istniał w Polsce. Zabrakło budowniczego. Michał Bobrzyński, znający historię także od strony praktyki politycznej, wywodzi zupełnie słusznie:

programy polityczne, wychodzące z łona najznakomitszych stronnictw parlamentarnych, są zawsze w znacznej części niepraktyczne, a mają jedyną zasługę inicjatywy wobec rządu i zapewniają mu w pewnym kierunku poparcie. Sformułować praktyczny program i przeprowadzić

może tylko rząd, i jego to jest zadaniem.

Cała przyszłość polskiego sejmowania zależała od dokładnego określenia roli posła. Możliwe były dwa ujęcia: 1. wybrany w danej ziemi poseł otrzymuje zupełną swobodę decyzji, mandat czyni go jednym z przedstawicieli całej zbiorowości narodowej; 2. poseł reprezentuje tylko swoich wyborców, którzy dają mu instrukcję, jak ma głosować w sejmie.

Pierwsza z tych zasad była zdrowa, wiodła do wykształcenia dobrego parlamentaryzmu, druga zgubna. Z niej właśnie zrodziło się *liberum veto*, oznaczające protest posła przeciwko uchwałom, na które nie godzili się jego wyborcy, chociażby nawet pragnęli ich wszyscy inni obywatele kraju. Instrukcja poselska o mocy absolutnie wiążącej oznaczała, że czynnikiem decydującym staje się nie sejm, lecz sejmik ziemski, interesy prowincjonalne, zaściankowe, biorą górę nad powszechnymi.

Pierwsze sejmy walne koronne za Jana Olbrachta od razu weszły na właściwą drogę. W 1496 roku posłowie zjechali do Piotrkowa wyposażeni przez swych wyborców w prawo swobodnego postanawiania. To samo utrzymywało się za Aleksandra Jagiellończyka, lecz doznało pewnego załamania za Zygmunta Starego. Nie będzie chyba błędu, jeśli się w tych wahaniach dostrzeże skutki zgody lub rozdzwiewu pomiędzy królem a szlachtą. I oto za Zygmunta Augusta pożyteczna tradycja ożywia się, bierze górę. Brakuje ustawy wyraźnie pozwalającej posłowi na podejmowanie decyzji niezależnej od instrukcji, lecz nie ma też absolutnego przymusu jej stosowania i sejmy faktycznie uchwalają większością, przechodzą do porządku dziennego nad ostro nawet wyrażonymi sprzeciwami mniejszości. Odpowiedzialność posła wobec wyborców nosiła charakter moralny, mowy nie było o sankcjach karnych. Poszczególni posłowie powoływali się na instrukcje w taki sposób, jakby spełniali formalność i oczekiwali na „zniewolenie” przez większość. Zresztą taki sejmik ziemi zakroczymskiej (w „anarchicznym” Mazowszu!) stale i niezmiennie dawał swym wybrancom całkowite pełnomocnictwo. Precedensów wcale nie brakowało, należało tylko zdecydowanie popchnąć, a raczej poprowadzić sejm, korzystając z drogowskazów, które... on sam zaczynał doraźnie ustawiać.

W 1555 roku posłowie wyjechali z Piotrkowa obarczeni niełaską królewską. Zamknięta wtedy sesja upominała się o egzekucję praw oraz o Kościół narodowy. Niezadowolony król, pragnąc, „posły przed szlachtą omierzyć i oskarżyć”, zażalenie na sejm walny złożył sejmikom prowincjonalnym. Wysłannicy monarchy namawiali ziemian do ukarania krnąbrnych parlamentarzystów oraz do wybrania nowych, którzy by wspólnie z senatem - „z poruczenia zupełnego od szlachty”, czyli według dokładnych instrukcji - radzili o podatkach na wojsko. Sejmiki nie usłuchały, opowiedziały się za poprzednimi posłami i wybrały ich ponownie.

Polska ówczesna to taki oryginalny kraj, w którym władza centralna nie tylko nie popierała zdrowych zasad parlamentarnych, ale sama utrudniała ich zwycięstwo. Stronę słuszności trzymała na razie większość szlachty, lecz ten przedziwny stan rzeczy bez końca trwać nie mógł. Zło na pewno

zwycięży, jeśli je proteguje ktoś silny.

Zasada głosowania większością, równoznaczna wszak ze wzmocnieniem państwa, przemogła w całej Europie z wyjątkiem Polski. Bo też wszędzie indziej wspierały ją lub nawet narzucały rządy monarsze. Anglia pierwsza pomyślnie rozwiązała te sprawy. Władysław Konopczyński pisze, że jej „królowie, jako wyobraziciele jedności państwowej, robili, co mogli, byle zapewnić parlamentom gładki tok obrad i usunąć szkopał formalny, wynikający z niedostatecznych pełnomocnictw poselskich”.

U nas ostatni z Jagiellonów przez kilkanaście decydujących lat też robił, co mógł, ale we wręcz przeciwnym kierunku. W tych okolicznościach porządne metody sejmowania nie mogły się w Polsce utwierdzić. Potem, kiedy dynastia wygasła i stosunkom politycznym zabrakło cechy stałości, do naprawienia fatalnych błędów trzeba było chyba cudu.

Wywody tego rozdziału stwarzają - z pozoru - poważne niebezpieczeństwo. Wizerunek ówczesnej szlachty polskiej może się wydać przesadnie dodatni, wyidealizowany.

Tę szlachtę cechował zwyczajny, najnormalniejszy w świecie egoizm stanowy. Właśnie w połowie XVI wieku ostatecznie przytwierdziła ona chłopą do ziemi. Sejm z roku 1550, określający program egzekucji praw, w ostatnim punkcie upominał się bardzo stanowczo, „aby szlachty mieszczanie nie sądzili”. Ziemianin, schwytyany w mieście nawet na gorącym uczynku, stawał przed trybunałem, w którym uczestniczył starosta, i posiadał jeszcze prawo apelacji do sejmu. Ustawy Łokietka i Kazimierza Wielkiego, pozwalające „łykom” karać śmiercią zbójów herbowych, zostały ostatecznie przekreślone. W tym samym 1550 roku zapadła bardzo ważna uchwała zabraniająca szlachcie zajęć miejskich. Urodzony, który by się pokalał „łokciem i miarką”, tracił herb. W ten sposób uniemożliwiono wyrastanie warstwy kupców i przemysłowców, posiadających - prawem dziedziczenia - pełnię przywilejów politycznych. Możliwość władztwa ubywał możliwy konkurent.

Tragedia Polski polegała na tym, że w istniejących wtedy warunkach zatargu króla z sejmem ujemne strony programu szlacheckiego stawały się prawem, dodatnie przepadały. Wolno było szlachcie cisnąć mieszczan i chłopów, do magnatów dobrać się nie mogła.

Pomimo wszystkich swych ciężkich grzechów wobec ludu szlachta polska doby jagiellońskiej nie zasługuje na potępienie. Jej dążenia polityczne były zdrowe, znajdował w nich wyraz rzeczywisty patriotyzm. Zmysłu państwowego wcale, ale to wcale jej nie brakowało. Odpowiedzieć na królewski sojusz z możliwymi oraz z Habsburgami wybieraniem do sejmu najlepszych ludzi i głośnym wołaniem o naprawę Rzeczypospolitej - to nie jest mało. Można nawet twierdzić, że to znacznie więcej, niż wolno by było oczekiwać od tłumu, który wszak pamiętał długie, lecz nieudolne rządy Zygmunta Starego i raz już zablądził w „wojnę kokoszą”.

Napływające do Polski zachodnie nowości w niczym jej nie zaszkodziły. W dobie humanistycznego ożywienia umysłów powstał u nas traktat Ostroroga i program egzekucji praw. Następnym bodźcem stała się reformacja, którą król polski zmarnował, lecz na której Polska mogła wiele zyskać. Luteranizm dał wprawdzie okazję królewskiej niemczyźnie, nie

on jednak wpuścił Hohenzollernów do Prus. Uczynił to niedołęzny monarcha i jego źli doradcy. Protestancka i wołająca o Kościół narodowy izba poselska uparcie walczyła o dobro państwa, zabezpieczyła kraj przed anarchią, strzegła praworządności. Jej się zawdzięcza, że kiedy Zygmunt August nareszcie zmienił front, nie zabrakło mu poparcia i można było choć coś niecoś w państwie naprawić.

Ostatnie lata działalności sejmów walnych Korony Polskiej ładnie zapisały się w naszej historii.

2

Tyle było za Zygmunta Augusta zagadnień polityki wewnętrznej, że chcąc je przedstawić, trzeba było odsunąć na bok wszystko inne. Wynikło to także z samego charakteru epoki. Sejmy, jeśli myślały o wojnach, to o obronnych, całą uwagę poświęcały sprawom domowym oraz przyszłości. Andrzej Frycz Modrzewski wyrażał ich postawę, pisząc:

A od ciebie oczekuje się, Królu Auguście, że powiększysz tve państwo nie tyle nabywaniem prowincji i ziem, ile nieskazonymi obyczajami, surowymi prawami, nienaganną karnością. Wielu z tych, którzy się na ościenne królestwa łasili, swoje własne narazili na bezmiar niebezpieczeństw.

Jednakże przez cały czas groziła Polsce wojna straszna i najzupełniej zbyteczna.

Jesienią 1552 roku Zygmunt August odwiedził Gdańsk, świetnie podejmowany przez mieszczan, którzy oświadczyli niezłomną wierność. Pociągnął potem do Prus Książęcych, gdzie omal nie zginął. Albrecht bowiem, „izby tem większą wdzięczność królowi pokazał, rozkazał w pole wywieść strzelbę ognistą”. Kula ze źle skierowanego czy też za tego nabitego działa minęło króla o włos, kładąc na miejscu stojącego konno tuż za nim młodego kniazika Wiśniowieckiego.

W dalszej drodze do Wilna, podczas noclegu w kurnej chacie chłopskiej, otrzymał Zygmunt August wiadomość gorzej niż groźną. Mikołaj Sieniawski, hetman polny i wojewoda ruski, wtargnął do Mołdawii i osadził w Suczawie na gospodarstwie niejakiego Aleksandra Lopusneanu, dotychczas zamieszkałego w Polsce. Sułtan mógł się w tym dopatrzeć zaczepki. Tejże nocy, z tej samej izby wiejskiej wyszły uniwersały, „pod srogim karaniem” zabraniające jakichkolwiek dalszych poczynań i nakazujące wszystkim Polakom niezwłoczne wycofanie się z Dniestru.

Sieniawski miał, jak już wiemy, poprzedników, znalazł też naśladowców. Prowokacyjne wypadki polskich i litewskich magnatów powtarzały się. Jeden z nich, kniaz Dymitr Wiśniowiecki, wzięty wraz z Janem Piaseckim do niewoli i wydany sułtanowi, zakończył życie w Stambule, wisząc za żebro na haku żelaznym. Ów Wiśniowiecki pierwszy zbudował na Dnieprowej wyspie Chortycy fortalicję i został jedną z najsłynniejszych postaci wczesnych dziejów kozaczyzny.

W antytyreckich przedsięwzięciach wielmożów czynna była ręka Habsburgów, którzy koniecznie pragnęli pchnąć Polskę do wojny. Nie chciał jej sułtan i ta decydująca okoliczność ustrzegła nas przed nieszczęściem.

W roku 1553 nastąpiło nowe zbliżenie Krakowa z Wiedniem. Za dyspensą papieską Zygmunt August pojął za żonę rodzoną siostrę zmarłej niedawno Elżbiety Austriaczki, Katarzynę z Habsburgów, młodą wdowę po księżęciu mantuańskim. Inne kandydatki, wśród nich księżniczka francuska, zostały pominięte. Daremnie sułtan nastęczał się jako pośrednik. Plan ponownego ożenku z Habsburżanką gorąco popierał i osobiście - a bardzo szybko - przeprowadził Mikołaj Radziwiłł Czarny. Jak widać, zgon Barbary nie nadwałił jego wpływów. On jeździł do Wiednia i reprezentował króla podczas zaślubin *per procura*. Krakowskie uroczystości znowu zadziwiły przepychem. „A barwy najpodlejsze były szkarłatne” - zapisał kronikarz. Z pozorów - gadanie na wiatr, natrętne i pochlebne. Szkarłat to kolor królów i kardynałów, cóż może być jeszcze świetniejszego. Na uroczystość owych zaślubin po raz pierwszy przyozdobiono Wawel arrasami Zygmunta Augusta.

Nowe, trzecie już z kolei małżeństwo królewskie w oczywisty sposób podkreśliło związek Polski z Habsburgami, a dynastii Jagiellonów przyniosło ostateczną katastrofę. Zygmunt August poczuł odrazę i do tej połowicy, która również chorowała na epilepsję. Żyć z nią nie chciał. Próżno Polska błagała go o zmianę decyzji, prymas ukląkł przed tronem w izbie sejmowej, rozplakał się i upadł na twarz. Monarcha, który italską powierzchowność łączył z uporem iście żmudzkiem, odmówił. Rozwodowi sprzeciwił się papież. Pozostawała jedyna droga wyjścia - uczynić to, co w okolicznościach poniekąd zbliżonych zrobił w Anglii Henryk VIII. Zerwać z Rzymem i ogłosić Kościół narodowy. Zygmunt August nie przypominał brytyjskiego tyrana i w jego ślady nie poszedł.

W 1556 roku wyjechała z Polski królowa Bona. Odkonanie się to w okolicznościach nad wyraz przykrych. W Krakowie obębiano na Rynku, by nikt nie śmiał pomagać jej w spełnieniu zamiaru, a to pod karą utraty czci dla szlachcica, gardła dla człowieka prostego stanu. Król i senat objawiali się, że Bona wywiezie swe skarby. Po długich i nieprzyjemnych zatargach, podczas których występowali przeciwko Włoszce ludzie ongi wyniesieni przez nią na szczyty karier, zakaz cofnięto.

Bona zmarła w Bari 19 listopada 1557 roku, otruta przez zausznika Habsburgów. Generalnym spadkobiercą uczyniła Zygmunta Augusta, który poprzednio działał przeciw matce, uważał ją za osobistość zdolną do wszystkiego, nawet do zadawania jadu, i głośno o tym rozprawiał. Sławne „sumy neapolitańskie”, rzekomo zrabowane przez nią w Polsce, to w rzeczywistości były jej pieniądze wypożyczone Filipowi II hiszpańskiemu. Prawo do nich również odziedziczył król polski. Niewdzięczność i potwarze - oto nagrody za usługi, które znakomita Włoszka świadczyła Polsce przez lat czterdzieści.

Od strony Moskwy trwał pokój. Umiejętnie wyzyskał go car, który działał energicznie, umacniając zaplecze. Jak się już mówiło, w 1552 roku zdobył Kazań, przez co oswobodził swój kraj od niebezpieczeństwa

drugiego frontu. W cztery lata później zawładnął Astrachaniem, stając się panem całego biegu Wołgi. Jak wielkie znaczenie miały rzeki płynące na południe, świadczy pewien niesłusznie zapomniany wypadek. W kilkanaście lat później sułtan turecki nakazał wyprawę na północ. Pragnął nie tylko zdobyć teren, lecz natychmiast przekopać kanał w miejscu zwanym Perewołoka, to znaczy tam, gdzie Wołga najbardziej zbliża się do Donu. Nieudanej wyprawie towarzyszył poseł polski, który miał przypilnować, by nigdzie nie naruszono granicy w stepach czarnomorskich.

Rok 1566 zakończył pierwszy, nacechowany łagodnością okres rządów Iwana Groźnego. Zaczynały się czasy, które miały mu przynieść ten przydomek. Poprzednio car odrzucił namowy doradców i nie poszedł z wojną na Krym (który zdobyła Katarzyna II - w dwieście lat później). W przyszłości - a mianowicie w roku 1571 - miał się doczekać uderzenia tamtejszych Tatarów i spalenia przez nich samej Moskwy. Mimo to powściągliwość przyniosła mu korzyść - swobodne ręce do działań na północnym zachodzie. Nadchodziło bowiem starcie z Litwą i Polską o Inflanty.

Organizacja polityczna tego kraju znajdowała się w rozkładzie. Wobec postępów luteranizmu dalsze istnienie Zakonu stawało się absurdem i sami jego członkowie to widzieli. Zygmunt August wcześniej sprecyzował swe plany, działając ręką w rękę z Albrechtem pruskim. Dwaj politycy zawarli tajne porozumienie już w roku 1552, podczas wizyty królewskiej, omal nie zakończonej w sposób tragiczny. Inflanty, których arcybiskupem był rodzony brat Albrechta, Wilhelm, miały się połączyć z Litwą i Polską w ten sam sposób co Prusy Książęce, wejść w skład wielocłonowego organizmu. Było to oczywiście całkowicie zgodne z planami Hohenzollernów. Przewidywany opór mistrza Zakonu miał posłużyć za pretekst do działań zbrojnych. Jesienią 1557 roku nastąpiła też demonstracja wojenna, zwana wyprawą poswolską. Ze względu na protest cesarza król powstrzymał Albrechta od wkroczenia do samych Inflant. Wystarczyły jednak groźby. Mistrz Zakonu, Fuerstenberg, stanął przed Zygmuntem Augustem, upokorzył się i zawarł przymierze. Fakt ten stał się bodźcem dla Moskwy. Ogromna, siedemdziesięcioletnia armia Iwana IV wtargnęła do Inflant, zajęła Narwę i Dorpat, zdobywając dostęp do Bałtyku.

Inflanty interesowały wiele państw, akcja rozpoczęta przez króla polskiego i księcia Prus skłoniła je wszystkie do działania.

Dla Litwy Inflanty były ważne ze względu na handel, idący Dźwiną, wydatnie rozszerzały obszar przymorski Wielkiego Księstwa. Dla Moskwy stanowiły przysłowiowe „okno do Europy”. Władcy Kremla ściągali tędy z Zachodu towary, biegłych mistrzów, a zwłaszcza nowoczesny materiał wojenny. Z łatwo zrozumiałych względów Litwie zależało więc na szczelnym zamknięciu tego okna. Car natomiast wolał mieć nad Bałtykiem własne porty niż płacić za pośrednictwo kupcom inflanckim.

Dalsi współzawodnicy to Dania i Szwecja. Pierwsza pragnęła powrócić w kraje, którymi władała, zanim nie wyparli jej Niemcy. Była też zainteresowana swą przewagą na morzu i rozwojem handlu, między innymi właśnie z Moskwą. Dla Szwecji podbój Inflant, kraju przylegającego do jej posiadłości, oznaczał wzmożenie potęgi. To był pomost, którym można by

było pomaszerować aż na południowe wybrzeża Bałtyku.

Inflantami interesowali się również jeszcze inni. Cesarz rościł pretensje do zwierzchnictwa, Francja i Anglia myślały o handlu. Ta ostatnia dość wcześniej znalazła sobie zresztą nową drogę do dziedzin moskiewskich - wokół Skandynawii, w kierunku ujścia Dźwiny północnej.

Inflanty stały się przedmiotem szerokiej gry międzynarodowej. Żaden z jej uczestników nie pytał oczywiście o zdanie właściwych gospodarzy kraju - Estończyków i Łotyszów.

Wkroczenie Iwana Groźnego jeszcze nie oznaczało otwartej wojny z Litwą, aczkolwiek dochodziło nawet do bitew. Było jednak pewne, że wielki pożar wybuchnie w chwili wygaśnięcia rozejmu, który obowiązywał do 1562 roku.

Zanim ta data nadeszła, wyspa Ozylia oraz niektóre miejscowości na lądzie stałym dostały się w ręce Duńczyków, Szwedzi zaś pochwycili Rewel i północną część Estonii. Dawna domena Kawalerów Mieczowych uległa podziałowi, a dotychczasowi panowie kraju musieli się już stanowczo decydować. Uczynił to nowy mistrz zakonu inflanckiego, Gothard Kettler, który poddał się władzy Zygmunta Augusta. Dostał w osobiste lenno Kurlandię, czyli tę część Łotwy, która leży na zachód od Dźwiny. Reszta - wraz z Rygą - otrzymała warunki wzorowane na Prusach Królewskich. Akt poddania się Inflant królowi, wystawiony w Wilnie 28 listopada 1561 roku, zawiera wiadomości niezwykle ważne:

Gdy zaś wszyscy łatwo wiedzieć mogą, iż wspólnymi tylko siłami Polski i Litwy skuteczna obrona i pokonanie nieprzyjaciela stać się mogą, a posilków od Polaków nie można się spodziewać, chyba że prowincje te równie do Polski jak Litwy należeć będą [...] święcie przyrzekamy, iż pomienione poddanie się tak W. Mistrza, jako też jego poddanych przez stany nasze Królestwa Polskiego przyjętym i potwierdzonym zostanie i że odtąd ziemia inflanckie całymi siłami naszymi tak przeciw Moskwie, jako też innym ich nieprzyjaciółom bronić i zamki odpadle odbierać będziemy.

Tak więc Inflanty poddały się zarówno Litwie, jak Polsce, z którą nie graniczyły, a król zobowiązał się użyć w tej sprawie sił Korony. Przytoczony fragment jasno mówi, dlaczego tak się stało. Litwa sama nigdy nie obroniłaby nabytku.

Akt poddania się Inflant pokazuje jasno, jak rozległa była władza króla polskiego u schyłku epoki jagiellońskiej. Zygmunt August rozpoczął nadzwyczaj poważne działanie polityczne, nie prosząc przedtem sejmu o upoważnienie, lecz wcale nie naruszył przez to prawa. Nie nałożył wszak nowych podatków ani nie zwołał pospolitego ruszenia. Był też widocznie pewien, że go Korona nie zawiedzie, skoro ważył się na nie lada ryzyko. Wystąpienie Iwana Groźnego przewidywał zawczasu. Gdybyż to Sobieskiemu przywrócił kto te warunki... w sto lat później!

Prawą ręką Zygmunta Augusta był w sprawie Inflant kanclerz litewski, Mikołaj Radziwiłł Czarny. Działał energicznie, ale obejmując Rygę we władanie króla zawarł z nią układ, pozwalający miastu odwoływać się do cesarza.

Powróćmy jeszcze do dokumentu, spisane go w Wilnie w roku 1561. Luterzańskie już Inflanty otrzymały wtedy zapewnienie swobody wiary, potwierdzenie dotychczasowych praw, a prócz tego:

Zostawiamy mieszkańców prowincji tej przy niemieckim ich magistracie - głosił Zygmunt August - nadto urzędy, prezesostwa, prefektury, sąstwa, burmistrzostwa nie komu innemu dawać będziem, jak ludziom narodu i języka niemieckiego, tak jak to w Prusiech zwykliśmy czynić.

Nacjonalistyczna historiografia niemiecka dziwnie nie lubi wspominać o tym dokumencie, dowodzącym wielkodusznej tolerancji króla polskiego.

W rozpoczynającej się na północy wielkiej wojnie uczestniczyły więc cztery państwa (a jeżeli Litwę i Polskę liczyć każdą z osobna pięć). Logika oraz interesy kazały oczekiwać sojuszu Kremla z Danią, której zależało na tak zwanej „żegludze narewskiej”, czyli na handlu z Moskwą (przez Narwę). 4 października 1562 roku odbyły się w Wilnie zaślubiny Katarzyny Jagiellonki, siostry królewskiej, z księciem Finlandii, Janem z rodu Wazów, bratem króla Szwecji, Eryka XIV. Miało to oczywiście ułatwić i wzmocnić przymierze państw.

Sprawę pogmatwał Eryk XIV, osobistość nie całkiem normalna. Podejrzewany o zdradzieckie zamiary Jan w następnym zaraz roku po ślubie znalazł się wraz z żoną w więzieniu na zamku w Gripsholmie, a Szwecja stanęła u boku Moskwy. Iwan Groźny traktował sojusznika w sposób bezceremonialny i w końcu wystąpił z oryginalnym żądaniem. Domagał się mianowicie odebrania Katarzyny Janowi i oddania jej za żonę... sobie (o rękę jej zabiegał zresztą, kiedy była jeszcze panną). Eryk XIV zgodził się na to, ale nie zdążył wykonać obietnicy. Utracił bowiem tron i sam poszedł do więzienia, gdzie go po kilku latach otruto. Władzę nad Szwecją objął uwolniony Jan, występujący w dziejach jako Jan III. Stało się to w roku 1568. Odwrócenie przymierzy nie kazało na siebie czekać. W schyłkowej fazie wojny nastąpiło przymierze litewsko-polsko-szwedzkie.

Zanim się to wszystko dokonało, 20 czerwca 1566 roku, więzionym jeszcze wtedy Janowi i Katarzynie narodził się syn Zygmunt, który w przyszłości jako Zygmunt III miał objąć tron polski.

Wybiegliśmy nieco naprzód, czego wymagało szerokie tło wypadków. Trzeba teraz powrócić do punktu wyjściowego, czyli do chwili przyjęcia Inflant pod wspólną opiekę Polski i Litwy. Zygmunt August obiecał pomoc Korony, należało ją zatem uzyskać. Tymczasem w Polsce dawały się słyszeć pomruki przeciwko wciąganiu kraju do wojny. Zwłaszcza niektórzy magnaci mieli królowi za złe, że działał bez pytania ich o zgodę. Zebrany w Łomży senat nie był obcy myśli,

iż się Pan bez żadnej potrzeby, k woli więcej litewskiemu państwu, aby je tymi Inflanty i przyłączeniem ich ku Litwie ozdobił [...] w wielkie niebezpieczeństwo wdał z możliwymi i bogatymi nieprzyjaciółmi, sam niezamożystym panem będąc.

Arystokracja, z którą Zygmunt August przez czternaście lat szedł ręką w rękę, w rozstrzygającej chwili zawodziła, nie dawała mu solidarnego poparcia.

W marcu 1562 roku winien był się zebrać w Piotrkowie kolejny sejm koronny. Król nie zamierzał w nim uczestniczyć. Wystosował tylko orędzie, w którym obszernie wyjaśniał wagę sprawy inflanckiej i żądał poparcia. Teraz szlachta znowu pokazała nie lada zmysł polityczny. Ziemiaństwo małopolskie wybrało tylko trzech posłów i skierowało ich nie do Piotrkowa, lecz do Wilna, gdzie przebywał monarcha. Powiedzieli mu oni mniej więcej tak: dobrze, poprzemy cię, ale jedynie pod warunkiem spełnienia programu reform, który od lat wysuwamy. Chodziło więc o egzekucję praw oraz o całkowite dokończenie unii z Litwą. Bo i to hasło głośno rozbrzmiewało na poprzednich sejmach.

Pomimo oporu senatu król przyjął w Wilnie wysłanników szlacheckich i zgodził się na ich żądania.

W Koronie dawały się wtedy słyszeć głosy: „Póki panów tych nie posieczemy, którzy nam wolności pokazili, co my egzekucją zowiemy, póty się w Polsce nic dobrego nadziewać nie można.” Jednocześnie w całkiem niezwykły sposób odezwała się potulna dotychczas szlachta litewska. Latem 1562 roku, pod Witebskiem, samorzutnie zwołała ona sejm obozowy, którego uchwały są tak znamienne, że trzeba je obszernie cytować:

Prośba ku Królowi J. M. Panu naszemu M. od wszystkich obywatelów i wszystkiego rycerstwa wszelakiego stanu Wielkiego Księstwa Litewskiego.

Najpierw: aby Król J.M. złożyć raczył sejm wspólny z Pany Polaki i Unia aby była w jedności. Najwięcej dla dwóch przyczyn, to jest dla obierania jednego Pana, jednej a wspólnej obrony, abyśmy wspólnie sejmowali, praw i jedności z nami zarówno jednakich używali, przy której pokojowej prośbie stojeć mamy, swych posłów obrawszy w tej potrzebie do Panów Polaków...

Drugie: iż na żaden sejm takowy nie mamy zezwalać, na którym jeśliby nam dawano obiecany statut, abo insze rzeczy podawać, chcąc nas od tego sejmu spólnego i od Uniej odwodzić. A my na to przyzwalać i od tego odwodzić się nie mamy, pilnie do tego się prośbami swoimi ku K. K. Mości cisnący, aby to przedsięwzięcie, to jest sejm wspólny koronny nas doszedł. A który by jechać albo pieczęci swej do tego zwolenia naszego przyłożyć nie chciał, abo i przyłożywszy zasię odstąpił, takowego każdego mamy rozumieć u siebie za niemiłośnika Rzeczy Pospolitej i za takiego, który nie chce obmyślać o dobrem R. P., a takiego między sobą mieć nie mamy.

Ten sam akt wypowiedział się jednak w sposób zupełnie jasny, że unia nie może oznaczać zniszczenia odrębności Litwy. Szlachta litewska życzyła sobie wspólnoty politycznej z Polską, lecz pod żadnym pozorem nie godziła się na wcielenie swej ojczyzny do Korony. Uprzedzając nieco wypadki trzeba od razu powiedzieć, że w niedalekiej przyszłości sejm lubelski urzeczywistnił tę właśnie koncepcję.

We wrześniu 1562 roku zawarto związek wojskowy, a w październiku

litewskie pospolite ruszenie rozbiło obóz pod Wilnem. Posłowie jego układali się z królem. Radziwiłł Czarny, przywódca magnatów przeciwnych unii, znalazł się w położeniu bardzo trudnym. Magistrat gdański otrzymał wtedy zwięzłą wiadomość od swego wysłannika:

Wszystkie stany tego Wielkiego Księstwa, z wyjątkiem panów rady, nie tylko unii są przychylni, ale się jej gwałtownie domagają [...] wielu nie tylko szlachty, ale też z mieszczan [...] głośno o tym mówią, że gdyby panowie rady unię zahamowali, to oni czynnie przeciw nim wystąpią.

Przyczyny „istnego szalu”, jaki ogarnął wtedy szlachtę litewską, są jasne. Uśmiechały się jej swobody i przywileje koronne, brutalną przemoc magnacką trudno już było dłużej cierpieć. Prawa nadawane Litwie od czasów Jagiełły dotychczas obracali na swą korzyść możnowładcy, ale to nie mogło trwać wiecznie, bo wolności nie sposób zamknąć pod kloszem. Jakiś przed chwilą usłyszeli, także mieszczanie zaczęli zabierać głos w sprawach publicznych. Ludzie pragną stanowić o własnym losie, zjawisko stałe w historii.

Druga przyczyna wynikała z położenia międzynarodowego. Bez trwałej, a nie tylko dorywczej pomocy Polski Litwa nie mogła sprostać Moskwie. I ten właśnie wzgląd zaważył na orientacji politycznej króla, skłonił go do stanowczej zmiany kursu. Zaczynał się okres lat siedmiu - niestety, tylko siedmiu - w których wielkie zdolności Zygmunta Augusta znalazły choć częściowe zastosowanie.

Jesienią 1552 roku przybył on na sejm piotrkowski nawet zewnątrznie przeobrażony. Zamiast włoskiego stroju miał na sobie zwykłe ubranie szlacheckie. Podobnie przeodział się cały jego dwór. A pamiętajmy, że przez poprzednie cztery lata król w ogóle nie zbierał izby poselskiej, rządząc w porozumieniu z samymi magnatami. Sejm do Piotrkowa zwołała szlachta samorzutnie, poniekąd nawet buntowniczo. Panujący pogodził się z faktem dokonany i popłynął z prądem, którego inaczej niż dodatnim nazwać nie można.

Egzekucja dóbr została nareszcie uchwalona. Nastął „sądny dzień” dla posiadaczy nadań, gdy przyszło pod przymusem zwracać przywileje. Wielki program urzeczywistniono jednak tylko częściowo. Moźni stracili wszechwładną pozycję, potrafili jednak stawiać opór, zwłaszcza że na ich stronę przeszła część szlachty ruskiej i podolskiej, która poprzednio też otrzymywała rozmaite dobrodziejstwa sprzeczne z ustawą z 1504 roku. Egzekucji bali się również magnaci z Prus Królewskich, posiadających przecież autonomię. Zresztą sam król nadal po cichu sprzyjał dawnym przyjaciom. Nie pozwalał ich zbyt krzywdzić, wynagradzał straty nowymi hojnościami.

Wykonaniem uchwały o egzekucji zajmowały się następne sejmy. Ostateczny rezultat był taki, że do skarbu państwa powróciły tylko te majątki, które poprzednio były pozostawiane lub po prostu rozdane. Przy dotychczasowych panach pozostały dobra trzymane przez nich w dożywocie albo dzierżawione. Natomiast dochody dzierżawców mieli sprawdzać specjaliści urzędnicy i odpowiednio wyznaczać wysokość

czynszów. Przyjęto za zasadę, iż dzierżawca zatrzymuje dla siebie jedną piątą zysku, reszta idzie na skarb. Król zaś jedną czwartą swych dochodów rocznych zobowiązał się przelewać na wojsko stałe, zwane „kwarcianym” (od *quarta pars* - czwarta część). Niewiele żołnierza można było utrzymać za te pieniądze.

Wyniki egzekucji pozostawały daleko w tyle za zamierzeniami twórcy jej programu, prymasa Jana Łaskiego, który chciał odzyskać dla skarbu wszystkie w ogóle majątności, także rozdane przed rokiem 1504. Egzekucja w niczym nie odnosiła się do Litwy, objęła tylko Koronę. Nic nie wyszło z dążeń do zniweczenia „państwa w państwie”, czyli z chęci złamania potęgi kleru. Kto nie wyzyskał reformacji przed soborem trydenckim, ten się beznadziejnie spóźnił. Kierowana przez legatów papieskich hierarchia krajowa szła do ostrego kontrataku, nie przebijając w środkach. W roku 1563, na wiosnę, biskup krakowski Padniewski prowadził z cesarzem tajne układy, pragnąc uczynić z niego opiekuna polskiego kleru. Chciał także werbować w Niemczech oddziały zbrojne. Jezuici pojawili się już w Wilnie, Warmii, Poznaniu i Pułtusku. Frakcja katolicka stanowiła w sejmie mniejszość, lecz zdecydowanie występowała w obronie materialnych przywilejów duchowieństwa. Reformacja już przeżyła w Polsce swój szczyt.

Egzekucji dóbr dokonywano podczas wojny o Inflanty i w tych warunkach trudno było zapewne o lepsze wyniki. Nic nie zdołało powetować czternastu lat głębokiego pokoju, kiedy cała uwaga i wysiłek mogły być skierowane na reformę wewnętrzną. Mineły czasy, do których odnoszą się słowa historyka: „Nigdy mniej nieprzyjaciół nie miała Polska jak za Zygmunta Augusta.” - „Wojna moskiewska otworzyła dopiero Zygmuntovi oczy na wewnętrzne kraju swego stosunki.”

Nie wystarczy pójść we właściwym kierunku. Trzeba jeszcze zrobić to w porę.

Historia udzieliła nam wtedy wyjątkowo bolesnej lekcji, poparła wyrażoną przed chwilą i od dawien dawna znaną tezę tak, jak tylko ona potrafi.

Jeszcze trwał sejm piotrkowski, kiedy 15 lutego 1563 roku Iwan Groźny zdobył Połock, drugą po Smoleńsku twierdzą litewską na północnym wschodzie. Rozpoczynanie takiej operacji, jak inflancka, bez przygotowania zawczasu zaplecza, to znaczy bez załatwienia spraw palących, których rozwiązanie wzmocniłoby państwo, było lekkomyślnością na rzadko spotykaną miarę. A przecież Zygmunt August myślał o Inflantach już od roku 1552, jeśli nie wcześniej...

Straciwszy Połock, postanowił król rozbudować następny punkt oporu - w Dziśnie. Litwa cofała się naprawdę głęboko. Dzisiaj to już terytorium Polski z 1939 roku. Wiek przed utratą Połocka wschodnie granice Wielkiego Księstwa dotykały źródeł rzeki Moskwy.

Iwan Groźny w osobliwy sposób poczynał sobie w Połocku. Wszystkich Żydów utopiono w Dźwinie. Litwini wraz z żonami i dziećmi poszli na wschód, do niewoli. Dobra ich skonfiskowano. Czterech zacieźnych rotmistrzów polskich, którzy walczyli zaciekle i aż do końca, zaprosił car do własnego stołu i „po sobolim kozuchu złotogłowiem powleczone

darowawszy, częstował i wolno ich wypuścił ze wszystkimi rotami ich”.

Groźny nie chciał wojny z Koroną. Kazał swym wysłannikom pilnie śledzić stosunki Polski i Litwy, niespokojnie dopytywał, czy aby nie postanowiono tam „*za odin stojati*”. Pojmował doskonale, że Moskwa bez specjalnego trudu pokona Litwę pozostawioną przez Polskę własnemu losowi. Słuszność jego rozumowania potwierdzić miały czasy późniejsze, kiedy rządy w Krakowie i Wilnie objął Batory.

W niespełna trzy tygodnie po utracie Połocka, czyli 4 marca 1563 roku, zapadło katastrofalnie ważne postanowienie dotyczące Prus Książęcych i najbardziej żywotnych spraw Polski. Zygmunt August potrzebował poparcia, w kwestii inflanckiej od początku współdziałał zresztą z Albrechtem i wobec tego uczynił mu ustępstwo, którego nawet Zygmunt Stary uparcie odmawiał. Zgodził się mianowicie, że na wypadek wygaśnięcia tej linii Hohenzollernów, która rządziła w Królewcu, spadek po niej obejmą kuzyni z Berlina.

Z tą chwilą nadzieja na objęcie przez Polskę i wcielenie Prus Książęcych znikła, zarysował się natomiast kontur kleszczy niemieckich, ściskających polskie Pomorze. W sposób jak najbardziej realny zaczęło grozić niebezpieczeństwo jeszcze gorsze od tego, które istniało za czasów współpracy pomiędzy Krzyżakami z Malborka a Brandenburgią. Bo tam to były dwa odrębne państwa. Teraz król i senat zgodzili się na możliwość połączenia Berlina i Królewca w jednym państwie, terytorialnie tylko podzielonym na dwie części. Możliwość ta oblekła się w ciało niedługo później, w początkach XVII wieku, kiedy rządził Polską Zygmunt III, siostrzeniec Zygmunta Augusta.

Albrecht Hohenzollern, który zmarł w roku 1568, osiągnął podczas swego długiego życia bardzo wiele. Ocalił państwo niemieckie w Prusach, zapewnił mu przyszłość, a domowi Hohenzollernów mocną pozycję w Rzeszy. Krzyżackie tradycje imperialne przetrwały i nadały w końcu barwę Niemcom nowoczesnym. Stolicą, z której rozwinęła się ich potęga, stał się bowiem nie Berlin, lecz Królewiec. Tam (w roku 1701) ukoronował się pierwszy król pruski.

Zygmunt August umocnił co prawda swe zwierzchnictwo nad Prusami. Powściągnął tamtejszych wielmożów i zapewnił poddanym księcia możliwość odwoływania się od jego wyroków do króla polskiego. Były to jednak półśrodki, doraźna łatanina, podczas gdy skutki omówionego przed chwilą ustępstwa zasadniczego dały się zlikwidować dopiero w roku 1945, kiedy po zakończeniu drugiej wojny światowej sprzymierzone mocarstwa zgodną uchwałą skasowały państwo pruskie.

Wojna na wschodzie toczyła się nadal, przemożnie wpływając na stosunki Korony z Wielkim Księstwem. Na sejm piotrkowski, który uchwalił egzekucję dóbr, przybyła delegacja litewska złożona z magnatów, szlachty, a nawet mieszczan. Zaczęły się pertraktacje o zawarcie ściślejszej unii. Uczestniczył w nich sam Radziwiłł Czarny, który jednak zmienił orientację, skoro tylko udało mu się zwyciężyć wojska moskiewskie pod Czaśnikami nad rzeką Ułą. Ten fakt niezbitnie dowodzi, z czego wynikały ówczesne decyzje. Liczył się konkretny polityczny i strategiczny, a nie dawniej spisane pergaminy.

Sejm koronny już od dłuższego czasu podnosił sprawę unii, z biegiem lat czynił to coraz bardziej stanowczo. Posłowie jasno zdawali sobie sprawę z położenia międzynarodowego, a także z pewnej okoliczności, która stanowi prawdziwe zaprzeczenie poglądów niesłusznie spopularyzowanych później, w XIX wieku i za naszych dni.

Z pergaminów, z dawnych akt unii wynikało „włączenie” Litwy do Polski, której król miał zostawać wielkim księciem. A w rzeczywistości już od kilku pokoleń na tron krakowski wstępował ten, kogo Litwini p o p r z e d n i o , nie oglądając się na Koronę, obwołali swym władcą. Oto słowa wygłoszone na sejmie 1555 roku: „Albowiem jako mieli [Litwini] przodek w obieraniu, tak też mieli przodek w łasce pańskiej, za czym im wielki pożytek, a Koronie wielka lekkość i szkoda była.” Kazimierz Jagiellończyk, Aleksander, Zygmunt I i Zygmunt August najpierw zostawali wielkimi książętami Litwy, a dopiero później - i z upływem czasu coraz bardziej automatycznie królami Polski.

Utrzymanie zasady, że droga na Wawel zawsze prowadzi przez Wilno, groziło wielkimi niebezpieczeństwami. Trzy małżeństwa Zygmunta Augusta zawiodły, dynastia wygasła. Sejmy rozprawiły już głośno o tym, co przyjdzie począć na wypadek śmierci królewskiej, której - dodawano dworsko - „daj Panie Boże długo czekać”. Gdyby pozostawiono Litwie ów „przodek w obieraniu”, Polska mogłaby raptem zobaczyć na opróżnionym tronie litewskim osobistość sobie nieimiłą lub wręcz wrogą. Na przykład kogoś z Habsburgów. A przypomnijmy, że sejm obozowy zwykłej szlachty litewskiej domagał się w roku 1562 w s p ó l n e g o obierania króla.

W 1564 roku Zygmunt August zrzekł się swych dziedzicznych praw do Litwy. Był to decydujący krok w kierunku trwałego złączenia dwu państw. Można powiedzieć, że król rozumował tak samo jak Iwan Groźny, lecz pragnął czegoś wręcz przeciwnego niż car. Tego właśnie, by Polacy i Litwini na dobre już postanowili „*za odin stojati*”.

W roku 1565 ustanowiono na Litwie sejm wzorowany na polskim, sejmiki i sądy. Praca do unii szlachta Wielkiego Księstwa zdobywała głos i znaczenie.

W roku 1563 zawiódł, a raczej spalił na panewce zamiar uderzenia na samą Moskwę (gdyby się powiódł, ścisłej unii Polski z Litwą pewnie by nie zawarto). Pod Mołodecznem, Kojdanowem, Lebiedziowem i Radoszkowicami zgromadziła się znaczna armia, licząca do czterdziestu tysięcy ludzi oraz sto dział. Przegląd tych sił odbył się 28 listopada w Radoszkowicach, skąd i całe przedsięwzięcie wzięło nazwę „wyprawy radoszkowickiej”.

Król zamierzał współdziałać z bojarstwem moskiewskim, z którym utrzymywał tajne porozumienia. Już od kilku lat Iwan Groźny bez miłosierdzia i jakichkolwiek skrupułów łamał tamtejsze możnowładztwo, szukające rozmaitych dróg ocalenia. „Za czym jest między nimi wielka trwoga, rzadki tydzień, aby kto z Moskwy nie przybieżał, już drudzy z żonami uciekają do nas” - pisał Radziwiłł Czarny. Słynna stała się ucieczka Andrzeja Kurbskiego, znalazła nawet echa w poezji: „*Kniaź Kurbskij ot carskiego gniewa bieżał...*”

Był to wielki arystokrata, człowiek wykształcony i poprzednio bliski

Iwanowi. Pobity przez Polaków w Inflantach, uszedł na Litwę, skąd słał do cara obszerne listy. Bronił w nich swobód bojarskich, a Groźny ze swej strony odpowiadał mu na piśmie. Tak powstała jedyna w swoim rodzaju polemika polityczna.

Przy pomocy swych „opryczników” car opanował sytuację w Moskwie, wielki sobór ziemski poparł jego stanowisko zarówno w sprawach wewnętrznych, jak międzynarodowych. Rachuby Zygmunta Augusta zawiodły i „wyprawa radoszkowicka” w ogóle nie doszła do skutku, skończyła się na skupieniu i przeglądzie wojsk.

Jeden z jej uczestników, Jan Chodkiewicz, obarczał później odpowiedzialnością charakter króla, który wojować ani ryzykować nie lubił. Zdaje się jednak, że przyczyny były szersze. Wśród szlachty litewskiej, z której składała się większość wojska, wrzało, gdyż żądania jej w sprawie unii nie były jeszcze spełnione. Z tego samego powodu pomoc Korony przedstawiała się niedostatecznie w stosunku do potrzeb. Podczas całej, siedem lat trwającej wojny działało ogółem na wschodzie trzysta rot polskich, a ubogi skarb koronny wydał na ten cel poważną sumę dwóch przeszło milionów złotych. Pochód na Kreml wymagałby wyteżenia wszystkich sił połączonego państwa, zwłaszcza że nadzieje na „piątą kolumnę” w samej Moskwie zawiodły.

Nieudane przedsięwzięcie powstrzymało jednak Iwana od zamierzonego uderzenia na Inflanty, a z drugiej strony zdecydowanie przyspieszyło rozwiązanie sprawy unii.

Dokonał jej sejm w roku 1569. Zanim się zacznie o nim opowiadać, trzeba koniecznie poświęcić nieco uwagi miejscu, gdzie się toczyły obrady - Lublinowi, najważniejszemu grodowi, poniekąd symbolowi Zawisła. Miasto wstąpiło w dobę rozkwitu, od trzydziestu przeszło lat posiadało wodociągi. Kiedy za Jagiełły Polacy i Litwini podpisywali w nim akt pierwszej unii, urodzajne okolice Lublina były pustawe. Na jednym kilometrze kwadratowym mieszkało tu najwyżej trzech ludzi. Teraz - to znaczy u schyłku XVI wieku - na takim samym obszarze gospodarowało piętnastu albo nawet i dwudziestu. Chełmszczyzna miała słabsze zaludnienie: od pięciu do dziesięciu głów na kilometr kwadratowy. Nie ustępowała więc Chęcinom czy ziemiom wokół Człuchowa. Za to na Podlasiu, w okolicach Drohiczyzna, Bielska, Brańska i Tykocina, panował istny tłok: od dwudziestu do dwudziestu pięciu mieszkańców na każdym kilometrze. Nic dziwnego - tuż obok leżały dziedziny mazowieckie, zaludnione tak jak samo księstwo głogowskie!

Oto jak wyglądały nie podlegające żadnemu zakwestionowaniu skutki unii, czyli trwałego pokoju od strony Litwy. Zawisłe stało się krajem ludnym i zamożnym. Polacy zyskali możliwość spokojnej pracy na prawym brzegu rzeki, nad którą leży Kraków. Na zawsze objęli ten kraj rzeczywistym władaniem narodu. Główny cel, dla którego wzywano kiedyś Jagiełłę na Wawel, został spełniony.

Sławny sejm lubelski rozpoczął obrady w roku 1568. Zjechali wszyscy magnaci litewscy, którzy zaniechali sporów i stanowili zwartą opozycję przeciwko projektom króla i Korony. Przybyła także cała izba poselska Wielkiego Księstwa. Za środek nacisku służyło Polakom przypomnienie o

dawnych umowach, tych, co to teoretycznie orzekały o „przyłączeniu”, a pojedynawczość ich szła nawet zbyt daleko, skoro sami zastrzegli, że egzekucja - bicz na magnatów - nie będzie obowiązywała na Litwie.

Kiedy król zarządził wspólne posiedzenie posłów obu krajów, zachęcony przez możnych sejm litewski opuścił Lublin w nocy 1 marca 1569 roku. Pozostał w nim Zygmunt August wraz z koroniarzami i ani myślał ustępować. W cztery dni po wyjeździe Litwinów ogłosił, że wciela do Korony Podlasie, od dawna już gęsto zasiedlone przez drobną szlachtę i chłopów z Polski, zwłaszcza z Mazowsza. 27 maja przyłączył Wołyń. W czerwcu, na wniosek szlachty wołyńskiej, oderwał od Wielkiego Księstwa i zjednoczył z Polską Kijowszczyznę.

Król uciekł się zatem do polityki stwarzania faktów dokonanych, zastosował presję, której cel okazał się zgodny z wolą olbrzymiej większości szlachty trzech wymienionych ziem. Ich posłowie masowo powracali do Lublina, składali przysięgę wierności i zasiadali na sali obrad.

W czerwcu powrócił również sejm litewski w zmienionym składzie. Na ostateczny wynik nie trzeba już było długo czekać. 1 lipca 1569 roku, w piątek, zaprzysiężono akt unii lubelskiej.

Oznajmujemy tym listem naszym wszem ninie i na potym będącym ludziom do których jedno wiadomości ten list nasz przyjdzie [...] Iż już Krolestwo Polskie i Wielgie Księstwo Litewskie jest jedno nierozdzielne i nierozżne ciało, a także nierozżna jest jedna a spolna Rzeczpospolita, która się z dwu państw i narodow w jeden lud zniosła i spoiła.

A temu obojemu narodowi, żeby już wiecznymi czasy jedna głowa, jeden pan i jeden krol spolny rozkazował, którymi spolnymi głosy od Polaków i od Litwy obran, a miejsce obierania w Polsce, a potym na Krolestwo Polskie pomazan i koronowan w Krakowie będzie [...] ma być obwołan zaraz krolem polskim i tenże wielkim księdzem litewskim, ruskiem, pruskim, mazowieckim, żmudzkiem, kijowskiem, wołyńskim, podlaskim i inflanckim.

Sejmy i Rady ten oboj naród ma zawsze mieć spolne koronne, pod krolem polskim, panem swym.

Wspólna być także miała polityka zagraniczna i moneta. Utrzymano natomiast odrębność administracji oraz wojska i sądownictwa. Tak więc zjednoczone państwo liczyło podwójną ilość urzędów głównych - marszałków, kanclerzy, podskarbich, hetmanów.

Po zaprzysiężeniu unii dosiadł Zygmunt August konia i wśród ulewnego deszczu ruszył z zamku do kościoła Św. Stanisława.

Tam Panu Bogu swemu, w Trójcy Jedyndemu, z wielkim nabożeństwem, płaczem dziękował, chwałę dawał, Te Deum laudamus śpiewać i kazał, i sam śpiewał [...] Tak się ten dzień dokończył

- głosi *Diariusz sejmu lubelskiego*, którego autor umiał dbać o literackie piękno urzędowego sprawozdania.

Obecny w Lublinie poseł Iwana Groźnego natychmiast słał do swego

pana z wieścią, że Polacy i Litwini już zawarli ostateczną zgodę, „*czto stojati im oto wsiech okrain za odin*”.

Zygmunt August solidnie zatroszczył się o to, by w przyszłości „oboju naród” musiał wspólnie bronić nie tyle może wszystkich „okrain”, co wschodniej. Przyłączenie Kijowszczyzny do Korony dowodzi naprawdę niezwykłych zdolności politycznych tego człowieka. Przecież akt ten po raz pierwszy w dziejach stwarzał granicę państwową polsko-moskiewską! Więcej jeszcze - od tej pory na Koronę spada obowiązek obrony miasta, o które carom najbardziej chodziło, grodu będącego prastolicą Rusi. Teraz już Polska musiała się przeciwstawiać moskiewskiemu programowi „zbierania ziemi ruskiej” nie przez wspieranie Litwy, czyli pośrednio, lecz sama. Cel, do którego Władysław Jagiełło zmierzał wyraźnie, każąc wysłanemu do Wielkiego Nowogrodu Lingwenowi przysięgać na wierność Koronie Polskiej, był osiągnięty. (Zdania poprzednie mówią o „obronie”, czyli o walce. Wypadło sformułować je tak właśnie, ponieważ znamy przebieg późniejszej historii. Byłoby jednak błędem mniemać, że twórcy unii lubelskiej chcieli wprowadzić połączone państwo na drogę wiodącą do nieuniknionej wojny z Moskwą. Zygmunt August pragnął w gruncie rzeczy obarczyć Koronę troską o wschodnie „okrainy”. Troska wcale jeszcze nie oznacza wojny. Nie wyklucza jej, lecz nie musi do niej prowadzić. Niedługo po unii lubelskiej Rzeczpospolita, posłuszna wskazówce ostatniego z Jagiellonów, przedstawiła Kremlowi zaszczytną dla jego władcy propozycję, mającą na celu pokój wieczysty. Stało się to później, podczas bezkrólewia, i dlatego nie pora teraz na szersze omawianie tej sprawy).

Unia żyła już bez mała lat dwieście, formy nadane jej w Lublinie utrzymały się w mocy przez dalsze dwa wieki z okładem. Sama długotrwałość zjawiska świadczy, że u jego podstaw leżały istotne interesy obu krajów.

Nigdy w dziejach odrębne narody nie zawarły trwalszego ślubu przy mniejszym zastosowaniu nacisku. Stało się to wedle życzenia setek tysięcy, z ujmą tylko dla garści uprzywilejowanych i dla ich pychy.

Rok 1569 nie pozbawił Wielkiego Księstwa indywidualności ani też Litwy na Polskę nie przerobił, bo i nie leżało to w niczyich zamiarach. Rozwiązał tylko nadzwyczajnie doniosłe zagadnienia polityczne. Wobec zbliżającego się końca dynastii odwlekanie decyzji mogło łatwo spowodować powikłania bardzo groźne. Zapobieżono temu w sposób solidny, obwarowując dalsze współzycie spisanim prawem. Ale z powziętych w Lublinie postanowień natychmiast wynikała nowa problematyka, sięgająca we wszystkie dziedziny życia.

Była już mowa o obciążeniu Korony przez bezpośrednie i ostateczne uwikłanie jej w nieustający zatarg na wschodzie. W tych warunkach Kraków mógł tym mniej uwagi poświęcać zachodowi i północy. Przyłączenie wszystkich krain południoworuskich musiało wywrzeć głęboki, istotny wpływ na stosunki wewnętrzne w państwie. W przeciągu kilku wiosennych tygodni, a więc w praktyce od jednego razu, weszły w

skład Polski ziemie przeważnie słabo zaludnione, pod względem obszaru trzykrotnie większe od jej dotychczasowej powierzchni. Administracja koronna, która by pragnęła dokładnie wypełniać nawet takie przepisy, jak nakaz ścigania zbiegłych chłopów, stawiała wobec istnej kwadratury koła. Szeroko otwarły się upusty wiodące na wschód. Odpływ sił ludzkich z województw rdzennie polskich musiał osłabić napięcia społeczne nad Wisłą i Wartą. Niezadowoleni z istniejących porządków, zamiast walczyć o ich odmianę, mogli zmienić miejsce pobytu. W tych okolicznościach wszelkie zapęły reformatorskie bladły, traciły wigor.

Mylnie wyobrażamy sobie, że przed unią lubelską szlachta polska mogła swobodnie nabywać dobra w całym Wielkim Księstwie. Sejmy koronne uskarżały się na nierówność położenia stron, wskazując, że Litwinka wychodząca za mąż za koroniarza automatycznie traci prawo dziedziczenia majątności we własnej ojczyźnie. A jednocześnie nic nie przeszkadzało Radziwiłłowi w objęciu spadku po Szydłowieckich.

Unia lubelska zniosła przegrody. W niezbyt odległej przyszłości nawet ci bohaterowie *Ogniem i mieczem*, którzy byli rdzennymi Polakami, jechali do Warszawy na elekcję króla niczym do egzotycznego miasta. Znali nie ją, lecz Kijów, Łubnie, Czerkasy, niekiedy i Krym. Z Gnieznem i Poznaniem dziać się zaczynało całkiem dziwnie. Zachodnia połać kraju obumierała politycznie, aczkolwiek w dalszym ciągu wpłacała do kasy państwowej najwięcej podatków.

Dawne sejmy walne koronne przeszły do historii. Zakończyły swój byt wtedy właśnie, gdy powodowane względami praktyki politycznej potrafiły zastosować zasadę uchwalania większością głosów, nawet przywyknąć do niej. Niestety, bez ich winy nie przetworzono tego w prawo spisane. Odkąd nastął wspólny sejm polsko-litewski, osiągnięcie tego celu stało się znacznie trudniejsze. Do nowej izby wszedł bowiem również element pozbawiony tradycji parlamentarnej. Wielkiego Księstwa nie stać jeszcze było na wytworzenie takiej elity przywódców i posłów sejmowych, jaką przez długie lata wystawiała Korona do walki o egzekucję praw. O teoretykach w stylu Frycza Modrzewskiego nawet marzyć nie mogło.

Władysław Konopczyński surowo osądzał polską demokrację szlachecką, jednakże o ówczesnym „ogóle” nie zawahał się napisać: „rzesa pełnoletnia, własnowolna, za siebie odpowiedzialna w wyższym stopniu niż którykolwiek wówczas naród na świecie, nie wyłączając Anglików, Wenecjan, Holendrów czy Szwedów”. Stworzenie programu „egzekucji” oraz fakt długiej, uporczywej a legalnej walki o nią dowodzą słuszności tego twierdzenia.

Poziom nowego sejmu musiał ulec obniżeniu, równanie mogło się odbywać tylko w dół. Kultury nie sposób się nauczyć z dnia na dzień. Do wspólnej izby Korona wniosła mniej, niż mogła i powinna była.

Zabrakło rzeczy najważniejszej - prawa o głosowaniu większością. Strwonione lata walki o „egzekucję”, zmarnowana dobra wola posłów koronnych, za takie błędy drogo się płaci.

Skoro Litwa przyjęła z Polski samą instytucję sejmu, musiałyby przyjąć i główny paragraf regulaminu jego obrad. Paragraf, którego zawczasu nie napisano. Polityka faktów dokonanych w to miejsce nie sięgnęła. Nie tylko

kodeks karny, lecz i historia zna przestępstwa polegające na „zaniechaniu w potrzebie”.

Korona i Wielkie Księstwo zachowały swe odrębne administracje. Z natury rzeczy godności główne, dygnitarские i ministerialne, stanowiły domenę magnatów. Na Litwie było pod tym względem bez porównania gorzej niż w Polsce. Olbrzymie nierówności społeczne przetwarzały się tam w zjawiska, których inaczej niż dynastycznymi nazywać nie można. Dzieje litewskie dzielą się na wyraźne okresy przewagi poszczególnych rodów, które trzęsły krajem zupełnie nie przebierając w środkach i nie cofając się przed okrucieństwami. Uprawiały własną, w różne kierunki zorientowaną politykę zagraniczną, ale jeden po drugim dziedziczył prawidło zwalczania demokratyczno-szlacheckich wpływów Korony. Po wymarłych Gasztołdach nastąpili Radziwiłłowie, później Pacowie i Sapiehowie.

W państwie posiadającym podwójną liczbę ministeriów i dygnitarstw możnowładztwo nie mogło się użalać na brak widoków.

Arystokraci litewscy wcześniej niż zwykła szlachta tamtejsza nasiąkli kulturą i dorównali nią Koronie i Zachodowi. Tytuł książąt świętego cesarstwa rzymskiego nadany Radziwiłłom symbolizował ich awans nie tylko polityczny. I pod innymi względami doścignęli oni elektorów Rzeszy Niemieckiej, a wielu europejskich wielmożów nawet zdecydowanie prześcignęli. Ten i ów *le grand seigneur* francuski bywał analfabetą. To się nie zdarzało wśród panów na Birzach i Dubnikach, Ołyce i Nieświeżu.

Te okoliczności doskonale świadczyły o postępie kulturalnym, jaki unia zapewniła Litwie, lecz pod względem politycznym oznaczały dodatkowe niebezpieczeństwa. Za Zygmunta Starego i Zygmunta Augusta Habsburgowie znaleźli szczególnie wiernych sojuszników właśnie wśród magnaterii litewskiej. Europejska ogłada ułatwiała jej znoszenie się z dworami, rezydującymi na zachód od Krakowa.

Unia lubelska, przyłączając do Polski - a pod względem administracyjnym: do Małopolski - całą Ukrainę, dała kolosalną szansę magnaterii koronnej. Znamy przytaczane poprzednio rezultaty naukowych dochodzeń profesorów Arnolda i Wyczańskiego. Aż dotychczas, to znaczy do roku 1569, prawdziwymi latyfundiami władało w Koronie właściwie tylko duchowieństwo. W szczupłym pod względem terytorialnym państwie brakło po prostu miejsca na wielkie domeny możnowładztwa świeckiego. Teraz zmieniło się to radykalnie. Społeczne i polityczne skutki takiego stanu rzeczy wystąpiły nie od razu. Na dobre miało się z nimi zapoznać dopiero następane stulecie. Ale o samym problemie trzeba wspomnieć w chwili jego narodzin.

Dawny arystokrata koronny nie tak już druzgocąco przeważał nad ziemianinem typu Reja. Nad bracią szlachecką z całego województwa przewagi nie miał. W niedalekiej przyszłości miało się to odmienić, a społeczna treść pojęcia „Korona” upodobnić do stosunków panujących w Wielkim Księstwie Litewskim, gdzie poszczególne rody tyranizowały kraj.

Unia lubelska dała historyczną szansę nie tylko magnatom rdzennie polskim. Ruscy, dobrowolnie spolszczeni, też porobili zawrotne kariery i również ciężko zaważyli na losach wzajemnych stosunków Polski i

Ukrainy.

Wyliczanie spraw trudnych może wywołać z gruntu fałszywe mniemanie, iż unia lubelska zaprowadziła państwo na skraj przepaści. Tak wcale nie było. Stojące przed tym państwem zagadnienia niewątpliwie zaliczały się do poważnych i zawiłych, ale nie beznadziejnych. Rozwiązanie ich zależało przede wszystkim od sprawnego działania władzy centralnej, królewskiej. Ośrodek myśli i siły politycznej nabierał w zmienionych warunkach szczególnego znaczenia, gdyż trzeba było uporczywej, świadomej celu pracy.

Nie tylko los sprawił, że dokładnie w trzy lata po unii lubelskiej władza ta weszła na drogę chronicznych przesileń, które wkrótce uczyniły z niej fikcję. Zawiniło znowu „zaniechanie”. Ale o tym w następnym rozdziale, kończącym ten tom.

Po zaprzysiężeniu unii zabrano się w Lublinie do innej sprawy. Sąd sejmowy rozpatrzył postępowanie gdańszczan i czterech spośród nich skazał na więzienie. Wynikło to z zatargów trwających od paru lat.

Zapasy Polski i Litwy z Moskwą toczyły się na lądzie, dla pozostałych uczestników wojny głównym teatrem operacyjnym był Bałtyk. Interesował on również i Kraków, który chciał wzmocnić swój stan posiadania nad morzem, a ponadto jeszcze przeszkodzić „żegludze narewskiej”, zaopatrującej wschodniego przeciwnika. Zamierzenia te spowodowały między innymi słabe, ostatecznie już w dziejach przebłyśki myśli poświęconej dziedzinom książąt zachodniopomorskich. Król starał się ich nakłonić do udziału w blokadzie handlu morskiego Szwecji oraz Moskwy. Barnim IX ze Szczecina przychylił się do tych planów. Całkiem inne stanowisko zajmowały podległe mu miasta i takie Strzałowo wcale nie przestało uczestniczyć w żegludze narewskiej. Władza księcia nad „jego” portami była raczej teoretyczna, skoro tenże Barnim, chcąc poprzednio wypożyczyć Zygmuntowi Augustowi pewną sumę, musiał się w tym celu zadłużyć u własnych mieszczan.

Wolno uważać, że królewski pomysł blokady handlowej był chimera i nie nadawał się do urzeczywistnienia. Wszyscy chcieli handlować z Moskwą, która była rynkiem bez dna. Zamknąć szlak morski przed statkami płynącymi do Narwy można by było jedynie pod warunkiem posiadania, potężnej floty wojennej i od nikogo nie zależnych przystani dla niej. Bo główny port polski, cieszący się autonomią Gdańsk, był przeciwny zamierzeniom własnego monarchy.

Trzeba znowu powrócić do nuty, która tylekroć już brzmiała w tym rozdziale, i przypomnieć, że na dziesięć lat przed zaburzeniami nad Motławą, w styczniu 1559 roku poseł sejmowy, pan Mikołaj Rej z Nagłowic, „upominał” w imieniu kolegów króla i senatorów, „aby opatrzyli pruskie miasta i zamki, którzy się z tym nie tają, że nieradzi są pod posłuszeństwem Polakom, a zwłaszcza Gdańsk”. Mieszkańcy jego - ostrzegał - uważają się za uprawnionych nawet do zerwania związku z Koroną i poddania się komu innemu, kiedy obecnie panującego króla nie stanie. „Na to żadnej odpowiedzi nie dano i tak się rozeszło” - powiada diariusz sejmowy. Rej wygłosił swą przewidującą mowę dokładnie wtedy, gdy rozpoczynała się operacja inflancka, którą jednak nie on uplanował.

Jakże daleko wyobrażenia potoczne potrafią odbiegać od prawdy! Rej uchodzi za typowego szczura lądowego, obcego wszelkiej myśli o morzu.

Trzeba jednak dodać parę wyjaśnień do wywodów pośła-poety. Teorie wzbudzające jego niepokój rozsnuwali ci, co podówczas rządili Gdańskiem, to znaczy patrycjusze miejscy. Warstwy niższe czuły na sobie ich ciężką rękę, burzyły się nieraz. Podobnie jak to było za Zygmunta Starego, one właśnie nadawały się na wspornik polityki królewskiej w Gdańsku i nie zostały wzięte w opiekę, czyli wyzyskane dla lepszego zespolenia miasta z Polską.

Gdańsk ówczesny był wspaniałą metropolią. Sławny Żuraw, pamiętający schyłek rządów krzyżackich, oraz Stągwie Mleczne, zbudowane w początkach XVI stulecia, dobrze już omszały. Za to świeżymi kolorami pyszniły się kamienice przy ulicy Długiej i Długim Targu. Ratusz istniał w pełnej krasie, złocona figura Zygmunta Augusta zdobiła szczyt jego wieży, a Zieloną Bramę, przeznaczoną na rezydencję monarszą, akurat wznoszono. Wszystkie wspaniałości gdańskie nosiły na sobie wyraźną cechę wpływów zachodnich, mianowicie flamandzkich. Obyci z szerokim światem patrycjusze sięgali po wzory najlepsze.

Przygotowywali dla króla świetne apartamenty, wizerunek jego ustawili na wieży, lecz bardzo niechętnie patrzyli na samodzielne poczynania monarchy nad Bałtykiem. Miasto uważało się za posiadacza pełnego monopolu w sprawach morskich. Zjawisko to może uchodzić za dowód szczególnie złej organizacji Polski Jagiellonów, pamiętajmy więc, że we Francji jeszcze w dwa stulecia później istniały porty, do których królewskie okręty wojenne w ogóle nie miały prawa wstępu.

Nie tak łatwo było Koronie poradzić sobie z autonomicznymi dążeniami przymorskiej metropolii. Ówczesny Kraków - podobnie jak Wrocław - liczył około dwudziestu tysięcy mieszkańców. Gdańsk miał ich tysiące czterdzieści, mówią jedni historycy. Inni twierdzą, że osiemdziesiąt...

Jeśli chodzi o działalność na Bałtyku, Zygmunt August kroczył śladami ojca, który w dobie wojen pruskich utrzymywał w Gdańsku „straż morską”, składającą się z okrętów kaperskich. Był to system szeroko wówczas stosowany w Europie, a bardzo podobny do korsarstwa. Panujący zaciągał na swą służbę dzielnych kapitanów i dawał im prawo atakowania flot nieprzyjacielskich oraz statków płynących do obcych portów, pod warunkiem udziału w łupach. Do skarbu koronnego szła dziesiąta część zdobyczy. Nasi kaprowie żeglowali początkowo pod flagą inflancką, potem uzyskali prawo do polskiej. W 1567 roku było tych statków siedemnaście. W tym samym czasie Szwecja rozporządzała sześćdziesięcioma okrętami.

Żywa i owocna działalność kaprów szkodziła handlowi gdańskiemu, ale nie tylko jemu jednemu. Skarżyli się na nich wszyscy zainteresowani w obrotach ze Wschodem, a więc na przykład Elżbieta I angielska i Filip II hiszpański. Przerwanie żeglugi narewskiej to był zuchwały zamiar.

W 1567 roku, ulegając naciskowi ze strony Gdańska, król przeniósł kaprów do Pucka, lecz zaraz w następnym powołał Komisję Morską, czyli coś w rodzaju ministerstwa tych spraw. Na jej czele stanął kasztelan gdański, Jan Kostka, który znalazł dobrego pomocnika w osobie Kaspra Geschkau, opata z Oliwy. Komisja wzięła na siebie opiekę nad kaprami,

troszczyła się o handel i zwalczała przemyt. Pomyślała również o budowie regularnej floty królewskiej. U samego schyłku życia i rządów Zygmunta Augusta stocznie w Elblągu wodowały jedną małą fregatę oraz galeonę „Smok”.

Przedtem doszło jednak do ostrych zatargów z Gdańskiem. Stało się to w czerwcu 1568 roku. Kaprowie zrabowali żywność przyjeżdżającym do miasta chłopom, a magistrat kazał powiesić jedenastu winowajców. Głowy ich przez dwa lata sterczały na palach przy Bramie Wyżynnej.

We wrześniu Gdańsk po prostu nie wpuścił w swe mury specjalnej komisji, wyznaczonej przez króla do zbadania zatargu. Przewodniczył jej biskup kujawski, Stanisław Karnkowski, mający przy boku Jana Kostkę oraz wojewodę łęczyckiego, Jana Sierakowskiego, który także dobrze się znał na zagadnieniach bałtyckich.

Sejm lubelski pozwał przed swój sąd burmistrza Gdańska tudzież innych dostojników, uznał ich postępowanie za bezprawne i ukarał więzieniem. Komisja znowu ruszyła nad Motławę, gdzie ułożyła i ogłosiła *Statut Karnkowskiego*, składający się z sześćdziesięciu siedmiu artykułów. Wykonanie ich przyniosłoby znaczny postęp, czyniąc z króla polskiego rzeczywistego władcę wybrzeża. Nadchodziły niestety czasy, które uniemożliwiły dopilnowanie tej sprawy, gdyż uwaga ogółu musiała się zwrócić ku zagadnieniom jeszcze bardziej zasadniczym.

Na sejmie warszawskim 1570 roku Gdańsk uroczyście przeprosił Koronę za swe postępowanie. Kaprowie przeżywali wtedy ciężkie chwile. W Szwecji panował już Jan III i nastąpiło odwrócenie dotychczasowych przymierzy. Wrogiem Polski została Dania, która w energiczny sposób zabrała się do tępienia naszej „straży morskiej”. W 1571 roku admirał Sylwester Frank zadał kaprom decydujące ciosy.

Ze względu na chronologię trzeba na chwilę odbiec spraw wojny i Gdańska. Szybka zmiana punktów widzenia przyda się zresztą. Przekona, jak osobliwym krajem była Polska w chwili, kiedy jeszcze mocniej wiązała swój los ze wschodem i wzmagala oddziaływanie kulturalne na tamte strony.

Do komisji Karnkowskiego należał Wawrzyniec Goślicki, późniejszy biskup poznański. Pochodził z Płockiego, a kształcił się w Krakowie, Padwie, Bolonii i Rzymie. Dokładnie w czasie pierwszej fali zaburzeń gdańskich, czyli w roku 1568, wyszło w Wenecji jego dzieło *De optimo senatore (O senatorze doskonałym)*. Drugiego wydania dokonano w Bazylei w roku 1593, istniał także podobno przekład włoski. Dziwny był los tłumaczeń angielskich. Dwa pierwsze, z lat 1598 i 1607, zostały natychmiast skonfiskowane przez rząd. Ostało się dopiero trzecie... w roku 1773. Nieliczne egzemplarze książki krążyły jednak po Anglii, wzbudzając zainteresowanie i uznanie. Podobno i William Szekspir znał ten traktat. Nie to pewnie gniewało rządy brytyjskie, że Goślicki zwalczał dyletantyzm i żądał od polityków gruntownego i wszechstronnego przygotowania. Kamieniem obrazy stały się jego koncepcje ustrojowe, które sprawiły zresztą, że rozprawa uważana jest za poważną zdobycz w dziejach europejskiej myśli politycznej. Zdaniem Goślickiego, rządzić państwem winien nie król i nie sejm, lecz senat, przed którym monarcha jest

odpowiedzialny. To właśnie zasada prawnie określonej odpowiedzialności władzy spowodowała burzę i stanowiła krok naprzód.

Traktat, zawierający tego rodzaju tezy, był dedykowany Zygmuntowi Augustowi, który powierzał autorowi ważne funkcje polityczne.

Wojna na północy dogasała. Już w roku 1530 zawarto trzyletni rozejm z Moskwą. Po raz pierwszy w dziejach uczestniczyli w pertraktacjach posłowie polscy. Aż dotychczas układy z Kremlem należały do samej Litwy.

W sierpniu tegoż roku, z inicjatywy Polski, popartej przez Francję, zebrał się kongres pokojowy w Szczecinie, dokąd przybyli też przedstawiciele Danii, Szwecji, cesarza, niektórych księstw Rzeszy oraz Lubeki. Naszym posłom, Marcinowi Kromerowi oraz Janowi Dymitrowi Solikowskiemu, chodziło o pogodzenie Danii ze Szwecją, by dać tej ostatniej swobodną rękę do działania na wschodzie przeciwko Moskwie.

Sukcesu Polska nie odniosła, pomimo podpisania pożądanego przez nią pokoju. Żegluga narewska utrzymała się, uznano nawet prawa zwierzchnicze cesarza nad Inflantami. Rzeszy nie stać jednak było na praktyczne ich wykonywanie. Najwięcej zyskała Dania, która potwierdziła swą przewagę na Bałtyku.

Pierwszy akt walki o Inflanty był zamknięty. Szwecja posunęła się na południe, Moskwa uzyskała port, a Rzeczpospolita Obojga Narodów rozszerzyła swój stan posiadania nad Bałtykiem. Podlegała jej Kurlandia oraz kraj na prawym brzegu Dźwiny wraz z Rygą. Przyszło zapłacić za to ustępstwem w Prusach na rzecz Hohenzollernów, co trzeba uznać za koszt bez porównania większy od całego wysiłku wojennego.

Zdobyte podczas wojny doświadczenia wywarły bardzo poważny wpływ na rozwój polskiej myśli politycznej. Wnioski i pomysły aż zadziwiają trzeźwością, lecz także i odwagą wynikłą z przekonania o własnej wartości. Korona uświadomiła sobie w pełni, jak wielką potęgą jest Moskwa. W senacie dawały się słyszeć głosy, że Iwan Groźny uważa za swoją ojcowiznę również i Halicz i pragnie zagarnąć wszystkie ziemie aż po „Białą Wodę” - jak się wyraża - czyli po Wisłę. Głoszono otwarcie, także wobec zagranicy, że „moskiewski” góruje siłą nie tylko nad Polską, lecz i nad krajami zachodnimi, nie wyłączając cesarza. Jak widzimy, w chwili przyłączenia Kijowa do Korony ta ostatnia wcale nie lekceważyła wschodniego współzawodnika, który aż dotychczas był właściwie wrogiem tylko dla Litwy. Z naszkicowanych przesłanek wynikło najpierw przekonanie o potrzebie szukania porozumienia, nawet ugody, z groźnym sąsiadem. Wkrótce odezwać się mieli tacy, co zalecali te same środki, które ongi okazały się skuteczne w stosunku do Litwy, przemieniły nieprzyjaciela w domownika prawie. Dogorywała dynastia, której przybycie na Wawel zapoczątkowało unię z Wielkim Księstwem. Po zgonie Zygmunta Augusta - i z g o d n i e z jego zleceniem - zupełnie realnie zamierzano ponowić tę samą próbę... tym razem w skali oszałamiająco wielkiej.

Wojna o Inflanty wywarła też dodatni wpływ na stosunki wewnętrzne w państwie. Rozpoczęte przez króla działania zaraz go przekonało o konieczności porzucenia dotychczasowej metody przeciwstawiania się wysiłkom sejmów koronnych. Pod naciskiem zewnętrznym doszło do

zawarcia unii ścisłej, rzeczowej. Taki porządek rzeczy był nieunikniony, bo tylko niebezpieczeństwo ze wschodu mogło stworzyć warunki złamania opozycji magnatów Wielkiego Księstwa. Utrata Smoleńska, a w pół wieku później Połocka to były rozstrzygające argumenty. Za to egzekucja praw w Koronie wcale nie musiała czekać na wojnę z Iwanem Groźnym. Państwo straciło wiele na zwłoce oraz na pośpiesznym działaniu w okolicznościach zmienionych na gorsze.

14 kwietnia 1570 roku przeważające liczbą i znaczeniem wyznania protestanckie zawarły sławną „zgodę sandomierską”. Kalwini, luteranie i bracia czescy postanawiali zaniechać wzajemnego zwalczania się, uznawali, że wszystkie trzy odłamy „prawdouchwalnie wierzą o Bogu”. Powstawał zwarty obóz różnowierczy, zamierzający bronić swych zdobyczy przed wzbierającą kontreformacją. „Zgodę sandomierską” krytykuje się za to, że nie objęła arian. Istotnie, pominęła ich, ale i tak na podobne porozumienie różnowierców nie zdobył się żaden z ówczesnych krajów europejskich.

Był to akt ważny, posunięcie rozumne. Rozbicie protestantów na wiele zwalczających się sekt dawało ich przeciwnikom oręż do ręki. Już kilka lat wcześniej nuncjusz Commendone pisał do św. Karola Boromeusza z wyjaśnieniem, że ze względów taktycznych należy chwilowo powstrzymać się od ścigania jednego z arian:

Jego dostojność wie dostatecznie, ile ten człowiek trucizny roznosi; lecz mniemam, iż w ciężkiej chorobie wypada niekiedy używać samej trucizny jako lekarstwa przeciwko innym zaraźliwym jadam; a takimi są kalwini, posiadający dzisiaj wielkie znaczenie. Bogu spodobało się, aby ze źmij driakiew przyrzadzono.

Ton listu mówi sam za siebie, świadczy, że naprawdę pora było obwarowywać zdobyte poprzednio wolności, a wraz z nimi rdzenne tradycje polskie. W odległą i niepowrotną przeszłość odsunął się już rok 1555, kiedy to wybrany przez katolicką większość szlachty sejm protestancki żądał Kościoła narodowego. Piętnaście lat to bardzo dużo czasu. Planowo kierowana i rozporządzająca nie lada środkami kontreformacja miała zadanie ułatwione nie tylko przez podziały wśród różnowierców. Na jej korzyść musiał wyjść i ten bezsporny fakt, że nawet w dobie największego rozkwitu „nowinek” większość narodu pozostała przy katolicyzmie. Niezależność postępowania, której zewnętrznym wyrazem było owo powoływanie protestantów do sejmu, wobec nacisku kleru zbyt długo przetrwać nie mogła.

Ze „zgody sandomierskiej” wynikła po upływie trzech lat konfederacja warszawska, która ogłosiła pokój pomiędzy różniącymi się w wierze i naprawiła błąd swej poprzedniczki, dobrodziejstwem tolerancji obejmując także arian. Ale to się stało już podczas bezkrólewia.

W 1570 roku Zygmunt August liczył sobie zaledwie pięćdziesiąt lat życia. Dynastia i on sam mieliby jeszcze widoki przed sobą, gdyby nie dwie przeszkody: żona i zdrowie monarsze.

Królowej Katarzyny nie było już w Polsce. Zrażona postępowaniem

męża, który oddalił ją do Radomia i nie dawał pieniędzy, powróciła do ojczyzny. Przebywała w klasztorze w Linzu. Na nic się nie zdał pełen troski głos sejmu, że kraj nie chce tracić dynastii. Sytuacja wyglądała beznadziejnie. Katarzyna była o wiele młodsza od męża, miała trzydzieści kilka lat. O unieważnieniu małżeństwa przez Kościół darmo było marzyć. Niezależnie nawet od sprawy samego sakramentu wszelką nadzieję odbierała polityka. Katarzyna należała do rodu Habsburgów, którego interesom wygaśnięcie polskiej dynastii jak najbardziej odpowiadało, ułatwiało drogę na Wawel.

Zawsze wątpy Zygmunt August od 1568 roku chorował niemal bez przerwy. Zadziwiające, jak zabobonny był ten kulturalny człowiek! Leczył się u znachorek i wiedźm, prowadził rujnujący zdrowie tryb życia. Kochanki zmieniał jedną po drugiej, aż najsłynniejsza i najsprytniejsza z nich, Barbara Gizanka, urodziła córkę, która przyszła na świat 8 października 1531 roku. Nikt w Polsce nie wierzył w ojcostwo królewskie, lecz kiedy 29 lutego 1572 roku zmarła w Linzu Katarzyna, zapanowały obawy przed powtórzeniem się historii Radziwiłłówny... w wydaniu skandalicznym. Od protekcji obrotnej mieszczki warszawskiej zależały już mianowania na godność wielkiego marszałka, nawet biskupa krakowskiego.

Ostatnich lat Zygmunta Augusta nie sposób uznać za chwalebne. Szlachta wymieniała listy, w których panujące na dworze stosunki określano przy pomocy pewnego niecenzuralnego słowa i dziś jeszcze będącego w obiegu. Główną winę ponosił nie sam król, bo ostatecznie historia na setki liczy pomazańców o wiele go przewyższających w wiadomym względzie. On się miotał między rozpaczą a nadzieją. Był w sile wieku, astrologowie przepowiedzieli mu los pradziada, Jagiełły, któremu dopiero czwarte małżeństwo dało syna. To otoczenie dworskie sprawiło, że owe lata upływały bez godności. Zebrała się wokół monarchy zgraja karierowiczów w najgorszym tego słowa znaczeniu, złodziei i stręczycieli.

Zaczynała wtedy wypływać rodzina Mniszchów, która w początkach XVII wieku narobiła wiele zła. Mniszchowie przybyli z Wielkich Kuńczyc na Morawach jeszcze za Zygmunta Starego. Przy Zygmuncie Auguście uwijali się Mikołaj i Jerzy. Ten pierwszy, do spółki z kupcem żydowskim Egidzym, był protektorem Gizanki.

Wreszcie kilku koronnych i litewskich wielmożów uznało, że trzeba działać. Zebrani we Włocławku u biskupa Karnkowskiego postanowili albo wyperswadować królowi jego zamiary, albo siłą porwać Gizankę i zatrzymać pod kluczem do rozporządzenia sejmu. Ostrzeżony o tym Zygmunt August wyprawił ją do Tykocina i sam zdecydował się opuścić Warszawę, gnębioną przez morowe powietrze. Przed wyjazdem pojednał się z siostrą, Anną Jagiellonką, z którą się był poróżnił o Gizankę. Wręczył królownie testament. Na dużym, specjalnie przysposobionym wozie zmieściło się łożo chorego oraz kilku dworzan. Droga wiodła przez Tykocin - dokąd zawleczono zarazę, a skąd zabrano Gizankę - do Knyszyna, gdzie Zygmunt August zmarł 7 lipca 1572 roku.

Zanim jeszcze nastąpiła agonia, rozpoczął się w dworze knyszyńskim

rabunek mienia królewskiego. Uczestniczyła w nim i Giżanka, świeżo obdarzona przez monarchę kilku wioskami w dożywocie, a ponadto - ciepłą ręką - szkatułą z trzynastoma tysiącami dukatów brzęczącą gotówką. Obraz Jana Matejki, przedstawiający zgon ostatniego z Jagiellonów, mówi poniekąd prawdę. Pokazuje księdza w komży i stule, przerażonym wzrokiem spoglądającego na domowników napychających sobie kieszenie. Widać także łoże i przybraną w bogaty strój postać konającego.

W rzeczywistości było gorzej, niż namalował Matejko. Według relacji współczesnego wypadkom Świętosława Orzelskiego:

po skonaniu Króla taki okropny widok opuszczenia przedstawiał nieboszczyk, iż nie było czym przykryć nagi trup jego. Dopiero biskup krakowski [Franciszek Krasieński] kazał zrobić całun na ten użytek, a doktor Fogelweder włożył na ciało zmarłego złoty pierścień z kosztownym kamieniem i łańcuch złoty z krzyżem.

Do Zygmunta Augusta przez długie lata daremnie się cisnęli najlepsi w narodzie, posłowie sejmów walnych koronnych.

Doktor Stanisław Fogelweder pochodził z rodziny szwajcarskiej, od trzech pokoleń osiadłej w Krakowie. Wysoko wykształcony w dziedzinach humanistyki i medycyny, nie praktykował, wiedzę lekarską miał tylko dla króla. Nie splamił rąk kradzieżą. Wraz z innym dworzaninem, Janem Tomaszem Drohojowskim, ratował nawet, co się dało, i słał Annie Jagiellonce do Warszawy. Kosztowności, które złożył na zwłokach, były pamiątką bardzo cenną. Stanowiły spadek po Andrzeju Zebrzydowskim, biskupie.





Bez drogowskazu

Straszny zachodzi kontrast między końcowymi scenami dziejów dwu naszych dynastii. Rok 1370 nosił wszystkie znamiona tragedii, ale i wielkości. Los uderzył wtedy zniemacka, opróżnił tron, lecz nie zdołał wykoleić państwa. Zawczasu zrobione było bowiem, co tylko leżało w mocy ludzkiej, by królestwo zdołało „utrzymać swój byt trwały, pomyślność i chwałę”. W dwa dni po zgonie ostatniego Piasta wkroczył na Wawel prawowity następca. W rezerwie stał jeszcze drugi, młodszy.

Rok 1572 przyniósł kres, którego się od dawna spodziewano. Zostawił po sobie uczucie niesmaku oraz polityczną pustkę. Państwo stanęło wobec samych znaków zapytania, na które szlachta musiała jak najrychlej udzielić odpowiedzi. Nie rozporządzała przy tym żadnym w tej mierze doświadczeniem, nie otrzymała wskazówek ani wytycznych postępowania. Poprzednie elekcje nie nadawały się na wzór, a to po prostu dlatego, że stanowiły właściwie formalność tylko. Przez dwa stulecia rządziła ta sama dynastia, i to dokładnie według listy starszeństwa.

Od dłuższego czasu rozprawiało się już o kandydatach na tron. Byli nimi sami cudzoziemcy, a mianowicie: arcyksiążę austriacki, Ernest Habsburg, car Moskwy, Iwan IV Groźny, i syn jego, Teodor, brat króla Francji - Henryk de Valois. I jeszcze dwóch pomniejszych: Jan III, król Szwecji, tudzież Stefan Batory, władca Siedmiogrodu. Było od czego dostać zawrotu głowy. Brakowało natomiast prawa, a chociażby przepisu, wskazującego, w jaki sposób ma się dokonać wyboru i jakie warunki postawi się elektowi. Trudno zaś było oczekiwać decyzji pozostawienia wspomnianym mężom - zwłaszcza niektórym spośród nich - swobodnej ręki w Polsce. Nikt nie wiedział, kto ma objąć władzę zastępczą podczas bezkrólewia. Wisiała tylko nad głowami stara ustawa sejmowa o wolnej, czyli tłumnej elekcji.

Chwila przekazania władzy nowemu człowiekowi lub grupie ludzi w każdym ustroju oznacza przesilenie. Wartość porządku politycznego poznaje się między innymi po jego zdolności wytwarzania norm i urządzeń zabezpieczających społeczność przed wspomnianymi wstrząsami, a zapewniających ciągłość działania organów państwa. Właśnie dlatego dziedziczność tronu była takim skarbem dawnej historii. Pomimo złej opinii, jaką miał za młodu Kazimierz Wielki, rok 1333 przeszedł w Polsce gładko. Syn musiał nastąpić po ojcu.

W latach 1572 i 1573 jedno tylko mogło zabezpieczyć i rzeczywiście ustrzegło kraj przed doraźną katastrofą: z m y s ł p o l i t y c z n y
s a m e j s z l a c h t y . Gdybyż go wyzyskano wcześniej!

14 stycznia 1558 roku, a więc na czternaście lat przed zgonem Zygmunta Augusta, posłowie złożyli monarsze i senatowi wniosek o sposobie odbywania elekcji, „którym by na przyszłe czasy bez zamieszania albo

rozerwania królowie polscy obierani być mieli”. Zastrzegli przy tym, że gotowi są przyjąć ewentualne poprawki do projektu, którego zarys przedstawiał się tak:

W dwa albo trzy tygodnie po śmierci króla szlachta musi już stać pod bronią, zgromadzona w zwykłym miejscu odbywania sejmików (dokładnie opisano, jak należy ogłosić bezkrólewie, by łatwo przyszło wysledzić i ukarać winnych wszelkich zaniedbań). Obiera się poczwórną liczbę posłów, którzy we dwa tygodnie po otrzymaniu mandatów składają sejm elekcyjny w Piotrkowie. Każdy sejmik wręcza swym wybrańcom opieczętowane pismo, zawierające imię tego, kogo chce mieć królem. Ale ta uchwała sejmiku nie wiąże posłom rąk. Wolno im przychylić się do zdania kolegów, czyli w praktyce - w i ę k s z o ś c i . Powszechność elekcji miała się więc, według autorów projektu, wyrażać w prawie sejmików do objawienia swej woli i na nim kończyć.

Posłem na sejm elekcyjny nie może zostać żaden wojewoda, kasztelan (ich miejsce było w senacie), starosta pograniczny ani nikt, kto świeżo powrócił z zagranicy, „choć też Polak”. Posłom zabrania się wszelkiej korespondencji, nawet prywatnej. Do Piotrkowa wolno przybyć tylko określonym osobom z pocztami, ograniczonymi na przykład dla wojewodów do ludzi dwudziestu, ale bez „strzelby ognistej”. Głosy senatorów i posłów liczą się równo. Każdy rozporządza jedną kreską, których obliczenie daje większość. Troska o porządek elekcji należy do marszałków. Na Wawelu przez cały czas winni przebywać określeni urzędnicy. Mają strzec stolicy, skarbu państwowego i kościelnego.

Wniosek milczał o roli biskupów. Hieronim Ossoliński wyjaśnił to zaraz imieniem sejmu w mowie nader rozwlekłej, którą streścić jednak można bardzo krótko: biskupi, jako ci, co składają przysięgę na wierność ośrodkowi zagranicznemu i muszą go słuchać, nie mogą uczestniczyć w obiorze króla.

Sejm z 1558 roku pragnął zatem przetworzyć polską elekcję w istne konklawe. Nie poprzestawał na ograniczeniu liczebności pocztów ani na zakazie korespondencji. Uznawał za przestępcę każdego, kto by podczas elekcji samowolnie przybył do Piotrkowa, i żądał dlań kary jak za zdradę kraju.

Nie można mówić o intuicji, trzeba za to podziwiać trzeźwość rozumowania politycznego. Sejm zupełnie jasno oceniał położenie i przewidywał bez najmniejszego błędu. Chciał odgrodzić elekcje od najgorszego niebezpieczeństwa, jakie im groziło, to jest od intryg zagranicy. Wiek XVII, a zwłaszcza XVIII wykażą, jak wielką miał rację.

Te czy inne szczegóły projektu były pewnie niezyciowe. Lecz autorów jego - a popierała go cała izba poselska - nie sposób posądzać o brak troski o przyszłość. Istniała całkowita możność ustawowego obwarowania bezkrólewia, a więc zmniejszenia klęski przesilen politycznych. Orzeczoną w dobie „wojny kokoszej” powszechność przyszłych elekcji sam sejm pragnął teraz ograniczyć do poczwórnego kompletu posłów, uchwalających większością. Synowie uznali, że pokolenie ojców zagalopowało się, i chcieli naprawić błędy.

W latach 1565 i 1572 wypłynęły następne wnioski. Pierwszy z nich

wyraźnie mówił o większości, drugi oddawał głos specjalnie wylosowanym senatorom i posłom, chciał też dopuścić do elekcji przedstawicieli jedenastu miast Rzeczypospolitej. Układał własne projekty i król, ale torpedowali je magnaci. Ostatecznie żadne z przedłożeń nie stało się prawem, na granicy bezkrólewia zabrakło drogowskazu.

Jak bardzo naród go pragnął, jak tęsknił do ciągłości historycznej, świadczy fakt niezbity. W kilkanaście lat po zgonie Zygmunta Augusta wstąpił na tron jego rodzony siostrzeniec. Pomimo elekcji naprawdę już wtedy „wolnych” dynastia Wazów - Jagiellonów po kądzieli panowała w Polsce do roku 1668.

Trzeba się rozstać z łatwiutką, zwalnającą od trudów myślenia tezą o wrodzonych rzekomo Polakom skłonnościach do anarchii oraz braku u nich zmysłu politycznego.

Na samym przedprożu epoki jagiellońskiej widnieją zjazdy rycerstwa, odbyte w Radomsku i Wiślicy jesienią 1382 roku. Karol Szajnocha pisał, że załatywały one baranim kozuchem. Prymitywna jeszcze pod względem kultury szlachta powzięła uchwały zapewniające królestwu jedność i samodzielność. U schyłku tejże doby jagiellońskiej strojny w jedwabie i atłasy, znający włoską i hiszpańską modę sejm walczy o program, którego istotę streszcza tytuł dzieła, stanowiącego chlubę Europy, niczym się nie zrażając radzi „o poprawie Rzeczypospolitej”.

Za Jagiellonów nie naród zawiódł, lecz władza. Dwa końcowe panowania tej dynastii wykoleiły państwo. Blisko siedemdziesiąt lat marnowania wysiłków najlepszych ze szlachty, która wtedy właśnie doszła do szczytów kultury - za to musieliśmy zapłacić. Na Złotym Wieku dziejów Polski kładą się polityczne cienie, które już nie znikną.

W Polsce ówczesnej tylko to stawało się prawem, co uzyskało zgodę dwuizbowego sejmu i króla, mogącego też w niektórych kwestiach stanowić samodzielnie. Nie było jeszcze zasady podziału władz ani normy, że rząd istnieje po to, by wykonywać uchwały parlamentu. Brak zgody ze strony króla, czyli dożywotniego zwierzchnika wszelkiej władzy, hamował wszystko. Postępowanie człowieka, który chory i bezdzielny - nie wyzyskał dobrej woli sejmów i nie uregulował sposobu obioru następcy, to najwyższy stopień braku poczucia odpowiedzialności.

Charakterystyczną cechą całej epoki jagiellońskiej jest nieustanne sumowanie się spraw nie załatwionych. Co prawda każde państwo musi ciągle wpisywać na porządek dzienny nowe kwestie, ale - jeśli tylko chce żyć - winno dodatkowo kwitować choćby część dawnych. Dla przykładu i przypomnienia: Kazimierz Wielki nie odzyskał Śląska ani Pomorza, wkroczył natomiast na Ruś Czerwoną, co stanowiło o zyskach, lecz i o dodatkowych trudnościach. Za to jakaż niebotyczna różnica pomiędzy rokiem 1333 a 1370, jeśli chodzi o stan rzeczy wewnątrz państwa! Załatwiono nie tylko to, czego dobijał się Łokietek, ale ponadto wiele problemów, o których tamten nawet nie marzył.

Unia bezprzykładnie pomnożyła zadania państwa. Mowa naturalnie o unii pierwszej, zawartej w 1386 roku. Prusy i Moskwa jako główne zagadnienia w polityce zagranicznej istniały nadal w chwili końca dynastii, chociaż Królewiec można było wziąć i Prusy zlikwidować. Śląsk nie został

odzyskany mimo wielkich po temu sposobności. Nastąpiły poważne kłopoty z Habsburgami i Turcją. A w polityce wewnętrznej jeden król jagielloński dziedziczył po drugim ciągle te same otwarte kwestie skarbu, wojska, sprawności sądów oraz mnóstwo innych, także społecznych, które się pogarszały zamiast polepszać. W XVI wieku przybył samopas rosnący parlamentaryzm, a w 1572 roku straszliwy ciężar w postaci puszczonej na łaskę losu sprawy elekcji. Wszystkie moce ościenne, w jasno pojmowanym interesie własnym, będą się odtąd wysilać, by nie pozwolić Polsce na porządek w sejmie i na polu elekcyjnym. Z tych dwu nieszczęść złego sejmowania i równie fatalnych wyborów władców - wyrwie się Rzeczpospolita dopiero w dwieście lat później, za cenę śmiertelnego ryzyka, rzeczywiście zakończonego śmiercią państwa.

Nie wolno zresztą oddzielać obciążeń w polityce zagranicznej od spraw wewnętrznych. Wypuszczenie Prus z ręki było błędem strasznym także i dlatego, że w przyszłości większość sejmów polskich została zerwana za pruskie pieniądze.

Trwało państwo ogromne, od zewnątrz imponujące. Ale wewnętrzna konstrukcja tego gmachu była fatalnie słaba. Zamiast się wzmacniać z biegiem czasu wątpiała. Zachorowaliśmy na chroniczny niedorozwój organizacyjny. Stworzony za Piastów fundament już stanowczo nie wystarczał. System obrony, żywcem odziedziczony po Kazimierzu Wielkim, w XVI wieku był dziwolągiem. Nowego, na miarę potrzeb, nie stworzono. System podatkowy, za Kazimierza dobry, zaprzepaszczono.

Zastanawiające, że Jagiellonowie, którzy tak szybko i świetnie przejęli kulturę w zwyczajnym tego słowa znaczeniu, kultury politycznej nie wytworzyli nigdy. Nie nauczyli się solidnej roboty. Gdzie indziej monarchowie łamali szlachtę, zmuszali ją do szanowania prawa. U nas szlachta błagała monarchów, by zechcieli z nią współpracować dla utwierdzenia prawa i wzmocnienia państwa.

Los jakby udzielił ostrzeżenia. U samego schyłku XV wieku państwo aż zatrzeszczało pod parciem wrogów zewnętrznych, którzy wyzyskali chwilę kryzysu i nacisnęli jednocześnie. W 1514 roku groził atak z trzech stron. Historia powszechna uwolniła nas od doraźnego niebezpieczeństwa, lecz tylko na czas pewien. Reformacja wtrąciła Niemcy w chaos wewnętrzny, pozbawiając je możliwości działania zaczepnego, i ten jej uboczny skutek trzeba uznać za nadzwyczajnie dla Polski pożyteczny. Od strony bałkańskiego skrzydła szli na cesarza Turcy, którzy po raz pierwszy dosięgli Wiednia. Sułtan, jedyne podówczas przeciwnik zdolny do zadania nam śmiertelnego ciosu, żądał od Polski tylko pokoju i sam się nastęrczał jako pośrednik w porozumieniach z Francją. Był więc nie tyle przeciwnikiem, co partnerem. Moskwa tężała, przyprawiała Litwę o klęski, ale popadała w kryzysy (z których najgorszy czekał ją po zgonie Iwana Groźnego). Za Jagiellonów jeszcze nie prześcignęła Polski w sposób ostateczny i nieodwracalny.

Wolno powiedzieć, że historia powszechna podarowała nam kilkadziesiąt lat niebywałej koniunktury w stosunkach międzynarodowych. Tego czasu mogło najzupełniej wystarczyć na naprawę państwa od wewnątrz. Społeczeństwo szlacheckie dobijało się o nią.

W następnym rozdziale dziejów wkroczyliśmy obciążeni bezmiarem spraw nie załatwionych. Ale XVII wiek okazał się mniej łaskawy od XVI. Moce ościenne już wtedy okrzepły i tylko czekały na polski kryzys.

Przyczyn późniejszej katastrofy trzeba szukać już w politycznie zmarnowanym XVI stuleciu.

Unia polsko-litewska stworzyła problematykę, której rozwiązanie okazało się ponad siły ludzkie. Trudności naczelną wynikiły też z pojawienia się na Wawelu nowej szkoły politycznej, krańcowo różnej od piastowskiej, którą cechował umiar w poczynaniach zewnętrznych oraz gospodarska solidność w robocie wewnętrznej.

Nasza pierwsza dynastia przewodniczyła narodowi. Druga przeważnie za nim nie nadążała.

Wydanie sprawiedliwego sądu o Jagiellonach zalicza się chyba do zadań niewykonalnych.

Trzeba krytycznym okiem spojrzeć na takie nawet sukcesy, jak opanowanie tronów Czech i Węgier. Lecz z drugiej strony - należy stwierdzić, że to Jagiellonom zawdzięczamy pewne dodatnie cechy, najniesłuszniej w świecie przypisywane całej naszej historii od początku.

Jagiellonowie to ród monarszy składający się z ludzi jak na swoje czasy bardzo dziwnych. Panując w średniowieczu oraz w dobie Renesansu, nie ubroczyli się krwią, stanowiąc pod tym względem zjawisko najzupełniej jedyne w całej Europie, jak długa i szeroka. Historia Kościoła katolickiego byłaby szczęśliwa, gdyby wszyscy papieże ówcześni stali na tym poziomie człowieczeństwa, co ci spolszczeni Litwini. Wstąpiwszy na Wawel, Olgierdowicze, zwani odtąd Jagiellonami, wprowadzili nowy styl panowania. Możemy to śmiało uznać za wpływ polskiej kultury. Nie znaczy to, że Polska XIV wieku była rajem. Dowodzi tylko, iż chcąc się do niej dopasować, przybysze z Wielkiego Księstwa musieli zapomnieć o samowoli.

Każdy obszerniejszy podręcznik mówi o spaleniu w Krakowie starej mieszcanki lub o rozprawie z luteranami w Gdańsku za Zygmunta Starego. W październiku 1546 roku w Meaux we Francji uwięziono sześćdziesięciu jeden heretyków. Czternastu z nich poszło na stos, pozostałych skazano na tortury i więzienia. Nieco wcześniej sąd w Aix-en-Provence kazał zrównać z ziemią trzydzieści wsi zarażonych herezją.

To się działo za wielkodusznego Franciszka I, który usiłował hamować fanatyków i w ostatnich godzinach życia jeszcze wzywał do umiarkowania. Wszelkich hamulców zabrakło, kiedy władzę objął ograniczony i zajadły, natkany kompleksami Henryk II. Ten, pragnąc świecić dobrym przykładem, osobiście asystował przy straceniach, jeździł konno z jednego placu Paryża na drugi, bo stosy płonęły w wielu miejscach jednocześnie. Nikt nie zdoła ustalić, ilu ludzi posłała na śmierć Izba Specjalna, zwana też Gorliwą, bo akta poginęły. Na pewno wiadomo o sześćdziesięciu straconych w przeciągu trzech lat (1547-1550).

13 lutego 1557 roku Henryk II zażądał od papieża ustanowienia we Francji inkwizycji. 24 lipca edykt z Compiègne wyznaczył karę śmierci za wszelkie, jawne czy ukryte, wyznawanie herezji. Pięć lat wcześniej sejm polski, oburzony wyrokiem na Konrada Krupkę Przecławskiego, odmówił

w ogóle klerowi dalszych usług „miecza świeckiego”, a król zatwierdził i ogłosił potrzebny dekret.

Za Jagiellonów popełniano srogości polityczne, takie na przykład, jak uwięzienie chana Szach-Achmata. Wydawano okrutne wyroki, bo prawa ówczesne wymagały tego. Pod Starodubem Tarnowski dopuścił się zbrodni, co trzeba bez obsłonek wyznać. Zupełnie brak dowodów osobistego okrucieństwa monarchów. Potomność uznała jagiellońską łagodność za zjawisko naturalne w Polsce, zabarwiła pogodnym tonem dzieje... Piastów.

Jagiellonowie byli za dobrotliwi. Inaczej nie odbywałyby się pewnie samozwańcze wypadki magnatów na Wołoszę ani możnowładztwo litewskie nie rozpasaloby się do tego stopnia. Knyszyn, w którym zmarł Zygmunt August, zapisany przez poprzedniego właściciela królom, rzeczywiście dostał się im tylko dlatego, że szlachta ziemi bielskiej zbrojnie wymusiła na Radziwiłłach posłuch wobec testamentu.

Kronika Łukasza Górnickiego *Dzieje w Koronie Polskiej* to panegiryk. Niczego się z niej nie dowiemy o bagnie na dworze ostatniego Jagiellona ani o rabunkach knyszyńskich. Prawda moralna brzmi za to w ostatnich zdaniach książki, kiedy Górnicki zaczyna mówić o potrzebie spisania życiorysu Zygmunta Augusta

na przykład inszym królom [...] iżby umieli inszy królowie wolnym rozkazować ludziom i mieć taką w królowaniu miarę, jaką on miał, iż ci, którzy kiedy za dekretem jego szli na śmierć, żadnego okrucieństwa jemu nie przypisowali, a wobec wszyscy w Koronie, wielcy i mali, tak drogie mieli jego zdrowie, iż każdy za nie żywot swój był położyć gotów. A tu przypatrzeć się każdy może, jako owi monarchowie są nieszczęśliwi, którzy mówią: niech nienawidzą, byleby się bali. Ten pan miłością ku poddanym wszystko był sobie zjednał i dlatego szczęśliwe było jego królowanie.

Wbrew przesadnej ocenie dworaka współcześni wiedzieli, że źle się dzieje w państwie, i to od dawna. W tych warunkach królewskie okrucieństwa i nikczemności musiałyby się stać czynnikiem zgubnym, gdyż niszczyłyby więź moralną, jednoczącą naród z jego rządem. Tymczasem właśnie za Jagiellonów wytworzyła się tradycja, która określiła *ś w i a d o m e w y m a g a n i a* stawiane tej więzi, nadała im charakter trwałe. *W k r ó l o w a n i u m i a r a !* - Odtąd metody bezprawne i brutalne przestały się w Polsce opłacać. Musiała tego przestrzegać zarówno władza, pragnąca do czegoś dojść, jak i poddani.

Najbardziej dodatnim zjawiskiem politycznym XVI wieku był tylekroć tu wspomniany program „egzekucji”. Zwolennicy jego ściśle przestrzegali legalności. Żądając wykonania zaniedbanych praw, sami dawali przykład praworządności. Zdobywali się na demonstracje i gesty rozpacz, stronili od gwałtów. Że tak się działo, znaczna w tym zasługa dynastii. Jagiellonowie wiele rzeczy wypuścili z rąk i zmarnowali, lecz nie uczyli poddanych, że silnemu wszystko wolno.

Lekceważenie moralnej barwy postępków politycznych uchodzi zwykle za dowód trzeźwości myślenia, która to norma stanowi jeden więcej

szkodliwy schemat, bo w rzeczywistości rozmaicie bywa, każdy czynnik może znaczyć w historii.

Uderzającą cechą jagiellońskich i późniejszych naszych dziejów jest niebawyła szacunek okazywany królom. W oczach powszechności zamach na pomazańca zaczął uchodzić za najgorszą ze zbrodni i konfederaci barscy, którzy o tym zapomnieli, ciężko zaszkodzili sami sobie. A przecież tylko porwali Stanisława Augusta... „Zaden król polski nie stał na szafocie” - bo to było moralnie niemożliwe. Powstanie kościuszkowskie stawiało szubienice na placach Warszawy i Wilna, ale pogardzanego króla tylko odsunęło na bok, nie tknęło.

Dzieje piastowskie przypominały niekiedy łowy na koronowanych ludzi. Zwłaszcza Śląsk coś o tym wiedział, lecz inne dzielnice także. Na Kazimierza Jagiellończyka dokonano kilku zamachów w Wielkim Księstwie, w Koronie król był bezpieczny. Rany Jana Olbrachta nie warto liczyć, bo pijany sprawca pewnie ani przeczuwał, z kim się po nocy pobił. Nie wiadomo, kto strzelał do Zygmunta Starego. Wiemy natomiast z wszelką pewnością, że Michał Piekarski, który podniósł czekana na Zygmunta III, nie miał żadnych współników, a sam był chory na umyśle. Potem już zamachów królobójczych w Polsce nie było.

Obraz jest zupełnie wyraźny. Poczynając od czasów jagiellońskich królewskość - symbol państwa! - rośnie moralnie, jej nosiciele stają się nietykalni. W tym względzie Rzeczpospolita Obojga Narodów jaskrawo się odróżniała od całej reszty Europy. Wkrótce, bo w 1599 roku, jezuita hiszpański, Juan de Mariana, napisze traktat moralno-polityczny, w którym pochwali mord dokonany na Henryku III francuskim, a ponadto jeszcze uzna królobójstwo za usprawiedliwione, „jeśli panujący obala religię kraju...”

Jako instytucja polityczna ta sama królewskość rozpaczliwie u nas słabnie. Wobec takiego stanu rzeczy szacunek okazywany osobie pomazańca trzeba uznać za czynnik pomyślny, spajający Rzeczpospolitą i zabezpieczający ją przed dodatkowymi nieszczęściami. Po wygaśnięciu Jagiellonów wolne elekcje dawały sąsiadom możliwość bruźdzenia w Polsce. Nie było prób pomnażania liczby tych elekcji. To by się nie opłacało, gdyż wstrząs moralny zjednoczyłby naród przeciwko sprawcy i jego mocodawcom.

Dynastia, składająca się z ludzi niegroźnych i niekrwawych, w piękny sposób wzbogaciła naszą historię. W niczym nie zaszkodziła spójni wyrosłej za Piastów. Wręcz nawet przeciwnie - wzmocniła ją, udoskonaliła moralnie. A ponieważ rządy jej nikogo nie odstręczały okrucieństwem, ilość serc poczuwających się do tej polskiej spójni znakomicie wzrosła.

Malując literacki obraz naszych dziejów trzeba szukać kolorów rzeczywistych, a nie cukierkowych. Dlatego nie wolno pomijać ani zbrodni Piastów, ani słabości niektórych Jagiellonów. To drugie czynić można tym śmieiej, że nic, żadne pokuszenia ani brązoburstwa nie zdołają umniejszyć chwały, która s ł u s z n i e opromienia litewskie nazwisko tego rodu. Jego epoka dokonała trwałej przemiany na mapie kultury Europy.

Kiedy powstawał pierwszy tom tego cyklu, *Polska Piastów*, nie dokonano jeszcze odkryć w Wiślicy, gdzie pod posadzką kolegiaty leży

rytowana płyta, będąca wyjątkowo wybitnym dziełem sztuki XII wieku. Utwierdza to w przekonaniu, że jesteśmy jeszcze dalecy od właściwej oceny osiągnięć doby piastowskiej. Ostatnio pisane książki także nie wystarczają, a pełnej prawdy nie dowiemy się nigdy, bo mnóstwo jej dowodów przepadło bezpowrotnie.

Wielkich rzeczy dokonała u nas sztuka stylu romańskiego, ale zasięg jej nie przekraczał wschodnich granic Polski etnicznej. Darmo szukać jej śladów za Bugiem. Zupełnie inaczej jest z gotykiem, renesansem, barokiem i klasycyzmem. Stolica Litwy, Wilno, obfituje w budowle budzące podziw. Nie brakuje ich na innych obszarach dawnego Wielkiego Księstwa. Wzniesione po unii, spełniają rolę jedyną w swoim rodzaju, nadrzędną. Stanowią dobro, przed którym kłonią się wszyscy - bez względu na odmiany polityczne zachodzące na tamtych ziemiach. Szacunek dla nich każdy słusznie uważa za własną legitymację kulturalnego człowieka.

Daty ich powstania mówią o rzeczach ważnych. Słynny, czysto gotycki kościół Św. Anny w Wilnie powstawał wtedy, kiedy na Wawelu czas zdążył już pokryć patyną renesansowe krużganki i Kaplicę Zygmuntowską. Fala nowości dopływała do Wielkiego Księstwa z pewnym opóźnieniem, gdyż wędrowała przedtem przez Polskę. Nic to nie zaszkodziło wielkości osiągnięć. Może nawet sprzyjało powstawaniu pomników sztuki już w pełni dojrzałej.

Murowane budowle to dowód najłatwiejszy do zauważenia, okazały i absolutnie niezbity. Dlatego należało mówić przede wszystkim o nich. Podobnie jak z architekturą i rzeźbą działo się w Wielkim Księstwie Litewskim z całym stylem życia, który po unii doznał gruntownej odmiany, przyjął cenne nowości. Byłoby nieuczciwością twierdzić, że Korona obdarzała Litwę wyłącznie swoim własnym dorobkiem. Nie szczędziła go, ale stanowiło to zaledwie część przemiany. Cała prawda wygląda tak, że unia rozstrzygnęła o przyswojeniu przez Litwę dóbr tworzonych w Europie już wtedy, kiedy Piastów wcale jeszcze na świecie nie było.

Z tego punktu widzenia jest właściwie obojętne, czy Jagiełło sam wpadł na pomysł związku z Koroną, czy też przyjął polską propozycję. Z j e g o postanowienia, z decyzji Litwina - wynikły zasługi wobec historii powszechnej.

Warszawa 1959-1960





Postowie

Książka ta doznawała oryginalnych przygód, stała się przedmiotem dyskusji prasowej - zanim ją w całości wydrukowano. Jesienią 1961 roku „Nowa Kultura” opublikowała początkowe rozdziały *Polski Jagiellonów* i zaraz potem zaczęła się w tymże piśmie wymiana zdań na jej temat. Przypisano mi poglądy wręcz sprzeczne z tymi, które wyznaję i które się mieszczą w dalszych rozdziałach tomu.

Nawet ukończywszy *Polskę Jagiellonów*, autor nie powiedział jeszcze wszystkiego. Dopiero tom trzeci - *Rzeczpospolita Obojga Narodów* - stworzy mi okazję do obrony tezy, że - na przykład - nawet po unii lubelskiej Litwa wcale nie utraciła odrębności ani własnego oblicza, że Kraków żadnych praw własności w stosunku do Wilna nie posiadał. To były dwie stolice, żyjące w symbiozie.

Ale nie wybiegajmy naprzód, trzeci tom to jeszcze muzyka przyszłości. W tej chwili muszę powtórzyć to, co już powiedziałem, w postwowie do *Polski Piastów*. Książki, które piszę, nie roszczą sobie żadnych pretensji do rangi dzieł naukowych, nie są podręcznikami ani popularyzacją nauki. To są zwyczajne eseje. Cóż może być jeszcze powszedniejszego od literatury obierającej sobie za temat historię, lecz stroniącej od zmyśleń i fikcji? Przecież wiek tego gatunku pisarskiego liczy się na tysiąclecia. Esejowi przysługują te same prawa, którymi się cieszy dramat, poezja czy powieść. Ze wszystkich literatów eseista przybliży się najbardziej do pogranicza nauki, ale nie traci przez to uprawnień artysty i nie staje się popularyzatorem. Kardynalną cechą eseju nie jest naukowa beznamietność, lecz jej przeciwieństwo - ton osobisty, bezpośrednie, jak najmocniejsze zaangażowanie się autora, przemawiającego wprost i na własną odpowiedzialność.

Wolno chyba ryzykować tezę, że eseści urzeczywistniają w praktyce ewangeliczny nakaz o chlebie i kamieniu. Niechęć, jaką uczeni historycy darzą esej (oraz publicystykę), jest zjawiskiem normalnym, występującym zarówno u nas, jak i we Francji na przykład. Lecz przede wszystkim literatura potrafi przekonać ogół, że historia jest ciekawa i piękna, a przez to zachęcić do czytania wszelkich książek historycznych, naukowych także. Sprawdźmy wyniki ankiet urządzanych u nas przez prasę co roku. Okaze się, że ogół żąda l i t e r a t u r y f a k t u . Zwróćmy uwagę i na to, że w krajach, które uznają esej historyczny poniekąd za narodową specjalność, historiografia naukowa rozwija się wspaniale. Jedno drugiemu wcale widać nie przeszkadza.

Polska Jagiellonów, jak każdy zresztą esej, które to słowo znaczy po polsku bardzo skromnie - próba, a w przenośni - szkic, zawiera tezy dyskusyjne. Bo też autor jej do niczego innego nigdy nie pretendował.

P. J.

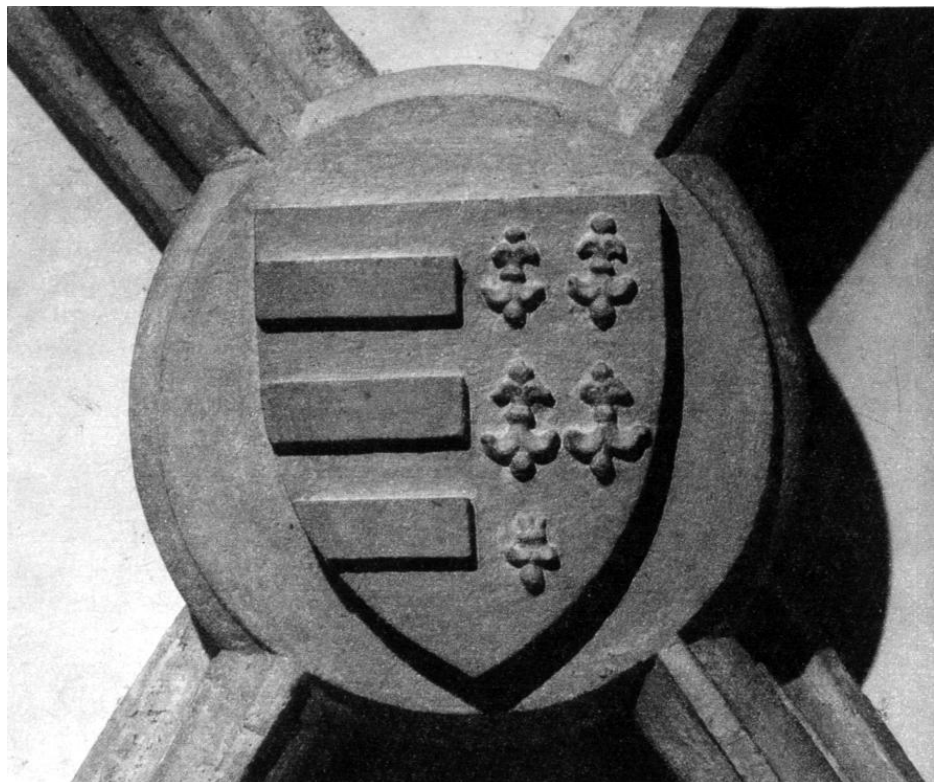




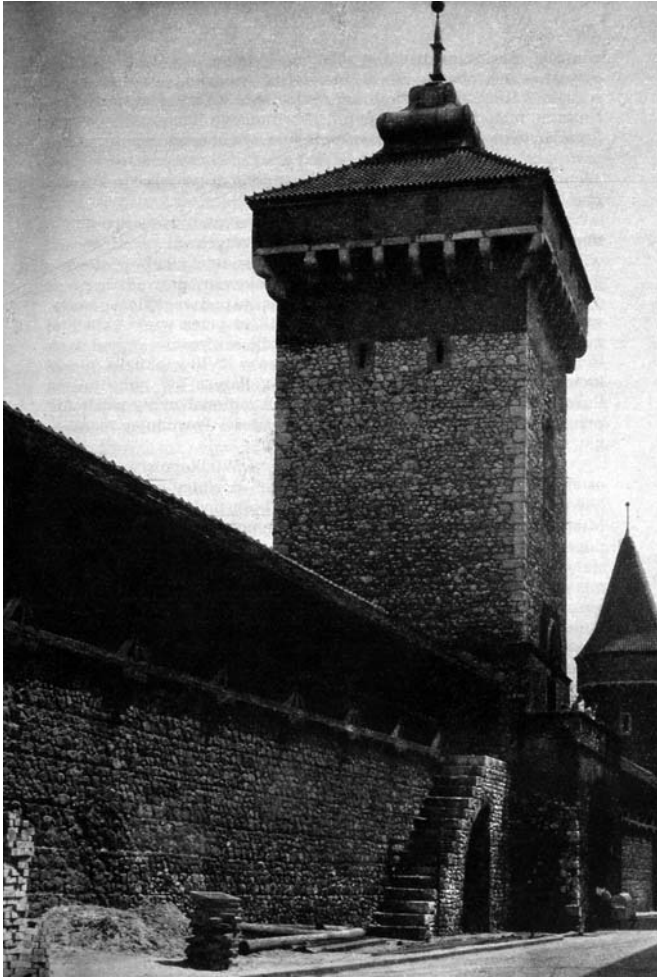
Ilustracje do
„POLSKI JAGIELLONÓW”



**Kazimierz Wielki.
Zwornik z tzw. sali hetmańskiej.
Kraków**

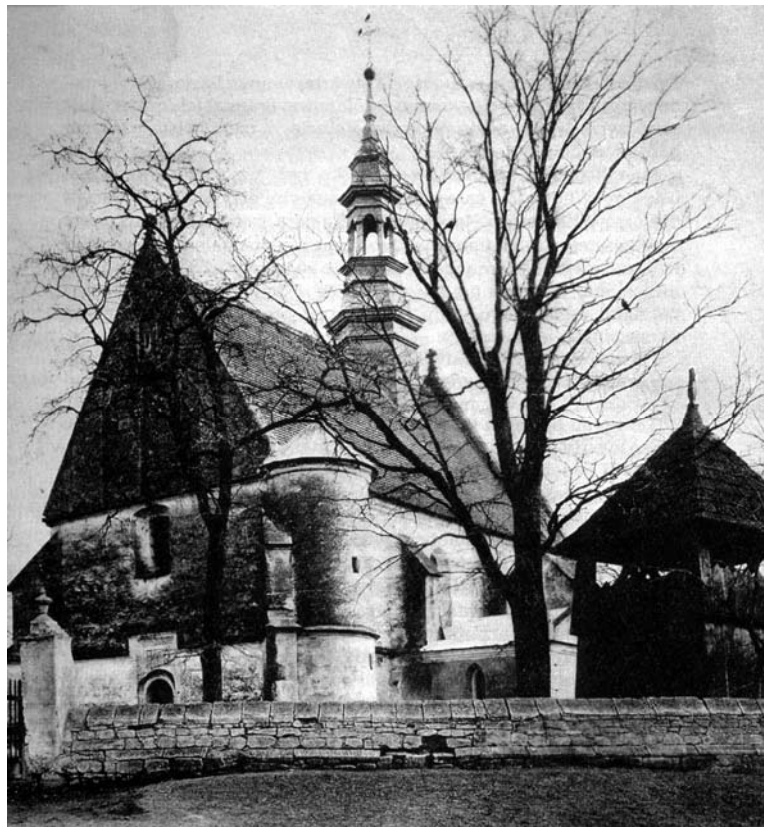


**Zwornik z herbem
Andegawenów.
Zamek wawelski**



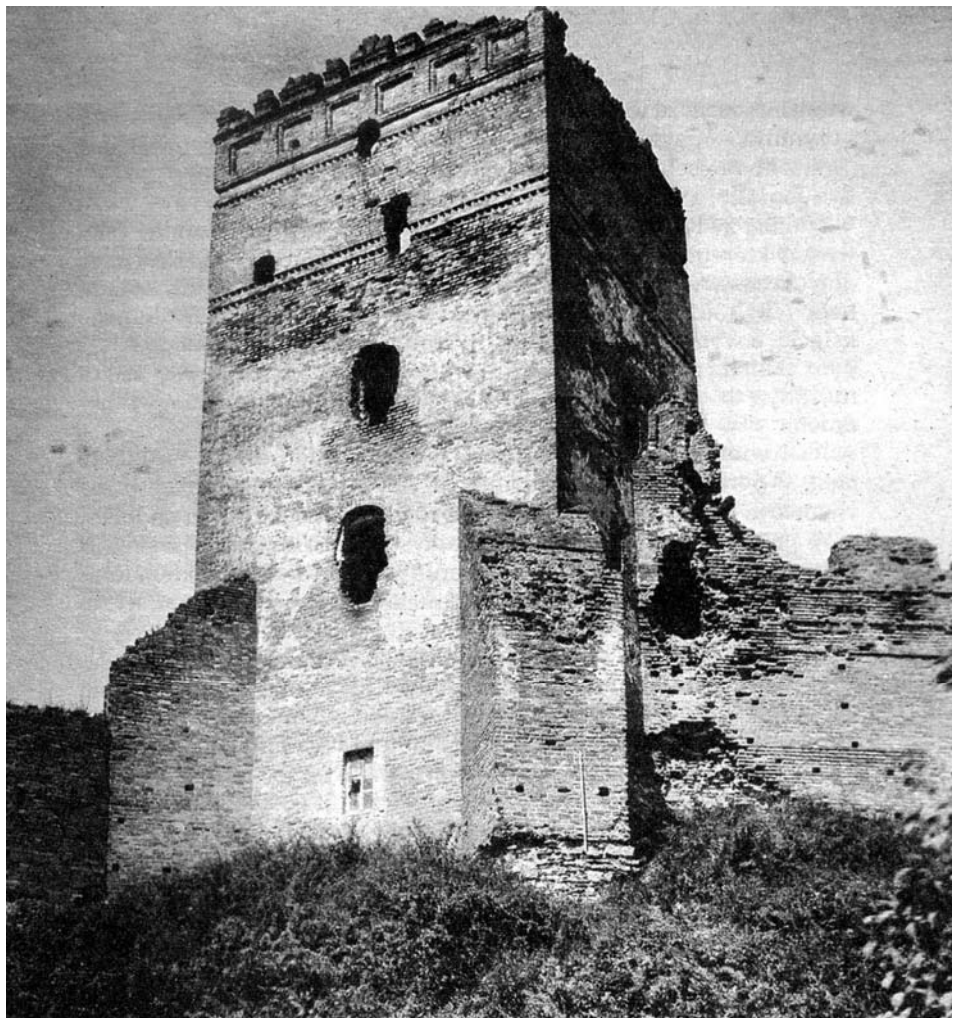
**Mury miejskie i Brama
Floriańska w Krakowie.**

**Kościół parafialny w Dobrejwodzie.
Widok ogólny od zachodu.**

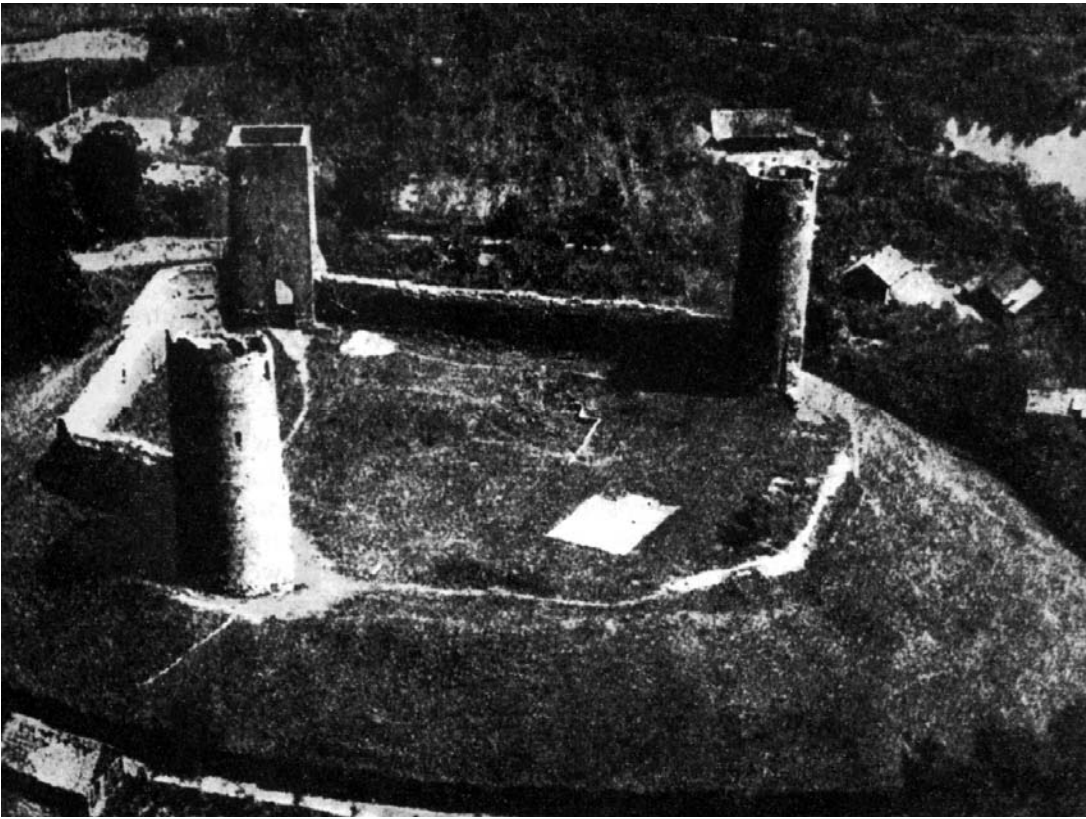




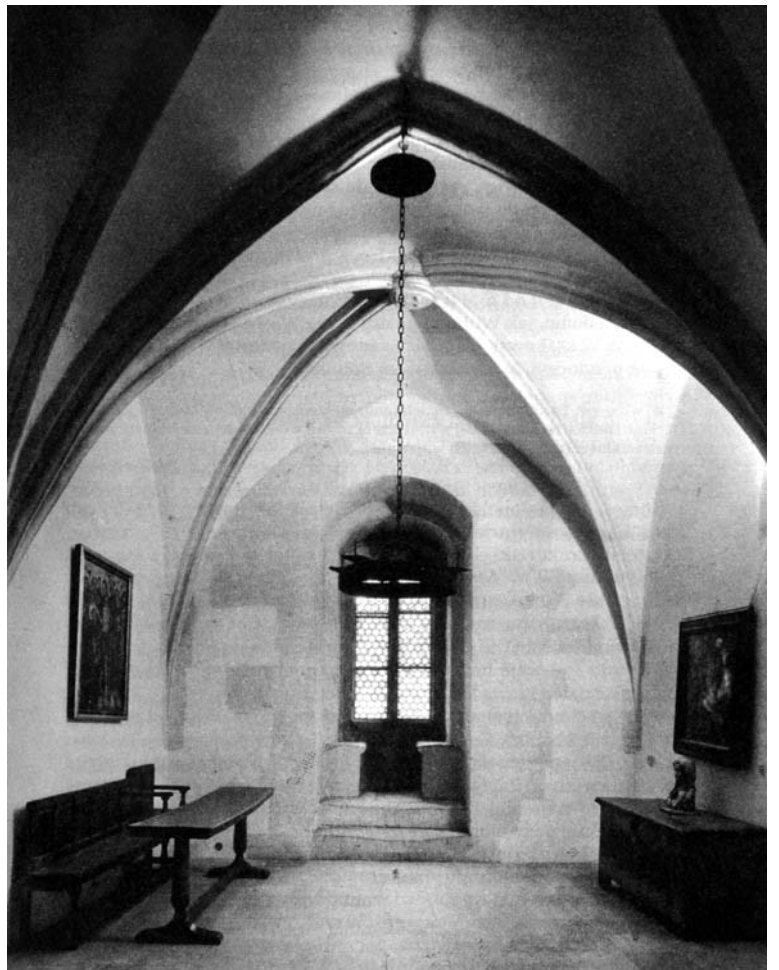
Góra Zamkowa w Wilnie.



**Fragment murów z wieżą
Świdrygielly na zamku
Lubarta w Łucku.**



**Ruiny zamku książąt mazowieckich
w Czersku.**



**Kościół Mariacki w Krakowie.
Gotycka izba Jadwigi i Jagielly
na zamku wawelskim.**



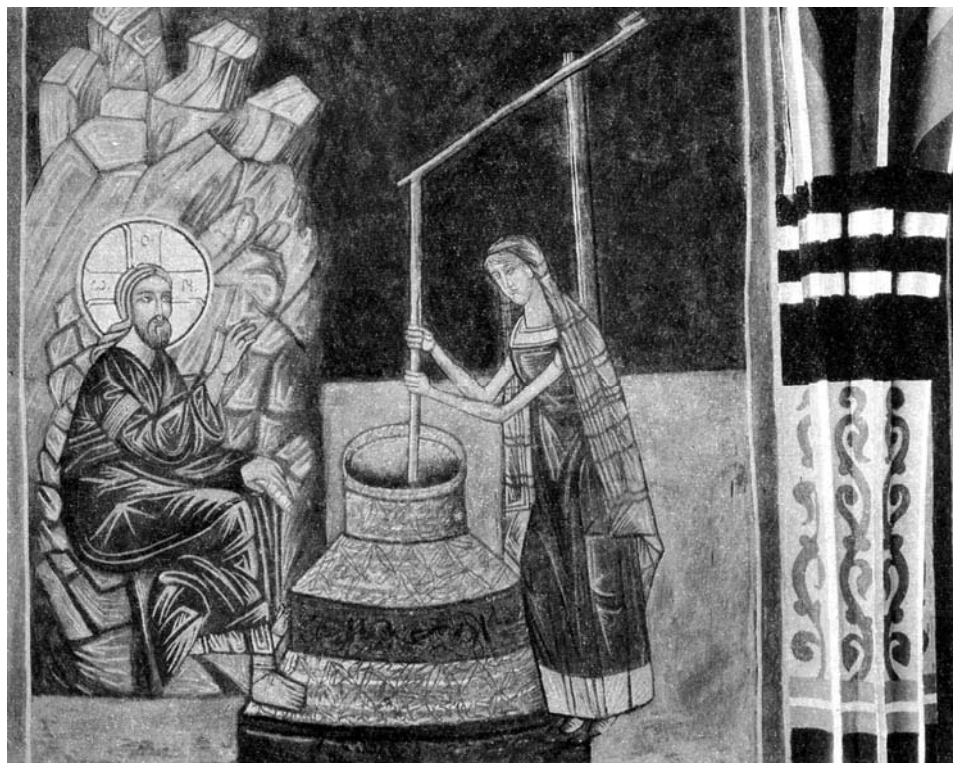
Herby Polski i Litwy. Fragmenty nagrobka Władysława Jagielly z katedry na Wawelu.

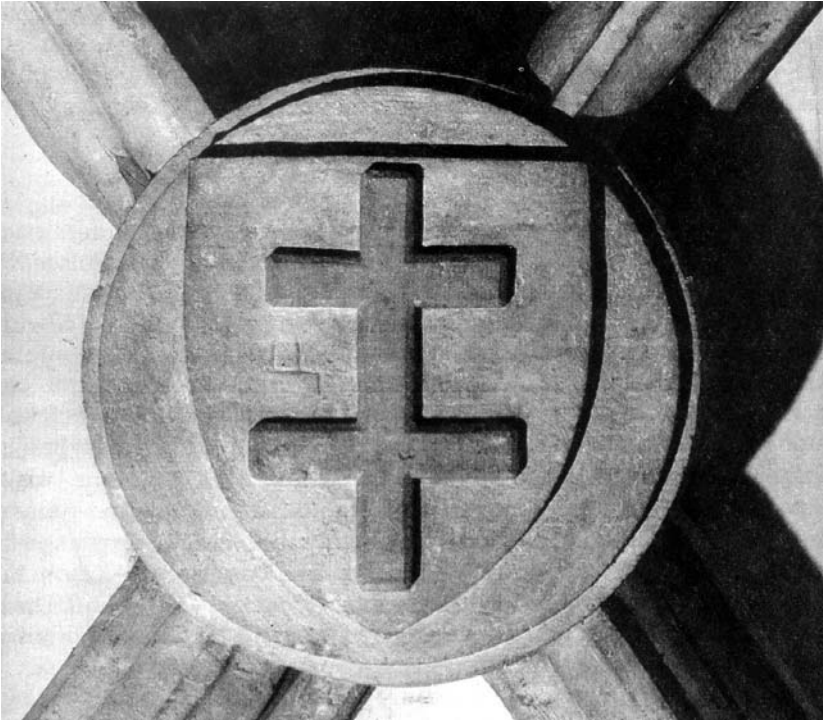




Malowidła ruskie z katedry na Wawelu.

Malowidła ruskie z katedry w Sandomierzu.

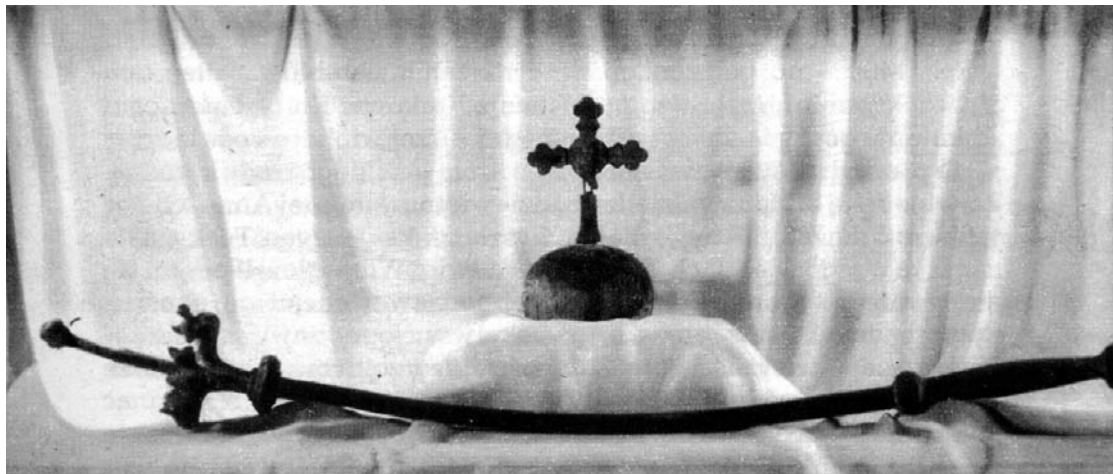




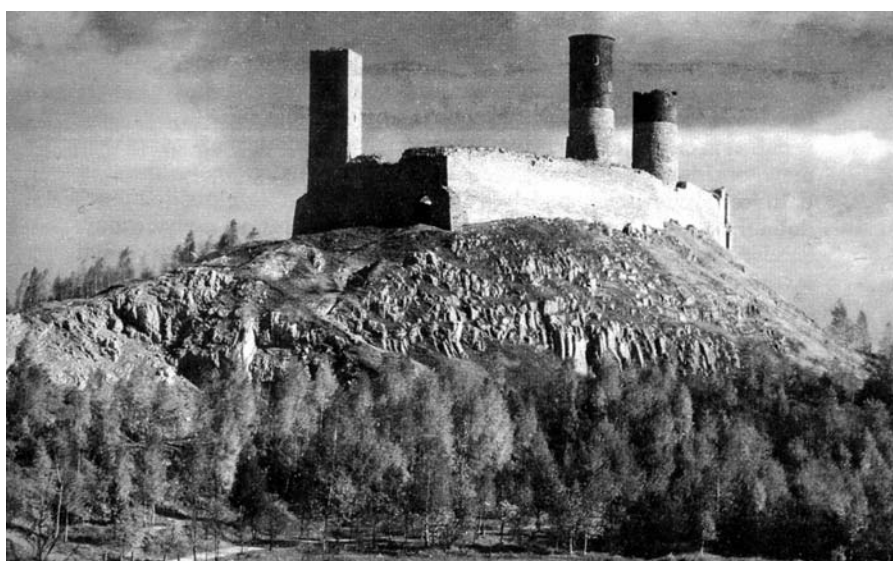
**Zwornik z krzyżem litewskim z
zamku wawelskiego.**



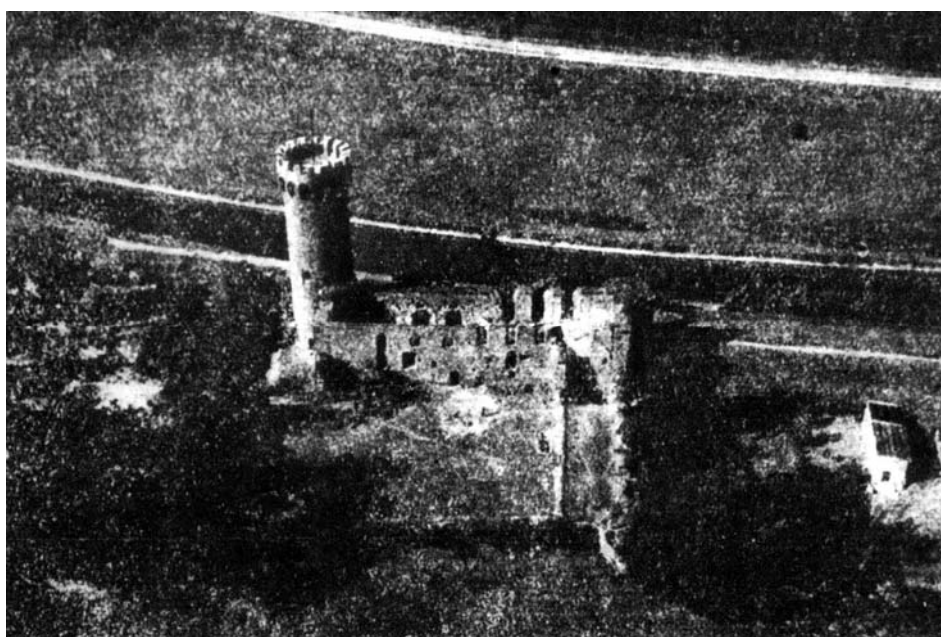
**Portret Władysława Jagielly.
Fragment obrazu z ołtarza Matki
Boskiej Bolesnej
z katedry na Wawelu.**



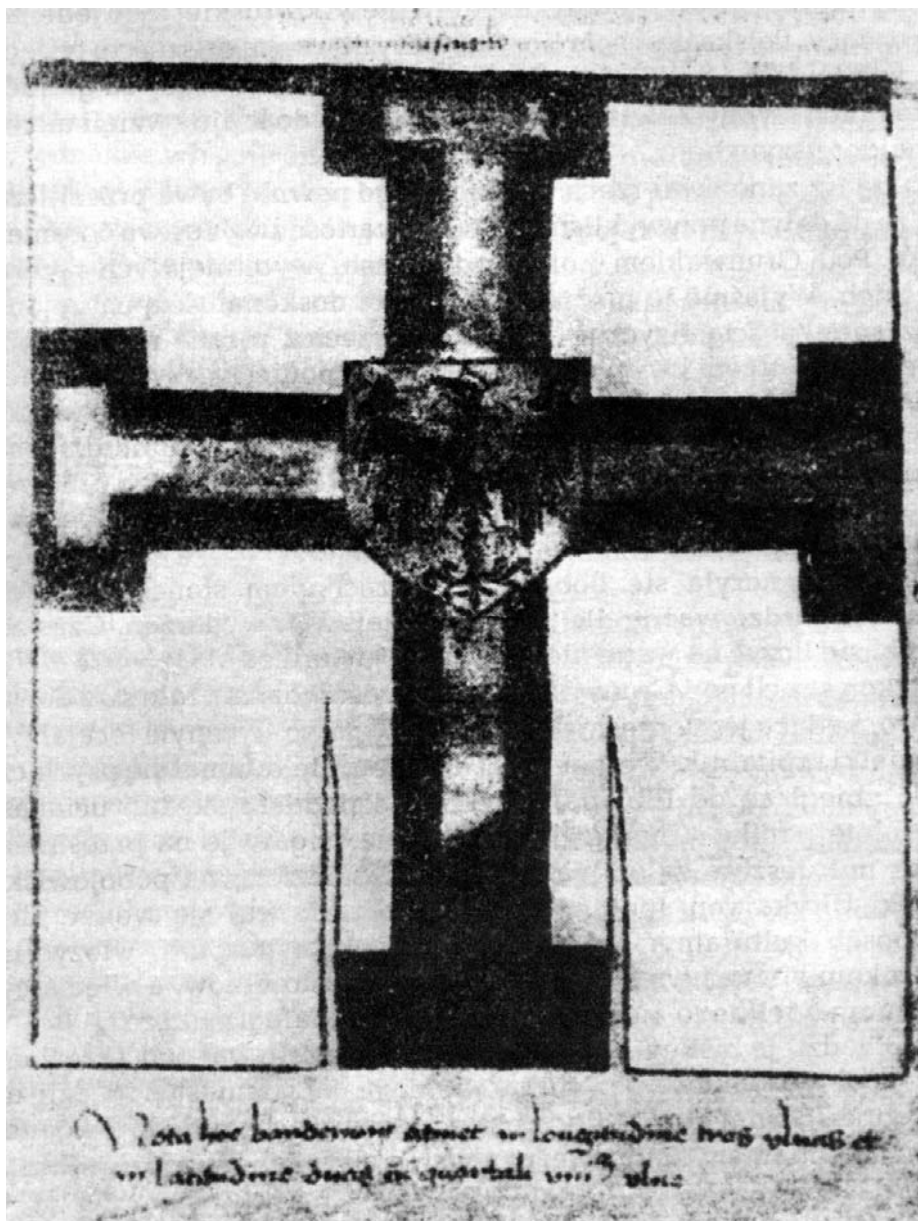
Insignia królowej Jadwigi.



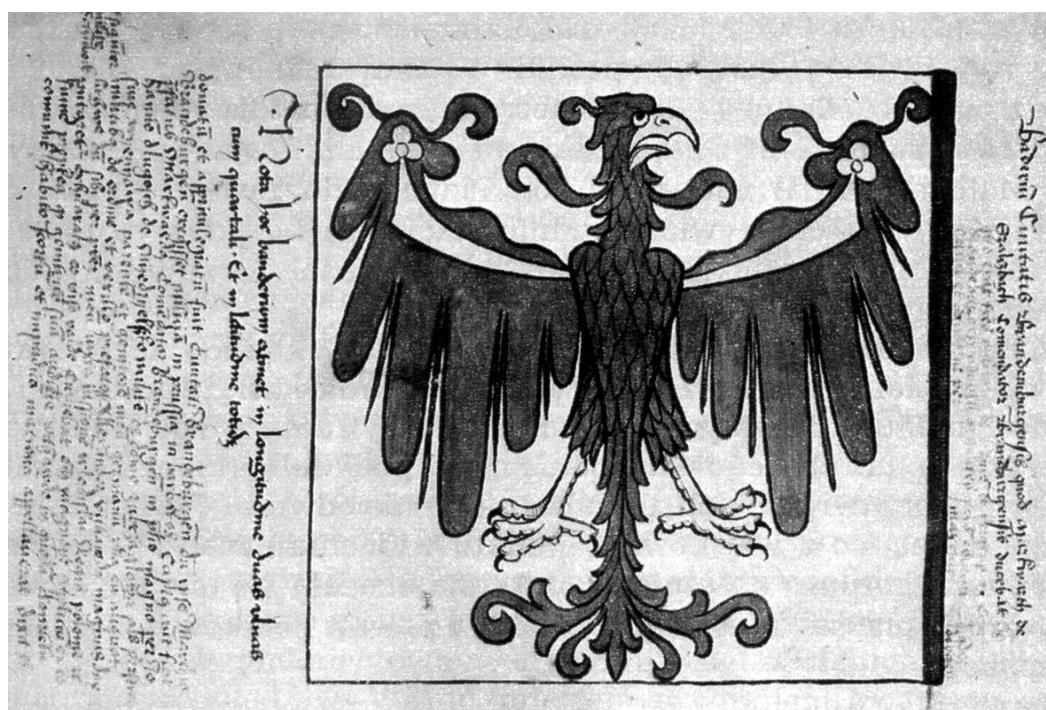
Ruiny zamku w Chęcinach.



Ruiny zamku krzyżackiego w Świeciu.



Chorągiew wielkiego mistrza.
Karta z rękopisu J. Długosza.



Chorągiew z orlem
komturii brandenburskiej.
Karta z rękopisu J.
Długosza.



Popiersie Władysława Jagiełły.
Fragment nagrobka z katedry na
Wawelu.



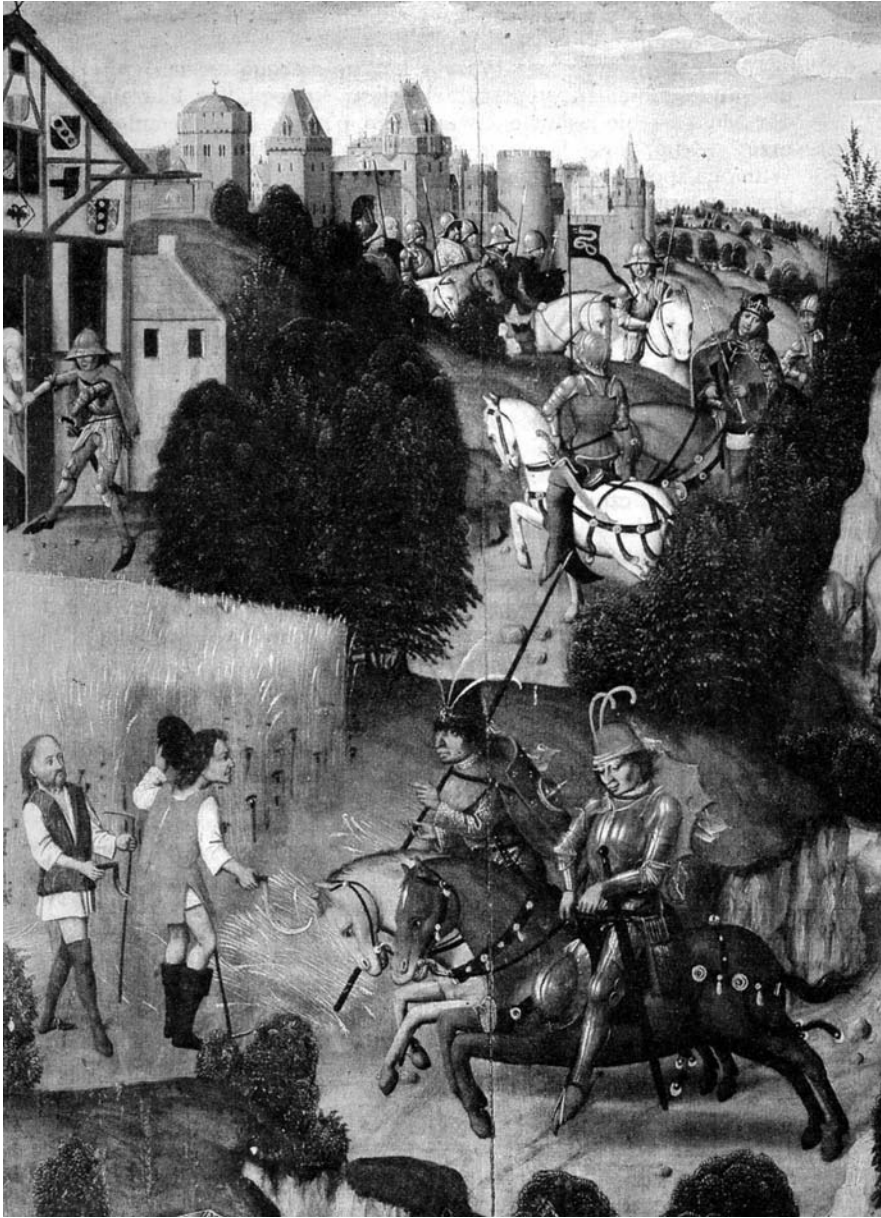
Miniatura z portretem Władysława
Warneńczyka i herbem państwa.
Karta z modlitewnika pisanego dla
króla ok. r. 1435-1436.



**Portret kardynała Zbigniewa Oleśnickiego
wykonany piórem (1445 r.).
Karta rękopisu z kapituły katedry na
Wawelu.**

**Popiersie Władysława
Warneńczyka.
Fragment nagrobka z katedry na
Wawelu.**





**Chłopi przy żniwach i rycerze.
Fragment tzw. Ołtarza
Jerozolimskiego z końca XV w.**

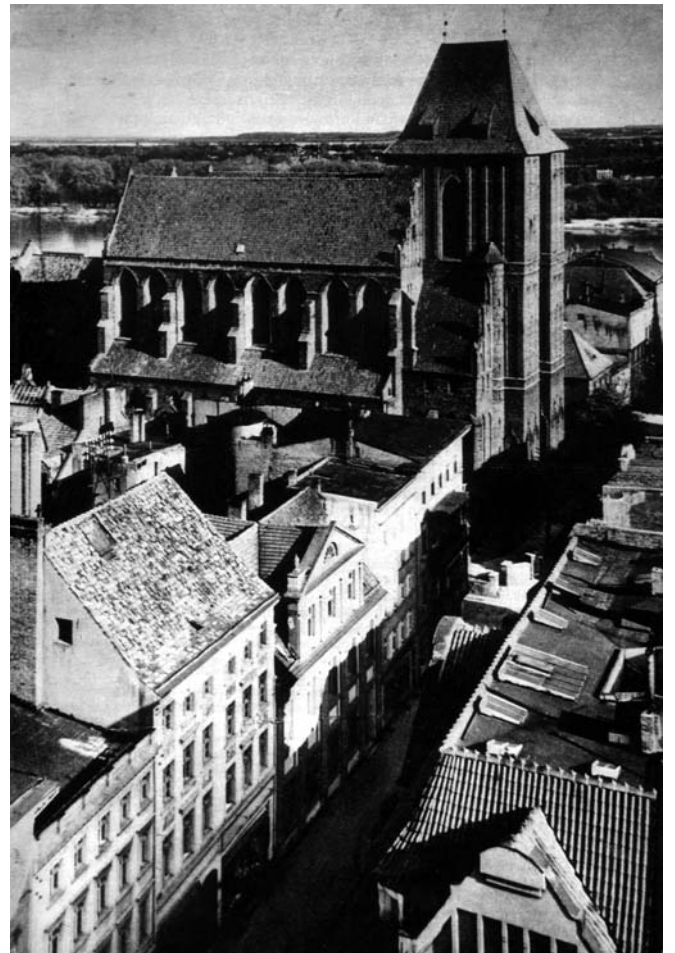


**Postacie oplakujące zgon
Kazimierza Jagiellończyka.
Fragment nagrobka z katedry
na Wawelu.**



Dźwig gotycki w Gdańsku.

Kościół Świętego Jana w Toruniu.

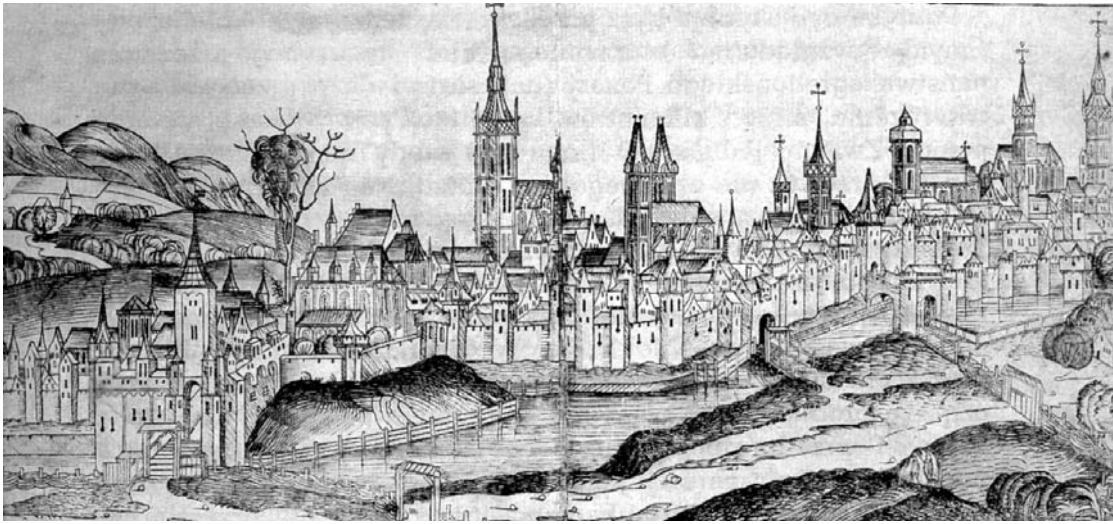




Obraz *Biczowanie*.
Fragment, część środkowa z Chrystusem.
Toruń, kościół Św. Jana.



Święty Jan Ewangelista.
Rzeźba (1497 r.) z kościoła Św. Jana w
Toruniu.



Wrocław - widok zamieszczony w dziele H. Schedla,
Opus de aetatibus mundi, Norymberga 1493.



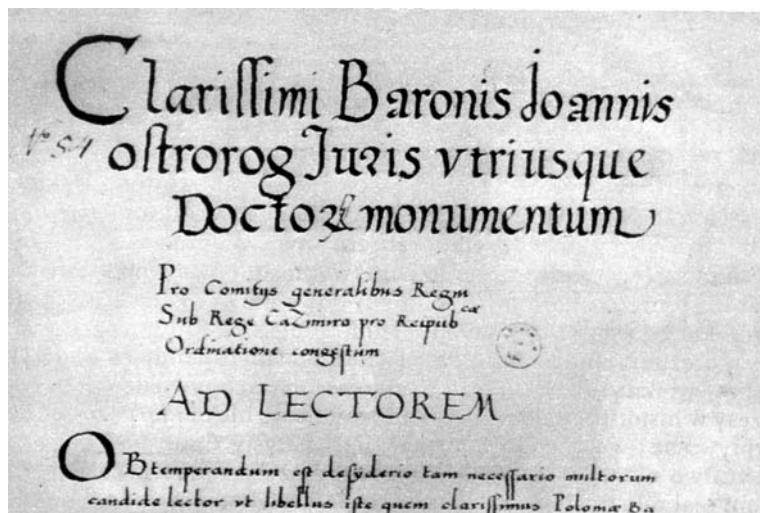
Brama Straganiarska w Gdańsku.



Zespół herbów z Bramy Straganiarskiej. Kolejno od lewej strony: herb Prus Królewskich, herb polski i herb Gdańska po 1454 r.

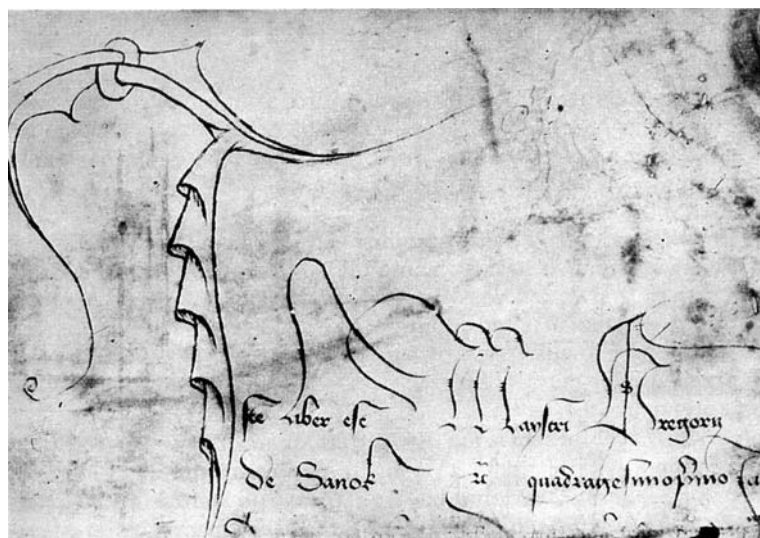
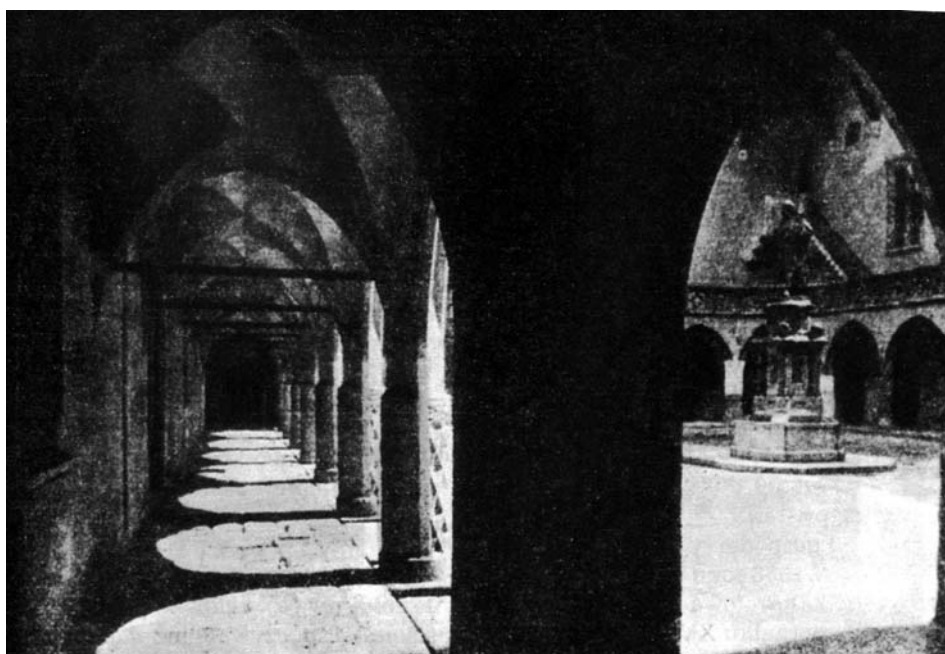


**Popiersie Kazimierza Jagiellończyka.
Fragment nagrobka z katedry na Wawelu.**



Fragment karty tytułowej *Monumentum pro Reipublicae ordinatione Jana Ostroroga*. Kopia rękopiśmienna z 1543 r.

Dziedziniec *Collegium Maius* w Krakowie.



Autograf Grzegorza z Sanoka na karcie kodeksu pergaminowego zawierającego mitologię rzymską ułożoną według Jana Boccaccia de Certaldo.



Kallimach. Fragment płaskorzeźby z nagrobka w kościele Dominikanów w Krakowie.

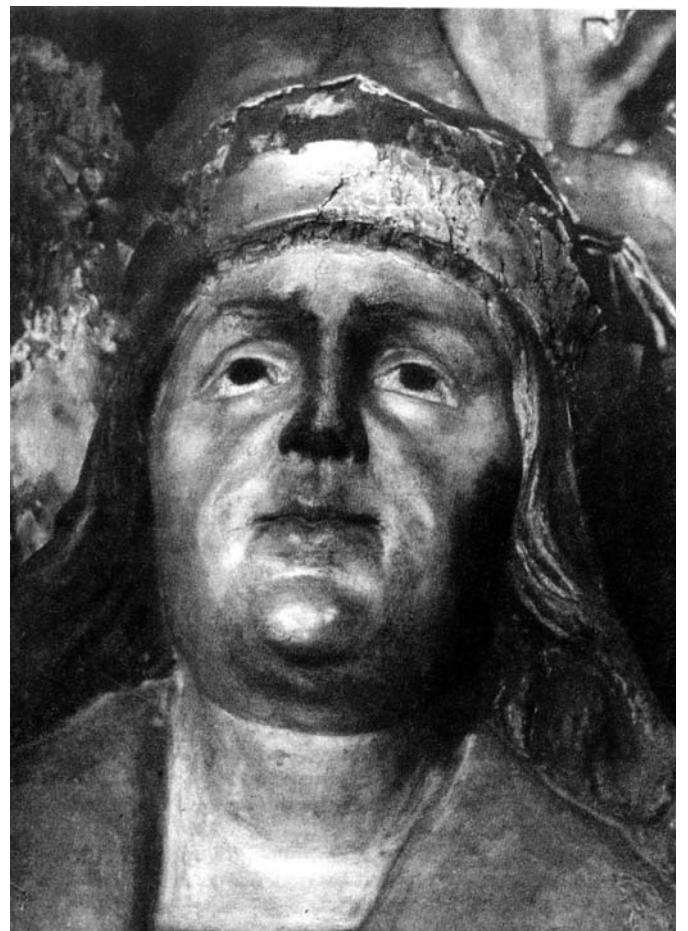


Król Jan Olbracht. Miniatura z tzw. *Graduału Olbrachta*.



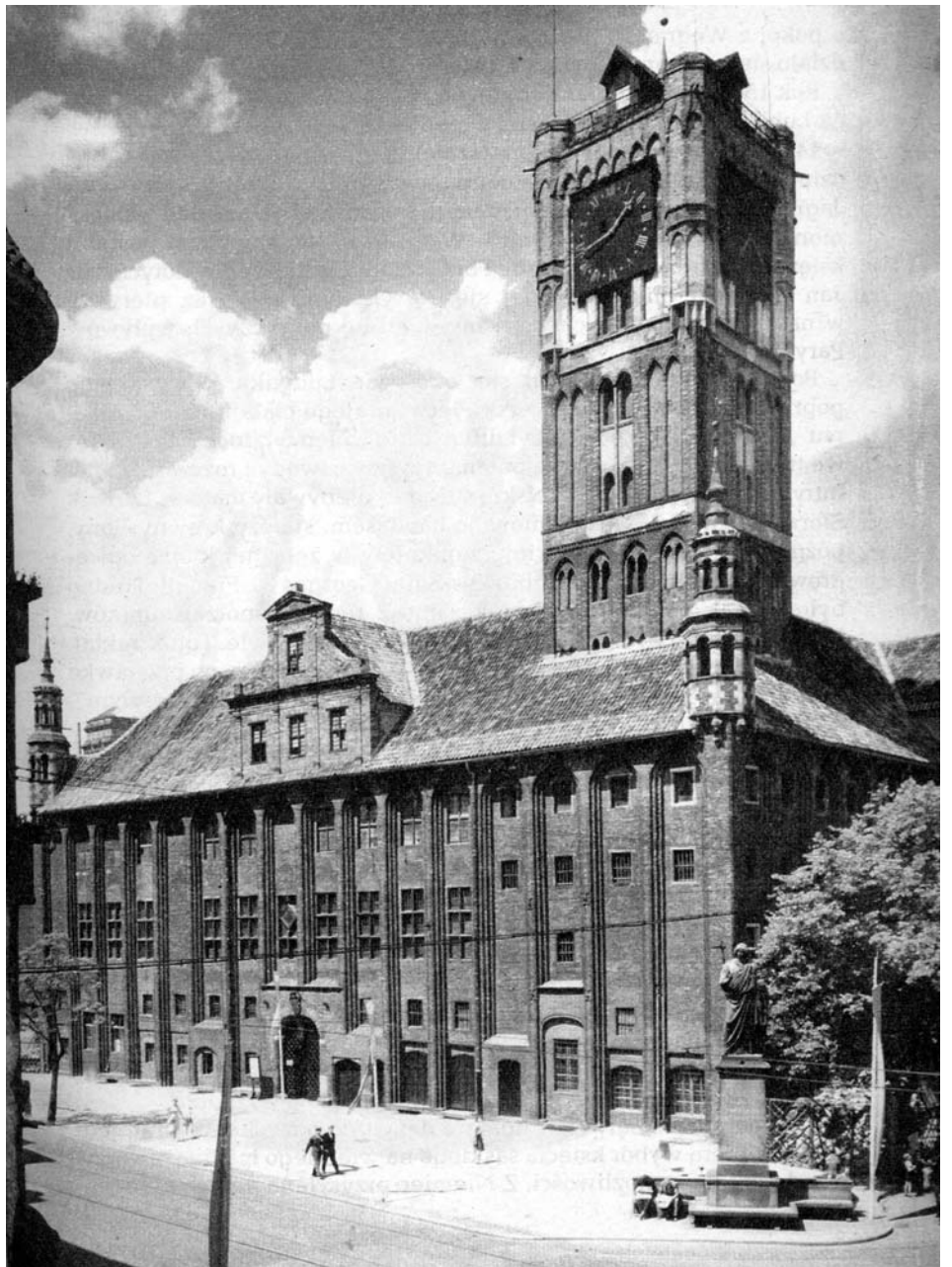
**Król Jan Olbracht na majestacie i rada.
Miniatura z tzw. *Gradualu Olbrachta*.**

**Głowa Jana Olbrachta. Fragment z
tryptyku książąt Czartoryskich.**





Barbakan krakowski.



Ratusz w Toruniu.



Jan Olbracht.
Postać z nagrobka w katedrze na Wawelu.

Nagrobek Jana Olbrachta w katedrze na Wawelu.

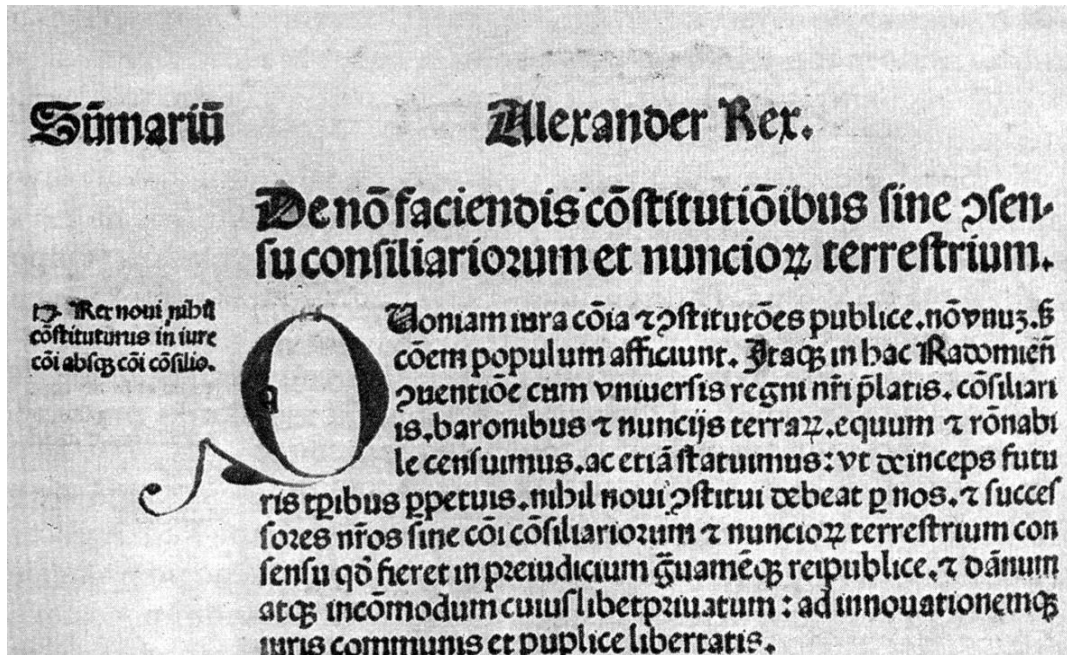




Senat za Aleksandra, Drzeworyt z dzieła J. Łaskiego:
Commune incliti Poloniae Regni privilegium,
Kraków 1506.



Płyta nagrobna kardynała Fryderyka Jagiellończyka z
katedry na Wawelu.



Konstytucja *Nihil novi nisi commune consensu* z 1505 r. Karta z dzieła J.Łaskiego: *Commune incliti Poloniae Regni privilegium*.



Król Aleksander.
Drzeworyt z *Kroniki Polskiej* M. Bielskiego.



A. Mylius, *Zygmunt Stary*.
Miedzioryt z: *Principum et reguum
Polonorum*

Płyta nagrobna Piotra Kmity z katedry
wawelskiej.

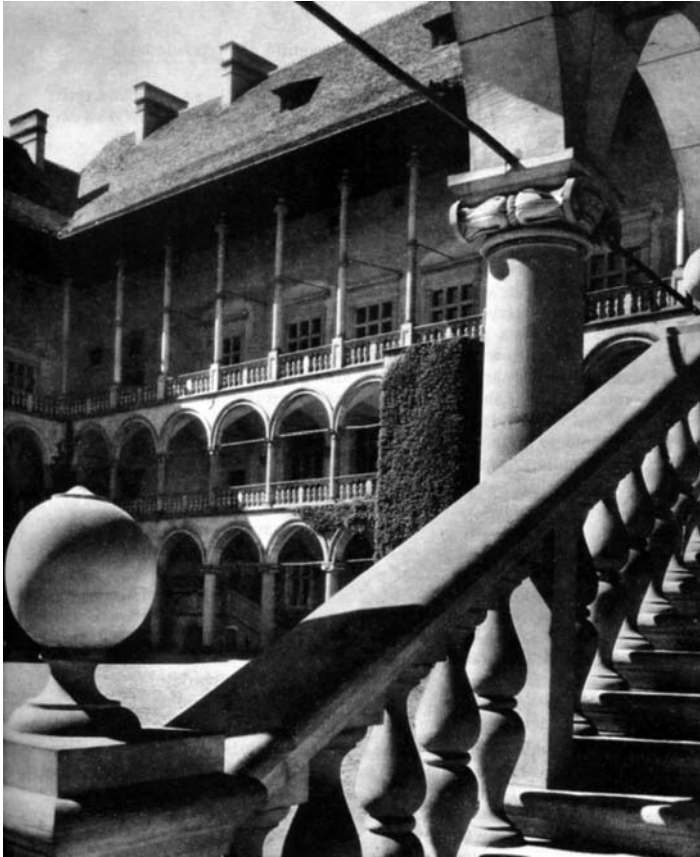




Nagrobek kanclerza Krzysztofa Szydłowieckiego z kościoła w Opatowie.



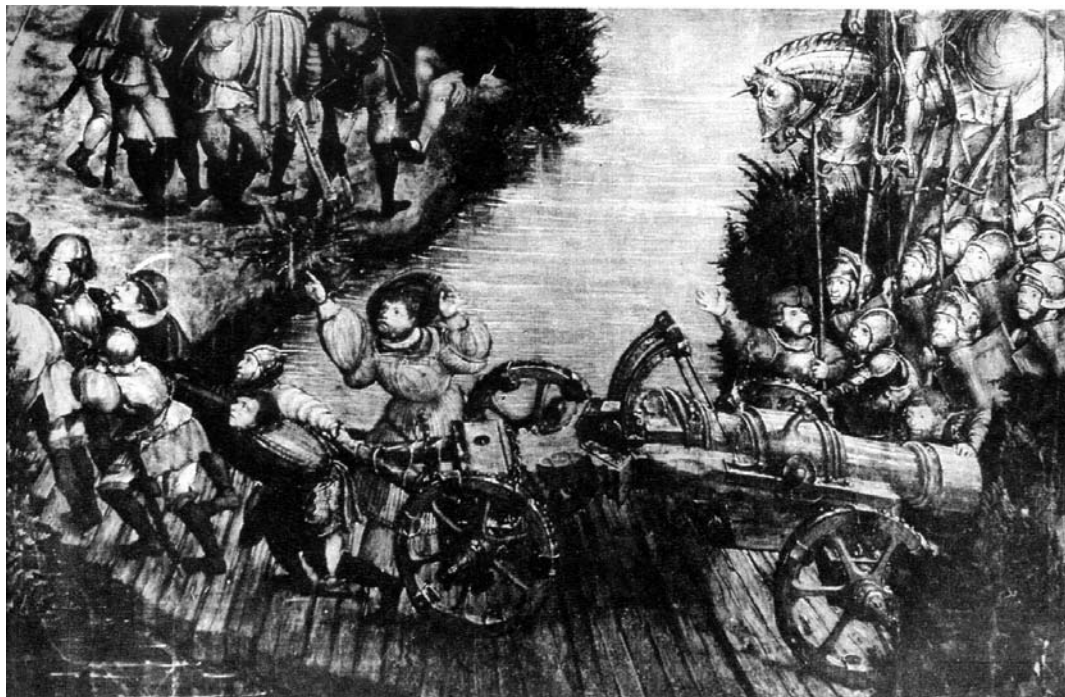
Polichromia przedstawiająca drzewo genealogiczne Piastów.



Dziedziniec arkadowy zamku wawelskiego.

**Kopijnik z początku XVI w.
Muzeum Wojska Polskiego.**





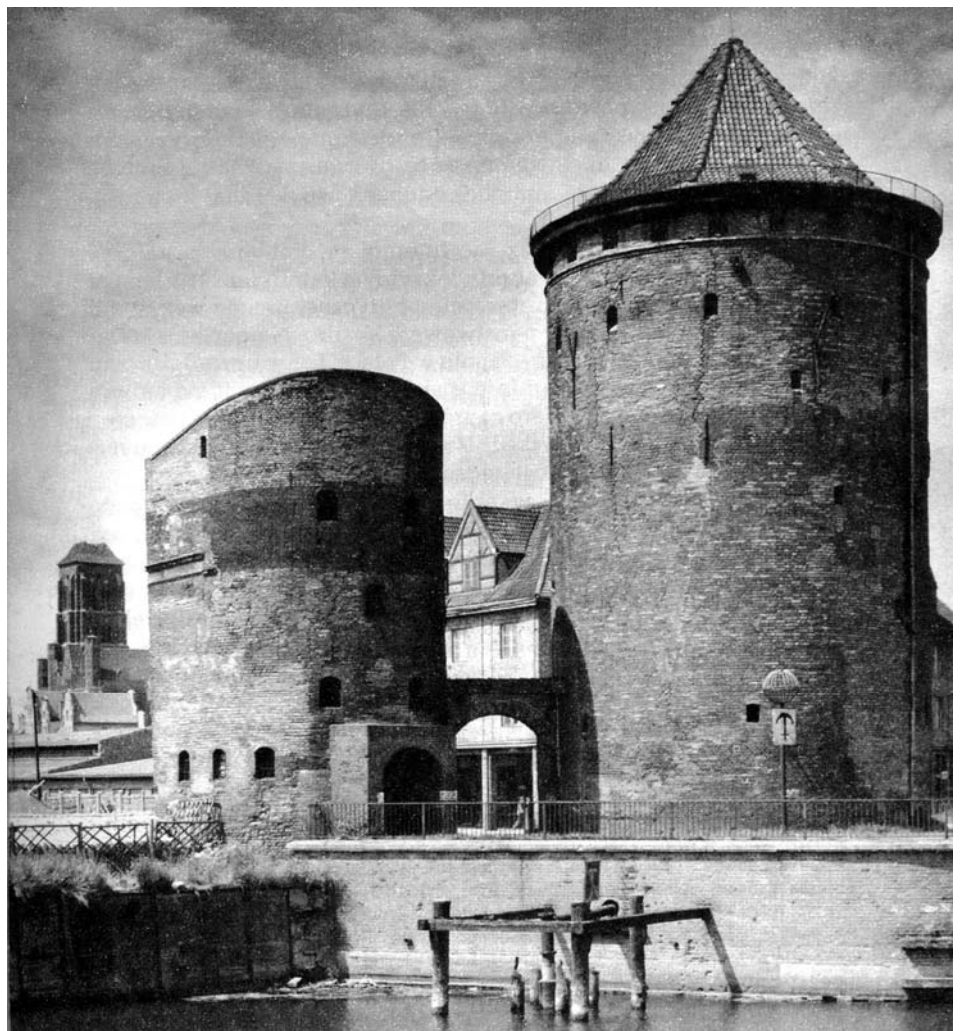
Artyleria polska. Fragment obrazu z ok. 1515 r.: *Bitwa pod Orszą.*



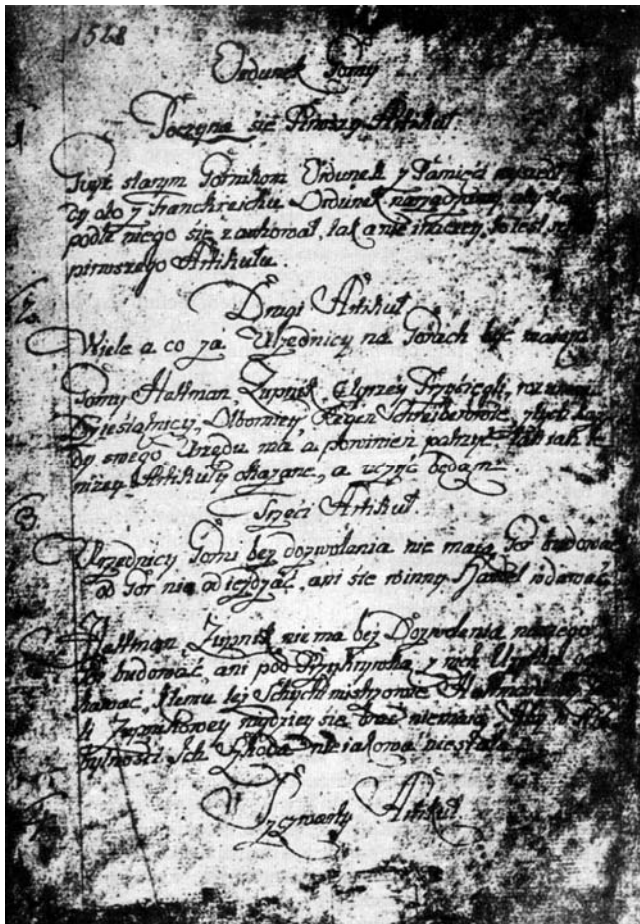
Spotkanie cesarza
Maksymiliana z królami:
Zygmuntem Starym,
Władysławem
czesko-węgierskim i synem
jego Ludwikiem przed
zjazdem wiedeńskim 15
lipca 1515 r.
Drzeworyt współczesny.



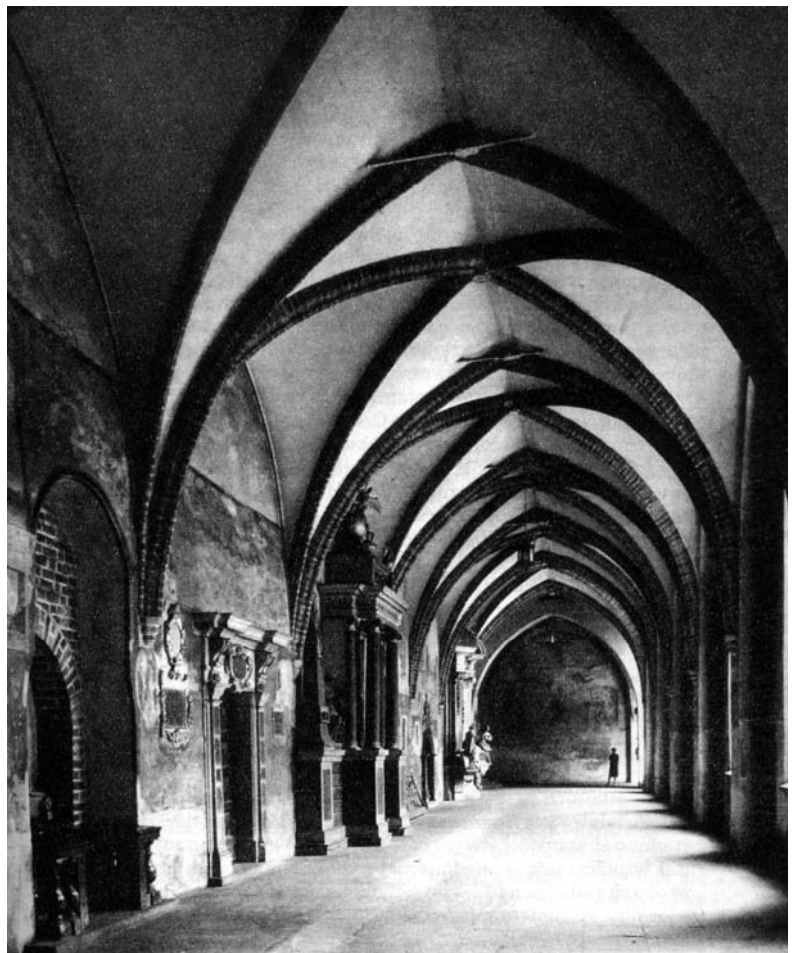
**Zamek biskupi w Lidzbarku
Warmińskim.**



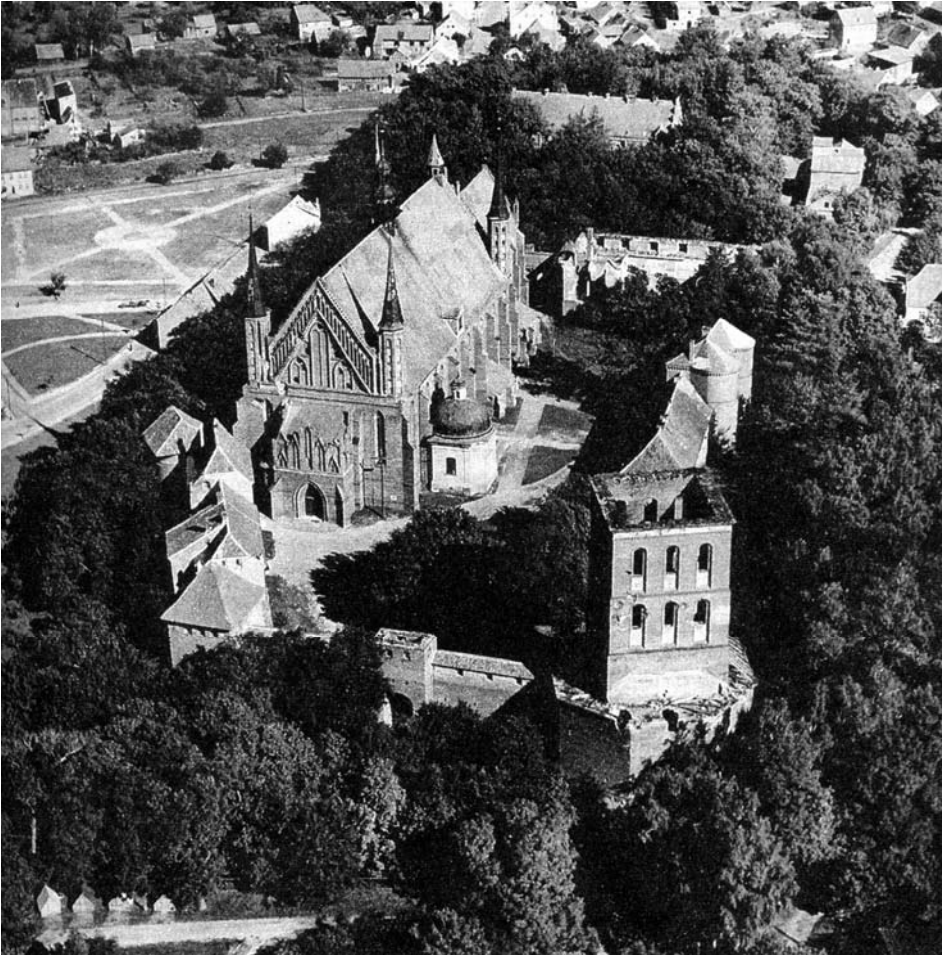
**Gdańsk. Baszty Bramy Stągiewnej
(Stągiew i Stągiewka), widok od
strony Motławy.**



Ordunek gorny wydany przez księcia Jana Opolskiego w 1528 r.



Krużganki klasztoru Franciszkanów.



Katedra we Fromborku



Dwudukat koronny Zygmunta I z 1528 r. (awers i rewers).



Lucas Cranach, *Zygmunt August*.



Królowa Barbara Radziwiłłówna.
Portret olejny z XVI w.



Sejm polski za Zygmunta Augusta. Drzeworyt w dziele J. Herburta, *Statuta i przywileje koronne*, Kraków 1570.



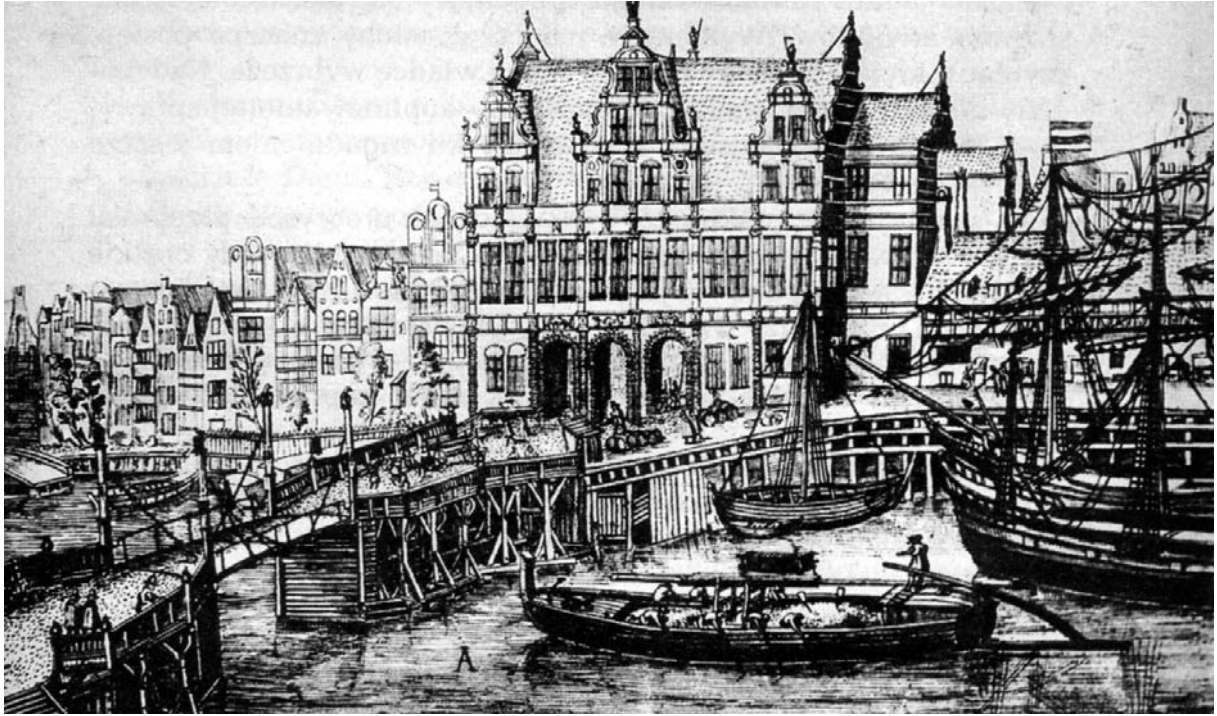
Sala poselska zamku wawelskiego przed 1939 r.



**Miecz Zygmunta Augusta złamany na pogrzebie króla.
Skarbiec katedry wawelskiej.**

**Ratusz główny w Gdańsku. Widok od strony
Długiego Targu. Stan w 1958 r.**





Brama Zielona (bud. J. Kramer 1564-1568), Zielony Most oraz fragment portu na Motławie. Sztach Dickmanna z 1617 r.

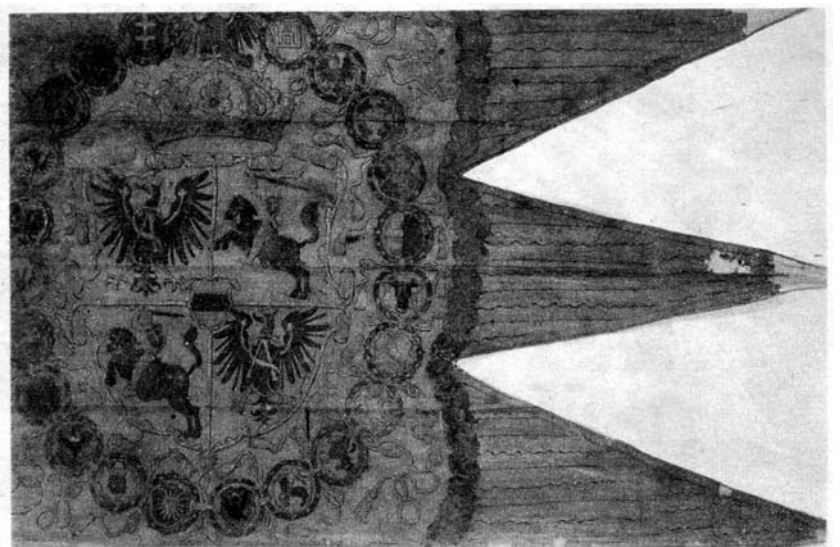


**Głowa Zygmunta Augusta.
Fragment nagrobka z katedry wawelskiej.**



**Nagrobek Zygmunta Starego i
Zygmunta Augusta
z Kaplicy Zygmuntowskiej na
Wawelu.**

**Chorągiew państwowa
Zygmunta Augusta.**





Bartłomiej Berecci, kartusz herbowy znad bramy wjazdowej zamku wawelskiego.



Kościół Świętej Anny w Wilnie.



KONIEC

Księgozbiór DiGG



2010